

W cyklu „Temeraire” ukazały się

Smok Jego Królewskiej Mości

Nefrytowy tron

Wojna prochowa

Imperium kości słoniowej

Zwycięstwo orłów

DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ 2009

NAOMI NOVIK ZWYCIĘSTWO

OR ŁÓW

Tytuł oryginału

Victory of Eagles

Copyright © 2008 by Temeraire LLC All rights reserved

This translation published by arrangement with Ballantine Books, an imprint of Random House Ballantine Publishing Group, a division of Random House, Inc.

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2009

Konsultant Jarosław Kotarski

Redaktor Krzysztof Tropiło

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Jacek Pietrzyński

Ilustracje na okładce © Dominie Harman © Max Bertolini via Agentur Schlueck GmbH

Wydanie I ISBN 978-83-7510-362-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań tel. 061-867-47-08, 061-867-81-40; fax 061-867-37-74 e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Skład

I
f
n
N rO

Rozdział 1

T

ereny rozplodowe nazwano Pen Y Fan z powodu tkwiącego w ich środku na kształt ostrza siekiery pasma gór o lśniących lodem graniach i nagich zboczach, które wyrastały wysoko ponad wrzosowiska. Wprawdzie trwała jeszcze chłodna walijska jesień, ale milowymi krokami zbliżała się już zima, a smoki były senne, bierne, zainteresowane jedynie posiłkami. Na całym terenie było ich kilkaset, rozlokowanych głównie w jaskiniach lub na skalnych półkach, na których mogły się zmieścić. Oprócz karmienia nie zapewniono im żadnych wygod, nie ustalono też żadnych reguł porządkowych, a pas wykoszonej wokół granic ziemi, gdzie w nocy płonęły pochodnie, wyznaczał linie, których nie wolno im było przekraczać i za którymi widać było w dali światła miasta, wesoło migoczące i zakazane.

Temeraire po przybyciu na miejsce znalazł i oczyścił wielką jaskinię, w której zamierzał zamieszkać. Początkowo była jednak bardzo wilgotna i nie udawało mu się jej osuszyć niezależnie od tego, ile trawy naniósł do środka, żeby ją wymościć, i jak długo machał skrzydłami, by wprowadzić w ruch powietrze, co w żadnym razie nie odpowiadało jego instynktownemu poczuciu godności, które nakazywało mu znosić wszelkie niewygody ze stoicką cierpliwością, tyle że nie było to zbytnio satysfakcjonujące, kiedy nikt nie doceniał takiej postawy. A innym smokom było to z

całą pewnością zupełnie obojętne.

Temeraire był pewny, że on i Laurence postąpili właściwie, kiedy zabierali lekarstwo do Francji, i że nikt rozsądny nie mógł się z tym nie zgodzić; ale tak na wszelki wypadek przygotował się w duchu na to, iż może się spotkać z dezaprobatą lub pogardliwym traktowaniem, i obmyślił kilka bardzo przekonujących argumentów na swoją obronę. Najważniejsze oczywiście było to, że taki sposób prowadzenia wojny był tchórzliwy i niegodny: jeśli rząd chciał pokonać Napoleona, powinien z nim walczyć otwarcie, a nie зараżać chorobą jego smoki, żeby uzyskać łatwe zwycięstwo; jakby brytyjskie smoki nie mogły pobić francuskich bez oszustwa.

- A poza tym - dodał - poumieralyby nie tylko francuskie smoki: zaraza dotknęłaby także naszych przyjaciół z Prus, którzy są uwięzieni na terenach rozplodowych, a może dotarłaby nawet aż do Chin; co byłoby jak podkradanie innym jedzenia, kiedy nie jest się głodnym, lub rozbijanie ich jaj.

Wygłosił tę sugestywną mowę do ścian jaskini, ćwicząc ją i utrwalając w pamięci: nie chcieli mu dać piaskowego stołu i nie miał nikogo ze swojej załogi, kto mógłby ją zanotować; nie miał też Laurence'a, który pomógłby mu obmyślić, co konkretnie powinien powiedzieć. Powtarzał więc w kółko te argumenty, żeby ich nie zapomnieć. A gdyby to nie okazało się przekonujące, myślał, mógłby zwrócić uwagę, że w końcu to on zdobył lekarstwo: on i Laurence, wraz z Maksimusem, Lily i resztą ich formacji, i jeśli komuś przysługiwało prawo decydowania o tym, z kim można by się nim podzielić, to właśnie im: nikt by nawet o nim nie wiedział, gdyby on, Temeraire, nie zapadł na tę chorobę w Afryce, gdzie rosły leczące ją grzyby.

Mógł sobie oszczędzić kłopotu. Nikt go o nic nie oskarżył ani, o czym czasem w głębi ducha myślał, gdy się nieco rozmarzy { choć jednocześnie wiedział, że jest to niemal niemożliwe, nie ogłosił go bohaterem. Ponieważ nikogo to nie obchodziło.

Starsze smoki, nie dzikie, lecz w stanie spoczynku, były trochę ciekawe ostatnich wydarzeń związanych z wojną, ale tylko trochę, gdyż bardziej interesowało je opowiadanie o dawnych bitwach, w których brały udział; a reszta była wciąż poruszona ostatnią epidemią, ale tylko w takim stopniu, w jakim to dotyczyło ich samych. Przejmowały się losem ofiar zarazy, ale tylko tych ze swojego grona;

złościło je, że tak dużo czasu upłynęło, zanim lekarstwo do nich dotarło; ale nie miało dla nich najmniejszego znaczenia, że zachorowały także smoki we Francji, ani to, że zaraza rozprzestrzeniłaby się po całym świecie, pochłaniając tysiące ofiar, gdyby Temeraire i Laurence nie wykradli lekarstwa; nie dbały także o to, że Lordowie Admiralicji uznali ten czyn za zdradę i skazali Laurence'a na śmierć.

Nie musiały o nic dbać. Były karmione i dla każdego zawsze starczało jedzenia. Jeśli nawet warunki, w których żyły, nie należały do zbyt przyjemnych, nie były gorsze od tych, do jakich przywykły stare smoki, gdy jeszcze pełniły służbę; nawet nie słyszały o pawilonach i nie przyszło im do głowy, że mogłyby żyć wygodniej. Nikt nie niszczył jaj; dozorczy wywozili je, ale z najwyższą ostrożnością, w wozach wymoszczonych słomą, ogrzewane butlami z gorącą wodą, a w zimie dodatkowo okryte wełnianymi kocami; i przynosili wiadomości o ich stanie, aż wykluły się młode; każdy zatem wiedział, że jaja są bezpieczne w ich rękach; nawet bezpieczniejsze, niż gdyby zostały pod opieką któregoś z rodziców, a więc także te smoki, które nigdy nie miały własnych kapitanów, chętnie przekazywały ludziom swoje.

Żaden ze smoków nie mógł odlatywać zbyt daleko, gdyż pora karmienia nie była ustalona, lecz każdego dnia wybierana losowo, jeśli zatem któryś oddalił się poza zasięg głosu dzwonów, było całkiem prawdopodobne, że się spóźni i przez cały dzień będzie głodny. Dlatego też nie powstała tam większa społeczność, która utrzymywałaby jakieś kontakty z innymi terenami rozplodowymi lub kryjówkami. Tylko czasami jakiś smok przybywał z daleka, żeby się parzyć z którymś z miejscowych; ale nawet to było dla nich przygotowywane przez dozorców. Zamiast coś robić, myślał z goryczą Temeraire, siedziały tam wszystkie niczym dobrowolni więźniowie swojego terytorium. Sam by nigdy tego nie wytrzymał, gdyby nie chodziło o Laurence'a, którego w razie jego nieposłuszeństwa bez wątpienia natychmiast by stracono.

Początkowo trzymał się z dala od innych smoków. Miał sporo do zrobienia w swojej jaskini: pomimo pięknego widoku, który się z niej roztaczał, pozostała niezajęta, gdyż była zbyt mała i z tego powodu było mu w niej dość ciasno. Jednak za

nią znajdowała się dużo obszerniejsza komora, widoczna przez dziury w tylnej ścianie, które stopniowo powiększył, ostrożnie krusząc skałę swoim rykiem. Nie spieszył się i ta praca trwała dłużej, niż może było konieczne - chętnie poświęcił na to kilka dni. Jaskinię trzeba było potem oczyścić z gruzów, starych ogryzionych kości i zawadzających głazów, które dla porządku skrupulatnie powyciągał nawet z zaułków zbyt małych, by mógł się w nich ułożyć. Znalazł także w dolinie kilka wielkich chropowatych kamieni, za których pomocą wygładził nieco ściany, wzbijając przy tym chmury kurzu.

Kurz tak drażnił jego nozdrza, że chciało mu się kichać, ale nie przestawał pracować. Ze sklepienia komory zbił stalaktyty, a stalagmity na dnie obtlukł do tego stopnia, że nie pozostał po nich nawet ślad, a kiedy uznał, że jest zadowolony z rezultatu, poukładał wzdłuż ścian jego obecnego przedsionka ładne kamienie i zeschnięte gałęzie drzew, powykęcane i zbielałe, które zebrał w lasach i wąwozach. Chciałby mieć w środku stawek i fontannę, ale nie wiedział, jak doprowadzić tam wodę, zadowolił się więc cyplem wcinającym się głęboko w jezioro Llyn y Fan Fawr, który także uznał za swój.

Na zakończenie wyrzeźbił nad wejściem do jaskini swoje imię zarówno chińskimi znakami, jak i po angielsku, chociaż litera R sprawiła mu pewien kłopot i ostatecznie wyglądała raczej jak odwrócona cyfra 4. Kiedy już to wszystko zrobił, pozostała mu jedynie rutyna codziennego dnia. Pobudka, kiedy promienie wschodzącego słońca oświetlały wejście do jaskini, odrobina ćwiczeń, drzemka, następna pobudka, gdy pasterze bili w dzwon, jedzenie, kolejna drzemka, odrobina ćwiczeń, i znowu sen; i tak kończył się każdy dzień - nie było nic innego do zrobienia. Raz wybrał się na polowanie i dlatego nie było go w porze karmienia; później tego samego dnia jeden z małych smoków przyniósł zarządcę terenów, pana Lloyda, i lekarza, który miał sprawdzić, czy Temeraire nie jest chory. Razem palnęli mu tak surowe kazanie na temat kłusownictwa, że z uwagi na Laurence'a poczuł się bardzo niepewnie.

Mimo to Lloyd także nie myślał o nim jako zdrajcy; zbyt mało go obchodził, żeby brać pod uwagę taką możliwość. Zarządca terenów rozplodowych dbał tylko o to, żeby jego podopieczni przebywali w ich granicach, jedli i parzyli się; było mu

obojętne, że mogą mieć poczucie własnej godności, a jeśli Temeraire robił coś, co odbiegało od normy, uważał to za zawracanie głowy.

- Już dobrze, dobrze - mawiał żartobliwie - odwiedzi nas dziś miłutka dama Anglewing, świeżutka i śliczna; będziemy mieli przyjemny wieczór, co? Może chcielibyśmy najpierw przekąsić odrobinę cieleciny? Tak, chcielibyśmy, jestem pewny.

Ponieważ sam odpowiadał na własne pytania, Temeraire'owi pozostało tylko siedzieć i słuchać, zwłaszcza że był pewny, iż gdyby spróbował powiedzieć: „Nie, wolałbym sarninę, i mógłbyś ją najpierw upiec”, jego słowa zostałyby zignorowane.

Wszystko to niemal wystarczało, żeby zniechęcić go do robienia jaj, a poza tym Temeraire był coraz bardziej pewny, iż jego matka nie pochwaliby tego, jak często oni chcą, by próbował, i jak mało przejmują się właściwy *n dobozem partnere Lien z pewnością skwitowałyby to jak pl ajbardziej obraźliwyn, prychnięciem. To nie był wina smoczyc» które mu przysyłał Wszystkie były bardzo miłe, ale większość z nich nigdy przedtem nie złożyła jaja, a część nie wzięła jeszcze: udziału w prawdziwej bitwie ani nie zrobiła w życiu niczego i interesującego. Dłate też były bardzo zakłopotane, gdy nie mo_gły mu dać odpowiedniego prezentu, który by to zrekompens «wał; a on nie potrafił udawać, że nie jest niezwykłym smokieran, nawet gdyby chciał, w żadnym razie, chociaż n ie miał nic przeciw' temu, żeby spróbować z Bellusą, biedną młodą smoczycą rasy Malachite Reaper, przyslaną przez Admiralicję z Edynburga, która nie miała na swym koncie ani jednej akcji bojowej i która z żalną miną ofiarowała mu mały dywwanik, czyli wszystko, na co było stać jej speszzonego kapitana: t ym prezentem można by co najwyżej okryć największy pazur T~emeraire'a.

- Jest bardzo ładny - powiedział z zakłopotaniem Teme- raire - i tak przemyślnie wykonany; ba.rdzo mi się podobają kolory - dodał i spróbował rozłożyć go os- itroźnie na małym kamieniu przy wejściu, ale ten gest wprowi zi ją w jeszcze większe przygnębienie.

- Ogromnie przepraszam - wybuchn^ła - on nie chciał zrozumieć, wcale, i myślał, że ja nie będę c Łti ciała, a potem powiedział... - Przerwała gwałtownie, jeszcz-e

bardziej zmieszana; więc Temeraire był pewny, że cokolwiek j- ej kapitan powiedział, nie było to wcale miłe. Ubodło go to i nie mógł nawet odpowiedzieć jedną ze swoich przygotowanych ripost, ponieważ ona sama nie powiedziała mu niczego przykrego. Zrobił zatem to, czego od niego oczekiwano, ale bez większej ochoty. Postanowił, że będzie cierpliwy i spokojny we wszystkich sprawach; że nie będzie sprawiał żadnych kłopotów. Będzie idealnie p »osłusznym więźniem¹-

Temeraire nie pozwalał sobie myśleć zbyt dużo o Laurensie;

? • Tnirlnn mu było znieść to uczucie głębokiego,

nie ufał sobie. I rudno m / . . . , .

al obezwładniającego niepokoju, które pojawiała się, kiedy IU'eIT1 damiał sobie, że nie wie, co się dzieje z Laurence'em, w jakim on jest stanie. Smok wiedział w każdej chwili, gdzie jest jego latynowy wisior i złoty łańcuch, które stanowiły jego własność, a swoje ozdobne pochwy na pazury zostawił Emily i był pewny, że aod jej Opieką są bezpieczne. Normalnie wierzyłby też, że Laurence potrafi uchronić się przed zagrożeniem; że przynajmniej nie planuje jakiegoś niebezpiecznego posunięcia bez ważnego powodu, co niestety zwykł czasem robić; ale okoliczności nie były takie, jakie powinny być, no i upłynęło już tak dużo czasu. Przedstawiciele Admiralicji obiecali mu, że dopóki będzie się dobrze zachowywał, Laurence nie zostanie powieszony, ale tym ludziom nie można było ufać, w żadnym razie. Temeraire podejmował co najmniej dwa razy w tygodniu decyzję, że wyruszy natychmiast do Dover lub do Londynu - tylko po to, żeby popytać, żeby sprawdzić, czy tego nie zrobili, żeby się upewnić - ale zawsze zanim wyleciał, ogarniały go wątpliwości. Przypominał sobie, że nie wolno mu zrobić niczego, co przekonałoby władze, że on jest nieposłuszny, a zatem Laurence nie jest im potrzebny. Musi być potulny i godzić się na wszystko, czego od niego chcą.

Mimo tych postanowień jego cierpliwość była już niemal wyczerpana pod koniec trzeciego tygodnia pobytu w Pen Y Fan, kiedy Lloyd sprowadził mu gościa, dzentelmena, którego głośno napominał:

- Niech pan pamięta, żeby nie denerwować tego kochanego stworzenia, ale mówić do niego miłym tonem, powoli i łagodnie jak do konia.

Rozdrażniło to Temeraire'a, zanim jeszcze usłyszał, że ma Przed sobą wielbego Daniela Salcombe'a.

~ Ach, to ty-powiedział takim tonem, że wielbny spojrzął

nieg0 z zaskoczeniem - tak, doskonale wiem, kim jesteś;

bował, i jak mało przejmują się właściwym dobozem partnerek. Lien z pewnością skwitowałyby to jak najbardziej obraźliwym prychnięciem. To nie był wina smoczyc, które mu przysyłano. Wszystkie były bardzo miłe, ale większość z nich nigdy przedtem nie złożyła jaja, a część nie wzięła jeszcze udziału w prawdziwej bitwie ani nie zrobiła w życiu niczego interesującego. Dlatego też były bardzo zakłopotane, gdy nie mogły mu dać odpowiedniego prezentu, który by to zrekompensował; a on nie potrafił udawać, że nie jest niezwykłym smokiem, nawet gdyby chciał. A nie chciał, w żadnym razie, chociaż nie miał nic przeciwko temu, żeby spróbować z Bellusą, biedną młodą smoczyką rasy Malachite Reaper, przysłaną przez Admiralicję z Edynburga, która nie miała na swym koncie ani jednej akcji bojowej i która z żalną miną ofiarowała mu mały dywanik, czyli wszystko, na co było stać jej speszonego kapitana: tym prezentem można by co najwyżej okryć największy pazur Temeraire'a.

- Jest bardzo ładny - powiedział z zakłopotaniem Teme- raire - i tak przemyślnie wykonany; bardzo mi się podobają kolory - dodał i spróbował rozłożyć go ostrożnie na małym kamieniu przy wejściu, ale ten gest sprawił ją w jeszcze większe przygnębienie.

- Ogromnie przepraszam - wybuchnęła - on nie chciał zrozumieć, wcale, i myślał, że ja nie będę chciała, a potem powiedział... - Przerwała gwałtownie, jeszcze bardziej zmieszana; więc Temeraire był pewny, że cokolwiek jej kapitan powiedział, nie było to wcale miłe. Ubodło go to i nie mógł nawet odpowiedzieć jedną ze swoich przygotowanych ripost, ponieważ ona sama nie powiedziała mu niczego przykrego. Zrobił zatem to, czego od niego oczekiwano, ale bez większej ochoty. Postanowił, że będzie cierpliwy i spokojny we wszystkich sprawach; że nie będzie sprawiał żadnych kłopotów. Będzie idealnie posłusznym więźniem.

Temeraire nie pozwalał sobie myśleć zbyt dużo o Laurensie; nie ufał sobie. Trudno mu było znieść to uczucie głębokiego, niemal

obezwładniającego niepokoju, które pojawiało się, kiedy uświadamiał sobie, że nie wie, co się dzieje z Laurence'em, w jakim on jest stanie. Smok wiedział w każdej chwili, gdzie jest jego platynowy wisior i złoty łańcuch, które stanowiły jego własność, a swoje ozdobne pochwy na pazury zostawił Emily i był pewny, że pod jej opieką są bezpieczne. Normalnie wierzyłby też, że Laurence potrafi uchronić się przed zagrożeniem; że przynajmniej nie planuje jakiegoś niebezpiecznego posunięcia bez ważnego powodu, co niestety zwykł czasem robić; ale okoliczności nie były takie, jakie powinny być, no i upłynęło już tak dużo czasu. Przedstawiciele Admiralicji obiecali mu, że dopóki będzie się dobrze zachowywał, Laurence nie zostanie powieszony, ale tym ludziom nie można było ufać, w żadnym razie. Temeraire podejmował co najmniej dwa razy w tygodniu decyzję, że wyruszy natychmiast do Dover lub do Londynu - tylko po to, żeby popytać, żeby sprawdzić, czy tego nie zrobili, żeby się upewnić - ale zawsze zanim wyleciał, ogarniały go wątpliwości. Przypominał sobie, że nie wolno mu zrobić niczego, co przekonałoby władze, że on jest nieposłuszny, a zatem Laurence nie jest im potrzebny. Musi być potulny i godzić się na wszystko, czego od niego chcą.

Mimo tych postanowień jego cierpliwość była już niemal wyczerpana pod koniec trzeciego tygodnia pobytu w Pen Y Fan, kiedy Lloyd sprowadził mu gościa, dżentelmena, którego głośno napominał:

- Niech pan pamięta, żeby nie denerwować tego kochanego stworzenia, ale mówić do niego miłym tonem, powoli i łagodnie jak do konia.

Rozdrażniło to Temeraire'a, zanim jeszcze usłyszał, że ma przed sobą wielbnego Daniela Salcombe'a.

- Ach, to ty - powiedział takim tonem, że wielbny spojrział na niego z zaskoczeniem - tak, doskonale wiem, kim jesteś; czytałem twój bardzo głupi list do Towarzystwa Królewskiego i przypuszczam, że przyszedłeś tutaj, oczekując, iż będę się zachowywał jak papuga lub pies.

Salcombe wyjąka! jakieś usprawiedliwienie, ale nie ulegało wątpliwości, że właśnie tak było. Następnie zaczął z mozołem odczytywać z przygotowanej listy jakieś zupełnie nonsensowne pytania dotyczące predestynacji, ale Temeraire nie miał

ochoty na nie odpowiadać.

- Zamilcz, proszę - przerwał. - Święty Augustyn wyjaśnił to lepiej niż ty, a i tak nawet wtedy nie miało to większego sensu. Poza tym nie zamierzam się przed tobą popisywać niczym jakieś cyrkowe zwierzę. Naprawdę nie chce mi się rozmawiać z kimś tak niedouczonym, że nie czytał nawet Dialogów Konfucjusza - dodał, wyłączając w duchu z tego grona Laurence'a; ale z drugiej strony Laurence nigdy nie udawał uczonego i nie pisał obraźliwych listów o ludziach lub smokach, których nie znał. - A co do tego, że smoki nie rozumieją matematyki, to jestem pewny, iż znam ją lepiej od ciebie.

Narysował pazurem na ziemi trójkąt i oznaczył dwa jego krótsze boki.

- Proszę bardzo; podaj mi długość trzeciego i wtedy będziemy mogli rozmawiać; jeśli tego nie wiesz, odejdz i przestań udawać, że wiesz coś o smokach.

Ten prosty rysunek wprowadził w zakłopotanie kilku dżentelmenów, kiedy Temeraire naszkicował go podczas przyjęcia w londyńskiej kryjówce, i rozwiął przy okazji złudzenia smoka co do ogólnej znajomości matematyki wśród ludzi. Wielebny Salcombe najwyraźniej także zaniedbał tę część swego wykształcenia, gdyż popatrzył na ziemię, zaczerwienił się aż po czubek swej głównie łysej głowy, po czym odwrócił się gniewnie w stronę Lloyda i powiedział:

- Namówiłeś to stworzenie do tego, jak przypuszczam!

Przygotowałeś z góry te uwagi... - Ale kiedy zobaczył, że Lloyd patrzy na niego z szeroko otwartymi ustami i wyrazem całkowitego niezrozumienia na twarzy, uświadomił sobie zapewne, jak mało jest prawdopodobne, że jego oskarżenia są prawdziwe, gdyż natychmiast się poprawił: - Ktoś ci je dał, a ty nauczyłeś ich tego stwora, żeby wprowadzić mnie w zakłopotanie...

- Nigdy bym tego nie zrobił, sir - zaprotestował Lloyd, na próżno, co tak rozzłościło Temeraire'a, że prawie pozwolił sobie na cichy, bardzo cichy ryk; w ostatniej chwili opanował się jednak i tylko warknął. Salcombe i tak rzucił się do ucieczki, ścigany przez Lloyda, który głośno domagał się napiwku. Stało się jasne, że za pieniądze pozwolił przyjść tam Salcombe'owi, który chciał się pogapić na Temeraire'a, jakby on rzeczywiście był cyrkowym zwierzęciem; kiedy smok sobie to uświadomił,

pożałował, że nie zaryczał, albo jeszcze lepiej, że nie wrzucił ich obu do jeziora.

Po chwili jednak jego gniew zgasł. Opuścił głowę i pomyślał, ponieważ, że może powinien jednak porozmawiać z Salcombe'em. Lloyd nie chciał mu czytać ani opowiadać o tym, co działo się na świecie, nawet gdy Temeraire zadawał mu pytania powoli i wyraźnie, żeby je zrozumiał. Zwykle odpowiadał swym irytującym tonem:

„Już dobrze, dobrze, nie będziemy się martwić

O takie sprawy, nie ma sensu się denerwować". Salcombe, chociaż był ignorantem, chciał odbyć z nim rozmowę; i być może udałoby się go namówić do przeczytania jakiegoś artykułu z czasopisma naukowego lub gazety... Och, czego bym nie zrobił za gazetę, pomyślał Temeraire.

Przez ten cały czas ciężkie smoki kończyły obiad. Największy z nich, ogromny Regal Copper, wypuł dobrze przeżute, szare

i splamione krwią runo, głośno beknął i odleciał do swojej jaskini. Zwolnił tym samym miejsce na polanie dla innych smoków, średniej wagi, lekkich i małych kurierskich, które zaczęły się pospiesznie zlatywać ze wszystkich stron po należne im owce i krowy, a że nawoływały się przy tym głośno, powstał lekki harmider.

Temeraire nie poruszył się, tylko przysiadł nieco niżej, kiedy one sprzeczały się i hałasowały dookoła niego, i nie podniósł głowy nawet wtedy, gdy jedna smoczyca, średniej wagi o szczupłych, niebiesko-zielonych nogach, usadowiła się dokładnie naprzeciw niego, po czym zaczęła jeść, rozgryzając głośno owcze kości.

- Rozważyłam tę kwestię - poinformowała go w pewnej chwili, z pyskiem pełnym mięsa - i doszłam do wniosku, że we wszystkich przypadkach, kiedy kąt jest równy dziewięćdziesiąt stopni, jak zapewne zamierzałeś to narysować, długość najdłuższego boku musi być liczbą, która pomnożona przez siebie jest równa sumie także pomnożonych przez siebie długości krótszych boków. - Przełknęła głośno i oblizwała pysk. - Całkiem interesujące spostrzeżenie; jak do niego doszedłeś?

- Nie doszedłem - wymamrotał Temeraire. - To twierdzenie Pitagorasa; zna je każdy, kto ma wykształcenie. Laurence mnie go nauczył - dodał i poczuł się jeszcze gorzej.

- Hm - burknęła smoczyca, raczej wyniośle, i odleciała.

Ale następnego ranka pojawiła się przy jaskini Temeraire'a, bez zaproszenia, i obudziła go, szturchając nosem.

- Może chciałbyś się dowiedzieć - odezwała się - że istnieje wzór, który wymyśliłam, pozwalający obliczyć dowolną potęgę sumy dwóch liczb. Co ten twój Pitagoras powie na to?

- Wcale go nie wymyśliłaś - odrzekł Temeraire, zirytowany, że obudziła go tak wcześnie i że ma przed sobą kolejny pusty dzień. - To wzór na potęgi dwumianu, który dawno temu wyprowadził Yang Hui¹. - Powiedziawszy to, zakrył głowę skrzydłem i spróbował znowu zasnąć.

Myślał, że na tym się skończy, ale cztery dni później, kiedy leżał nad swoim jeziorem, dziwna smoczyca wylądowała obok niego, najeżona, i oznajmiła pospiesznie, tak że słowa niemal potykały się o siebie nawzajem:

- No dobrze, właśnie opracowałam coś zupełnie nowego: liczba pierwsza o konkretnym numerze, na przykład dziesiąta, jest zawsze bardzo bliska wartości tego numeru pomnożonej przez wykładnik potęgi, do której trzeba podnieść pewną liczbę), żeby otrzymać tę samą wartość... a liczba e - dodała - jest bardzo ciekawą liczbą, którą także odkryłam i nazwałam swoim imieniem...

- Na pewno nie - przerwał jej lekceważąco Temeraire, kiedy zrozumiał, o czym mówiła. - To jest liczba e i mówisz

o logarytmie naturalnym, a co do reszty, co do tego o liczbach pierwszych, to wszystko bzdura; weźmy choćby piętnastą liczbę pierwszą... - i tu umilkł, obliczając w głowie wartość.

- Widzisz - powiedziała tryumfalnie, kiedy po sprawdzeniu kilkunastu przykładów Temeraire był zmuszony przyznać, że irtująca nieznajoma może mieć do pewnego stopnia rację. -

¹ nie próbuj mi wmawiać, że pierwszy wymyślił to Pitagoras - dodała, wypinając pierś - albo Yang Hui, bo zasięgnęłam języka i okazuje się, iż nikt o nich nie słyszał; nie ma ich w żadnej z kryjówek ani na terenach rozplodowych, a więc możesz przestać oszukiwać. Od razu tak pomyślałam; kto słyszał o smoku o tak dziwnym imieniu jak Yang Hui; to jakiś nonsens.

Temeraire nie był póki co ani tak przygnębiony, ani zmęczony, żeby zapomnieć, jak strasznie jest znudzony, a zatem był mniej skłonny do obrazy.

- To nie smoki, żaden z nich - odpowiedział - a poza tym obaj już nie żyją, od wielu, wielu lat; Pitagoras był Grekiem, a Yang Hui był z Chin.

- To skąd wiesz o tym, co oni wymyślili? - zapytała podejrzliwie.

- Laurence mi o tym czytał - oznajmił Temeraire. - A skąd ty czerpiesz te swoje pomysły, jeśli nie z książek?

- Sama to wymyślam - wyjaśniła smoczyca. - Nie ma tu zbyt wiele do roboty.

Na imię miała Perscitia. Była eksperymentalną krzyżówką Malachite Reapera i lekkiego Pascal's Blue, która okazała się cięższa, wolniejsza i bardziej nerwowa, niż spodziewali się hodowcy. Na dodatek jej umaszczenie trudno było nazwać ochronnym: ciało i skrzydła miała jaskrawoniebieskie, poprzecinane jasnozielonymi pasami, a kolce na jej grzbiecie były szeroko rozrzucone. Nie była też stara, w przeciwieństwie do większości noszących kiedyś uprząż smoków, które przebywały na terenach rozplodowych, i sama zrezygnowała ze swojego kapitana.

- Cóż - odpowiedziała na pytanie Temeraire'a - nie miałam nic przeciwko mojemu kapitanowi. To on mi pokazał, jak się rozwiązuje równania, kiedy byłam mała. Ale nie widziałam żadnego sensu w tym, żeby iść na wojnę, dać się postrzelić lub poszarpać pazurami, i to z powodów, których nikt nie potrafił mi wyjaśnić. A kiedy się okazało, że nie chcę walczyć, on mnie więcej nie chciał. - To ostatnie zdanie wygłosiła dość beztróskim tonem, ale jednocześnie unikała wzroku Temeraire'a.

- Jeśli masz na myśli walkę w formacjach, zupełnie ci się nie dziwię; to bardzo nużące - odparł Temeraire. - W Chinach krzywo na mnie patrzyli - dodał, chcąc okazać współczucie - ponieważ walczę; Niebiańskie nie powinny tego robić.

- Chiny muszą być wspaniałym krajem - powiedziała tęsknym głosem Perscitia, a Temeraire w żadnym razie nie zamierzał temu przeczyć. Pomyślał też ze smutkiem, że gdyby tylko Laurence tego chciał, mogliby już być w Pekinie i znowu spacerować w ogrodach Pałacu Letniego; nie miał okazji oglądać ich jesienią.

A potem nagle sobie coś uświadomił i poderwał głowę.

- Powiedziałaś, że zasięgnęłaś języka; co przez to rozumiesz? - zapytał. - Przecież

nie możesz się stąd oddalać.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała. - Dałam Monceyowi połowę mojego obiadu, a on poleciał do Brecon i przekazał moje pytanie smokom kurierskim. Dziś rano poleciał tam znowu i wrócił z odpowiedzią, że nikt nie słyszał o kimkolwiek, kto nosiłby jedno z tych imion.

- Och... - zaczął Temeraire, a jego kreza się podniosła - och, proszę; kim jest ten Moncey? Dam mu, co zechce, jeśli się tylko dowie, gdzie jest Laurence; może mieć mój cały obiad, przez tydzień.

Moncey był Winchesterem, który wkrótce po wykluciu zerwał się ze smyczy i wymknął przez wrota stodoły, gdyż nie podobał mu się kandydat na jego kapitana, i tak uciekł z Korpusu. Zwabiono go ostatecznie na tereny rozplodowe, bardziej obietnicami towarzystwa niż karmienia, gdyż był stworzeniem, które nie lubiło samotności. Mały i ciemnopurpurowy, wyglądał z daleka jak każdy inny Winchester, i nie wzbudzał ciekawości, gdy widziano go poza granicami terenów rozplodowych ani gdy okazywało się, że jest nieobecny podczas codziennego karmienia. Jeśli tylko za posiłki, które musiał opuścić, otrzymywał odpowiednią rekompensatę, chętnie wyświadczał najróżniejsze przysługi.

- Hm, a gdybyś dał mi jedną z tych krów, tych ładnych, tłustych, które trzymają specjalnie dla ciebie na te dni, kiedy łączysz się z jakąś smoczyką, żeby zrobić jajo? - zapytał Moncey. - Chciałbym sprawić przyjemność Laculli - dodał radośnie.

- To rabunek w biały dzień - oburzyła się Perscitia, ale Temeraire nie dbał o to; zresztą smak krów mu już zbrzydł, gdyż oznaczał kolejną z tych żalonych, krępujących wieczornych sesji. Dlatego bez targowania skinął głową, godząc się na propozycję małego smoka.

- Ale niczego nie obiecuję - ostrzegł Moncey. - Wyślę zapytanie, bez obaw, ale jeśli chcemy, żeby dotarło do wszystkich kryjówek i do Irlandii, może upłynąć kilka tygodni, zanim czegoś się dowiemy, a może się też okazać, iż nikt o nim nie słyszał.

- Na pewno otrzymamy odpowiedź - odparł cicho Temeraire - jeśli on nie żyje.

Kula przebiła dziób okrętu i przetoczyła się przez całą długość dolnego pokładu z łoskotem, któremu akompaniował stukot bijącego w ściany pomieszczenia gradu

odłamków i drzazg. Młody żołnierz piechoty morskiej, który pilnował aresztu, drżał, od kiedy na górze rozległ się sygnał wzywający załogę na stanowiska bojowe; jego podniecenie, pomyślał Laurence, było mieszkanką niepokoju, pragnienia zrobienia czegoś i frustracji spowodowanej tym, że w takiej chwili jest całkowicie bezużyteczny: to uczucie więzień, który był w swojej celi jeszcze bardziej bezużyteczny, całkowicie podzielał. Kiedy kula dotarła do aresztu, zdawała się już tylko wolno toczyć. Młody żołnierz najwyraźniej uznał, że ma wreszcie okazję coś zrobić i wyciągnął nogę, by ją zatrzymać, zanim Laurence zdążył krzyknąć.

Widział już na innych polach bitew, jak równie nieprzemyślane, odruchowe zachowania prowadziły do mniej więcej takich samych rezultatów: kula oderwała większą część stopy żołnierza i potoczyła się dalej, przeszła przez metalowe okratowanie, wyrwała drzwi aresztu z górnych zawiasów i na koniec wbiła się na dwa cale w dębową ścianę okrętu. Laurence pchnął wiszące krzywo drzwi, wyszedł z celi i zdjawszy krawat, owinał nim nogę żołnierza; młodzieniec wciąż patrzył z osłupieniem na krwawy kikut i trzeba go było trochę namawiać, żeby pokuśtykał na najniższy pokład.

- Czysty strzał; jestem pewny, że resztę da się łatwo usunąć - powiedział pocieszająco Laurence, po czym zostawił go pod opieką lekarzy i ruszył na górę, skąd wciąż dobiegał huk dział.

Po schodni rufowej wspiał się na pokład działowy i zanurzył się w panującym tam chaosie: wpadające przez otwarte ambrazury światło dnia roziskrzyło chmurę prochowego dymu i kurzu wzniesionego przez armaty. „Rycząca Martha” zerwała się z lin i pięciu ludzi wbijało teraz kliny pod koła wózka, żeby utrzymać ją w miejscu na kołyszącym się pokładzie przez czas konieczny do jej ponownego zabezpieczenia; w każdej chwili mogła się potoczyć po deskach, miażdżąc ludzi, i być może wybić dziurę w burcie.

- Spokojnie, malutka, trzymaj się, trzymaj się mocno... - mówił do niej dowódca obsługi takim tonem, jakby uspokajał płochliwego konia, i krzywiąc się z bólu, próbował trzymać gorącą lufę; drzazgi, które wbiły się w jego twarz, wyglądały jak kolce jeża.

W dymie i czerwonym świetle wystrzałów nikt nie rozpoznał Laurence'a; był tylko kolejną parą rąk. Wciąż miał w kieszeni płaszcz rękawice awiatora; założył je szybko i chwyciwszy wylot lufy, pociągnął z całej siły. Działo było nadal tak gorące, że mimo grubej skóry piekły go dłonie. W końcu artylerzyści założyli nowe liny, po czym stanęli dookoła „Ryczącej Marthy”, drżąc jak zmęczone po ciężkim biegu konie, zdyszani i złani potem.

Nie otwierali ognia, gdyż z pokładu rufowego nie dobiegł żaden rozkaz, a przez furkę działową nie było widać żadnej nieprzyjacielskiej jednostki. Laurence dotknął burty i wyczuł, że kadłub okrętu mocno pracuje, poddany jakimś ogromnym naprężeniom, wydając jednocześnie coś w rodzaju niskiej, jękliwej skargi, jakby próbował płynąć zbyt ostro na wiatr. Towarzyszyło temu dziwne bulgotanie wody po bokach żaglowca. Laurence nigdy nie słyszał takiego dźwięku, a przecież znał Goliatha. Kiedy był chłopcem, przesłużył na nim cztery lata jako midszypmen, potem jako porucznik spędził tu jeszcze dwa i wziął udział w bitwie pod Abukirem; jeszcze niedawno był pewny, że potrafi rozpoznać każdy odgłos wydawany przez okręt.

Wysunął głowę przez otwór strzelniczy i zobaczył nieprzyjacielski statek, który przeciął ich kurs i właśnie skręcał, szykując się do ataku: była to tylko fregata, piękny trzydziestosześciodziałowy żaglowiec, którego salwa burtowa ważyła mniej niż połowa salwy Goliatha. Ma pierwszy rzut oka zamiar podjęcia walki przez francuską jednostkę przy takiej dysproporcji sił wydawał się absurdalnym pomysłem i Laurence nie mógł zrozumieć, dlaczego nie wykonali jeszcze zwrotu, żeby ostrzelać jej rufę. Zamiast tego słyhać było niezbyt głośne dudnienie dziobowych dział pościgowych, których ogień nie mógł zagrozić przeciwnikowi. Wychyliwszy się jeszcze bardziej, popatrzył wzdłuż okrętu i zobaczył, że został przebity ogromnym harpunem, który wystawał z jego burty, jakby był wielorybem. Tkwiący w statku koniec był zaopatrzony w kilka przemyślnie zakrzywionych zadziórów, które po silnym szarpnięciu do tyłu, wgrzyły się głęboko w drewno; lina zaczepiona na drugim końcu harpuna wznosiła się coraz wyżej i wyżej w powietrze, gdzie trzymały ją dwa smoki wagi ciężkiej: starszy Parnassian, najpewniej sprzedany Francji w czasach pokoju, i Grand Chevalier.

To nie był jedyny harpun: Laurence dostrzegł jeszcze trzy kolejne liny, które zwisały z ich łap ku dziobowi Goliatha, oraz dwie inne, które biegły w stronę jego rufy. Smoki były zbyt wysoko, żeby mógł się zorientować we wszystkich szczegółach, zwłaszcza że pokład się kołysał, ale domyślił się, iż liny były w jakiś sposób przymocowane do ich uprzęży, i zwyczajnie lecąc razem oraz ciągnąc, obracały okręt i kierowały jego dziób pod wiatr, który wiejąc prosto w jego żagle, niemal go zatrzymał. Oba były poza zasięgiem armat i chociaż jeden z nich kichał w rezultacie gwałtownego ognia z dział pieprzowych, musiały jeszcze tylko kilka razy uderzyć skrzydłami, żeby oddalić się od chmury pieprzu, pociągając przy okazji okręt.

_ Siekiery, siekiery - krzyczał porucznik, a jego głos utonął po chwili w brzęku żelaza, kiedy bosmani zaczęli rozsypywać na podłodze naręcza broni: siekiery, kordy i noże. Ludzie chwyтали je pospiesznie i wychylając się przez otwory strzelnicze, rąbali liny, próbując uwolnić okręt, ale te były zbyt luźne, żeby ich wysiłki na coś się zdały. Stało się jasne, że ktoś musi wyjść przez luk na zewnątrz, żeby je poprzecinać i zrobić to na burcie okrętu pod bezpośrednim ogniem z fregaty, która właśnie kończyła zwrot.

W pierwszej chwili nikt się nie poruszył; potem Laurence wyciągnął rękę i podniósł ze stosu broni krótki ostry kord. Porucznik spojrzał mu w twarz, rozpoznał go, ale nic nie powiedział. Laurence podszedł do ambrazury i wysunął się na zewnątrz; szybko wiele rąk chwyciło go za nogi, żeby go przytrzymać, a porucznik znowu zaczął wykrzykiwać rozkazy; już wkrótce z górnego pokładu spuszczone mu sznur, dzięki czemu mógł się zaprzeć o kadłub. Wiele twarzy patrzyło na niego z niepokojem, w większości obcych; chwilę potem jeszcze jeden człowiek spuścił się w dół z relingu, a po nim następni, żeby się zająć pozostałymi harpunami.

Wyteżywszy wszystkie siły, Laurence zaczął ciąć linę, która była spleciona z trzech sznurów, grubych jak męski nadgarstek i pokrytych smołowanym płótnem. Na tle pomalowanej burty okrętu stanowił doskonały cel dla dział fregaty, ale się tym nie przejmował. Jeśli zostanie zabity, rodzinie oszczędzony będzie przynajmniej wstyd związany z jego egzekucją, której termin odroczone tylko dlatego, żeby był

łańcuchem na szyi Teme-raire'a do czasu, aż Admiralicja uzna, że smok się już uspokoił i przyzwyczał do nowej sytuacji, i że może się już obyć bez Laurence'a. Wtedy to wyrok zostanie wykonany, ale może to nastąpić po wielu długich latach, które Laurence spędzi w lochu lub wnętrzu jakiegoś okrętu.

Nie zastanawiał się nad tym zbyt głęboko; ot, przyszła mu ta myśl do głowy mimowolnie, kiedy pracował. Był zwrócony plecami do morza, nie widział zatem fregaty ani toczącej się dalej bitwy; jego światem były spękana farba na burcie Goliatha, kiedyś lśniącej lakierem, a teraz chropowatej, oraz fale zimnego morza, wspinające się po kadłubie okrętu i opryskujące mu plecy. W dali słychać było grzmot dział, ale Goliath milczał. Artylerzyści oszczędzali proch i kule do czasu, gdy armaty będzie można skutecznie użyć. Najgłośniejszymi odgłosami, które docierały do jego uszu, były stęknięcia wiszących w pobliżu ludzi, którzy ciął liny swoich harpunów. Nagle jeden z nich wrzasnął, puścił sznur i runął do wzburzonego morza; mały, szybki smok kurierski, Chasseur-Vocifere, nurkował z góry ku burcie okrętu z kolejnym harpunem.

Trzymał go mniej więcej tak, jak trzymali kopie walczący w średniowiecznych turniejach rycerze, przy czym koniec drzewca tkwił w metalowej tulei przymocowanej do uprzęży. Harpun wbił się z głuchym odgłosem w burtę niedaleko miejsca, gdzie był Laurence, a słona woda wzbита przez ogon smoka zalała mu twarz. Zakrztusił się, czując jej palenie w nozdrzach i gorycz w gardle, po czym zaczął ją wypluwać. Smok tymczasem odleciał, nie zważając na pospieszoną salwę, którą oddali w jego kierunku żołnierze piechoty morskiej, i uniósł ze sobą harpun wraz z liną: tym razem siła uderzenia była zbyt mała, żeby ostrze przebiło burtę. Cały kadłub okrętu był poznaczony bliznami po wcześniejszych próbach i najwyraźniej przypadało ich co najmniej tuzin na każdy harpun, który udało się solidnie osadzić.

Laurence starł ramieniem słoną wodę z twarzy i krzyknął do wiszącego w pobliżu marynarza:

- Tnij dalej, do cholery, nie przestawaj.

Pierwszy splot jego własnej liny w końcu ustąpił, a jej twarde, przecięte przez kord włókna rozeszły się wachlarzowo na boki, jakby była miotłą. Zabrał się energicznie

do drugiego, chociaż klinga już stępieła, i praca sprawiała mu coraz większą trudność.

Fregata zbliżyła się i zaczęła ich nękać ogniem dział. Ilekroć się odezwały, nie mógł się opanować i spoglądał w tył. W pewnej chwili naleciała z gwizdem kula, która odbiła się dwa, trzy razy od fal, niczym kamień rzucony przez puszczonego kaczki chłopca, i Laurence miał wrażenie, że zmierza prosto na niego. Na szczęście było to złudzenie, ale cały okręt zajęczał, gdy wbiła się w dziób, a z otwartych ambrazur wyleciał na zewnątrz grad odłamków i drzazg. Zasypały nogi Laurence'a, kłując go niczym rój rozwścieczonych pszczoł, a jego białe pończochy szybko zwilgotniały od krwi. Nie zważając na to, trzymał się kurczowo drzewca harpuna i nadal ciął; fregata wciąż strzelała i w pewnej chwili jej działa zagrzmiały salwą burtową, a trafiony Goliath przechylił się nieprzyjemnie mocno na bok.

Laurence musiał w końcu oddać zupełnie już tępy kord i krzyknął, żeby podali mu inny, naostrzony. Przeciął nim ostatnie włókna liny i dał się wciągnąć do środka okrętu; zatoczył się, kiedy spróbował stanąć, po czym osunął się na kolana: jego pończochy były podarte i przesiąknięte krwią, a spodnie, wciąż te same, które miał na sobie podczas procesu, podziurawione i poplamione. Z pomocą marynarzy usiadł pod ścianą i pociął kordem swoją koszulę na bandażę, a potem owiązał nimi najgorsze z zadrapań i ranek; nie było nikogo, kto pomógłby mu dotrzeć do lekarza. Pozostałe harpuny też już odcięto i okręt wreszcie znowu płynął, zmieniając kurs; wszyscy kanonierzy skupili się wokół dział i z wyszczerzonymi wściekle zębami, twarzami czarnymi od brudu, pomazani krwią z popękanych warg i dziąseł, czekali na okazję do odwetu. W przyćmionym świetle, które przenikało na pokład armatni, wyglądali bardzo groźnie, wręcz dziko.

Nagle dał się słyszeć głośny stukot, jakby spadł ulewny deszcz lub grad. Były to małe bombki z krótkimi lontami, zrzucone przez francuskie smoki. Błyski wybuchów przeświecały przez szpary między deskami górnego pokładu, a kilka stoczyło się po schodach i eksplodowało na pokładzie działowym, wypełniając go gorącym dymem prochowym i oślepiającym blaskiem fajerwerków, bolesnym dla oczu. Potem okręt dokończył wreszcie zwrot, w polu widzenia ukazała się fregata i z góry padł rozkaz

otwarcia ognia.

Działa przemówiły i przez długą chwilę ich bezrozumna furia zdawała się wypełniać cały świat: huk, dym i błyski istnie piekielnego ognia zdławiły wszelką myśl. Kiedy umilkły, Laurence podciągnął się do ambrazury i wyjrzał na zewnątrz. Francuska fregata zatoczyła się od ciosu, który na nią spadł. Jej fokmaszt padł ścięty jakąś kulą i przebił kadłub poniżej linii wodnej, tak że każda uderzająca w nią fala wlewała się do środka.

Mimo tego sukcesu na pokładzie Goliatha nie słychać było radosnych okrzyków. Za wycofującą się fregatą przed oczami marynarzy otwierał się rozległy widok na kanał i wszystkie wielkie okręty z blokady, unieruchomione i atakowane, tak jak jeszcze niedawno ich atakowano. Aboukir i potężny siedemdziesięcio-czterodziałowy Sułtan były tak blisko, że można je było rozpoznać: z każdego z nich wznosiły się w górę liny trzymane przez trzy lub cztery smoki, ciężkie i średniej wagi, które niestrudzenie ciągnęły je we wszystkie strony. Z okrętów prowadzono stały, ale nieskuteczny ogień, który nie sięgał unoszących się wysoko smoków.

A między nimi sunęło dostojnie pół tuzina francuskich okrętów liniowych, które w końcu wyszły z portu. Były eskortą ogromnej flotylli, składającej się z ponad stu barek, łodzi rybackich, a nawet tratw wyposażonych w żagle łańskie, wszystkich zapchanych żołnierzami, które niesione korzystnym wiatrem i pływem, powiewając dumnie trójkolorowymi flagami, zmierzały ku brzegom Anglii.

Królewska marynarka była sparaliżowana, więc inwazję mogły powstrzymać tylko smoki z Korpusu, ale francuskie okręty strzelały regularnie w powietrze nad flotyllą czymś podobnym do pieprzu. Było tego jednak o wiele więcej, niż dałoby się wyprodukować z tej przyprawy, a poza tym to coś się paliło. Czerwone, strzelające iskrami fragmenty jarzyły się niczym robaczki świętojańskie na tle czarnej chmury dymu, która wisiała nad statkami, osłaniając je przed powietrznym atakiem. Jedna z łodzi transportowych była tak blisko, że Laurence dojrzał, iż przewożeni na niej ludzie mieli twarze zakryte chustkami i szmatami albo kryli się, zbici w grupki, pod płachtami ceraty. Brytyjskie smoki rozpaczliwie próbowały zanurkować, ale odskakiwały od chmur, przez które nie mogły się przebić, i zrzucały bomby ze zbyt

dużej wysokości: na jedną, która lądowała tak blisko celu, że wzbita przez wybuch fala przynajmniej uderzała w kadłub jakiegoś statku, dziesięć spadało gdzieś daleko. Nękały je też mniejsze francuskie smoki, które latały tam i z powrotem, drwiąc z nich przenikliwymi głosami. Było ich bardzo dużo; Laurence nigdy jeszcze nie widział tylu smoków naraz. Zataczały koła niczym ptaki i zmieniały stale pozycje, przez co nie były łatwym celem dla brytyjskich przeciwników, poruszających się w dużych formacjach.

Na czele jednej z nich leciał jeden wielki Regal Copper, którym mógł być Maksimus: czerwono-pomarańczowo-żółte cielsko było doskonale widoczne na tle niebieskiego nieba. Po bokach miał lecące w dwóch liniach Yellow Reapery, ale Laurence nie dostrzegł w jego pobliżu Lily. Regal wydał tak potężny ryk, że był doskonale słyszalny nawet z tak dużej odległości, po czym przebił się ze swoją formacją przez kilkanaście francuskich lekkich smoków i znalazł się nad jednym z wielkich okrętów Napoleona: jego żagle stanęły w płomieniach, gdyż bomby w końcu trafiły w cel, ale kiedy formacja znowu wzbijała się wyżej, oddalając się od miejsca starcia, z brzucha jednego Reaperów lał się strumień krwi, a drugi leciał przechylony na bok. Garść brytyjskich fregat też mężnie próbowała przemknąć obok francuskich okrętów, żeby zaatakować transportowce: z pewnym powodzeniem, ale były pod ciężkim ostrzałem, i chociaż udało im się zatopić kilkanaście z tych jednostek, płynęły one wszystkie tak blisko siebie, że połowę żołnierzy i tak wyciągnięto z wody na pokłady innych.

- Wszyscy do dział - krzyknął ostrym głosem porucznik.

Goliath skręcał, żeby ruszyć za transportowcami. Dla każdego stało się jasne, że trzeba będzie przepłynąć między Majestuex i Herosem, których salwy burtowe miały w sumie wagę blisko trzech ton. Laurence poczuł, gdy żagle znowu chwyciły wiatr: okręt skoczył do przodu niczym zbyt długo przytrzymywany koń wyścigowy. Dotknął nóg i stwierdziwszy, że krew przestała płynąć, pokuśtykał do dział, przy którym było wolne miejsce.

Na zewnątrz widać było, że pierwsze z transportowców dotarły już do brzegu. Osłaniani przez lekkie smoki żołnierze wytaczali na ziemię armaty, a jeden z nich

wbił w piasek sztandar ze lśniącem złociście w promieniach słońca orłem na górze:
Napoleon w końcu wylądował w Anglii.

Rozdział 2

P

o wysłaniu zapytania Temeraire przekonał się, że perspektywa otrzymania odpowiedzi jest prawie gorsza od niewiedzy; napełniała go lękiem już sama myśl, że jakaś odpowiedź istnieje i że niedługo ją otrzyma. Przedtem wszystko było nierozstrzygnięte: Laurence mógł żyć lub nie, ale dopóki nikt nie poinformował Temeraire'a o jego śmierci, żył przynajmniej po części i na więcej w tej sytuacji nie można było liczyć. W miarę jak mijały kolejne godziny, smok był coraz bardziej przekonany, że pewność jest kiepską nagrodą za ryzyko otrzymania strasznej odpowiedzi. Możliwość, że tak się stanie, nie mógł sobie nawet wyobrazić: za każdym razem gdy tego próbował, ogarniało go uczucie wielkiej pustki, jakby zanurzał się w szarych chmurach, które zasnuły całe niebo, albo gęstej mgle.

Bardzo potrzebował czegoś, co pomogłoby mu się oderwać od tych myśli, ale niczego takiego nie było, może z wyjątkiem rozmów z Perscitią, które były przynajmniej interesujące, chociaż od czasu do czasu także ogromnie go irytowały. Perscitią uważała, że jest genialna, i z pewnością była nadzwyczaj bystra, nawet jeśli nie potrafiła do końca pojąć idei pisma, a od czasu do czasu, ku konsternacji Temeraire'a, wyskakiwała z jakimś dziwnym twierdzeniem, którego nie było w żadnej z przeczytanych przez niego książek i którego w żaden sposób nie mógł obalić ani nawet podać w wątpliwość.

Ale była tak zazdrosna o swoje odkrycia, że wpadała w złość, kiedy Temeraire informował ją o tym, iż któreś z nich zostało już dokonane wcześniej, a poza tym ogromnie drażniła ją hierarchia obowiązująca na terenach rozplodowych, przez którą, jak uważała, jej wybitne zdolności nie doczekały się zasłużonego uznania. Z powodu przeciętnych rozmiarów musiała się zadowolić niewygodną, ciasną polanką na wrzosowisku, na którą narzekała bez końca - nie było z niej ładnego widoku, a jedyną ochroną przed deszczem był niewielki występ skalny.

- To dlaczego nie znajdziesz sobie czegoś lepszego? - zapytał w końcu zirytowany

Temeraire. - Przed nami, w ścianie tego urwiska, jest kilka ładnych jaskiń; jestem pewny, że byłoby ci tam znacznie wygodniej.

- Nie chcę się kłócić - odparła wymijająco i całkowicie nieszczerze. Bardzo lubiła się kłócić, a Temeraire nie rozumiał, jaki to mogło mieć związek z zajęciem pustej jaskini; ale przynajmniej udało mu się zmienić temat.

Jedynym wydarzeniem godnym uwagi było to, że przez tydzień bez przerwy padał deszcz, który niesiony silnym wiatrem wdzierał się do wszystkich jaskiń, doszczętnie uprzykrzając życie ich mieszkańcom. Temeraire był bardzo zadowolony ze swojego przedsięwzięcia, w którym mógł otrząsnąć się z wody i wyschnąć przed wejściem do większej, wygodnej komory. Kilka mniejszych smoków, które żyły w zalanych teraz przez wodę zagłębieniach przy rzece, musiało opuścić schronienia, a kiedy Temeraire zobaczył, jak zabłocone i przemoczone kulą się u podnóża urwiska, ulitował się nad nimi i powiedział, że mogą poczekać w jego jaskini do czasu, aż przestanie padać, o ile najpierw obmyją się z błota. Uradowane, głośno zapewniały go o swojej wdzięczności, a kilka dni potem, kiedy znowu samotny rozmyślał z niepokojem o Laurensie, wylot jego jaskini przesłonił cień.

To był wielki Regal Copper, Requiescat. Pochyliwszy głowę, przeszedł przez przedsiónek i wkroczył, bez zaproszenia, do głównej komory Temeraire'a. Rozejrzał się po jej wnętrzu z wyraźnym zadowoleniem, pokiwał głową i powiedział:

- Jest tak ładna, jak mówili.

- Dziękuję - odparł Temeraire, nieco rozbity przez komplement, chociaż w tej chwili wcale nie pragnął towarzystwa; a potem, przypomniawszy sobie, że powinien być uprzejmy, dodał: - Usiądź, proszę. Przykro mi, że nie mogę cię poczęstować herbatą.

- Herbatą? - powtórzył z roztargnieniem Requiescat, który wyraźnie nie oczekiwał odpowiedzi, gdyż właśnie wtykał nos we wszystkie zakamarki jaskini, a nawet wysuwał język, żeby je powąchać, jakby był u siebie w domu, zauważył z oburzeniem Temeraire.

- Bardzo przepraszam - powiedział chłodno, czując, że kreza zaczęła mu się podnosić. - Obawiam się, że jestem nieprzygotowany na przyjmowanie gości. -

Myślał, że jest to dobry sposób dania Requiescatowi do zrozumienia, iż powinien sobie pójść.

Ale Regal Copper nie zrozumiał aluzji, albo nie chciał jej zrozumieć. Zamiast tego usadowił się wygodnie wzdłuż tylnej ściany jaskini i powiedział:

- Cóż, stary, obawiam się, że musimy się wymienić.

- Wymienić? - powtórzył zdziwiony Temeraire, aż w końcu zrozumiał, że Requiescat ma na myśli jaskinię. - Nie chcę twojej jaskini - dodał pośpiesznie. - Nie żeby nie była ładna, gdyż na pewno jest, ale tę właśnie tak urządziłem, by było mi w niej wygodnie.

- Ta jest dużo większa - wyjaśnił Requiescat, albo, jak można było sądzić z tonu jego głosu, myślał, że wyjaśnia - i o wiele bardziej sucha, kiedy na dworze pada; w mojej - dodał z zalem - przez cały tydzień było dużo kałuż i wszędzie, nawet w najdalszych kątach, czuje się wilgoć.

- W takim razie nie widzę powodu, dlaczego miałbym się wymienić - odrzekł Temeraire, wciąż bardziej zakłopotany niż zły, po czym, gdy w końcu zrozumiał, że przybysz mówi serio, wyprostował się, oburzony i zaskoczony, a jego kreza całkowicie się rozłożyła. - Ty bezczelny łachudro! Przychodzisz tu, udajesz gościa, a przez cały czas zamierzasz rzucić mi wyzwanie? Wżyciu nie widziałem czegoś równie wrednego. Myślę, że tylko Lien byłaby zdolna zrobić coś podobnego - dodał uszczypliwie - a ty masz się wynosić, natychmiast. Jeśli chcesz mieć moją jaskinię, możesz spróbować mi ją odebrać; spotkam się z tobą, kiedy zechcesz: teraz lub jutro o świcie.

- Spokojnie, nie gorączkuj się tak - odparł uspokajająco Requiescat. - Widzę, że jesteś jeszcze bardzo młody. Wyzwanie, też mi coś! To nic w tym rodzaju. Jestem najbardziej zgodnym, najspokojniejszym gościem na świecie i nie chcę już walczyć. Przepraszam, jeśli przedstawiłem to niezręcznie. Nie chodzi o to, że chcę ci odebrać jaskinię, tylko widzisz - Temeraire niczego nie widział - to jest kwestia zachowania pozorów. Jesteś tu zaledwie od miesiąca, a już masz najładniejszą jaskinię, chociaż wcale nie jesteś największy. - Ostatnie słowa wymówił głosem, w którym pobrzmiwał ton lekkiej wyższości, gdyż rzeczywiście był większy od niemal

wszystkich smoków, jakie Temeraire widział w życiu, jeśli nie liczyć Maksimusa i Laetificat. - Mamy tu nasze sposoby załatwiania spraw tak, żeby wszyscy czuli się dobrze. Nikt nie chce żadnych walk, które zakłócałyby nasz spokój, nie wtedy, kiedy nie jest to konieczne. Ktoś, kto chciałby się bić z powodu wymiany jaskiń, zwłaszcza gdy obie są tak duże i ładne, że powinny zadowolić każdego, udowodniłby, że ma paskudny charakter. Hierarchia musi być jednak zachowana.

- Bzdury - odpowiedział Temeraire. - Myślę, że stałeś się już tak leniwy, skoro wszystkie posiłki podsuwają ci pod nos i nie masz nic do roboty, że nie chce ci się nawet należycie zastraszać innych; a może - dodał, postanawiając zachować się naprawdę obraźliwie - jesteś po prostu tchórzem i pomyślałeś, że ja nim też jestem. Otóż nie jestem i nie oddam ci mojej jaskini, niezależnie od tego, co zrobisz.

Requiescat nie rozzłościł się, tylko pokręcił smętnie głową.

- Cóż, nie jestem zbyt wymowny i dlatego dołożyłem wszelkich starań, żeby ci to wszystko wyjaśnić, ale ty się tylko nastroszyłeś. Myślę, że będziemy musieli stanąć razem przed radą, gdyż sam mi nigdy nie uwierzysz. To kłopot, ale w końcu masz do tego prawo. - Podniósł się i dodał irytująco pobłażliwym tonem: - Do tego czasu możesz zatrzymać to miejsce; powiadomienie wszystkich zajmie mi dzień lub dwa. - Po tych słowach wyszedł, zostawiając Temeraire'a dygoczącego z wściekłości.

- Jego jaskinia jest najprzyjemniejsza - powiedziała z niepokojem Perscitia później tego samego dnia - a przynajmniej tak zawsze myśleliśmy; jestem pewna, że by ci się spodobała, a może mógłbyś ją nawet przerobić na jeszcze wygodniejszą od tej. Dlaczego nie obejrzyj jej najpierw, zanim zaczniesz z nim wojować?

- Nie chciałbym jej, nawet gdyby była jaskinią Ali Baby, pełną złota i lamp - odparł Temeraire, nie próbując opanować gniewu; lepiej było być złym niż nieszczęśliwym i nawet się cieszył, że może teraz myśleć o czymś innym niż o tym, na co nie miał żadnego wpływu. - To kwestia zasad. Nie dam się zastraszyć i jego waga nie ma tu nic do rzeczy. Jestem pewny, że jeśli przerobię tę drugą jaskinię i uczynię z niej przyjemne miejsce, on znowu będzie chciał mi ją odebrać; albo jakiś inny smok spróbuje mnie z niej wypchnąć. Nie, dziękuję. Kto jest w radzie?

- Wszystkie największe smoki - odpowiedziała Perscitia - i jeden Longwing,

choć Gentius raczej nie zawraca sobie już głowy przychodzeniem na posiedzenia.

- I wszyscy są jego przyjaciółmi, jak przypuszczam - mruknął w zadumie Temeraire.

- Nikt zbytnio nie lubi Requiescata - wtrącił Moncey, który przysiadł na krawędzi wylotu jaskini Temeraire'a. - Je bardzo dużo i nigdy nie bierze mniej, nawet gdy są jakieś braki. Ale on jest największy i dlatego nie powinno być walk. Jest taka ogólna zasada, że jeśli wybuchnie kłótnia, jaskinię dostaje silniejszy i nikomu nie wolno zajmować miejsca, które nie odpowiada jego statusowi, bo innych ogarnie zazdrość i zaczną się sprzeczać.

- Widzisz, jest tak, jak ci mówiłam - powiedziała gorzko Perscitia. - To wszystko jest niesprawiedliwe, jakby jedynym kryterium oceny czyjejsz pozycji mogła być waga lub to, jak dobry ten ktoś jest w kłótniach i wywoływaniu awantur, a nie wzgląd na naprawdę niezwykle przymioty ducha.

- Zgodzę się, że to może mieć jakiś sens - odparł Temeraire - jeśli chodzi o wybór jaskiń; ale nonsensem jest to, że kiedy już sobie wziąłem jedną, on miałby mi ją odebrać, po tym, jak zadałem sobie tyle trudu, by uczynić ją wygodną. Zwłaszcza że mógł ją zająć w każdej chwili przed moim przybyciem, ale tego nie chciał. A poza tym on wcale n i e jest ode mnie silniejszy, nawet jeśli więcej waży. Chciałbym wiedzieć, czy potrafiłby sam zatopić fregatę, gdyby miał Fleur-de-Nuita na karku; jest też między nami taka różnica, że kiedy moi przodkowie byli uczonymi w Chinach, jego głodowali w dołach wygrzebanych w ziemi.

- Możliwe, ale on zna całą radę, a ty nie - powiedział roztropnie Moncey. - Nie będziesz się przecież bił z tuzinem ciężkich smoków naraz i, nie obraż się, ale nikt na twój widok nie powie, że oto jest godny przeciwnik dla starego Requiescata: nie żebyś był mały, ale wyglądasz na nieco zbyt chudego.

_ Naprawdę? - zapytał Temeraire i wyciągnął z niepokojem szvję do tyłu, żeby popatrzeć na siebie. Nie miał kolców wzdłuż grzbietu jak Maksimus i Requiescat, ale był smukły, choć według standardów brytyjskich może nieco zbyt długi jak na swoją wagę. - Może i tak, ale on nie zionie ogniem ani nie pluje kwasem.

- A ty zioniesz lub plujesz? - zainteresował się Moncey.

- Nie - odparł Temeraire - ale potrafię wywołać boski wiatr; Laurence powiedział, że to jest nawet lepsze. - Poniewczasie przyszło mu jednak do głowy, że kiedy Laurence to mówił, mógł być nieobiektywny; bez wątpienia na Monceyu i Percitii jego słowa nie zrobiły żadnego wrażenia, a on nie bardzo wiedział, jak im wyjaśnić mechanizm tego zjawiska. - Ryczę, w taki szczególny sposób... Muszę najpierw bardzo głęboko zaczerpnąć powietrza, po czym pojawia się takie wrażenie ucisku w całym gardle, i wtedy... i wtedy mój głos łamie rzeczy; drzewa i tak dalej - dokończył cicho, zawstydzony, gdyż uświadomił sobie, że tak opisana umiejętność mogła się wydać nieciekawa i całkowicie bezużyteczna. - To bardzo nieprzyjemne znaleźć się w jego zasięgu - dodał obronnym tonem - a przynajmniej tak sędę na podstawie zachowania tych, którzy byli przede mną, kiedy wywoływałem ten wiatr.

- Jakie to interesujące - powiedziała uprzejmie Percitia. - Często zastanawiałam się, czym tak naprawdę jest głos; powinniśmy przeprowadzić kilka eksperymentów.

- Eksperymenty nie pomogą ci w starciu z radą - rzekł Moncey.

Temeraire machnął ogonem w zadumie, a potem powiedział z niesmakiem:

- Nie, nie pomogą. Rozumiem: to wszystko polityka. Tak, to dla mnie jasne: muszę wymyślić, co w tej sytuacji zrobiłaby Lien.

Następnego ranka dopadł Lloyda i powiedział:

- Lloyd, jestem dziś bardzo głodny; czy mogę dostać dodatkową krowę, którą mógłbym zabrać do mojej jaskini?

- Proszę, to mi się bardziej podoba - odparł z aprobatą Lloyd, który wcale nie był głuchy na prośby odpowiadające jego wyobrażeniom o hodowli smoków. Wydał od razu odpowiednie polecenie i kiedy czekali na jego wykonanie, Temeraire niby mimochodem, jakby chciał rozpocząć luźną rozmowę, zapytał:

- Czy przypadkiem nie pamiętasz, kogo spłodził Gentius?

Stary Longwing otworzył załzawione oko, kiedy Temeraire wylądował obok niego, i popatrzył na niego bez większego zaciekawienia.

- Tak? - zapytał.

Jego jaskinia, choć niezbyt wielka, była wygodnym i suchym zagłębieniem w zboczu góry. Znajdowała się na wyżej położonym terenie, górując nad zakolem

strumienia, tak że stary smok nie musiał nigdzie latać, kiedy poczuł pragnienie, tylko po prostu spełzał na dół, po czym wracał na wielką, płaską i zwykle nasłonecznioną skałę, na której właśnie drzemał.

- Przepraszam, że nie wpadłem do ciebie wcześniej z wizytą - zaczął Temeraire, przechylając głowę. - Przez ostatnie trzy lata służyłem z Ekscidiumem w Dover... twoim trzecim potomkiem - dodał, kiedy Gentius popatrzył na niego z roztargnieniem.

- Tak, Ekscidium, oczywiście - odparł Longwing i wyciągnawszy język, polizał eksperymentalnie powietrze, żeby zebrać zapachy z otoczenia. Temeraire położył przed nim zabita krowę, z której Moncey usunął swoimi małymi pazurami wszystkie większe kości.

- Drobny prezent jako oznaka mojego szacunku - powiedział.

Gentius się rozpromienił.

- Ach, to tres gentil z twojej strony - odparł z okropnym akcentem, którego Temeraire omal nie poprawił, ale w porę się powstrzymał. Gentius wziął krowę do pyska i zaczął ją wolno przeżuwać swymi nielicznymi i chwiejącymi się zębami. - To bardzo uprzejme, jak lubiła mawiać moja pierwsza kapitan - wymamrotał tonem świadczącym o tym, że pograża się we wspomnieniach. - Możesz wejść do środka i przynieść jej portret _ dodał - jeśli będziesz się z nim bardzo ostrożnie obchodził.

Portret był dosyć kiepski, a przedstawiona na nim kobieta musiała być bardzo pospolita, nawet zanim jej wizerunek wyblakł na skutek działania czasu i warunków atmosferycznych. Wrażenie poprawiała jednak naprawdę wspinała złota rama, w którą był oprawiony, tak wielka i gruba, że Temeraire mógł ją ująć delikatnie dwoma pazurami i wynieść na słońce.

- Jaki piękny - rzekł szczerze, trzymając obraz tak, żeby Gentius mógł na niego popatrzeć, chociaż swymi zmętniałymi na skutek zaćmy oczami widział zapewne tylko barwną plamę w złotym prostokącie.

- Czarująca kobieta - powiedział ze smutkiem Gentius. - Dała mi pierwszy kawałek mięsa, świeżą wątrobę, kiedy moja głowa nie była większa od jej dłoni. Pierwszy kapitan na zawsze zostaje w twoim sercu, wiesz?

- Tak - odparł cicho Temeraire i odwrócił z przygnębieniem głowę; Gentiusowi przynajmniej nikt jej nie odebrał i nie uwięził nie wiadomo gdzie.

Kiedy odniósł, równie ostrożnie, portret na miejsce i wysłuchał długiej opowieści o jednej z wojen, w której walczył Gentius - jakieś walki z Prusakami, podczas których wynaleziono działa pieprzowe: bardzo nieprzyjemne rzeczy, zwłaszcza gdy nikt się ich wcale nie spodziewał - stary smok był już tak pełen życzliwości wobec niego, że pokiwał surowo głową, oceniając zachowanie Requiescata, i powiedział:

- Dzisiaj nikt już nie ma dobrych manier, o to tu chodzi.

- Cieszę się, że to powiedziałaś: sam też tak pomyślałem, ale ponieważ jestem jeszcze bardzo młody, nie byłem pewny siebie, gdyż brakowało mi rady kogoś mądrzejszego, kogoś takiego jak ty - odparł Temeraire, a potem, jakby doznał nagłego olśnienia, dodał: - Nie można wykluczyć, że następnie zaproponuje, by każdy, kto ma jakiś skarb, który mu się spodoba, złoto lub klejnoty, oddał mu go.

To rzeczywiście wystarczyło, żeby poruszyć Gentiusa, właściciela tak pięknego skarbu.

- Tak, to do niego podobne - powiedział ponuro. - Oczywiście nie możemy pozwolić, żeby Winchestery zajmowały jaskinie nadające się dla Regal Copperów, gdyż nie byłoby końca kłopotom i kłótniom, i prędzej czy później zaangażowałyby się w to ludzie, którzy wszystko by jeszcze bardziej pogmatwali... wiesz, że oni jakoś doszli do wniosku, że Reapery są mniej przydatne od Anglewingów, ponieważ jest ich więcej i mają klanową mentalność, choć jest zupełnie odwrotnie; i wyznają jeszcze dużo więcej równie dziwnych poglądów. Ale to nie to samo co odbieranie jaskini, która jest idealnie odpowiednia dla twojej wagi i pozycji. - Przerwał na chwilę, po czym zapytał delikatnie: - Domyślam się, że nie miałaś jeszcze własnej formacji, prawda?

- Nie - odparł Temeraire - w każdym razie nie oficjalnie; chociaż Arkady i inni walczyli pod moimi rozkazami, i latałem skrzydło w skrzydło z Maksimusem: on jest potomkiem Laetificat.

- Laetificat, tak; wspaniała smoczyca - powiedział Gentius. - Służyłem z nią, wiesz? W siedemdziesiątym szóstym. Wdaliśmy się w bójkę z kolonistami w

Bostonie. Oni ustawili działa nad naszymi pozycjami...

Kiedy i ta opowieść dobiegła końca, Temeraire uzyskał od Gentiusa obietnicę, że weźmie on udział w posiedzeniu rady, i wrócił do swojej jaskini bardzo zadowolony z wyniku pierwszych starań o zyskanie sojuszników.

- Kto jeszcze jest w radzie? - zapytał.

Kiedy Perscitia zaczęła wymieniać imiona, Reedly, pół-Winchester z żółtymi pasami na skórze, pisnął z wnętrza komory:

_ Powinieneś porozmawiać z Majestatisem.

Perscitia natychmiast się najeżyła.

- Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby to robić. Majestatis jest bardzo zwyczajnym smokiem; a poza tym nie należy do rady.

- Dopilnował, żebym dostawała jedzenie, kiedy wszyscy chorowaliśmy i zaczynało go brakować - dorzuciła z drugiej strony Minnow, dzika smoczyca z domieszką krwi Grey Coppera, Sharp-spittera, a nawet małego Garde-de-Lyon, dzięki której miała jaskrawopomarańczowe oczy i niebieskie cętki na burej skórze.

Rozległ się cichy pomruk na znak zgody. Wjaskini Temeraire'a stopniowo zebrała się gromada smoków pragnących oferować mu rady i poparcie. Oprócz wielu mniejszych, tych, którym udzielił kiedyś schronienia oraz ich znajomych, żywo zainteresowanych jego sprawą, przybyło też немало innych, które miały jakieś prawdziwe lub urojone pretensje do Requiescata.

- A nie należy do rady tylko dlatego, że tego nie chciał; jest Parnassianem - dodała Minnow, zwracając się do Temeraire'a.

- Nawet gdyby był Flamme-de-Gloire'em, nie miałoby to żadnego znaczenia - odparła chłodno Perscitia - ponieważ przez cały czas jedynie śpi.

Moncey szturchnął głową Temeraire'a i mruknął:

- Wytknął jej raz błąd, sześć lat temu.

- To był tylko błąd rachunkowy! - zaprotestowała gorąco Perscitia. - Sama bym go szybko znalazła, tylko że byłam zajęta znacznie ważniejszym problemem...

- Gdzie on mieszka? - przerwał jej Temeraire; był przekonany, że każdy, kto nie ma czasu na politykę, musi być niegłupi.

Majestatis rzeczywiście spał, kiedy Temeraire przyleciał go odwiedzić; jego jaskinia, niezbyt wielka, znajdowała się dość daleko, ale Temeraire zauważył, że wzdłuż tylnej ściany wznosił się stos starannie ułożonych kamieni, które zasłaniały widok jej wnętrza; kiedy rozszerzył źrenice tak bardzo, jak tylko mógł, wydało mu się, że dostrzegł za nimi ciemniejszy obszar, jakby było tam przejście wiodące w głąb góry.

Zwinął się w kłębek i czekał cierpliwie, jak nakazywała grzeczność; ale w końcu, kiedy doszedł do wniosku, że nic nie wskazuje na to, iż gospodarz zamierza się obudzić - po jakichś dziesięciu minutach, a może pięciu... prawie pięciu - kaszlnął; potem kaszlnął jeszcze raz, nieco bardziej stanowczo, i Majestatis westchnął, po czym, nie otwierając oczu, powiedział:

- Widzę zatem, że z własnej woli nie odejdziesz.

- Ach - odparł Temeraire, podnosząc krezę - myślałem, że tylko śpisz, a nie że celowo mnie ignorujesz; już idę.

- Hm, równie dobrze możesz teraz zostać, - powiedział Majestatis, unosząc głowę i ziewając potężnie. - Nie lubię być budzony, jeśli sprawa nie jest na tyle ważna, by warto było trochę poczekać, to wszystko.

- To sensowne, jak sądzę, jeśli bardziej lubisz spać niż rozmawiać - odpowiedział z powątpiewaniem Temeraire.

- Za kilka lat też to polubisz - rzekł Majestatis.

- Nie, nie sądzę, żeby tak się stało - odparł Temeraire. - W każdym razie w Dialogach można przeczytać, że smok nie śpi więcej niż czternaście godzin na dobę, więc raczej nie polubię; chyba że - dodał smętnie - wciąż będę zamknięty tutaj, gdzie nie ma nic do roboty.

- Jeśli tak myślisz, to dlaczego jesteś tutaj, a nie w jednej z kryjówek? - zapytał Majestatis. Wysłuchał wyjaśnień z tym samym powierzchownym współczuciem, którego Temeraire zaczął się już spodziewać po każdym z mieszkańców terenów rozplodowych, i nie wyraził żadnej opinii, poza skinieniem głową i słowami: - Miałeś pecha, biedaku.

_ A dlaczego ty się tu znalazłeś? - ośmielił się zapytać Temeraire. - Nie jesteś

bardzo stary; czy naprawdę lubisz tak dużo spać? Mógłbyś mieć kapitana i brać udział w bitwach.

Majestatis wzruszył jednym skrzydłem, rozłożył je, a potem znowu złożył.

- Miałem jednego, ale gdzieś mi się zapodział.

- Zapodział? - powtórzył ze zdziwieniem Temeraire.

- Cóż - powiedział Majestatis - zostawiłem go w korycie do pojenia zwierząt, ale pewnie już w nim nie siedzi, więc nie mam pojęcia, gdzie teraz jest.

Wysłuchał opowieści Temeraire'a bez większego współczucia, po czym westchnął i powiedział:

- Jesteś zbyt młody, żeby robić z tego tak wielką sprawę.

- Jeśli nawet i jestem - odparował Temeraire - to przynajmniej nie popadłem w samozadowolenie i nie mam zamiaru godzić się z takim zastraszaniem, kiedy mogę coś z tym zrobić; nie zadowolę się także - dodał, patrząc wymownie w głąb jaskini Majestatisa - poprawieniem tylko mojej sytuacji.

Majestatis zmrugał oczy, ale poza tym nawet nie drgnął.

- Wydaje mi się, że najpewniej pogorszysz sytuację wszystkich innych. Teraz przynajmniej nie ma żadnych zatargów i nikomu nie dzieje się krzywda.

- Nikt też nie czuje się zbyt dobrze - odparł Temeraire. - Wszyscy możemy żyć wygodniej, ale nikt nie będzie się starał ulepszyć domu, jeśli wie, że w każdej chwili może go stracić i to właśnie z tego powodu, że stał się ładniejszy. Gdy już się wprowadzasz do jakiejś jaskini, powinna ona należeć do ciebie, jakby była twoją własnością.

Rada wysłuchiwała tego argumentu z powątpiewaniem, kiedy następnego ranka Temeraire powtórzył to całemu gronu, które zebrało się na wielkiej polanie między górami, pełnej gładkich, płaskich i przyjemnie nagranych przez słońce skał: silny zachodni wiatr przewiał resztkę deszczowych chmur z nieba które lśniło zimowym błękitem. Majestatis jednak przybył, poJ dobie jak Gentius, chociaż stary smok, zmęczony lotem, który kosztował go wiele wysiłku, głównie spał, zwinięty na najczarniejszej ze skał, i tylko pomrukiwał coś do siebie od czasu do czasu.

Requiescat, rozwalony nieelegancko na połowie długości polany, starał się wyglądać na jak największego. Temeraire zlekceważył tę demonstrację i sam zwinął się porządnie w kłębek, rozłożywszy dumnie krezę; i chociaż w duchu żałował, że nie ma pochew na pazury albo jednego z tych diademów, które widział na targowiskach wzdłuż Jedwabnego Szlaku, był pewny, że robi na innych wrażenie.

Ballista, wielka Chequered Nettle, uderzyła w ziemię kilka razy kolczastym ogonem, żeby uciszyć szmer głosów, który podniósł się w połowie wystąpienia Temeraire'a.

- A jeśli się zgodzimy - ciągnął Temeraire, brnąc dzielnie dalej w obliczu takiego sceptycyzmu - że wszyscy mogą zatrzymać jaskinie, kiedy już je dostali, chętnie pokażę każdemu sztuczkę, dzięki której można je ulepszyć; żebyście wszyscy mieli wygodniejsze i przyjemniejsze miejsca do mieszkania, jeśli tylko zadacie sobie trochę trudu, by je takimi uczynić.

- Bawienie się gałęziami i kamieniami jest na pewno bardzo przyjemne - odezwał się opryskliwym tonem jeden ze starszych Parnassianów - kiedy się jest roczniakiem.

Rozległo się kilka pomruków aprobaty, co tak zirytowało Temeraire'a, że się najeżył i rzucił gniewnie:

- Jeśli wam się nie chce i jesteście zadowoleni ze swoich jaskiń, to nie musicie tego robić; ale nie powinniście w takim razie zabierać domów innym, kiedy już wykonali całą pracę. Ja na pewno nie pozwolę się obrabować, jakbym był jakimś niezgłą; prędzej sam rozwalę tę jaskinię i uczynię ją niezdatną do zamieszkania, niż potulnie ją oddam.

Spokojnie! - ucięła Ballista. - Nie ma powodu, żeby krzyczeć o rozwalaniu czegokolwiek i rzucać groźby; dosyć tego. Teraz wysłuchamy Requiescata.

Hm, swarliwy z niego młodzieniec, prawda? - rozpoczął Requiescat. - Cóż, znanie mnie wszyscy i wiecie, że nie lubię się przechwalać, ale nie spodziewam się, by ktoś powiedział, iż nie mogę sobie wziąć jakiejś jaskini, jeśli mi się podoba. Nie jestem kłótniwy i nie lubię nikogo krzywdzić, ale tak porywcze- mu młodziakowi jak ten tutaj może się przydarzyć, że ugryzie większą walnę, niż zdoła przełknąć...

- Och! - przerwał mu z oburzeniem Temeraire. - Nie możesz twierdzić czegoś

takiego, jeżeli nie chcesz tego udowodnić; pobiłem już smoki niemal tak wielkie jak ty.

Requiescat pokręcił wielką głową.

- Czy nie jest prawdą, że smoków twojej rasy nie hoduje się z myślą o walce? Persy wszędzie o tym rozpowiada.

Perscitia krzyknęła gniewnie: „Ja nigdy”, ale natychmiast umilkła, powstrzymana przez inne siedzące wokół niej małe smoki, które wystraszyło krytyczne spojrzenie Ballisty.

- Niebiańskie - powiedział bardzo spokojnie Temeraire - to najlepsza i najszlachetniejsza ze smoczyczych ras. W Chinach nie wolno nam walczyć, chyba że cały kraj jest w niebezpieczeństwie, ponieważ jest tam dużo więcej smoków niż tutaj, a my jesteśmy zbyt cenni, by narażać nas na niebezpieczeństwo. Dlatego walczymy tylko w wyjątkowych sytuacjach, kiedy zadanie przerasta siły zwykłych smoków bojowych.

- Ach tak, Chiny - odparł lekceważąco Requiescat. - Tak czy owak, przyjaciele, jest to jasne jak słońce. Ja mówię, że jestem najlepszy i powinienem mieć najlepszą jaskinię; on twierdzi, że tak wcale nie jest i mi jej nie odda. Zwykle nie byłoby innego sposobu rozwiązania tego problemu poza bójką i wtedy ktoś by ucierpiał, a wszyscy byliby zdenerwowani. To właśnie do rozstrzygnięcia takich spraw zawiązano radę i spodziewam się, że dla każdego z was powinno być zupełnie oczywiste, kto z nas ma rację, bez sięgania po argument siły.

- Nie mówię, że jestem „najlepszy” - powiedział Temeraire - chociaż niewykluczone, że tak właśnie jest; mówię natomiast, że jaskinia jest moja i to niesprawiedliwe, że chcesz mi ją zabrać. To właśnie temu powinna służyć rada: sprawiedliwości, a nie gnębieniu wszystkich tylko dlatego, żeby największym smokom było jak najlepiej.

Rada, składająca się z największych smoków, nie przyjęła jego słów z nadmiernym entuzjazmem. Ballista odpowiedziała:

- No dobrze; wysłuchaliśmy obu stron. A teraz posłuchaj, Temeraire... - wymówiła jego imię błędnie, „Timurir” - nie chcemy tu zamieszania i kłopotów...

- Nie rozumiem dlaczego - przerwał jej Temeraire. - Co innego mamy do roboty?

Kilka mniejszych smoków zachichotało nerwowo, szeleszcząc skrzydłami. Ballista popatrzyła na nie, chrząknęła ostrzegawczo i kontynuowała:

- W każdym razie nie chcemy tu żadnych walk. Może pokaż nam, jak lataasz, żebyśmy wiedzieli, co potrafisz, a my potem rozstrzygniemy tę sprawę.

- Ale tu nie o to chodzi - zaprotestował Temeraire. - Gdybym był tak mały jak Moncey... - Rozejrzał się, ale Monceya nie było pośród małych smoków śledzących przebieg posiedzenia rady, więc się poprawił. - Nawet gdybym był tak mały jak siedząca tam Minnow, nie powinno to mieć żadnego znaczenia. Zanim zająłem tę jaskinię, nikt jej nie używał, nikt nie chciał.

Requiescat machnął lekko skrzydłami.

- Bo przedtem nie była ładna - wyjaśnił rzeczowo.

Temeraire prychnął gniewnie, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Ballista rzuciła niecierpliwie:

Tak, tak; pokaż nam zatem, co potrafisz, chyba że nie chcesz, byśmy to zobaczyli.

Te^o było już za wiele. Temeraire wzbił się w powietrze i wzniósł się spiralnie w górę tak szybko, jak tylko mógł. Kiedy znalazł się na odpowiedniej wysokości, zanurkował i zaczął wykonywać ćwiczenia formacji, myśląc przy tym z goryczą, że to powinno ich zadowolić. Po wykonaniu jednego z przelotów, zaczął bić skrzydłami do tyłu i zatrzymał się niemal w miejscu, po czym poruszając się tyłem, powtórzył manewry, a na koniec, zanim zleciał prosto na dół, zawisł na jakiś czas w powietrzu: oczywiście się popisywał, ale przecież oni tego chcieli. Po wylądowaniu oświadczył:

- Pokażę wam teraz boski wiatr, ale musicie się najpierw odsunąć od tej skalnej ściany, ponieważ spodziewam się, że duża jej część osunie się na dół.

Duże smoki gderały i narzekały, kiedy oddalały się na bezpieczną odległość, ciągnąc za sobą ogony; Temeraire, ignorując ich pełne irytacji spojrzenia, wziął kilka bardzo głębokich wdechów, od których jego klatka piersiowa i boki napęczniały powietrzem: miał zamiar poczynić tak wielkie szkody, jak tylko to było możliwe. Jednak poniewczasie zauważył z niepokojem, że ściana skalna, którą wskazał,

wyglądała na bardzo solidną, zupełnie nie naruszoną procesem erozji, a co więcej, nie był to miękki, biały wapień z jego jaskini, który tak łatwo się kruszył. Podszedł do niej i podrapał pazurami; na szarej powierzchni kamienia zostały tylko ledwie widoczne ślady.

- No i jak? - zapytała Ballista. - Wszyscy czekamy.

Nic nie można już było na to poradzić; Temeraire odsunął się od urwiska, wciągnął do płuc powietrze i wtedy z góry dobiegł go łopot szybko poruszających się skrzydeł. Chwilę później na polanie obok niego wylądował Moncey i ciężko dysząc, krzyknął do Ballisty:

- Odwołaj to, odwołaj.

- Hej, co jest? - zapytał Requiescat, krzywiąc się z niezadowoleniem.

- Zamknij się, ty tłusty tępaku - rzucił Moncey, wywołując ogólne zdumienie, gdyż był niewiele większy od głowy Regal Coppera. - Właśnie przyleciałem z Brecon: żabojady przepawiły się przez kanał.

Podniósł się gwar podnieconych głosów; nawet Gentius się zbudził z cichym sykiem, a kiedy wszyscy mówili naraz i przekrzykiwali się, Moncey odwrócił się do Temeraire'a i powiedział:

- Posłuchaj, mówi się, że twojego Laurence'a zamknęli na okręcie o nazwie Goliath...

- Goliath\ - krzyknął Temeraire. - Znam ten okręt; Laurence mówił mi o nim. To bardzo dobrze... wspaniale; to jeden z okrętów biorących udział w blokadzie. Wiem, gdzie jest, w przybliżeniu, i jestem pewny, że każdy w Dover może mi powiedzieć dokładnie...

- Stary, żałuję, że muszę cię o tym powiadomić - przerwał mu Moncey - ale nie ma żadnego dobrego sposobu przekazania takiej wiadomości. Żabojady zatopiły Goliatha dziś rano, podczas przeprawy. Poszedł na dno z całą załogą; nikt się nie uratował.

Temeraire nie powiedział ani słowa; narastało w nim straszne napięcie, które pięło się w górę jego gardła. Odwrócił na oślep głowę, żeby dać mu upust i z pyska wyrwał mu się tak ogłuszający ryk, jakby tuż nad ich głowami zahuczał grzmot. Wszystkim wokół niego słowa uwięzły w gardłach, a wierzchnie warstwy skalnej ściany, przed

którą stał, popękały i rozpadły się na kawałki niczym rozbite lustro.

Rozdział 3

W

płynęli na okrętowych szalupach do portu w Dover po jedenastej w nocy, spoceni pod chłodnymi, mokrymi ubraniami, z dłońmi pokrytymi pęcherzami od wiosłowania. Kiedy drżąc z wyczerpania, wgramolili się na nabrzeże, kapitana Pugeta, który z upływu krwi niemal całkowicie stracił przytomność, natychmiast odniesiono w lektyce, a na miejscu został tylko porucznik Frye, dziewiętnastolatek, który musiał przejąć dowództwo, gdyż wszyscy starsi oficerowie zginęli. Frye spojrział niepewnie na Laurence'a i popatrzył pytająco na swoich ludzi. Jednak oni, wyczerpani wiosłowaniem i przygnębieni klęską, siedzieli w milczeniu ze spuszczoneymi głowami i niczego mu nie poradzili. W końcu Laurence przerwał krępującą ciszę i podpowiedział cicho młodzieńcowi:

- Komendant portu.

Porucznik poczerwieniał, odchrząknął i powiedział do tykowanego midszypmena:

- Zaprowadzi pan więźnia do komendanta portu, panie Meed, i niech on zdecyduje, co należy z nim zrobić.

Pod strażą dwóch żołnierzy piechoty morskiej Laurence poszedł z Meedem nadbrzeżnymi uliczkami do siedziby komendanta portu, gdzie, jak się natychmiast przekonali, panował niemal taki zamęt, jak na pokładzie Goliatha w jego ostatnich chwilach, tuż po tym, gdy dwie salwy burtowe pozbawiły go masztów: wszędzie był gęsty dym, na całym okręcie szalały pożary, wolno, ale stale zbliżając się do magazynu prochu, a zerwane z uwięzi działa przetaczały się tam i z powrotem, miażdżąc wszystko, co znalazło się na ich drodze. Natomiast na korytarzach komendantury portu roило się od ludzi, którzy przerzucali się najróżniejszymi niesprawdzonymi wiadomościami i spekulacjami.

- Wylądowało pięćset tysięcy ludzi - powiedział jeden, co było absurdalną liczbą, rozdętą przez panikę, która wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem.

- Już są w Londynie - dodał inny - i przejęli statki wartości dziesięciu milionów. - Tylko ta ostatnia wiadomość brzmiała dość wiarygodnie. Jeśli Bonaparte zdobył

jeden lub dwa z portów przy ujściu Tamizy, to rzeczywiście mógł przechwycić w nich statki handlowe o takiej lub zbliżonej wartości. Byłaby to ogromna zdobycz, która podsyciłaby siły rozpoczętej już inwazji niczym węgiel dorzucony do pieca.

- Nie obchodzi mnie, czy go wyprowadzicie gdzieś za róg i strzelicie mu w łeb, byleby mi tylko zniknął z oczu - rzucił z wściekłością komendant portu, kiedy Meed zdołał w końcu przecisnąć się przez tłum i zapytać o rozkazy; zza okien dobiegał ryk jakby wiatru podczas gwałtownej burzy, choć noc była spokojna. Obok nich przepychało się rozpaczliwie coraz więcej petentów i Laurence musiał w końcu chwycić Meeda za ramię, żeby nie zostali rozdzieleni przez ciżbę: chłopiec nie mógł mieć więcej niż czternaście lat i był trochę niedożywiony.

Niesiony przez tłum Meed wydawał się zupełnie bezradny. Laurence zaczął się już zastanawiać, czy nie powinien sam znaleźć sobie więzienia i zamknąć się w nim, ale właśnie wtedy przepchnął się do niech młody porucznik, który rzucił mu spojrzenie pełne pogardy i powiedział:

_ To jest ten zdrajca, tak? Ruszajcie za mną, a wy dwaj trzymajcie go mocno, do cholery, żeby wam nie umknął w tym tłoku.

Podniósł pałkę pozostawioną przypuszczalnie przez któregoś z werbowników i wymachując nią energicznie, oczyścił im drogę i wyprowadził na ulicę. Zaprowadził ich potem do stojącego dwie ulice dalej starego, zapuszczonego domu z kratami w oknach i uwiązany na pustym podwórku mastysem, który wył ponuro, dodając swój głos do wrzawy niespokojnego, coraz bardziej burzącego się na ulicach tłumu. Łomotanie do drzwi przywołało pana domu, którego jękliwie sprzeciwił porucznik odrzucił jeden po drugim, a na koniec wepchnął się po prostu do środka.

- To się nada - powiedział chłodnym tonem do Laurence'a, kiedy gospodarz zaprowadził ich do małego, nędznego pomieszczenia na poddaszu i otworzył drzwi. - I tak jest dla ciebie za dobre.

Był drobnym młodzieńcem, który dopiero zapuszczał wąsa, i wystarczyłoby go mocniej pchnąć, żeby wylądował na brudnej podłodze. Laurence mierzył go przez chwilę spojrzeniem, po czym wszedł do środka, pochylając się, żeby nie uderzyć głową w nadproże. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem, a przez ścianę usłyszał

jeszcze, że porucznik rozkazuje obu żołnierzom piechoty morskiej pozostać na straży, a właściciel domu, który zszedł za nieproszonymi gośćmi po schodach, wciąż narzeka.

Było bardzo zimno. Przyzwyczajony do kołysania okrętu Laurence czuł się dziwnie, kiedy stąpił po nierównej podłodze z krzywych, sękatych desek. Przez okienko wielkości chusteczki do nosa zamiast powietrza i światła wpadał teraz zapach dymu oraz czerwony blask odbity od dachów domów.

Laurence usiadł na wąskim łóżku i popatrzył na ręce. Do tego czasu walki rozgorzały już pewnie wzdłuż całego wybrzeża: najeźdźcy wylądowali w Deal i prawdopodobnie w innych miejscach dalej na północ, wokół ujścia Tamizy. Nie w liczbie pięciuset tysięcy, nic podobnego, ale wystarczającej. Do utworzenia umocnionych przyczółków nie potrzeba bardzo wielkich oddziałów piechoty, a po ich utworzeniu Napoleon będzie mógł wysadzać nowych żołnierzy tak szybko, jak tylko zdoła przerzucić ich przez kanał.

To przerzucanie, stwierdziłby jeszcze niedawno Laurence, nie mogło przebiegać zbyt szybko: nie wobec oporu marynarki wojennej. Jednak po tym, czego był świadkiem tego dnia, musiał zmienić zdanie. Taktyka Francuzów, która polegała na rzuceniu wielkiej liczby lekkich, łatwych do wyżywienia i błyskawicznie manewrujących smoków przeciwko brytyjskim ciężkim oraz uderzeniu zmasowanymi siłami własnych ciężkich na okręty, fundament wyspiarskiej potęgi, całkowicie zaskoczyła obrońców. Była równie nowatorska, jak miażdżący atak, który widział pod Jeną, prowadzony wówczas przez Lien, i Laurence nie miał wątpliwości, że biała smoczyca teraz też służyła Napoleonowi radą w jego najnowszym przedsięwzięciu.

Laurence przedstawił swego czasu Admiralicji raport o bitwie pod Jeną i myślał teraz z goryczą, że zdrada, którą popełnił, podważyła najprawdopodobniej wiarygodność jego wszystkich doniesień i wniosków. Wierzył - liczył na to - że przynajmniej Jane wciąż brała je pod uwagę. Nawet jeśli mu nie wybaczyła tego, co zrobił, powinna go na tyle znać, by wiedzieć, że jego zdrada ograniczała się wyłącznie do dostarczenia lekarstwa. Jednak to, co widział tego dnia podczas bitwy,

nie napawało go optymizmem, gdyż brytyjskie smoki działały w tych samych przestarzałych formacjach i wykonywały manewry, które nie mogły być odpowiedzią na nowy sposób prowadzenia powietrznej wojny przez Francuzów.

Zgiełk za oknem to się podnosił, to znów cichł, napływając niczym morskie fale. Gdzieś w pobliżu pękła zbita przez kamień szyba. Wrzasnęła jakaś kobieta. Czerwona poświata była coraz silniejsza. Laurence położył się na łóżku i zamknął oczy, ale zanim zasnął na dobre, jego wypoczynek przerwały głośnie wrzaski, które zanim się całkiem obudził, spocony i przerażony fragmentarycznymi obrazami płonącego okrętu wciąż wirującymi w jego głowie, przerodziły się w ogłuszającą wrzawę. Wstał z łóżka i sięgnął po mały dzban z wodą, tak brudny, że na jego widok odechciało mu się pić, i spryskał sobie nią twarz. Potem znowu się położył; krzyki na zewnątrz jeszcze się wzmogły, silniejszy był też swąd dymu.

Zrobiło się nie tyle jaśniej, co mniej ciemno; nad miastem unosił się gęsty całun dymu i sadzy. Laurence'a tak bolało gardło, że z trudem przelykał ślinę. Nikt nie przyniósł mu jedzenia, nie słyszał też strażników, których porucznik postawił za drzwiami. Po jakimś czasie wstał i zaczął krążyć po małej celi. Założone do tyłu ręce ciążyły mu tak bardzo, jakby miał do nich przywiązaną armatnią kulę; było to zrozumiałe, gdyż wiosłował przez pięć godzin bez przerwy.

To chodzenie było przynajmniej jakimś zajęciem: czymś poza martwieniem się, które niczemu nie służyło. Miasto płonęło i Laurence mógł spłonąć razem z nim; albo gnić w tym zamknięciu, żeby się dostać do francuskiej niewoli, gdyż armia Napoleona była już ledwie dziesięć mil od rogatek. Ale nawet gdyby tu umarł, Temeraire mógł się o tym nigdy nie dowiedzieć - mógł siedzieć w niewoli długo po tym, gdy zniknie już jakikolwiek powód, by się na nią godził, i wpaść w ręce Francuzów. Laurence nie ufał Napoleonowi, nie wierzył, że zapewni on Temeraire'owi bezpieczeństwo: nie, dopóki Lien była jego sojusznikiem. Jej głos, a także głos rozsądku, który podpowie mu, że posiadanie jedyne go Niebiańskiego poza granicami Chin leży w jego najlepiej pojętym interesie, wywrze większy wpływ na cesarza niż jakiegokolwiek zachęty do wielkoduszności.

Strażnicy, którzy pragnęli jak najszybciej odejść, może by się nawet dali przekonać

do wypuszczenia go, gdyby tylko Laurence zdołał przekonać samego siebie, że ma prawo znaleźć się na wolności. Ale został skazany przez sąd wojskowy, i to całkiem sprawiedliwie, zgodnie z prawem, choć najchętniej by o tym wszystkim zapomniał. To wlokące się bez końca rozpatrywanie coraz to nowych dowodów, choć sam się już oskarżył i potępił własnymi słowami; kamienne lub wyrażające odrazę twarze sędziów. Wszyscy byli oficerami marynarki; do ich składu nie dopuszczono ani jednego awiatora. Zbyt wielu z nich wciągnięto w tę haniebną sprawę, wplątano i oczerniono na wszelkie sposoby; przede wszystkim Ferrisa, ponieważ uznano, że Laurence musiał zwierzyć się swojemu pierwszemu oficerowi...

- ...a ten teraz przedstawia sądowi osobliwe tłumaczenia - powiedział szyderczo oskarżyciel, kiedy Ferris usiadł, blady i wymizerowany, nie patrząc na Laurence'a - że nie podniósł alarmu przez godzinę po zniknięciu oskarżonego i jego smoka i nie otworzył od razu pozostawionego listu, gdyż...

Chenery'ego także posądzono o współudział, tylko dlatego, że w tym czasie również przebywał w londyńskiej kryjówce, a Berkley, Little i Sutton musieli złożyć zeznania. Wprawdzie nie wspomniano o Harcourt i Jane, ale Laurence był pewny, że stało się tak tylko dlatego, iż Lordowie Admiralicji nie wiedzieli, jak to mają zrobić, nie stawiając się jednocześnie w kłopotliwym położeniu.

- Nic nie wiedziałem o tej cholernej sprawie i jestem pewny, że nie wiedział też nikt inny - oznajmił wyzywająco Chenery. - Każdy, kto zna Laurence'a, powie wam, że nie pisałby nikomu ani słowa o swoich planach, a ja dodam, iż podrzucenie Francuzom chorego smoka było ze strony Admiralicji łajdactwem, i jeśli chcecie mnie za to powiesić, możecie to zrobić.

Nie powiesili jednak Chenery'ego, dzięki Bogu, dlatego że nie mieli dowodów i potrzebowali jego smoka; ale Ferris, młody porucznik, który nie miał takiej ochrony, został wyrzucony ze służby: zignorowano wszystkie zapewnienia Laurence'a, że to tylko on zawinił. Korpus stracił dobrego oficera, a jego życie i kariera zostały złamane. Laurence poznał jego matkę i braci; należeli do starej i dumnej rodziny, a ponieważ Ferris opuścił dom w wieku siedmiu lat, nie znali go tak dobrze, by wierzyć w jego niewinność i zapewnić mu serdeczne wsparcie, którego

odmówili mu teraz inni oficerowie. Świadomość, że jest sprawcą tych wszystkich nieszczęść spadających na młodzieńca, była dla Laurence'a bardziej bolesna niż wyrok skazujący, który otrzymał.

Ani przez chwilę nie było co do tego wątpliwości. Nie miał żadnych argumentów na swoją obronę oprócz głębokiego przekonania, że zrobił to, co powinien zrobić; że po prostu nie mógł postąpić inaczej. Nie znajdował w tym zbyt wielkiej pociechy, ale przynajmniej chroniło go to przed żalem: nie mógł żałować tego, co uczynił. Nie mógł pozwolić na to, by w interesie jego kraju zamordowano tysiące smoków, w większości nie biorących udziału w wojnie. Kiedy to powiedział i bez żadnego nacisku przyznał, że nie wykonał rozkazów, zaatakował żołnierza piechoty morskiej, wykradł lekarstwo i przekazał je nieprzyjacielowi, nie było już nic do dodania; jedynym punktem oskarżenia, który zakwestionował, był zarzut, że ukradł także Temeraire'a.

- On nie jest ani własnością króla, ani tępym zwierzęciem, i sam dokonuje własnych wyborów - powiedział, ale jego słowa zostały oczywiście zignorowane; i po wyprowadzeniu z sali musiał czekać tylko chwilę, zanim wprowadzono go z powrotem, by wysłuchał wyroku śmierci.

Jego wykonanie zostało zresztą natychmiast po cichu odłożone na później. Laurence'a wyprowadzono pośpiesznie pod strażą z budynku sądu i umieszczono w ciasnym pojeździe z oknami przesłoniętymi czarnymi zasłonami. Długa jazda w nieznaną zakończyła się w Sheerness, gdzie najpierw znalazł się na pokładzie Lurindy, a potem przeniesiono go na Goliatha i zamknięto w okrętowym areszcie: miał żyć, ale niewiele więcej. Przeznaczono mu los żywego trupa, gorszy od powieszenia, które obiecano mu w przyszłości, a gdyby przetrwał i nie został wzięty do niewoli przez Francuzów, to i tak czekał go stryczek. Laurence dobrze o tym wiedział.

Ale nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia; dokonał jednego wyboru i poświęcił wszystkie inne. Jego życie nie należało już do niego, nawet jeśli sąd postanowił pozostawić go przy nim jeszcze przez jakiś czas, i gdyby teraz uciekł, nie byłoby to wcale lepsze od ucieczki do Chin, do której namawiał go Temeraire, albo przyjęcia

oferty pozostania we Francji, złożonej mu przez Napoleona. Nie mógł uchylić się od odpowiedzialności. Nie znał innego sposobu przekonania samego siebie, że nie jest zdrajcą, ani dać innego zadośćuczynienia swoim rodakom. Mógł wpatrywać się w drzwi, ale nie mógł ich otworzyć.

Krótki deszcz obmył szyby i przerzedził dym na zewnątrz. Laurence podszedł do okna i stanął przy nim, choć w ogólnej szarości, która panowała na dworze, niewiele mógł dojrzeć. Słońce, jeśli już wzeszło, pozostawało zakryte; raczej czuł, niż wiedział, że świt już minął.

I wtedy usłyszał szcęk klamki i skrzyp otwieranych drzwi. Obrócił się i zamarł w bezruchu, patrząc ze zdziwieniem na człowieka po drugiej stronie. Znał tę twarz, szczupłą, ogorzałą od wiatrów, o wyraźnie orientalnych rysach, ale w żadnym razie nie spodziewał się jej ujrzeć.

_ Mam nadzieję, że zastaję cię w dobrym zdrowiu - odezwał się Tharkay. - Czy pójdziesz ze mną? Wydaje mi się, że niebezpieczeństwo pożaru jeszcze nie minęło.

Wartownicy zniknęli; dom był zupełnie opuszczony, jeśli nie liczyć dwóch pijaków, którzy przybłąkali się z ulicy i spali teraz w korytarzu przy drzwiach. Laurence przeszedł nad ich nogami i znalazł się na zewnątrz. Wiatr przewiał już większość dymu nad morze. Ulice pokrywała warstwa szkła, rozbitych dachówek i najróżniejszych śmieci; kilku zamiataczy machało smętnie miotłami, posuwając się środkiem drogi i niewiele w gruncie rzeczy poprawiając sytuację.

Tharkay wprowadził Laurence'a w boczną uliczkę, gdzie, tarasując przejście, leżało ciało martwego konia, z którego zdjęto już siodło i uzdę; młoda pustułka, która na nim przysiadła, wyszarpywała co jakiś czas kawałek padliny i krzyczała z zadowolenia. Tharkay wyciągnął rękę i zagwizdał, a kiedy sokół przyleciał i usiadł na jego ramieniu, założył mu kaptur.

- Trzy tygodnie temu wróciłem z Pamiru - zaczął. - Przyprowadziłem wam kolejny tuzin dzikich smoków i to w samą porę, jak się zdaje. Roland wysłała mnie po ciebie.

- Ale jak mnie tu znalazłeś? - zapytał Laurence, kiedy ostrożnie ruszyli przed siebie zapuszczonymi, bocznymi uliczkami. Miasto wyglądało tak, jakby już zostało ograbione, a jeszcze całe okna i drzwi były szczelnie zamknięte, niektóre zabite

deskami, przez co fasady domów zdawały się nieprzyjaźnie patrzeć na intruzów. - Jak się dowiedziałeś, że jestem w mieście...

- To akurat nie było szczególnie trudne; łowcy wraków u wybrzeży wiedzieli, dokąd popłynęły szalupy z Goliatha - odparł Tharkay. - Myślę, że dotarłem tu przed tobą. Odnalezienie miejsca, w którym cię zamknięto, było jednak znacznie trudniejsze. Najpierw niepotrzebnie zadałem sobie trud wyciągnięcia tego - pokazał Laurence'owi paczkę złożonych kartek - od komendanta portu, gdyż założyłem, że będzie wiedział, gdzie przebywa więzień, którego ma mi oddać, ale on kazał mi czekać w korytarzu przez dwie godziny, kłócił się ze mną przez kolejną, a kiedy już zdobyłem jego podpis, wyznał, że teraz, gdy cały Port stoi w ogniu, nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie jesteś.

Doszli w końcu do małej polanki, kryjówki smoków kurierskich, gdzie czekała na nich mała Gherni, wierząc się niecierpliwie. Kiedy ich zobaczyła, syknęła na Tharkaya, wyraźnie go poganiając. Odpowiedział jej w tym samym pogmatwanym smoczym języku, którego Laurence nigdy nie potrafił zrozumieć, po czym wdrapał się po skąpej uprzęży na jej grzbiet. Znalazłszy się tam, wskazał Laurence'owi kilka uchwytów dla dłoni, dzięki którym także on wspiał się na smoczyce.

- Możemy mieć pewne kłopoty - odezwał się Tharkay, gdy wzbili się w powietrze. - Prawie wszyscy ludzie Napoleona są jeszcze na wybrzeżu, ale jego smoki zapuszczają się w głąb lądu. Pięćdziesiąt tysięcy, jak słyszałem - odpowiedział, kiedy Laurence zapytał go o wielkość sił inwazyjnych - i blisko dwieście smoków, jeśli wierzyć w te doniesienia. Korpus wycofał się z resztą armii do Woolwich. Gdzie, jak sądzę, czekają na to, co Bonaparte będzie łaskaw zrobić. O to, dlaczego są tak dla niego uprzejmi, musiałbyś zapytać generałów.

- Dziękuję, że po mnie przybyłeś - powiedział Laurence; Tharkay wiele ryzykował w sytuacji, gdy połowa sił Bonapartego wylądowała gdzieś między nimi a armią brytyjską. - Widzę, że wstąpiłeś jednak do służby - dodał, patrząc na mundur Tharkaya, na którym widniały złote, dystynkcje kapitana. Przyznawanie stopni oficerskich ludziom, którzy byli potrzebni, nie było w armii czymś niezwykłym, ale w Korpusie, gdzie liczyła się przede wszystkim ranga smoka, zdarzało się o wiele

rzadziej niż w innych rodzajach sił zbrojnych. Nie było jednak wcale zaskakujące, że Korpus chciał Tharkaya, który jako jeden z niewielu mógł rozmawiać z dzikimi smokami z Pamiru.

- Na jakiś czas - odparł Tharkay, wzruszając ramionami.

- Nikt nie może oskarżyć cię o to, że dokonałeś tego wyboru z egoistycznych pobudek - powiedział Laurence, którego nastroju nie mógł poprawić nawet czarny humor, zwłaszcza że wciąż czuł w nozdrzach zapach płonącego miasta.

To jedna z jego zalet - odrzekł Tharkay. - Ze zwycięzcą może się związać każdy głupiec.

Laurence nie zapytał, dlaczego go wysłano. Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy francuskich na angielskim brzegu wystarczyło za odpowiedź: Temeraire musiał być potrzebny, a on był jedyną, choć niezbyt mile widzianą osobą, która mogła skłonić smoka do powrotu do służby. Było to pragmatyczne i tylko tymczasowe rozwiązanie, które nie dawało mu żadnej nadziei na ulaskawienie. Sam Tharkay nie powiedział nic więcej: Gherni była już wysoko, a gwałtowny wiatr i tak porwałby jego słowa.

Był to jeden z tych rześkich dni, które zdarzają się czasem późną jesienią, a na czystym, bardzo niebieskim niebie nie widać było ani jednej chmury. Jednak po zaledwie pół godzinie lotu w tych idealnych warunkach Gherni nagle zanurkowała i drżąc ze strachu, wylądowała na małej polance wśród sosen. Laurence niczego nie dostrzegł, może z wyjątkiem kilku małych plamek na niebie, które mogły być lecącymi ptakami, ale wraz z Tharkayem pobiegł szybko na skraj lasu i ukrywszy się w cieniu drzew, zaczął wypatrywać niebezpieczeństwa. Już po chwili zobaczył dwa kształty, które wzniosły się nad ziemię i powoli zbliżały się do nich. Dwa wielkie szarobrazowe Grand Chevaliery, największe z francuskich smoków, niewiele tylko mniejsze od Regal Copperów, szybowwały w powietrzu leniwie, z całkiem zrozumiałą pewnością siebie. Były objuczone zrabowanymi dobrami, a w sieciach pod brzuchami każdy z nich miał mniej więcej tuzin krów, które muczały od czasu do czasu, oszołomione i przerażone, wierzgając przy tym bezsilnie nogami.

Oba smoki podczas lotu wymieniały radosne uwagi, które wywoływały wybuchy śmiechu ich załóg, ale które padały zbyt szybko i były w zbyt potocznym francuskim,

żeby Laurence mógł je zrozumieć. Cienie obu ogromnych stworzeń przesunęły się po polanie niczym cienie płynących z wiatrem chmur, prze ślaniając na chwilę słońce. Ukryta pod gałęziami drzew Ghern stała nieruchomo jak głaz i tylko jej oczy się poruszały, śledząc przelot wielkich smoków.

Potem, kiedy nieprzyjacielskie stworzenia znikły za horyzontem, mimo namów nie chciała ponownie wzbić się w powietrze, tylko wcisnęła się tak głęboko między drzewa, jak tylko mogła, i zwinąwszy się tam w kłębek, zaproponowała, żeby zamiast namawiać ją do dalszej drogi przynieśli jej coś do jedzenia. Postanowiła, że polecą dopiero wtedy, gdy będzie już zupełnie ciemno Argumentu, że wtedy w powietrzu będą dla odmiany francuskie Fleur-de-Nuity, Laurence nie bardzo chciał wysuwać z obawy, że wtedy w ogóle odmówi lotu. Tharkay wzruszył tylko ramionami, sprawdził pistolety i ruszył ścieżką prowadzącą do najbliższej farmy

- Może Chevaliery nie zjadły całego stada - powiedział.

Nie znaleźli żadnych krów, owiec ani ludzi; tylko rozproszone po całym obejściu stado wystraszonych kur, na które Tharkay metodycznie wypuszczał swojego sokoła, aż ten wyłapał je wszystkie, jedną po drugiej. Te kury to było za mało na dobry posiłek dla Gherni, ale mało to lepiej niż nic, a poza tym chwilę później odkryli w stajni świnie, grzebiącą się beztrudno w słomie i nieświadomą zarówno losu, którego wcześniej uniknęła, jak i tego, który właśnie ją czekał.

Gherni nie była ani wybredna, ani wystarczająco cierpliwa, żeby domagać się ugotowania jej wieprzowiny, natomiast oni upiekli dla siebie kury nad małym, dobrze osłoniętym ogniskiem, karmiąc sokoła ich wnętrznościami i machając rękami, żeby rozrzedzić dym. Bez soli mięso nie było zbyt smaczne, ale i tak napełnili nim żołądki. Ogryźli kości do czysta, zakopali głęboko resztki, po czym wytarli w trawę zatłuszczone dłonie.

A potem pozostało im tylko czekać na zachód słońca; czas włókł się bardzo wolno, gdyż minęło dopiero południe, a ziemia, na której siedzieli, była zimna i twarda: wszędzie było błoto pełne wilgotnych, gnijących liści, a wiejący stale wiatr mroził im palce i stopy, i chociaż tupali z całych sił, niewiele to pomagało. Mimo to Laurence czuł się dobrze, gdyż mógł wstać, kiedy chciał, podejść do skraju młodniaka, poczuć

na twarzy wiatr i popatrzeć na spokojne, dobrze utrzymane pola ciągnące się w dal brązowymi, porządnymi szeregami oraz wysokie białe brzozy wznoszące swoje konary wysoko ku niebu.

W pewnej chwili podszedł do niego Tharkay. W jego wyglądzie i zachowaniu nie nastąpiła żadna zmiana; nawet jeśli niewiele mówił, dawniej też taki był. Dla Laurence'a to, że mógł tak stać przez jakiś czas w towarzystwie innego człowieka i nie czuć się zdrajcą, tylko sobą samym, było równie cenne, jak brak zamków i zakratowanych drzwi. W przeszłości zdarzało mu się już spotykać z ogólną dezaprobatą, którą znosił bez większego bólu, kiedy wiedział, że ma rację; nie przewidział, że tym razem będzie to takie ciężkie.

- Oczywiście mogłem cię jednak nie odnaleźć - odezwał się Tharkay.

To była propozycja i Laurence zawstydził się, gdy uświadomił sobie, jak bardzo jest dla niego kusząca; tak kusząca, że nie zdobył się na to, by ją natychmiast odrzucić, nie teraz, gdy miał przed sobą otwartą drogę do wolności, a gdzieś w głębi gardła czuł jeszcze smród dymu i okrętowej zęzy.

- Mam wprawdzie inne wyobrażenie na temat obowiązku niż ty - ciągnął Tharkay - ale nie widzę żadnego powodu, żebyś umierał, i to na próżno. Nie jesteś tego nikomu winny.

- Honor to wystarczający powód - odparł cicho Laurence.

- Miałoby to jakiś sens - kontynuował niezrażony Tharkay - gdybyś przez swoją śmierć zdołał go zachować. Świat nie Jest jeszcze zupełnie podzielony między Brytanię i Napoleona i nie musisz wybierać między nimi lub umrzeć. W pewny[^] częściach świata byłbyś mile widziany, wraz z Temeraireem. Może pamiętasz, że cywilizacja, a w każdym razie jej pozory., dodał suchym tonem - istnieje także w niektórych miejscach poza granicami Anglii.

- Ja nie... - odparł z wysiłkiem Laurence. - Nie będę u- da- wał, że się nad tym nie zastanawiałem, choćby ze względu na Temeraire'a, jeśli nie na siebie. Ale jeśli ucieknę, stanę się naprawdę zdrajcą. j^H

- Laurence - odezwał się po chwili milczenia Tharkay- ty jesteś zdrajcą. - Te słowa,

wypowiedziane z tą charakterystyczną dla niego chłodną otwartością i całkowicie beznamiętnie, przez co zabrzmiały nie jak oskarżenie, lecz zwykłe stwierdzenie faktu, były dla Laurence'a prawdziwym ciosem. - Pozwolenie na to, żeby cię stracili, może być formą przeprosin, ale w niczym nie umniejsza twojej winy.

Laurence nie wiedział, jak na to odpowiedzieć; Tharkay miał oczywiście rację. Zapewnianie, że kocha swój kraj i zdradził go w ostateczności, wybierając mniejsze zło, było zupełnie bezcelowe. Dopuścił się zdrady, a przyczyna nie miała tu żadnego znaczenia. Być może zatem bez powodu skazał Temerai- re'a na samotną niewolę, a siebie na dożywotnie więzienie. Może wszystko, co było do stracenia, zostało już stracone. A jednak... a jednak... Nie potrafił się zdobyć na odpowiedź.

Stali przez długi czas w milczeniu. W końcu Tharkay pokręcił głową i położył rękę na ramieniu Laurence'a.

- Robi się ciemno - powiedział.

- Tak, wysłałam po niego - odparła beznamiętnie Jane. - I przestańcie pokasływać i czynić złośliwe insynuacje. Gdybym zapragnęła mężczyzny między nogami, nie musiałabym zadawać sobie takiego trudu. Mam przecież obóz pełen przystojnych chłó- altów i ośmielę się powiedzieć, że łatwo znalazłabym takiego, który wyświadczyłby mi tę przysługę.

Osiągnęła w ten sposób swój cel, gdyż wstrząśnięci generałowie i ministrowie zamilkli, więc podjęła, nie musząc przekrzykiwać ich szeptów i wymienianych półgłosem uwag:

_ Jeśli Francuzi wezmą go do niewoli, będą mieli dwa Niebiańskie; i chociaż oba są zbyt blisko spokrewnione, by mogły się rozmnażać bezpośrednio, skrzyżują je, być może z Grand Che- valierami, jeśli zechcecie to sobie wyobrazić, a potem połączą znowu ich potomstwo, by odzyskać pierwotne cechy. Wystarczy jedno pokolenie i będą mieli własną rasę, a my zostaniemy z niczym: do tej pory nie mamy od Temeraire'a ani jednego jaja. Wsadźcie Laurence'a do wozu więziennego i trzymajcie pod strażą, jeśli nalegacie; ale jeśli została wam choć odrobina rozsądku, to powinniście go wykorzystać. I smoka, oczywiście.

Atmosfera panująca w namiocie dowódczym nie była zbyt przyjemna. Bez końca

rozmawiano o głównej katastrofie, jaką było lądowanie Francuzów. Temat ten powracał raz za razem, ale Laurence usłyszał wystarczająco dużo, by zrozumieć sytuację: Jane nie stała już na czele obrony powietrznej. Przełożeni mianowali Sandersona admirałem w Dover.

Laurence nie musiał się długo zastanawiać, żeby zrozumieć, dlaczego tak się stało. Nigdy im się nie podobało, że uczynili ją dowódcą, ale zmusiły ich do tego okoliczności, i pewnie woleliby nie zmieniać tej decyzji, gdyż równałoby się to przyznaniu do błędu; gdyby nie pragnęli zemsty, gdyby nie myśleli, że była jakoś zamieszana w zdradę Laurence'a.

Samego Sandersona Laurence znał słabo: był on opiekunem smoczycy rasy Parnassian i dowodził dużą, niezależną formacją z Dover; współdziałali kiedyś, chociaż niezbyt blisko. Uwaga tego doświadczonego, aczkolwiek niezbyt błyskotliwego oficera, jak określiłby go Laurence, była ostatnio bardzo podzielona. Chociaż jego Animosia otrzymała lekarstwo, i to kilka dawek, \yci»| jeszcze odczuwała następstwa zarazy, której on także omal nie przypłacił życiem: brakowało mu tylko roku do sześćdziesiąt^ i prawie nie jadł i nie spał, kiedy jego smoczyca chorowała.

Siedział teraz w kącie namiotu i ocierał od czasu do czasu złożonym bandażem krwawiące rozcięcie nad okiem, nie odzywając się ani słowem, podczas gdy generałowie krzyczeli na Jane; był szary ze zmęczenia i sprawiał wrażenie, jakby chciał pozostać niezauważonym.

- Wspaniale, chciałyby więc pani umieścić znanego zdrajcę i jego nieobliczalnego smoka w środku naszych linii - powiedział jeden z członków sztabu marynarki. - Równie dobrze mogłaby pani wysłać wszystkie nasze plany Bonapartemu.

- Trudno sobie wyobrazić coś, co jeszcze bardziej ułatwi Bonapartemu życie, chyba że wywiesicie białe flagi - odwróciła się Jane. - Ma o sto smoków więcej, niż powinien mieć. Wy, panowie z Admiralicji, przysięgacie na wszystkie świętości, że usłyszeliśmy, gdyby ogołocił z nich Prusy i Italię. Zakładam zatem, że zrywa je z drzew; a ponieważ my nie potrafimy zrobić tego samego, musimy mieć każde z tych stworzeń, które uda nam się znaleźć. Sześć naszych smoków odniosło ostatnio takie

rany, że nie będą się nadawały do walki przez najbliższy miesiąc, cztery z najnowszej grupy dzikich uciekły, a wy chcecie, żeby nasz jedyny Niebiański gnił gdzieś na pustkowiu. To czysty idiotyzm.

- Dlaczego właściwie słuchamy tej jazgoczącej przekupki? - zapytał ktoś.

- Ściśle rzecz biorąc - odparła Jane - nie słuchacie i lepiej by było, gdybyście zaczęli. Bez urazy, Sanderson, jesteś świetnym dowódcą formacji, ale do tego się nie nadajesz.

- Nie, zupełnie nie, Roland - przyznał z przygnębieniem Sanderson i znowu przyłożył bandaż do czoła.

- Słuchamy jej - powiedział niecierpliwie inny generał.

zupty mężczyzna o ostrych rysach twarzy, z orlim nosem ? Orderem Łażni na piersi

- ponieważ nie potraficie znaleźć ani • dnego kompetentnego mężczyzny do tej roboty. Nie pobijemy Bonapartego, jeśli nie uporządkujemy bałaganu z przeszłości.

_ Portland... - zaczął inny.

Przestańcie powtarzać nazwisko tego człowieka jak jakieś zaklęcie - przerwał mu generał. - Jeśli nie Nelson, to musi być Portland. Jeden w Gibraltarze, drugi w Danii: żadnego nie będziecie tu mieli przed upływem miesiąca. Do tego czasu schodźcie jej z drogi.

_ Generale Wellesley, chyba nie mówi pan poważnie, że powinniśmy się zgodzić na propozycję... - odezwał się kolejny minister, wskazując Laurence'a

- Dziękuję panu - wszedł mu w słowo Wellesley. - Sam potrafię ocenić, kiedy powinienem mówić poważnie, i nie potrzebuję konsultacji. - Zmierzył Laurence'a chłodnym, lekceważącym spojrzeniem i dodał: - To sentymentalista, czyż nie... poddał się sam? Cholernie romantyczne. Co za różnica? Powiesicie go, kiedy będzie po wszystkim.

Jane zaprowadziła go do swojego namiotu.

- Nie, lepiej tu zostać, Frette - powiedziała do swojego adiutanta, który zerwał się zza obozowego stolika, kiedy schyliwszy głowę, weszła do środka. - Wolę szczerze porozmawiać przy świadku, niż dać im okazję do kolejnych plotek.

Nalała sobie kieliszek wina i wypila je, stojąc plecami do niego. Laurence nie mógł

zakwestionować jej decyzji, ale wolałby zostać z nią sam na sam; czuł, że w obecności kogoś obcego nie będzie w stanie mówić tak, jakby chciał. Jane odwróciła się, odstawiła kieliszek i usiadła za biurkiem.

- Jutro polecisz na smoku kurierskim do Pen Y Fan - odezwała się w końcu zmęczonym głosem, nie patrząc na niego. - Tam trzymają Temeraire'a. Czy sprowadzisz go do nas?

- Oczywiście - odparł Laurence.

- Jest bardzo, ale to bardzo prawdopodobne, że oni cię potem powieszą, o ile nie dokonasz jakiegoś naprawdę bohaterskiego czynu - powiedziała Jane.

- Gdybym chciał uniknąć odpowiedzialności, zostałbym we Francji - odrzekł. - Jane...

- Admirał Roland, jeśli łaska - przerwała mu ostro. Po chwili milczenia dodała: - Nie winię cię, Laurence; Bóg wie, że to było ohydne. Ale jeśli mam dokonać czegoś dobrego, nie mogę walczyć jednocześnie z ich lordowskimi mościami i smokami Napoleona. Frette zaprowadzi cię do namiotu oficerskiego, gdzie dostaniesz coś do jedzenia, a potem znajdzie ci miejsce do spania. Polecisz jutro, a kiedy wrócisz, będziesz latał w formacji pod dowództwem admirała Sandersona. To wszystko.

Skinęła głową, a Frette, odchrząknawszy, odchylił połę namiotu. Laurence'owi pozostało tylko pochylić głowę w ukłonie. Następnie wyszedł, choć zrobił to zbyt wolno, i żałował, że zobaczył, jak oparła czoło na zaciśniętych z całej siły pięściach, a jej usta wykrzywił bolesny grymas.

Kiedy wszedł w towarzystwie Frette'a do wielkiego namiotu oficerskiego, powitały go spojrzenia wyrażające w najlepszym razie ogromne zakłopotanie, na ogół jednak niechęć, wręcz wrogość. Nie dostrzegł nikogo z bliskich znajomych i był zadowolony, że bolesne spotkania z nimi nieco się odwleką, ale kilku mało mu znanych kapitanów wygłosiło półgłosem uwagi, które puścił mimo uszu. Gorsze jednak od tego było wyraźne skrepowanie i spuszczone głowy tych, którzy wprawdzie nie chcieli go obrazić, ale nie mogli się zdobyć na to, żeby spojrzeć mu w oczy.

O ile na coś takiego był na w duchu przygotowany, to zachowanie oficera, którego

widział może ze dwa razy w klubie oficerskim w Dover, a który teraz chwycił jego dłoń i zaczął ją energicznie ścisnąć, bardzo go zaskoczyło.

_ Czy wolno mi uścisnąć panu rękę? - zapytał głośno kapitan Hesterfield, zbyt późno, żeby można mu było odmówić, po czym wręcz zaciągnął Laurence'a do stołu w rogu namiotu i przedstawił swoim towarzyszom.

Wokół małego stołu siedziało sześciu oficerów. Było wśród nich dwóch Prusaków, z których jednego, Von Pfeila, Laurence poznał podczas oblężenia Gdańska. Drugi wstał na jego widok, uścisnął mu rękę i przedstawił się jako kuzyn kapitana Dyherna, u którego boku walczyli w bitwie pod Jeną. Obaj byli uchodźcami z własnej ojczyzny, którzy wybrali wygnanie i służbę w Brytanii, zamiast przyjąć propozycje zwolnienia na parol, którą Napoleon złożył pruskim oficerom.

Kolejnym nieznanym był kapitan Prewitt, którego wezwano do Anglii kilka miesięcy wcześniej, z czystej desperacji: jego Winchester uniknął zarazy, gdyż chociaż mieli przydział do kryjówek w Halifaksie, stacjonowali zwykle w samotnej placówce w głębi Quebecu, dokąd ich wysłano, żeby nie miał przy sobie nikogo, kogo mógłby zarazić swymi radykalnymi poglądami, jak to sam chętnie przyznał.

- Albo komu mógłbym deklamować wiersze - powiedział, śmiejąc się sam z siebie - ale że łatwiej znoszę krytykę moich Poglądów politycznych niż mojej sztuki, wolę taką interpretację. A to jest kapitan Latour - dodał, przedstawiając francuskiego tojalistę, który został brytyjskim oficerem. Hesterfield i dwaj ?nni, Reynolds oraz Gounod, byli politycznymi sympatykami Prewitta, choć wypowiedali się na ten temat nieco spokojniej niż on. W miarę upływu czasu Laurence stopniowo uświadomił sobie, że ci ludzie nieprzypadkowo zebrali się przy tym stole; pochwalali jego czyn i oddzielili się od reszty towarzystwa w(a śnie na skutek kłótni o to, jak go oceniać.

- To mord, ohydny mord, nie ma na to innego słowa - oświadczył Reynolds, przyciskając dłonią rękę Laurence'a do stołu i patrząc mu w oczy z nazbyt poważnym wyrazem twarzy człowieka mocno pijanego. ^H

Laurence nie wiedział, co na to odpowiedzieć; też był tego zdania i złożył w ofierze własne życie, żeby temu zapobiec, ale nie miał ochoty wysłuchiwać za to gratulacji,

zwłaszcza składanych mu przez kogoś obcego.

- Inne słowo to „zdrada”, jeśli chcesz wiedzieć - odezwał się oficer, który siedział przy sąsiednim stole i nawet nie udawał, że ich nie podsłuchuje; przed nim stała opróżniona już w połowie butelka z whisky, którą pił samotnie.

- Racja! - dorzucił ktoś z boku.

W namiocie było o wiele za dużo butelek i zbyt wielu gniewnych, rozczarowanych mężczyzn. W sumie było to zaproszenie do awantury. Laurence uwolnił rękę.

Najchętniej przeprosiłby obecnych i przeszedł do innego stołu, ale Frette zostawił go z Prewittem i jego pełnymi zapału towarzyszami, i Laurence nie wyobrażał sobie, że mógłby się narzucać komuś innemu w namiocie.

- Proszę was, panowie, żebyście już o tym nie mówili - powiedział cicho do siedzących przy stole, ale na nic się to zdało. Reynolds już się kłócił z pijącym whisky sąsiadem, a ich głosy były coraz bardziej donośne.

Laurence zacisnął szczęki i próbował tego nie słuchać.

- A ja twierdzę - mówił właśnie wielbiciel whisky - że on jest zdrajcą, który powinien zostać powieszony, a potem wypatroszony i poćwiartowany, a wy razem z nim, jeśli mówicie coś innego...

- Średniowieczne bzdury...

Obaj byli już na nogach, przy czym Reynolds, wstając, strząsnął z ramienia rękę Gounoda, który bez większego przekonania próbował go powstrzymać. Ich głosy były już tak podniesione, że zagłuszały rozmowy ludzi siedzących przy sąsiednich stołach.

Laurence wstał i chwyciwszy Reynoldsa mocno za ramię, pchnął go w stronę krzesła.

_ W niczym pan mi w ten sposób nie pomaga; niech pan przestanie - powiedział cicho, ostrym tonem.

_ Słusznie, niech cię nauczy, jak być tchórzem - krzyknął ten drugi.

Laurence zeszywniał. Nie mógł mieć żalu o zniewagi, na które zasłużył, zrezygnował z prawa do obrony przed oskarżeniem o zdradę... ale oskarżenia o tchórzostwo nie potrafił tak gładko przełknąć. A jednak nawet gdyby awiatorom nie

zakazano pojedynkowania się, o n nie mógł rzucić wyzwania. Wyrządził już zbyt wiele szkód; nie mógł... nie zamierzał wyrządzić ich więcej. Zacisnął więc usta w gorzkim grymasie i nie odwrócił się, żeby spojrzeć temu człowiekowi w twarz, chociaż ten stał tak blisko, że Laurence czuł na twarzy jego przesycony alkoholem oddech.

- Nazywasz go tchórzem, a sam siedziałeś na tyłku i nic nie robiłeś - odparował Reynolds, opierając się naciskowi Laurence'a. Strzasnął z ramienia jego rękę, a raczej spróbował to zrobić, i dorzucił: - Pewnie twój smok byłby zachwycony tym, że chętnie widziałbyś, jak ich tysiące umierają otrute, bo do tego się to sprowadzało, jak psy...

- Przynajmniej jednego z nich należałoby otruć - przerwał mu tamten, a Laurence puścił Reynoldsa, odwrócił się i powalił go jednym uderzeniem pięści na ziemię.

Kiedy pijany i stojący niepewnie na nogach oficer padał, pociągnął ze sobą stół, strącając z niego butelkę, która potoczyła się po ziemi, rozlewając na niej tani alkohol. Przez chwilę nikt się nie odezwał, a potem w całym namiocie niemal jednocześnie pochwalali jego czyn i oddzielili się od reszty towarzystwa. W śnie na skutek kłótni o to, jak go oceniać.

- To mord, ohydny mord, nie ma na to innego słowa .. oświadczył Reynolds, przyciskając dłonią rękę Laurence'a do stołu i patrząc mu w oczy z nazbyt poważnym wyrazem twarzy człowieka mocno pijanego.

Laurence nie wiedział, co na to odpowiedzieć; też był tego zdania i złożył w ofierze własne życie, żeby temu zapobiec, ale nie miał ochoty wysłuchiwać za to gratulacji, zwłaszcza składanych mu przez kogoś obcego.

- Inne słowo to „zdrada”, jeśli chcesz wiedzieć - odezwał się oficer, który siedział przy sąsiednim stole i nawet nie udawał, że ich nie podsłuchuje; przed nim stała opróżniona już w połowie butelka z whisky, którą pił samotnie.

- Racja! - dorzucił ktoś z boku.

W namiocie było o wiele za dużo butelek i zbyt wielu gniewnych, rozczarowanych mężczyzn. W sumie było to zaproszenie do awantury. Laurence uwolnił rękę. Najchętniej przeprosiłby obecnych i przeszedł do innego stołu, ale Frette zostawił go

z Prewittem i jego pełnymi zapału towarzyszami, i Laurence nie wyobrażał sobie, że mógłby się narzucać komuś innemu w namiocie.

- Proszę was, panowie, żebyście już o tym nie mówili - powiedział cicho do siedzących przy stole, ale na nic się to zdało. Reynolds już się kłócił z pijącym whisky sąsiadem, a ich głosy były coraz bardziej donośne.

Laurence zacisnął szczęki i próbował tego nie słuchać.

- A ja twierdzę - mówił właśnie wielbiciel whisky - że on jest zdrajcą, który powinien zostać powieszony, a potem wypatroszony i poćwiartowany, a wy razem z nim, jeśli mówicie coś innego-

- Średniowieczne bzdury...

Obaj byli już na nogach, przy czym Reynolds, wstając, strząsnął z ramienia rękę Gounoda, który bez większego przekonania próbował go powstrzymać. Ich głosy były już tak podniesione, że zagłuszały rozmowy ludzi siedzących przy sąsiednich stołach.

Laurence wstał i chwyciwszy Reynoldsa mocno za ramię, pchnął go w stronę krzesła.

_ W niczym pan mi w ten sposób nie pomaga; niech pan przestanie - powiedział cicho, ostrym tonem.

_ Słusznie, niech cię nauczy, jak być tchórzem - krzyknął ten drugi.

Laurence zeszywniał. Nie mógł mieć żalu o zniewagi, na które zasłużył, zrezygnował z prawa do obrony przed oskarżeniem o zdradę... ale oskarżenia o tchórzostwo nie potrafił tak gładko przełknąć. A jednak nawet gdyby awiatorom nie zakazano pojedynkowania się, on nie mógł rzucić wyzwania. Wyrządził już zbyt wiele szkód; nie mógł... nie zamierzał wyrządzić ich więcej. Zacisnął więc usta w gorzkim grymasie i nie odwrócił się, żeby spojrzeć temu człowiekowi w twarz, chociaż ten stał tak blisko, że Laurence czuł na twarzy jego przesycony alkoholem oddech.

- Nazywasz go tchórzem, a sam siedziałeś na tyłku i nic nie robiłeś - odparował Reynolds, opierając się naciskowi Laurence'a. Strzasnął z ramienia jego rękę, a raczej spróbował to zrobić, i dorzucił: - Pewnie twój smok byłby zachwycony tym, że chętnie widziałbyś, jak ich tysiące umierają otrute, bo do tego się to sprowadzało, jak

psy...

- Przynajmniej jednego z nich należałoby otruć - przerwał mu tamten, a Laurence puścił Reynoldsa, odwrócił się i powalił 8° jednym uderzeniem pięści na ziemię.

Kiedy pijany i stojący niepewnie na nogach oficer padał, po- ciągnął ze sobą stół, strącając z niego butelkę, która potoczyła się po ziemi, rozlewając na niej tani alkohol. Przez chwilę nikt się nie odezwał, a potem w całym namiocie niemal jednocześnie odsunięto krzesła od stołów, jakby wszyscy czekali tylko na jakiś pretekst do awantury.

Kłótnia natychmiast przerodziła się niezorganizowaną bijatykę, w której trudno było rozpoznać strony; Laurence dostrzegł dwóch mężczyzn, którzy przedtem siedzieli przy jednym stole a teraz walczyli ze sobą w rogu. Jednak kilku oficerów skupiło uwagę na nim. Jeden z nich był kapitanem, którego znał z widzenia z Dover i którego nazwiska nie pamiętał; miał na mundurze świeże ślady ciemnej smoczej krwi. Geoffrey Windle, przypomniał sobie niespodziewanie Laurence, gdy rozpoczęli walkę, a potem Windle uderzył go w szczękę.

Siła ciosu odrzuciła go do tyłu, zęby zderzyły się z trzaskiem, który zabrzmiał zgrzytliwie w głębi czaszki, a jednocześnie poczuł zaskakująco mocny ból przygryzionego policzka. Chwyciwszy się masztu namiotu dla równowagi, zdołał złapać krzesło i pchnąć je między nich w chwili, gdy Windle rzucił się znowu na niego. Napastnik potknął się na nim i runął na ziemię całym ciężarem: znacznym, jako że ważył o przynajmniej czterdzieści funtów więcej od Laurence'a.

W tej chwili skoczyło na niego dwóch innych mężczyzn o twarzach wykrzywionych z gniewu; wypity alkohol rozbudził w nich agresję, ale nie osłabił jeszcze koordynacji ruchów. Chwycili Laurence'a jednocześnie za ramiona i pchnęli na najbliższy stół. Stracił oparcie dla nóg, a że miał na nich lekkie buty ze sprzączkami, a nie ciężkie, które wkładał podczas akcji, jego kopnięciom brakowało siły. Nie zważali więc na niego i przyparli go do blatu, po czym jeden z nich wyciągnął rękę z nożem, tępym nożem do jedzenia, wciąż jeszcze oblepionym tłuszczem z kolacji. Laurence zaparł się piętą o blat stołu i odepchnąwszy się z całej siły, zdołał na chwilę uwolnić ramiona, dzięki czemu udało mu się przekreślić i uniknąć zadanego

z wściekłością pchnięcia ostrzem, które przecięło tylko jego obszarpany surdut.

W tej chwili maszt namiotu zatrzeszczał i pękł, a pozbawione poparcia płótno spadło nagle na nich. Napastnicy puścili jego ręce, ale nie cieszył się tym zbyt długo, gdyż zaraz potem unieruchomił go ciężar tkaniny, duszący i tak wielki, że z najwyższym trudem uniósł ją nieco nad twarzą, żeby móc zaczerpnąć tchu. Stoczył się ze stołu i wtedy znowu czyjeś ręce chwyciły go za ramiona i pociągnęły do tyłu. Laurence uderzył na oślep nowego napastnika, po czym upadli razem na ziemię i zaczęli się po niej toczyć, aż w końcu ten drugi mężczyzna zdołał ściągnąć krawędź płótna z ich głów i wydostać ich obu na zewnątrz; był to Granby.

- O Boże - sapnął.

Laurence odwrócił się i zobaczył, że połowa namiotu zapadła się, przykrywając falującą masę ludzi, którzy znaleźli się pod nią. Ci, którzy byli na tyle trzeźwi, żeby uniknąć bijatyki, wynosili teraz z wnętrza lampy, inni polewali płótno wodą, gdyż w kilku miejscach ukazał się dym.

- Lepiej będzie, jeśli zejdziesz im teraz z drogi - powiedział Granby, kiedy Laurence chciał ruszyć na pomoc, i poprowadził go jedną ze ścieżek obozowych, wąską i ciemną, w stronę smoczyc polan.

Szli w milczeniu po nierównej ziemi. Laurence próbował zapanować nad krótkim, szarpanym oddechem, ale bez powodzenia. Myślał o swojej niewysłowionej naiwności. Do czasu, gdy z ust pijaka padły te słowa, nawet mu nie przyszło do głowy, że powinien wziąć pod uwagę taką ewentualność. A przecież ci ludzie nie cofnęli się przed planem zakażenia wszystkich smoków na świecie i skazania ich na bolesną śmierć. To oczywiste, że kiedy go powieszą, bez wahania zabiją także i Temeraire'a, byleby tylko usunąć możliwość, iż przejdzie on na służbę tych, których postrzegali jako nieprzyjaciół - Francji, Chin lub jakiegokolwiek innego kraju. Nie będą mieli żadnych skrupułów i dopuszczają się każdej zdrady, żeby usunąć go z drogi, gdyż dla nich jest tylko kłopotliwym zwierzęciem.

- Przypuszczam - odezwał się nagle w ciemności Granby ^ że to on nalegał. To znaczy na to, żebyście wykradli te grzyby i dostarczyli je Francuzom.

- Nalegał - potwierdził Laurence po chwili, ale nie zamierzał się ukrywać za

skrzydłami Temeraire'a. - Wstyd mi to powie- dzieć, ale początkowo musiał. Nie chcę jednak, żebyś myślał, że zrobiłem to wbrew mojej woli.

- Nie - odparł Granby - nie, chodziło mi tylko o to, że sam byś pewnie tego nie wymyślił, jak sądzę.

To spostrzeżenie zabrzmiało prawdziwie, nieprzyjemnie prawdziwie, chociaż Laurence był pewny, że Granby miał zamiar go w ten sposób pocieszyć.

Niespodziewanie, tak nagle, że wstrzymał oddech, przeszło go uczucie samotności i czegoś więcej, jakiejś nieopisanej tęsknoty. Bardzo chciał zobaczyć Temeraire'a.

Ostatnią noc pod jego opiekuńczym skrzydłem przespał przed blisko trzema miesiącami, w północnych górach, już po popełnieniu zdrady i na kilka godzin przed powrotnym lotem przez kanał. Od tamtej pory dni im mijały w kolejnych więzieniach, lżejszych lub cięższych, a czym te miesiące były dla samotnego, pozbawionego przyjaciół i nieszczęśliwego Temerai- re'a tam, na terenach rozplodowych pełnych dzikich smoków i weteranów, najpewniej nie przestrzegających żadnych zasad porządku lub dyscypliny, które mogłyby je powstrzymać od walk między sobą, Laurence wolał nawet nie myśleć.

Szli w milczeniu, mijając kolejne polany. Ze wszystkich stron dobiegały dudniące pomruki śpiących smoków, które skończyły już posiłki i udały się na zasłużony odpoczynek. Ich załogi mozoliły się tymczasem, naprawiając uprząże w świetle nielicznych latarni. W powietrzu niósł się brzęk młotów, którymi kowale tłukli w kowadła, i gryzący zapach oleju do natłuszczania

mieni. Przebyli długą drogę w ciemności i kiedy minęli już

tatnią polanę, zaczęli się wspinać po stromym zboczu na szczyt ?rującego nad całym obozem wzgórza, na którym w towarzystwie porozkładanych wokół niej dzikich smoków spała Iskierka. Wyglądała jak gruby kolczasty zwój, z którego przy każdym jej oddechu wydobywały się kłęby pary.

Kiedy się do niej zbliżyli, otworzyła jedno oko i zapytała sennym głosem:

- Czy znowu jest bitwa?

_ Nie, najdroższa, śpij spokojnie - odparł Granby, a ona westchnęła i zamknęła oko.

Przyciągnęła jednak uwagę członków załogi, którzy zaczęli się im przyglądać i rozpoznawszy Lauren- ce'a, bez słowa odwrócili głowy.

- Może lepiej będzie, jeśli sobie pójdę - powiedział Lau- rence. Znał niektóre z tych twarzy. Część z tych ludzi należała do jego dawnej załogi; był zadowolony, że znaleźli sobie tutaj miejsce.

- Nie pleć bzdur - skwitował to Granby. - Nie jestem tak cholernie tchórzliwy, a zresztą - dodał, kiedy wprowadził Lau- rence'a do swojego namiotu, rozbitego tak, by owiewał go przyjemny prąd ciepłego powietrza, napływający stale od Iskierki - po tym, co wydarzyło się wczoraj, jestem w takich tarapatkach, że niewiele może mi już zaszkodzić. Ona jest rozpuszczona jak dziadowski bicz, nie ma na to innych słów. Nie trzyma się formacji, nie wykonuje rozkazów... zabrała ze sobą tę bandę...

Wzruszył ramionami i uniósłszy własną butelkę, nalał im po szklaneczce whisky, przy czym swoją zaraz wypił z nietypowym dla siebie zapałem.

- Na patrolach nie jest jeszcze tak źle - podjął, otarłszy usta. - Nie trzeba jej namawiać, żeby szukała nieprzyjaciela, 1 Przyjmuje wskazówki, które mają jej to ułatwić. Ale podczas działań zespołowych... Nie chcę powiedzieć, że była do niczego - dodał obronnym tonem. - Zniszczyła trzy fregaty, z pomocą ty^ rozbójników, i odpędziła tuzin francuskich smoków. Ale nie ma ani za grosz poczucia dyscypliny. Udawała, że mnie nie słyszy i odsłoniła lewe skrzydło Korpusu, w rezultacie czego dwa smoki odniosły ciężkie rany. Powinienem być za to zdegradowany, gdyby mogli sobie pozwolić na to, że ją stracą.

Krażył po małym wnętrzu namiotu, wciąż trzymając w dłoni pustą szklanekę, i mówiąc szybko, prawie nerwowo; bardziej, żeby zasypać Laurence'a słowami, żeby wypełnić przestrzeń między nimi, niż powiedzieć coś konkretnego.

- To właśnie przez coś takiego Korpus jest coraz słabszy - ciągnął. - Nigdy nie myślałem, że będę... złym oficerem, kimś, kto psuje swojego smoka, głupcem, którego się trzyma, ponieważ inaczej jego podopieczny nie będzie chciał służyć... Oficerowie armii i floty szydzą z nas między innymi z tego powodu i przynajmniej w tej sprawie mogą mieć rację. Dlatego nasi admirałowie muszą tańczyć tak, jak im marynarka zagra, a tymczasem młodzi też to obserwują, i nie można od nich żądać,

żeby się doskonalili, kiedy widzą kogoś, komu wszystko uchodzi na sucho, dosłownie wszystko...

Przerwał nagle, uświadomiwszy sobie zbyt późno, że te słowa w większym stopniu odnosiły się do jego rozmówcy niż do niego samego, i popatrzył żałośnie na Laurence'a.

- Masz rację - powiedział Laurence.

W końcu dawniej, kiedy jeszcze służył w marynarce, sam był podobnego zdania. Uważał wtedy, że Korpus jest pełen szalonych, lekkomyślnych libertynów, lekceważących prawo i zwierzchników, i z trudem dających się utrzymać w ryzach... ludzi użytecznych z powodu swojej kontroli nad smokami, ale nie szanowanych.

- Ale jeśli mamy więcej swobody, niż powinniśmy - dodał po chwili z wysiłkiem - to dlatego, że one jej nie mają: smoki. Nie mają żadnego interesu w zwycięstwie oprócz naszego szczęścia; każdy kraj dałby im utrzymanie, żeby tylko zyskać w ten sposób szansę na pokój. My mamy tę naszą wolność, dopóki robimy to, czego w istocie nie powinniśmy robić: dopóki wykorzystujemy ich uczucia do nas, żeby utrzymać je w posłuszeństwie, żeby pomagały nam osiągnąć cele, które wcale nie służą ich dobru... albo wręcz przynoszą im szkodę.

- Ale jak inaczej nakłonić je do tego, żeby dbały o kraj, żeby jego los nie był im obojętny? - zapytał Granby. - Jeśli przestaniemy tak postępować, Francuzi po prostu po nas przejdą i zabiorą nasze jaja.

- W Chinach dbają - powiedział w zadumie Laurence - i w Afryce, i to dbają tym bardziej, że robią to z potrzeby serca, a nie dlatego, iż ktoś im każe. Jeśli nasze smoki nie czują naturalnego przywiązania do swojego kraju, to całą winę za to ponosimy my, a nie one.

Laurence spał tej nocy w namiocie Granby'ego na kocu; nie chciał zająć jego łóżka polowego. Budził się spocony, jakby był to środek lata, i dziwnie się poczuł, kiedy wyszedłszy na zewnątrz, zobaczył w dole obóz przykryty świeżą warstwą śniegu, który poplamione szare namioty przyozdobił chwilowo czystą bielą, a na ziemi zmieniał się już w błotnistą breję.

- Wróciłeś - powiedziała Iskierka na jego widok; była zupełnie przebudzona i

grzebiąc w resztkach śniadania, obserwowała z niesmakiem żołnierzy, którzy snuli się niemrawo po obozie. - Gdzie jest Temeraire? Jak mógł dopuścić do tego, że tak nędznie wyglądasz? - dodała, wyraźnie z siebie zadowolona.

Laurence nie mógł zaprzeczyć: rzeczywiście przedstawiał sobą żaloszny widok. Jego surdut był porozdzierany, buty zaczynały się otwierać na szwach, a o pończochach lepiej było nawet nie wspominać.

- Granby- rzuciła, patrząc ponad jego ramieniem - możesz pożyczyć Laurence'owi swój czwarty mundur, a ty - zwróciła się do Laurence'a - powiedz Temeraire'owi, jak mi było przykro, że nie mógł ci dać ładniejszych rzeczy.

Jednak Granby miał właśnie na sobie ów czwarty mundur gdyż pozostałe trzy wręcz kapały od złota i klejnotów, owoców łupieżczych wypraw Iskierki, i dlatego zupełnie nie nadawały się do prawdziwej walki. Poza tym z tej pożyczki i tak by nic nie wyszło, gdyż Laurence miał w ramionach o cztery cale więcej od kapitana Iskierki, który za to o tyle właśnie przewyższał go wzrostem. Problem został jednak szybko rozwiązany przez Granby'ego, który wysłał polecenie, i już wkrótce przybiegł młody goniec, niosąc złożony frak mundurowy i parę zapasowych butów.

- Sipho - powiedział na jego widok Laurence. - Cieszę się, że u ciebie wszystko dobrze; i u twojego brata, mam nadzieję?

Martwił się losem dwóch chłopców przywiezionych z Afryki, którzy tak bardzo im tam pomogli; żeby zapewnić im utrzymanie, uczyni! z nich gońców, ale krótko potem znalazł się w sytuacji, w której nie mógł już nikomu pomóc.

- Tak, proszę pana - odparł Sipho w tak dobrej angielszczyźnie, jakby urodził się w tym kraju, chociaż jeszcze przed rokiem nie znał ani jednego słowa w tym języku.

- Jest z Arkadym, a kapitan Berkley powiedział, że może pan przyjść i przywitać się z Maksimusem, jeśli nie jest pan zbyt cholernie uparty; powiedział, żebym to tak powtórzył - dodał.

- Nie ty jeden masz wobec nich dług - odparł Berkley z typową dla siebie bezceremonialnością, kiedy Laurence podziękował mu za zaopiekowanie się chłopcami. - Nie musisz się martwić, że ich wyrzucają: potrzebujemy ich. Potrafią już gadać z tymi cholernymi dzikusami lepiej od każdego z naszych ludzi; starszy

trajkocze w tym ich porąbanym języku szybciej niż po angielsku. Możesz się natomiast martwić, że któryś z nich do-

nie wkrótce po głowie. Musiałem stoczyć prawdziwą walkę Admiralicja żeby tego tu zostawili jeszcze przez jakiś czas na 'emi Chcieli go wysłać w powietrze jako chorążego, wyobrażasz sobie? Chłopak nie ma jeszcze nawet dziewięciu lat. Demane wzięli- nie zważając na to, co mówiłem, ale to może i lepiej. Ciągłe się bił - dodał - niech więc się bije z Francuzami i nie ściąga na siebie kłopotów.

Maksimus już niemal zupełnie odzyskał siły i wyglądał o wiele lepiej, niż wtedy, gdy Laurence widział go ostatni raz: po trzech miesiącach ciągłego karmienia na ładzie odzyskał już prawie swoją normalną wagę. Zobaczywszy Laurence'a, schylił głowę i powiedział konspiracyjnym szeptem:

- Przekaż Temeraire'owi, że Lily i ja nie zapomnieliśmy naszej obietnicy i jesteśmy gotowi walczyć u jego boku, kiedykolwiek o to poprosi; nie pozwolimy im powiesić ciebie.

Laurence popatrzył na ogromnego Regal Coppera. Wszyscy członkowie jego załogi wyglądali na głęboko zakłopotanych, czemu trudno się było dziwić, gdyż ta buntownicza zapowiedź była doskonale słyszalna nawet kilka polan dalej. Berkley tylko prychnął.

- Sporo o tym mówiły, i to głośniej - oznajmił. - Przypuszczam, że to właśnie dlatego trzymali cię na okręcie, a nie w porządnym więzieniu na ładzie. Nie, nie przepraszaj. To było pewne jak słońce na niebie, że ty i ta twoja szalona bestia prędzej czy później zrobicie z siebie widowisko. Sprowadź go tutaj, załatwcie z tuzin żabojadów i oszczędźcie nam wszystkim kłopotu z tą egzekucją.

Kiedy po wysłuchaniu tej rady, w której skuteczność raczej nie wierzył, Laurence zgłosił się ze swoimi rozkazami na polanie kurierskiej, wyglądał już dużo lepiej: Berkley był tęgim mężczyzną, ale nawet jeśli pożyczony przez niego mundur był za duży, to przynajmniej można go było włożyć, a po upchnięciu w nich odrobiny słomy, buty też nadawały się do użytku. Jednak poprawa wyglądu wcale nie zapewniła mu lepszego traktowania Na polanie było kilkanaście smoków czekających na rozkazy, ale kiedy Laurence się przedstawił, dowódca kurierów

powiedział: - Będzie pan łaskaw poczekać - po czym zostawił go na zewnątrz polany. Laurence stał dość blisko, by widzieć, jak tamten rozmawia z oficerami, ale najwyraźniej żaden z kapitanów nie był skłonny zabrać ze sobą zdrajcy. Czekał tak przez godzinę, podczas której nadeszły i zostały wysłane cztery wiadomości, aż w końcu na polanie wylądował kolejny Winchester z nowymi rozkazami od Admiralicji. Dopiero wtedy dowódca kurierów przyszedł do niego i powiedział:

- No dobrze, mamy człowieka, który pana zabierze.

- Dzień dobry, proszę pana - powitał Laurence'a kapitan, dotykając ręką kapelusza.

Był to Hollin, dawny dowódca jego załogi naziemnej. - Elsie, bądź tak miła i podsadź kapitana. Tam jest rzemień, ułatwi panu wejście.

- Dziękuję, Hollin - odparł Laurence, wdzięczny za rzeczowy ton, jakim zostało to powiedziane, i wspiał się na grzbiet smoczy. - Lecimy do Pen Y Fan.

- Dobra jest, znamy drogę - odpowiedział Hollin. - Czy chcesz coś przekąsić, Elsie, zanim ruszymy w drogę?

- Nie - odrzekła, unosząc głowę znad koryta z wodą. - Tam zawsze są smaczne krowy, poczekam.

Podczas podróży nie rozmawiali zbyt wiele. Winchestery były tak małe i szybkie, że każdy, kto leciał na którymś z nich, miał wrażenie, iż za chwilę spadnie, a karabińczyki oraz rzemień, poddawane bez przerwy próbie przez siłę wiatru, zaraz ustąpią. Laurence nie był tu wyjątkiem i trzymał się tak mocno skórzanej uprząży, że jeszcze bardziej poranił siebie poobcierał- nie od wiosłowania dłonie. Mknęli nad zaśnieżonymi polami, a przejmująco zimne powietrze mroziło im twarze i przenikając przez kołnierz płaszcza Laurence'a oraz jego wytartą koszulę, przeszywało mu skórę tysiącami igieł. Nie zwracał jednak na to wcale uwagi i pragnął jedynie lecieć jeszcze szybciej; irytowała go każda mila z tych, które pozostały jeszcze do celu.

Po jakimś czasie wyłonił się przed nimi zamek Goodrich, usadowiony na swoim wzgórzu. Kiedy przelatowali nad nim, Hollin wywiesił flagi sygnałowe z wiadomością „kurier z rozkazami”, a zamkowe działo sygnałowe huknęło na potwierdzenie, że została ona przyjęta i zrozumiana.

Góry były coraz bliżej i bliżej, a gdy słońce zaczęło zachodzić, Elsie przeleciała nad ostatnią granią i znalazła się nad rozległym żerowiskiem, poplamionym kałużami krwi, oraz urwiskami pełnymi otworów smoczyczych jaskiń. Wylądowała. Zagroda dla bydła była pusta, a jej brama szeroko otwarta. Wokół panowała głęboka cisza i nigdzie nie paliły się żadne światła. Nie było też widać ani jednego smoka.

Rozdział 4

S

Sople, które przez noc wyrosły ze skalnego występu nad wejściem do jaskini, wyglądały jak rząd lśniących zębów, i teraz, gdy oświetliło je słońce, ociekały wodą. Krople spadały nieregularnie, bez żadnego stałego rytmu lub sensu, a Temeraire otwierał co jakiś czas oczy, obserwując, jak sople powoli się kurczą, cofając się ku skale, po czym zamykał je i opuszczał głowę. Nikt nie żądał już, żeby opuścił swoją jaskinię, ani mu nie przeszkadzał.

W pewnej chwili usłyszał drapanie pazurów o kamień i uniósł głowę; na półce wylądował mały smok, z którego grzbietu zsunął się Lloyd.

- No już dobrze - zaczął, wszedłszy do środka; jego buty pobrzękiwały i zostawiały ślady błota na czystych kamieniach. - Już dobrze, dobrze, stary. Dlaczego jesteś dziś taki ponury? Mamy dziś uroczego gościa... soczysty, tłusty wół wprawi cię w nastrój...

Temeraire tak naprawdę nigdy nie chciał nikogo zabić, oczywiście z wyjątkiem tych, którzy chcieli skrzywdzić Laurence'a; lubił walczyć, gdyż było to podniecające, ale nigdy jeszcze nie pomyślał, że mógłby kogoś zabić tak dla siebie. Tylko że w tej chwili wolałby mieć przed sobą kogokolwiek lub cokolwiek, tylko nie Lloyda, który wygadywał takie rzeczy, kiedy Laurence nie żył.

Zamilcz - powiedział, a kiedy Lloyd ciągnął, nie przerywając: zachowałem tego najlepszego specjalnie dla ciebie na dzisiejszy wieczór...

Temeraire wyciągnął szyję, zbliżył głowę do niego i powiedział cicho:

_ Mój kapitan nie żyje.

To przynajmniej coś znaczyło dla Lloyda: zbladł, przestał mówić i całkowicie

zneruchomiał. Temeraire przyglądał mu się z bliska. To było prawie rozczarowujące. Gdyby Lloyd powiedział albo zrobił coś paskudnego, jak to zwykle robił; gdyby tylko... ale Laurence'owi to by się nie spodobało... nie, na pewno by mu się to nie spodobało... Temeraire wciągnął z sykiem powietrze do płuc, po czym cofnął głowę i zwinął się znowu w kłębek, a Lloyd odetchnął z ulgą.

- To musi być jakaś pomyłka - powiedział po chwili głosem, który był tylko nieco mniej serdeczny. - Nic o tym nie słyszałem, stary, a przecież przysłałoby mi jakąś wiadomość...

To znowu rozwścieczyło Temeraire'a, ale inaczej; ostre, dziwne uczucie, przez które przed chwilą omal nie rozszarpał tego irytującego człowieczka na strzępy, stępieło. Był już tylko bardzo zmęczony i pragnął jedynie, żeby Lloyd zostawił go samego.

- Nawet gdyby go powiesili w Tyburn, to i tak najpewniej wmawiałbyś mi, że nadal żyje - powiedział z goryczą - dopóki tylko jadałbym regularnie, łączył się ze smoczymi i słuchał twoich poleceń. A więc mam dla ciebie wiadomość: nie będę tego robił. Znosiłem to i znosiłbym wszystko, żeby utrzymać Laurence'a przy życiu. Teraz jednak nie będę już tego znosił. Będę jadł, kiedy zechcę, a nie kiedy mi każą, i nie połączę się z żadną smoczycą, chyba że tego sam zapragnę. - Popatrzył na małego smoka, na którym przyleciał Lloyd, i dodał: - Zabierz

stąd, jeśli łaska; i powiedz pozostałym, że nie chcę, by mi go tu przynosiły, jeśli sam o to najpierw nie poproszę.

H

oczy i znowu się zwinął w kłębek, mając za towarzystwo tyj^ odgłos kapiących z sopli kropel.

Kilka godzin później na półce przed wejściem do jaskini wyładowali Perscitia i Moncey, i z wystudiowaną niefrasobliwość^ złożyli przed Temeraire'em dwie świeżo zabite krowy.

- Nie jestem głodny - powiedział ostro.

Mały smok pokiwał nerwowo głową i podniósłszy zasko nego oraz protestującego Lloyd, odleciał. Temeraire zamki

- Och, my tylko powiedzieliśmy, że to dla ciebie, by nam dał coś ekstra dla nas - odparł wesoło Moncey. - Nie masz chyba nic przeciwko temu, że zjemy je sobie tutaj? - dodał i rozdarł pierwszą z nich. Ogon Temeraire'a zadrgał, zupełnie bez jego woli, gdy nozdrza wypełnił mu słodki zapach krwi, a kiedy Perscitia podsunęła mu nosem drugą krowę, chwycił ją natychmiast w szczęki, choć wcale nie miał takiego zamiaru. Rozszarpał ją na kilka części, szybko je połknął, po czym zrobił to samo z tym, co pozostało z pierwszej.

Następnie poleciał na dół po trzecią, a nawet czwartą; kiedy jadł, nie musiał o niczym myśleć i niczego nie czuł. Na obrzeżu żerowiska zebrała się niewielka gromada mniejszych smoków, które obserwowały go z niepokojem, a kiedy zaczął się rozglądać w poszukiwaniu kolejnej krowy, dwa z nich wzleciały natychmiast w powietrze, żeby mu ją przygonić. Ale żaden z nich się do niego nie odezwał. Kiedy skończył jeść, wzbił się w górę i skręcił w stronę rzeki. Leciał wzdłuż niej przez długi czas i wylądował, żeby się napić, dopiero wtedy, gdy był zupełnie pewny, iż znowu jest sam. Bolały go wszystkie stawy, jakby właśnie pokonał bardzo dużą odległość i to przy padającym deszczu ze śniegiem.

Obmył się najlepiej, jak mógł bez pomocy załogi, po czym wrócił do jaskini, żeby pomyśleć. Po jakimś czasie przyleciała do niego w odwiedzinach Perscitia z jakimś interesującym proble-

em matematycznym, ale on popatrzył tylko na to, po czym powiedział:

_ Nie. Pomóż mi znaleźć Monceya; chcę wiedzieć, jak przebiega wojna.

Dlaczego mnie pytacie, ja nic nie wiem - odpowiedział zaskoczony Moncey, kiedy go wytropili, oddającego się lenistwu na górskiej łące w towarzystwie kilku innych Winchesterów i małych dzikich smoków: grały w grę, która polegała na tym, że rzucały na ziemię stos gałęzi i starły się podnieść jak najwięcej z nich, nie upuszczając żadnej. - To przecież nas nie dotyczy, nie tutaj. Francuskie smoki zmierzają na północ. Tutaj nie będzie żadnych walk.

- To nas także dotyczy - odparł Temeraire. - To jest nasze terytorium, całe; a Francuzi chcą nam je zabrać. To tak, jakby chcieli zabrać wasze jaskinie, a nawet

więcej, ponieważ wraz z jaskiniami chcą wam zabrać wszystko inne.

Małe smoki odłożyły tymczasem swoje patyki i zbliżyły się, słuchając go z pewnym zainteresowaniem.

- Ale co chcesz z tym zrobić? - zapytał Moncey.

Nad całą okolicą, we wszystkich kierunkach, latały smoki kurierskie, i Moncey oraz inne Winchestery wróciły późnym popołudniem, przynosząc wiele najróżniejszych wiadomości. Nawet jeśli przytaczane przez nie liczby były czasem sprzeczne, a przynajmniej niezgodne ze sobą nawzajem, nie miało to większego znaczenia; Napoleon rzeczywiście wysadził na brzeg bardzo dużo żołnierzy, wszystkich w pobliżu Londynu, i nie wydano mu jeszcze żadnej wielkiej bitwy, żeby go zepchnąć z powrotem do morza.

- Główne siły ma wciąż jeszcze blisko wybrzeża, ale pewien gość powiedział mi, że jeden z jego marszałków, Davout, węszy już w Kencie, na południe od Londynu, a inny, Lefebvre, jest już gdzieś tam - mówił Moncey, wskazując tereny na zachód od miasta i najbliższe Walii.

- Och, tego znam, dowodził oblężeniem Gdańska - powiedział Temeraire. - Moim zdaniem nie radził sobie z tym zbyt dobrze. Nie przeprowadził zdecydowanego uderzenia, które wyparłoby nas z miasta, i sytuacja uległa zmianie dopiero wtedy gdy przybyła Lien i objęła dowództwo. Gdzie jest nasza armia

- Cofnęła się w okolice Londynu - odparła Minnow. Wszyscy mówią, że może w ciągu dwóch najbliższych tygodni zostanie tam stoczona wielka bitwa.

- W takim razie nie mamy chwili do stracenia - powiedział Temeraire.

Rzeszali wiadomość z prośbą o kolejne zebranie rady i wszyscy przybyli punktualnie. Duże smoki okazywały teraz Temeraire'owi znacznie większy szacunek, chociaż Ballista nie wyzbyła się jeszcze swojego protekcjonalnego tonu, kiedy powiedziała:

- Oczywiście jesteś przygnębiony, i nie ma się co dziwić; ale jestem pewna, że jeśli im powiesz, iż chciałbyś mieć nowego kapitana... fl

- Nie - przerwał jej Temeraire głosem tak głębokim, że całe jego ciało zadrżało, po czym spojrzał w bok, starając się uspokoić. Po chwili, kiedy wszyscy już umilkli, a

on uznał, że zapanował nad emocjami i może kontynuować, powiedział: - Nie wezmę innego kapitana, kogoś obcego; nie potrzebuję opiekuna, jakbym był jedną z krów Lloyda. Mogę walczyć samodzielnie, tak jak każdy z was.

- Ale o co tu walczyć? - zapytał Requiescat. - Nawet jeśli Francuzi zwyciężą, nie będą nam sprawiać żadnych kłopotów. Sprowadzi się to po prostu do tego, że ktoś inny będzie zabierał jaja i będzie to robił tak samo ostrożnie.

Rozległy się pomruki na znak zgody, a Moncey dodał nieco żalonym tonem:

- Sam przecież mówiłeś, jak niesprawiedliwie traktuje nas Admiralicja, nie dając nam swobody.

Wcale nie zamierzam usprawiedliwiać rządu - odparł Te-

fajre _ Ale ten kraj należy w takim samym stopniu do nas k do ludzi. To nasze terytorium i jeśli będziemy tutaj siedzieć, zjadając się krowami, kiedy Napoleon próbuje nam je odebrać, nie będziemy mieli żadnego prawa do skarżenia się na cokolwiek.

_ A na co mamy się tu skarżyć? - zapytał Requiescat. - Mamy tu wszystko tak, jak lubimy.

_ A więc będziesz się kłócił o jedną czy drugą niezbyt wygodną, wilgotną jaskinię, ale nie zrobisz nic, żeby móc spać w pawilonie, który nigdy nie jest wilgotny ani chłodny, nawet w zimie? - rzucił pogardliwym tonem Temeraire. - Wam się tylko wydaje, że macie tu wszystko tak, jak lubicie, a to dlatego, że przez całe życie byliście zamknięci tutaj lub w kryjówkach.

Kiedy już im opisał bardziej szczegółowo pawilony i smocze miasto w Afryce, dodał:

- A w Yutien widziałem smoki, które były kupcami i wszystkie miały całe stosy klejnotów. Laurence powiedział, że wykonano je tylko z cyny i szkła, ale i tak były bardzo piękne; a te w Afryce miały tyle złota, że mogły nim obwiesić wszystkich członków swoich załóg.

Tylko nieliczne z zebranych smoków nie westchnęły, przynajmniej lekko, usłyszawszy jego słowa, a te z nich, które miały na sobie jakieś ozdoby, popatrzyły na nie z dumą, czując na sobie tęskne spojrzenia innych.

- To wszystko wydaje mi się kupą bzdur, opowieści dla naiwnych - orzekł

Requiescat.

- W takim razie możesz tu zostać i wziąć sobie moją jaskinię, która nawet w jednej czwartej nie dorównuje pawilonowi - odparł chłodno Temeraire - a kiedy już pobijemy Napoleona ' weźmiemy łupy, ty nie dostaniesz nic; Moncey będzie miał więcej złota od ciebie.

- Lupy! - odezwał się Gentius, ocknąwszy się niespodziewanie. - Pomagałem raz w zdobyciu przyżu. Moja kapitan dostał czternastą część jego wartości. To za te pieniądze kupiła obraz

Wszyscy widzieli obraz Gentiusa i zareagowali na jego sł\ya pomrukami prawdziwego podziwu: to było lepsze od hipote tycznych klejnotów w dalekich krajach, których nikt nie widzia)

- Dobrze, już dobrze, uspokójcie się - powiedziała Bali, sta, ale choć waliła przy tym ogonem w ziemię, ton jej głosu był znacznie łagodniejszy. — Posłuchajcie, to jasne, że nikt nie chce, żeby Francuzi zwyciężyli; wszyscy, którzy kiedykolwiek służyli, mieli z nimi do czynienia. Ale ludzie nas nie zechcą, jeśli nie zgodzimy się na założenie uprzęży i przyjęcie kapitanów, a my nie możemy tak po prostu wałęsać się po polach bitew: zostaniemy otoczeni i ostrzelani. To nic zabawnego, nawet dla największych z nas.

- Tak się rzeczywiście stanie, jeśli będziemy walczyć bezmyślnie i pojedynczo - odparł Temeraire. - Ale nie ma żadnego powodu, żebyśmy tak robili, a poza tym nie można na nas dokonać abordażu, bo nie mamy uprzęży... ani nikogo, kogo wróg mógłby pochwycić. Stworzymy własną armię i sami opracujemy taktykę naszego działania, inną od tej, którą wymyślili ludzie, nie pytając nas o zdanie, chociaż sami przecież nie potrafią latać. To oczywiste, że jeśli tylko spróbujemy, znajdziemy lepsze rozwiązania.

- Hm, cóż - powiedziała Ballista; to był przekonujący argument, a ogólny pomruk zgody, którym na słowa Temeraire'a zareagowały zebrane smoki, tylko to potwierdził.

- Dobrze, już dobrze - odezwał się Requiescat. - Bardzo ładna historyjka, ale czegoś mi tu brakuje. Skarby i bitwy są w porządku, ale co zamierzasz zrobić w sprawie

obiadu?

Następnego ranka wylądowali wszyscy razem na żerowisku w porze karmienia. W zagrodzie kusząco muczały krowy,

nace. się wokół smakowite zapachy sprawiały, że Teme- a unoszą -t

• V rudem powstrzymywał się przed wysunięciem języka raire z 11 . . .

nięciem ich z powietrza. Pozostałe smoki też trzymały się

'Zkarbach: ani jeden nawet nie skierował nosa w stronę biegano bydła. Pasterze przez jakiś czas naganiali im ościeniami krowy, ale że nie doczekali się żadnej reakcji, zatrzymali się, zerkając niepewnie to na siebie, to na Lloyd'a.

Lloyd zaczął chodzić wzdłuż szeregu smoków, patrząc na nie z konsternacją i mówiąc błagalnie kolejno do każdego:

_ No idź tam, zjedz coś.

Temeraire odczekał, aż Lloyd zbliżył się do niego, po czym pochylił głowę i zapytał:

- Lloyd, skąd sprowadzasz te krowy?

Lloyd popatrzył na niego i powtórzył:

- No idź tam, zjedz coś, stary.

- Skończ z tym; mam na imię Temeraire, możesz też do mnie mówić „proszę pana” - powiedział Temeraire - gdyż grzeczność nakazuje, by tak zwracać się do innych.

- Och, aha - wyjąkał Lloyd, niezbyt sensownie.

- Słyszałeś, że Francuzi dokonali inwazji? - zapytał Temeraire.

- Ach! - odrzekł Lloyd z wyraźną ulgą. - Nikt z was nie musi się o nic martwić. Oni tutaj nie przyjdą ani nie będą przeszkadzać w dostawach krów. Wszyscy będziecie karmieni regularnie, krowy będą przybywać każdego dnia i nie ma potrzeby, żebyście się ograniczali i zachowywali je na później, stary...

Temeraire uniósł głowę i ryknął, niezbyt głośno, tylko żeby go uciszyć, ale i tak ze stoku po drugiej stronie żerowiska zsunęło się trochę śniegu; nie było go dużo, ot może stopa, ledwie tyle, żeby oprószyć mu pazury.

- Masz do mnie mówić „proszę pana” - powiedział, opuszczając nisko głowę, by zmierzyć Lloyd'a spojrzeniem jednego oka.

- Proszę pana - powtórzył słabo Lloyd.

Usatysfakcjonowany Temeraire usiadł na ziemi i zaczął tłumaczyć sytuację.

- Nie zostajemy tutaj — powiedział — a zatem, jak sam m miesz, na nic nam zapewnienia, że krowy będą tu dostarcza^ Zamierzamy walczyć z Napoleonem, wszyscy; i musimy zabra^ krowy ze sobą.

Lloyd początkowo nie mógł go zrozumieć; trwało to p0 nad pół godziny, zanim dotarło do niego, że wszystkie smoki opuszczają tereny rozplodowe i nie zamierzają wrócić. Kiedy to w końcu zrozumiał, wpadł w rozpacz i zaczął je błagać o pozostanie, przy czym tak się poniżał tymi prośbami, że Temeraire poczuł się okropnie zażenowany: Lloyd był teraz taki żalony, że odmówienie mu zakrawało na znęcanie się nad słabszym.

- Wystarczy tego - powiedział w końcu, zmuszając się do stanowczości. - Lloyd, nie skrzywdzimy ciebie, nie zabierzemy twojej żywności ani własności, a więc nie musisz się tak zachowywać tylko dlatego, że nie mamy ochoty tu zostać.

- Łatwo ci mówić; na pewno zostanę zwolniony ze stanowiska, a to jeszcze najmniejsze z moich zmartwień - odparł bliski łez Lloyd. - Moje życie nie będzie wiele warte, jeśli pozwolę wam wałęsać się po kraju, porywać chłopskie bydło gdzie popadnie...

- Ale my wcale nie będziemy niczego porywać - przerwał mu Temeraire. - To dlatego zapytałem ciebie, skąd pochodzą krowy. Jeśli rząd przeznaczył je na pożywienie dla nas, są nasze, i nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy ich zabrać i zjeść gdzie indziej.

- Ale one pochodzą zewsząd - odpowiedział Lloyd i wskazawszy ręką pasterzy, dodał: - Poganiacze przypędzają co tydzień stado z innej farmy. To tak, jakby karmiła was cała Walia; nie ma jednego miejsca.

Aha - mruknął Temeraire i podrapał się po głowie; wyobra- Śobie ogromną zagrodę, może gdzieś za górami, pełną krów, ^ 80 czekały na to, aż ktoś je stamtąd zabierze i dostarczy na _ Cóż - podjął decyzję - w takim razie będziecie musieli m pomóc: udacie się na te farmy i przypędzicie te krowy do i dzięki temu - dodał w

przebłytku natchnienia - nikt nie będzie mógł was potem oskarżyć, że pozwoliliście nam uganiać się po okolicy w poszukiwaniu jedzenia.

To rozwiązanie nie od razu przypadło do gustu pastuchom, którzy zaczęli protestować: niektórzy mieli rodziny, a żaden nie chciał iść na wojnę.

- Nie, to wszystko bzdury - przerwał im w pewnej chwili Temeraire. - Walka z Francuzami jest w takim samym stopniu waszym obowiązkiem jak naszym; nawet większym, ponieważ to jest wasz rząd i wcieliłby was do wojska, gdybyście byli potrzebni. Służyłem na morzu z wieloma wcielonymi do marynarki ludźmi i wiem, że to nie jest zbyt przyjemne - dodał, chociaż tak naprawdę niezbyt rozumiał, dlaczego ci ludzie nie chcą z nimi iść; każde miejsce było z pewnością lepsze od tej wstrętnej dziury, a poza tym coś by w końcu robili, zamiast tylko siedzieć beczynnie - ale jeśli Napoleon zwycięży, to także nie będzie zbyt przyjemne, a poza tym przypuszczam, że rząd przestanie wam wypłacać pieniądze, kiedy się dowie, iż siedzicie tu bez żadnych smoków. A jeśli pójdziecie z nami, dopuścimy was do udziału w zdobyczach, które weźmiemy.

które ' miejsce--

Słowo „zdobycze” okazało się magicznym kluczem do serc nie tylko smoków, ale i ludzi. Po krótkiej, cichej naradzie doszli do wniosku, że jeśli nie pójdą, to z całą pewnością zostaną obarczeni winą, natomiast nikt nie będzie mógł ich oskarżyć o niedopełnienie obowiązków, jeśli podążą za smokami, kiedy te „ciekną z terenów rozplodowych. A w każdym razie trudniej będzie ich o to oskarżyć.

- Będziemy gotowi już w przyszłym tygodniu - powie Lloyd, w ostatniej rozpaczliwej próbie zyskania na czasie, -Gdy byście teraz coś przekąsili i trochę się przespali...

- Wyruszamy teraz - przerwał mu Temeraire, po czym wstał i zawołał: - Straż przednia, w górę! I możecie zabrać swoje śniadanie.

Małe smoki z Monceyem na czele rzuciły się radośnie na stado bydła, choć raz pierwsze w kolejności, i wciąż jeszcze jedząc, wzbily się w powietrze; być może

wyglądało to trochę makabrycznie i niechlujnie, ale przynajmniej nie trwało długo. Minnow połknęła głowę krowy i pomachała skrzydłem.

- Zobaczymy się na wyznaczonym miejscu spotkania - krzyknęła w dół. - Komu w drogę, temu czas - dodała, zwracając się do innych smoków kurierskich, po czym wszystkie pomknęły zaplanowanymi trasami, które wiodły na północ i wschód.

- Czy teraz możemy wreszcie coś zjeść? - zapytał żałośnie Requiesscat, odprowadzając je wzrokiem.

- Tak, możecie, ale teraz zjecie tylko połowę, a resztę zabierzecie ze sobą i dokończycie po drodze; a to dlatego, żebyście nie byli na początku zbyt ociężali, a pod koniec znowu głodni - odparł Temeraire. - Lloyd, lecimy do Abergavenny; wiesz, gdzie to jest?

- Ale my nie zdołamy zapędzić tam bydła do jutra - powiedział Lloyd.

- Doprowadź je zatem tak blisko, jak zdołasz, a my już jakoś sobie poradzimy - odparł Temeraire; miał już dosyć słuchania o trudnościach. - Widziałem, jak walczy armia Napoleona. Za tydzień będą w Londynie, więc my też tam musimy być.

- Do Londynu jest jakieś sto pięćdziesiąt mil - zaprotestował Lloyd.

- To jeszcze jeden powód, żeby się spieszyć - powiedział Temeraire i wzbił się w powietrze.

Rozdział 5

O

szołomiony Laurence stał przez jakiś na pustym żerowisku, po czym kilka razy zawołał Temeraire'a. Nie doczekał się jednak żadnej reakcji poza stłumionym echem, którym odpowiedziały mu skalne urwiska. Udało mu się także przykuć na chwilę uwagę rudej wiewiórki, która zatrzymała się, żeby na niego popatrzeć, po czym znowu ruszyła swoją drogą.

W tym samym momencie za jego plecami wylądowała Elsie.

- Na niebie nie widać ani jednego skrzydła - krzyknął Hol- lin. - Ale znaleźliśmy...

Elsie zaniósła ich do jaskini, która ciągnęła się daleko w głąb góry. Chociaż szybko zapadał zmrok, Laurence dojrzał, a potem wymacał palcami wycięte głęboko w skale litery imienia Teme- rairea. A więc przynajmniej był w tym miejscu i miał się na tyle

dobrze, że je oznaczył. Zrobili coś w rodzaju pochodni i w jej świetle zbadali jaskinię, ale była tak schludna i posprzątana, że n'e znaleźli śladów, które mogłyby im powiedzieć, kiedy została opuszczona: żadnych kości ani innych resztek jedzenia.

Wprawdzie od lądowania Francuzów minęły dopiero dwa dni, ale jeśli wszyscy pasterze uciekli i regularne dostawy bydła zostały zakłócone, to przy tak wielkiej liczbie smoków żyjących na terenach rozplodowych zapasy żywności mogły się szybko skończyć. Głodne stworzenia musiały się rozproszyć po okoli- i to zapewne we wszystkich kierunkach róży wiatrów.

- Nie martwmy się na zapas - powiedział pocieszająco! Hollin. - On jest bardzo zaradny, a poza tym opuściły to miej. sce całkiem niedawno. W zagrodzie są świeżo ogryzione kości najwyraźniej z dzisiejszego ranka.

Laurence pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że nie był tak niemądry, by czekać tu do samego końca - odparł cicho. - Tych smoków jest tak dużo, że bez wątpienia ogołocą z bydła całą okolicę, a on musi jeść więcej od mniejszych stworzeń.

- Ja jestem mniejszym stworzeniem - wtrąciła Elsie, nieco zaniepokojona - ale też muszę coś zjeść, a tu nie ma niczego.

Polecili do Llechrhyd, najbliższej wioski, którą udało im się znaleźć, i kupili dla niej owcę. Gospodyni, która ją sprzedała, wyjaśniła im, że jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności smoki nie ogołociły wsi z jedzenia.

- Dziś rano poleciały na wschód, wszystkie naraz - powiedziała staruszka Laurence'owi, kiedy Elsie dyskretnie spożywała obiad za stajnią - jak chmara ogromnych wron. Było ciemno przez pół godziny, kiedy przelatywały nad nami, i myśleliśmy, że w każdej chwili spadną na nas; to wszystko, co mogę o tym powiedzieć.

- Hollin - odezwał się Laurence, kiedy odwrócił się od niej, zniechęcony. - Nie wiem, jak powinienes teraz postąpić; obawiam się, że mamy za mało informacji, a jeśli on po prostu szuka żywności, nie jesteśmy w stanie się domyślić, dokąd poleciał.

- Cóż, kapitanie - odparł Hollin - polecili mi sprowadzić pana razem z nim i sądzę, że dopóki nie usłyszę innych rozkazów, te są aktualne. Tak czy owak, przypuszczam,

że jutro go odnajdziemy, z samego rana lub trochę później. To nie jest istota, którą łatwo przegapić.

Jsjie wziął jednak pod uwagę zamieszania, jakie wywołał ?dok dziesiątków smoków lecących jednocześnie po niebie. Rzeczywiście smoki, w liczbie mnogiej, widziano wszędzie - straszliwe, grasujące po okolicy potwory - i nikt nie wiedział, jak to się stało, że je wypuszczono na wolność i pozwolono im ot tak latać, dokąd tylko chcą. Jednak o jednym konkretnym, czarnym z kieżą, nikt nie miał nic do powiedzenia.

Jeden rolnik trzydzieści mil dalej, na tyle wojowniczy, że okazał odwagę, nie ukrył się w piwnicy domu podczas ich wizyty, i przysięgał, iż pewien olbrzymi smok pożarł jego cztery krowy, po czym poinformował go, że zostały skonfiskowane na cele wojenne i że rząd za nie zapłaci. Na potwierdzenie swoich słów pokazał nawet stary dąb, na którym smok wydrapał znak mający być podstawą do żądania zwrotu pieniędzy, rozbudzając na chwilę nadzieję w sercu Laurence'a. Nie był to jednak znak chińskiego pisma, tylko X, niezdarnie wyryte w korze, z czterema kreskami poniżej.

- Był czerwono-żółty, jak ogień - zniweczył ich nadzieje najstarszy z synów gospodarza, który mimo ręki usiłującej go powstrzymać matki wyrzwał przez okno.

Dziesięć smoków zatrzymało się przy jeziorze na terenie okazałej posiadłości w Monmouthshire, gdzie zaspokoili pragnienie i zjadły trochę jeleni, jak poinformowała ich wystraszona gospodyni: na ziemi przy brzegu widniało dziesięć starannie nakreślonych znaków X.

- Nie potrafię panu powiedzieć, czy były czarne, czerwone czy też w żółte i zielone cętki, gdyż myślałam wtedy tylko o tym, by nadal oddychać, zwłaszcza że połowa moich pokojówek już zemdląła - odpowiedziała na pytanie Laurence'a. - A potem jedno z tych stworzeń podeszło do drzwi i zapytało nas przez nie. czy mamy zasłony. Czerwone - dodała. - Wyrzuciłyśmy na zewnątrz wszystkie z sali balowej, a one je wzięły i odleciały.

Laurence był skonsternowany: zasłony? Już bardziej 2rnJ miały dla niego byłoby to, gdyby smoki zażądały srebrnej ^ Ale przynajmniej poruszały się w grupie, a w tym, że pod.

czas

grabieży rolników starały się usprawiedliwić, dostrzegł wpj^.

Temeraire'a, jeśli nie dowód jego obecności: było to dokładne naśladownictwo tego, co widzieli w Chinach, gd^ smoki kupowały różne dobra, zostawiając sprzedawcy swój znak

Następnego dnia natknęli się na kolejnego gospodarza z ko lekcją X-ów, który, o dziwo, wcale nie byt z tego powodu nie- szczęśliwy. Smoki zjadły mu wczoraj cztery krowy, przyznał ale tego ranka przyszli jacyś ludzie pędzący bydło i dali mu w zamian inne, które teraz pasły się na pobliskiej łące: cztery piękne mięsne krowy, o wiele lepsze od chudszych zwierząt z jego własnego stada, jak szczerze przyznał.

Siedem smoków widziano w Pen-y-Clawdd, cztery wylądowały przy rzece w Llandogo, a jeden z nich mógł być czarny... tak, z pewnością był czarny.

Kilkanaście... nie, kilkadziesiąt... nie, co najmniej sto... liczby wykrzykiwane przez tłum w gospodzie rosły, aż stały się zupełnie niewiarygodne. Laurence uznał je za takie, ale musiał zmienić zdanie kilka mil dalej, kiedy Elsie wylądowała na zrytej pazurami łące, na której znaleźli ślady obecności dużej liczby smoków. W jej niżej położonej części, z dala od wody, były nawet porządnie wykopane doły na nieczystości, zasypane, ale wciąż rozsiewające woń.

n|emai

- Wygląda na to, że się do nich zbliżyliśmy - powiedział krzepiącym tonem Hollin, ale następnego dnia nie dostrzegli nawet koniuszka skrzydła, chociaż rozpytywali godzinami, a Elsie krążyła po coraz większych okręgach, żeby umożliwić im indagowanie jak największej liczby ludzi. Wszystkie smoki, co do jednego, zniknęły bez śladu.

jutro znajdziemy się już blisko Francuzów, a zatem od ' będziemy poruszać się tylko wtedy, kiedy jest ciemno - ^'edział Temeraire - i próbujcie zachowywać się jak najciszej. Przekażcie WSZYStkim, żeby nie lecieli tam, gdzie widzą światła lbo gdzie wyczują krowy, bo te mogą ryczeć, uciekać i narobić zamieszania.

Inne smoki pokiwały głowami, po czym Temeraire wstał z ziemi i poszedł obejrzeć ich własną zagrodę z bydłem. Bardzo mu brakowało Gong Su. Nawet nie chodziło o to, że gotowane jedzenie jest o wiele smaczniejsze; smak pożywienia był mu teraz zupełnie obojętny. Gong Su potrafiłby jednak zrobić z jednej krowy posiłek dla pięciuset smoków, jeśli tylko miałby na podorędziu ryż lub coś innego, z czym mógłby ugotować mięso.

Im dalej byli od Walii, tym bardziej się wszystko komplikowało. Lloyd powiedział, że pędzenie krów tak daleko jest zbyt drogie, gdyż muszą być po drodze karmione, a poza tym nie można ich sprowadzić bardzo szybko, bo zaczną chorować, schudną i przestaną być dobre do jedzenia. Sytuacja znacznie się poprawiła, kiedy Majestatis zaproponował, żeby pożyczyć krowy z góry i spłacać pożyczki tymi, które przypędzą Lloyd i jego ludzie. Gdyby jednak stale latali po okolicy i wyłapywali krowy na pobliskich farmach, Francuzi prędzej czy później musieliby o tym usłyszeć: siły marszałka Lefebvre'a same były zajęte chwytniem krów, gdzie się tylko dało.

- Może nie powinniśmy czekać, aż krowy zostaną przygnane do nas - powiedział Moncey. - Zawsze możemy polecieć po nie i wrócić.

- To zupełnie niedobry pomysł - sprzeciwiła się gwałtownie Perscitia. - Im dłużej będziemy lecieć po zaopatrzenie, tym więcej mięsa będziemy musieli zjeść tylko po to, żeby tam dotrzeć i wrócić. To będzie zwykła strata, zarówno mięsa, jak i czasu, który zamiast na walkę przeznaczymy na latanie tam i z powrotem.

- Linie zaopatrzeniowe - odezwał się Gentius, smęć- kręcąc głową - Podczas wojny wszystko zależy od linii zaopj. ? trzeniowych, jak mówiła moja trzecia kapitan.

Nalegał, żeby go zabrali ze sobą, chociaż latał już niebvt dobrze i szybko się męczył. Jednak stracił już tyle na wadze że mógł go ponieść każdy z ciężkich smoków, a świadomość, że mają ze sobą Longwinga, bardzo wszystkich cieszyła.

Jeśli pominąć kłopoty z aprowizacją, Temeraire był zadowolony z postępów, jakie poczynili. On i Perscitia wymyślili kilka manewrów, o których nawet Ballista wyraziła się z uznaniem, a Moncey z towarzyszymi znosili przez cały czas nowe wiadomości o Francuzach, chociaż obserwowali ich z dość dużej odległości, żeby uniknąć niebezpieczeństwa pojmania; Temeraire próbował znaleźć jakąś lepszą

metodę szpiegowania, ale chwilowo nic mu jeszcze nie przyszło do głowy. Przekonali się również, że jeśli małym smokom wolno będzie spać na dużych, zamiast na ziemi, ich obozowiska nie będą zajmowały zbyt wiele miejsca i wszystkim będzie cieplej, a po pierwszym fatalnym dniu nauczyli się kopać doły na nieczystości z dala od wody.

To było bardzo nieprzyjemne, a pięć smoków dość poważnie się pochorowało, gdyż były tak spragnione, że mimo smrodu i tak napiły się wody. Kilka innych, bez wyjątku dzikich, które nigdy nie służyły, znudziło się całą wyprawą i ruszyło swoją drogą. Część z nich jednak szybko wróciła, przekonawszy się, że znalezienie żywności wcale nie jest łatwe, co tylko przypomniało Temeraire'owi, że musi jakoś rozwiązać kwestię zaopatrzenia.

- Możemy polecieć i przynieść tu dużo krów, jeśli najpierw oszołomimy je laudanum - powiedział - ale tak sobie myślę, że najlepiej będzie zjeść najpierw bydło, które rekwirują w tej całej okolicy Francuzi, zostawiając im kłopot jego gromadzenia. Dzięki temu będziemy mogli jednocześnie bić się i jeść.

Wszyscy się zgodzili, że to jest sensowny pomysł taktyczny, dla Temeraire'a był o tyle istotny, że uzasadniał jego chęć najszybszego podjęcia walki. To pragnienie przemocy, nie wobec kogoś konkretnego, lecz ogólne, głód jakiegoś gwałtownego działania, płonęło w nim teraz coraz mocniejszym ogniem, Percitia i Moncey często przyglądali mu się z niepokojem. Czasem budził się, nie ze snu, ale jakiegoś stanu pośredniego, i stwierdzał, że jest sam, opuszczony przez pozostałe smoki, które odleciały na pewną odległość i przykucnąwszy nisko, obserwują go z uwagą.

- To jego zamykanie się w sobie nie jest zdrowe - powiedział głośno Gentius po naradzie, nie zauważywszy, że Temeraire jest jeszcze na tyle blisko, by go usłyszeć. - Wy nie wiecie, co to znaczy mieć naprawdę dobrą kapitan i ją utracić: to gorsze od kradzieży całego waszego skarbu. To dlatego od czasu do czasu zachowuje się tak dziwnie. Potrzebna mu jest dobra bitwa, ot co, odrobina krwi.

Temeraire zgodził się z nim w duchu. Nie podobało mu się uczucie, że jest pasażerem we własnym życiu, że daje się nieść prądowi i o niczym nie decyduje.

Dlatego pokusa, żeby natychmiast poszukać okazji do bitwy, która mogłaby to wszystko naprawić, była niemal nie do odparcia.

Ale przecież sprowadził tu wszystkich; nie mógł ich zostawić własnemu losowi albo wciągnąć w bezmyślną awanturę, nawet jeśli jemu by się to podobało.

Rozmyślał zatem nad strategią, a kiedy pragnienie natychmiastowego działania stawało się nie do zniesienia, odchodził na bok i zwinawszy się ciasno w kłębek, z głową na boku, przykrytą skrzydłem, powtarzał po cichu fragmenty z Principia mathematica, dzieła, które Laurence czytał mu tak często, że znał je niemal całe na pamięć. A kiedy jeszcze bardziej ściszył głos i nadał mu monotonną barwę, niemal mógł sobie wyobrazić, że słyszy Laurence'a, który czyta mu w deszczu, bezpieczny u jego boku.

Okazało się jednak, że nie musi już dłużej tłumić
sobie,

chęci do walki. Następnego ranka do obozu przybyli Min i Reedly, lecąc tak szybko, że po wylądowaniu musieli wyk0 po kilka podskoków, zanim udało im się wyhamować. Przyn^ nowe wiadomości, bardzo ciekawe. j^^ft

- Świnie - wysapał Reedly - bardzo dużo, cała zagroda za ich armią, a niektóre tak wielkie jak kuce.

- Świnie - odezwał się w zamyśleniu Gentius, otworzywszy lekko oko. - Świnie to dobre jedzenie. ^^H

- Świnie łatwo utrzymać - wtrącił Lloyd. - Zagnamy je do lasu, a one tam same się wyżywią. Będziecie sobie łapali po jednej, kiedy zechcecie, albo spędzicie w stado, gdy ruszymy dalej,

- Pilnują je tylko dwa stare Chevaliery - dodała Minnow. - Są wielkie, ale leniwe, i mocno spały, kiedy je widzieliśmy.

- Bardzo dobrze - powiedział Temeraire, starając się, żeby jego głos brzmiał spokojnie, choć z trudem panował nad ogonem, który, jakby kierowała nim własna wola, chciał walić w ziemię w wielce niestosowny sposób. - Lloyd, ty i twoi ludzie polecicie tam na Monceyu i Winchesterach. Poczekacie, aż zaatakujemy i wszystkich

przegonimy, a potem przygnacie te świny tutaj. - A teraz, Minnow - ciągnął, odwróciwszy się i wyglądziwszy kawałek ziemi końcem ogona - pokaż mi, jak wygląda ich obóz...

w

Wyruszyli dwie godziny przed zmierzchem. Ponieważ Minnow i Reedly byli zupełnie pewni, że we francuskim obozowisku nie ma Fleur-de-Nuitów, postanowili zaatakować w nocy, kiedy wszyscy wrogowie będą spać i najłatwiej ich będzie zaskoczyć. Wtedy też najtrudniej im będzie podjąć pościg za nimi i przechwyconymi świniami. Zdecydowano też, że małe smoki polecą na końcu, a Temeraire po pewnym namyśle umieścił na czele formacji Armatusa, jednego z Chequered Nettle'ow, z Gentusem na grzbiecie. Po obu jego stronach lecieli Ballista

a za nim Requiescat, któremu towarzyszyły dwa Yellow Reapery niosące ich chorągwie.

Nie były one zbyt eleganckie, ot po prostu aksamitne zasłony przywiązane do pni młodych drzewek, ale każda prawdziwa annia powinna mieć chorągwie, a poza tym czerwień była kolorem który dobrze wróżył. Powiewając w powietrzu, wyglądały wspaniale, zwłaszcza niesione przez Yellow Reapery po obu stronach pomarańczowo-czerwonego Requiescata. Wszyscy poweselili, kiedy się wydeły na wietrze, a szczególnie zadowolone były Reapery, które wręcz pękały z dumy. Nawet Requiescat odwrócił głowę i powiedział:

- No, no, rzeczywiście robią wrażenie.

Temeraire, do którego były skierowane te słowa, pochylił tylko sztywno głowę; był tak podekscytowany, że nie chciał nic mówić, gdyż sam sobie nie ufał.

Kiedy dotarli na miejsce, słońce już za nimi zaszło, a przed sobą mieli francuski obóz; wszędzie między namiotami jaśniały światła małych ognisk, na których żołnierze gotowali posiłek.

- Gentius - powiedział Temeraire - kiedy zaryczę, ty polecisz pierwszy... pokaż im tylko swoje skrzydła i pluń gdzieś blisko dział, a potem wracaj do Armatusa i razem z nim do naszego obozowiska. Masz zbyt słaby wzrok, by pluć, kiedy już uderzymy,

ale oni nie będą tego wiedzieć i przypuszczam, że twój widok bardzo ich wystraszy.

- Ha! - odparł Gentius. - Znowu walka, w moim wieku; czuję się tak, jakbym się właśnie wyklął z jaja. - Po czym pomachał lekko skrzydłami, przygotowując się do boju.

• Majestatis.

Temeraire odłączył się od reszty i wznosząc się po drodze coraz wyżej, poleciał w stronę obozu. Kiedy znalazł się dokładnie nad nim, zawisł w miejscu; księżyc jeszcze nie wzeszedł i nie sądził, że ktoś go dostrzeże. Czuł się bardzo osobliwie, kiedy był tak blisko wroga, ale jeszcze nie walczył, mógł rozpocząć

bitwę w chwili, którą sam wybierze; i nie całkiem przyjemnie. Zawsze wydawało mu się, że decyzja, kiedy powinno się sforsować do przodu i zaatakować, jest zupełnie prosta i naturalna- wtedy był odpowiedzialny tylko za siebie. Teraz musiał myśleć

O tak wielu innych, i o nieprzyjaciółach też. Istnieje możliwość, że usłyszał, że w pobliżu jest jeszcze dużo innych francuskich smoków, o których nie słyszeli ani których nie widać, a które mogą się pojawić znikąd i odwrócić losy bitwy. Wtedy ją przegrają i to będzie jego wina.

Ta myśl była tak niepokojąca, że niewiele brakowało, a wróciłby do innych, by zapytać ich o zdanie. Popatrzył na północny zachód i zobaczył ich: wielką masę cieni ciemniejszych od drzew

i pół ciągnących się pod nimi. Zbliżali się tak wolno, jak tylko mogli, uderzając leniwie skrzydłami, gdy znaleźli się zbyt blisko ziemi, by znowu wzbić się wysoko, kreśląc w powietrzu wielkie kręgi, zamiast lecieć prosto, czekając na jego sygnał. Gdyby tylko ktoś mógł mu udzielić rady...

Ale był zupełnie sam. Zadrżał, ale chowanie głowy w piasek nie miało sensu; nie miał przy sobie nikogo do pomocy i musiał sam zdecydować. W dole, na wzgórzu za niskim, niezbyt starannie usypanym szańcem, wzdłuż którego swobodnym krokiem przechadzali się wartownicy, spały dwa Chevaliery. Wszędzie widać było ogniska, a także pewną liczbę koni - w pewnej chwili wiatr się nieco wzmógł i jeden z nich uniósł głowę, po czym zarżał niespokojnie; inny zaczął grzebać kopytem i

rzucić łbem.

- Ce n'est rien, ce n'est rien - rzucił uspokajająco żołnierz, który jadł blisko nich kolację.

Temeraire napełnił płuca powietrzem, pomyślał o Laurensie i ryknął.

Ryczał przez długi czas. Oba Chevaliery natychmiast zerwały się ze snu na swych polanach, rozkładając skrzydła, nawet zanim zdążyły otworzyć oczy. Wściekle rycząc w odpowiedzi, kręciły

ześnie głowami na wszystkie strony i wypatrywały go na jedno«- ^ rozk|tyCh Wokół nich namiotów wybiegali pospiesznie niebie ^merajre dostrzegł jednego z kapitanów, lśniącego zło-

Z'e'naramienników, który dopadł smoka i szybko znalazł się ten^ o arzbiecie. Oba Chevaliery wzbiły się szybko w powietrze niekompletnymi załogami, zostawiając na ziemi tych członków, którzy nie zdążyli się ucześcić uprzęży.

_ Je suis l?!- zahuczał Temeraire i uderzając potężnie skrzydłami, odleciał tyłem na pewną odległość od obozu, po czym znowu zaryczał: - Me voil?!

Oba nieprzyjacielskie smoki wykonały ciasny zwrot w powietrzu i obnażywszy zęby, rzuciły się prosto na niego. Unosząc się w miejscu, czekał na nie, po czym w ostatniej chwili złożył skrzydła i gwałtownie opadł, usuwając im się z drogi. Przemknęły nad nim, roziskrzone błyskami karabinowych strzałów oddawanych z ich grzbietów - a za nimi Gentius spłynął nagle z nieba nad obóz, szybując z gracją na swych szeroko rozłożonych, ogromnych skrzydłach, i opluł kwasem dziesięć ustawionych w szeregu dział.

Dzwony alarmowe były już teraz jak szalone, wszędzie zapalano pochodnie, a żołnierze pospiesznie ustawiali się w szeregach. Garstka koni rżała rozpaczliwie, próbując się zerwać z uwięzi. Temeraire z trudem panował nad podnieceniem, które nim owładnęło, gdy zobaczył, jak Requiescat z Ballistą i Ma- jestatisem lecą tuż nad ziemią przez obóz, zrywając pazurami płachty namiotów, a ogonami wywracając maszty i rozrzucając na wszystkie strony ogniska. Widok czerwonych chorągwi płonących krwawym blaskiem w świetle wybuchających wszędzie pożarów był kroplą, która przelala czarę.

Zanurkował i rozłożywszy szeroko krezę, dołączył do innych. Nie zatrzymując się ani na chwilę, smoki przedarły się przez cały obóz, po czym wzbiły się w górę, ciągnąc za sobą płachty namiotowe, sznury i wszystko inne, co zahaczyło się na ich pa- żurach. Gdy znalazły się na wysokości przekraczającej strażu, zrzuciły ten cały ładunek na obóz.

Tę myśl podała im Perscitia, ponieważ nie mieli bomb i

- Zwłaszcza gdyby udało wam się porwać trochę namiot' zrzucicie je na działa pieprzowe - powiedziała i ta rada okaz[^] się bardzo dobra. Wprawdzie większość namiotów zwinęła s' spadając, ale jeden szczęśliwie się rozłożył i spłynął na oddział żołnierzy próbujących wycelować długolufę działa pieprzowe a bagnety karabinów, które przebiły płótno, utrudniły im szybkie wyplątanie się z niego.

- Och! - krzyknął rozradowany Temeraire. - Och, to jest skuteczne! Perscitia, popatrz... - ale Perscitii nie było w pobliżu, a on nie miał czasu jej szukać.

Chevaliery zawróciły, ale nie atakowały - swąd kwasu Gen- tiusa był tak ostry, że każdy smok, jeśli tylko zechciało mu się wysunąć język, mógł go poczuć, a dzięki światłom pożarów wznieconych w obozie, które odbijały się czerwonym blaskiem od brzuchów Temeraire'a, Majestatisa, Requiescata i Ballisty, stało się dla nich jasne, że mają przed sobą cztery ciężkie smoki bojowe. Temeraire szybko się odwrócił i wrzasnął:

- Chalcedony! Obleć je od tyłu!

- Co? - odkrzyknął Chalcedony, który krążąc w powietrzu, próbował utrzymać pozycję w masie innych Yellow Reaperów i średnich smoków, które czekały, aż nadejdzie ich kolej uderzenia na obóz.

- Chevaliery! Oblećcie je wszyscy i zaatakujcie od tyłu, spychając na nas - krzyknął niecierpliwie Temeraire.

- Aha! - odparł Chalcedony, a Reapery całym stadem zatoczyły łuk i znalazły się za Chevalierami.

- Druga linia! - huknął gromko Temeraire.

Anglewingi i Grey Coppery rzuciły się w dół dwiema grupami, i dokonały kolejnego przelotu przez obóz, w poprzek trasy

,-oranej wagi

1 w najlepszych okolicznościach trudno je było trafić, a że marzyli z karabinów do Temeraire'a, Majestatisa, żołnierze mien-y uiescata i Ballisty, czyli w zupełnie złym kierunku, okoli zności wcale nie były najlepsze, przynajmniej dla Francuzów.

Jednak nie wszystkie Anglewingi zachowywały się rozsądnie. Yeiocitas, Palliatia i kilka innych, pyszniąc się swoimi umiejętnościami, zamiast lecieć prosto, zatrzymywały się nagle w powietrzu, cofały się nieco, po czym znowu zmieniały kierunek albo wykonywały inne skomplikowane manewry. Wszystko to było niepotrzebnym popisywaniem się i Temeraire patrzył na nie z irytacją, przebywały bowiem nad obozem o wiele dłużej, niż powinny, narażając się na niebezpieczeństwo postrzelenia. A poza tym zbliżał się czas, kiedy po raz drugi miały zaatakować ciężkie smoki.

Po chwili pomyślał jednak, że to było samolubne z jego strony, a ich czeka w zamian wspaniała walka z Chevalierami; ale kiedy się rozejrzał, zobaczył, że wcale ku nim nie lecą: były zbyt zajęte obroną przed atakami Reaperów. Mniejsze smoki rzucały się na nie parami i gdy tylko któryś z Chevalierów odwracał się, by je odeprzeć, druga para ruszała na niego z przeciwnej strony. Co w>ęcej, Reapery atakowały z dołu, a zatem ludzie z załóg francuskich smoków nie mogli prowadzić do nich zbyt celnego ognia.

- Och - mruknął zde gustowany Temeraire; wszystko to było prowadzone bardzo zręcznie, ale on pragnął czegoś zupełnie innego.

poprzednio przez ciężkie smoki. Wszystkie były śred- ' i lekkie, ale tak nadzwyczajnie szybkie i zręczne, iż

\W

Przynajmniej Grey Coppery zachowywały się bardziej rozsądnie - podczas gdy Anglewingi popisywały się swoją zręcz- noscią, lekkie smoki chwyciły, co wpadło im pod łapy, maszty °d namiotów, młode drzewka, które wyrywały z ziemi, i tłukąc

nimi gdzie popadło, zbijaly z nóg ludzi, wywracały namioty i wzniecały coraz to nowe pożary.

- Zaraz wypalą z armaty - powiedział lakonicznie Majestatis, wskazując długim pazurem Francuzów, którym pomimo zamieszania udało się obrócić we właściwym kierunku jedną z armat; obok niej kilkunastu innych celowało z dział pieprzowych.

- Uciekajcie! - krzyknął gorączkowo Temeraire. - Velocitas! Palliatia... Och, nie słuchają! - I zapłaciły za to. Armata strzeliła kartaczem, po chwili zawtórowały jej działa pieprzowe, a sieczone pociskami Anglewingi podniosły dziki wrzask. -

Ruszajmy, Majestatis, jesteśmy najszybsi...

- Hej, ja tu nie zamierzam siedzieć beczynn timer - zaprotestował Requiescat, ale Temeraire już runął w dół, rycząc ogłuszająco.

- Armata dla mnie - krzyknął Majestatis, nurkując za nim, i zdołał ją przewrócić, gdy nad nią przemknął, masakrując przy tym swymi długimi pazurami artylerzystów.

Temeraire podleciał do Anglewingów i podsunął bark pod Velocitasa, który ucierpiał najbardziej, trafiony pieprzowym pociskiem prosto w pysk. Jego złocisto-żółta głowa była cała upstrzona czarnymi i czerwonymi plamami, oczy i nozdrza już mu spuchły, a z pyska spływały mu strumienie śluzu; przez cały czas żałośnie jęczał.

I wtedy za nimi zleciał gwałtownie Requiescat, który poruszał się zbyt szybko jak na swoją masę i mimo że rozłożył szeroko skrzydła, aby wyhamować, wpadł między nich, roztrzając na wszystkie strony smoki i żołnierzy, i wyorując swymi pazurami oraz ogonem wielką bruzdę w środku obozu.

- W górę! - krzyknął wściekle Temeraire, uwalniając się z kilku płacht namiotowych i strząsając dwóch żołnierzy, którzy wylądowali na jego łapie. - Wszyscy w górę, natychmiast! - Swój rozkaz okraszył rykiem, który skierował w stronę stosów amunicji ułożonych starannie obok dział. Piramidy pocisków zadrżały i rozleciały się, ciężkie kule zaczęły się toczyć po całym terenie, miażdżąc ludziom nogi i zmuszając smoki do poderwania się w powietrze.

_ Patrzcie, patrzcie - zawołał Fricatio, jeden z Grey Coppe- rów, wzbijając się w górę - złapałem konia. - Pomachał martwym zwierzęciem, które trzymał w pazurach.

_ To nie czas na jedzenie! - krzyknął Temeraire, ale że przypomniało mu to o ich

prawdziwym celu, wzbił się jeszcze trochę wyżej, żeby popatrzeć na zagrodę: jej brama była szeroko otwarta, a wokół świń poruszało się wiele cieni. - Mamy świnię! -oznajmił i wszystkie smoki przyjęły jego słowa radosnymi okrzykami, a Temeraire dodał: - Teraz możemy wracać!

- Dlaczego? - zapytał Majestatis.

- Co dlaczego? - odpowiedział pytaniem Temeraire.

- Dlaczego mamy wracać? - powtórzył Majestatis i wskazał w dół: wszyscy nieprzyjacielscy żołnierze uciekali na wschód, zatrzymując się tylko po to, żeby załadować rannych na wozy i wywieźć ich z miejsca zagrożenia. Wysoko w górze Chevaliery zawróciły i także odlatywały, a obóz, opuszczony i cały w ogniu, należał do zwycięzców.

- Cóż - zaczął Temeraire następnego ranka, patrząc na lekko osmaloną lufę - wygląda to ładnie, ale nie bardzo wiem, co możemy z tym zrobić.

- Spuścić im na głowy w następnej bitwie - zasugerował Moncey.

- Co za głupie gadanie; nie zmarnujemy tak dobrej armaty - powiedział Gentius. - Potrzebujemy ludzi, którzy będą z niej strzelać. Prawdziwych artylerzystów. I potrzebujemy Prawdziwych lekarzy - dodał - dla nas i dla nich. - Wskazał jeńców, w większości rannych, których towarzysze zostawili na polu bitwy. Nie było ich zbyt wielu; zanim smoki zdołały ugasić pożary, niemal wszystkie ofiary walki zmarły.

Lloyd i jego ludzie wynieśli tych, którzy przeżyli, i rozbili dla nich namiot, ale martwych zostawili tam, gdzie leżeli. Bitwa była bardzo satysfakcjonująca, choć nie tak długa, jak można by sobie życzyć, i nieco chaotyczna. Temeraire nie żałował, że musieli zabić tych żołnierzy: dobrze się stało, gdyż w przeciwnym razie musieliby z nimi znowu walczyć, a poza tym to oni w końcu najechali jego kraj. Przykro mu jednak było, że nie żyją, i gdy na nich patrzył, ogarniał go smutek.

Większość dzikich smoków nie rozumiała powodów jego przygnębienia, a dwa nawet rzuciły pomysł, żeby zjeść trupy. Przerażony Temeraire położył krezę na karku, a że i wszystkie inne smoki powitały tę propozycję sykami dezaprobaty, została wycofana.

- Tak, dosyć takiego gadania-powiedziałGentius.-Ale nie możemy też zostawić ich

tak leżących jak jakieś śmieci. To nie przystoi; byli godnymi przeciwnikami.

Tak więc dwa Reapery wykopały grób, może nawet zbyt głęboki, bo na jakieś dwadzieścia stóp, a smoki kurierskie zebrały ciała zabitych i złożyły je w środku. Kiedy zasypali dół, Chalcedony z szacunkiem wbił w kopiec najmniej spaloną z francuskich chorągwi, wszyscy uroczyście pochyłili na chwilę głowy, po czym zjedli trochę świń.

Po załatwieniu tej sprawy mogli się zająć przeszukaniem resztek obozu. Większość rzeczy się spaliła, z wyjątkiem metalowych garnków, sprzączek, kul armatnich i, co wzbudziło największe podniecenie, wielkiej bryły złota powstałej ze stern stopionych suwrenów, którą znaleźli w zwęglonej szkatule. Ree" dly wypchnął ją nosem na ziemię przed nimi i niemal wszyscy wyciągnęli szyje, oglądając ją z podziwem; w świetle porannego słońca lśniła wręcz olśniewająco.

psio i jak to podzielimy? - zapytał Reauiescat, wpatrując się pożądliwie w złoto.

Musimy to schować w bezpiecznym miejscu - odparł Temeraire - a kiedy wojna się skończy, zbierzemy wszystkie karby, jakie zdobędziemy, takie jak ten, i przeznaczymy je na budowę wspaniałych pawilonów w całym kraju, z których wszyscy będziemy mogli korzystać, kiedy tylko zechcemy. To lepsze rozwiązanie niż kupno przez każdego z nas części pawilonu w jednym tylko miejscu. A to, co zostanie, wykorzystamy na zrobienie medali, dla wszystkich. Każdy z nas dostanie jeden odpowiedni do swojej wielkości.

Po zaaprobowaniu przez wszystkich tej propozycji wyznaczono kilka smoków - po skomplikowanych negocjacjach, w rezultacie których Reedly, Chalcedony, jeszcze jeden Yellow Reaper i Anglewing wyruszyli razem, choć sam Reedly mógł z powodzeniem wykonać to zadanie - które miały przenieść bryłę w bezpieczne miejsce na terenach rozplodowych. Pozostałe smoki wróciły do przeszukiwania obozu z większym niż poprzednio entuzjazmem i wtedy właśnie odkryły armatę.

Większość dział uległa zniszczeniu; te, których łoża nie spaliły się lub nie zostały przeżarte przez kwas Gentiusa, zagwoź- dziły przed porzuceniem ich obsługi. Jednak jedno, przykryte przez płachtę namiotu, ocalało. Było nieco poobijane, a jego koła nosiły ślady ognia, ale poza tym było wspaniałym działem, dobrą dwunastofuntówką,

do którego mieli dużo kul walających S1<? wszędzie dookoła. Znaleźli nawet zapas prochu, który nie został zniszczony, gdyż wypełniony nim wóz Francuzi trzymali w Pewnej odległości od obozu.

~ Ale skąd ludzie mają wiedzieć, co należy robić, jeśli nie są żołnierzami? - zapytał Temeraire. Wiele razy widział strzelające

ko k.3' 113 «krętu, ale nie pamiętał zbyt dobrze, co

tętnie robili obsługujący je artylerzyści. - Może Percitia będzie wiedziała... - Rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że srrio- czyca nie przeszukuje wraz z innymi obozu, tylko siedzi skulona przy wodopoju.

Podszedł do niej i zapytał:

- Jesteś ranna?

- Oczywiście, że nie jestem ranna - odpowiedziała opryskliwie.

- To dlaczego siedzisz tutaj, zamiast szukać z nami; znaleźliśmy złoto i może znajdziemy go więcej.

- I tak przecież nic z tego nie dostanę - odrzekła. - Nie brałam udziału w walce.

- Każdy miał do tego sposobność - odparował urażony Temeraire; nie uważał, że był wobec niej nie w porządku. Naturalnie ciężkie smoki powinny uderzyć w pierwszej kolejności, ponieważ mogły zadać nieprzyjacielowi największe...

Percitia odwróciła wzrok i jeszcze bardziej się skuliła, przyciskając skrzydła do ciała.

- Lepiej sobie stąd idź, jeśli chcesz szydzić i być dla mnie niemiły - powiedziała. - To, że nie lubię walczyć, nie powinno nikogo obchodzić.

- Wcale nie szydę, a ty lepiej przestań być taka kłótniwa! - rzucił zirytowany Temeraire. - Nie zauważyłem, że nie walczyłaś.

Poruszyła się nieznacznie i zerkając na inne smoki, szepnęła w formie przeprosin:

- Inni zauważyli.

- Ale dlaczego tego nie zrobiłaś, skoro teraz tak ci przykro z tego powodu? - zapytał Temeraire. - Mogłaś się włączyć do walki, kiedy tylko chciałaś.

i. Nie

- Nie chciałam - odparła wyzywająco - możesz więc nazwać mnie tchórzem, jeśli

chcesz; jest mi to obojętne.

- Och - mruknął Temeraire i usiadł obok niej na ziemi
niial pojęcia, co powiedzieć. - Przykro mi to słyszeć - spróbował w końcu, niepewnie.
Przypuszczał, że bycie tchórzem jest bardzo nieprzyjemne. Zawsze jednak sądził, że
tchórzami są żalosne stworzenia, które są zdolne do drobnych podłości, na przykład
kradzieży rzeczy, których nigdy nie zdobyłyby w uczciwej walce, a Perscitia wcale
taka nie była. - A przecież potrafisz się kłócić z każdym - podjął po chwili. - Wcale
się nie boisz.

_ To nie to samo - odpowiedziała. - Żadna kłótnia nie kończy się tym, że ktoś cię
postrzeli, rozerwie ci skrzydło albo dostaniesz armatnią kulą w pierś... Widziałam raz
smoka, którego trafiła kula armatnia; to było okropne.

- Oczywiście - powiedział Temeraire - ale jeśli poruszasz się odpowiednio szybko,
możesz się przed nimi uchylić.

- To nonsens - odparła. - Kula karabinowa leci szybciej od każdego smoka, a więc o
wszystkim decyduje przypadek, zanim nawet pomyślisz o tym, by się przed nią
uchylić, albo nawet zauważysz, że ktoś do ciebie celuje. Jeśli jesteś naprawdę szybki,
to najczęściej możesz uciec, zanim zdążą do ciebie wystrzelić - dodała - a więc masz
duże szanse uniknięcia rany, ale największe masz wtedy, gdy trzymasz się z dala od
luf... A ja nie jestem zbyt szybka.

Temeraire podrapał się pazurem po głowie w zadumie.

- W Chinach - odezwał się w końcu - walczą tylko niektóre smoki; inne, a jest ich
bardzo dużo, są uczonymi i nie wiedziałyby, co robić podczas bitwy. Nikt z tego
powodu nie uważa ich za gorsze lub nazywa tchórzami; myślę, że ty jesteś taka jak
one.

Uniosła głowę, a Temeraire dodał:

- Tak czy owak, nam wszystkim walka sprawia dużą przyjem- n°sc, nie ma więc
powodu, żebyś ty to robiła, jeśli tego nie lubisz.

~ Jestem tego samego zdania - powiedziała, wyraźnie ucie- zona - tylko nie lubię,
jak ktoś mówi, że nie robię tego, co do e należy; ale tu nie ma nic do roboty poza
walką.

- Musimy rozgryźć, jak się strzela z armaty - rzekł Teme-raire. - To by było bardzo przydatne. Gdybyś także wymyśliła, jak najlepiej jej użyć, byłoby to bardzo pomocne i w ten sposób miałabyś poważny udział w walce, bo nikt inny nie wie, jak to zrobić.

To rozwiązanie tak bardzo się jej spodobało, że pod koniec dnia miała już kilkunastu ludzi pracujących pilnie pod jej nadzorem jako obsługa dział. Wszyscy oni, oraz trzydziestu innych, należeli do miejscowej milicji i rano, ściskając dość nerwowo broń, przybyli na pole bitwy, żeby sprawdzić, co się stało w nocy. Ośmieleni widokiem wesoło powiewających chorągwi, podeszli nieopatrznie zbyt blisko i z radosną bezwzględnością zostali wcieleni do służby przez Lloyda oraz jego ludzi, zmęczonych już tym, że muszą opiekować się blisko sześćdziesięcioma smokami i jednocześnie być pastuchami.

Kulący się ze strachu na widok Percitii milicjanci dowiedzieli się najpierw, że nie mogą być takimi tchórzliwymi niezgłami, potem wysłuchali wygłoszonego z wielką pompą przemówienia Lloyda o potrzebie powstrzymania Bonapartego i ostatecznie zdali się na łaskę oraz niełaskę smoczy. Cały dzień rozpracowywali zasady prowadzenia ognia z armaty, posługiwania się wyciorem, ładowania prochu do lufy i przybijania go. Wszystkie te kolejne kroki Percitia poznała i połączyła w całość, wypytyując najpierw ludzi o to, jak strzelają z karabinów, a potem te smoki, które kiedykolwiek pełniły służbę i miały okazję widzieć, jak prowadzi się ogień z dział.

Było z tym sporo trudności: każdy pamiętał sekwencję odpowiednich czynności nieco inaczej, przez co na jakiś czas utknęła w martwym punkcie, z którego wybrnęła, gdy wpadła na pomysł sporządzenia spisu tego, co każdy pamięta, i wybrania najeższej* ściej powtarzających się elementów. Pod wieczór z powodzeniem*11 i wielkim hukiem wysłali pierwszą kulą na drugą stronę obozu* wiska, ku dużemu zaskoczeniu innych smoków, drzemiących błogo z brzuchami pełnymi wieprzowiny.

_ Gdyby tylko udało nam się znaleźć taki sposób jego umocowania, żeby się mogło odpowiednio przesuwac po strzale, nie byłoby żadnego powodu, dla którego nie mielibyście zabrać go w powietrze - powiedziała w zadumie tego wieczoru, kiedy odzyskawszy dawną pewność siebie, przyszła wziąć udział w dyskusji. Chętnie kontynuowałaby pracę, tylko że jej pomocnicy, którzy stopniowo się do niej

przyzwyczajali i nad których lękiem ostatecznie wzięło górę zmęczenie, zbuntowali się i zażądali odpoczynku oraz jedzenia. - W każdym razie Requiescat mógłby je zabrać i można by je odpalić z jego grzbietu; ale pozostaje problem odrzutu. To jest prawdziwa trudność.

- Prawdziwą trudnością jest podjęcie decyzji, co mamy robić teraz - odparł Temeraire i pochyliwszy głowę nad mapami, na których Moncey naniósł najnowsze informacje o Francuzach, zaczął się zastanawiać, co oni mogą planować i jak szybko zdoła ich zmusić do kolejnej bitwy.

Rozdział 6

K

apitanie - odezwał się Hollin - przykro mi o tym mówić, ale jeśli on jest na wolności tak długo i tak bardzo oddalił się od terenów rozplodowych, wydaje się oczywiste, że nie lata po kraju na oślep... On pana szuka.

- Wiem - odparł Laurence.

Jeśli Temeraire poleciał do Dover, to wpadł prosto w ręce Francuzów. A Laurence nie mógł się udać jego śladem - Jane uzasadniła wniosek o wypuszczenie go z więzienia właśnie tym, że trzeba go trzymać jak najdalej od najeźdźców. Już opóźnił o cztery dni powrót do obozu, czy w najlepszym razie o trzy, i ich nieobecność negatywnie zaważy na jej pozycji, i to właśnie teraz, kiedy musi użyć całej siły perswazji, żeby przygotować wszystkich na nieunikniony marsz Napoleona na Londyn.

Wiedział, co ma obowiązek zrobić: wrócić, złożyć raport o niepowodzeniu swojej misji i czekać na jakąś wiadomość o losie Temeraire'a. Siedzieć beczynnym w jakimś lochu, nie mając pojęcia o tym, co się stało ze smokiem - Laurence nie wyobrażał sobie, jak zdoła to znieść. Nie miał jednak wyboru. Prawdopodobnie już zdołał zaszkodzić wojskowej karierze Hollina, jeśli ich dawna znajomość jeszcze wcześniej nie położyła się na niej cieniem; skrzywdził przecież Jane, Ferrisa i tak wielu innych - jakby nie zrobił już wystarczająco dużo złego.

_ Nie musimy się spieszyć z tym powrotem - zaproponował j-jollin. - Możemy posuwać się wolno w stronę armii i zbierać po drodze wiadomości o Francuzach.

Generałowie i tak będą chcieli wiedzieć o ich posunięciach. To oczywiste, panie kapitanie.

Laurence wiedział, że powinien odmówić. To była wspaniałomyślna propozycja, którą Hollinowi podyktowało uczucie przyjaźni, a nie realna i przemyślana ocena sytuacji.

- Dziękuję, Hollin; jeśli myślisz, że to słuszne - odpowiedział w końcu, przegrawszy wewnętrzną walkę, a przynajmniej oddawszy w niej część terenu. - Ale będziemy się kierować prosto w stronę obozu - dodał, żeby go trochę odzyskać, próbując jednocześnie przekonać samego siebie, że być może Temeraire usłyszał jakoś o miejscu pobytu armii i też się tam kieruje. Mogą go znaleźć czekającego w Woolwich - ale nie, to był już nadmierny optymizm. Temeraire nie czekał, nigdzie, jeśli wiedział, gdzie jest Laurence, a najpewniej nawet jeśli nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Przeleciał pół Afryki, nie wiedząc, gdzie go szukać, i znalazł go w samym środku nieznanego kontynentu. Było dla niego jasne, że smoka nie zniechęci konieczność przeszukania całej Brytanii, nawet w trakcie wojny; i przy okazji może mu się coś stać.

Zatrzymywali się niemal przy każdym gospodarstwie ze stadem bydła średniej wielkości i przy każdym mieście z polaną wystarczająco dużą dla smoka kurierskiego; ale nie udawało im zebrać żadnych wiadomości, w każdym razie nie takich, które chcieliby usłyszeć.

Straciłem dwadzieścia owiec, ale to nie smoki je zabrały, tylko Francuzi, żeby ich piekło pochłonęło - poinformował ich Jeden wściekły pasterz.

, ~ Sajuż tak blisko? - zapytał zaniepokojony Laurence; wciąż ^ aleko na zachód od Londynu, znacznie dalej, niż wydawało się, że Francuzi mogą dotrzeć, nawet w małych oddziałach.

Mężczyzna splunął z rozgoryczeniem.

- Przeszli tędy wczoraj, rabując, co się dało, cholerni sodomici. Przepraszam za moje słowa, ale nawet święty zacząłby kląć. Moje trzy najlepsze owieczki skończyły w ich brzuchach, no i tryk, a wszystko dlatego, że mój przygłupi syn nie wyprowadził ich w porę na wzgórze. Ale z drugiej strony, kto by pomyślał, że tak szybko tu dotrą?

Burmistrz Twickenham potwierdził obecność Francuzów.

- Dostaliśmy z Richmond wiadomość, że przylecieli na smokach - powiedział - i rozleźli się po całej okolicy, kradnąc, co im w ręce wpadnie. Nasi chłopcy poszli z nimi walczyć, na północ stąd; wokół Richmond zbiera się milicja. Są z nimi jakieś smoki; przyleciał jeden kurierski, żeby ściągnąć tam naszych chłopców, kiedy jeszcze nie wiedzieli, co robić. Ale o żadnych grasujących na wolności smokach nic nie słyszałem. Może być pan jednak pewny, że będziemy pilnować naszego bydła.

Poczęstował ich obiadem, bardzo uprzejmie, i odmówił przyjęcia od Hollina zapłaty, chociaż przyjął ją za kozła, którym pożywiła się Elsie. Zona burmistrza oraz jego najstarsza córka zasiadły do posiłku razem z nimi i chociaż Laurence od czasu do czasu przypominał sobie o dobrych manierach i zmuszał się do prowadzenia z nimi niezobowiązującej rozmowy, był zbyt zajęty myślami, żeby być dla nich odpowiednim towarzyszem. Te nowe informacje oznaczały, że muszą natychmiast wracać do obozu; dowództwo powinno się niezwłocznie dowiedzieć, że Francuzi dotarli tak daleko w głąb kraju.

- Mieli ze sobą orły, jak słyszałam - odezwała się w pewnej chwili młoda kobieta. - Georgie powiedział, zanim poszedł, że chłopcy z Ham widzieli dwa.

To była zła wiadomość, bardzo zła; obecność dwóch francuskich pułków tak daleko od głównych sił świadczyła o tym, gdzieś w pobliżu może też być jeden z marszałków. Nawet na gorsi z nich byli bardzo kompetentnymi żołnierzami, a działając pod wodzą cesarza, byli niebezpieczni jak żmije. Tu, w zachodniej Anglii, nie było żadnych strategicznych celów, tylko dużo żywności; żywności, która była konieczna do utrzymania tych francuskich smoków w powietrzu.

- Czy mieli kawalerię? - zapytał nagle, unosząc głowę. - Bardzo przepraszam - dodał, uświadomiwszy sobie poniewczasie, że przerwał rozmowę, która toczyła się bez jego udziału; Hollin i młoda dama mówili o miejscach, które widział podczas wykonywania swoich zadań.

- Och... przykro mi, proszę pana, nie pamiętam, żeby Georgie coś o tym wspominał - odpowiedziała, speszona, że się do niej zwrócił z tym pytaniem.

- Ale ja myślę, że nie mieli, kapitanie - powiedział burmistrz. - W każdym razie tutaj przyszli pieszo.

A jeśli Napoleon, planując tę kampanię, postawił wszystko na siły powietrzne...

Laurence nie wiedział, co o tym myśleć. Byłoby to zlekceważenie całej ustalonej przez lata wiedzy o prowadzeniu nowoczesnej wojny, zgodnie z którą prawidłowo zorganizowane siły kawalerii i piechoty, wsparte przez działa pieprzowe i artylerię, mogą odeprzeć każdy atak smoków. Ale przed pierwszą próbą przekroczenia kanału, którą Napoleon podjął w roku piątym, nikt nie słyszał o ataku więcej niż pięćdziesięciu smoków naraz; Laurence dobrze pamiętał powszechne zaskoczenie tym, że udało mu się zebrać i rzucić do boju blisko sto tych stworzeń.

Po obiedzie wyszedł na zewnątrz i poczekał grzecznie na Powrót Hollina, który w odpowiedzi na jej wyrażoną nieco za- ionym głosem prośbę, zaprowadził pannę - jej nazwisko J"z wyleciało Laurence 'owi z głowy - do swojej smoczycy. Elsie e się z nią spotkała, jako że smoki mają niewiele okazji

?iedn k Porn'n^e niewiasty będące kapitanami, które

rzadko ubierają się stosownie do swej płci. Chętnie też

pozwoliła się głaskać i dała się poczęstować ugotowanym przez młodą kobietę budyniem, który zlizwała z półmiska kilkoma zamaszystymi ruchami języka.

- Och, jaki śliczny półmisek - powiedziała potem, ze znacznie większym entuzjazmem, i z wyraźnym żalem odprowadziła go wzrokiem, kiedy córka burmistrza odsunęła się od niej, gdyż jego brzeg był ładnie pomalowany na niebiesko i czerwono, z odrobiną srebra. - Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego - dodała Elsie, wyciągając szyję, żeby go jeszcze raz obejrzeć.

- Ależ to tylko stary... - zaczęła dziewczyna, po czym ugryzła się w język i dodała: - ...który sama pomalowałam; możesz go sobie wziąć, jeśli ci się tak podoba.

- Och- westchnęła radośnie Elsie, po czym spojrzała na Hollina i spytała z przejęciem: - Czy przechowasz go dla mnie? I może dałoby się go umyć i dobrze zapakować, żeby był bezpieczny?

Zrobienie tego tak, żeby była zadowolona, zajęło im jeszcze pół godziny, przy czym towarzyszyło temu sporo kiwania głowami, wiele komplementów

wymienianych przez obie strony i radosne rozmowy, które w uszach Laurence'a zlewały się w niezrozumiały gwar. W końcu postanowił to przerwać i nieco się do tego przymusiwszy, powiedział nagle:

- Hollin, lepiej już ruszajmy.

- Och - odparła dziewczyna. - Ale czy nie poczekacie na niego? - Wyciągnęła rękę, a kiedy spojrzeli w tamtym kierunku, zobaczyli na niebie innego smoka, który leciał w ich stronę

- Pięknie - powiedział Miller - bardzo pięknie. Spodziewaliśmy się pana w obozie cztery dni temu, kapitanie Hollin, aja odkrywam, że włóczy się pan po tej części kraju, w której pana w ogóle nie powinno być, i wprowadza skazanego zbrodnia^ do dobrego towarzystwa.

Hollin zaczerwienił się i odpowiedział ostro:

_ Jeśli postąpiłem źle, kapitanie Miller, może być pan pewny, że wytłumaczę się przed tymi, którzy mają prawo mnie z tego rozliczyć. Szukamy smoka, po którego nas wysłano i który wraz z innymi opuścił tereny rozplodowe, kiedy pracujący tam ludzie zapomnieli o swoich obowiązkach i uciekli.

- Co? - zapytał wystraszony Miller, zapominając o wcześniejszym napuszczonym tonie. - Wszystkie opuściły tereny rozplodowe? Dokąd poleciały, co jedzą...

Smok Millera, Devastatio, był wyraźnie mniejszy od Elsie, która była duża jak na Winchestera. Hollin wiedział lepiej od wielu młodych kapitanów smoków kurierskich, jak ją prawidłowo karmić, a poza tym był w przyjacielskich stosunkach z większością pastuchów przy największych kryjówkach, co dawało mu dodatkową przewagę. Devastatio, który wylądował trochę na pokaz

1 zbliżył się do nich dumnym krokiem, zbyt późno uświadomił sobie, że nie dorównuje smoczycy wagą, więc wydał pierś tak mocno, jak tylko mógł, i starał się ukradkiem wejść na mały pagórek. Elsie przyjrzała mu się ze zdziwieniem, po czym zapytała:

- Chcesz zobaczyć mój półmisek?

- Panowie - powiedział ostro Laurence, widząc, że Miller chce wypytać Hollina o wszystkie szczegóły ich poszukiwań. - Nie mamy na to czasu. W pobliżu widziano

Francuzów i musimy natychmiast wracać do obozu, żeby zanieść tę wiadomość.

- Wiemy już, że Francuzi są tutaj, i doszło już nawet do walk - odpowiedział Miller.

- Jakiś bystry dowódca milicji zebrał oddziały z całej okolicy i pobił ich jak należy pod Wembley, a ostatniej nocy powtórzył to w pobliżu Harlesden. To dlatego tu Jesteśmy: mam dla niego nominację na pułkownika.

- Och! - zawołała młoda dama, która przysłuchiwała się

z boku ich rozmowie. - Pobili ich pod Harlesden? Georgie na pewno tam jest... Muszę powiedzieć mamie...

Zaczęła się odwracać, po czym się cofnęła, dygnęła i nieco niepewnie uniosła dłoń.

Hollin pochwycił ją i zbliżył do ust, także trochę niepewnie, po czym powiedział:

- Do usług, panno Jemson, i mam nadzieję, że moje obowiązki pozwolą mi znowu...

- Ja także mam taką nadzieję - przerwała mu, cała zarumieniona, po czym, zawstydzona swoją śmiałością, odwróciła się i uciekła.

- Kapitanie, jeśli oni już wiedzą o obecności Francuzów, a Miller powie im, gdzie jesteśmy, to możemy dalej szukać... - powiedział Hollin, odwróciwszy się; jego policzki też były lekko zarumienione.

- O nie; nie, dziękuję, nic z tego - wtrącił Miller. - Pańskie rozkazy nie mówiły, że wolno panu włóczyć się po całym świecie, kapitanie. Miał pan polecieć po smoka i wrócić. Jeśli nie ma pan smoka, pozostaje panu tylko jedno, to znaczy wrócić do obozu. Jeśli oni będą chcieli, żeby pan nadal szukał, dostanie pan nowe rozkazy. Polecimy razem, tak jak powinniśmy zrobić, kiedy do przekazania jest taka wiadomość. Na wypadek gdyby któryś z nas został strącony. Setka smoków szalejących po kraju, pożerających ludzi jak krowy? Nie rozumiem, o czym pan myślał, czym się pan kierował, nie wracając natychmiast, chyba że chodziło o uratowanie głowy komuś, kto na to nie zasługuje...

- Kapitanie Miller... - zaczął Hollin.

- Wystarczy - przerwał mu Laurence. - Nie zamierzam być powodem do kłótni, zwłaszcza w takich okolicznościach. Kapitanie Hollin, ponieważ przybyliśmy na tereny rozplodowe krótko po opuszczeniu ich przez smoki, mieliśmy pewne racjonalne podstawy do wiary, że uda nam się szybko odnaleźć Temerairea.

Doskonale zdają sobie sprawę z pańskiej wspaniałomyślności, ale dłużej nie będę jej nadużywał. Wracajmy natychmiast.

Przygotował się na to w duchu i teraz pragnął mieć to już za sobą. Im szybciej wróci, tym mniej zaszkodzi Hollinowi i sobie zwlekając samolubnie z powrotem; tylko sukces mógłby to usprawiedliwić. Jednak nawet wtedy powinien zostać ukarany. Granby miał całkowitą rację. Laurence rozumiał teraz, że jego poczucie dyscypliny było zupełnie spaczone. Może przyczyniło się do tego to, że nie został wychowany od dziecka w Korpusie i pozwolił, by pewna swoboda służby w powietrzu, z konieczności znacznie szersza od tej, jaką cieszyli się oficerowie marynarki, nadmiernie uderzyła mu do głowy.

Wskoczył na grzbiet Elsie po Hollinie, który wspiał się na nią pierwszy, i w milczeniu przypiął się do uprzęży. Dręczony przez wyrzuty sumienia nie zwracał uwagi na otoczenie i samą podróż, czekając, aż zimny wiatr wiejący im w twarz nieco przytępi jego ból. Devastatio, nadal się popisując, wyprzedził znacznie Elsie, co przyszło mu łatwo, jako że niosła ona podwójny ciężar. To właśnie ich uratowało: z powodu odległości dzielącej oba smoki kurierskie Petit Chevalier nie mógł zaatakować jednocześnie obu i dlatego rzucił się tylko na prowadzącego Devastatia.

Mały Winchester wrzasnął i runął prosto w dół, krwawiąc obficie z rozoranych pazurami skrzydła i boku. Z najwyższym trudem, wciągając z głośnym sykiem powietrze do płuc, zdołał jakoś wyhamować upadek i rozwinąć znowu skrzydła, ale nie leciał normalnie, tylko przechylając się niezdarnie w powietrzu, opadł na ziemię. Upewniwszy się, że jeden przeciwnik jest niezdolny do lotu i całkowicie skazany na jego łaskę, Petit Chevalier zakręcił w powietrzu i skupił uwagę na Elsie.

Nazwa tej rasy francuskich smoków była trafna jedynie w porównaniu do Grand Chevalierów; osiemnastotonowy potwór, który mknął ku nim z ogłuszającym rykiem i pazurami już poplamionymi krwią Devastatia, wyglądał naprawdę przerażająco. Elsie sapnęła rozpaczliwie i zanurkowała pod niego. Wykonując Un'k, przekręciła się niemal do góry nogami, tak że Laurence oraz Hollin zawisli na rzemieniach, po czym bijąc z całej siły skrzydłami, pomknęła do przodu pod brzuchem wielkiego smoka, ścigana przez kule z karabinów jego bellmanów, które świstały im nad głowami

niczym osy.

Była jednak zbyt obciążona, by osiągnąć pełną szybkość. Petit Chevalier zakręcił z powrotem i ruszył w pościg. Było jasne, że na dłuższą metę jego siła przeważy i francuski smok dopadnie ich, jeśli Elsie nie zdoła mu przedtem uciec. A był dostatecznie szybki, żeby mieć ją w zasięgu wzroku przez przynajmniej godzinę, ocenił Laurence, patrząc w dół na sunący po ziemi cień napastnika.

Ściagał mniejszy cień Elsie niczym chmura wypełniająca zagłębienia terenu, prześlizgująca się po szczytach wzgórz, zaciemniająca ich zbocza i strasząca jelenie, które rzucały się do ucieczki między drzewami. Sylwetka smoka nie zmieniała się na ziemi, która przesuwała się pod nimi z szybkością co najmniej dwudziestu pięciu węzłów, a wyjący wiatr szarpał ich ubraniami, niezależnie od tego, jak nisko się pochylali i przytulali do szyi Elsie.

Petit Chevalier znowu zaryczał za nimi. Skulony Laurence nie mógł unieść głowy, żeby spojrzeć do tyłu, ale lecieli właśnie nad szeroką połącią prostokątnych, przysypanych śniegiem pól, które ograniczały drogi, więc sylwetki obu smoków wyraźnie odcinały się od białego tła, i było widać, że w miarę jak Elsie słabła, odległość między obu cieniami powoli, ale stale malała.

I wtedy, wśliznąwszy się za sylwetkę Petit Chevaliera, do linii dołączył trzeci cień: początkowo był tylko małą plamką, ale szybko rósł coraz większy i większy, aż na koniec połknął poprzednika, a powietrze rozdarł straszliwy, ogłuszający ryk ogromnego, czerwono-złocistego Regal Coppera, który runął z góry na Petit Chevaliera, atakując go dokładnie tak samo, jak on przedtem zaatakował Devastatia.

Dwa ciężkie smoki bojowe szepiły się i zaczęły chaotycznie koziółkować w powietrzu, warcząc i szarpiąc się nawzajem pazurami. Z grzbietu Petit Chevaliera spadło kilku ludzi, a amunicja, bomby i karabiny posypały się na leżące w dole pola. Laurence nie miał pojęcia, jak radzi sobie załoga Regal Coppera i wtedy uświadomił sobie, że smok nie ma uprzęży.

Zdyszana Elsie zwolniła i zatoczyła szeroki łuk, żeby mogli popatrzeć na tytaniczną walkę obu ogromnych bestii.

- Och, cieszę się - powiedziała, łykając powietrze między słowami. - Nie wiem... nie

jestem całkiem pewna, czy zdołałabym uciec temu wielkiemu Francuzowi.

- Mam nadzieję, że nie będziemy musieli uciekać przed tym drugim - odparł Hollin, a Laurence całkowicie podzielał jego niepokój: Regal Copper miał nad drugim smokiem przewagę co najmniej siedmiu, ośmiu ton. Właśnie wbił pazury w barki Petit Chevaliera i drapał go tylnymi łapami, tak nim przez cały czas potrząsając, że francuscy strzelcy nie mogli w niego wycelować, a te kilka przypadkowych strzałów, które oddali, nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

To był bardzo brutalny styl walki, prymitywny w porównaniu z finezją działania w formacjach, ale na poziomie takiego indywidualnego starcia niespodziewana zjadłość szybko wzięła górę nad wojskową dyscypliną. Chevalier wrzasnął rozpaczliwie i szarpnąwszy się gwałtownie, zdołał się jakoś wyrwać z pazurów przeciwnika, które zostawiły na każdym z jego barków trzy długie bruzdy, wyglądające niemal jak dystynkcje oficerskie, a następnie rzucił się na oślep do ucieczki, oddając pole Regal Copperowi.

Zwycięski smok rozpostarł skrzydła, jarzące się żywą czerwienią w promieniach świecącego za nimi słońca, po czym ryknął tryumfalnie w ślad za uciekającym Petit Chevalierem. Jego ryk był niczym grzmot kilku piorunów, które zwały się w jeden huk. Nasyciwszy się zwycięstwem, popatrzył na nich i powiedział z wielką dezaprobatą:

- No i co to miało być? Musisz mieć nie po kolei w głowie skoro zadzieras z tak wielkim przeciwnikiem.

- Przepraszam - zaczęła nieśmiało Elsie - wcale nie mieli, śmy takiego zamiaru, ale on napadł na nas z nienacką; i Deva- statio jest ranny.

- Co, nie byłaś sama?

Regal odwrócił się i zaczął przeszukiwać wzrokiem ziemię. Podczas ucieczki i walki oddalili się znacznie od miejsca pierwszego starcia, a poza tym Devastatio wczuł się pod drzewa, żeby się ukryć. Regal Coppery znane były jednak z tego, że znacznie lepiej widzą na odległość niż z bliska, a ich wybawca okazał się typowym przedstawicielem swojego gatunku i wypatrzenie małego Winchestera nie zajęło mu dużo czasu.

- Ha, jest tam - krzyknął i poleciał w stronę kryjówki Devas- tatia. Dotarłszy na miejsce, wylądował na ziemi z głośnym łomotem. - Powiedziano wam dziś rano, żebyście się nie kręcili po tej okolicy - odezwał się surowym tonem, przypatrując się z bliska ranom Winchestera. - Sam mówiłem, że ci wielcy Francuzi będą przez cały czas przenosić tą drogą żołnierzy, czyż nie? To nie wygląda dobrze i może się kiepsko goić - ocenił obrażenia Devastatia.

- Nikt nam nic takiego nie powiedział! - odparł Miller, który musiał się odchylić dość gwałtownie, żeby nie zgniótł go ogromny łeb.

Zaskoczony Regal cofnął głowę, a potem odsunął ją jeszcze bardziej i zmrużywszy oczy, zaczął się im przyglądać.

- Czy to człowiek? - zapytał. - A niech mnie, ty masz uprząż! - wykrzyknął i odwrócił się, żeby spojrzeć na Elsie. - Oboje je macie.

- Oczywiście, że mają-odpowiedział Miller, po czym dodał, wykazując się, jak przyznał w duchu Laurence, znaczną odwagą, nawet jeśli zapomniał przy tym o wdzięczności: - Co tu robisz? Dlaczego opuściłeś tereny rozplodowe?

j-Im - mruknął Regal Copper. - Nie jestem zbyt dobry

wyjaśnianiu spraw, więc najlepiej będzie, jeśli polecicie ze mną i porozmawiacie z dowódcą.

_ Jakim dowódcą? - zapytał zdumiony Miller. - Czy walczyacie razem z milicją?

_ Tak, oni są z nami - odparł Regal Copper. - No już, włącz na mnie - zwrócił się do Devastatia.

Mały Winchester, wciąż liżący swoje rany, skrzywił się nieznacznie, ale posłuchał i wdrapał się niezdarnie na grzbiet ogromnego smoka. Regal Copper dał potężnego susa w powietrze i odleciał, machając powolnie skrzydłami, a pełna niepokoju Elsie podążyła szybko za nim.

Lot był krótki, mimo wolnego tempa, i ku zdumieniu Laurence'a wylądowali na obrzeżach wielkiego, doskonale zorganizowanego obozu. Kiedy się do niego zbliżali, ujrzał w przelocie wiele smoków wygodnie porozkładanych na polanie i wielką zagrodę pełną ogromnych, czarnych świń.

Regal prowadził ich szeroką drogą wśród drzew, wiodącą do środka obozu, kiedy

został powstrzymany przez małego Winchestera, także bez upręży, który pojawił się nagle przed nim i głośno zawołał:

- Zatrzymajcie się i podajcie hasło!

- To przecież ja, nie widzisz? - powiedział Regal Copper. - A ci dwoje są ze mną, więc też są w porządku.

- To bez znaczenia - odparł Winchester. - Każdy musi podawać hasło, a jeśli tego nie zrobi, to mam krzyczeć, ale myślę - dodał pośpiesznie, gdy Regal Copper pochylił groźnie głowę - że to chyba nie dotyczy ciebie. - Po tych słowach uskoczył na bok.

Laurence był zaskoczony tym, że jakiś dowódca o otwartym umyśle wpadł na pomysł, by werbować i niezaprężone smoki, i wykorzystywać je w taki sposób. Przyszło mu do głowy, że ten człowiek mógł mieć jakieś doświadczenia związane z Korpusem... Może służył w nim jakiś jego krewny, a może sam J w pobliżu którejś z kryjówek. W każdym razie udało mu się jednym zamachem rozwiązać dwa problemy: po pierwsze | wstrzymał smoki przed wałęsaniem się po kraju i grabienie jego mieszkańców, i po drugie, znacznie wzmocnił swój oddział milicji. Widok smoka stojącego na warcie zdumiał Laurence'a ale po zastanowieniu doszedł do wniosku, że nie było to wcale głupie; taki widok na pewno odstraszał wszelkich szpiegów

Mina Millera, który siedząc na grzbiecie Regala, głaska! rannego Devastatia, zdradzała, że widok smoków bez upręży i pełniących taką rolę wcale nie zrobił na nim dobrego wrażenia lecz raczej go zgorszył.

Człapiący drogą Regal najwyraźniej też nie był tym zachwycony.

- Nie bardzo wiem, do czego to wszystko prowadzi - powiedział, kręcąc głową. - Wszystko to brzmi pięknie, gdy się słyszy o pawilonach i tak dalej. - Jego słowa wzbudziły w Laurensie wielką nadzieję, jeszcze zanim ogromny smok wprowadził ich na polanę w środku obozu i zawołał: - Temeraire, są tu jacyś ludzie, którzy chcą się z tobą zobaczyć.

Laurence odpiął błyskawicznie karabińczyki i zeskoczył z grzbietu Elsie, a kiedy znalazł się na ziemi, zobaczył odwracającą się w jego stronę wielką, czarną głowę.

- Dobrze jest mieć orła - powiedział Temeraire; teraz, gdy już go obmyli z błota, w

czym wszystkie smoki były gotowe pomagać, błyszczał złociście w promieniach słońca, a sam sztandar, który oczyścili ludzie, także był bardzo piękny. Wiedział, że gdyby musieli go sprzedać, przeżyłby to bardzo boleśnie, a widząc, jak inni patrzą na tę lśniącą zdobycz, był pewny, że całkowicie podzielaliby jego uczucia. - Nie wolno nam jednak zakładać, że przez cały czas wszystko będzie szło po naszej myśli. Nie miel'*

7bvt wielu okazji do walki z francuskimi smokami, • większość z nich jest zajęta przenoszeniem żołnierzy, P0"6^ ? czy później będziemy musieli się z nimi zmierzyć.

^ Mam Pewne P°myśli - odezwała się Percitia - które

l'bvśmy wypróbować, kiedy dojdzie do walk... m Temeraire - zawołał Requiescat, który wszedł za nim na polanę-

Temeraire odwrócił się i zobaczył rannego Winchestera na grzbiecie Regala i truchtającą za nim małą smoczycę, na której siedział Hollin, dawny dowódca jego załogi naziemnej.

Requiescat wciąż coś mówił, jednocześnie z Percitią, która przedstawiała swoje pomysły dotyczące wykorzystania pieprzu, ale Temeraire nie rozumiał żadnego z nich; jakby ich słowa nie chciały się ułożyć w sensowną całość. Ten człowiek, który szedł w jego stronę, wyglądał jak Laurence i na dodatek mówił właśnie jego głosem:

- Temeraire, dzięki Bogu; od pięciu dni próbuję cię odnaleźć.
- Ale ty przecież nie żyjesz - odparł niespokojnie Temeraire. Nigdy jeszcze nie widział ducha i często myślał, że byłoby to bardzo interesujące doświadczenie, ale wcale nie było. Zobaczyć Laurence'a takiego jak za życia i wiedzieć, że nie może go przytulić, osłonić przed niebezpieczeństwem, było czymś okropnym. Ale Laurence odpowiedział:

- Ależ żyję, oczywiście, że żyję, mój drogi; jestem tutaj. Temeraire pochylił nisko głowę i przyjrzał się Laurence'owi

z bardzo bliska, a potem wysunął na próbę język, żeby go powąchać. Na koniec otoczył go ostrożnie, bardzo ostrożnie, przednią 'aP3, po czym uniósł do góry, i och... poczuł, że jest człowiekiem z krwi i kości, a nie zjawą; trzymał go w łapie, żywego...

i oszołomiony ze szczęścia Temeraire wydał cichy, radosny okrzyk, P° czym owinał się ciasno wokół swego kapitana i powiedział: Och, Laurence; nigdy już nie pozwolę, żeby ktoś mi cie- b'e odebrał.

Rozdział 7

N

ie, w żadnym razie; o mato cię nie utopili i to nawet nie celowo, ale przez zwykłą nieostrożność. Nie wydam cię znowu w ich ręce - mówił podenerwowany Temeraire. - Poza tym ja nie mogę do nich wrócić; nie mogę tak po prostu zostawić wszystkich tutaj własnemu losowi.

- Jesteś bardziej potrzebny przy głównych siłach - odpowiedział Laurence, próbując go przekonać, choć błysk uporczywości, który zobaczył w oczach Temeraire'a, był dosyć zniechęcający. - Musimy pomówić z twoim dowódcą.

- Ja tu jestem dowódcą - odparł Temeraire z poważną miną.

Laurence popatrzył na niego i na smoki, które otoczyły ich ochronnym murem, a następnie wdrapał się na przedramię Temeraire'a i rozejrzał się uważnie po polanie. Nie tylko nie dojrzał nigdzie choć jednego wyższego oficera, ale stwierdził również, że żaden ze smoków, z których wiele przyglądało mu się z ciekawością- a oprócz wielkiego Regala był tam Longwing ze zmętniałymi- mi ze starości i przymkniętymi sennie oczami, wielki Chequered Nettle, Parnassian i wiele mniejszych - nie jest zaprzężony.

Za nimi Laurence zobaczył obóz pełen innych smoków. Dziesiątki Yellow Reaperów spały jeden obok drugiego, a na nich porozkładały się mniejsze, kurierskie i te lżejszych wag. liniami i małym stadem krów zajmowała się garstka ludzi, ale wszyscy oni mieli na sobie nędzne ubrania i nie mogli być oficerami Korpusu. Dalej, przy działach, stało jeszcze kilkuset innych w czerwonych, przeważnie mocno wypłowiałych kurtkach, i trochę ochotników w cywilnych ubraniach: to było

wszystko.

- Milicja - powiedział wolno Laurence.

- Tak, Lloyd i jego pasterze powiedzieli nam, gdzie ich szukać - wyjaśnił Temeraire.

- To bardzo dzielni ludzie: zwłaszcza od czasu, kiedy się już uspokoili i uwierzyli, że ich nie zjemy. Potrzebujemy ich do obsługi dział.

- Dobry Boże - wyszeptał Laurence.

Mógł sobie doskonale wyobrazić, jak Lordowie Admiralicji zareagują na wiadomość o tym, że dobrze zorganizowana milicja z młodym, bystrym oficerem na czele, której z taką pewnością siebie oczekiwali, jest eksperymentalnym i całkowicie niezależnym legionem składającym się z niezaprężonych smoków, stworzeń, które nie dość, że nie darzyły ich lordowskich mości zbyt dużą sympatią, to na dodatek działały pod dowództwem najbardziej krnąbrnego smoka w całej Brytanii.

- Cóż, moim zdaniem to wcale nie jest skomplikowane - powiedział Temeraire, kiedy Laurence nieporadnie próbował wyjaśnić mu rozkazy, które ich sprowadziły w to miejsce, oraz całe nieporozumienie. - Nie powiedzieli ci wcale, że masz przekazać tę nominację tylko wtedy, gdy dowódca okaże się człowiekiem? - zapytał, zniżając głowę w stronę Millera.

- No nie... nie - wyjąkał Miller, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami - ale...

- W takim razie wszystko jest zupełnie jasne - przerwał mu Temeraire. - Napiszę do nich, że z radością przyjmuję nominację i przeproszę za to, iż moje obowiązki wobec pułku uniemożliwiają mi obecnie powrót do głównego obozu; nie mogą mieć o to pretensji. Zresztą i tak musimy im natychmiast wysłać ostrzeżenie: Napoleon za dwa dni zaatakuje Londyn.

Trudno było znaleźć lepszy sposób odwrócenia ich uwagi. Laurence w pierwszej chwili nie wiedział, co o tym sądzić: być może Temeraire, który oczywiście miał smocze wyobrażenie o odległości, nie zdawał sobie sprawy z ogromu trudności związanych z przemieszczeniem tak wielkiej liczby ludzi oraz koni, a także zaopatrzenia dla nich, z terenu lądowania na nieprzyjacielskim wybrzeżu w głąb lądu. Od dnia lądowania nie minął jeszcze tydzień. Przy założeniu, że nigdzie nie

napotkałby oporu, Napoleon mógłby wprawdzie wprowadzić ludzi długimi kolumnami do Londynu, ale nie jako armię gotową do walki: Laurence był tego pewny. Albo chciałby być tego pewny, tylko że zbyt dobrze pamiętał jeszcze grzmot armat dobiegający od strony Warszawy, do której Francuzi dotarli o miesiąc wcześniej, niż ktokolwiek się spodziewał. Dlatego też zapytał z niepokojem:

- Czy jesteś tego pewny?

- Obserwowaliśmy korpusy marszałka Lefebvre'a - odpowiedział Temeraire. - Rano otrzymali rozkazy i natychmiast wyruszyli w tamtym kierunku; a poza tym przez cały dzień przesuwały wojska ze wszystkich stron ku Londynowi. Requiescat - cat to widział.

- Requiescat? - zapytał Laurence.

- Poznałeś go, to on was tu sprowadził - wyjaśnił Temeraire.

- Nie mógł się do nich zbliżyć niezauważenie - powiedział Laurence: Regal Copper był dość kiepskim kandydatem na szpiega.

Och, on nawet nie próbował się podkradać - odparł Temeraire. - Widzisz, nikt nie lubi z nim zadzierać, mógł zatem podlecieć do nich dość blisko, zanim byli gotowi z nim walczyć.

Kiedy Francuzi zobaczyli, że na grzbiecie nie ma nikogo, U2na11' uciekł z jakichś terenów rozładowych i po prostu uka towarzystwa innych smoków. Bardzo się starali skusić go

Pozostania i nawet dali mu krowy ze swojego obozu. Było to lepsze, niż gdybyśmy musieli go sami żywić, no i mógł obserwować wszystko, co robili.

- A zbierali się pospiesznie do drogi - wtrącił Requiescat. Przedtem szukali nas, a my podbiliśmy im kilka razy oko, ale kiedy przyszły rozkazy, natychmiast wyruszyli w stronę Londynu; i wysłali przed sobą całe bydło - dokończył posepnie.

- Podbili im oko - odezwał się Miller i prychnął wzgardliwe. - Tak, to cholernie prawdopodobne.

- Dość prawdopodobne - powiedział Hollin i wskazał coś ręką. Laurence spojrział w tamtą stronę i zobaczył wbity w ziemię pułkowy sztandar z orłem, opatrzony napisem 13eme régiment. - Zaniosę wieści, panie kapitanie - dodał Hollin, spoglądając znacząco na Laurence'a. - Ja i Elsie możemy się szybko przemknąć i dać im znać...

- To jakiś cholerny nonsens - przerwał mu Miller. - Powinieneś zawiadomić dowództwo, że jest tu co najmniej sześćdziesiąt smoków, które trzeba zgarnąć i zapędzić z powrotem na tereny rozplodowe... - Przerwał, bo Temeraire zrobił krok do przodu i tak zniżył łeb, że zawisł tuż nad jego głową.

- Nie damy się nigdzie zapędzić - powiedział groźnie - ani Napoleonowi, ani twoim admirałom; a jeśli rozkażecie innym smokom z Korpusu, żeby spróbowały to zrobić, przypuszczam, iż natychmiast zrozumieją, jakie to głupie. Jeśli jednak tak się nie stanie, sam im to wytłumaczę i jestem przekonany, że zamiast wykonywać wasze nierozsądne polecenia, przyłączą się do nas.

Laurence miał dość dobre pojęcie o tym, które smoki byłyby w tych okolicznościach gotowe przyłączyć się do Temeraire'a i to bez specjalnego przekonywania. Miałby wtedy pod rozkazami dwa Longwingi, nawet jeśli jeden z nich nie był już z pewnością zdolny do prawdziwej walki, i dwa Regal Coppery, na dodatek do pięciu innych ciężkich smoków już przebywających w obozie oraz kilkudziesięciu średnich i kurierskich, dzięki czemu armia Temeraire'a niemal dorównywałaby Korpusowi, a przynajmniej tym jego siłom, które obecnie stacjonowały w Anglii.

Nawet jeśli Miller nie był w pełni świadomy takiej możliwości zachował dość rozsądku, by usłyszawszy te słowa, umilknąć, przynajmniej na jakiś czas. Znalazł sobie spokojny kącik z boku i zasiadł do pisania listu, podczas gdy Temeraire zaczął dyktować swój własny:

Panowie,

chętnie przyjmuję waszą nominację i pragnę was zawiadomić, że chcielibyśmy występować jako Osiemdziesiąty Pierwszy Pułk, jeśli ten numer nie jest już przydzielony innej jednostce. Nie potrzebujemy żadnych karabinów i amunicji, gdyż mamy dużo prochu oraz kul do naszych dział,

- notował Laurence, zdając sobie sprawę, jaką reakcję wywołają te słowa - ale stale potrzebujemy więcej krów, świń i owiec. Mogą też być kozy, jeśli łatwiej będzie je zdobyć. Lloyd i jego ludzie spisali się bardzo dobrze i chciałbym polecić ich waszej uwadze, ale nas jest dużo i przydałoby nam się więcej pasterzy.

- Pieprz, napisz o pieprzu - wtrącała stojąca obok smoczyca, wyciągając szyję; była średniej wagi, jaskrawoniebieska z jasnozielonymi pasami; jakaś krzyżówka, pomyślał Laurence. -1 płótno, musimy mieć dużo płótna...

- Och, dobrze, pieprz - przerwał jej Temeraire i kontynuując swoją listę życzeń, dodał:

Chciałbym, żeby przybył tu Keynes, jak również Gong Su i Emily Roland, która ma moje pochwy na pazury, oraz reszta

mojej załogi; potrzebujemy także kilku lekarzy dla rannych ludzi. Dobrze by było, gdyby przybył tu też Dorset i paru innych smoczyczych lekarzy.

Lepiej by było, gdybyście zbyt długo nie pozostawali tam, gdzie jesteście...

- Temeraire, nie możesz tak pisać do swoich przełożonych - powiedział Laurence, podnosząc pióro; zrezygnował już z prób tłumaczenia, że nominacja na pułkownika powinna być natychmiast cofnięta, i zdusił w sobie wiele protestów dotyczących tonu listu, byle tylko jak najszybciej wysłać wiadomości; wiedział, że przynajmniej Jane to zrozumie; niemniej wszystko miało swoje granice.

- Ale naprawdę byłoby lepiej, gdyby stamtąd odeszli - odparł zaskoczony Temeraire. - Mają za mało żołnierzy, o wiele za mało, bo oni zbyt wolno koncentrują siły.

Laurence'owi udało się jednak w końcu namówić go do złagodzenia języka:

Napoleon zaatakujecie was we wtorek, prawie całą swoją armią, jako że Francuzi przemieszczają się bardzo szybko, gdyż przenoszą ich smoki, a wasze posiłki nie dotrą do was na czas - nasi zwiadowcy widzieli je w marszu i ustalili, że dziennie pokonują zaledwie piętnaście mil.

- A jeśli oni nie rozumieją, że to oznacza, iż powinni się wycofać? - zapytał Temeraire.

- Zrozumieją, zapewniam cię - odparł Laurence, chociaż myślał, że najpewniej zlekceważą to ostrzeżenie, i że z rady Temeraire'a nic nie wyniknie.

Przynajmniej w tej sprawie mylił się całkowicie: z niej wiele, choć prawie nic pożądanego. Następnego ranka

śpiącego na smoczej łapie Laurence'a obudziły wściekłe wrzaski, które przenikły

przez okrywającą go błonę skrzydła Temerai- re'a. Nie zdążył zsunąć się na ziemię; smok chwycił go, posadził sobie na grzbiecie i dopiero wtedy wstał. W tej samej chwili dopadły do niego dwa smoki kurierskie, które drogę od granic obozowiska pokonały na wpeł podskakując, na wpeł lecąc, i jeden z nich wysapał:

- Temeraire, ona nie zna hasła, ale...

- Nie potrzebuję żadnego głupiego hasła - przerwała mu Iskierka, wkraczając na polanę, po czym przysiadła i dla podkreślenia wagi swych słów wypuściła z pyska wąski strumień ognia. Chwilę później pojawiła się za nią chmara dzikich smoków z Turkiestanu.

- Czego tu szukasz? - zapytał Temeraire bardzo nieuprzejmie. Przybycie Iskierki, popisującej się jak zwykle i robiącej wokół siebie zamieszanie, wcale go nie ucieszyło.

- Okazji do walki - odrzekła takim tonem, jakby to było oczywiste. - Podobno toczymy wojnę, a od czterech dni nie było żadnych walk, ja nie mogłam nawet nigdzie latać i - syknęła znowu dymem - przyszli pouczać mojego Granby'ego, kiedy wybrałam się na małe polowanie.

- Cóż, tam się szykuje wielka bitwa - powiedział Temeraire - więc powinnaś wracać.

Nie, nic tam się nie szykuje - odparła Iskierka - a w każdym razie oni nie przygotowują się do żadnej walki; powiedzieli, że doP'ero za tydzień dojdzie do bitwy. I wtedy usłyszeliśmy, że ty stoczyłeś już dwie i że przyszedł twój list, w którym napisałeś, 'Z k^zie ich więcej, przybyliśmy zatem, by wziąć w nich udział.

Postanowiłam - dodała - że kiedy już pobijemy Napoleona, m°zesz dać mi jajo.

Och! - sapnęła Temeraire, nie posiadając się z oburzenia. -

Jakie to uprzejme z twojej strony. Powinienem być zaszczycony, jak przypuszczam.

- Cóż, jestem od ciebie bogatsza - odpowiedziała - i potrafię zionąć ogniem, więc powinieneś.

- Nie dałbym ci jaja - rzucił wściekle Temeraire - nawet gdybyś była ostatnią smoczyką na świecie; już wolałbym go wcale nie mieć.

- No i nie masz - odparowała Iskierka. - Nie udało ci się tego zrobić jeszcze z żadną smoczyką, więc jestem bardzo wielkoduszna, że w ogóle chcę spróbować.

To nie była przyjemna wiadomość i zaskoczony Temeraire odsunął się nieco. Wprawdzie nigdy nie podchodził do tego całego rozplodu z nadmiernym entuzjazmem, ale miło byłoby myśleć, że jest pożądanym, i szczyścić się tym, ile jaj już dał. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie było żadnego. Nie wyglądało to zbyt dobrze; ale też nie było powodem, żeby chciał dać jedno Iskierce.

Tymczasem ona z miną pełną samozadowolenia rozciągnęła się na całą długość, żeby każdy mógł ją lepiej obejrzeć. Na uprząży miała wiele jarmarcznych błyskotek, sporo łańcuchów, prawdopodobnie wcale nie ze złota, z osadzonymi w nich świecidełkami, które już na pewno były z kolorowego szkła. Pocieszając się tym w duchu, Temeraire nie mógł jednak przestać myśleć o tym, że Granby, który przy sztandarze rozmawiał po cichu z Laurence'em i Tharkayem, ma na sobie pyszny, suto szamerowany złotem mundur z zielonego aksamitu, a za pasem oprócz szpady z lśniącą od klejnotów i złota rękojeścią równie piękny sztylet; nawet jeśli nie wyglądał na specjalnie uszczęśliwionego z tego powodu. Laurence natomiast był w wytartym mundurze, który do niego wcale nie pasował.

Inne smoki przypatrywały się jej z podziwem, a także Arka' demu i jego dzikiej kompanii, także obwieszonej błyszczącymi ozdobami, poprzyczepianymi na chybił trafił do uprząży i sprawiającymi, że całe to towarzystwo wyglądało raczej jak banda niechlujnych piratów, a nie oddział Korpusu. A sam Arkady, uświadomił sobie z oburzeniem Temeraire, miał na grzbiecie Demane; Demane, który należał do jego załogi. Zbliżywszy się do nich, zapytał z wyrzutem chłopca:

- Co ty robisz? Dlaczego jesteś z nim?

_ On nie wie, co inni żołnierze przekazują flagami - odpowiedział Demane, unosząc głowę, żeby na niego spojrzeć - więc mu tłumaczę, a potem decydujemy, czy powinien ich posłuchać. Flagi czasem nie mają racji - dodał.

Wraz z tymi nieproszonymi gośćmi nie przybył nikt inny z jego załogi, nie przynieśli też ze sobą jedzenia ani niczego, co mogłoby być przydatne; nie interesowało ich, czym będą karmieni ani gdzie mają spać, i wcale nie zamierzali przestrzegać reguł obowiązujących w obozie. Tłuczka, która była dość duża jak na dzikiego smoka i dorównywała rozmiarami tym wagi średniej, spróbowała wypchnąć

jednego Yellow Reapera z jego miejsca i naturalnie wszystkie Reapery zerwały się na nogi, sycząc na nią wściekle, na co Arkady i jego towarzysze odpowiedzieli równie gniewnymi sykami, więc Temeraire musiał zaryczeć, żeby przykuć uwagę wszystkich i rozdzielić ich od siebie.

- Jesteście tu nowi, musicie zatem sami oczyścić teren na miejsca dla siebie - powiedział stanowczo.

- Och, to łatwe — odparła Iskierka i wysyczała rozkaz do Arkadego, a kiedy ten szybko przepędził swoją bandę na jedną stronę, skierowała strumień ognia na pas ziemi na obrzeżu P°lany. Suche liście zajęły się natychmiast, kora trzaskając tak głośno, jakby znaleźli się pod ostrzałem nieprzyjaciela, zaczęła Opadać od pni drzew, a jedna wyschnięta sosna zapłonęła jak Pochodnia, powiększając jeszcze zamieszanie wśród wszystkich

ków' ^re skrzecząc ze strachu, zerwały się na nogi.

Jakie to uprzejme z twojej strony. Powinienem być zaszczycony, jak przypuszczam.

- Cóż, jestem od ciebie bogatsza - odpowiedziała - i potrafię zionąć ogniem, więc powinieneś.

- Nie dałbym ci jaja - rzucił wściekle Temeraire - nawet gdybyś była ostatnią smoczyką na świecie; już wolałbym go wcale nie mieć.

- No i nie masz - odparowała Iskierka. - Nie udało ci się tego zrobić jeszcze z żadną smoczyką, więc jestem bardzo wielkoduszna, że w ogóle chcę spróbować.

To nie była przyjemna wiadomość i zaskoczony Temeraire odsunął się nieco.

Wprawdzie nigdy nie podchodził do tego całego rozplódu z nadmiernym entuzjazmem, ale miło byłoby myśleć, że jest pożądany, i szczyścić się tym, ile jaj już dał. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie było żadnego. Nie wyglądało to zbyt dobrze; ale też nie było powodem, żeby chciał dać jedno Iskierce.

Tymczasem ona z miną pełną samozadowolenia rozciągnęła się na całą długość, żeby każdy mógł ją lepiej obejrzeć. Na uprząży miała wiele jarmarcznych błyskotek, sporo łańcuchów, prawdopodobnie wcale nie ze złota, z osadzonymi w nich świecidelkami, które już na pewno były z kolorowego szkła. Pocieszając się tym w duchu, Temeraire nie mógł jednak przestać myśleć o tym, że Granby, który przy

sztandarze rozmawiał po cichu z Laurence'em i Tharkayem, ma na sobie pyszny, suto szamerowany złotem mundur z zielonego aksamitu, a za pasem oprócz szpady z lśniąca od klejnotów i złota rękojeścią równie piękny sztylet; nawet jeśli nie wyglądał na specjalnie uszczęśliwionego z tego powodu. Laurence natomiast był w wytartym mundurze, który do niego wcale nie pasował.

Inne smoki przypatrywały się jej z podziwem, a także Ark* demu i jego dzikiej kompanii, także obwieszonej błyszczącymi ozdobami, poprzyczepianymi na chybił trafił do upręży i sprawiającej że całe to towarzystwo wyglądało raczej jak banda niechlujnych piratów, a nie oddział Korpusu. A sam Arkady, uświadomił sobie z oburzeniem Temeraire, miał na grzbiecie Demane; Demane, który należał do jego załogi. Zbliżywszy się do nich, zapytał z wyrzutem chłopca:

- Co ty robisz? Dlaczego jesteś z nim?

_ On nie wie, co inni żołnierze przekazują flagami - odpowiedział Demane, unosząc głowę, żeby na niego spojrzeć - więc mu tłumaczę, a potem decydujemy, czy powinien ich posłuchać. Flagi czasem nie mają racji - dodał.

Wraz z tymi nieproszonymi gośćmi nie przybył nikt inny z jego załogi, nie przynieśli też ze sobą jedzenia ani niczego, co mogłoby być przydatne; nie interesowało ich, czym będą karmieni ani gdzie mają spać, i wcale nie zamierzali przestrzegać reguł obowiązujących w obozie. Tłuczka, która była dość duża jak na dzikiego smoka i dorównywała rozmiarami tym wagi średniej, spróbowała wypchnąć jednego Yellow Reapera z jego miejsca i naturalnie wszystkie Reapery zerwały się na nogi, sycząc na nią wściekle, na co Arkady i jego towarzysze odpowiedzieli równie gniewnymi sykami, więc Temeraire musiał zaryczeć, żeby przykuć uwagę wszystkich i rozdzielić ich od siebie.

- Jesteście tu nowi, musicie zatem sami oczyścić teren na miejsca dla siebie - powiedział stanowczo.

- Och, to łatwe — odparła Iskierka i wysyczała rozkaz do Arkadego, a kiedy ten szybko przepędził swoją bandę na jedną stronę, skierowała strumień ognia na pas ziemi na obrzeżu Polany. Suche liście zajęły się natychmiast, kora trzaskając tak głośno, jakby znaleźli się pod ostrzałem nieprzyjaciela, zaczęła odpadać od pni

drzew, a jedna wyschnięta sosna zapłonęła jak

^hodnia, powiększając jeszcze zamieszanie wśród wszystkich moków, które skrzecząc ze strachu, zerwały się na nogi.

- Dostyc tego! - krzyknął Temeraire. - Nie możecie wzniecać pożarów w obozie; mamy tu wszędzie proch i jeszcze nas wszystkich wysadzisz w powietrze. A teraz ugaście te drzewa i usuńcie je jak należy, wrywając je z korzeniami.

Dzikie smoki wprawdzie się nadały, ale zdusiły płomienie ziemią i powyrywały drzewa. Iskierka nie przyłączyła się do nich, tylko siedziała, ziewając od czasu do czasu, i obserwowała je, w pełni świadoma tego, że jest przedmiotem zainteresowania całego obozu. Temeraire'a najbardziej irytowało to, że zamiast wzbudzić gniew swym zachowaniem, wszystkim wyraźnie zaimponowała. To nie było wcale właściwe, ale kiedy podzielił się tą opinią z Perscitią, ona nie dość, że mu nie przytaknęła, to jeszcze powiedziała, że smok zionący ogniem może być bardzo przydatny, po czym naszkicowała na ziemi kilka manewrów, które opracowała z myślą o jak najlepszym wykorzystaniu Iskierki.

- Nie dali wiary ani jednemu słowu - powiedział Granby do Laurence'a, wcale go tym nie zaskakując. Kapitan Iskierki wyglądał na zmęczonego i musiał co jakiś czas ocierać z czoła pot, który zalewał mu oczy. - W każdym razie dowódcy; natomiast ona uwierzyła we wszystko i nic nie mogło jej powstrzymać przed przybyciem tutaj, żeby walczyć razem z wami, bo inaczej Temeraire'owi przypadłaby cała sława i zdobycze, a ona też chciała mieć orła; kiedy się już na coś zdecyduje, te dzikie smoki podążą za nią na sam koniec świata.

Arkady wciąż stał na ich czele, ale dzięki Iskierce zdobyli tyle skarbów, że nawet on zaczął najwyraźniej uważać ją za siłę natury* której potęgą wykracza poza granice normalnego przywództwa-

- Roland okazała wielką wyrozumiałość - dodał Granby-" Wysłała za nami kuriera z rozkazami, że mamy przeprowadzić misję zwiadowczą, więc formalnie nie dopuściłem się niesubof dynacji, ale... - Uniósł ręce w geście bezsilności.

_ Nie przeprowadzono żadnych przygotowań do odparcia francuskiego ataku? - zapytał cicho Laurence. - Żadnych?

_ Trzeba uczciwie przyznać - odparł Granby - że niewiele mogą zrobić; nie mają jeszcze wystarczającej liczby żołnierzy. Admirał Roland próbowała ich przekonać, że powinniśmy zacząć przenosić oddziały, ale zdaniem dowództwa wywołałoby to jedynie zamęt i mogłoby doprowadzić do buntów wszędzie tam, gdzie ludzie nie chcieliby wejść na smoki.

- Mogą się wycofać - powiedział Tharkay - zamiast czekać i dać się rozgromić.

- Cóż - mruknął Granby, a Laurence poczuł się tak samo jak on; wycofanie się z wybrzeża, kiedy nie udało się zapobiec lądowaniu przeciwnika, to było jedno, ale oddanie Londynu bez jednego wystrzału było już czymś zupełnie innym.

- Czy jest jakaś szansa, że możesz być w błędzie? - zapytał Laurence Temeraire'a nieco później, kiedy dzikie smoki zadomowiły się już w obozie.

- Ich wojska dokądś zmierzają - odparł roztropnie Temeraire - a nie przychodzi mi do głowy inny cel ich marszu oprócz Londynu, gdzie jest wasza armia; w naszej okolicy zostało jeszcze dużo krów, a więc nie może im chodzić tylko o jedzenie. Jeśli jednak chcesz, poproszę Monceya i innych, żeby spróbowali ustalić, dokąd oni rzeczywiście poszli.

Zanim jednak doszło do realizacji tego planu, okazało się to niepotrzebne, gdyż do obozu wpadła Elsie i wylądowała tak Pospiesznie, że wpadła w poślizg.

Spieszcie się, och, szybko - krzyczała - oni nie uderzą JUtro'oni zaatakują już dziś w nocy.

Hollin zsunął się z jej grzbietu, podbiegł do Laurence'a i posiedział:

- T

wszystko prawda, panie kapitanie. Zwiadowcy do- 1 ich wojska uformowane do ataku o godzinę marszu od

naszych sit. Mają też w swoim obozie dziesięć uzbrojonych p0 zęby Fleur-de-Nuitów.

Obserwując zwijanie obozu, Laurence miał okazję zobaczyć na własne oczy, jak szybko może się poruszać armia smoków Najpierw drogą, w tumanach kurzu, powędrowało stado świń i porykujących krów, pędzone przez pasterzy oraz kilka smoków dodanych im do pomocy i dla podniesienia ich na duchu.

- Spotkamy się w Harpenden - powiedział Temeraire do przywódcy pasterzy - albo wyślemy ci tam wiadomość, dokąd macie zapędzić krowy i którą drogą; jeśli się nie odezwiemy, dopilnuj, żeby były bezpieczne i żeby Francuzi ich nie przejęli.

- Tak jest, sir - odparł pastuch, kłaniając się z szacunkiem, jakby było to coś najzupełniej normalnego, po czym, pokrzykując wesoło do swoich ludzi, trącił nogami muła i ruszył w drogę.

Zwinięte szybko namioty zwałono byle jak, wraz z masztami i resztą oporządzenia, na jedną wielką płachtę, a potem dorzucono tam jeszcze sprzęt kuchenny i wielkie kotły wypełnione armatnimi kulami. Średnie smoki chwyciły działa, a na grzbiety mniejszych wdrapali się członkowie milicji ze sznurami, którymi się zabezpieczali.

- Kiedy niosą je te małe, potrzeba mniej sznurów - wyjaśnił Temeraire - a ludzie też mówią, że wolą siedzieć okrakiem, a nie po turecku.

Nadzorował przebieg całej operacji z miną surowego dyrektora szkoły i tylko od czasu do czasu zerkał z niepokojem na Laurence'a, próbując odgadnąć, jak jest przez niego oceniany; wszystko przebiegało jednak tak sprawnie, że nie można było mieć żadnych zastrzeżeń. Kiedy smoki wzbijały się w powietrze, zniżały lot nad tyłem wędrującego stada i każdy łapał sobie na obiad krowę lub tłustą świnię, po czym zjadał ją w locie, przy czym łączenie obu czynności nie sprawiało im żadnej widocznej trudności, jeśli pominąć to, że ochlapywały się nieco krwią-

Dobrze, my też jesteśmy już gotowi - powiedział w końcu Temeraire i wyciągnąwszy łapę po Laurence'a, posadził go sobie na karku, a następnie odbił się potężnie od ziemi i oni też znaleźli się w powietrzu; od chwili gdy Elsie podniosła alarm, nie upłynęła nawet godzina, a pod nimi zostało tylko nagie, zdeptane pole.

Z konieczności smoki leciały bardzo, wręcz desperacko szybko i nie w jakimś przemyślanym porządku, lecz wielkiej, nie- zorganizowanej masie, stale zmieniając pozycje; a przynajmniej tak się na początku Laurence'owi wydawało, ale potem odkrył, że mniejsze przysiadają od czasu do czasu na większych, żeby odpocząć. Zdał sobie z tego sprawę dość nagle, kiedy ni z tego, ni z owego na grzbiecie Temeraire'a wylądowała mała, zasapana smoczyca w kolorze błota. Kiedy już złapała

drugi oddech, wyciągnęła szyję i przyjrzała się Laurence'owi z dość krytyczną miną.

- Will Laurence, do usług - powiedział ostrożnie Laurence po kilku chwilach tego taksowania go wzrokiem.

- Och, ja jestem Minnow - odparła smoczyca. - Bardzo przepraszam, ale byłam trochę ciekawa. Ponieważ on był tak przybity, kiedy cię stracił, przyszło mi do głowy, że może różnisz się od innych ludzi.

Z tonu jej głosu wynikało, że nie dostrzegła w nim niczego godnego podziwu. Temeraire, który ją usłyszał, odwrócił łeb i powiedział z oburzeniem:

- Laurence jest najlepszym kapitanem na świecie. Ratowaliśmy wszystkich i walczyliśmy z admirałami, a więc oczywiście n'e mamy teraz na sobie naszych najładniejszych rzeczy.

- Czy nigdy nie miałaś towarzysza? - zapytał Laurence małą snioczycę, przy czym określenie „mała” było tu względne, jako Ze Sama jej głowa była od niego cięższa.

Mam wystarczająco dużo przyjaciół - opowiedziała - a co uprząży i tego, że ktoś mi będzie mówił, dokąd mam lecieć, to dziękuję bardzo. Przypuszczam, że wam, wielkim smokom - zwróciła się do Temeraire'a - jest łatwiej w służbie, bo nikomu nie przyjdzie do głowy, że może was zmusić do robienia czegoś, co wam się naprawdę nie podoba, ale dość słyszałam od starych kurierów by wiedzieć, iż to nie dla mnie. Rozpacz po utracie kapitana i nic do pokazania oprócz starych śladów po uprząży. No, już mi lepiej lecę - rzuciła i równie bezceremonialnie jak wylądowała, wzbiła się w powietrze, po czym pomknęła znowu na czoło formacji.

Laurence zauważył wtedy manewr, często stosowany przez smoki, który w dużej mierze odpowiadał za to, że początkowo odniósł wrażenie, iż panuje wśród nich wielki chaos. Ciężkie w rzeczywistości wcale nie zmieniały pozycji, tworząc stałe jądro formacji, które poruszało się w tempie dostosowanym do szybkości Requiescata, jako najwolniejszego z nich wszystkich. Smoki średnie, które miały nadmiar energii, odłączały się od czasu do czasu od reszty i nurkowały w kierunku ciągnących się w dole pól. Wracały często z krową, świnią lub owcą, które albo same zjadały, albo zносиły większym smokom.

- Tak, dzięki temu nie musimy się wszyscy zatrzymywać - potwierdził Temeraire - i nikt nie jest głodny, kiedy docieramy do celu, nawet Requiescat, chociaż on zawsze musi trochę ponarzekać tak na pokaz.

- Wcale nie na pokaz - zaprotestował Requiescat, odwracając swoją ogromną głowę. - Kiedy byłem w prawdziwej formie bojowej, miałem dwadzieścia sześć ton. Jeszcze nie wróciłem do tej wagi po tym paskudnym katarze.

Było to dosyć łagodne określenie skutków epidemii zjadliwej choroby, która szczególnie mocno dotknęła właśnie Regal Cop- pery. Wszystkie one straciły mocno na wadze, którą teraz bardzo wolno odzyskiwały; inna rzecz, że Laurence nie bardzo mógł sobie wyobrazić, że Requiescat mógłby być jeszcze większy, niż był-

Po drodze nie napotkali żadnego oporu ze strony nieprzyj2 cielą a kilka francuskich smoków zwiadowczych, które pojawiły się na horyzoncie, natychmiast zawróciło i uciekło, niosąc wieści o ich przybyciu. Trudno jednak było liczyć na to, że tak wielkie siły na dodatek lecące wysoko nad ziemią, przemkną się niepostrzeżenie; a jeśli miałyby to skłonić Napoleona do opóźnienia ataku, to nawet pożądane było, żeby te wieści do niego dotarły. Przelecieli nad Hammersmith i Kew, nad krętą, brunatną wstęgą Tamizy, skrzącą się na brzegach lodem i śniegiem, aż w końcu znaleźli się nad samym Londynem.

Hollin wysunął się z Elsie szybko na czoło formacji i zamachał flagami sygnałowymi; z dołu odpowiedziały mu działa, potwierdzając, że jego wiadomość została zrozumiana, a potem na ulice wylegli ludzie, wiwatując na ich cześć. Było to bardzo krzepiące, choć z powodu odległości niemal niesłyszalne. W pewnej chwili Temeraire zawołał:

- Dirigion, Ventiosa, lećcie przodem, żeby zobaczyli nasze chorągwie.

Dwa Yellow Reapery pomknęły naprzód, powiewając zasłonami z czerwonego aksamitu.

Po kolejnych dwudziestu minutach lotu zobaczyli armię: morze czerwonych kurtek taplających się w powstałym z rozdeptanego śniegu błocie. Kiedy znaleźli się nad obozem, Temeraire nabrał wysokości, by mieć przed sobą pustą przestrzeń, i wzięwszy głęboki wdech, zaryczał. Wokół nich było wiele delikatnych włókien

białych chmur, i to one właśnie nadały fizyczną postać straszliwej, huczącej potędze boskiego wiatru, przyjmując kształt przebiegających przez nie fal rozedrganego powietrza. Wszystko to trwało tylko chwilę, ale w dole wszystkie smoki Korpusu uniosły głowy na swoich polanach i odpowiedziały radosnym, grzmiącym powitaniem, a Temeraire, przechyliwszy się w ostrym kręcie, sprowadził swój oddział na rozległe pole, które znajdowało się na lewym skrzydle armii, blisko Plumstead.

to dziękuję bardzo. Przypuszczam, że wam, wielkim smokom - zwróciła się do Temeraire'a - jest łatwiej w służbie, bo nikomu nie przyjdzie do głowy, że może was zmusić do robienia czegoś, co wam się naprawdę nie podoba, ale dość słyszałam od starych kurierów by wiedzieć, iż to nie dla mnie. Rozpacz po utracie kapitana i nic do pokazania oprócz starych śladów po uprzęży. No, już mi lepiej lecieć - rzuciła i równie bezceremonialnie jak wylądowała, wzbiła się w powietrze, po czym pomknęła znowu na czoło formacji.

Laurence zauważył wtedy manewr, często stosowany przez smoki, który w dużej mierze odpowiadał za to, że początkowo odniósł wrażenie, iż panuje wśród nich wielki chaos. Ciężkie w rzeczywistości wcale nie zmieniały pozycji, tworząc stałe jądro formacji, które poruszało się w tempie dostosowanym do szybkości Requiescata, jako najwolniejszego z nich wszystkich. Smoki średnie, które miały nadmiar energii, odłączały się od czasu do czasu od reszty i nurkowały w kierunku ciągnących się w dole pól. Wracały często z krową, świnia lub owcą, które albo same zjadały, albo zanosili większym smokom.

- Tak, dzięki temu nie musimy się wszyscy zatrzymywać - potwierdził Temeraire - i nikt nie jest głodny, kiedy docieramy do celu, nawet Requiescat, chociaż on zawsze musi trochę ponarzekać tak na pokaz.

- Wcale nie na pokaz - zaprotestował Requiescat, odwracając swoją ogromną głowę. - Kiedy byłem w prawdziwej formie bojowej, miałem dwadzieścia sześć ton. Jeszcze nie wróciłem do tej wagi po tym paskudnym katarze.

Było to dosyć łagodne określenie skutków epidemii zjadliwej choroby, która szczególnie mocno dotknęła właśnie Regal Cop pery. Wszystkie one straciły mocno

na wadze, którą teraz bardzo wolno odzyskiwały; inna rzecz, że Laurence nie bardzo mógł[^] bie wyobrazić, że Requiescat mógłby być jeszcze większy,nlZ •

Po drodze nie napotkali żadnego oporu ze strony nieprZ>Ja ciałą a kilka francuskich smoków zwiadowczych, które pojawiły się na horyzoncie, natychmiast zawróciło i uciekło, niosąc wieści o ich przybyciu. Trudno jednak było liczyć na to, że tak wielkie sily na dodatek lecące wysoko nad ziemią, przemkną się niepostrzeżenie; a jeśli miałyoby to skłonić Napoleona do opóźnienia ataku, to nawet pożądane było, żeby te wieści do niego dotarły. Przelecieli nad Hammersmith i Kew, nad krętą, brunatną wstęgą Tamizy, skrzącą się na brzegach lodem i śniegiem, aż w końcu znaleźli się nad samym Londynem.

Hollin wysunął się z Elsie szybko na czoło formacji i zamachał flagami sygnałowymi; z dołu odpowiedziały mu działa, potwierdzając, że jego wiadomość została zrozumiana, a potem na ulice wylegli ludzie, wiwatując na ich cześć. Było to bardzo krzepiące, choć z powodu odległości niemal niesłyszalne. W pewnej chwili Temeraire zawołał:

- Dirigion, Ventiosa, lećcie przodem, żeby zobaczyli nasze chorągwie.

Dwa Yellow Reapery pomknęły naprzód, powiewając zasłonami z czerwonego aksamitu.

Po kolejnych dwudziestu minutach lotu zobaczyli armię: morze czerwonych kurtek taplających się w powstałym z rozdeptanego śniegu błocie. Kiedy znaleźli się nad obozem, Temeraire nabrał wysokości, by mieć przed sobą pustą przestrzeń, i wzięwszy głęboki wdech, zaryczał. Wokół nich było wiele delikatnych włókien białych chmur, i to one właśnie nadały fizyczną postać straszliwej, huczącej potędze boskiego wiatru, przyjmując kształt przebiegających przez nie fal rozedrganego powietrza. Wszystko to trwało tylko chwilę, ale w dole wszystkie smoki Korpusu uniosły głowy na swoich polanach i odpowiedziały radosnym, grzmiącym powitaniem, a Temeraire, przechyliwszy się w ostrym ?cie, sprowadził swój oddział na rozległe pole, które znajdo- Wało na lewym skrzydle armii, blisko Plumstead.

- Laurence - powiedział, kiedy już wylądowali - powiadom, proszę, dowództwo, że chętnie pójdę porozmawiać z nimi, ale będą musieli znaleźć dla mnie trochę miejsca

przy swoim namiocie, jeśli to jest ten wielki, stojący pośrodku obozu, i że dobrze by było, gdyby zrobili coś ze swoimi końmi.

- Muszę cię ostrzec, że na pewno nie będą zadowoleni z twojego przybycia - odrzekł Laurence - i że nie zrobią niczego, by ci to ułatwić.

- W takim razie - odpowiedział Temeraire - wszyscy stąd odlecimy, a oni będą musieli walczyć z Napoleonem bez nas. Poprosili nas o przybycie i potrzebują naszej pomocy; nie mogą traktować nas jak niewolników. Zdołamy też się sami wyżywić, w ten czy inny sposób, jeśli nie zechcą dawać nam krów.

Laurence zawahał się; chciał zaprotestować, przemówić mu do rozsądku, wspomnieć o obowiązku, ale poczucie sprawiedliwości mu na to nie pozwoliło. Stawienie się w tym obozie nie było wcale obowiązkiem Temeraire'a czy żadnego z tych smoków, które nigdy nie złożyły przysięgi, ani nie otrzymały jakiegokolwiek wynagrodzenia za służbę. Laurence nie bardzo też wiedział, na czym obecnie miał polegać jego obowiązek. Gdyby rozkazano mu pozostać i albo służyć w polu, albo dać się powiesić, nie miałby wyboru. Obawiał się jednak, że jego obowiązkiem będzie przekonanie Temeraire'a do pozostania - wbrew interesom smoka, jeśli okaże się to konieczne.

Wprowadzono go znowu do tego samego namiotu, w którym jednak sporo się zmieniło: jego większą część zajmowały stoły z rozłożonymi mapami, na których roilo się od najrozmaitszych oznakowań i liczb. W tylnej części, którą tymczasem dodano, najwyraźniej doszło do kłótni, przy czym większość ludzi mówił z wyraźnym lękiem, wręcz płacząco, a tylko w głosach niektórych pobrzmiwały jakieś stanowcze tony. Laurence, mimo że starał się nie podsłuchiwać, rozpoznał wśród nich głos Jane, dźwięczny i wznoszący się ponad inne.

Nad stołami pracowała grupa młodych, szczupłych oficerów, na których twarzach próżno było szukać uśmiechu. Kiedy Laurence'a wprowadzono do namiotu, popatrzyli na niego z chłodną wzgardą w oczach, a potem nie zwracali już na niego uwagi. W końcu z tylnego pomieszczenia wyszedł pułkownik i zwrócił się do Laurence'a:

- Mam panu powiedzieć, że zostanie pan ulaskawiony, jeśli zdoła pan skłonić smoki

do walki.

Widać było, że wypowiedzenie tych słów nie sprawiło mu żadnej przyjemności.

- Co za cholerna hańba! - mruknął jeden z młodych ludzi w rogu, nie unosząc głowy.

- Sprowadź mi sześćdziesiąt smoków na godzinę przed bitwą, a też daruję ci zdradę, i jeszcze morderstwo - powiedział Wellesley, który tymczasem też wyszedł z komory, w której odbywała się narada dowództwa. - Nie wiem, jakim to geniuszem zniszczenia jesteś, Laurence, ale jeśli można cię skierować przeciwko Bonapartemu, nie warto cię wieszać. Czy możesz sprawić, żeby te stworzenia słuchały rozkazów?

- Sir - odparł Laurence - nie sprowadziłem panu żadnych smoków; powinien pan raczej powiedzieć, generale, że to smoki sprowadziły mnie. Nie słuchają mnie, ale Temeraire'a...

- A to stworzenie słucha ciebie i to mi wystarczy - przerwał mu Wellesley. - Nie mam teraz czasu na takie szczegóły. Spełnij swój cholerny obowiązek albo każę cię powiesić, zanim wyjdę w Pole i dam się tam zastrzelić.

Podniósł ze stołu kartkę papieru, nakreślił na niej pospiesznie kilka linijek tekstu, który można było niemal dowolnie interpretować, i wcisnął ją Laurence'owi do rąk.

Laurence przeczytał kartkę i znalazł tam wszystko w jednym, życie, wolność, obowiązek; i był prawie wdzięczny Welle sleyowi za te próby przekupstwa oraz groźby, już same w sobie niesmaczne, które tylko ułatwiały mu odmówienie wykonania takiego rozkazu.

- Proszę o wybaczenie, sir - powiedział - ale nie mogę obiecać, że spełnię pańskie życzenie; nie mam takiej władzy. Jeśli chce pan rozmawiać z dowódcą smoczej milicji, jest nim Temeraire. A on oraz towarzyszące mu stworzenia nie zastosują się do niczych poleceń, jeśli najpierw nie przeprowadzi się z nimi konsultacji.

- Na litość boską i na Bonapartego, który stoi na naszym progu! - krzyknął Wellesley. - Czy wyobrażasz sobie, że mamy czas ganiać w tę i we w tę po obozie, który rozciąga się na przestrzeni mili, by hołubić nie tylko ludzi, ale i smoki?

- Jego wcale nie trzeba hołubić, sir - odparł Laurence. - Wystarczy podać mu informacje niezbędne każdemu dowódcy dużego oddziału milicji, który przybył

późno i nie wie nic o pańskim planie ataku. Bardzo chętnie przyleci do pana, generale, jeśli tylko przygotuje się dla niego miejsce i uwiąże konie, żeby nie uciekły.

- Plan ataku? - prychnął Wellesley. - Trudno poznać coś, czego nie ma. Rowley - powiedział, odwracając się gwałtownie w stronę jednego z młodych oficerów przy stołach, który stanął na baczność - idź uwiązać konie i przygotuj dla niego miejsce do lądowania. Jak dużego potrzebuje?

Nie czekając na odpowiedź, wrócił na naradę sztabu generalnego.

- Temeraire potrzebuje mniej więcej sto pięćdziesiąt na sto pięćdziesiąt stóp, żeby wylądować - poinformował Laurence Rowleya, wychodząc z nim na zewnątrz.

- Czy on jest tak niezdarny jak krowa? - zapytał kwaśno młody oficer, po czym wydał rozkazy przeniesienia kilku na

miotów i odprowadzenia koni w bezpieczne miejsce. - Nie Opowiadam za pańską głowę, jeśli on pożre ulubionego konia generała - dodał.

Laurence nie kłopotał się odpowiadaniem na te uwagi, ale wrócił szybkim krokiem na pole, a kiedy tam dotarł, zatrzymał się jak wryty: wieść widać szybko się rozeszła i do obozowiska smoków przybyło kilku ludzi z jego dawnej załogi, którzy najwyraźniej wymknęli się nowym dowódcem.

- Sir - powitał go Fellowes, odrywając wzrok od pracy, w której pomagał mu Blythe, trzymający małe kowadło. Młody Allen podniósł się, wyższy teraz o jakieś dwa cale, zarumienił się i dotknął palcem kapelusza. Była też z nimi Emily Roland.

- Panowie - powiedział Laurence, wdzięczny i jednocześnie skonsternowany, gdyż oni nie pracowali nad uprzężą, czy też pancerzem, ale nad platynowym wisiołem Temeraire'a, natomiast Emily przyniosła jego wysadzane klejnotami pochwy na pazury.

Pochwy, które dostał w Chinach, były niezwykle piękne, i jednocześnie wyjątkowo jarmarczne, ze złota i srebra pokrytych misternymi, orientalnymi grawerunkami i usianych drogocennymi kamieniami. Po założeniu platynowego wisiora z wielką perłą ' szafirami smok wyglądał jak prawdziwe uosobienie próżności, zwłaszcza że do łańcucha kazał doczepić swój stary, mniejszy sznur pereł i złotych paciorków, który wcale tam nie pasował. Poza tym kazał się tak wyszorować, że teraz jego ciało

wręcz lśniło. Laurence zauważył też z przykrością, że te kilka blizn, które pozostały mu po odniesionych w bojach ranach, smok po- lecił pomalować czarnym smarem używanym do zabezpieczania d^owi i żelaznych relingów. Szczególnie widoczne było to na TT P'CrS" podczas starcia na morzu trafiła go francuska

a'rana była paskudna i chociaż dobrze się wygoiła, pozostał po "jej wyraźny ślad.

Kiedy Laurence przyszedł na pole, Temeraire był zajęty oglądaniem się w wielkim lustrze z czyjejs garderoby, w którym za jednym razem mógł zobaczyć najwyżej pięć stóp swojego ciała i zastanawiał się, czy nie założyć dodatkowo na krezę roziskrzanej w słońcu siatki ze złotych łańcuszków.

- Dostałem to od Iskierki - powiedział - i chociaż normalnie nigdy nie pożyczylbym cudzej rzeczy i udawał potem, że należy do mnie, to myślę sobie, iż w obecnej sytuacji, kiedy nie mieliśmy jeszcze czasu na zrobienie medali, to cacko może je zastąpić.

- Proszę, daj mi to sobie wyperswadować - odparł zasmucony Laurence, wyobrażając sobie reakcję generałów. - Pożyczanie kosztowności nie jest w dobrym guście, a gdybyś to zgubił lub uszkodził, miałbyś wobec niej dług...

- Och - przerwał mu Temeraire - to prawda; lepiej, żebym tego nie brał - powiedział, smutno wzdychając. - No dobrze, Roland, zdejmij to - dodał i niechętnie pochylił głowę.

Ostatecznie okazało się jednak, że to wszystko nie miało większego znaczenia. Temeraire wylądował w wielkiej, obejmującej stopniowo cały obóz ciszy, gdyż umilkły nawet rżenia przerażonych koni. Rowley, który wciąż czekał na zewnątrz namiotu, zbladł pod swym ciemnym, wąskim wąsem, gdy smok zgrabnie opadł na wyznaczonym dla niego miejscu, a ponieważ ledwie się na nim mieścił, musiał podwinąć ogon.

- No i jak, czy to stworzenie już przybyło? - zapytał głośno Wellesley, wychodząc z namiotu. Znalazłszy się na zewnątrz, spojrział w górę, zatrzymał się gwałtownie i nie powiedział już nic więcej.

Laurence uświadomił sobie, że kilka klejnotów mogło nawet niezbyt rzucić się w oczy komuś, kto nigdy nie widział całego smoka z bliska, a jako oficer wojsk

lądowych Wellesley zapewne nigdy nie był w pobliżu stworzenia większego od kurierskiego-

- Pułkownik Temeraire, do usług - powiedział Temeraire patrząc w dół z zainteresowaniem.

_ W istocie, to ty - odparł po chwili Wellesley, odzyskawszy głos - W każdym razie przydasz się, żeby zamknąć kilka gąb. Rowley, idź powiedziec tym panom, żeby wyszli na zewnątrz i poznali naszego nowego pułkownika.

W tej chwili z namiotu wyszedł pospiesznie człowiek: nie był to wojskowy, ale dżentelmen w poważnym ciemnobrązowym stroju.

_ Generale... proszę o wybaczenie... ministerstwo uważa, że zaistniało niebezpieczeństwo stworzenia precedensu... czy mógłbym z panem zamienić parę słów... - Nie zauważył jeszcze w pełni Temeraire'a: kiedy mówił, strzelił odruchowo kilka razy oczami w bok i w górę, w głowie pojawił mu się zapewne niewyraźny obraz czarnych łusek i gładkich pazurów, obraz, który wyostrzał się w trakcie jego urywanej przemowy, aż w końcu uniósł wzrok i umilkł w pół słowa.

- Nie, nie mógłby pan - odparł Wellesley z satysfakcją, patrząc, jak tamtemu odebrało mowę i sadzając go, kompletnie bezwolnego, na składanym krześle. - Siadaj, Giles. Rowley, idź i powiedz pozostałym, żeby tu wyszli.

- Bardzo przepraszam - powiedział Temeraire do biedaka, który zatrząsł się gwałtownie, gdy zbliżyła się do niego smocza głowa-ale jeśli pracuje pan w ministerstwie, to sam chciałbym zamienić z panem kilka słów. Chcemy uzyskać prawo do głosowania, a także otrzymywać wynagrodzenie.

Zrobienie wrażenia na zawodowych żołnierzach nie było już takie łatwe, a efekt ostatecznie popsowała Jane, która wyszła przed •nnych i powiedziała:

Dlaczego się tak wystroiłeś jak na Boże Narodzenie? To jest wojna, a nie jakaś burleska.

~ Założyłem moje najładniejsze rzeczy, żeby okazać szacunek ~ odParł urażony Temeraire.

~ Zeby się popisać, chciałeś powiedziec - rzekła Jane, a że nie została za to pożarta ani rozgnieciona, inni też nabrali od wagi. Większej, niż by chciał Wellesley, który

najwyraźniej by) bardziej zainteresowany wykorzystaniem Temeraire'a do zastraszania innych, a tym samym zdławienia ich sprzeciwu wobec swoich propozycji, niż wysłuchaniem jego opinii.

Nie było już różnicy zdań co do istoty grożącego im niebezpieczeństwa; zwiadowcy dostarczyli wystarczająco dużo informacji, żeby stało się to jasne dla każdego. Najpierw nadlecą dwie formacje Fleur-de-Nuitów, najprawdopodobniej około północy, i będą bombardować Anglików aż do rana, kiedy to uderzą na nich zmasowane siły francuskiej piechoty, próbując ich wypchnąć z zajmowanych pozycji.

Te pozycje były rzeczywiście bardzo silne: dowódcy wycofali armię z wybrzeża głównie z myślą o tym, żeby mieć luksus wyboru pola następnej bitwy. Nikt nie miał wątpliwości, że Napoleon będzie dążył do zajęcia Londynu. Zajął Wiedeń, chociaż to miasto nie miało żadnej wartości strategicznej, i przemaszerował przez Berlin, tylko dla moralnej wartości tych zwycięstw i osobistej satysfakcji, jaką dało mu zamieszkanie w pałacach jego wrogów, rozkoszowanie się uczuciem, że należą teraz do niego... A w Londynie było dużo banków, dużo złota i srebra, prawdziwej siły napędowej każdej armii. Zdobycie miasta stwarzało także szansę odcięcia południa kraju od północy, z Tamizą jako wygodną drogą do transportu zaopatrzenia i posiłków.

Dlatego armia brytyjska rozłożyła siły na południowym brzegu rzeki między Woolwich a Oxleas Wood, na pozycjach górujących nad drogą z Dover do Londynu, blokując także umocnieniami ziemnymi wszystkie inne trasy, które mogłyby posłużyć Francuzom. Chociaż fortyfikacje te nie były jeszcze tak rozbudowane, jak można by sobie życzyć, gdyż Napoleon poruszał się nadszpiewanie szybko, wciąż mogły znacznie spowolnić tempo posuwania się każdej wielkiej masy ludzi, • dać Brytyjczykom czas na zaatakowanie ich od tyłu, a ponadto były dobrze rozmieszczone na wypadek, gdyby francuski cesarz próbował ruszyć na miasto wzdłuż rzeki. Jednak Napoleon najwyraźniej zamierzał podjąć rzuconą mu rękawicę: szedł ku nim i to główną drogą.

Na obecnych pozycjach Brytyjczycy uzyskali istotną przewagę zajmując wyżej położony teren, gdzie znajdowało się kilka solidnie zbudowanych wiejskich domów i

sporo kamiennych murów granicznych, zamienionych w fortyfikacje, które miały dodatkowo utrudnić nieprzyjacielowi wyparcie ich z tych stanowisk.

- Będziemy się bronić tutaj - powiedział sir Hew Dalrymple, głównodowodzący. Był to starszy oficer z grubym karkiem i jasnymi, mocno przerzedzonymi na skroniach włosami. - Oddanie tak korzystnej pozycji byłoby czystą głupotą...

- A jeśli zostaniemy zmuszeni do jej oddania? - zapytał sucho Wellesley; na ich zachodniej flance były podmokłe tereny, dodatkowo nasiąknięte wodą z topniejącego śniegu, ale nikt nie chciał o tym dyskutować.

- Bonaparte posuwa się szybciej, niż oczekiwaliśmy, ale nie możemy pozwolić, żeby z tego powodu w nasze poczynania wkradł się chaos - kontynuował generał Dalrymple. - To właśnie zgubiło Prusaków... zmieniali zdanie i pozycje dziesięć razy dziennie, a w ich głowach panował zamęt.

- Przepraszam, sir - powiedział Laurence, nie mogąc się pohamować. - Nie przeczę, że armię pruską paraliżowała niezdolność dowództwa do podejmowania decyzji; ale zostali rozniesieni w puch, sir, na otwartym polu...

Dzięki tej sztuczce z zasłonięciem koniom oczu, o której jak się pan rozwodził w swoim raporcie - przerwał mu Dalrym- P'e - - Może pan być spokojny - dodał ironicznym tonem, który Przekazywał bez słów, jak mało przejmował się niepokojem Laurence'a - nie zlekceważyliśmy tych pańskich informacji które można było potwierdzić; nasze konie mają teraz cholerne kaptury i jeśli Bonaparte myśli, że wywoła popłoch w naszych szeregach kilkoma szarżami smoków, wkrótce się przekona, jak bardzo się myli.

- Ponadto tym razem Bonaparte pozwolił, by jego umiłowanie szybkości wzięło górę nad rozumem - włączył się do rozmowy inny generał. - Wszyscy zwiadowcy zgadzają się, nawet smoki - dodał, rzucając chłodne spojrzenie w stronę Jane, zanim zdążyła zabrać głos - że nie przeprowadził jeszcze przez kanał swojej całej armii. Prowadzi na nas trzydzieści tysięcy ludzi, a nie pięćdziesiąt. Nie jesteśmy od niego dużo słabsi, nawet bez posiłków.

- Do rana będziecie o wiele słabsi - odpowiedziała Jane - jeśli zamierzacie tu siedzieć i dać się bombardować. I moi zwiadowcy rzeczywiście donoszą o

trzydziestu tysiącach, ale to nie znaczy, że nie nadejdzie ich więcej.

- Jazgotałaś bez przerwy, że musimy mieć te sześćdziesiąt dodatkowych smoków - powiedział wojowniczo kolejny officer, tym razem pułkownik - i zapomnieć o zdradzie oraz o tym, że te stworzenia są bez załóg i upręży, a teraz okazuje się, iż nie możemy nic zrobić, tylko siedzieć i czekać, aż Francuzi zaczną rzucać nam bomby na głowy. Jeśli nie mogą być nam przydatne tutaj, nie są nam w ogóle potrzebne.

- Po drodze z Walii widzieliśmy bardzo dużo Francuzów - wtrącił swoje trzy grosze Temeraire - i oczywiście możemy p^o* wstrzymać Fleur-de-Nuity, jeśli je zobaczymy, ale w nocy to trudne.

- Trudne? Wygrywanie bitew też jest trudne - odparł gniewnie generał Dalrymple, nie unosząc głowy. Skinął na adiutanta i wepchnął Laurence'owi do rąk mapę. - Przenieś się Pa z tymi stworzeniami tutaj, milę za nasz obóz - rozkazał - i ? dziecko powstrzymywać Fleur-de-Nuity aż do rana...

_ To jest bardzo głupie - odezwał się Temeraire. - Fleur- ?e-Nuity po prostu nas oblecą, jeśli będziemy o milę od obozu.

_ Kilka udanych napadów na tylną straż Lefebvre'a i już próbujecie nas pouczać - powiedział Dalrymple do Laurence'a. - Na Boga. mam wielką ochotę... Macie wykonywać rozkazy, do cholery zróbcie, co wam każemy, a ty bądź wdzięczny za szansę...

Gdybym robił, co mi kazano - przerwał mu Temeraire - mielibyście o sześćdziesiąt smoków mniej, Lefebvre miałby znacznie więcej jedzenia, a Napoleon jutro najpewniej rozbiłby was ze szczętem. A zatem mówienie czegoś takiego jest bardzo głupie. Dlaczego miałbym robić, co mi się każe?

- Jeśli nie będziesz posłuszny, my go powiesimy... - zaczął wojowniczy pułkownik, na co Jane krzyknęła ostrzegawczo:

- Maclain!

Było już jednak za późno i Temeraire warknął. Był to straszny pomruk, niski, dudniący gdzieś głęboko w jego gardle, budzący tym większą grozę, że smok zniżył nagle głowę, którą otaczała podniesiona kreza.

Na krótki czas stał się on prawdopodobnie dla nich jeszcze jednym głosem

biorącym udział w dyskusji, choć nieco dziwnym, bardziej donośnym i dochodzącym z góry. Ale całe lekceważenie, które zrodziła ta chwilowa poufałość, znikło w obliczu tego pomruku, wielkiej błyszczącej głowy z oczami o średnicy pół stopy, skrzącymi się żółto niczym lampy nad szczękami pełnymi ząbkowanych zębów, z których najmniejszy był rozmiaru ludzkiej ręki. Było to aż nadto wyraźne przypomnienie, że mają przed sobą stworzenie, które jednym uderzeniem, i to bez większego wysiłku, może zabić ich wszystkich. W Laurensie Temeraire n'gdy nie budził lęku, nigdy nie widział w nim zagrożenia; ale on opiekował się smokiem od chwili, gdy ten wyklął się z jaja, i pamiętał go jako stworzenie tylko trochę większe od psa.

Laurence złożył przysięgę i ma obowiązek słuchać waszych rozkazów, i pozwoliliby się wam nawet powiesić, chociaż ja nie rozumiem dlaczego - powiedział Temeraire po chwili niskim, gniewnym głosem. - I wbrew jego woli nie mogę go zmusić, żeby odleciał ze mną, bo to też by było złe. Ale nie pózwolę, żeby nas znowu rozdzielono, a jeśli go powiesicie, wezmę moich przyjaciół i odlecimy stąd; ale nie z powrotem do Chin. Udaję się do Napoleona i powiem mu, że może sobie wziąć moje terytorium, jeśli tylko zniszczy was wszystkich, i udzieli mu pomocy, gdy tego zechce. A teraz spróbuj mi jeszcze raz zagrozić, jeśli masz odwagę.

Laurence stał zupełnie bezradny, czując się okropnie. Powinien się tego spodziewać. Lien tak właśnie zareagowała na śmierć swojego towarzysza, księcia Yongxinga. Oddała się z własnej woli w ręce Bonapartego, mimo że w tym czasie żywiła zarówno dla niego, jak i całego Zachodu, pogardę, i chociaż Napoleon jako władca Europy mógł któregoś dnia zwrócić swój wzrok także na jej kraj. A uczucie wierności wobec Brytanii, które zaczęło się budzić w sercu Temeraire'a, które Laurence zdołał mu zaszcześcić, zostało całkowicie zgaszone najpierw przez obmyślony przez Admiralicję plan zarażenia i w konsekwencji zabicia wszystkich smoków na Zachodzie, a potem przez uwięzienie ich obu, skazanie na śmierć Laurence'a i zmuszanie smoka do posłuszeństwa groźbą wykonania tego wyroku. Było oczywiste, że właśnie posłużono się tą groźbą o jeden raz za dużo.

Myśl o tym, że jego egzekucja wcale nie skłoni Temeraire'a do powrotu do Chin, ale uczyni z niego zajadłego wroga Brytanii, była dla Laurence'a nowym ciosem; nie

miał wątpliwości, że taka groźba przyczyni się jedynie do tego, iż dowódcy będą jeszcze bardziej gardzić nim oraz smokiem, a także zobaczą w niej jego własny plan ocalenia życia drogą szantażu. Mogą zrezygnować z prowokowania Temeraire'a, dopóki Napoleon ma ludzi na bry-

i ziemi, ale to, jak głęboko wierzył Laurence, było tylko tyjskiej stanem tymczasowym, a potem

W przeciwieństwie do Dalrymple'a Laurence nie lekce- ważył osiągnięć Temeraire'a: bez żadnego doświadczenia ani ^wygotowania do takiego zadania, jedynie dzięki silnej woli, nakłonił sześćdziesiąt leniwych, dobrze karmionych smoków, by wyruszyły z nim na wojnę; i odniósł już dwa zwycięstwa w starciach z francuskimi wojskami. To, że Lefebvre nie był najlepszym z marszałków, że nie miał ze sobą wielu smoków i że Temeraire stoczył walki tylko z niewielkimi oddziałami, miało małe znaczenie w porównaniu z sukcesem, którym było utrzymanie całości sił pod swym dowództwem i zapewnianie im wyżywienia. Jednak ci ludzie mogli się okazać na tyle krótkowzroczni, by uznać, że najlepszym rozwiązaniem będzie pozbycie się Temeraire'a i wszystkich krnąbrnych smoków, które zechcą za nim podążyć.

- Temeraire - zaczął cicho, przerywając przeciągające się milczenie - nie możesz mówić takich rzeczy; jesteś teraz oficerem w służbie królewskiej... to są twoi przełożeni; nie możesz im grozić ani reagować złowrogimi pomrukami na ich rozkazy... musisz cofnąć to, co powiedziałeś.

- Nie zareagowałem pomrukiem na rozkaz - odparł po chwili Temeraire, wciąż niskim, gniewnym głosem, ale cofnął nieco głowę i wszyscy stojący w kręgu oficerowie, którzy wstrzymywali do tej pory oddech, wciągnęli z ulgą powietrze do płuc. - Nie warczałem na rozkazy i nie będę tego robił, niezależnie od tego, jak będą głupie. Jednak co do wieszania... to jeśli ktokolwiek spróbuje mi ciebie znowu odebrać, usłyszy mój pomruk, a nawet spotka go coś gorszego, i nie ma sensu przekonywać mme, żebym tego nie robił.

Można się było tego spodziewać... - zaczął Maclaine, nieco słabym głosem.

Niech cię diabli wezmą, Maclaine, przestań drażnić cho- rozkazów, i pozwolilby

się wam nawet powiesić, chociaż ja nie rozumiem dlaczego - powiedział Temeraire po chwili niskim, gniewnym głosem. - I wbrew jego woli nie mogę go zmusić, żeby odleciał ze mną, bo to też by było złe. Ale nie pozwolę, żeby nas znowu rozdzielono, a jeśli go powiesicie, wezmę moich przyjaciół i odleciemy stąd; ale nie z powrotem do Chin. Udaję się do Napoleona i powiem mu, że może sobie wziąć moje terytorium, jeśli tylko zniszczy was wszystkich, i udzielę mu pomocy, gdy tego zechce. A teraz spróbuj mi jeszcze raz zagrozić, jeśli masz odwagę.

Laurence stał zupełnie bezradny, czując się okropnie. Powinien się tego spodziewać. Lien tak właśnie zareagowała na śmierć swojego towarzysza, księcia Yongxinga. Oddała się z własnej woli w ręce Bonapartego, mimo że w tym czasie żywiła zarówno dla niego, jak i całego Zachodu, pogardę, i chociaż Napoleon jako władca Europy mógł któregoś dnia zwrócić swój wzrok także na jej kraj. A uczucie wierności wobec Brytanii, które zaczęło się budzić w sercu Temeraire'a, które Laurence zdołał mu zaszcześcić, zostało całkowicie zgaszone najpierw przez obmyślony przez Admiralicję plan zarażenia i w konsekwencji zabicia wszystkich smoków na Zachodzie, a potem przez uwięzienie ich obu, skazanie na śmierć Laurence'a i zmuszanie smoka do posłuszeństwa groźbą wykonania tego wyroku. Było oczywiste, że właśnie posłużono się tą groźbą o jeden raz za dużo.

Myśl o tym, że jego egzekucja wcale nie skłoni Temeraire'a do powrotu do Chin, ale uczyni z niego zajadłego wroga Brytanii, była dla Laurence'a nowym ciosem; nie miał wątpliwości, że taka groźba przyczyni się jedynie do tego, iż dowódcy będą jeszcze bardziej gardzić nim oraz smokiem, a także zobaczą w niej jego własny plan ocalenia życia drogą szantażu. Mogą zrezygnować z prowokowania Temeraire'a, dopóki Napoleon ma ludzi na o .

tjskiej ziemi, ale to, jak głęboko wierzył Laurence, było tylko stanem tymczasowym, a potem...

W przeciwieństwie do Dalrymple'a Laurence nie lekceważył osiągnięć Temeraire'a: bez żadnego doświadczenia ani przygotowania do takiego zadania, jedynie dzięki silnej woli, nakłonił sześćdziesiąt leniwych, dobrze karmionych smoków, by wyruszyły z nim na wojnę; i odniósł już dwa zwycięstwa w starciach z francuskimi

wojskami. To, że Lefebvre nie był najlepszym z marszałków, że nie miał ze sobą wielu smoków i że Temeraire stoczył walki tylko z niewielkimi oddziałami, miało małe znaczenie w porównaniu z sukcesem, którym było utrzymanie całości sił pod swym dowództwem i zapewnianie im wyżywienia. Jednak ci ludzie mogli się okazać na tyle krótkowzroczni, by uznać, że najlepszym rozwiązaniem będzie pozbycie się Temeraire'a i wszystkich krnąbrnych smoków, które zechcą za nim podążyć.

- Temeraire - zaczął cicho, przerywając przeciągające się milczenie - nie możesz mówić takich rzeczy; jesteś teraz oficerem w służbie królewskiej... to są twoi przełożeni; nie możesz im grozić ani reagować złowrogimi pomrukami na ich rozkazy... musisz cofnąć to, co powiedziałeś.

- Nie zareagowałem pomrukiem na rozkaz - odparł po chwili Temeraire, wciąż niskim, gniewnym głosem, ale cofnął nieco głowę i wszyscy stojący w kręgu oficerowie, którzy wstrzymywali do tej pory oddech, wciągnęli z ulgą powietrze do płuc. - Nie warczałem na rozkazy i nie będę tego robił, niezależnie od tego, jak będą głupie. Jednak co do wieszania... to jeśli ktokol- W|ek spróbuje mi ciebie znowu odebrać, usłyszy mój pomruk, a nawet spotka go coś gorszego, i nie ma sensu przekonywać mn>e, żebym tego nie robił.

~ Można się było tego spodziewać... - zaczął Maclaine, nieco siabYm głosem. Niech cię diabli wezmą, Maclaine, przestań drażnić cholernego niedźwiedzia, żeby zobaczyć, jak tańczy - przerwał Wellesley i wykorzystując moment, zwrócił się do pozostały^ oficerów, wciąż milczących i wstrząśniętych. - To wszystko non sens. Niezależnie od wymysłów, które opowiadają wam zwiadów- cy, nigdy nie uwierzę, że Napoleon idzie na nas z siłami choćby

0 jednego człowieka słabszymi od jego całej armii. W Weedon mamy czterdzieści tysięcy ludzi z artylerią i zapasami, i jeśli wydamy Bonapartemu jedną z tych jego ukochanych zażartych bitew bez choćby jednego z nich, będziemy bandą głupców.

- Co w takim razie twoim zdaniem powinniśmy zrobić? - warknął gniewnie Dalrymple. - Usunąć się na bok i machać mu, kiedy będzie szedł na Londyn?

- Londyn straciliśmy trzy dni temu - odparł Wellesley - jeśli nie dwa tygodnie temu, kiedy Nelsona wysłano do Kopenhagi z dwudziestoma okrętami, a Napoleon

zobaczył w tym swoją wielką szansę. Im szybciej się z tym pogodzimy, tym lepiej. Niech ludzie natychmiast ruszają w drogę. Wylegiwali się tutaj przez tydzień, nie mając nic do roboty oprócz picia, grania w karty i zabawiania się z panienkami, mogą więc zrezygnować z odrobiny snu...

Rozległy się okrzyki protestu, oskarżenia o defetyzm i chęć poddania się wrogowi. Wellesley nie zważał na to, tylko podniósł głos i mówił dalej:

- Chcecie zmarnować amunicję, wygubić ludzi i smoki, żeby bronić straconej pozycji... wszyscy powinniśmy skończyć na szubienicy jako zdrajcy, jeśli to zrobimy. Do Szkocji... do Szkoc

I w góry, niech was diabli wezmą! On nie zdoła utrzymać jednocześnie kraju i otwartego kanału. Niech sobie ma Anglię przez miesiąc, niech traci ludzi i smoki, próbując ją utrzymać, a my maszerujemy do Loch Laggan. Do Bożego Narodzenia będziemy mieli sto tysięcy ludzi i uderzymy na niego, kiedy uznamy» ^ sytuacja do tego dojrzała, a nie...

A on tymczasem wydoi Londyn do sucha i zniszczy kraj... - krzyki jeden z generałów.

_ Wyślijmy ludzi do Londynu, którzy ostrzegą kupców i bankierów, żeby opuścili miasto z tym, co uda im się wywieźć - odparł Wellesley. - Połowa z nich już uciekła do Edynburga, za królem; niech reszta też wyjedzie.

_ Jeśli zechcą to zrobić - powiedział ktoś - zamiast pozostać i ścisnąć rękę Bonapartemu, kiedy wejdzie do miasta.

- Jeśli będą chcieli zostać, to zostaną - odezwała się Jane. - I wcale nie będą mniej chętni, jeśli pozwolicie się wcześniej pobić Napoleonowi. Szkocja to pierwsze sensowne słowo, jakie dziś usłyszałam. Potrzebujemy tych sześćdziesięciu smoków, Maclaine, ale nie możemy ich rzucić bezmyślnie na nieprzyjaciela, licząc, że wyjdzie z tego coś dobrego. W ciągu tygodnia znajdę sposób ich wykorzystania, a do Bożego Narodzenia będę wiedziała, jak robić to możliwie najskuteczniej. Co do dnia jutrzejszego, to możemy tylko pchnąć je wszystkie na jego skrzydło i pozwolić im działać, jak zechcą.

- Ale to mi całkowicie odpowiada - wtrącił się Temeraire. - Nie rozumiem, dlaczego

nie mielibyśmy jutro pokonać Napoleona, nawet jeśli ma nad nami przewagę liczebną; uciekanie przed nim wydaje mi się posunięciem dość tchórzliwym.

Laurence z zamierającym sercem słuchał jego słów, które, był tego pewny, nie mogły mieć żadnego zbawiennego skutku. Chociaż i jemu nie podobał się pomysł odwrotu, nie usłyszał jeszcze niczego, co świadczyłoby o istnieniu jakiegoś planu bitwy, który wzbudziłby w nim choć minimalne przeświadczenie, że Brytyjczycy są przygotowani na spotkanie Bonapartego; nie dodawało mu otuchy także to, że oficerowie, którzy najgłośniej domagali się wydania bitwy, w większości mieli na sobie ^tworniejsze od innych mundury i byli za grubi jak na ludzi Clonych racjami połowymi.

- Och, ty krwiożerczy stworze - warknęła Jane - jakby nie miała już dość kłopotów z tym całym wypinaniem piersi ty też musisz dorzucić swoje trzy grosze; potrzeba nam więcej zdrowego rozsądku, a nie mniej.

- Wcale nie wypinam piersi - zaprotestował Temeraire, wciągając swoją tak, że prawie się zapadła - i jestem bardzo rozsądny bo jeśli zaczniecie uciekać, nic wam to nie da, zwłaszcza jeśli będziecie się posuwać na piechotę, jak do tej pory. On po prostu ruszy za wami i migiem was dogoni; oni pokonują pięćdziesiąt mil w jeden dzień.

- To nonsens - powiedział ktoś.

- To nie jest nonsens - odparował Temeraire. - Dywizja Lefebvre'a, osiem tysięcy ludzi, w czwartek rano była już w pobliżu Newbury, a wylądowali w poniedziałek pod Deal; a więc mogą to zrobić.

Zapadło głucho milczenie; spieranie się o konieczność odwrotu to jedno, ale czymś zupełnie innym było usłyszeć, że nieprzyjacielowi nie można uciec. Po chwili Jane powiedziała:

- No cóż, może on i ma nad nami przewagę liczebną, ale my teraz dysponujemy blisko dwoma tuzinami ciężkich smoków, a on tylko dziesięcioma, jeśli pominąć jego Fleury. Mogę je wykorzystać, żeby pobić jego szybkość, jeśli tylko pozwolicie mi-

- ...wsadzić piechotę na smoki, jak to ciągle pani powtarza- przerwał jej inny pułkownik. - Chciałbym to zobaczyć.

- Możesz przyjść do naszego obozu, jeśli chcesz zot>a*
czyć - zaproponował Temeraire. - Przenieśliśmy wielu ludzi'
choć - dodał poważnym tonem - gdybyśmy mieli przenieść
tli

wszystkich, to musielibyście poświęcić trochę czasu
zrobienie upręży transportowych, o których, jak wiem, L30 *
rence już wam mówił; bo byłoby to znacznie wygodniejsze
' jch

sznurów, a poza tym moglibyśmy za każdym razem wziąć
więcej- Chyba że nie będą mieli nic przeciwko temu, by lecieć
workach uszytych z namiotów lub sieciach ładunkowych...

_ jasne, że będą mieli coś przeciwko temu, do cholery - odezwał się jeden z
generałów.

_ Są żołnierzami, czyż nie? - warknął Wellesley. - Wystarczy rozstrzelać pierwszego
niesubordynowanego łajdaka, który odmówi wykonania rozkazu, a reszta potulnie
wejdzie na smoki.

Tego jednak było już za wiele; on i Jane zostali zakrzyczani.

- Wystarczy już tych tchórzliwych rad - powiedział generał Dalrymple. - Zostajemy i
będziemy walczyć. Generale Wellesley, obejmie pan jutro dowództwo prawego
skrzydła z zadaniem utrzymania frontu. Pan, generale Burrard, weźmie lewe skrzydło
i opracuje plan uderzenia w jego bok, kiedy już wyczerpią go ataki pod górę na nasze
główne siły.

Wellesley zeszywniał, usłyszawszy, jakie otrzymał zadanie; wyznaczenie go na
pozycję, na której miał po prostu stać i nie wykazywać się inicjatywą ani
umiejętnością prowadzenia walki manewrowej, było dla niego niemal policzkiem.

Mimo to nie zaprotestował, ale jego palce zabębniły na rękojęści szpady.

- Co do ciebie, Roland - dodał Dalrymple - jeśli te cholerne stworzenia nie będą
walczyć z Fleur-de-Nuitami...

- Wcale tego nie powiedziałem - obruszył się Temeraire. - Będziemy walczyć z
każdym, a ja powiedziałem tylko, że nie zdołamy ich powstrzymać, jeśli w tym celu

wyślecie nas z obozu. Fleur-de-Nuity widzą w nocy, a my nie; to zrozumiałe, że mogą "as ominąć albo przelecieć nad czy pod nami. Nie uda nam się ich zatrzymać, jeśli będziemy mogli jedynie ustawić się gdzieś na tras'ie, którą lecą, i mieć nadzieję, że się do nas zbliżą.

I ~ Możecie je przecież usłyszeć, czyż nie? - zapytał Dalrym-

e> tak rozdrażniony ciągłym przerywaniem, że po raz pierwszy ZWr°cił się bezpośrednio do Temeraire'a.

Lecący Fleur-de-Nuit wydaje taki sam odgłos jak Yellow

Reaper - odparł Temeraire. - Uderzają skrzydłami w tym samym tempie.

Laurence zamrugał. Nigdy czegoś takiego nie zauważył) ani nie brał tego pod uwagę jako możliwej trudności, a z min pozostałych oficerów wywnioskował, że i oni się nad tym nie zastanawiali. Nawet Jane wyglądała na zaskoczoną tą informacją a przecież była awiatorką z ponad trzydziestoletnim doświadczeniem.

- A poza tym - dodał Temeraire - nie można dokładnie rozpoznać, skąd dochodzi dźwięk, zwłaszcza gdy się jest w powietrzu i ma się wokół siebie dużo innych smoków, które krążą i uderzają skrzydłami. Jeśli Fleur-de-Nuity będą się przemykały obok nas pojedynczo, najprawdopodobniej nigdy tego nie zauważymy, a potem, kiedy wrócimy, będziecie narzekać, że nic nie zrobiliśmy. Jeśli chcecie, żebyśmy je zatrzymali, to nam o tym powiedzcie, a my już znajdziemy sposób, jak tego dokonać.

Rozdział 8

T

emeraire nie mógł uznać tej rozmowy za bardzo zadowalającą, chociaż gratulował sobie, że położył kres groźbom kierowanym pod adresem Laurence'a. Ale generałowie, jego zdaniem, nie grzeszyli wcale rozumem i niezależnie od tego, co Laurence mówił o wyższych oficerach, smok uważał, że jeśli byli jego przełożonymi, to powinni wydawać mu lepsze rozkazy od tych, które sam mógł wymyślić, a nie gorsze; a co więcej, część z nich chciała uciec tylko dlatego, że mieli zbyt mało ludzi.

- Ale przynajmniej porozmawiałem z urzędnikiem z ministerstwa i powiedziałem mu, że chcemy mieć prawo do głosowania i otrzymywać wynagrodzenie, a on nie odmówił, co uważam za wielce obiecujący znak - poinformował inne smoki - no i

mieli tyle rozsądku, że pozwolili nam zająć się Fleur-de-Nuitami tak, jak będziemy chcieli; tylko że musimy teraz wymyślić, jak tego dokonamy.

- Jeśli mamy walczyć z nimi tutaj, w obozie - odezwała się zamyślona Perscitia, której ogon drgał nerwowo - to muszą przylecieć do nas, a ogniska obozowe dają tyle światła, że nie będą zupełnie niewidoczne, i wtedy zdołamy je odeprzeć.

Nie muszą wcale z wami walczyć, jeśli będziecie ponad °bozem - powiedział Laurence. - Wystarczy, że przemkną nad nim z pełną szybkością i zrzucą bomby: na pewno trafią w jakieś ważne cele, nawet jeśli nie będą ich szukać.

- Może powinniśmy uformować pierścień wokół obozu - zaproponował Temeraire.

- Jeśli my, ciężkie smoki, zaczniemy latać tam i z powrotem, Fleur-de-Nuity nie zdołają się przedostać niezauważenie do środka, a kiedy je dostrzeżemy, będziemy mogli dać im dobrą nauczkę; długo tak nie wytrzymają.

- Tak - odparła admirał Roland - a jutro ani jeden z was nie będzie w stanie wznieść się w powietrze, co Napoleon kupi sobie za bardzo niską cenę, za wysłanie dziesięciu smoków, które w dzień zupełnie nie nadają się do walki. Nie; nie możemy tak marnować waszych sił. Dziś wieczorem każdy z waszych ciężkich smoków musi się przede wszystkim dobrze najeść i natychmiast iść spać; jak na dzień przed bitwą i tak przelecieliście dzisiaj zbyt wiele mil.

Niestety, logika tej nudnej rady, którą Temeraire najchętniej by odrzucił, wyraźnie przypadła innym do serca; Requiescat już donośnie chrapał w swoim kącie, chociaż powinien brać udział w tej dyskusji, a i sam Temeraire nie mógł zaprzeczyć, że jego myśli coraz częściej krążyły wokół kolacji, a nie czekającej ich bitwy. Westchnął zatem i przyznał w duchu słuszność Jane.

- Ale małe smoki nie mogą walczyć z tak wieloma dużymi bez naszej pomocy - powiedział. - I będziemy też ich potrzebować jutro; w przeciwnym razie Napoleon rzuci przeciwko nam swoje małe i chociaż większość z nas nie ma załóg, które można by schwytać, to i tak uwikłamy się w taką szarpaninę z nimi, że niewiele będzie z nas pożytku.

Admirał Roland pomasaowała kłykciami policzek, po czym odparła:

- Cóż, jeśli nie możemy marnować sił, żeby utrzymać je z dala od obozu, to

utrzymajmy obóz z dala od nich.

Upłynęło trochę czasu, zanim mogli zacząć wprowadzać ten plan w życie: admirał Roland najwidoczniej musiała najpierw przekonać opornych, ale w końcu w całym obozie zaczęto gasić ogniska, a żołnierze, narzekając na zimno, przystąpili do zwijania namiotów.

- To jest nudne - powiedziała do Temeraire'a Iskierka, kiedy czekali, aż średnie smoki wytyczą dla nich duży prostokąt lasu tuż za obozem. - To nie jest tak ciekawe jak walka i wcale nie chce mi się spać.

- Cóż, musisz się wyspać, bo inaczej nie będziesz mogła jutro walczyć - odparł Temeraire, chociaż w głębi ducha podzielał jej uczucia. - A teraz pospiesz się, gdyż nie mamy dużo czasu; słońce już zachodzi i oni mogą się zorientować, że coś jest nie w porządku, jeśli zrobi się ciemno i zobaczą lunę.

- Wczoraj wcale nie chciałeś, żebym podpałała drzewa - powiedziała zrzędlwym tonem, ale wzbila się w powietrze i zalała wyznaczony obszar ogniem. Las szybko się zajął, ale płomienie nie przeniosły się dalej, gdyż średnie smoki, orząc pazurami ziemię i wyrrywając drzewa, przygotowały na obrzeżach wytyczonego prostokąta szerokie przecinki przeciwpożarowe. Ciepło bijące od ognia było bardzo przyjemne...

- Temeraire - odezwał się Laurence, dotykając delikatnie jego szyi i wyrwany z miłej drzemki smok uniósł gwałtownie głowę.

- Nie śpię. Czy już kolej na nas?

Wzbił się w powietrze i przyjrzał się krytycznie wciąż płonącym drzewom. Nie mógł tak po prostu na nie ryknąć, gdyż siła boskiego wiatru mogła część z nich przerzucić przez przecinki i roznieść ogień na resztę lasu. Podleciał zatem do granicy wyznaczonego obszaru i zaryczał w kierunku jego środka. Osłabione ogniem drzewa zaczęły się łamać i walić w wielce zadowalający sposób, a jarzące się pomarańczowo tumany iskier, które wzniósł przy tym w powietrze, wyglądały niczym roje małych hucznych ogni.

Kiedy się już nadpaliły - powiedział do Laurence'a - powalanie ich jest łatwiejsze, ale to nie znaczy, że nie zdołalby tego zrobić i bez ognia.

- Musisz także oszczędzać siły - zgodził się Laurence. Myślę, że jeszcze jeden

przelot i będzie gotowe; nic nie szkodzi jeśli zostanie trochę stojących drzew. Sygnał, panie Allen-dodał i kiedy Temeraire zatoczył nad polem jeszcze jeden krąg, nadleciały smoki średniej wagi i zaczęły zrzucać na płonące jeszcze miejsca ładunki błota, nabrane z koryta Tamizy furmankami którymi posługiwały się jak łopatami.

Tego, co w wyniku tych wysiłków powstało, nie można było wykorzystać do wypoczynku, gdyż cały ten teren pokrywały stosy wilgotnych, dymiących szczątków, wśród których wystawały opalone pniaki połamanych drzew. Oczyszczenie tego karczowiska, żeby choć najmniejszy smok mógł się tam wygodnie wyciągnąć, wymagałoby jeszcze dużo pracy. Gdzieś palono jeszcze trochę stosów gałęzi, które z dala można było wziąć za obozowe ogniska i które ludzie starannie okopali, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia, a po wyrównaniu tu i tam paru miejsc łopatami, postawili też pewną liczbę namiotów. Z góry wyglądało to całkiem dobrze, zwłaszcza gdy ludzie admirał Roland poustawiali wokół niektórych ognisk wypchane słomą kukły żołnierzy.

- Podobają mi się - powiedziała Perscitia i cofnęła się o kilka kroków, żeby się przyjrzeć dokładniej tym figurom. - Trzeba być bardzo blisko, by odkryć podstęp. Jeśli ktoś będzie się poruszał bardzo szybko, to moim zdaniem nie zdoła tego zrobić.

- Mam nadzieję, że to wystarczy na Fleur-de-Nuity- odrzekła admirał Roland. - Teraz ruszajcie wszyscy do zagród; a potem spać. Laurence, czy chcesz swoich oficerów?

- Nie chciałbym ich odciągać od obecnych zadań, jeśli zostali przeniesieni na nowe stanowiska - odparł Laurence - ale zdaj się na twój osąd, pani admirał.

Temeraire przechylił głowę i skierował ucho w stronę Laurence[^], zaskoczony gorzkim tonem jego głosu, który wydał mu się trochę dziwny.

Nie jesteś zadowolony? - zapytał z niepokojem, kiedy czekał na swoją kolację, a pasterze w zagrodzie naradzali się nad wielkością racji, które mieli wydzielić, zerkając od czasu do czasu z niepokojem na sześćdziesiąt smoków czekających cierpliwie za ogrodzeniem. Laurence tak mato się odzywał od narady z generałami. - Znowu jesteśmy razem i niedługo pobijemy Napoleona; jestem pewny, że do generałów dotrze, kiedy już tego dokonamy, że mieliśmy rację. Rozumiem teraz -

doda! - dlaczego byli tacy podli. Oni tak bardzo się boją przegranej. I nie winię ich za to, że się boją, bo nie są zbyt mądrzy; mogliby jednak mieć choć tyle rozsądku, żeby rozumieć, iż powinni pozwolić nam radzić sobie ze sprawami, na których sami się nie znają.

- Za żadne skarby nie chciałbym ci popsuć dobrego nastroju - odrzekł po chwili Laurence. - Naprawdę się cieszę, że jesteśmy znowu razem i że czeka nas walka, ale chciałbym cię przestrzec przed popadaniem w nadmierną pewność siebie, która często prowadzi do bolesnych rozczarowań. Właśnie to - dodał ciszej, jakby mówił niemal tylko do siebie - chyba w największej mierze przyczyniło się do klęski Prusaków.

- Cóż, byli też bardzo powolni - powiedział Temeraire. - I wydaje mi się, że to samo mogę powiedzieć o naszej armii, ale przynajmniej teraz nie ma to już żadnego znaczenia, bo mamy walczyć tutaj: nie ma potrzeby, żeby się dokądś śpieszyć. Dlaczego to tak długo trwa? - Wyciągnął szyję ponad ogrodzeniem. - Jaki mają problem?

Problem mieli z tym, że było za mało krów: mniej niż osiemdziesiąt w zagrodzie, a wszystkie zaprzężone smoki też należało nakarmić.

~ W takim razie musicie ugotować zupę i dodajcie do smaku walanie ich jest łatwiejsze, ale to nie znaczy, że nie zdołalby[^] tego zrobić i bez ognia.

- Musisz także oszczędzać siły - zgodził się Laurence. Myślę, że jeszcze jeden przelot i będzie gotowe; nic nie szkodzi jeśli zostanie trochę stojących drzew. Sygnał, panie Allen - dodał i kiedy Temeraire zatoczył nad polem jeszcze jeden krąg, nacja leciały smoki średniej wagi i zaczęły zrzucać na płonące jeszcze miejsca ładunki błota, nabrane z koryta Tamizy furmankami którymi posługiwały się jak łopatami.

Tego, co w wyniku tych wysiłków powstało, nie można było wykorzystać do wypoczynku, gdyż cały ten teren pokrywały stosy wilgotnych, dymiących szczątków, wśród których wystawały opalone pniaki połamanych drzew. Oczyszczenie tego karczowiska, żeby choć najmniejszy smok mógł się tam wygodnie wyciągnąć, wymagałoby jeszcze dużo pracy. Gdzieś tam palilo się jeszcze trochę stosów gałęzi, które z dala można było wziąć za obozowe ogniska i które ludzie starannie

okopali, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia, a po wyrównaniu tu i tam paru miejsc łopatami, postawili też pewną liczbę namiotów. Z góry wyglądało to całkiem dobrze, zwłaszcza gdy ludzie admirał Roland poustawiali wokół niektórych ognisk wypchane słomą kukły żołnierzy.

- Podobają mi się - powiedziała Perscitia i cofnęła się o kilka kroków, żeby się przyjrzeć dokładniej tym figurom. - Trzeba być bardzo blisko, by odkryć podstęp. Jeśli ktoś będzie się poruszał bardzo szybko, to moim zdaniem nie zdoła tego zrobić.

- Mam nadzieję, że to wystarczy na Fleur-de-Nuity- odrzekła admirał Roland. - Teraz ruszajcie wszyscy do zagród; a potem spać. Laurence, czy chcesz swoich oficerów?

- Nie chciałbym ich odciągać od obecnych zadań, jeśli zostali przeniesieni na nowe stanowiska - odparł Laurence - ale zdaj się na twój osąd, pani admirał.

Temeraire przechylił głowę i skierował ucho w stronę Lau- ?> zaskoczony gorzkim tonem jego głosu, który wydał mu

rence d,

się trochę dziwny.

Nie jesteś zadowolony? - zapytał z niepokojem, kiedy czekał na swoją kolację, a pasterze w zagrodzie naradzali się nad wielkością racji, które mieli wydzielić, zerkając od czasu do czasu z niepokojem na sześćdziesiąt smoków czekających cierpliwie za ogrodzeniem. Laurence tak mało się odzywał od narady z generałami. - Znowu jesteśmy razem i niedługo pobijemy Napoleona; jestem pewny, że do generałów dotrze, kiedy już tego dokonamy, że mieliśmy rację. Rozumiem teraz - dodał - dlaczego byli tacy podli. Oni tak bardzo się boją przegranej. I nie winię ich za to, że się boją, bo nie są zbyt mądrzy; mogliby jednak mieć choć tyle rozsądku, żeby rozumieć, iż powinni pozwolić nam radzić sobie ze sprawami, na których sami się nie znają.

- Za żadne skarby nie chciałbym ci popsuć dobrego nastroju - odrzekł po chwili Laurence. - Naprawdę się cieszę, że jesteśmy znowu razem i że czeka nas walka, ale chciałbym cię przestrzec przed popadaniem w nadmierną pewność siebie, która często prowadzi do bolesnych rozczarowań. Właśnie to - dodał ciszej, jakby mówił

niemal tylko do siebie - chyba w największej mierze przyczyniło się do klęski Prusaków.

- Cóż, byli też bardzo powolni - powiedział Temeraire. - I wydaje mi się, że to samo mogę powiedzieć o naszej armii, ale przynajmniej teraz nie ma to już żadnego znaczenia, bo mamy walczyć tutaj: nie ma potrzeby, żeby się dokądś śpieszyć. Dlaczego to tak długo trwa? - Wyciągnął szyję ponad ogrodzeniem. - Jaki mają problem?

Problem mieli z tym, że było za mało krów: mniej niż osiemdziesiąt w zagrodzie, a wszystkie zaprzężone smoki też należało nakarmić.

~ W takim razie musicie ugotować zupę i dodajcie do smaku pieczone kości, które jednak najpierw potrzaskajcie, żeby nam się je łatwiej jadło; możecie też dodać do niej trochę kaszy oraz jarzyn - oznajmił Temeraire zdumionemu pasterzowi, po czym zapytał: - Laurence, gdzie się podział Gong Su?

- Nie wiem - odparł Laurence. - Zatrudniłem go prywatnie i nigdy nie został oficjalnym członkiem załogi. W moich sprawach był ostatnio taki bałagan, że nie byłem w stanie prowadzić żadnej korespondencji ani wypełniać moich zobowiązań. Myślę, że poszukał sobie innej pracy; mam nadzieję, że ją znalazł.

- Nie spodziewałem się, że odbiorą mi całą moją załogę i to w taki sposób - powiedział Temeraire, wyraźnie niezadowolony. - Gdybym to przewidział, wziąłbym wszystkich z nami do Francji; tylko że wtedy pewnie ich także uznano by za zdrajców i być może część z nich nie chciałaby polecieć.

- Na pewno - rzekł Laurence. - Ale dziękuję ci za przypomnienie; muszę coś zrobić, dopóki mogę; muszę popytać o Gong Su i spłacić moje inne długi.

- Będzie na to dużo czasu, po jutrzejszym dniu - zwrócił mu uwagę Temeraire.

Laurence zamyślił się, a potem odparł:

- Najlepiej załatwić takie sprawy przed bitwą, mój drogi.

Zupa, którą pasterze w końcu zdołali ugotować, nie była zbyt dobra, mięso skleiło się z jarzynami w wielkie bryły, rozmiękłe i bez smaku, ale wygłodniałe smoki i tak ją zjadły. Tylko Gentius był zadowolony: zjadł dwa razy więcej niż zwykle,

oświadczył, że to jest wyśmienie, naprawdę wyśmienie, i pochłonąłby kolejną porcję, gdyby coś zostało.

- Daleko temu do porządnego jedzenia - powiedział bez entuzjazmu Requiescat.

- Jutro, kiedy już ich pobijemy, sprowadzimy nasze stado i być może do tego czasu Laurence znajdzie Gong Su - obiecał ferneraire. - Urządzimy sobie wtedy ucztę dla uczczenia zwycięstwa i to będzie coś bardzo dobrego, może jak to, co gotują w Cesarskim Pałacu.

_ Ja tam zadowolę się porządną krową, na surowo - odparł Requiescat, a potem nagle się wyprostował, wypiął pierś i cofnął barki, gdyż na polanie przed nimi wylądował z głuchym łoskotem Maksimus, wprawiając w drżenie okoliczne drzewa.

_ Hm - burknął przybysz i także się nastroszył.

_ Jesteś tutaj! - krzyknął radośnie Temeraire. - Czy Lily także jest z tobą? Dobrze się czujecie?

- Doskonale - odparł z roztargnieniem Maksimus, nie odrywając wzroku od Requiescata; obaj najeżyli kolce grzbietowe i patrzyli sobie prosto w oczy.

- Gdzie jest... Maksimus? - zapytał zdziwiony Temeraire. - Co ty robisz?

- Laurence! - dobiegł z daleka słaby głos i Laurence uniósł głowę znad listu, który właśnie pisał. - Laurence, zabierz z obozu tego mojego cholernego tępaka. Masz tam jeszcze jednego Regala!

- Aha - sapnął Temeraire i zaryczał głośno ponad ich głowami. Maksimus i Requiescat drgnęli gwałtownie i mrugając oczami, odwrócili się, żeby na niego popatrzeć. - Dosyć tego! Nie zaczynajcie już więcej, jutro czeka nas bitwa - zrugął ich. - A ty - zwrócił się do Maksimusa - lepiej pilnuj, żeby Berkley tak szybko nie biegał, bo jeszcze go trafi apopleksja.

Maksimus odwrócił głowę i powiedział głośno do Berkleya, który wszedł właśnie na polanę, ślaniając się na nogach ze zmęczenia:

- Nie musisz biec, nie ma żadnego powodu, żebyś tak biegł.

Laurence podszedł do Berkleya i wzięwszy go pod rękę, doprowadził do drzewa, które Temeraire zwałił, żeby on miał na czym siedzieć.

Zadyszany Berkley patrzy! bardzo podejrzliwie to na Maksimusa, to na

Requiescata.

- Nie obawiaj się, nie pozwolę im walczyć - uspokoił go Temeraire. - Myślałem, że macie obaj więcej rozumu - dodał surowo, patrząc na nich.

- Wcale nie chciałem się bić - odparł niezbyt przekonująco Maksimus. - Tylko że nigdy jeszcze nie widziałem kogoś tak dużego jak ja.

- Dziewczyny są większe - odezwał się Requiescat dość rozmarzonym tonem. - Ale to coś innego.

- Nie rozumiem dlaczego - powiedział Temeraire - a poza tym Grand Chevaliery nie są wcale dużo mniejsze. - Nie uważał także, żeby sam był dużo mniejszy, ale nie chciał tego mówić, bo inni mogliby to uznać za przechwałki.

- Za nimi też nie przepadam - odrzekł Requiescat.

Maksimus skinął energicznie głową na znak, że się zgadza, a potem dodał:

- Kończą się nam zapasy żywności. Domyśliłem się, że wróciłeś, gdy tylko dali nam to paskudztwo na kolację. - Po tych słowach trącił przyjaźnie głową Temeraire'a, który się zachwiał, ale zdołał jakoś utrzymać równowagę.

- Jutro będziemy mieli mnóstwo jedzenia, a nawet jeśli tak się nie stanie, zawsze możecie polecieć w przeciwne strony i bez żadnych kłótni coś sobie znaleźć - odparł Temeraire. - Ale gdzie jest Lily?

- W Szkocji - odpowiedział Maksimus. - Catherine złożyła jajo i nie może latać.

- Nie zdażyłem ci przedtem o tym powiedzieć: to chłopiec - wtrącił ponuro Berkley, który wreszcie złapał oddech - a wi?c jest dla nas nieprzydatny; dziesięć funtów, niech go szlag. Pra" wie ją zabił.

- To jajo jest bardzo hałaśliwe - dodał Maksimus.

_ Mam nadzieję, że oboje już wydobrzeli - powiedział Lau- rence.

_ Ona może pisać i utrzymuje w listach, że tak jest, co znaczy, że jest ledwie żywa, jak sądzę - odparł Berkley i podniósł się i wysiłkiem. - Czy już zakończyłeś tę swoją cholerną wizytę? - zapytał Maksimusa. - Jeśli ten plan Roland ma się powieść, nie możesz tak sobie skakać po całym obozie. I tym razem może weźmiesz mnie na grzbiet, zamiast lecieć gdzieś bez słowa.

- Ja tylko chciałem zobaczyć Temeraire'a i chwilę z nim porozmawiać - odparł Maksimus, wysuwając jeden z wielkich, zakrzywionych pazurów, na który Berkley się wdrapał. - A teraz, kiedy już to zrobiliśmy, możemy wracać.

- Jutro podczas bitwy i tak się zobaczymy - powiedział z zadowoleniem Temeraire, po czym z wielkim ukontentowaniem ułożył się do snu, z którego godzinę później wyrwały go dziwnie przytłumiony grzmot wybuchających bomb i trzask wystrzałów dział pieprzowych, które odpędzały napastników.

Uniósł głowę i rozejrzał się. Oprócz białych błysków prochu w miejscach, skąd strzelali artylerzyści, i wielkich słupów żółtego ognia wyrastających tam, gdzie trafiały bomby, zobaczył niewiele. Kiedy co jakiś czas działa cichły, udawało mu się dojrzeć cienie garstki krążących w górze lekkich smoków - w większości mieszańców lepiej niż inne widzących w nocy - które wysyłano w powietrze grupami, żeby stworzyć wrażenie, iż fałszywy obóz jest broniony.

- Powinieneś spać - powiedział Laurence, wstając, a Temeraire pochylił głowę i dotknął go ostrożnie nosem: jak dobrze było wiedzieć, że nie jest już sam, że Laurence jest przy nim, bezpieczny. Jeszcze lepiej by było, gdyby mogli teraz polecieć razem do boju.

~ Zaraz się położę - odpowiedział Temeraire, licząc w du- na t0> że Fleur-de-Nuity zorientują się w podstępie i trzeba

będzie ruszyć im naprzeciw. Ale francuskie smoki latały zbyt wysoko, a ognie płonące na ziemi i wybuchy ich własnych bomb oślepiały ich wrażliwe oczy. Szczególnie skuteczne były mje szanki błyskowe, które smoki pozorujące obronę wystrzeliwały im prosto w pyski, gdy tylko mogły: Arkady i część jego dzikich towarzyszy, wraz ze swymi małymi załogami, brali udział w tych walkach.

Temeraire westchnął i ułożył się na ziemi. Trudno mu było jednak zasnąć, gdyż przy każdym kolejnym wybuchu bomby lekko podrygiwał.

Tuż przed świtem obudziła Laurence'a cisza: bombardowanie się skończyło. Zsunął się z łapy Temeraire'a i poszedł umyć twarz; najpierw rozbił lód w misce, a potem długo się szorował samą wodą, gdyż nie było mydła. Z karczowiska wciąż unosiły się dymy, ale niebo nad nim było puste i szybko się rozjaśniało. Francuzi pewnie już

ruszyli: jeszcze godzina, może dwie, i ukażą się na horyzoncie...

Gdzieś z oddali dobiegło bicie dzwonu. Jego gorączkowy ton szybko podjęły inne, coraz bliższe i bliższe, i już wkrótce sygnał alarmowy rozszedł się po całym obozie, a Temeraire uniósł głowę i powiedział w radosnym uniesieniu:

- Czas ruszać do boju.

Laurence, którego smok posadził sobie na grzbiecie, przypiął się do jednego z kilku pasów prowizorycznej uprząży, którą Fellowes i Blythe zdołali zrobić dla niego, Allena i Emily; nikt więcej nie miał z nimi lecieć. Przez jakiś czas zastanawiał się, czy nie powinien kazać Emily wrócić na stanowisko, które opuściła, obawiał się bowiem, że przyjęcie jej może się niekorzystnie odbić na pozycji Jane, ale nie wiedział, gdzie dziewczyna służyła, a kiedy ją o to zapytał, wysunęła tylko podbródek i odpowiedziała-

- Wolałabym zostać, sir.

Na jego kolejne pytanie, czy była sygnalistą, pokręciła przecząco głową. —
Byłam piątym obserwatorem, sir; nikomu me będzie mnie brakować.

Oczywiście Emily nie musiała obawiać się o swoją przyszłość, która była już całkowicie ustalona: po odejściu matki ze służby odziedziczy Ekscidiuma, czyli ma zagwarantowany awans na kapitana. Blythe i Fellowes byli doświadczonymi członkami załóg naziemnych i zawsze mogli być pewni, że nie zabraknie im pracy. Jednakże Allen...

- Nie, sir, cóż - odpowiedział Allen, zacinając się przy każdym słowie - nie dali mi żadnego stanowiska, które wiązałoby się z lataniem, sir; posadzili mnie przy biurku, a więc nie ma to dla mnie większego znaczenia.

Biuro, pomyślał ze smutkiem Laurence, było dla młodzieńca o wiele lepszym miejscem niż grzbiet smoka; Allen był beznadziejnie niezdarny i z powodu tej nieporadności więcej niż raz otarł się już o śmierć. Jednak nikomu, kto chciał wziąć udział w bitwie, nie można było powiedzieć, żeby został w bezpiecznym miejscu na tyłach.

Wyczołgali się teraz oboje z małego szałas, który postawili przy boku Temeraire'a,

żeby nie spać na wilgotnej ziemi. Laurence wyciągnął rękę i pomógł im wejść na grzbiet smoka, na którym kiedyś siedziałoby kilka tuzinów ludzi.

- Ja także lecę - odezwał się ktoś mówiący z obcym akcentem.

Laurence odwrócił się i zobaczył Demane, który już stał obok niego, wspiąwszy się z drugiej strony smoka. Chłopak był "zbrojony po zęby; miał dwa kordy, dwa pistolety, dwa noże, Wszystko to z rękojeściami nie do pary, oraz przewieszony przez tamę worek małych bomb, który bez czekania na pozwolenie Przymocował do uprzęży.

- Nie, ty siedzisz tam - oznajmił Allenowi, wskazując mu miejsce obserwatora na ramieniu Temeraire'a, a w jego głosie zabrzmiały tak stanowcze nuty, że Allen potulnie go posłuchał, chociaż był o trzy lata starszy i o stopę wyższy od chłopaka.

- Czy nie przydzielono ciebie do Arkadego? - zapytał Laurence.

- My należymy do twojej załogi - odparł chłopiec, mając na myśli siebie i Siphona. Laurence dostrzegł, że ten drugi był na polanie i pomagał Fellowesowi i Blythe'owi porozkładać ich skromny zapas narzędzi, który miał czekać na wypadek, gdyby Temeraire musiał wrócić w celu dokonania jakichś napraw uprzęży. - Obaj. Tak powiedziałaś.

- To prawda - potwierdził Temeraire, rozglądając się dookoła - i jestem pewny, że Arkady wcale go nie potrzebuje; jemu pozwolono walczyć dziś w nocy - dodał zdegustowany - i będzie teraz spał do późna. Przypuszczam, że zanim się obudzi, dawno już wygramy bitwę.

Tak więc było ich czworo na grzbiecie smoka, na którym zwykle mieściło się ponad trzydziestu ludzi załogi, i wszyscy byli przypięci do jednego grubego pasa. Otaczał on szyję Temeraire'a i był połączony zabezpieczającymi rzemieniami do pasów obejmujących jego barki, żeby się nie przesunął. Kiedy już zaczepili swoje karabinki, Temeraire podniósł się do pozycji siedzącej i teraz Laurence mógł już sięgnąć wzrokiem poza linię drzew, ku horyzontowi, gdzie zobaczył chmurę zbliżających się francuskich smoków, które niczym pszczoły latały tam i z powrotem wzdłuż drogi, wysadzając na ziemi całe oddziały piechoty wraz z armatami.

Taki sposób działania przeciwnika nie był mu obcy. Widział to już podczas bitwy

pod Jeną i poczuł się teraz nieco lepiej) gd- zobaczył, że armia brytyjska nie czeka beczynnie, a wysuwa⁶ pospiesznie na czoło armaty otwierają ogień na francuskie p^o zycje, zanim te zostaną zabezpieczone. Działa przemieszczano jednak powoli, gdyż ludzie musieli je ciągnąć przez błoto, a Francuzi już zaczęli odpowiadać ogniem, niemal równie gwałtownym.

- Zaczynają bez nas - poskarżył się Temeraire, po czym ryknął, budząc w jednej chwili wszystkie smoki. - Wróg nadchodzi; czy jesteście gotowi? - zapytał grzmiącym głosem.

_ Nie, poczekaj, mam pomysł - zawołała niebiesko-zielona smoczyca, ta o imieniu Perscitia, i wzbija się w powietrze; chwilę później wróciła, niosąc w pazurach kilkanaście nasiąkniętych wilgocią i obdartych kukieł z fałszywego obozu, które ułożyła na ziemi; część z nich wciąż jeszcze dymiała. - Przywiążcie je im na grzbietach - powiedziała do grupy przecierających oczy milicjantów, którzy spali obok niej. - Przywiążcie je, sznurami...

- Ale one są zupełnie mokre - zaprotestował Temeraire, obwąchawszy kukły. - Nie rozumiem, jaki to nam przyniesie pożytek.

- Oni będą myśleli, że macie uprząż! - wyjaśniła Perscitia. - Och, i farba, gdzie jest czarna farba? Przynieście ją tu natychmiast i namalujcie na nich czarne pasy...

- Nie mamy na to czasu - jeszcze raz zaprotestował Temeraire.

- Smoki jeszcze nie walczą - odparła Perscitia. - No już dobrze, dobrze, zrobimy to tylko na tych ciężkiej wagi! Czy naprawdę nie rozumiesz - dorzuciła gniewnie - że oni będą probowali skakać na ciebie, dokonywać abordażu, a kiedy już Wylądują na tobie, nie znajdą żadnych pasów, do których mogliby SI<? przypiąć, i wtedy pozbędziesz się ich w mig.

~ Aha - mruknęła z zadowoleniem Jane, która chwilę póź- nieJ wylądowują na Ekscidiumie i czekając, aż ludzie skończą malować fałszywą uprząż na Requiescacie, wysłuchiwała wyjaśnień

temat planu. - Tak; to bardzo sprytne. Wprawdzie szybko

P^ołapią, ale zanim to się stanie, będą przeskakiwać na was tuzinami. W porządku, panowie - dodała, patrząc na Temerai- re'a - oto wasze rozkazy: wy, bez upręży,

ruszycie w takim razie jako pierwsi i zwiążecie ich walką. Jeśli zdołacie ściągnąć na siebie ich grupy abordażowe, będą mieli niepełne załogi, kiedy my włączymy się do boju. Będziemy także mieli przewagę masy. On ma tylko osiem ciężkich smoków; przypuszczam, że z braku żywności musiał odesłać resztę na wybrzeże lub nawet do Francji.

- A kiedy już się włączycie do walki? - zapytał Temeraire.

- Wtedy rzucę was na skrzydła ich piechoty - odpowiedziała Jane. - Gdybyśmy wszyscy walczyli razem tam w górze, wchodzilibyśmy tylko sobie w drogę i zapanowałby chaos. Możecie jednak zrobić dużo dobrego, działając przeciwko nim nisko nad ziemią, jeśli tylko będziecie się trzymać z dala od miejsc ostrzeliwanych przez naszą artylerię.

- I od naszego kwasu - dodał Ekscidium, po czym wzbił się w powietrze.

- Też mamy swój kwas - wymamrotał stary Gentius, który przycupnął na grzbiecie wielkiego Chequerred Nettle'a, Armatiusa.

Temeraire odwrócił głowę i zapytał:

- Wszyscy przypięci i gotowi?

Laurence sprawdził po raz ostatni pożyczone pistolety i kord.

- Tak - odpowiedział i chwilę później byli już w powietrzu, ścigani przez ryki wielu wzbijających się jednocześnie w górę smoków.

Napoleońska Armée de l'Air dała się łatwo skusić do ponownego zastosowania taktyki, która tak dobrze spełniła swoje zadanie w bitwie pod Jeną, rzucając chmurę mniejszych, oh ładowanych ludźmi smoków, na najcięższe strony przeciwnej. W pewnej chwili Laurence odwrócił wzrok, nie mogąc dłużej patrzeć na to, co stało się z trzydziestoma Francuzami, którzy z entuzjazmem i odwagą przeskoczyli na grzbiet Requiescanta, gdzie spodziewali się zetrzeć z dużym oddziałem Brytyjczyków, a wielki Regal Copper jednym wzruszeniem potężnych barków zrzucił ich z siebie. Spadali, machając bezradnie rękami, daremnie próbując się czegoś uchwycić; kilku okropnie krzychało, by w końcu, po czasie, który Laurence'owi włókł się w nieskończoność, umilknąć gdzieś w dole.

- Au! - krzyknął nagle Temeraire i szarpnął się gwałtownie.

Laurence obejrzał się i zobaczył, że ich także zaatakowano abordażem; ale jeden z napastników, chorąży, nie spadł jak inni z grzbietu smoka, gdyż zdążył wbić nóż w jego ciało i trzymał się kurczowo rękojeści.

- Au, au! - krzyczał dalej Temeraire, gdy francuski oficer wyciągnął drugi nóż i wbijając oba na przemian, zaczął z determinacją pełznąć w górę.

Laurence zacisnął bezradnie ręce na uprzęży; brak pasów, do których mogliby się przypiąć atakujący, miał swoje zalety, ale teraz znaczyło to również, że nie było niczego, co mógłby wykorzystać, by przejść do tyłu i pokonać tego Francuza, który był blisko zadu, gdzie Temeraire nie mógł sięgnąć łapami. I skąd, uświadomił sobie z przerażeniem Laurence, po przepelnieniu jeszcze kilku kroków dotrze do miejsca, w którym będzie mógł wbić nóż w kręgosłup smoka.

- Trzymajcie się uprzęży! - krzyknął do swojej małej załogi, po czym zawołał głośno: - Temeraire! Jesteśmy dobrze zabezpieczeni. Obróć się do góry nogami i strząśnij go...

Świat gwałtownie zawirował i ręce Laurence'a, mimo że trzymał się z całych sił, puściły uprzęż, a on sam zawisł na Zemieniach przypiętych karabińczykami, kiedy się obracali

Powietrzu po raz pierwszy, a potem drugi. Gdy Temeraire równał znowu lot, wszyscy członkowie załogi byli na swoich ffi^jscach, trochę tylko pozieleniali po tych szybkich akrobacjach. Jedynym śladem obecności Francuza były rękojeści noży wystające z grzbietu smoka oraz małe rany, z których po jCgQ boku spływały strużki krwi.

- To już koniec, sir, odskakują - powiedziała Emily, wskazując palcem.

Laurence pokiwał głową. Francuzi, zorientowawszy się, że nie odnoszą sukcesów i tracą dużo ludzi, zaprzestali dalszych prób abordażu i zaczęli ostrzeliwać brytyjskie smoki z karabinów Laurence miał nadzieję, że stanie się to trochę później, i był nieco rozczarowany. Pocieszał się tylko myślą, że ich wysiłki przyniosły jednak jakieś owoce, a wiele z francuskich smoków średniej i lekkiej wagi, które tak śmiało zbliżały się do swych wielkich przeciwników, drogo za to zapłaciło: po ich bokach spływały strumieni ciemnej i parującej w zimnym powietrzu krwi.

- Proszę dać sygnał do odwrotu, panie Allen - powiedział Laurence, po czym pochylił się do przodu i krzyknął: - Téméraire, kończ już i ruszaj ku ich skrzydłu - mają tam słaby punkt, na swojej prawej stronie; widzisz to?

- Nie - odpowiedział Téméraire, dość niechętnie wypuszczając P^ocheur-Couronnégo, którego właśnie szarpał pazurami, a który w jakimś porywie śmiałości zapomniał o rozwadze i rzucił się prosto na niego. Kiedy jednak spojrział w dół, ruchy oddziałów piechoty wzbudziły jego zainteresowanie. - Czekaj, widzę. Tam, gdzie drogę przecina im ten rów, który muszą obejść...

- Tak - odparł Laurence: ściśnięte przed przeszkodą terenową francuskie szeregi stanowiły idealny cel dla uderzenia powietrznego, które powinno wybić w napoleońskiej fłance trudną do załatwienia dziurę. - Szybko, zanim oni zdołają to minąć-

- Alors, la prochaine fois vous feriez mieux d'y réfléchir ? de"* fois - powiedział Téméraire do mniejszego smoka, zanim P^o trząsnąwszy nim pouczająco ostatni raz, dał mu uciec.

* \V*V"

Następnie zwrócił się w kierunku swych towarzyszy • i dał ryk niepodobny do żadnego z tych, jakie Laurence do tej ory słyszał; był to dziwnie modulowany dźwięk, wznoszący się i opadający w jakiś upiornie melodyjny sposób. Przykuło to natychmiast uwagę wszystkich niezaprzężonych smoków, które szybko przerwały swoje indywidualne boje z francuskimi przeciwnikami, zwłaszcza że nad pole bitwy nadlatywały właśnie czołowe siły Korpusu Powietrznego Jego Królewskiej Mości.

Kiedy Temeraire przechylił się w skrócie, Laurence odwrócił się do tyłu, żeby na nie popatrzeć: oddziały Korpusu nie były zgrupowane w typowych dla nich formacjach o kształcie grotu strzały, ale rozciągnięte w jednej cienkiej linii smoków lekkich, kurierskich i średniej wagi. W regularnych odstępach niczym supły na sznurku widać było grupki składające się z trzech smoków, dwóch średnich z przodu i ciężkiego za nimi; jeden z takich węzłów tworzył ryczący, czerwono-złoty Maksimus z Messorią i Immortalisem.

Te średnie, kiedy siły powietrzne obu stron się spotkały, zaczęły atakować pazurami chmarę francuskich lekkich smoków, otwierając drogę swym ciężkim towarzyszom. Brytyjskie lekkie smoki również podjęły walkę, tak że cała linia parła do przodu przez francuskie szeregi, rozpraszając je.

bard kw;

as

To była świetna, doskonale przemyślana odpowiedź na taktykę Francuzów i już wkrótce brytyjskie ciężkie smoki ze swymi ogromnymi ładunkami wszelkiego rodzaju amunicji przebiły Się przez linie wroga, po czym zanurkowały, obsypując gradem bomb oraz żelaznych kolców jego piechotę i stanowiska artylerii. Laurence dostrzegł Ekscidiuma, a właściwie jego ogromne pur- puowo-pomarańczowe skrzydła, które rozłożył szeroko, kiedy spłynał nisko nad ziemię, chroniony przez dwa ciężkie smoki, jeszcze jednego Longwinga, najpewniej Mortiferusa, o nieco zleJ żółtym zabarwieniu końcówek skrzydeł i boków. Ich

zaśnił w promieniach wschodzącego słońca, ale gdy spadł

cyjach. Jedyнным śladem obecności Francuza były rękojeści noży wystające z grzbietu smoka oraz małe rany, z których po jego boku spływały strużki krwi.

- To już koniec, sir, odskakują - powiedziała Emily, wskazując palcem.

Laurence pokiwał głową. Francuzi, zorientowawszy się, że nie odnoszą sukcesów i tracą dużo ludzi, zaprzestali dalszych prób abordażu i zaczęli ostrzeliwać brytyjskie smoki z karabinów. Laurence miał nadzieję, że stanie się to trochę później, i był nieco rozczarowany. Pocieszał się tylko myślą, że ich wysiłki przyniosły jednak jakieś owoce, a wiele z francuskich smoków średniej i lekkiej wagi, które tak śmiało zbliżały się do swych wielkich przeciwników, drogo za to zapłaciło: po ich bokach spływały strumieni ciemnej i parującej w zimnym powietrzu krwi.

- Proszę dać sygnał do odwrotu, panie Allen - powiedział Laurence, po czym pochylił się do przodu i krzyknął: - Teme- raire, kończ już i ruszaj ku ich skrzydłu - mają tam słaby punkt, na swojej prawej stronie; widzisz to?

- Nie - odpowiedział Téméraire, dość niechętnie wypuszczając P?cheur- Couronnégo, którego właśnie szarpał pazurami, a który w jakimś porywie śmiałości

zapomniał o rozwadze i rzucił się prosto na niego. Kiedy jednak spojrział w dół, ruchy oddziałów piechoty wzbudziły jego zainteresowanie. - Czekaj, widzę. Tam, gdzie drogę przecina im ten rów, który muszą obejść...

- Tak - odparł Laurence: ściśnięte przed przeszkodą terenową francuskie szeregi stanowiły idealny cel dla uderzenia powietrznego, które powinno wybić w napoleońskiej flance trudną do załatwienia dziurę. - Szybko, zanim oni zdołają to minąć-

- Alors, la prochaine fois vous feriez mieux d'y réfléchir ? fois - powiedział Téméraire do mniejszego smoka, zanim P° trząsnął nim pouczająco ostatni raz, dał mu uciec.

Następnie zwrócił się w kierunku swych towarzyszy i dat ryk niepodobny do żadnego z tych, jakie Laurence do tej pory słyszał; był to dziwnie modulowany dźwięk, wznoszący się i opadający w jakiś upiornie melodyjny sposób. Przykuło to natychmiast uwagę wszystkich niezaprężonych smoków, które szybko przerwały swoje indywidualne boje z francuskimi przeciwnikami, zwłaszcza że nad pole bitwy nadlatywały właśnie główne siły Korpusu Powietrznego Jego Królewskiej Mości.

Kiedy Téméraire przechylił się w skrócie, Laurence odwrócił się do tyłu, żeby na nie popatrzeć: oddziały Korpusu nie były zgrupowane w typowych dla nich formacjach o kształcie grotu strzały, ale rozciągnięte w jednej cienkiej linii smoków lekkich, kurierskich i średniej wagi. W regularnych odstępach niczym supły na sznurku widać było grupki składające się z trzech smoków, dwóch średnich z przodu i ciężkiego za nimi; jeden z takich węzłów tworzył ryczący, czerwono-złoty Maksimus z Messorią i Immortalisem.

Te średnie, kiedy siły powietrzne obu stron się spotkały, zaczęły atakować pazurami chmurę francuskich lekkich smoków, otwierając drogę swym ciężkim towarzyszom. Brytyjskie lekkie smoki również podjęły walkę, tak że cała linia parła do przodu przez francuskie szeregi, rozpraszając je.

To była świetna, doskonale przemyślana odpowiedź na taktykę Francuzów i już wkrótce brytyjskie ciężkie smoki ze swymi ogromnymi ładunkami wszelkiego rodzaju amunicji przebiły się przez linie wroga, po czym zanurkowały, obsypując

gradem bomb oraz żelaznych kolców jego piechotę i stanowiska artylerii. Laurence dostrzegł Ekscidiuma, a właściwie jego ogromne pur- Purowo-pomarańczowe skrzydła, które rozłożył szeroko, kiedy płynął nisko nad ziemię, chroniony przez dwa ciężkie smoki, jeszcze jednego Longwinga, najpewniej Mortiferusa, o nieco leż żółtym zabarwieniu końcówek skrzydeł i boków. Ich zaśnił w promieniach wschodzącego słońca, ale gdy spadł na ziemię, ku niebu wzbiły się kłęby szarego dymu i krzyki wijących się w męczarniach ludzi.

Luka w obronie Francuzów nie utrzymała się zbyt długo; ich smoki szybko się przegrupowały i wszystkie ciężkie rzuciły się w pościg za Longwingami. Były to trzy Petit Chevaliery, para Defendeur-Brave'ów i potężny pomarańczowo-żółty Chanson-de-Guerre, ważące w sumie ponad sto ton, i kiedy tak spadały z góry, nic nie mogło ich powstrzymać. Ekscidium i Mortiferus musiały szukać schronienia za liniami brytyjskimi, a pozostałe brytyjskie ciężkie smoki zawróciły, żeby osłaniać ich ucieczkę, i już wkrótce potykając się z chmurą nękających je francuskich smoków, zostały odciągnięte z pola bitwy.

Tego wszystkiego Laurence już nie widział, gdyż niezaprężone smoki z Temeraire'em na czele spadły właśnie na piechotę, dokonując w jej szeregach straszliwych spustoszeń, zwłaszcza że stłoczeni na nierównym terenie żołnierze nie mogli swobodnie unieść karabinów i strzelać w swojej obronie. Wielka Ballista wylądowała nawet na chwilę na ziemi i wymachując na prawo i lewo kolczastym ogonem, oczyściła teren wokół siebie.

Temeraire leciał tak nisko nad ziemią, że Laurence zdołał zastrzelić czterech ludzi z pistoletów, Demane i Emily trafili jeszcze po dwóch, natomiast Allen jednego. Początkowo trudniej było chybić niż trafić, tak gęste były francuskie szeregi, a później, gdy Temeraire także wylądował, Laurence i członkowie jego małej załogi musieli wyciągnąć szpady, żeby stawić opór kilku żołnierzom, którzy odważnie wspięli się na smoka.

- Hej! Patrzcie tam, to orzeł, orzeł! - zawołał ogromnie podekscytowany Moncey, zataczając w powietrzu ciasne koła- ale młody francuski porucznik krzyknął:

- ? moi! Vive l'Empereur! - i chwyciwszy sztandar, w'sk° czył do rowu, a w ślad za nim zrobiła to zaraz reszta kompan'" Wszyscy żołnierze przyklękli, nie zważając na wodę i b'ot° i zmienili się w najeżoną bagnetami masę, która pluta z dołu karabinowym ogniem w smoki.

_ A to pech - powiedział z rozżaleniem Temeraire, gdy wznieśli się znowu w powietrze na chwilę wytchnienia, ale Laurence nie mógł się z nim zgodzić: powstrzymali posuwanie się prawego skrzydła wojsk francuskich, zadając im przy tym ogromne straty, i to tak niskim kosztem, że w żadnym razie nie można było tego nazwać pechem, ale raczej ogromnym szczęściem. Część smoków ucierpiała od ognia Francuzów, kilka postrzelonych w skrzydła lub głowy wracało do obozu, a jeden niewielki Yellow Reaper, którego wspomagała w locie para towarzyszy, miał okropną ranę po bagnecie, który otworzył mu brzuch aż do jaśniejących bielą żeber. Jednak nawet po uwzględnieniu tych strat wciąż było ich ponad czterdzieści, a za kilka godzin na pole bitwy miały jeszcze przybyć te, które walczyły w nocy i właśnie odpoczywały.

Obie strony wykonały pierwsze ruchy, ale żadna nie zadała jeszcze decydującego uderzenia. Walka powietrzna przekształciła się w nużące zmagania, których celem było wyczerpanie przeciwnika.

- Musisz wysłać część swoich na odpoczynek - powiedział Laurence do Temeraire'a, kiedy już spędzili w powietrzu ponad godzinę, walcząc niemal bez przerwy. Francuzi nie popełnili już więcej żadnych błędów, wszystko zatem sprowadzało się do szybkich uderzeń, gdy tylko pojawiała się jakaś luka w ich 'miach, przez którą można się było przemknąć, przeskoczyć po- nad stanowiskami dział pieprzowych i zadać jakieś małe straty Pychocie. - Nie możecie opaść z sił. Francuskie smoki wykorzystają sytuację, gdy tylko zobaczą, że zaczynacie się wolniej

ruszać. One już od pewnego czasu na zmianę wycofują się 1 Wa'ki, żeby odpocząć.

- Pewnie masz rację - odparł ze smutkiem Temeraire - tylko że nawet teraz, gdy jesteśmy tu wszyscy, niewiele udaje nam się zdziałać; nie zdobyliśmy ani jednego orła, a nawet i zwykłego działa. Majestatis jedno zniszczył przed chwilą - dodał - ale to nie to samo.

- Świetnie sobie radzicie; osłabiliście ich prawe skrzydło, stwarzając naszej piechocie szansę uzyskania tam przewagi, co w miarę upływu czasu będzie coraz bardziej widoczne - odpowiedział Laurence. - Nie możesz spodziewać się szybkiego zwycięstwa; przypomnij sobie, jak długo trwała bitwa pod Jeną.

Mimo to namówienie smoka do tego, żeby sam udał się na odpoczynek, nie było łatwe. Zgodził się dopiero wtedy, gdy Laurence na koniec uciekł się do argumentu:

- Jeśli nie polecisz odpocząć, będziesz jeszcze bardziej zmęczony; i gdyby w ostatniej chwili pojawiła się Lien...

- Och! - przerwał mu Temeraire - To by było do niej podobne. Wygląda na to, że muszę... Ballista! - zawołał - musisz przejąć dowództwo, żebym mógł trochę odpocząć, na wypadek gdyby później pojawiła się Lien. Swoją drogą ciekawe, gdzie ona się chowa - dodał, dość złowieszczym tonem, wyciągając szyję, żeby popatrzeć na tyły francuskiej armii, ukryte za zakolem rzeki.

Niebo było krystalicznie czyste, a słońce, choć nie dawało ciepła, świeciło bardzo jasno; czerwone oczy Lien i jej biała skóra były wrażliwe na takie warunki, i najpewniej, jak przypuszczał Laurence, nie zamierzała brać udziału w bitwie, chyba że sytuacja stanie się rozpaczliwa. Ale nawet jeśli skłonił Temeraire do ustąpienia z pola walki podstępem, okazał się on w pełni usprawiedliwiony; smok doleciał do polany z wyraźnym trudem i rzucił się łapczywie na martwego konia, którego tam dla niego położono, nie zdejmując mu nawet z grzbietu kawaleryjskie siodła.

Kiedy smok się już najadł, zamknął oczy i natychmiast spał. Laurence zszedł na ziemię, żeby wyprostować nogi i zajął miejsce Fellowesowi oraz Blythe'owi, którzy zaczęli sprawdzać stan prowizorycznej uprząży. Sam tymczasem obszedł Temeraire'a, żeby zobaczyć, jakie odniósł obrażenia. Emily właśnie wyciągnęła ostrożnie oba noże i z ran pociekła świeża krew. Reszta z tych, które zadał francuski chorąży, pokryła się już na szczęście strupami, ale w bokach Temeraire'a było jeszcze kilka ran postrzałowych; i obok jednej z nich zaniepokojony Laurence dostrzegł szramę, której jakoś do tej pory nie zauważył. Była to stara rana po kuli, która wbiła się w ciało smoka i której nie usunięto.

- Sipho - powiedział - poszukaj pan Keynesa; znasz go? Dobrze; znajdź go, albo Dorseta, i sprowadź tu natychmiast któregoś z nich. Z instrumentami.

Przytoczył do ciała smoka beczkę, wszedł na nią i położył rękę na starej ranie. Wydała mu się nieco cieplejsza od reszty ciała i spuchnięta, ale to mogło być złudzenie, gdyż wszystkie mięśnie Temeraire'a rozgrzały się w bitwie.

- Infekcja - oświadczył pewnym głosem Dorset, gdy tylko przyjrzał się ranie przez swoje okulary i dotknął jej czubkami placów. - Mój lancet, jeśli łaska, i trzymaj w pogotowiu szczypce - powiedział do Sipho, po czym naciął głęboko szramę, przechodząc ostrzem przez warstwę łusek i tłuszczu. Trysnęła jasnożółta ropa, a towarzyszył temu tak straszliwy smród, że Laurence musiał odwrócić głowę. Dorset, który nie przerwał Pracy ani na chwilę, chwycił szczypce, wepchnął je głęboko w ranę i wydobyl kule karabinową, czarną i lśniącą od płynów. Zrobił to dokładnie w tym samym momencie, kiedy obudzony nagle Temeraire zaryczał, wstrząsając okolicznymi drzewami,

otrząsnął się gwałtownie, powalając na ziemię Dorseta, Sipho oraz Laurence'a.

~ Już po wszystkim - odpowiedział na jego protesty Dor- teraz już chyba rozumiesz, dlaczego musimy je wszystkie

wyciągać od razu. Gdybyś nie spał, byłoby to jeszcze bardziej nieprzyjemne.

- Trudno mi w to uwierzyć - rzekł z goryczą Temeraire. - Mogliście przynajmniej mnie ostrzec.

- Żebyś mógł się wyrywać i odskoczyć o dwadzieścia stóp, zanim zdołałbym ci wyjąć tę kulę - odrzekł nieporuszony Dor- set. - Dostyc tego narzekania; muszę teraz usunąć pozostałe.

- Ale ja muszę wrócić do walki - zaprotestował pospiesznie Temeraire, próbując uciec. Na niewiele mu się to jednak zdało i w końcu spuścił głowę, rozpląszczył krezę na karku, i mruknął żałośnie, kiedy Dorset zaczął wyciągać pozostałe kule, które przynajmniej nie tkwiły tak głęboko jak ta pierwsza.

- To nie potrwa długo - powiedział Laurence, głaszcząc go po głowie, a po chwili z lasu wyszedł Demane, niosąc na ramionach małego jelenia, którego Temeraire zaczął zaraz skubać, szukając w tym pociechy.

Ze szmerem przypominającym szelest grubego jedwabiu wylądował obok nich Ekscidium. Jego załoga pospiesznie zeszła na ziemię, żeby opatrzyć jego rany: kilka szarpanych, zadanych przez pazury, i jedną przez karabinową kulę, której usunięcie zniósł z prawdziwym stoicyzmem. Narzekania Temeraire'a - Dorset właśnie przypalał oczyszczone rany - natychmiast ucichły.

- A więc tutaj jesteś - powiedziała Jane, podchodząc do Emily, która spuściła głowę z miną winowajcy przyłapanego na gorącym uczynku: dosłownie gorącym, bo pomagała właśnie Dorsetowi przypalać rany Temeraire'a. - Czy Sanderson dał ci pozwolenie na opuszczenie stanowiska?

- Animosia i tak może latać tylko przez godzinę, a potem musi długo odpoczywać - odpowiedziała Emily, ale w jej oczach błysnął upór. Laurence nie wyobrażał sobie, żeby spodobała jej się degradacja matki czy też służba pod dowództwem uzurpator

- Pani admirał - odezwał się Temeraire - czy ma pan' nas jakieś nowe rozkazy? Jestem pewny, że byłby z nas większy pożytek, gdybyśmy walczyli z nimi wysoko w górze, u waszego boku; poza tym szarpanie piechoty to żadna przyjemność - dodał, porzucając swój wystudiowany, oficjalny ton.

_ Doskonale się spisujecie tam, gdzie jesteście - odpowiedziała Jane. - To nie czas na nie do końca przemyślane posunięcia, mój drogi. Powiem nawet, że jesteśmy wszyscy bardzo dobrze rozmieszczeni. Bonaparte zmusza nas do walki o każdy cal, ale powoli dobieramy się im do skóry i już wkrótce przyprzemy ich do lasu. Mało brakowało, a wzięliby górę, ale okazuje się, że Dalrymple miał rację, a ja się myliłam; warto było podjąć to ryzyko.

- Byłem pewny, że wszystko pójdzie dobrze - odezwał się Temeraire - ale chciałbym zdobyć przynajmniej jeszcze jednego orła, zanim zmusimy go do ucieczki.

-Jeśli go pokonamy - powiedziała Jane i wyciągnawszy rękę, podrapała uprząż Temeraire'a, żeby nie zapeszyć - to mam nadzieję, że dostaniemy w swoje ręce nie tylko jego orły, ale i jego samego. Tak, on tu jest, we własnej osobie - dodała, kiedy Laurence nie zdołał się powstrzymać i zapytał o to. - Jest za zakolem rzeki ze swoją Starą Gwardią i ulubioną Niebiańską; prawdziwie wspaniałym stworzeniem, z tego, co zdołałam zauważyć.

- Wiedziałem, że będzie unikała bitwy - wtrącił ponuro Temeraire.

- Trzyma ich w rezerwie, i ją też - wyjaśniła Jane - ale to nie wystarczy. My też mamy rezerwy: Iskierka obudzi się lada chwila, a z nią inne smoki, które walczyły w nocy.

~ Ona walczyła w nocy? - zapytał zdziwiony Laurence.

~ Tak - odpowiedziała Jane. - Kiedy już jest w polu, nie °Zna Jej z niego ściągnąć, dopóki nieprzyjaciel nie ustąpi. . atego kazałam Granby 'emu obudzić ją, kiedy zaczęło świtać, przePędzić ostatnie z Fleur-de-Nuitów. Potem była tak zmęczona, że poszła spać. Obudzi się pełna zapалу i tego właśnie potrzebujemy. Bonapartemu zwycięstwo nad Prusami najwyraźniej uderzyło do głowy i pomyślał, że uda mu się nas pokonać częścią swoich sił.

- Zastanawiam się od pewnego czasu - odezwał się p0 chwili milczenia Temeraire - gdzie są jego Grand Chevaliery?., i marszałek Davout; nie widziałem nigdzie na polu bitwy jego sztandarów.

- Smoki pewnie wróciły do Francji albo wciąż przenoszą wojska i zaopatrzenie przez kanał - odpowiedział Laurence. - A Davout...

- Ostatnie raporty mówią, że jest w Portugalii - dodała Jane.

- Hm - mruknął Temeraire - dwa Grand Chevaliery były na zachód stąd; ukradliśmy im świnie, ale w tej okolicy było jeszcze dużo jedzenia. A Davout wcale nie jest w Portugalii. Dwa dni temu widzieliśmy go na północ od Londynu.

- Co? - krzyknęła Jane i natychmiast rzuciła się biegiem w stronę Ekscidiuma, wykrzykując po drodze rozkazy. Kiedy dotarła do smoka, wspięła się błyskawicznie na jego grzbiet i chwyciła tubę. Ekscidium wzbił się w powietrze, jeszcze zanim jej chorążowie przypięli ją do uprzęży.

- Alarm! - Laurence usłyszał jej krzyk. - Ogłosić alarm, nieprzyjaciel na północy! - Wkrótce na każdym smoku widać było machających flagami sygnalistów, którzy przekazywali ostrzeżenie wysłane z grzbietu Ekscidiuma.

Temeraire wyprostował się.

- Co właściwie ją tak zaniepokoiło? - zapytał, spoglądając na towarzysza z oburzeniem, ale nie usłyszał odpowiedzi, gdyż ogarnięty strasznym przecuciem

Laurence stał jak sparaliżowany-

- Leć - rzucił w końcu - ruszaj; musimy się wznieść tak wysoko, jak tylko możesz...

I kiedy Temeraire wzbił się tak wysoko, że drzewa, wzgórz

i wiejskie domy rozmazały się w dole, wtapiając się w krajobraz, zawisł w miejscu i powiedział przygaszonym głosem: _ Tak, widzę ich.

To był Davout. Szedł prosto na ich tyły, z trzydziestoma smokami i dwudziestoma tysiącami ludzi.

Rozdział 9

Z

a godzinę lub dwie mogliby już tylko stać i czekać, aż zostaną starci w pył; a tak ostrzeżenie, choć późne, pozwoliło im przynajmniej oderwać się od przeciwnika i rozpocząć odwrót, który Dalrymple natychmiast nakazał. Znakomicie dowodzący tylną strażą Wellesley stoczył krwawą i straszną walkę, powstrzymując napór całej armii Napolona, dzięki czemu reszta wojsk zyskała czas na przejście po mostach pontonowych na drugi brzeg Tamizy.

Mimo to odwrót pod koniec zmienił się w sromotną klęskę: dziesięć tysięcy ludzi, którzy utknęli na moczarach, dostało się do niewoli, a reszta uciekła na północ, porzuciwszy tabory, a często nawet i karabiny. Zniechęcone smoki zajęły się transportem dział, a Temeraire, z drżącą z gniewu krezą, spoglądał od czasu do czasu za siebie, na pole bitwy, z którego uciekli, i na ścigające ich smoki. Nie proponował jednak, żeby zawrócili i podjęli walkę, tylko kierował znowu wzrok przed siebie- spuszczał głowę i leciał dalej.

Pod wieczór siły Bonapartego zaprzestały w końcu pościgu- siły francuskich smoków, które walczyły cały dzień albo prz nosiły ludzi Davouta, wyczerpały się i jeden po drugim za< zostawać w tyle, aż ostatecznie je odwołano.

Laurence położył dłoń na karku Temeraire'a.

_ Wymknęliśmy się z pułapki - powiedział spokojnym głosem. - Przynajmniej tyle udało się osiągnąć i to tylko dzięki tobie.

_ Nadal myślę, że powinniśmy zawrócić - rzuciła zrzędliwie Iskierka, która leciała obok nich: bardzo się rozzłościła, kiedy po przebudzeniu usłyszała, że nie czeka ją

już żadna walka, i Te- meraire z wielkim trudem, na poły przekonując, na poły zastraszając, skłoni! ją do tego, by poleciała z innymi. - Jestem głodna i nie mam ochoty nieść tej armaty; bolą mnie od niej barki.

- Wszyscy jesteśmy głodni - odparł zirytowany Temeraire - więc przestań narzekać; jesteś nieznośna.

- Wcale nie jestem! - krzyknęła. - Tylko dlatego, że ty nie chcesz się bić i wolisz uciekać...

- Dosyć tego - przerwał jej surowym głosem Ekscidium, zniżając lot, żeby znaleźć się na ich wysokości. - Wrócimy tam, kiedy będziemy gotowi; kiedy będziemy mieli więcej ludzi, więcej dział i pewność zwycięstwa. To jest strategia - dodał - a ty już nie jesteś mała i powinnaś to rozumieć.

Iskierka ucichła, ale wciąż coś pomrukiwała pod nosem, kiedy starszy smok wysunął się przed nich.

Gdzieś daleko z tyłu maszerowały resztki piechoty i kawalerii, zmierzając w kierunku dobrze bronionych centralnych magazynów wojskowych w Weedon Bec, gdzie czekały posiłki oraz zaopatrzenie. Natomiast smoki leciały przez całą noc i następny dzień, powiększając dystans dzielący je od pościgu i zapewniając w ten sposób bezpieczeństwo artylerii. Brakowało im jedzenia, śdyż nie mogły się zatrzymać za dnia na polowanie, a chłopci Poukrywali swoje stada.

~ Właściciele ziemscy muszą się pogodzić z tym, że ich zwie- Zostanie zjedzona - postanowiła Jane i podzieliła smoki niejsze grupy, nakazując, żeby urzędowały postoje tylko y majątkach, takich, przy których są parki z jelenif

Przed zmierzchem mieli dotrzeć do Nottinghamshire, a p0_ siadłość Wollaton Hall szczyciła się stadem ponad czterystu sztuk zwierzyny.

- Mogę cię wysłać gdzie indziej - powiedziała Jane, ale Laurence pokręcił przecząco głową.

Nie miał zbyt wielkiej ochoty na wizytę w rodzinnym domu zwłaszcza jako skazany wyrokiem sądu zdrajca, który nie dość, że przynosi najgorsze z możliwych wieści, to jeszcze sprowadza dwadzieścia głodnych smoków, gotowych obrócić w ruinę cały majątek. Nic jednak nie można było na to poradzić, a byłoby

zdecydowanie gorzej, gdyby się udał do jednego z sąsiednich domów, nie składając rodzicom wyrazów uszanowania, i pozwolił jakiejś innej grupie smoków spędzić noc na terenie ich posiadłości; to by było tchórzostwo i uchylanie się od obowiązku. Jeśli lord Allendale zabroni mu wstępu do domu, kiedy się tam zjawia, to jego ojcowskie prawo; on sam ma obowiązek znosić spokojnie wszystko, na co sobie zasłużył.

Wylądowali w końcu kilka godzin później, przy czym smoki złożyły ładunki z głośnymi westchnieniami ulgi: przeniesienie dwóch szesnastofuntówek na odległość trzydziestu mil nie było żartem nawet dla największych z nich, a Maksimus i Requiescat musieli dźwigać po cztery sztuki. Temeraire odetchnął i wyciągnął się na zimnej ziemi niczym długi, czarny wąż.

Laurence ześliznął się z niego, zmęczony i obolały po wielu godzinach siedzenia na smoczym grzbiecie.

- Pójdiesz sam porozmawiać z nimi w domu? - zapytał Jane. - Czy mam wysłać Frette'a?

- Nie, sam pójdę - odparł Laurence i dotknąwszy kapelusza - ruszył w stronę domu.

- Przekaż, proszę, moje wyrazy szacunku twojej matce - P^o* wiedział Temeraire, poruszywszy się nieznacznie, gdy Laurek pogłaskał go na pożegnanie po pysku.

Podszedł powoli, z wahaniem do domu. Był prawie cały zaciemniony i tylko przy drzwiach płonęło kilka pochodni. Przed wejściem stali dwaj lokaje, nerwowo ściskający w rękach strzelby.

_ Wszystko dobrze, Jones - powiedział Laurence, kiedy podszedł do nich na tyle blisko, że mógł rozpoznać ich twarze. - To tylko ja; czy lord Allendale jest w domu?

_ Och... tak, sir, ale... - zaczął Jones, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami, i w tej samej chwili otworzyły się drzwi.

Przez moment Laurence myślał, że stoi w nich jego ojciec, ale to byli jego najstarszy brat George, w kapciach i szlafroku włożonym na nocną koszulę, oraz służący, którzy próbowali zarzucić mu płaszcz na ramiona.

- Na miłość boską, Will - odezwał się George, schodząc po schodach: był o sześć lat starszy od Laurence'a i niemal tyle samo lat upłynęło od dnia, kiedy się po raz ostatni widzieli: nabrał ciała, ale wyglądało na to, że nadal nie potrafił mówić normalnie, bez

irytacji w głosie. - To będzie wszystko - zwrócił się nagle do lokajów - możecie wracać do środka. - Nie powiedział nic więcej do chwili, gdy zamknęły się za nimi drzwi, a potem odwrócił się do Laurence'a i syknął: - Co ty tu, na Boga, robisz? I jeszcze podchodzisz do frontowych drzwi - mógłbyś przynajmniej zachować odrobinę ostrożności. Czy... czy jesteś głodny... potrzebujesz czegoś...

Umilkł, a Laurence zarumienił się, zrozumiał nagle, o co bratu chodzi, i odgryzł się:

Nie uciekłem z więzienia i nie przywlokłem się tutaj, Zeby błagać o pomoc; zostałem warunkowo zwolniony, żebym Wa'czył z Francuzami.

- Zwolnili cię? - powiedział George. - Zwolnili, żebyś wal- ^ z Francuzami, i oto jesteś tutaj, w środku Nottinghamshire!

to uwierzy w taką historię, pytam.

Dobry Boże, nie kłamię - odparł Laurence z niecierpliwością w głosie. - Nie będę ci tego dwa razy tłumaczył; czy ojciec mnie przyjmie?

- Nie; nawet mu nie powiem, że tu jesteś - odrzekł George - Jest chory, Will; od sierpnia stracił ponad dwadzieścia funtów i lekarze mówią, że musi mieć spokój, rozumiesz, idealny spokój jeśli chcemy, by przeżył jeszcze rok. Nie może nawet nadzorować zarządcy majątku; jak myślisz, dlaczego tu jestem? I nie ma się co dziwić, jeśli wspomnieć, jakie miał zmartwienia. Jeśli potrzebujesz pieniędzy lub jakiegoś miejsca do spania...

- Nie przyszedłem tutaj w mojej sprawie - przerwał mu w końcu Laurence, którego ogarnęło dziwne odrętwienie; wizja wyniszczonego chorobą i przykutego do łóżka ojca wydała mu się całkowicie nierealna. - Jestem tu z Korpusem; musimy zarekwirować jelenie, żeby wykarmić smoki. Teraz jest ich dziewięć - dodał - ale do rana przybędzie więcej; nie chciałem, żebyście się wystraszyli.

- Dziewięć... - George popatrzył w stronę parku i zobaczył światła oraz cienie poruszających się smoków. - A więc nie kłamiesz - powiedział wolno. - Co się stało?

Takich wieści nie dałoby się na dłuższą metę ukryć.

- Sprawił nam baty w pobliżu Londynu i wziął dziesięć tysięcy jeńców - odparł Laurence. - Wycofujemy się do Szkocji.

- Mój Boże - szepnął George i przez chwilę milczeli. - Stoicie pod lasem? - Kiedy Laurence skinął głową, George powiedział: - Cóż... oczywiście możecie wziąć tyle jeleni, ile potrzebujecie; to królewskie prawo. Mamy stajnie i zabudowania gospodarcze... Wyślę wam wszystkim jedzenie z kuchni, a co do waszego dowódcy, to możemy mu zaoferować łóżko... - wszystko miało na celu opóźnienie tego, co było nieunikniona ale ostatecznie doszedł do tego i zakończył, nieco skrepowani Ale nie zaproszę was do domu, Will; przykro mi.

- No tak - odparł Laurence. - Oczywiście.

Mógł nalegać, tak w swojej sprawie, jak i towarzyszy: jako ficerowie mieli prawo do zakwaterowania w pokojach, jeśli tyl-

o w domu było miejsce. Ale nie był w stanie tego zrobić. Jane mogłaby, gdyby zechciała, ale on sam nie mógł siłą wdzierać się do rodzinnego domu.

_ Will, powiedz mi... Czy on tu dojdzie? - zapytał cicho Georae. - Czy powinienem wyprawić stąd Elizabeth, matkę i dzieci, może do Northumbrii...

_ Myślę, że może przysłać tu ludzi po bydło dla smoków - odpowiedział Laurence - ale jeśli gdzieś pomaszeruje, to raczej wzdłuż wybrzeża; nie może zostawić naszych garnizonów na swoich tyłach lub skrzydłach. - Zmęczonym gestem potarł czoło. - Przykro mi, ale nie mogę być pewny, że dam ci dobrą radę, sądzę jednak, iż nie ma bezpieczniejszego miejsca od tego domu; chyba że wyślesz ich do Liverpoolu i statkiem do Halifaksu.

George znowu pokiwał głową, po czym odwrócił się i wszedł po schodach na górę. Przy drzwiach zawahał się, jakby chciał się znowu odezwać, ale ostatecznie nic nie powiedział. Wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

Laurence wrócił sam, krocząc pewnie znajomymi ścieżkami, mimo ciemności. Panującą w całej okolicy ciszę przerywały od czasu do czasu słabe podmuchy wiatru, który potrząsał suchymi liśćmi jak grzechotkami, i niósł zapach smoków oraz dymu. Naziemne załogi zaprzęzonych smoków rozbiły mały obóz, stając się zapewnić sobie odrobinę wygód; najłatwiej poszło im rozpalenie ogniska, gdyż wystarczyło, że Granby poprosił o to Iskierkę. Inni kapitanowie stali teraz przy nim, ogrzewając ręce

1 °mawiając po cichu kurs, który powinni obrać rano.

Smoki z tylnej straży, które ochraniały odwrót, przylatywały ro teraz, inne posilały się już jeleniami, których smukłe • y bezwładnie rozciągnięte na ziemi. Polowaniem zajęła a' ku zadowoleniu wszystkich, z wyjątkiem mniejszych stworzeń, które uciekły na otwarty teren wraz z przerażonymi jeleniami, kiedy lecąc ponad drzewami, wyrzuciła z pyska huczą, cy jęzor ognia. Były wśród nich myszy, króliki, wróble, a także kilku kłusowników ze wsi, którzy umykali co sił w nogach ze swoimi siłkami.

- Polecimy stąd prosto do Szkocji, do Loch Laggan - mówiła właśnie Jane - i poczekamy tam, aż armia się przegrupuje Będzie to dla nich ciężki i powolny marsz, ale w Weedon Bec Wellesley wzmocni swoje siły o dwadzieścia tysięcy ludzi z działami i o kolejne dwadzieścia tysięcy w Manchesterze.

- Ale czy zdołamy zapewnić smokom jedzenie, w drodze, i potem, kiedy będziemy czekać? - z grzbietu kolejnego Long- wina, który właśnie wylądował, dobiegł głos innej kobiety. - Mort, bądź tak kochany i postaw mnie na ziemi.

Laurence nigdy jeszcze nie spotkał kapitan St. Germain, która od lat pełniła służbę na Gibraltarze. Mortiferus postawił ją obok ogniska: była kobietą bardzo wysoką, tęgą, z delikatnymi rysami twarzy, kręconą blond czupryną i jasnoniebieskimi oczami; w sumie wyglądała raczej jak postać z obrazu Rubensa, a nie kapitan Korpusu Powietrznego Jego Królewskiej Mości. Była ze dwa razy cięższa od Jane, która wcale nie należała do szczupłych kobiet, i całkiem możliwe, że po umieszczeniu na wadze z Berkleyem przechyliłaby szalę na swoją stronę.

- Naszym ziemianom przez kilka zim będzie brakowało sarniny na stołach i zwierzyny w lasach, ale musimy sobie jakoś radzić - odpowiedziała Jane, po czym odwróciła się, usłyszawszy cichy krzyk; ścieżką wiodącą od domu szła grupa służących z latarniami i koszami zjedzeniem i jedna z pokojówek właśnie

zemdlała na widok smoków. - Coś takiego, Laurence, to nazywa gościnność; mam nadzieję, że im podziękowałeś w ^ szym imieniu - rzekła, po czym poleciała ludziom podejść wystraszonych służących i odebrać jedzenie z ich rąk.

Laurence dla odmiany był szczęśliwy, że w ciemności nikt nie zauważył rumieńca na jego twarzy, jaki wywołała niegościnnosc gospodarzy, trzymających ich na chłodzie, kiedy na wzgórzu stał wielki dom wpatrujący się w nich wieloma oknami, za którymi nie było nikogo. Ale najwyraźniej tylko on tak to odczuwał: pozostali awiatorzy, przyjemnie zaskoczeni, ruszyli chętnie po kosze pełne zimnych mięs i chleba, świeżo ugotowanych jaj i wielu dzbanków z gorącą herbatą. Jeden ze służących zszedł z nimi ze wzgórza, niosąc ogromny, parujący półmisek, z którego wydobywały się ostre zapachy orientalnych przypraw, i jeszcze zanim wszedł w krąg padającego z ogniska światła, Laurence rozpoznał jego twarz, a Temeraire uniósł głowę i powiedział radośnie:

- Gong Su, tu jesteś.

Kucharz wystąpił do przodu i uklonił się wielokrotnie Temeraire'owi, a potem, jakby po namyśle, Laurence'owi, i rozpromienił się, widząc, z jakim zapalem awiatorzy zaatakowali półmisek, który postawił na ziemi.

- Cieszę się, że zastaję cię w dobrym zdrowiu; ale skąd się tu wzięłeś? - zapytał Laurence.

- To dzięki wspaniałomyślności lady Allendale - odparł Gong Su i odwróciwszy się do Temeraire'a, wyjaśnił po chińsku, że lady Allendale napisała do Korpusu i otrzymała nazwiska członków załogi Laurence'a, by się nimi w razie potrzeby zaopiekować w ten czy inny sposób; jemu dała pracę.

I on mówi, że znowu się do nas przyłączy - dodał z zadowoleniem Temeraire na koniec tłumaczenia - a więc będziemy mieli porządnie ugotowane jedzenie i jeśli przestaniemy teraz JCSc surowe mięso jeleni, on je zaraz udusi z kaszą. ^

Usłyszawszy te słowa, kilka smoków przyciągnęło jelenie

91 zaczęło je natychmiast pożerać, ścieżce wciąż panowało zamieszanie; pokojówka dostała

teraz ataku hysterii i opierała się wysiłkom dwóch służących, którzy chcieli ją odprowadzić.

- Dość tego, Martho. Peyle, zaprowadź ją do domu i daj jej proszek z rogu jelenia - odezwała się lady Allendale, kładąc kres krzykom. Uspokoila służbę i szła dalej

pewnym krokiem w stronę awiatorów, opatulona w futro, w towarzystwie jednego wyraźnie nieszczęśliwego lokaja z latarnią, który w miarę jak zbliżali się do polany, coraz bardziej pozostawał z tyłu.

Jednak na samym obrzeżu polany lady Allendale zatrzymała się mimowolnie; ostatni raz widziała Temeraire'a, kiedy miał on zaledwie kilka tygodni i nawet nie wyrosła mu jeszcze kreza. Czym innym było spotkać jednego młodego smoka w biały dzień, czym innym zobaczyć ich tuzin, głównie ciężkich oraz niepokojąco pomarańczowookich Longwingów, i to jeszcze w sytuacji, gdy wszystkie miały pyski unurzane we krwi, a w migotliwym blasku ognia, który odbijał się w ich łuskowatych skórkach, zdawały się jeszcze większe.

Kiedy nieśmiało weszła w krąg światła, Laurence już stał na nogach, a inni oficerowie pospiesznie zrywali się ze swoich miejsc.

- Bardzo się cieszę, że znowu panią widzę - powitał ją Temeraire, po czym ściszone głosem zwrócił się do Laurence'a - to było poprawnie, czyż nie?... I dziękuję pani za przechowanie dla mnie Gong Su.

- Całkowicie poprawnie - odparła lady Allendale i zbliżywszy się do nich ze smutnym uśmiechem, podała rękę Laurence'owi; pochylił się w milczeniu i pocałował ją w policzek. Była bledsza niż kiedyś, a na jej skórze, suchej i cienkiej jak papier, widać było więcej zmarszczek; włosy miała zupełnie białe - Jej uśmiech szybko zgasł, wsparła się na jego ramieniu, czego najwyraźniej bardzo potrzebowała, i rozejrzała się po obozie - Mam nadzieję, że jest wam tu wygodnie; chętnie przygotuje łóżka w domu dla was, panowie oficerowie... Jestem pewna, że miejsce się znajdzie...

Zrazu nikt jej nie odpowiedział, a potem odezwała się Jane:

- Jest nam tu bardzo dobrze, łaskawa pani, i bardzo dziękuję za waszą gościnność; kiedy jesteśmy w drodze, śpimy z naszymi smokami. Frette, czy możesz przynieść krzesło dla pani - dodała, podczas gdy lady Allendale wpatrywała się w nią i Laurence'a z wyrazem oszołomienia na twarzy.

Oczywiście nic nie można już było na to poradzić, więc powiedział:

- Mamo, pozwól, że ci przedstawię panią admirał Roland od Ekscidiuma; lady

Allendale.

Jane ukloniła się i wyciągnęła rękę; lady Allendale odzyskała panowanie nad sobą, uścisnęła ją serdecznie i z wdzięcznością usiadła na składanym krześle, które Frette przyniósł dla niej z namiotu i postawił obok ogniska razem z drugim, przeznaczonym dla Jane. Kapitan St. Germain chodziła tymczasem po obozie, żeby rozprostować nogi, i nie zauważyła jeszcze gościa.

- Dziękuję, Frette, wolę postać; jutro będziemy siedzieć przez cały dzień - powiedziała, kiedy jej także zaoferował krzesło, po czym zatrzymała się nagle, spostrzegłszy lady Allendale.

Zapanowała nieco kłopotliwa cisza. Lady Allendale wpatrywała się z fascynacją w Jane i St. Germain i rozglądała się po całym obozie z większą uwagą, niż przedtem poświęcała awiatorom. Nie była głupia; Laurence zauważył, że szybko wyłowiła wzrokiem garstkę innych kobiet oficerów: jedną z załogi Jane, Porucznik od Berkleya i kilka midszypmenów oraz chorążych.

Nikt nie pospieszył z wyjaśnieniami, a ona oczywiście nie zapytała, tylko zwróciła się uprzejmie do Jane:

~ A zatem zdążacie do Szkocji.

~ Tak jest, łaskawa pani - odparła Jane. - Mam nadzieję, że me «Prawiliśmy wam kłopotu.

Było to zręczne nawiązanie krótkiej rozmowy, którą każda ze stron mogła zakończyć szybko i z zachowaniem dobrych form.

Ale Temeraire, który czekając, aż Gong Su ugotuje mu kolację, nie był niczym zajęty, wtrącił z niepokojem:

- Może lepiej by było, żebyście polecieeli z nami. Właśnie przyszło mi do głowy, że Napoleon może dotrzeć aż tutaj, zanim będziemy mieli okazję pobić go jak należy.

- Nie możesz przenosić cywilów, gdzie zechcesz - odpowiedziała mu Jane tonem reprimendy. - Tego by jeszcze brakowało, żebyśmy się zajmowali zapewnieniem wszystkim bezpieczeństwa, kiedy naszym obowiązkiem jest wypatrywanie nieprzyjaciela. Napoleon tu dotrze lub nie; ale my na pewno się z nim spotkamy, prędzej czy później.

- Tak, ale kiedy my się z nim spotkamy, będziemy mogli z nim walczyć - odparł Temeraire - w przeciwieństwie do części naszych przyjaciół, którym powinniśmy zapewnić bezpieczeństwo.

- Jestem bardzo wdzięczna za troskę - powiedziała łagodnie lady Allendale - ale nie odejdziemy stąd, jak myślę; byłoby czymś zupełnie niewybaczalnym, gdybyśmy zostawili naszych służących i dzierżawców na pastwę losu; naszym obowiązkiem jest być z nimi.

Ale ta wymiana zdań zmieniła zupełnie charakter rozmowy; matka Laurence'a zapytała zaraz Jane, czyjej rodzina jest w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Nie mam nikogo, o kogo musiałabym się martwić, z wyjątkiem mojej Emily, no ale na szczęście stale nad nią czuwam - odpowiedziała Jane, wskazując skinieniem głowy córkę, która pomagała rozbijać obóz.

Naturalnie Emily musiała zaraz podejść, żeby zostać przedstawioną, a kiedy już się ukloniła, dodała z przejęciem:

- I chciałabym bardzo pani podziękować za prezent; jestem pani bardzo wdzięczna.

Laurence dobrze znał matkę i zauważył, co umknęło innym, że w pierwszej chwili była zaintrygowana, a potem na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

- A więc lubisz granaty? - powiedziała, patrząc w twarz Emily z zupełnie nowym zainteresowaniem, a Laurence poczuł, że zamiera mu serce.

Przed rokiem w Londynie jego ojciec wyciągnął zupełnie mylny wniosek z obecności Emily pośród członków załogi Temeraire'a i tego, że Laurence najwyraźniej poczuwa się do odpowiedzialności za nią; i podzielił się tą swoją obserwacją z lady Allendale, co naturalnie sprawiło, iż bardzo się zainteresowała losem dziewczyny.

- Och, tak - odparła Emily - i już je dwa razy miałam na sobie, kiedy byłam w teatrze w Dover.

- Czy ty... a zatem ty też służysz w Korpusie, prawda? - zapytała lady Allendale, chcąc się jeszcze czegoś dowiedzieć, ale tylko tego, do czego w swojej opinii miała prawo, jako że nie była Jane.

Emily beztrąsko skinęła głową i odpowiedziała z dumą:

- Niedawno zostałam chorąży, proszę pani.

- Starczy tych przechwałek; Dorset cię szuka - wtrąciła Jane i Emily ukłoniła się jeszcze raz, po czym wróciła biegiem do swych obowiązków.

Lady Allendale odprowadziła ją wzrokiem. Lekarz pracował nad smokami: nie tylko Temeraire zbyt długo nosił w ciele karabinową kulę i kilka niezaprzężonych zostało potraktowanych w podobny sposób. Na szczęście Dorset zajmował się starą raną w drugim boku Ballisty, dzięki czemu nie było widać makabrycznych szczegółów tej operacji. Kiedy Emily znikła za ogromnym Cle'skim smoczycy, lady Allendale odwróciła się i nie bez pewnego niepokoju powiedziała do Jane: Ona jest taka młoda.

- Och, była w uprząży, zanim nauczyła się chodzić - odparła Jane. - Zaczynamy je szkolić już w okresie wczesnego dzieciństwa, żeby osiągały jak największą sprawność; no i musi być gotowa przejąć Ekscidiuma, kiedy ja będę zbyt niedołączna, żeby nadal latać.

- Widzę, po kim to masz - powiedziała później Jane do Laurence'a: większość smoków i awiatorów już spała, a trzaskanie ognia zagłuszało ich cichą rozmowę, ułatwioną przez kilka kieliszków wina przysłanego im z domu do kolacji - to całe przekonanie, że szlachectwo zobowiązuje; ale i naturalność w zachowaniu. Lubię ją. To ogromnie uprzejme z jej strony, że tak się interesuje Emily; czy myśli, że mała jest twoim bękartem?

I tak Laurence, który miał wielką nadzieję, że Jane nie zauważyła niczego odbiegającego od normy, musiał jej opowiedzieć o tym nieszczęsnym nieporozumieniu. Jane roześmiała się szczerze, tak jak się tego obawiał, ale w tych okolicznościach nie mógł żałować, że dał jej powód do tak nieklamanej wesołości, nawet jeśli to było dla niego krępujące.

- Dlaczego jej tego nie wyjaśniłeś? - zapytała rozbawiona. - Nie, nie tłumacz. Pewnie nie powiedziała o tym otwarcie ani słowa, na które mógłbyś odpowiedzieć, a ty nie poruszyłbyś sam tego tematu, nawet gdyby cię przypalano rozżarzonymi pogrzebaczami. To musi być bardzo kłopotliwe, jeśli nie poruszać w waszej rodzinie żadnych trudnych tematów.

Następnie umilkła; jej słowa aż nadto dobrze uświadomiły im obojgu, jak kłopotliwa jest ich własna sytuacja. Popatrzyła na swój kubek i obróciła go w palcach.

- Przepraszam - powiedział Laurence po chwili. - Przepraszam z całego serca.

- Tak - odparła - ale nie za to, za co należy. Powinieneś przeprosić za to, że poleciałeś tam sam, bez słowa, i za ten okropny list, który mi zostawiłeś, za te wszystkie „nie mógłbym

Cię tak bardzo kochać", jakbyś był mi winien przeprosiny jako kochance, a nie dowódcy. Rumieniłam się, pokazując go innym, i oczywiście musiałam go oddać.

Przez tydzień sama z radością bym cię przebiła szpadą, kiedy musiałam przesiadywać z nimi i znieść to, że czytają fragmenty tego listu, na ogół insynuującym tonem oraz zabierają mi dowództwo i przekazują je Sanderso- nowi, niech ich diabli wezmą.

- Jane - odezwał się - musisz zrozumieć, że nie mogłem powiedzieć nikomu; nie mogłem cię postawić w takiej sytuacji...

- No a w jakiej mnie postawiłeś? - przerwała mu. - Nawet gdybym naprawdę o wszystkim wiedziała, nie mogliby mnie bardziej podejrzewać.

- Gdybym ci powiedział, miałabyś obowiązek mnie powstrzymać - odparł Laurence.

- I dobrze by się stało - rzekła Jane. - Jeden prywatny liścik do jakiegoś niskiego rangą Francuza i w ciągu miesiąca miałiby grzyby w swoich rękach. Czy myślisz, że każdy służący w Loch Laggan okazałby się nieprzekupny, kiedy by się dowiedział, że Napoleon jest gotowy zapłacić milion franków za to cholerstwo? - Laurence wzdrygnął się odruchowo i ona to dostrzegła. - Nie, oczywiście nie odpowiadałoby ci załatwienie tego po cichu. Ty i to twoje cholerne poczucie honoru.

- To by wcale nie było mniejszą zdradą - powiedział Laurence.

- Słusznie, ale skoro i tak miałeś zamiar ją popełnić, byłoby to o wiele mniej bolesne dla wszystkich - odparła Jane, po czym potarła czoło grzbietem dłoni. - Nie, mniejsza o to. Nie chciałam tego powiedzieć. Myślę, że nie było dobrego wyjścia z tej sytuacji; wszelka przyzwoitość poszła w zapomnienie. Ale 1 tak niech cię diabli, Laurence.

Wiedział, że na to zasłużył, i pochylił głowę. Po chwili Jane dodała:

- A na domiar wszystkiego musiałeś tu wrócić, żeby zrobić z siebie męczennika, i teraz każdy, kto miał dla ciebie choć odrobinę uczuć, będzie musiał oglądać, jak cię wieszają; jeśli oczywiście nie postanowią zrobić z tego widowiska i nie poćwiartują cię w dobrym starym stylu. Przypuszczam, że przyjąłbyś to jak Harrison, „z tak pogodnym wyrazem twarzy, na jaki mało kto mógłby się zdobyć w takiej sytuacji”². Cóż, ja nie byłabym cholernie pogodna ani nikt z tych, którzy cię kochają, a niektórzy z nich mogą zrównać z ziemią pół Londynu, jeśli zechcą.

- Ja na pewno bym zechciał - powiedział Temeraire i pomyślał, że powinien to podkreślić w kolejnej rozmowie z dżentelmenem z ministerstwa lub może z jednym z tych generałów, by było to dla wszystkich absolutnie jasne. - Proszę, nie martw się, Laurence - dodał. - Jestem przekonany, że nie będą tacy głupi.

- Ludzie mogą być naprawdę głupi - odparł Laurence - i proszę cię, żebyś nie podejmował żadnych postanowień, które nie pozwolą mi ze spokojem stawić czoła śmierci. Zrobisz ze mnie tchórza, jeśli będę musiał się bać, że wykonanie na mnie prawomocnego wyroku zmieni cię we wroga mojego kraju.

- Ale ja wcale nie chcę, żebyś ze spokojem stawił czoła śmierci - powiedział Temeraire - jeśli rozumiesz to tak, iż dasz się im powiesić, zamiast zrobić małe zamieszanie. Jeśli miałyby cię to zasmucić, to ja tym bardziej byłbym nieszczęśliwy, gdybyś został zabity. To było straszne, tak straszne, kiedy myślałem, że nie żyjesz. Miałem wrażenie, że sam już siebie nie znam. Chciałem nawet zabić biednego Lloyda, bez żadnego powodu, i już nigdy nie chcę się tak czuć.

- Temeraire - zaczął jeszcze raz Laurence - musisz wiedzieć, że jednak będziesz tak się czuć, że to jest nieuchronne; mam przed sobą jeszcze czterdzieści, w najlepszym razie sześćdziesiąt lat życia, a ty ze dwieście.

Temeraire ze smutkiem położył krezę na karku, wyraźnie nie chcąc nawet rozmawiać na ten temat.

- Ale to przynajmniej nie będzie niczyją winą - odezwał się w końcu. - Nikt mi ciebie nie odbierze.

Ta różnica była dla niego oczywista. A poza tym nie chciał myśleć o czymś tak odległym w czasie i mglistym. Być może znajdzie wtedy jakiś sposób, żeby tego

uniknąć; jeśli smoki żyły po dwieście lat, nie widział żadnego powodu, dlaczego nie miałyby to dotyczyć także ludzi.

Odwrócił chętnie głowę, kiedy obok nich wylądował Moncey i powiedział:

- Temeraire, ci, którzy polecili do Zamku Nottingham, są głodni; brakuje tam jeleni dla wszystkich.

- Mogą przylecieć tutaj i zjeść z nami śniadanie - odparł Temeraire, wskazując głową wielki dół, w którym Gong Su gotował dla nich gęstą zupę z kaszą, sarniną i jarzynami. Był pomysłowo uszczelniony grubym płótnem, a jego zawartość rozgrzewały wrzucane do środka kamienie, które Iskierka rozpałała do czerwoności. - I od tej pory wszyscy będziemy się dzielić z innymi - zwrócił się do pozostałych smoków. - Wszyscy musicie przyznać, że to najlepsze rozwiązanie.

- Nic nie może się równać ze świeżym byczkiem, który jest tylko dla ciebie - burknął zrzędliwie Requiescat.

- Cóż - odpowiedział Temeraire - jeśli wolisz, możesz mieć byka lub krowę tylko dla siebie, ale raz na trzy dni, zamiast codziennie zupę, ponieważ tylko tak możemy rozdzielić zapasy jedzenia, jak mówi Gong Su.

Cieszyło go, że mógł powrócić do tak przyziemnych spraw i "dawać, iż rozmowa między nim a Laurence'em dobiegła końca, i że znowu panuje między nimi pełna zgoda, chociaż czuł się nieco zawstydzony. Wiedział, że Laurence nigdy nie przerwie czegoś, co choć w przybliżeniu wygląda na pracę, gdyż nie miał zbyt wysokiego mniemania o oficerach, którzy zapominając o obowiązkach, woleli zabawiać się rozmowami lub znajdowali sobie inne przyjemności. Była to zatem dobra wymówka od dalszej rozmowy i Temeraire wiedział, że dopóki będzie zajęty, nie wrócą do tego trudnego i smutnego tematu.

Zdecydował, że nie pozwoli zabić Laurence'a, bez względu na to, co się stanie. Wcale nie pocieszało go to, że Laurence przed śmiercią będzie się czuł nieco lepiej, jeśli po niej z całą pewnością nigdy już nie będzie szczęśliwy. Co więcej, Temeraire był teraz całkowicie przekonany, że jedynym sposobem zapewnienia Laurence'owi ochrony było danie ich lordowskim gościom jasno do zrozumienia, iż spotka ich coś wielce nieprzyjemnego, jeśli ośmielą się go skrzywdzić, i dlatego nie miał

najmniejszego zamiaru odwoływać swojej groźby. Nie mógł się jednak powstrzymać od zerkania w bok, gdzie Laurence rozmawiał właśnie z admirałem Rolandem: wyglądał na zmęczonego i chociaż oczywiście nigdy nie pozwoliłby sobie na to, by opadały mu ramiona, z samej jego postawy, z tego, jak stał, przebijała taka zgryzota, że Temeraire, rozmyślając o tym, jak zręcznie udało mu się wycofać z dyskusji, poczuł ogromne wyrzuty sumienia.

cji ii co by?

? \r"

los, staif^

Ale przynajmniej Laurence był teraz porządnie ubrany: Temeraire uważał, że chociaż w tej sprawie udało mu się wypełnić swój obowiązek. W nocy szepnął kilka słów do lady Allendale, która wzięła z domu trochę ubrań: ciepły, gruby płaszcz i część starych rzeczy, które wzięła na przechowanie, kiedy poszedł. Wprawdzie Temeraire miał nieco inne wyobrażenie, w jaki sposób powinien się nosić; ale przynajmniej miał już buty i mundur, który na niego pasował - jdy o tym rozmyślał, wylądowała Palliatif

\

z czterema innymi Yellow Reaperami i parą Grey Copperów. Wszystkie smoki były głodne, więc rzuciły się na zupę, przepychały się i kłóciły podczas jedzenia, a kiedy już niemal wszystko pochłonęły, Palliatif rzuciła wojowniczo:

- A gdzie będziemy jeść jutro? Żadnych skarbów ani jedzenia; i co wyszło z tych twoich pięknych obietnic?

Zaskoczony tym atakiem, Temeraire powiedział tylko:

- Nie musisz na mnie krzyczeć, gdyż przegraliśmy bitwę. Przecież gdyby Napoleona było można tak łatwo pobić, nie miałby żadnych skarbów wartych wzięcia. Trzeba być zatem przygotowanym na pewne trudności i jeśli zaczynasz narzekać tylko dlatego, że nie byłeś dość sprytny, by znaleźć sobie coś do jedzenia na kolację, nie świadczy to moim zdaniem dobrze

O twojej odwadze.

- Przedtem nie mówiłeś nic o trudnościach - odparła -

1 o Napoleonie też nie miałeś zbyt wysokiego mniemania. Jeśli on ma tyle skarbów, to zupełnie zrozumiałe, że pokonanie go może być bardzo trudne, i być może wcale nie uda nam się go zwyciężyć.

- A jeśli nam się to jednak uda - wtrącił znaczącym tonem Grey Copper imieniem Rictus, unosząc głowę znad dołu z zupą- to pewnie okaże się, że nie ma żadnych pawilonów ani skarbów, w każdym razie nie ma ich dla tych, którzy nie odzyskali kapitanów i nie mają czekających na nich miejsc w Korpusie. Nie, dla nas to będzie powrót na tereny rozptodowe, a jeśli mamy skończyć tak, jak zaczynaliśmy, bez żadnych zdobyczy, to nie rozumiem, dlaczego latamy po całym świecie głodni, narażając

na kule i pazury wroga.

Jego słowa spotkały się z wieloma cichymi pomrukami aProbaty, a co gorsza, kilka smoków uniosło głowy z pewnym ^interesowaniem, czekając na odpowiedź Temeraire'a. On zaś Sprostował się gniewnie i rzucił:

- Nie jestem szuja, a jeśli chciałbyś mnie tak nazwać, zrób to otwarcie, zamiast to skrycie sugerować.

- Co zatem masz zamiar zrobić, kiedy już wygramy? - włączyła się do rozmowy Ballista. - Rictus ma rację, kiedy mówi, że już nie musisz się martwić o resztę z nas: nie jesteś już nieza- prężony, nawet jeśli nie masz jeszcze załogi godnej tego miana.

Temeraire rozplaszczyl krezę, słysząc tę ostatnią uwagę. W końcu odzyskał Gong Su, Dorseta - nawet jeśli wolałby Keynesa - oczywiście Emily, Demane, Siphon, a także Fellowesa, Blythe'a i nawet Allena, czyli całkiem sporo ludzi, co oczywiście nie miało nic do rzeczy.

- Sama miałaś kiedyś załogę i mogłabyś mieć ją znowu, jak każdy z was - wytknął jej - a więc nie chodzi tu o to, czy ktoś jest zaprężony, ale czy tego chce, czy też nie. I nie musimy wcale wybierać między założeniem upręży a powrotem na tereny rozplodowe, bo to byłby żaden wybór, kiedy życie na tych terenach jest tak nudne.

- Tak, ale... - zaczęła Ballista, po czym umilkła, aż w końcu leżący obok niej Majestatis powiedział otwarcie:

- Posłuchaj, stary, robimy wszyscy, co nam każesz, więc co będzie, jeśli oni

zaoferują ci coś, czego pragniesz, bylebyś tylko zadbał, żebyśmy byli grzeczni i walczyli razem z resztą tych zaprzęzonych? Wszyscy wiemy, że chcą powiesić twojego kapitana... co będzie, jeśli oferują ci pozostawienie go przy życiu?

Teraz Temeraire milczał przez jakiś czas, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- No cóż, w żadnym razie nie pozwolę im powiesić Laurence'a - odezwał się wreszcie, zerkając ukradkiem w bok, żeby się upewnić, iż nie został podsłuchany - ale rozumiem, o co ci chodzi: mogą mi zaoferować wielki pawilon i bardzo dużo złota. - Potarł czoło pazurem w zadumie. - To nie byłoby sprawiedliwe - zaczął znowu mówić po chwili - gdybym wziął tylko dla siebie coś, co powinno należeć do nas wszystkich. Może więc - dodał - dobrze będzie, jeśli jeden z was będzie mi towarzyszył, kiedy polecę porozmawiać znowu z generałami: jeden z małych, który będzie mógł się wszędzie wkręcić i powiadomić wszystkich o tym, co oni nam dadzą.

- Ja polecę z tobą - zgłosiła się Minnow. - Nigdy nie nosiłam uprzęży i nie zamierzam jej nosić, więc nikt nie będzie mógł mnie posądzić o to, że jestem skłonna traktować ich łagodnie. Poza tym chciałabym zobaczyć generała, nigdy żadnego jeszcze nie widziałam.

Temeraire wyciągnął szyję, żeby zapytać Laurence'a i admirała Roland, kto obecnie dowodzi armią i gdzie można go znaleźć; co wydało mu się dość prostym pytaniem.

- No więc nie jest - odpowiedziała mu admirał Roland. - Przypuszczam, że na razie wciąż dowodzi Dalrymple. Ale prawdopodobnie zostanie zastąpiony przez kogoś innego, gdy tylko dotrzemy do Szkocji, a rząd będzie miał szansę umieścić go w jakimś bezpiecznym miejscu, z dala od nas. Jeśli mają choć odrobinę rozsądku, dadzą na jego miejsce Wellesleya, ale nie możemy zbytnio na to liczyć.

- No to z kim mógłbym porozmawiać? - zapytał Temeraire. - Niezręcznie mi o tym mówić, ale inni nie są zbyt zadowoleni... Wszyscy ciężko pracowali, a mimo to przegraliśmy i nie zdobyliśmy żadnych skarbów. Chcieliby wiedzieć, po co mają dalej walczyć. Nie żebyśmy nie przestrzegali dyscypliny - dodał szybko, na wypadek gdyby Laurence albo admirał Roland pomyśleli, że jest kiepskim oficerem - ale w końcu oni nie są zaprzężeni i mają prawo się zastanawiać, dlaczego tak bardzo pomagamy w tej wojnie.

Laurence milczał przez chwilę, po czym odparł:

- Nie zaszkodzi porozmawiać z Wellesleyem; jeśli przegramy wojnę, nie będzie miało większego znaczenia, z kim się "mówiliśmy".

Admirał Roland skinęła głową i rzekła:

- Powiem ci jedno: teraz, kiedy już uratowaliśmy armaty, i tak zamierzałam wysłać część z was z powrotem, żebyście ochraniali piechotę, kiedy będzie wychodziła z Weedon. To zbyt blisko Londynu i Bonaparte ma o wiele za dużo smoków, jak na mój gust. Myślę, że już wiem, skąd je bierze - dodała. - Też wykorzystuje niezaprężone, które ściąga ze swoich własnych terenów rozplodowych: przypuszczam, że ta jego Niebiańska potrafiła je namówić do wyjścia z ich jaskiń, tak jak to z naszymi zrobił Temeraire.

- Sądzę, że nie musiała się nawet szczególnie wysilać - powiedział z uczuciem Temeraire - kiedy Napoleon robi wszystko tak dobrze i daje też swoim smokom pawilony i skarby: jestem pewny, że do niej nikt nie przychodzi ze skargami.

- No cóż - fuknęła admirał Roland - niezależnie od tego, czy ona ma z tym dużo czy też mało pracy, jestem przekonana, że to jest najlepsze wyjaśnienie tego, jak w jego ręce trafiło dodatkowe sto smoków i to w tak krótkim czasie; ze swoich wschodnich granic nie ściągnął ani jednego. A to oznacza, że może sobie pozwolić na wysłanie kilku tuzinów z zadaniem nękania naszych piechurów.

Laurence skinął głową, a i Temeraire zdał sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa: maszerująca do Szkocji piechota stanie się łatwym celem powietrznych ataków, a posuwając się w żółtym tempie dwudziestu mil na dzień, będzie w zasięgu stacjonujących w Londynie smoków jeszcze przez tydzień.

- Niezaprężone smoki trudniej jest wziąć abordażem, jeśli to w ogóle możliwe - mówiła dalej - więc gdyby Bonaparte zdołał zorganizować jakiś mały sprytny atak, dobrze byłoby zostawić pułk Temeraire'a w straży tylnej i dać mu szansę dogadania się w tej i wszystkich innych sprawach z Wellesleyem, zanim dojdzie do jakiegoś buntu jego podopiecznych. Ja niestety nie mam pra' wa do składania im żadnych obietnic i możecie być obaj pewni, że gdybym to mimo wszystko zrobiła, ich lordowskie moście nie dotrzymaliby ani jednej z nich. A jeśli uzyskasz jakąś zapłatę

dla swoich - dodała sucho - dopilnuj, proszę, żeby trafiła też do zaprzężonych. Jestem pewna, że Ekscidium też chciałby mieć swój własny mały skarb.

- Wydaje mi się, że takie latanie tam i z powrotem to jedno wielkie zawracanie głowy - mruknął zrzędlawie Armatius, kiedy Temeraire przyniósł im nowe wiadomości: nie podobało mu się, że musi wszędzie nosić Gentiusa, ale był najmniej zwrotny z ciężkich smoków, może z wyjątkiem Requiescata, więc to zadanie niemal zawsze spadało na jego barki.

- Przynajmniej nie będziecie musieli dźwigać dział w tamtą stronę - powiedział Temeraire - a podczas wolniejszego lotu będziemy mogli znaleźć więcej jedzenia. Poza tym lecimy też ustalić wysokość waszej płacy. To będzie jakby skarb, który będziecie dostawać co miesiąc, i to bez konieczności pracowania, nie możecie więc narzekać.

I żaden z jego smoków nie narzekał, w przeciwieństwie do zaprzężonych, które dzieliły z nimi polanę i które były bardzo niezadowolone, że nie mogą też polecieć i załatwić jakiejś płacy dla siebie.

- Ja w każdym razie wracam z wami - oświadczyła Iskierka i choć Granby próbował na wszelkie sposoby odwieść ją od tego zamiaru, była niewzruszona w swym postanowieniu; aż w końcu, ku głębokiemu oburzeniu Temeraire'a, admirał Roland powiedziała:

- Nie, Granby, nawet dobrze się składa. W Szkocji byłby z mą tylko kłopot; nudziłaby się i rozrabiała.

Jednak mimo tej komplikacji lot na południe był dość przyjemny, gdyż Temeraire mógł udawać przed sobą, że w ten sposób °dzyskują utracone terytorium albo przynajmniej nie przyjmują do wiadomości tego, iż już do niech nie należy. Nadal nie podobało mu się, że wycofują się aż do Szkocji, i to niezależnie od tego, iż z uwagi na bezpieczeństwo będą tam lepsze warunki do przegrupowania wojsk; a jeśli już rzeczywiście musieli to zrobić, nie powinni przynajmniej uciekać tam prosto z pola bitwy, z francuskimi smokami deptającymi im przez cały czas po piętach. Chociaż i to miało swoją dobrą stronę, gdyż mogło się zdarzyć, że będą mieli okazję do walki, jeśli Francuzi spróbują zaatakować maszerującą piechotę.

Z góry Weedon było widoczne z dużej odległości. W każdym narożniku murów magazynu, które zbudowano z grubych bloków szarego granitu, wznosiła się wysoko wąska wieża, najeżona działami pieprzowymi. Wokół murów ciągnęły się szeregi osadzonych w ziemi długich halabard i włóczni, zabezpieczające teren przed atakiem z powietrza, a między nimi biwakowały resztki oddziałów piechoty i kawalerii, które dotarły tu z pola bitwy pod Londynem. Z powodu tak rozbudowanych linii obronnych, które mogły być niebezpieczne także dla nich, Temeraire musiał ze swoimi smokami wylądować za obozem.

Wellesley przeszedł długą drogę, żeby z nimi porozmawiać, a że musiał ją pokonać pieszo, nie był w zbyt dobrym nastroju.

- Co wy tu, do diabła, robicie? Powinniście już być w Szkocji, a nie straszyć konie mojej kawalerii.

- Przylecieliśmy tu, żeby was chronić - odparł urażony Temeraire - a także po to, by porozmawiać o naszej płacy i prawach, skoro nie udało nam się zdobyć skarbów.

- A niech was, możecie poczekać i przekazać tę sprawę prawnikom, kiedy już wypędzimy Francuzów - rzucił gniewnie Wellesley. - Dobry Boże, możecie być pewni, że Bonaparte nie musi się wyklócać ze swoimi smokami przed każdą bitwą-

- Jeśli chcesz, żeby cię z nim porównywano - rzekł na to

Temeraire - to musisz wiedzieć, że Bonaparte przygotował w Paryżu wielkie targowisko dla swoich smoków, i wybudował im pawilony, i nie trzyma ich na terenach rozplodowych, jeśli nie chcą tam być...

Laurence oparł rękę na łapie Temeraire'a, który zrozumiał, że się zapędził, i przerwał. Ciągle zapominał, że powinien okazywać szacunek wyższym oficerom, nawet kiedy byli niemili, i w rozmowach z nimi starannie dobierać słowa, zamiast mówić otwarcie, choćby sprawa była dla wszystkich oczywista.

- Sir, otrzymaliśmy rozkaz osłaniania waszego odwrotu - powiedział Laurence i wręczył Wellesleyowi list od admirała Roland; krótką notatkę napisaną przez nią własnoręcznie, której Temeraire, zaglądający generałowi z góry przez ramię, nie zdołał do końca odczytać.

Zagniewany Wellesley przeczytał jej wyjaśnienia, po czym zgniótł kartkę i rzucił ją

w błoto; jeden z jego adiutantów pospiesznie ją z niego wydobył, żeby nikt inny jej tam nie znalazł.

- Na tej kobiecie można bardziej polegać niż na połowie sztabu generalnego; to cholernie żenujące. A zatem to chińskie stworzenie rządzi smokami Bonapartego? Jak to się w ogóle stało, że ona go słucha? Nie było go przecież przy niej, kiedy się wykluwała.

- Jest snobką, więc pewnie spodobało jej się, że on jest cesarzem - odpowiedział mu Temeraire - i że dzięki jego pomocy łatwiej będzie mogła mi szkodzić: ona jest bardzo nie miłym smokiem.

- Myślę, że twoja niechęć do niej jest zbyt duża, byś mógł być sprawiedliwy w swojej ocenie - wtrącił Laurence i oznajmił Wellesleyowi: - Sir, ta smoczyca na krótko przed przybyciem do Francji straciła swojego towarzysza. Może czuła się osamotniona i była bardziej wrażliwa na okazywaną jej dobroć. Jednak Bonaparte nie zdobył jej przywiązania żadnym podstępem, lecz prawdziwym uczuciem, i wszystko wskazuje na to, że oboje darzą się wielkim szacunkiem. Ważne jest też to, że pod jej wpływem poprawił warunki bytowania wszystkich swoich smoków.

- A zatem każdy może kierować smokiem, jeśli go przekupi i będzie rozpieszcza! jak kobietę - powiedział Wellesley.

Temeraire położył krezę na karku. Wcale nie uważał, że był niesprawiedliwy w stosunku do Lien; ale rozumiał, że wyjaśnienie Laurence'a było oczywiście lepsze dla ich sprawy i że nawet Lien nie pomagała Napoleonowi tylko dlatego, iż dał jej kilka prezentów. Nie żeby Temeraire odmówił przyjęcia brylantu tak pięknego, jak ten, który ona nosiła podczas bitwy pod Jeną; ale otrzymała go p o podjęciu decyzji, że będzie pomagać cesarzowi Francuzów.

- To nie jest żadne przekupstwo ani rozpieszczanie, jeśli płacisz komuś wynagrodzenie, na które zasłużył - rzucił.

- Wyżywienie smoka twoich rozmiarów kosztuje dobre dwa tysiące funtów rocznie - odparł Wellesley. - Czy oczekujesz czegoś więcej?

- No to dajcie mi dwa tysiące funtów na rok - powiedział Temeraire - a ja utrzymam się za część tej sumy, a resztę sobie odłożę lub wydam na to, co mi się spodoba.

- Ha - sapnął gniewnie Wellesley - a jak już wszystko przepuścisz i zaczniesz z głodu kraść krowy, to co będziemy mieli z tobą zrobić?

- Oczywiście, że nie przepuszczę mojego skarbu - odparł Temeraire. - I nie będę chciał zabrać skarbu komuś innemu, bo musiałbym o niego walczyć i nawet gdybym wygrał, to ten ktoś chciałby się znowu bić, żeby go odzyskać.

- I myślisz, że wszystkie smoki mają tyle rozumu? - zapytał Wellesley.

- Jeśli pan woli, sir - wtrącił Laurence - może pan część pieniędzy przeznaczyć na ich utrzymanie, a to, co zostanie, dać im jako zarobek; forma nie ma znaczenia.

Podstawowym pytaniem jest to, czy zgadza się pan, generale, że smoki mają prawo do wynagrodzenia i wszystkich innych praw przysługujących żołnierzom.

- Dlaczego, do diabła, mnie o to pytasz? - rzekł Wellesley. - Idź pogadać z Dalrymple'em, jeśli chcesz. Nie mam prawa do podejmowania takich zobowiązań w imieniu rządu.

- Sir, jest bardzo prawdopodobne, że zostanie pan mianowany głównodowodzącym

- powiedział na to Laurence. - Obaj wiemy, że ich lordowskie moście raczej nie unieważnią zobowiązań, których podjęcie uznał pan za konieczne dla wywalczenia zwycięstwa o tak decydującym znaczeniu, ani nawet nie będą ich zbytnio kwestionować, jeśli te zobowiązania przyczynią się do wzmocnienia naszych sił o duży oddział smoków, które w innym razie nie zechciałyby zostać z nami i walczyć.

Wellesley przez chwilę nic nie mówił, tylko patrzył na Laurence[^].

- Mogę ci dać moje słowo, że zostanie to rozpatrzone - zaproponował w końcu - i mogę obiecać twojemu smokowi, który jest taki pewny, iż można mu zaufać, dwa tysiące funtów rocznie. I nie będziemy więcej słyszeć o twoich własnych... kłopotach.

- Ha - odezwała się Minnow, wysuwając głowę nad ramieniem Temeraire'a. - Tak jak się spodziewaliśmy: złożyli ofertę, ale tylko tobie i twojemu kapitanowi.

Zaskoczony Wellesley cofnął się o krok: najwyraźniej nie zauważył przedtem Minnow, która siedziała spokojnie na grzbiecie Temeraire'a i przysłuchiwała się ich rozmowie.

- Tak, ale ja jej nie przyjmę - odpowiedział Temeraire i zniżył głowę tak bardzo, że

Wellesley musiał patrzeć mu prosto w oczy. - Nie mam ochoty czekać i liczyć na hojność rządu: doskonale wiem, jak hojne są ich lordowskie moście. Jeśli chcesz naszej pomocy teraz, to również teraz powiedz, ile jest ona dla ciebie warta. I jeśli nie będzie to tyle, ile moim zdaniem powinno być, powiem o tym innym i oni pewnie odlecą. Ja zostanę ze względu na Laurence'a, ale nie będę tu zatrzymywał innych dla swojej korzyści. I nie jest to zbyt piękne z twojej strony składać mi tak obraźliwą propozycję - dodał z wyrzutem, unosząc z powrotem głowę - kiedy wiesz, że nie mogę z tobą walczyć, bo jesteś taki mały.

- Wiesz, jesteście najbardziej osobliwą parą zdrajców, o których w życiu słyszałem - powiedział Wellesley do Laurence'a. - Czy chcesz się dostać do Księgi męczenników Foxe'a?

Temeraire gniewnie parsknął: Laurence czytał mu fragmenty tej książki, traktującej o ludziach, którzy umarli w szczególnie nieprzyjemny sposób. Jednak Laurence tylko powiedział:

- Sir, istnieją już liczne dowody na to, że każdy naród, który daje swoim smokom wolność i możliwość uczestnictwa w życiu państwowym, który bezpośrednio zyskuje ich lojalność, odnosi z tego tak wielką korzyść, iż żaden nieprzyjaciel, nie podążający tą samą drogą, nie jest w stanie wystawić powietrznych sit tak dużych, by stanowiły dla niego jakiegokolwiek zagrożenie. Jeśli nie chcecie się uczyć z przykładu Chin...

Jeden z młodych oficerów ze sztabu Wellesleya, który przyszedł razem z nim, prychnął niegrzecznie.

- Nie pryčaj, jeśli nie wiesz, o czym mowa - odezwał się Temeraire. - W Chinach może nie ma tak wielu dział jak tutaj, ale w ich armii są tysiące smoków.

- Tysiące, też mi coś - powiedział sceptycznie Wellesley.

- Sześć tysięcy dwieście osiemdziesiąt osiem, jak powiedziała mi matka - odparł Temeraire. Przez chwilę nikt się nie odzywał i dlatego pomyślał, iż mogło im się wydać dziwne, że był tak dokładny, więc wyjaśnił: - Dlatego że to jest szczęśliwa liczba - mają oczywiście dużo więcej smoków, które potrafią walczyć, ale one nie są oficjalnie w armii.

_ I nawet jeśli - zwrócił się do Wellesleya Laurence - populacja Francji nie jest tak

wielka jak Chin, to jeśli uda im się osiągnąć ten sam stosunek liczby smoków do liczby ludności i powierzchni gruntów ornych i zaczną stosować te same metody hodowlane, z którymi Lien na pewno ich zapoznała, już wkrótce ich kraj będzie mógł wysłać w pole siły powietrzne składające się z tysiąca tych stworzeń. Czy miałby pan ochotę, generale, stawić im czoło za pięć lat, mając do dyspozycji Korpus, którego liczebność będzie przez cały czas rosła w obecnym tempie?

- Niech cię diabli, nie mam nastroju do wysłuchiwanie takich wykładów, jakbym siedział w sali posiedzeń w White-hall - warknął Wellesley. - No dobrze. Twoje smoki będą miały utrzymanie i ponadto takie same zarobki jak każdy człowiek służący w marynarce...

- Szyling dziennie wystarczy na utrzymanie żony i dzieci marynarza i pozwoli mu trochę pohulać na brzegu, kiedy okręt wpłynie do portu, ale na niewiele się zda smokowi - przerwał mu Laurence.

- I nie chcemy też drobnych monet, które ciągle musielibyśmy liczyć i których nie moglibyśmy nawet wziąć do łapy - dorzuciła swoje Minnow. - To byłby niezły bałagan.

Temeraire skinął głową.

- Słusznie, no i tak naprawdę chcemy mieć prawo przebywania, gdzie nam się będzie podobało. To także im obiecałem: jeśli będziemy mogli latać, dokąd zechcemy, i wykonywać każdą pracę, jaką nam się zaoferuje, to nawet gdyby rząd dał nam niesprawiedliwie niskie płace, zarobimy więcej, pracując dla kogoś innego. To samo dotyczy smoków zaprzężonych - dodał.

- Każdą pracę, jaką wam się zaoferuje? - powiedział Wellesley. - Ależ tak, jak najbardziej. Co do tego zaś, żebyście mogli •atać, dokąd...

On i Laurence spierali się jeszcze przez długi czas, starając się nie podnosić głosów, na temat sum i kryjówek, i tego, o ile więcej od kurierskich powinny otrzymywać ciężkie smoki i innych tym podobnych spraw. Temeraire przysłuchiwał się temu z uwagą, ale nie znał tych wszystkich miejsc, w których zdaniem Laurence'a powinny być kryjówki, no i nie miał większego pojęcia o pieniądzach. Wiedział, że jego wisior kosztował blisko dziesięć tysięcy funtów, ale szylingi i pensy były dla niego czymś

nowym. W końcu przerwał im zdyszany smok kurierski, który przyleciał z głównego obozu z wiadomością, że ostatni maruderzy z pola bitwy zostali już przegrupowani i są gotowi do marszu na północ.

- Nie mam już na to więcej czasu - powiedział Welle- sley. - Dwadzieścia kryjówek wzdłuż drogi do Bath i drogi do Edynburga, w których będą mogły spać i dostać jedzenie. Co do pawilonów, mogą sobie te cholerstwa same wybudować z własnych zarobków i urządzić się w nich jak admirałowie, jeśli zechcą. A teraz, po tym wszystkim, lepiej by było, żeby więcej nie podskakiwały i wykonywały rozkazy.

- Sir - odparł Laurence i złożył ukłon: plecami Welleseya, gdyż generał już się odwrócił i ruszył z powrotem do obozu.

Laurence niemal natychmiast znalazł się w środku wielkiego kręgu utworzonego przez wielce zainteresowane smoki, które przepychały się, żeby go usłyszeć, kiedy tylko zaczął tłumaczyć Temeraire'owi i Minnow tajniki systemu monetarnego.

- A więc za dziesięć funtów można kupić krowę? - zapytała z przejęciem Minnow. - A funt i szyling to kawałki złota?

- Jeśli dwadzieścia szylingów to funt, a mamy dostawać dwadzieścia cztery szylingi na dzień - mówił w zadumie Temeraire - to znaczy, że każdy ciężki smok będzie miał blisko czterysta funtów rocznie - dokończył, wykonawszy w głowie obliczenia, które wywołały pomruki zadowolenia wśród zebranych smoków.

- Ale gdzie to jest? - domagała się wyjaśnień Iskierka. - Nie wróciłam tutaj tylko po to, żeby słuchać liczb; co to za skarb?

- To pewny skarb - warknął Temeraire, zirytowany jej gadaniem. - Nie wszyscy z nas lubią wszczynać awantury i zatruwać innym życie jak ty, żeby tylko zagarnąć dla siebie więcej i więcej: to jest suma, którą każdego dnia będą dostawać ci, którzy wykonują swoje obowiązki, jak prawdziwi żołnierze, i to jest sprawiedliwe.

Pozostałe smoki były na ogół tego samego zdania, nawet jeśli Iskierka nie przestała się dąsać, i zgodziły się, że są zadowolone z warunków umowy. Tylko Laurence miał do siebie ogromne pretensje, że zmusił generała do takich negocjacji i to w czasie, gdy Bonaparte wmaszerował właśnie do Londynu, a francuskie smoki deptały im po piętach; bardziej mu to zakrawało na zdradę niż którykolwiek z uczynków, za które

został osądzony.

- Musimy teraz dopilnować, żeby was nakarmili - powiedział, bardziej z potrzeby położenia kresu wrzawie podniesionej przez tryumfujące smoki.

Rano, kiedy smoki zjadły śniadanie i wzbiły się w powietrze, pierwsze pułki były już w drodze, ale maszerowały tak wolno, że około pory obiadowej Requiescat mógł powiedzieć:

- To się nazywa przyjemny lot, żadnego poganiania, żadnego pośpiechu.

Temeraire tylko westchnął, po czym zasugerował Lauren- ce'owi:

- Moglibyśmy do nich podlecieć i zaproponować, że ich przeniesiemy, choćby kawałek drogi; tylu, ilu zdoła się wdrapać na nasze grzbiety. Jestem pewny, że mogliby się poruszać szybciej.

- Nie bez rozkazów - odparł Laurence; łatwo mógł sobie wyobrazić reakcję Wellesleya albo Dalrymple'a, gdyby po tych wszystkich trudnościach związanych z uformowaniem żołnierzy z powrotem w pułki, nad szeregi nadleciały nagle smoki, wywołując paniczną ucieczkę części ludzi i koni.

- To jest takie nudne: moglibyśmy ze trzy razy dolecieć do miejsca dzisiejszego postoju i wrócić, zanim oni tam dotrą - narzekał dalej Temeraire - a niektórzy z nas nawet więcej razy. A gdyby tak Requiescat i kilku innych zostało tu, dotrzymując im tempa, a my skoczylibyśmy do przodu... Albo może - dodał, unosząc z entuzjazmem krezę - wrócilibyśmy, żeby zobaczyć, czy nie dałoby się odpłacić trochę Napoleonowi za wszystko, co zrobił. - Zerknął do tyłu ponad barkiem, żeby sprawdzić, z jakim przyjęciem spotkały się jego słowa.

- Nie wolno ci nawet proponować czegoś takiego, nigdy więcej - odparł Laurence. - Przyjąłeś nominację oficerską; masz obowiązek dbać o dyscyplinę, a nie ją osłabiać...

- Słyszając, jak sam siebie potępia, Laurence nagle umilkł; nie wiedział już, jak mówić Temeraire'owi o obowiązku i nie być jednocześnie hipokrytą.

- Pewnie tak - powiedział z żalem Temeraire. - Nie zawsze jest przyjemnie być oficerem. Jestem pewny, że Iskierka będzie narzekać przez całą noc i mówić jeszcze bardziej uszczypliwe rzeczy o naszym powolnym marszu, o uciekaniu i o tym, że nie zdobyliśmy skarbu. - Prychnął, rozejrzał się, a potem zapytał niepewnie: - Gdzie jest

Iskierka?

Przez cały ranek leciała nadąsana na końcu, zabawiając się od czasu do czasu nagłymi skokami w ciężkie chmury, które płynęły tuż nad nimi, rozjaśniając je złotymi i szkarłatnymi błyskami swych płomieni. Jednak Laurence nie pamiętał, żeby robiła to w ciągu ostatnich dwóch godzin. Arkadego i części jego dzikich smoków też nie było nigdzie widać, a Tłuczka, kiedy ją o to zapytano, spuściła głowę z wyraźnie nieczystym sumieniem, chociaż udawała zaskoczenie i zmieszanie.

Temeraire także to zauważył.

- Ale jak mam ją zmusić, żeby mi powiedziała, gdzie polecieci?-zapytał Laurence'a i odepchnął jednocześnie jej wyciągniętą łapę od beczącej owcy. Sprowadził ich wszystkich na rozległą łąkę, gdzie zaczął przesłuchiwać resztę dzikich kompanów Arkadego, podczas gdy pozostałe smoki zaganiały ku nim stado pechowego właściciela, żeby ustalając, co Iskierka i inni zrobili, mogli się jednocześnie posilić. - Nie, nie możesz jeść, dopóki mi o wszystkim nie powiesz; mamy przez nich wielkie kłopoty.

- Kiepska sprawa - wymamrotał Requiescat, żując owcę. - Chociaż i tak bez trudu prześcigniemy żołnierzy, a nikt nie ma nic przeciwko małej przekąsce.

- Może być ci mniej przyjemnie, kiedy będziemy musieli lecieć trzydzieści mil z powrotem, żeby złapać Iskierkę, a potem znowu czterdzieści mil do miejsca postoju armii - powiedział posepnie Laurence; i to byłby jeszcze najlepszy koniec całej sprawy, na który mogli liczyć.

- Hm - mruknął Requiescat, oblizując w zadumie pysk - to prawda, ale nie rozumiem, dlaczego w ogóle mamy jej szukać. Ona i jej kumple dobrze wiedzą, gdzie jest miejsce postoju, a gdyby się zgubili jak małe smoczątka, mają ze sobą ludzi z ich kompasami. Możemy lecieć dalej i czekać, aż nas dogonią.

- Musieli wiedzieć, że po tak długim czasie zauważymy ich zniknięcie - odparł Temeraire - więc przepuszczam, iż wdali się w jakąś walkę i pewnie gdzieś teraz umierają, nafaszerowa- ni francuskimi kulami. - Nie wydawało się, że będzie bardzo cierpiał, gdyby okazało się to prawdą.

Tłuczka wzdygnęła się, kiedy przetłumaczył jej te słowa, a'e nadal nie chciała

mówić.

- Temeraire - powiedział cicho Laurence - to nie tylko głupie z jej strony; ona także podważa twój autorytet.

~ Och - sapnął oburzony Temeraire i powtórzywszy Tłuczce słowa Laurence'a, dodał: - A więc powiesz mi teraz albo... - a kiedy nadal milczała, wciągnął powietrze do płuc i ryknął ponad jej głową.

Wszyscy podskoczyli, a Tłuczka rozpląszczyła się na ziemi i krzyknęła:

- Payom zhe reng!

Z drzew stojących na drodze boskiego wiatru spadł grad żołądź i sporo martwych ptaków. Gong Su natychmiast zaczął je zbierać, podczas gdy skruszona Tłuczka wyznawała wszystko, o czym wiedziała: uciekinierzy polecili w stronę Londynu z zamiarem zaskoczenia armii Napoleona i zdobycia albo skarbu, albo czegoś innego, co pozwoli im się wyróżnić. Nie mieli żadnego sprecyzowanego celu; polecili szukać okazji do walki albo jakiegokolwiek praktycznej zdobyczy.

- Powinniśmy ich zostawić i lecieć dalej - powiedział Temeraire, sapiąc ze złości - tak jak mówi Requiescat, tylko że jeśli ona wróci z dwoma orłami, nie da się już z nią żyć.

Laurence nie chciał niczego wykrakać, ale pomyślał, że jeśli Iskierka tak zlekceważyła Granby'ego, iż nie zdołał zapobiec jej dezercji, to jest mało prawdopodobne, by dało się nią w ogóle kierować, a wcześniejsze przewidywania Temeraire'a tym bardziej się sprawdzą.

Jednak Temeraire rozpromienił się po chwili i dodał:

- W każdym razie nie sądzę, żeby ktokolwiek miał nam za złe, jeśli ruszymy za nią, by ją ściągnąć z powrotem, prawda, Laurence? W końcu jest bardzo ważna; a przynajmniej wszyscy tak mówią.

Drogi, nad którymi czujnie i szybko lecieli w stronę Londynu, były puste. Chmury kurzu wzniesione nogami brytyjskich żołnierzy już opadły i nie było widać francuskiego pościgu- W zasadzie nie było widać nikogo z wyjątkiem rolników zajmujących się swoimi gospodarstwami: bydło i uprawy nie dbały o Napoleona oraz politykę i niezmiennie wymagały tej samej uwagi- Ale nawet ci nieliczni ludzie nie

unosili spuszczonej głów i starali się wykonać swoją pracę tak szybko, jak to tylko było możliwe; późnym popołudniem cała okolica była niemal zupełnie opustoszała i tylko słońce czekało niecierpliwie, aż będzie mogło udać się na spoczynek.

- Powinniśmy ją dostrzec z odległości wielu mil, jeśli będzie się popisować, jak to zawsze robi - powiedział w pewnej chwili z nutką złośliwości w głosie Temeraire, a potem nastroszył nagle krezę: z chmur w oddali wyłonił się mały punkcik, który zaczął się zbliżać i zmienił się wkrótce w sylwetkę smoka.

To była Gherni, mocno poobijana i zdyszana po szybkim locie, z pyskiem zalanym krwią, którą bezskutecznie usiłowała zetrzeć co jakiś czas barkiem, rozsmarowując ją tylko w cegła- stoczerwoną plamę, pokrywającą jej niebieską skórę. Był z nią Tharkay, który przeskoczył w locie na grzbiet Temeraire'a, niczym żołnierz dokonujący abordażu, tyle że uwiązany na długim, podwójnym rzemieniu z grubej skóry. Odczepił go od pasa, gdy tylko wylądował, i przypiął się do uprząży Temeraire'a; Gherni chwyciła dyndający koniec rzemienia, który pobrzękiwał głośno małymi dzwoneczkami, i owinęła go sobie kilka razy dokoła przedniej łapy.

- Co to jest? - zapytał z zainteresowaniem Temeraire, wyginając do tyłu szyję, żeby zobaczyć, co jest źródłem tego dźwięku.

- Kazałem to zrobić w Stambule, podczas mojej ostatniej podróży - odparł Tharkay, a do Laurence'a powiedział: - Pojmali Iskierkę.

Poprowadził ich do Arkadego i pozostałych dezertów, kulących się i liżących rany u stóp wysokiego wzgórza, które zasłaniało ich od drogi i rzucając długi, popołudniowy cień, chroniło do pewnego stopnia przed dostrzeżeniem z góry. Kiedy Temeraire tam wylądował, dziki smok z czerwonymi łatami na ciele zerwał się na nogi i rozłożył skrzydła, przyjmując pozycję obronną.

- Dosyć tego, nie będziesz mi tu podskakiwał - warknął do niego Temeraire. - Doskonale wiedzieliście, że zachowujecie się jak... - tu przerwał, szukając odpowiednich słów - jak ostatnie chmyzy, bo inaczej nie wymknęlibyście się ukradkiem, i jeśli dostaliście baty, jak na to zasłużyliście, to niczyja wina, tylko wasza własna. Powinniście żałować i obiecywać, że więcej tego nie zrobicie, a nie syczeć na mnie.

- Odłączyły się od reszty tuż przed południem - powiedział Tharkay Laurence'owi, kiedy przykucnęli i oczyścili kawałek ziemi, na którym zaczął szkicować przebieg wydarzeń. - Było to niezłe pomyslane: przez cały poranek co chwilę wlatywały w chmury i głośno jazgotały, tak że kiedy zorientowaliśmy się, że zawróciły, byliście już daleko poza zasięgiem słuchu. Strzelcy Granby'ego wystrzelili kilka flar, ale to była beznadziejna próba. Od tego momentu szczęście przestało nam sprzyjać. Przez dwie godziny lotu w stronę Londynu nie trafiła się nam żadna okazja do walki, więc byliśmy już wręcz pod nosem Bo- napartego, kiedy napotkaliśmy w końcu nieprzyjaciela. Była to przednia straż Davouta, gromadząca bydło: dwa Grand Chevalier i jeszcze z pół tuzina innych ciężkich smoków. Oczywiście wszystkie one rzuciły się prosto na nią; myślę, że na jej grzbiet przeskoczyło z sześćdziesięciu ludzi naraz. Arkady natychmiast potem odzyskał słuch, którego utratę przedtem świetnie przede mną symulował, i udało nam się wymknąć; ale Francuzi zdążyli już przenieść związanego jak kurczaka Granby'ego na jednego z Chevalierów i uchodzili tak szybko, jak tylko mogli, a Iskierka pędziła za nimi.

- Wiedziałem, że nigdy nie powinienem jej pozwolić na to, żeby miała Granby'ego - rzucił gniewnie Temeraire. - A teraz go utraciła i to nawet nie w prawdziwej bitwie. Powinniśmy go odbić, a ją zostawić Francuzom; nikt nie będzie po niej płakał.

Laurence i Tharkay spojrzeli po sobie: w żadnym wypadku nie mogli tak łatwo oddać Francuzom jedyne brytyjskiego smoka zionącego ogniem, bez względu na to, jak był krnąbrny.

_ Czy widziałeś, dokąd polecieli? - zapytał cicho Laurence.

_ Prosto do Londynu - odparł Tharkay.

Rozdział 10

estem teraz oficerem - powiedział Temeraire - więc nie rozumiem, dlaczego muszę tu czekać.

- Choćbyś był generałem, nie staniesz się przez to mniejszy - odparł Laurence. - Dwudziestotonowy smok nigdzie się nie wkradnie niepostrzeżenie, a właśnie na tym opiera się nasza jedyna nadzieja na uwolnienie Granby'ego.

- A co się stanie, jeśli wpadniesz w ich ręce? - zapytał Temeraire. - Wtedy będę tak

samo bezsilny jak Iskierka; chronienie ciebie jest moim obowiązkiem.

Stoczyli już jednak tę samą walkę w przeszłości, w Stambule, i jego protesty były raczej wyrazem niezadowolenia z tego, że znowu znalazł się w przymusowej sytuacji, niż nowym i zdecydowanym sprzeciwem.

- Nie mam czasu na kłótnie; wolność Granby'ego, a może nawet i jego życie, zależy od tego, czy szybko przystąpimy do działania - powiedział łagodnie Laurence, a Temeraire opadł na brzuch, z krezą przyklejoną do karku, i zaczął niespokojnie drzeć pazurami zbitą trawę łąki, wyrzucając wraz z nią w górę grudy wyoranej ziemi.

Laurence cieszył się w duchu, choć z lekkim poczuciem winy że przyzwyczał smoka do prowadzenia rozmów, gdyż poztf* lało mu to oszukiwać go w pewnych sytuacjach: wiedział,lt w normalnych okolicznościach nigdy by nie wziął udziału w tak niebezpiecznej akcji, niezależnie do tego, jak bardzo by chciał to zrobić. Gdyby został schwytany przez Francuzów, Temeraire też stałby się ich więźniem, a w ich już tragicznym położeniu nie można było podjąć takiego ryzyka, w każdym razie nie w sytuacji, gdy szansa uwolnienia Granby'ego i Iskierki była tak nikła.

Jednak okoliczności nie były normalne. Według prawa Lau- rence był już martwy. Życie nie miało zatem dla niego zbyt wysokiej wartości i jeśli tylko podczas akcji zostałby zabity, zamiast dostać się do niewoli, co, jak miał nadzieję, można było jakoś załatwić, Temeraire nie byłby stracony dla Brytanii: zawarł umowę z Wellesleyem i był z nią teraz związany bezpośrednio, a nie tylko poprzez Laurence'a.

A poza tym nikt inny nie mógłby tam pójść. Spośród zbieraniny dzikich smoków, które zawsze towarzyszyły Iskierce, tylko ona miała normalną załogę, i wszyscy oni dostali się do niewoli razem z nią: porucznicy, skrzydłowi, a nawet cała załoga naziemna. Pozostała tylko garstka ludzi Laurence'a, a ze starszych oficerów Dunne i Wickley, byli skrzydłowi Temeraire'a, którzy nauczyli się podstaw smoczego języka i służyli jako tłumacze. Inni oficerowie, których przydzielono do dzikich smoków także głównie z uwagi na ich zdolności lingwistyczne, a nie inne przymioty, byli w większości młodzi, bardzo młodzi; bliżej mieli do czternastu lat niż dwudziestu i nie

można ich było wysłać na wyprawę, której szanse powodzenia były tak niewielkie.

Tharkay pokręcił z powątpiewaniem głową, patrząc na nich, i powiedział do Laurence'a:

- Lepiej będzie, jeśli pójdziemy sami.

Tharkay przyjął stopień oficerski w Korpusie, przynajmniej na jakiś czas; ale to zadanie wykraczało poza wyznaczony mu Zakres obowiązków.

Nie musisz... - zaczął Laurence.

- Nie, nie muszę - zgodził się uprzejmie Tharkay, unosząc jedną brew, a Laurence uklonił się i na tym zakończył.

Zanim ruszyli w drogę, Laurence wymienił swój ciemnozielony płaszcz na należącą do Blythe'a skórzaną bluzę z kieszeniami tak dużymi, że można w nich było ukryć wiele rzeczy: dwa pistolety, dobry nóż i jeden z młotków zbrojmistrza. Tharkay dał mu garść błota do przybrudzenia twarzy, a sam wtarł sobie jeszcze więcej w dłonie i pod paznokcie.

Dunne obserwował z dala ich przygotowania, ukradkiem i z wahaniem, zerkając od czasu do czasu na innych oficerów, ale nie powiedział ani słowa. To nie było tchórzostwo. W przeszłości wielokrotnie dowiódł już swojej odwagi i Laurence teraz w nią nie wątpił. Niechęć Dunne'a miała inne źródło: najwyraźniej nie chciał znowu służyć ze skazanym zdrajcą. Wprawdzie współpraca z nim w zaistniałej sytuacji nie powinna zaszkodzić jego karierze, mogły jednak pozostać na niej jakieś plamy, gdyby on został, a Laurence nie wrócił z akcji ratunkowej, zastanawiał się więc, czy zgłosić sprzeciw.

Laurence pochylił głowę, ładując pistolety, i nie obserwował dłużej rozterek Dunne'a; dezaprobata innych już mu tak nie ciążyła. Czuł się tak, jakby właśnie wyprowadził okręt z głębokiego przechyłu i płynął kursem niebezpiecznym, ale na przestrzeni kilku najbliższych mil wolnym od przeszkód, nawet jeśli na zawietrznej był brzeg, a przed dziobem nieprzenikniona ciemność. Mógł się rozbić na skałach, gdyby wiatr zwrócił się przeciwko niemu, ale przynajmniej chwilowo wiedział, co należy robić, i miał zupełną swobodę ruchów.

Byli gotowi w mniej niż dziesięć minut i wyruszyliby natychmiast, ale Gong Su na

prowizorycznej tacy z kory przynióś' im dwa krótkie rożny z małymi sercami i wątrobami. Laurence przyjrzał się im z konsternacją.

- Trochę boskiego wiatru w środku - powiedział Gong i wyjaśnił, że podroby pochodziły z ptaków, które Temeraire zabił przez nieuwagę. - To przynosi szczęście - dodał.

Laurence nie był przesądny, ale zjadł; nie mogli sobie pozwolić na odrzucenie czegokolwiek, co mogło przynieść im jakąś korzyść. Tharkay także zjadł swoją porcję, po czym naciągnął na twarz kaptur peleryny i ruszyli w drogę.

- Oczywiście mogli już wysłać Granby'ego do Francji - odezwał się do niego po chińsku Tharkay, kiedy usiedli na tyle wozu poganiacza bydła.

- Mam nadzieję, że nie zaryzykowali - odparł Laurence, szukając odpowiednich słów w tym trudnym języku, którym mówił tak źle, że niemal nie dało się go zrozumieć, pomimo wielu desperackich wysiłków podejmowanych przez Temeraire'a, żeby poprawić jego wymowę. Ale przynajmniej zapewniało im to prywatność niemal niemożliwą do przełamania, nawet przez nienasyconą ciekawość hodowcy bydła, który za kilka szylingów zgodził się zabrać ich na targowisko, gdzie miał nadzieję sprzedać swoje krowy, zanim zostaną skonfiskowane.

Tharkay przytaknął. Jeśli Napoleon był dostatecznie pewny swojej władzy nad Londynem, a przynajmniej pewny na tyle, żeby założyć w mieście więzienie, mógł wybrać bezpieczniejsze rozwiązanie i zamknąć w nim swego wartościowego więźnia, zamiast ryzykować, że Granby poniesie śmierć w jakiejś przypadkowej utarczce podczas przekraczania kanału, a oszalały z rozpaczyny Kazilik rzuci się z furją na jego wojska. Mieli zatem nadzieję, że przez pewien czas, zanim decyzja zostanie podjęta, Granby będzie trzymany gdzieś w pobliżu. Musieli na to liczyć: w przeciwnym razie nie mieli żadnej szansy.

Ostatnie dwie mile dzielące ich od miasta pokonali w irytująco powolnym tempie, zwłaszcza że rano w krótszym czasie Przelecieli pięćdziesiąt. Peryferie Londynu już wyglądały jak francuska prowincja. Dziesiątki tysięcy żołnierzy rozbijały obozy, pokrzykując do siebie i do smoków, które pomagały im kopać rowy, usuwać głązy, a nawet poszerzać drogi, a miejscowi skiepikarze, bardziej przedsiębiorczy niż

patriotyczni, biegali między namiotami, zachwalając głośno swoje towary, czasem drewno, ale najczęściej najróżniejsze trunki. Zewsząd dobiegały okrzyki „une frank, monser” lub „s'il voo plait”, w kiepskiej, źle akcentowanej francuszczyźnie, ale niektórzy ze sprzedawców robili już wyraźne postępy językowe.

- Nie obawia się dokonywać trwałych zmian - powiedział Tharkay, wskazując głową wznoszone już budynki.

Smoki układały na ziemi wielkie gązdy, z których po zalaniu zaprawą i wzmocnieniu na rogach wbitymi głęboko palami powstawały kamienne platformy. Budowle te nie miały ścian, ale gdy zbliżyli się do miasta, zobaczyli jedną już ukończoną i używaną: po trzech stronach spały smoki, a między nimi żołnierze. Prosty pomysł, pomyślał Laurence, dzięki któremu będzie im ciepło nawet podczas zbliżającej się zimy; dużo cieplej niż ich brytyjskim przeciwnikom. Wszystkie te roboty nosiły znamiona długiej okupacji; Napoleon najwyraźniej nie planował żadnej natychmiastowej kampanii, ale raczej zamierzał umocnić się na swych pozycjach i pozwolić, żeby czas i zmęczenie stępiły wrażliwość ludzi, zmieniając coś, co obecnie wydawało im się nie do zniesienia, w zwykłą codzienność.

Muczące krowy wlokły się za wozem, poganiane przez synów rolnika. Dzięki swym szylingom, jak również wystawionej na wielką próbę cierpliwości, kupili sobie przynajmniej łatwe wejście do miasta: francuski sierżant pełniący służbę na drodze Aldersgate rozpromienił się na widok stada i przepuścił ich, zadawszy chłopu tylko jedno lub dwa zdawkowe pytania. Laurence i Tharkay pozostali na wozie jeszcze trochę dłużej, do chwili gdy skręcił za rogiem, zmierzając w stronę Smithfield i targowisk³ a stado oraz chłopczy znikli na moment z pola widzenia. Tharkay dotknął wtedy łokcia Laurence'a i obaj szybko, bez uprzedzenia, zsunęli się z tyłu wozu i skryli w wąskiej uliczce.

Ich celem były okolice więzienia Newgate. Za kilka monet wydanych w pubie Laurence usłyszał masę plotek i pogłosek, przeważnie bez wartości lub związku z interesującą go sprawą. Wyjątkiem była informacja, że Bonaparte przebywa w pałacu Kensington, a „ta jego nienaturalnie biała bestia leży w Hyde Park niczym jakiś przerośnięty węgorz, z tymi wstrętnymi czerwonymi oczami”.

Tharkay miał więcej szczęścia, jeśli można to tak nazwać: jakichś więźniów rzeczywiście trzymano w więzieniu, ale tego dnia nikogo tam nie przywieziono. W każdym razie nikt czegoś takiego nie widział, natomiast o pojawieniu się Iskierki ludzie mówili nawet bez pytania. Widziano ją w Hyde Parku, gdzie zjadła dwie krowy i podpaliła pół miasta, jeśli wierzyć niektórym relacjom; ale przynajmniej jeden zamiatacz ulic był gotów przysiąc, że tego dnia do Newgate nie przywieziono żadnych brytyjskich awiatorów.

- Na pocieszenie dodam - powiedział Tharkay - że nie wysłano też ich w stronę wybrzeża. Żaden duży smok nie odleciał stąd, od kiedy ona się pojawiła, a Bonaparte z całą pewnością nie wysłał też nikogo statkiem.

- Może trzymać Granby'ego w pałacu Kensington - zasugerował po chwili namysłu Laurence.

- Oczywiście żeby ułatwić nam zadanie - orzekł sucho Tharkay.

- Wiem, że zakrawałoby to na głupotę - mówił dalej Laurence - ale jeśli wolno by mi było wyrazić pogląd, który wyrobiłem sobie na podstawie jednego spotkania, powiedziałbym,

onaparte niezmiernie lubi uwodzić innych. To jego wielka, Wr?cz nierozsądna słabość, i ulegając jej, wmawia sobie często, że ma jeszcze szansę przekonania kogoś do swoich racji, kiedy każdy myślący racjonalnie człowiek widzi, iż jest zupełnie inaczej. Nigdy nie zrezygnuje z okazji do wielkiego gestu, jeśli tylko będzie sądził, iż dzięki temu uda mu się nakłonić Granby'ego do zdrady i przejścia do służby w jego armii.

Tharkay wysłuchał go i wzruszył ramionami.

- Nie zaszkodzi spróbować; trop i tak jest zimny.

Kiedy dotarli na peryferie Mayfair, było już ciemno. Tu i tam życie miasta wciąż się toczyło, chociaż ciszej niż zwykle, z pubów na brudny bruk wypływały fale ciepła i zapachu świeżego piwa, a przez zamknięte okiennice domów tych mieszkańców, którzy nie uciekli, gdyż nie chcieli albo nie mogli, przebijały światła świec lub kominków. W modnej części dzielnicy Laurence wysunął się przed Tharkaya - dobrze znał te ulice; oprócz domu jego rodziców stały tam domy przyjaciół oraz

politycznych sojuszników ojca, a także ludzi, których Laurence poznał podczas służby w marynarce, wszystkie teraz zamknięte na głucho i ciemne. Spodziewał się tej ciszy, widoku opuszczonych domów, a nawet ruin i śladów grabieży, więc szedł pewnym krokiem, nie przyglądając się zniszczeniom, aż dotarł do Dover Street i tam w końcu coś go zaskoczyło: ulica była pełna powozów, przed drzwiami jednej z wielkich rezydencji miejskich stało dziesięciu lokajów z pochodniami, oświetlając schody, po których wchodzili elegancko ubrani ludzie, piękne młode damy z opiekunkami, brytyjscy dżentelmeni i francuscy oficerowie, a w całej okolicy słychać było dźwięki muzyki, śmiechy i brzęk naczyń.

Wstrząśnięty Laurence zatrzymał się jak wryty i Tharkay musiał go wciągnąć z powrotem do cienia.

- Nieprędko uda nam się przejść obok tego domu - rzeki-

Laurence nie odpowiedział od razu, gdyż miał wrażenie, że dusi się z gniewu. Nigdy nie gościł w tym domu, ale wiedział, że należy do członka parlamentu z Liverpoolu, człowieka, kto & czasu do czasu mógł głosować z jego ojcem. Opanował się? poprowadził Tharkaya ulicą do innego domu, wciąż zamieszkałego, ale cichego: przez zamknięte okiennice przeświecało kilka przygaszonych świateł, a przed drzwiami nikt nie czekał na zdobywców. Liczyli na to, że stojąc obok bramy, będą wyglądali jak lokaje lub stajenni i nikt nie zwróci na nich specjalnej uwagi; przy odrobinie szczęścia właściciel domu i jego rodzina byli już w łóżkach.

Stali tak blisko godzinę, przytupując od czasu do czasu, żeby ogrzać nogi, i wycofując się pod ścianę domu, kiedy mijał ich następny powóz z gośćmi jadącymi na bal. Każda minuta przynosiła kolejny powód do oburzenia: zapach pieczonej wołowiny, głośnie śpiewy po francusku, dama, która w tańcu z francuskim oficerem minęła otwarte drzwi balkonowe. Kiedy tam czekali, strumień powozów zmalował tylko trochę: ci ludzie cisnęli się jeden przez drugiego, żeby zyskać łaski zwycięzców, gdy tymczasem król uciekł do Szkocji, a tysiące brytyjskich żołnierzy zginęło lub dostało się do niewoli.

A potem na ulicy pojawił się oddział jazdy, gwardzistów w charakterystycznych

wysokich czapach, którzy z głośnymi okrzykami spychali na boki czekające powozy, nie zwracając uwagi na protesty woźniców. Zrobili w ten sposób miejsce dla wielkiej karety ze złotymi orłami na drzwiczkach, która właśnie podjechała. Zatrzymała się przed domem i dwoma szeregami gwardzistów, którzy ustawili się na schodach. W człowieku, który z niej wyszedł i ruszył w stronę wejścia do rezydencji, Laurence rozpoznał Napoleona: miał na sobie botforty i długi skórzany Paszcz, bardziej pasujący do pola bitwy niż salonu, chociaż wYglądał wspaniale dzięki złotemu szamerunkowi i także zło- ryrn guzikom. Towarzyszył mu jeden z jego marszałków: Murat, Pomyślał Laurence, szwagier cesarza. Weszli razem po schodach domu, a w środku powitał ich gorący aplauz.

- To odrażające - powiedział ktoś cichym głosem, a Laurence drgnął zaskoczony i spojrzął za siebie: kiedy oglądał widowisko tuż za nim zatrzymał się pojazd, z którego wysiadło dwóch dżentelmenów. Obecnie byli między nim a Tharkayem, który zdążył się cofnąć i skryć w cieniu budynku. - Gzy uwierzysz że słyszałem, iż lady Hamilton zamierza wziąć w tym udział?

- Ona i połowa dam z towarzystwa, które pozostały w mieście - odpowiedział mu drugi dżentelmen, którego głos wydał się Laurence'owi znajomy. - Hej, ty - rzucił głośniejszym głosem, zwracając się do niego - co tu się wałęsasz i gapisz na to, jakbyś był w teatrze? Im nie potrzeba żadnych zachęt, do cholery. - W tej chwili Laurence z zamierającym w przeczuciu katastrofy sercu rozpoznał go. Był to Bertram Woolvey, daleki znajomy i syn przyjaciela lorda Allendale'a.

Nigdy nie byli przyjaciółmi, a to, że Woolvey ożenił się z Edith Galman, nie wpłynęło na poprawę ich wzajemnych stosunków. Woolvey był hazardzistą i utracjuszem, z tym że mógł sobie na to pozwolić, i zawsze poruszali się w zupełnie innych kręgach towarzyskich: Laurence nie mógł powiedzieć o nim niczego dobrego poza tym, że doskonale wybrał sobie żonę. A teraz ten sam Woolvey podchodził do niego coraz bliżej, wyraźnie zirytowany brakiem odpowiedzi. Laurence stał poza kręgiem światła rzucanym przez latarnię uliczną, a jego twarz była umorusana błotem. Wiedział jednak, że za chwilę zostanie rozpoznany i to może być koniec wszystkiego: nawet najcichszy okrzyk natychmiast

sprowadzi tam dziesięciu gwardzistów ze straży stojącej przed wejściem do rezydencji, w której był bal,

I to niezależnie od tego, czy Woolvey zamierzał ich ściągnąć czy też nie.

Podjąwszy szybko decyzję, Laurence zrobił dwa kroki dzielące go od Woolveya, chwycił go za ramię i dłonią zakrył mu usta-

- Nic nie mów - syknął cicho, patrząc prosto w jego szeroko otwarte ze zdumienia oczy. - Zrozumiałeś? Nic nie mów; kiwnij głową, jeśli mnie zrozumiałeś.

Towarzysz Woolveya zaczął:

_ Co ty... - i przerwał: Tharkay chwycił go od tyłu i także zasłonił mu dłonią usta.

Woolvey pokiwał głową, a kiedy Laurence odsunął rękę, zapytał natychmiast:

_ William Laurence? Co ty tu, do diabła...- i znowu umilkł, gdy dłoń Laurence'a zakryła mu usta.

Drzwi domu otworzyły się i stanął w nich lokaj, który popatrzył na nich z zaskoczeniem.

- Do środka, szybko, na litość boską - powiedział Laurence i na wpół wepchnął, na wpół pociągnął Woolveya po schodach na górę, zanim zdążyli przyciągnąć uwagę gwardzistów.

Lokaj, który wciąż nie rozumiał, co się dzieje, cofnął się i wpuścił ich do środka. Tharkay i towarzysz Woolveya - dżentelmen, którego Laurence znał z widzenia i który nazywał się Sutton-Leeds - weszli zaraz za nimi.

Tharkay puścił Sutton-Leedsa, gdy tylko znaleźli się w środku, i natychmiast zamknął drzwi.

- Co, do diabła, czy to złodzieje? - zapytał Sutton-Leeds, bardziej z niedowierzaniem niż strachem.

- Nie, stój tam i na litość boską nie budź nikogo w domu - powiedział Laurence ostro do lokaja, który przesunął się w stronę sznura dzwonka. - Wystarczy już tego zamieszania... - Zamilkł; na podeście schodów stała Edith, w szlafroku i nocnym czepku, i właśnie mówiła:

- Bertram, błagam cię, czy możesz być cicho? James dopiero Co zasnął...

Zapadło kłopotliwe milczenie, które w końcu przerwał Woolly, mówiąc

pompatycznie:

- Sądzę, że powinieneś to wyjaśnić, Laurence. Co chciałeś osiągnąć przez to najście na mój dom?

- Nic - odparł po chwili Laurence - oprócz tego, żebyś nie zwrócił na nas uwagi tych Francuzów przy schodach; nie mogą nas odkryć. - Kiedy to mówił, zacisnął odruchowo dłoń na rękojeści pistoletu, który miał za pasem. Głupiec, myślał, cholerny głupiec, który trzyma żonę i dziecko w środku okupacyjnej armii. Wiedział, że nie ma do tego prawa, ale nie potrafił się powstrzymać i zapytał: - Dlaczego, na litość boską, nie wyjechaliście z miasta?

- Odra - odpowiedziała Edith, która schodziła w dół i była już w połowie schodów. Twarz miała opanowaną, ale jej dłoń mocno ścisnęła poręcz. - Lekarz powiedział, że nie wolno przenosić dziecka. - Umilkła na chwilę, po czym dodała cicho: - Francuzi nie niepokoiли nas: jeden oficer przyszedł, żeby zadać nam parę pytań, ale był bardzo grzeczny.

- To nie znaczy, że jesteśmy ich sympatykami, i jeśli chcesz coś takiego zasugerować... Zaraz... - Woolvey przerwał. - Czy ja nie słyszałem... że ciebie... - Znowu przerwał, wyraźnie czekając na wyjaśnienie, którego Laurence nie miał najmniejszej ochoty mu udzielić.

- Musisz mi wybaczyć, ale nie wiem, co słyszałeś - powiedział. - Jest mi niezmiernie przykro, że sprawiliśmy wam obojgu kłopot, ale mamy do wykonania pilne zadanie, którego natury nie można omawiać w holu waszego domu.

- No to chodźmy do salonu i tam to omówmy - odezwał się Sutton-Leeds: był bardziej niż trochę pijany i zaczynał już bełkotać. - Tajna misja, wspaniale: od dawna pragnąłem zrobić coś przeciwko tym cholernym żabojadom, którzy panoszą się w mieście, jakby było ich własnością.

Woolvey także nie był trzeźwy, a może był to wynik jego wojowniczości, dość że po ponownym zadaniu swego pytania dodał podejrzliwym tonem:

_ I powiem ci, Laurence, że oczekuję lepszych odpowiedzi. Nie, nie odejdiesz stąd, jeśli nie chcesz, żebym podniósł raban. Nie możesz zaczepiać człowieka na ulicy w takich czasach, a potem powiedzieć, że to wszystko to jakaś tajna misja, i odejść,

jakby nic się nie stało, i to jeszcze w towarzystwie tego Chińczyka.

- Bardzo przepraszam - odezwał się Tharkay ze swym najbardziej sztywnym, arystokratycznym akcentem. - Nie sądzę, żebyśmy byli sobie przedstawieni, panowie.

- Co w takim razie tu robisz, do diabła, umalowany jak Chińczyk? - zapytał Sutton-Leeds, wpatrując się w twarz Tharkaya, jakby spodziewał się znaleźć na niej ślady makijażu odpowiedzialnego za jego rysy.

Wykorzystując to, że ta krótka wymiana zdań odwróciła uwagę Woolveya, Laurence chwycił go za ramię i powiedział cicho:

- Nie bądź takim cholernym głupcem. Jeśli złapią nas w twoim domu, aresztują ciebie jako szpiega, a gdy zechcą być podejrzliwi, również i twoją żonę. Zapomnij, że tu byliśmy, i zapłać służbie, by też o tym zapomniała. Liczy się każda chwila, im dłużej tu przebywamy, na tym większe niebezpieczeństwo narażamy was wszystkich, i to bez powodu.

Woolvey wyrwał ramię z jego uścisku i odpowiedział, równie chłodno:

- Wiem dobrze, że uważasz mnie za głupca, ale nie jestem tak ograniczony, by wierzyć na słowo skazanemu zdrajcy - o tak, słyszałem - że skrada się ulicami miasta dzień po tym, jak wkroczył do niego Bonaparte, i robi to w interesie Jego Królewskiej Mości.

- No to jestem kłamcą i zdrajcą - odparł niecierpliwie Laurence - i jeśli będziesz mi przeszkadzać, mogę kazać aresztować was wszystkich: tak czy owak, lepiej będzie, jeśli pozwolisz mi odejść.

~ Nie jestem tchórzem - rzucił Woolvey - i jeśli wykonu jesz jakieś brudne zdanie dla Korsykanina, powstrzymam cię, nawet gdybym musiał cię zabić. Tak, i chętnie pójdę za to do więzienia, niech cię szlag.

- Panowie - odezwała się Edith, rozładowując napiętą atmosferę - proszę, wejdźcie do salonu, zanim obudzicie cały dom.

Nie pozostało im nic innego, jak tylko jej posłuchać, i tak też zrobili.

Sutton-Leeds został unieszkodliwiony za pomocą dużego kieliszka brandy, po którego wypiciu zasnął w fotelu. Było to zasługą Edith, która zniknęła na chwilę w

sypialni, po czym wyszła z niej w pośpiesznie narzuconym szlafroku i natychmiast obeszła wszystkich z karafką. Ale chociaż Woolvey wziął odruchowo do kieliszek, zaraz go odstawił i stanowczo powiedział:

„się napiję kawy, kochana, jeśli będziesz tak dobra - iwszy ręce na piersiach, czekał na swoją filiżankę, o -»opatrzył na zegar. Kiedy Bonaparte i tak wielu ja L, 'enia bawili się na balu, oni mieli największe kają^0 ;da minuta była obecnie podwójnie cenna, ochoi . 0 '»go spojrzenie i powiedział cicho, wska- - TVoolveya: dział. -,

kłopot, a»/f memozna^ ^ ^

- No t<V>°^ się Sutton-L^

• (

bełkotać. - Ta> ^

coś przeciwko ^ w mieście, jakbyw?

Woolvey także^" wojowniczości, doś dodał podejrzliwym W/

nniejszym stopniu nie spodo- 'oszedł jednak do wniosku, że buntował się w duchu życia ich wszystkich, służący nie będą okoju prze- lioncu służąca .zas rozkładała g° .e pomyślał, że muszą wyglądać absurdalnie: Woolvey w stroju wieczorowym; Edith w batystowym szlafroku z wysokim stanem, który najwyraźniej w pośpiechu wyjęła z szafy. Do tego on i Tharkay w robotniczych ubraniach z grubego płótna, brudni i bez wątpienia śmierdzący bydłem oraz dokami.

- Dziękuję ci, Martho - powiedziała w końcu Edith - sama naleję - i pochyliła się nad stołem, kiedy służąca wyszła. Podała filiżanki Woolveyowi i Laurence'owi, po czym zawahała się i ostatecznie nalala jeszcze jedną dla Tharkaya.

Tharkay zareagował krzywym uśmiechem na ten jej wątpliwy gest.

- Dziękuję - powiedział, wypił duszkiem kawę i odstawiwszy filiżankę, podszedł do drzwi i otworzył je. Lokaj i służąca, którzy ociągali się z odejściem, szybko znikli. Tharkay zerknął na Laurence'a i, znacząco, na zegar, po czym wyśliznął się do holu, zamykając za sobą drzwi: nikt nie mógł już podejść do nich i podsłuchiwać.

Laurence odstawił filiżankę znakomitej mocnej kawy i spojrzał na ciemny prostokąt skrzydłowego okna: obramowywały je ciężkie zasłony z jasnoniebieskiego aksamitu, z eleganckimi sznurami ze złocistymi chwostami. Przez chwilę miał nieprzepartą ochotę związać jednym z nich Woolveya i zostawić tak na podłodze; ale oczywiście zaraz zaczęłyby krzyczeć, a Laurence nie mógł postawić Edith w takiej sytuacji.

- A więc słucham - powiedział Woolvey. - Nie dam się zbyć byle czym, Laurence, i jeśli mi każesz czekać dłużej na wyjaśnienia, polecę moim lokajom, żeby wtrącili cię do piwnicy, gdzie posiedzisz do rana.

Laurence zacisnął usta, przełykając słowa, które mu się na cisnęły. Wiedział, że jest niesprawiedliwy. Woolvey nie miał Wlele powodów, żeby go lubić, i żadnego, żeby mu wierzyć.

~ Nie możemy czekać do rana - powiedział w końcu zdawkowo. - Francuzi pojмали dziś brytyjskiego oficera, kapitana smoczyca...

- No i co z tego? Słyszałem, że wczoraj wzięli do niewoli dziesięć tysięcy ludzi. - Woolvey powiedział to z goryczą i prawdziwym uczuciem: przynajmniej jedną emocją, którą Laurence mógł podzielić.

- To oznacza, że jego smoczyca jest też więźniem - wyjaśnił. - On jest zakładnikiem, gwarantem jej posłuszeństwa, a ona jest smokiem ziejącym ogniem... naszym jedynym smokiem ziejącym ogniem.

- Och - odezwała się nagle Edith - ja ją widziałam, dziś rano. Wylądowała w Hyde Parku.

Laurence skinął głową.

- I jest jeszcze niewielka szansa na to, że trzymają go wciąż w samym pałacu - powiedział. - Czy rozumiecie teraz naszą niecierpliwość? Podczas gdy Bonaparte...

- Nie jestem głupkiem - przerwał mu Woolvey - ale dlaczego idziecie tylko ty i ten podejrzany gość, którego masz ze sobą...

- Podczas takiej wyprawy jeden dobry człowiek jest wart więcej od tuzina takich, którzy mają mniejsze umiejętności - wyjaśnił Laurence. - Poza tym tylko my dwaj byliśmy dość blisko, żeby podjąć tę próbę. Dosyć tych pytań - dodał ostrym tonem. - Nie zamierzam tracić czasu, odpowiadając na kolejne zarzuty, które przyjdą ci do głowy. Jeśli nadal chcesz nam przeszkadzać, kiedy nie masz pojęcia o sytuacji, to niech cię diabli wezmą: my zaryzykujemy i spróbujemy przemknąć się ulicą obok gwardzistów Bonapartego.

Woolvey wciąż wyglądał na niezdecydowanego.

- Will - odezwała się cicho Edith i obaj spojrzeli na nią - czy przysięgniesz mi na Biblię, że mówisz prawdę?

Ten gest nie usatysfakcjonował w pełni Woolveya, ale Edith wzięła go za rękę i powiedziała:

- Najdroższy, znam Willa od czasu, gdy oboje byliśmy małymi dziećmi. Mogę uwierzyć, że dopuścił się czynu, który uznano za zdradę, ale nie uwierzę, że skłamałby pod przysięgą.

_ Mimo to - odparł Woolvey z nadąsaną miną - nadal uważam, że to jakaś paskudna sprawa. - Odsunął się od niej i z wyraźnym rozdrażnieniem nalał sobie drugą filiżankę kawy, rozchlapując trochę na porcelanie i wypolerowanym na wysoki połysk drewnie. Nie zawracając sobie głowy śmietanką, wypił ją niemal duszkiem, po czym odstawił filiżankę tak zdecydowanym ruchem, że głośno stuknęła o blat stołu. - A zatem chodzi o to, że zamierzacie go uwolnić? - powiedział nagle głosem, w którym zabrzmiało coś nawet bardziej niebezpiecznego od podejrzenia, a mianowicie entuzjizm.

- Jeśli zdołamy - odparł Laurence i zmusił się do zapytania: - Gdybyś mógł nam pożyczyć swoje zapasowe konie...

- Nie - powiedział po chwili Woolvey. - Nie, ja was tam zawiozę, moim powozem. Służący lorda Hollanda mnie znają, a jego posiadłość graniczy z pałacowymi ogrodami: to mniej niż mila od jego domu. Jeśli naprawdę zamierzacie dostać się do pałacu i to wszystko nie jest jednym wielkim wymysłem, doprowadzę was tam. Ale jeśli to, co nam tu powiedziałaś, było stekiem kłamstw, i planujecie coś zupełnie

innego, to myślę, że razem z woźnicą i dwoma lokajami zdołamy wam w tym przeszkodzić.

Edith wzdrygnęła się nerwowo.

- Woolvey, nie pleć głupstw - odrzekł Laurence. - Nie jesteś Przygotowany do tego typu zadań.

- Czy masz na myśli przewiezienie was do odległego o kilka m>1 domu dżentelmena, którego dobrze znam, a potem przejście spacerem przez jego park? - odparował sarkastycznym tonem Woolvey. - Przypuszczam, że jakoś sobie z tym poradzę.

- A co potem? - zapytał Laurence. - Kiedy już dostaniemy Słę do pałacu, uwolnimy Granby'ego, a Francuzi podniosą alarm i ruszą w pościg za nami?

- Jestem pewny, iż znam Kensington Park o wiele lepiej od ciebie - odparł Woolvey - jeśli zatem chodzi o wydostanie się stamtąd, mam dużo większe szanse niż ty, że mi się to uda. Masz jeszcze jakieś zastrzeżenia? Jestem gotowy ich wszystkich cierpliwie wysłuchać, Laurence, ale to ty nalegasz, żeby się pospieszyć.

Woolvey poszedł na górę zmienić ubranie, wezwawszy na wszelki wypadek dwóch lokajów, którzy mieli ich pilnować, podczas gdy inni służący zaprzęgali konie do powozu.

- Czy nie możesz mu tego wyperswadować? - zapytał Laurence cichym głosem Edith w rogu pokoju, gdzie stanęli, żeby nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Co twoim zdaniem miałabym mu powiedzieć? - odparła. - Nie poradzę mojemu mężowi, żeby zachował się jak tchórz. Czy nie przyda ci się jego pomoc? - Temu nie mógł zaprzeczyć, a ona pokręciła głową, po czym spojrzała w bok z zaciśniętymi ustami, wyraźnie dając Laurence'owi do zrozumienia, że nie powinien jej dalej naciskać. - Myślałam, że te lęki mam już za sobą - dodała, cicho i ze smutkiem, ale on wiedział, że nigdy by nie pozwoliła, by uczucia miały wpływ na jej ocenę sytuacji; tak jak i on nie pozwoliłby sobie na podobną słabość.

Odsunął się od Edith, kiedy Woolvey zszedł po schodach na dół i zbliżył się do niej, żeby się pożegnać. Oboje stali przez chwilę w rogu pokoju, trzymając się za ręce i rozmawiając po cichu, po czym on się pochylił, zbliżając swoją głowę do jej głowy.

Tharkay obserwował tę scenę bez większego zainteresowania.

- Przepraszam, że tak nas wplątałem - powiedział do niego Laurence.

- Jeśli spojrzeć na to z praktycznego punktu widzenia, to nie mogło nam się przydarzyć nic lepszego - odparł Tharkay. - Jest mało prawdopodobne, że ktoś nas zatrzyma, kiedy na oczach takich będziemy jechać ulicą kareta z herbem. Na pewno jednak zostaniemy zauważeni i on może później za to zawisnąć, ja) e to jego problem i tych, którzy będą po nim płakać. - Popatrzył na Laurence'a i dodał: - Chociaż niektórzy z nich mogą nie być ci obojętni.

Laurence żałował, że tak łatwo go było przejrzeć, i jeszcze bardziej żałował tego, że pół godziny, które trwała jazda do Holland House, musiał spędzić zamknięty w karecie z Woolveyem. Nie odzywali się do siebie; nie było niczego, co mogliby sobie nawzajem powiedzieć, odrzucony konkurent i mąż. Dodatkowym powodem milczenia Laurence'a było niezbyt przyjemne, niejasne uczucie, dla którego nie było miejsca w obecnych okolicznościach, ale które mimo to nie ustępowało.

Przedtem nie miał o Woolveyu zbyt wysokiego mniemania; uważał go za rozrzutnego próżniaka, ale aby oddać mu sprawiedliwość, przyznawał w duchu, że życie Woolveya tak się ułożyło, iż nigdy nie dostarczyło mu żadnych bodźców do samodoskonalenia. Nie miał nic do roboty prócz wydawania pieniędzy, więc łatwo mógł się stać nikczemnym typem, nałogowym hazardzistą lub egoistycznym tchórzem. Zamiast tego ustatkował się z żoną, której żaden mężczyzna nie mógłby się wstydzić; no i żaden tchórz nie zachowałby się tak, jak on to zrobił tego wieczoru. Nawet jeśli po pijanemu był nieco nudny i uparty, a także zły z powodu poniżenia jego ojczyzny, nie była to jeszcze najgorsza rzecz, jaką można powiedzieć o mężczyźnie.

A Edith wyglądała bardzo dobrze. Nie wyglądała na osobę bardzo szczęśliwą, gdyż nikt nie mógł być szczęśliwy, kiedy wroga armia stała pod drzwiami, a w holu wejściowym domu doszło do awantury, ale jasne było, że jest zadowolona z życia, które wybrała. Niczego nie żałowała.

Laurence z całego serca cieszył się z jej szczęścia: w jego uczu- Clach nie było

zazdrości. Ale było mu nieprzyjemnie na myśl, że to Woobey ją uszczęśliwił, a nie o n. Edith, czekając na niego, odrzucała korzystne oferty małżeńskie i mało brakowało, a została by starą panną; a ich ostatnie spotkanie przebiegło tak, że pozostało mu po nim uczucie głębokiego wstydu. Z goryczą wspominał swoje egoistyczne dąsy i czelność, z jaką przedstawił jej propozycję, która nie mogła być przyjęta, kiedy już zobowiązał się wstąpić do Korpusu Powietrznego. Popatrzył na Woolveya, który wyglądał przez okno karety. Czego Edith miałaby żałować? Niczego. Już raczej mogła sobie gratulować, że o włos uniknęła nieszczęścia.

Powóz się zatrzymał. Holland House był ciemny, a konie grzebały nerwowo nogami, kiedy przecierający zaspane oczy lokaj podszedł, żeby przytrzymać ich głowy.

- Tak, wiem, że rodzina wyjechała - powiedział Woolvey, wychodząc już na zewnątrz, gdy drugi lokaj otworzył mu drzwi. - Bądź tak dobry i zaprowadź moje konie do stajni. Poproś też Gavinsa, żeby tu przyszedł. Chcę z nim zamienić kilka słów.

Wyniosłym tonem wyjaśnił powody swojej obecności w dzielnicy i tej wizyty: chore dziecko ciągle płacze, żona traci cierpliwość...

- ...i pomyślałem sobie, że potrzebuję spaceru na świeżym powietrzu. Chciałbym także pooglądać gwiazdy... w Mayfair jest za dużo świateł... jestem pewny, że lord Holland nie miałby nic przeciwko temu...

To było dziwaczne wytłumaczenie, zwłaszcza o północy, na ulicach stała obca armia, a on sam miał za plecami dwóch ludzi w robotniczych ubraniach, ale Gavins tylko się uklonł przywykł już do najbardziej nawet niezwykłych pomysłów* podchmielonych dżentelmenów i jeśli nawet był zdumiony, nie pokazał tego po sobie.

- Muszę pana ostrzec, sir, żeby unikał pan wschodnia końca parku, jeśli zdecydujecie się wyjść poza ogrody - dział. - Obawiam się, że mamy tam kilka śpiących smoków

_ Och - mruknął Woolvey, a kiedy weszli już do parku, zapytał półgłosem: - Co zrobimy z tymi smokami?

_ Przejdziemy obok nich - odparł Tharkay i zdmuchnął płomień latarni, którą dał im Gavins.

_ Nie ma potrzeby, żebyś szedł dalej z nami - powiedział Laurence. - Już nam bardzo pomogłeś, Woolvey...

- Nie boję się - przerwał mu gniewnie Woolvey i ruszył zdecydowanym krokiem przed siebie.

Tharkay pokręcił głową, a kiedy Laurence popatrzył na niego, powiedział cicho:

- Trudno jest rywalizować z cieszącym się już pewną sławą oficerem o względy kobiety, która kocha w mężczyznach odwagę.

Laurence'owi nie przyszło do głowy, że Woolvey popisywał się z myślą o Edith albo że współzawodniczył z nim pod jakimkolwiek względem.

- Nie sędzę, żeby jakikolwiek rozsądny człowiek pragnął sławy, którą ja się cieszę.

- Nikt nie może cię nazwać tchórzem - odparł Tharkay. - A czego dokonał w swoim życiu Woolvey?

Teren bezpośrednio przy domu porastały drzewa, pachnące cedry pośród ogołoconych z liści dębów i platanów, wszystkie oszronione. Dalej rozciągały się rozległe łąki, na wpół zamarznęte, tak że trawa pod ich nogami kruszyła się i skrzypiała niczym Śnieg. Gdyby ich celem było rzeczywiście obserwowanie gwiazd, nie Zawiedliby się: noc była zimna, bezwietrzna i bezksiężycowa.

Smoki spokojnie chrapały, jeśli tak można nazwać słyszalne ^ odległości ćwierci mili dźwięki, które przypominały zgrzyt

m'eni młyńskich. Nie brzmiały jednak tak głucho i dudnią- głosy wielkich smoków bojowych; nie było też przy nich udzi i nie paliło się ani jedno ognisko. Najwyraźniej był to

oddział mniejszych stworzeń, kurierskich, które spały ze swoimi kapitanami przytulonymi do ich boków.

Ominięcie ich nie powinno być właściwie trudne. Laurence przyzwyczał się już do towarzystwa smoków i nie miał nic przeciwko chodzeniu po ulicach Pekinu czy też między pawilonami, w których te ogromne stworzenia spały pozwijane w wielkie kłęby; ale w głębokich ciemnościach ten nieustający niski warkot zdawał się

przybierać na sile i nawet on nie potrafił całkowicie opanować dreszczy przebiegających mu po plecach, kiedy tak przemykali od jednej kępy drzew do drugiej, przekradając się przez łąki, na których spały smoki.

Wprawdzie rozum podpowiadał mu, że są to istoty myślące, które wolałyby go raczej złapać niż zabić, ale jego żołądek wiedział swoje: sygnały, które wysłał, mówiły Laurence'owi, że w pobliżu leży tuzin lub więcej bestii, których nie może zobaczyć i które, gdyby je spotkał w ich naturalnym środowisku, łatwo mogłyby go pożreć. Dziwne, ale były one jeszcze bardziej przerażające z powodu swych niewielkich rozmiarów: człowiek jako posiłek nie był zbyt interesujący dla wielkich smoków.

Z przodu dobiegały do niego chrypliwe, nierówne oddechy Woolveya, zwłaszcza kiedy się od czasu do czasu potykał; Tharkay wysunął się jeszcze przed niego. Laurence podążał wytrwale za nimi, kierując się odgłosem ich kroków i niemal nic nie widząc w ciemności. W pewnej chwili odniósł niejasne wrażenie, że coś się poruszyło, i odwróciwszy gwałtownie głowę w bok, spróbował coś wypatrzeć. Była to beznadziejna próba i już chciał się poddać, kiedy zobaczył jakby węzowatą plamę wyrastającą z ziemi i sięgającą w niebo, widoczną tylko dzięki temu, że przesłaniała gwiazdy.

Zrobił szybko kilka kroków i zatrzymał Woolveya, po czym syknął cicho, żeby przywołać Tharkaya. Przykucnęli i czekali nasłuchując. Smok głośno ziewnął, wymamrotał coś po francusku,

a potem uderzył kilka razy błoniastymi skrzydłami, podskoczył i wzbił się w powietrze. Nawet nie drgnęli, dopóki słyszeli go nad głowami i niczym przerażone króliki kryjące się przed wzrokiem jastrzębia pozostali tam w całkowitym bezruchu jeszcze przez jakiś czas, zanim zmusili się, by iść dalej.

Droga bardzo się im dłużyła, ale w końcu dotarli do kolejnej kępy szeleszczących pokrzepiająco drzew, a ziemia pod ich nogami zmieniła się nagle w chrzęszczącą przy każdym kroku, żwirowo-piaszczystą drogę: doszli do końca posiadłości. Po drugiej stronie drogi niczym wielki mur wznosił się gruby, równo przycięty żywopłot

ogrodów pałacowych, a na obu końcach alejki widać było światła latarni trzymany przez wartowników, tak nagle, jakby to były robaczki świętojańskie. Ale bezpośrednio przed nimi nie było nikogo, gdyż żołnierze wyraźnie woleli próżnować w pobliżu osłoniętych od wiatru budek wartowniczych.

Tharkay pokazał gestem ręki Laurence'owi, żeby poczekał z Woolveyem, i zniknął w ciemności. Po chwili wrócił, by zaprowadzić ich do miejsca, które znalazł przy żywopłocie. Był tam niski kamień, a nad nim gruba gałąź rosnącego obok wiązu: Tharkay przywiązał już do niej linę, która zwisała aż do ziemi. Laurence skinął głową i zdjawszy gruby, skórzany fartuch, zarzucił go na żywopłot. Następnie starając się zachowywać możliwie jak najciszej, podciągnął się na linie i trzymając się jej jedną ręką °taz pomagając sobie nogami, które ciągle utykały w cisowym gąszczu, dobrze już podrapany, przetoczył się po fartuchu i wy- 'ądował niezdarnie w pałacowym ogrodzie.

zywopłot

wać

Woolvey dotarł tam jako drugi, z pewnym opóźnieniem, ^?ężko zdyszany i rozchełstany: jego spodnie, pasujące raczej 0 salonu, a nie nocnych wędrówek przez zarośla, były w wielu J^jscach podarte i zakrwawione. Tharkay przeprowił się przez ostatni, cicho i szybko, i razem już zaczęli obserwo-

Wle'ki pałac, który wznosił się przed nimi, zaraz za wąskim trawnikiem. Na tle w pełni rozświetlonych okien widać by{0 przesuujące się tam i z powrotem cienie, na trawniku leżało jeszcze z pół tuzina smoków kurierskich: nie śpiących, ale cze kających na wiadomości.

- Stajnie - wyszeptał Woolvey, pokazując ręką: smoki były dość daleko od niskiego budynku gospodarczego. - Z boku mają jeszcze jedne drzwi, a stamtąd jest już tylko kilka kroków do wejścia dla służby, do kuchni.

Konie rżały niespokojnie i grzebały nogami, patrząc na nich wodnistymi, przerażonymi oczami; ale najwyraźniej zachowywały się tak od czasu, gdy w pobliżu stajni pojawiły się smoki, gdyż nikt się nie poruszył ani nie przyszedł sprawdzić, co

się dzieje. Tharkay zatrzymał się przy bocznych drzwiach i delikatnie oparł na nich dłonie; z zewnątrz dobiegały burkliwe głosy ludzi mówiących po angielsku. Przez szparę w drzwiach Laurence zobaczył dwóch stajennych, którzy pchali wózek z końskim nawozem w stronę ułożonej już kupy, i widać było, że praca ta nie sprawia im najmniejszej przyjemności.

- Sss - syknął cicho, kiedy znaleźli się blisko, i obaj mężczyźni gwałtownie drgnęli.

- Spokojnie, ludzie, i bądźcie cicho, jeśli kochacie swój kraj.

- Tak jest, sir, według rozkazu! - wyszeptał jeden z nich i odruchowo dotknął czoła: miał rozbieżnego zęza i tatuaż na ręce, pewny dowód, że część życia spędził na morzu. Spojrzał groźnie na swego tyczkowatego, nieco młodszego towarzysza, który wyraźnie chciał zaprotestować, ale wystraszony ugryzł się w język, i zamiast tego zaczął się wiercić w miejscu, zerkając na nich z ukosa.

ieźli go

- Tak jest, sir! - przerwał mu marynarz. - Przywi pod taką strażą, jakby był królem, i przeznaczili dla niego

- Czy trzymają tu więźnia - zaczął Laurence - którego pw wieźli dziś: mężczyznę przed trzydziestką, ciemnowłosego-

I są sypia'11?' oprócz tej, którą zajął dla siebie stary Bonio. było przy tym w'e'e szumu' a ra jego smoczyca zawodziła przed frontonem pałacu, jakby to był koniec świata. Baliśmy się, że nas wszystkich spali; mówiła, że to zrobi. Uspokoila się dopiero w ostatniej godzinie.

Laurence zaryzykował, podbiegł szybko do narożnika pałacu I ujrzawszy zza niego, upewnił się, że Iskierka tam rzeczywiście jest. Leżała żałośnie zwinięta w dawnym eleganckim ogrodzie ozdobionym rzeźbami, który teraz wyglądał jak rumowisko. Przestała już lamentować i ponuro ogryzała resztki krowy, wypuszczając strumienie pary z wyrostków kostnych na grzbiecie. Nie była też sama. Obok niej siedziała Lien i właśnie mówiła:

- Musisz wiedzieć, że ci go nie oddadzą, jeśli nie da słowa honoru i nie przysięgnie, że nigdy więcej nie wystąpi przeciwko cesarzowi. Nie ma zatem sensu, żebyś tu

leżała w takiej niewygodzie. Jeśli pójdziesz ze mną do parku, dostaniesz coś więcej do jedzenia.

- Nigdzie nie pójde bez mojego Granby'ego - odparła Iskierka - a on nigdy czegoś takiego nie zrobi, a gdy tylko go odzyskam, zabiję ciebie, twojego cesarza i was wszystkich, zobaczycie. Masz, możesz sobie zatrzymać swoje paskudne krowy - dodała gniewnie i rzuciła poszarpane resztki kolacji w stronę Lien.

Na pysku białej smoczyca pojawił się na chwilę wyraz niesmaku, ale szybko się opanowała i zasypała ziemią szczątki krowy, Jarając się ich nie dotykać.

~ Przykro mi, że jesteś taka nierozsądna. Nie ma żadne-

P°wodu, żebyśmy byli nieprzyjaciółmi. W końcu nie jesteś • tuskim smokiem.

Pochodzisz z Turcji, a sułtan jest naszym kusznikiem, nie Brytanii.

• ~ ^arn gdzieś sułtana: jestem smokiem Granby'ego, a on ttrytyjczykiem - odpaliła Iskierka - a poza tym zabrałam wam przyzy wartości trzydziestu tysięcy funtów, więc oczywiście jesteśmy nieprzyjaciółmi.

- Możesz dostać kolejne dziesięć tysięcy, jeśli zgodzisz się walczyć dla nas - powiedziała Lien.

- Ha - sapnęła pogardliwie Iskierka - zamiast dziesięciu będę miała kolejne trzydzieści tysięcy funtów i sama sobie wezmę przyzy; a poza tym myślę, że jesteś zwykłym tchórzem.

Najbliższy oddział gwardzistów trzymał się rozważnie w pewnej odległości, razem z dwoma smokami kurierskimi, i wszyscy nerwowo obserwowali Iskierkę, zastanawiając się, co też zaraz może wpaść jej do głowy, tak że miała wolną drogę do pałacu.

- Gdybyśmy tylko zdołali do niego dotrzeć - powiedział Laurence do Tharkaya, powróciwszy do stajennych drzwi - i wydostać go na otwarty teren, może nawet wystarczyłoby okno na górze, gdzie ona mogłaby nas dosięgnąć...

- Gdy tylko ktoś nas zobaczy, wyglądających jak szmaciarze, podniesie się ogólny raban - wtrącił Woolvey.

- Bardzo przepraszam - odezwał się marynarz - ale na górze stajni śpi sześcioro

oficerów kawalerii i wszyscy mają mundury.

Nerwowego stajennego zostawili na straży przy drzwiach, a Woolveya na straży przy nim.

- Darby, sir, ale wołają mnie Janus - odpowiedział na pytanie marynarz - z powodu lekarza, z którym pływaliśmy na Sophie, uczonego gościa, który gadał, że patrzę w obie strony naraz jak jakiś stary rzymski bóg o tym imieniu. Wciąż bym z nimi był, gdyby moja dziewczyna w mieście nie straciła mamy i sama nie zachorowała, a razem z nią są tam jeszcze trzy, cztery gęby do wykarmienia - dodał obronnym tonem i nieco mętnie: zapewne postanowił po cichu zrezygnować ze służby na morzu nie z powodu jednej dziewczyny, ale kilku, a także dlatego, że na ogół trudno je było spotkać na pokładzie.

- Bardzo dobrze, Janus - powiedział Laurence i dał mu pi-

T

tolet Zgasili latarnię kołyszącą się na wietrze obok drzwi i na nak Tharkaya po kolei wdrapali się po drabinie do sąsiedka, szybko i na bosaka. Wyczerpani służbą oficerowie spali głębokim snem na wpół zakopani w sianie, z szablami i pistoletami leżącym' obok nich. Laurence budził jednego po drugim i podczas gdy Janus przytrzymywał każdemu nogi, a Tharkay groził pistoletem przyłożonym do twarzy, zatykał im usta kneblami ze skóry i po obróceniu na bok wiązał rzemieniami, które ułożyli na belach siana.

Czwarty z kawalerzystów otworzył oczy za wcześnie i zdołał wierzgnąć nogami, gdy po niego sięgali, budząc dwóch ostatnich. Wyrwani ze snu, sięgnęli ospale po szable i pistolety, których jednak nie znaleźli, gdyż Tharkay już je zebrał i na piracką modłę wsunął sobie za pas trzy z nich. To była krótka, ale zacięta walka, której brutalność została wymuszona przez konieczność zachowania ciszy. Laurence sięgnął po nóż i z ponurą miną wbił go w gardło nieuzbrojonego Francuza, który próbował mu się wyrwać i stanąć na nogach. Mężczyzna osunął się bezwładnie na podłogę, patrząc pustym wzrokiem w sufit, a krew płynąca z jego szyi wsiąkała w siano. Laurence chwycił następnie jedną z szabel i zabił szybko drugiego oficera, którego przytrzymywał Janus. Tharkay zlikwidował tymczasem ostatniego.

Poczuwszy zapach krwi, konie pod nimi znowu zaczęły rżnąć i nerwowo uderzać kopytami.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał szeptem Woolvey, wsuwając głowę do sąsiedka, po czym zamilkł z otwartymi lekko ustami.

- Tak - odparł krótko Laurence, którego serce wciąż mocno waliło. - Zejdź na dół i pilnuj tego gościa przy drzwiach.

Czy to z powodu jakiegoś tonu w jego głosie czy też sceny, którą zobaczył, Woolvey nie zaprotestował i posłusznie zszedł na dół. Kiedy rozwiązywali kolejno kawalerzystów, żeby ściągnąć z nich mundury, ci próbowali stawiać opór, a jeden z nich wydał cichy jęk zza knebla, kiedy jego wzrok padł na zabitych. Przyjaciele, a może bracia; Laurence zmusił się, żeby o tym nie myśleć.

A raczej spróbował: wciąż miał w pamięci zszokowaną minę Woolveya. Niezbędne w służbie bezwzględność i brutalność nie były pojęciami z tego samego świata, co Anglia i dom; i ten właśnie rozdział pozwalał mężczyźnie być zarazem dżentelmenem i żołnierzem. Ale on z zakrwawionymi rękami był teraz w stajni pałacu Kensington, gdzie wykonywał zadanie szpiegowskie: tak konieczne, jak każde działanie wojskowe. Nikt nie mógł zakwestionować jego konieczności. Gdyby to się wydarzyło w Paryżu, Stambule lub Chinach i Woolvey przeczytałby o tym w gazetach, przyklasnąłby temu, nawet gdyby przy okazji polało się tyle samo lub więcej krwi. Ale tutaj, w Londynie, taki widok był czymś niespodziewanym i obcym.

Skompletowali cztery mundury zdarte z jednego martwego i trzech żywych kawalerzystów, których znowu związali i których Laurence przykrył pledem, żeby nie pozamarzali. Zszedł potem po drabinie, czując się nieswojo w kurtce wciąż cieplej od ciała zabitego, i podał ostatnią Woolveyowi.

- Ciebie także zwiążemy - powiedział do stajennego - chyba że pójdziesz z nami uwolnić tego oficera, a potem do smoka... - Ale chłopak energicznie pokręcił głową, dając tym do zrozumienia, że woli być związany i wrzucony do sąsiedka.

- Jeszcze jakieś pół godziny - Tharkay ocenił czas, jaki im pozostał, zanim zostaną odkryci. Laurence uważał, że bardziej prawdopodobny jest kwadrans.

- Musimy się zatem pospieszyć - powiedział. - Nie biegniemy, ale idziemy zdecydowanym krokiem, jakbyśmy wykonywali jakiś rozkaz. Janus, czy wiesz, gdzie go trzymają?

- Cóż, sir - odparł Janus, wzruszając niepewnie ramionami, na których miał kurtkę francuskiego oficera, która pasowała do niego jeszcze gorzej niż do Tharkaya - pokojówki czasem biorą faty»ant^ow na sobie zobaczy" lepsze komnaty, i nie owiem, że sam nie zostałem zaproszony raz czy dwa razy, ale nie potrafię powiedzieć, gdzie go umieścili.

- Ustalenie tego nie będzie trudne - odparł Laurence. - przed drzwiami tej komnaty będą strażnicy.

On i Woolvey szli jako pierwsi. Liczyli na to, że nawet jeśli ktoś na nich spojrzy, zobaczy tylko ich twarze i być może nie dostrzeże Janusa oraz Tharkaya, który dla dodatkowego kamuflażu trzymał przy twarzy chustkę, jakby chciał kichnąć. Wspięli się na boczne schody i na szept Janusa skęcili z podestu do holu wejściowego.

W korytarzu, przed drzwiami komnaty, której okna musiały wychodzić na tył budynku, było jakichś ośmiu, dziewięciu żołnierzy. W środku bez wątpienia należało się spodziewać więcej wartowników. Laurence nie zatrzymał się, tylko szedł pewnym krokiem w ich kierunku: ci z żołnierzy, którzy stali, a było ich tylko trzech, nawet się nie wyprostowali, tylko rozmawiali swobodnie, nie okazując niepokoju: siedzący na podłodze grali w karty, inni, przykucnąwszy, przyglądali się temu. Przez hol szła właśnie służąca obładowana praniem, która musiała się między nimi przepchnąć. Kiedy do niech dotarła, jeden nadmiernie rozentuzjasmowany sierżant chwycił ją w pasie i nie chciał puścić.

- Trzymaj łapy przy sobie - powiedziała chłodno i wykręciwszy wprawnie biodra, wyrwała się z jego uchwytu, a pozostali żołnierze ryknęli śmiechem, bawiąc się kosztem towarzysza. Kiedy służąca, zaczerwieniona ze wstydu, ze spuszczonej oczami, w końcu ich wyminęła, Laurence był już niemal przy niej. Chwycił jedno z niesionych przez nią prześcieradeł, rozłożył je jednym ruchem i zarzucił na Francuzów.

Zdezorientowani żołnierze podnieśli natychmiast krzyk, a czwórka napastników

rzuciła się na nich, przewracając tych, którzy stali. Drzwi komnaty otworzyły się i na zewnątrz wyrżał kolejny Francuz: Tharkay zastrzelił go i kopnięciem otworzył drzwi jeszcze szerzej. Ostrzeżony przez odgłosy zamieszania Granby, z posiniaczoną twarzą i obandażowaną ręką, natychmiast do nich dobiegł.

- Dzięki Bogu, daj mi pistolet - krzyknął i odrzucił temblak.

- Okno - powiedział szybko Laurence i odwróciwszy się na odgłos strzału, chwycił w ramiona Woolveya. Ten miał zaskoczoną minę, a na koszuli, pod klapą jego kurtki, widać było wielką, ciągle rozszerzającą się plamę. Spod prześcieradła padł kolejny strzał, a potem jeszcze jeden; posłane na oślep kule przebiły płótno, a ogień prochowy je zapalił w dwóch miejscach. Krzycząca z przerażenia służąca uciekła z holu.

- Iskierka! - wrzasnął Granby, wychylając się z okna komnaty po drugiej stronie korytarza, do której zdążył tymczasem wbiec.

Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby mieć pewność: światło zgasło już w oczach Woolveya; był już tylko martwym ciałem, które osuwało się na podłogę.

- Laurence - rzucił Tharkay i zastrzelił pierwszego żołnierza, który wydostał się spod prześcieradła.

- Niech cię diabli - powiedział Laurence, nie bardzo wiedząc, czy ma na myśli Woolveya, człowieka, który go zastrzelił, czy też samego siebie.

Pochylił się, żeby ściągnąć z palca zabitego obrączkę ślubną, po czym wbiegł za Tharkayem do komnaty. Zamknęli drzwi i zabarykadowali je przewróconą szafą. Wiedzieli, że to powstrzyma Francuzów tylko przez chwilę, ale nie potrzebowali więcej czasu: pazury Iskierki rozbiły już szyby okna, a teraz wyrwały z niego cegły i kamienie, które leciały w dół całymi blokami, roztrzaskując się na płytach dziedzińca.

Rozdział 11

T

rudno było tak wciąż czekać, czekać i czekać: Teme- raire chodził przez jakiś czas tam i z powrotem, a potem wzbił się w powietrze, aby sprawdzić, czy już ich nie widać, po czym wylądował i znowu pochodził trochę w kółko.

- Nikt do nas nie leci, prawda? - zapytała Perscitia, nieco zaniepokojona, ale z zupełnie innego powodu. - Żadnych francuskich smoków? Może nie powinieneś tak często wlatywać w górę: ktoś może cię zobaczyć, a gdybyśmy musieli stąd uciekać - dodała szybko - albo wdać się w jakąś awanturę, Laurence może mieć kłopot z odnalezieniem nas, kiedy będzie wracał.

Temeraire spróbował się uspokoić; musiał w duchu przyznać, że miała rację, ale pokręcił głową, kiedy podsunęła mu krowi udziec: mniejsze smoki latały ostrożnie po całej okolicy, szukając żywności dla nich wszystkich, ale on nie miał apetytu.

- To nie w porządku ze strony tych smoków — odezwał się Arkady - że wszystkie jednocześnie rzuciły się na nas. Jeśli chcesz wiedzieć, to moim zdaniem one wszystkie są tchórzami. Powinniśmy tam polecieć i wydostać Iskierkę własnymi siłami. - Odzyskał już dobry nastrój i pożerał właśnie owcę, którą ku jego wielkiej radości przyniósł mu Lester.

- Niczego takiego nie zrobimy - odrzekł Temeraire. - Jest ich cztery razy więcej niż nas, mają żołnierzy z karabinami i na pewno by nas odparli. A poza tym to by nam nie pomogło odzyskać Granby'ego: natychmiast by go zastrzelili. - I może Laurence'a razem z nim, dodał w duchu, z niepokojem. Najgorsze zaś było to, że musiał odrzucać nierozważne pomysły Arkadego, podczas gdy sam niczego bardziej nie pragnął, jak zrobić właśnie to, co tamten proponował.

- A co zrobimy - zapytał Arkady - jeśli oni nie wrócą?

- Jeśli nie wrócą - zaczął Temeraire i przerwał na chwilę, po czym dokończył nieprzekonująco - to wtedy coś wymyślimy.

Nie chciał sobie nawet tego wyobrażać. Raz już myślał, że Laurence nie żyje, i było to tak straszne pod każdym względem, jakby on naprawdę nie żył. Taka myśl sprawiała, że traciło się możliwość rozróżnienia między zdarzeniem powstałym tylko w wyobraźni a prawdziwym, i Temeraire czuł, iż jakiegokolwiek niepotrzebne spekulacje są w tej sytuacji nieco ryzykowne. Wprawdzie wiedział, że Laurence uważa takie obawy za głupie przesady, ale sądził, że nie warto igrać z niebezpieczeństwem.

- Co ten łobuz powiedział? - zapytał Gentius, łypiąc gniewnie na Arkadego swymi

zachodzącymi bielmem oczami; nie był zbyt zadowolony z dodatkowych godzin lotu, które musiał wytrzymać na grzbiecie Armatusa, ani ze stanu ich obozowiska. - Mam nadzieję, że jest chociaż zawstydzony.

- Nie jest - odparł Temeraire - wcale nie jest i wysuwa jeszcze głupie propozycje.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział Gentius. - A teraz omówmy coś innego - dodał, znizywszy głos. - Nie chcę cię niepokoić, Temeraire, ale czy pomyślałeś już o tym, co zrobimy, jeśli oni nie wrócą?

Temeraire rozplaszczyl krezę na karku i nie mogąc opanować przemożnego pragnienia, wzbił się ponownie w powietrze, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy jednak nie nadlatują. Na wschodzie zaczynało się już ściemniać; kiedy wzniósł się już bardzo wysoko, tuż nad zachodnim horyzontem zobaczył niewyraźny błąd księżyc, który właśnie zachodził, i tu, i tam kilka chmur kurzu wzniesionych przez stada bydła. Nigdzie nie było jednak widać żadnego śladu Laurence'a albo Iskierki, ale kiedy spojrzal za siebie, dostrzegł lecącego w ich stronę Winchestera w uprzęży.

Zdyszana Elsie wylądowała na skraju obozowiska.

- Och, myśleliśmy już, że nigdy was nie odnajdziemy: co wy tu robicie? - powiedziała zdyszana. - Szkocja leży w przeciwnym kierunku; zmierzacie z powrotem do Londynu.

- Wcale się nie zgubiliśmy! - odparł Temeraire, raczej chłodnym tonem, gdyż nie przepadał za Elsie. Hollin był bardzo dobrym dowódcą załogi naziemnej. Fełlowes robił, co w jego mocy, ale chyba mniej troszczył się o to, jak uprząż układa się na skórze, a także niezbyt spieszył się z jej zdejmowaniem wieczorami - nie żeby uprząż, którą Temeraire obecnie nosił, szczególnie mu przeszkadzała, ale tu chodziło o zasadę - no i Fełlowes był nieco nudny i nie dało się z nim porozmawiać w chwilach samotności, a poza tym Hollin był pierwszy. Ujmując to wszystko w skrócie, Temeraire wciąż żałował straty, jaką poniósł, gdy Hollin przeniósł się na Elsie. - Nie pomyliliśmy drogi - podkreślił. - Czekamy tu po prostu na Laurence'a i Tharkaya, którzy poszli uwolnić Granby'ego; Iskierka dała się złapać Francuzom.

- O Boże - krzyknął Hollin, zsuwając się z grzbietu Elsie. Na ramieniu miał torbę. - Kiedy poszli?

- Wiele godzin temu - odparł z przygnębieniem Temeraire - ale Laurence powiedział, że najpewniej stracą cały dzień na dotarcie do miasta, a potem, jeśli im się uda ustalić, gdzie jest Granby, nie będą próbowali go uwolnić, dopóki się nie ściemni i większość ludzi nie pójdzie spać, a zatem wcale jeszcze nie spóźnieni; jeszcze mają czas - i nie wspomniał, że mimo własnych słów sam całkiem niedawno wypatrywał ich z góry.

Hollin potarł usta dłonią i powiedział:

- Mam list...

- Jakie to jest duże? - zapytał Temeraire i Hollin wyjął z torby złożoną i zapieczętowaną kartkę papieru, nie tak małą, żeby Temeraire nie mógł jej zobaczyć; ale na pewno nie zdołałby nic z niej odczytać. - Będziesz musiał przeczytać mi to na głos - zdecydował.

- Nie wiem, czy powinienem - odrzekł przeproszającym tonem Hollin. - Widzisz, jest skierowany do kapitana Laurencea.

- Jestem pewny, iż Laurence chciałby, żebyśmy wiedzieli, czy to coś ważnego - powiedział Temeraire. - Zresztą jeśli są to rozkazy dla nas, to przypuszczam, że ktoś, kto nie całkiem rozumie, iż jestem pułkownikiem i dowodzę własnym oddziałem, pomylił się po prostu w adresie.

Hollin popatrzył z wahaniem na innych ludzi, którzy byli na polanie: żaden z nich nie miał stopnia wyższego od porucznika, a i to było wątpliwe.

- Przestań się na nich oglądać - rzuciła z irytacją Perscitia. - To oczywiste, że te rozkazy są dla nas, a my nie możemy ich wykonać, skoro nie wiemy, jakie są; a więc albo nam powiesz, albo wrócisz i dowiesz się, co ten Wellesley chce, żebyś zrobił; ale moim zdaniem tylko go rozzłościś tym, że straciłeś tak dużo czasu na latanie tam i z powrotem.

Hollin wzruszył bezradnie ramionami, ale ten ostatni argument ostatecznie rozwiązał jego wątpliwości. Przełamał zatem pieczęć i przeczytał głośno:

- „Proszę i żądam, żebyście bez zwłoki udali się do Coventry i na nowo przystąpili do pełnienia obowiązków związanych z zabezpieczeniem odwrotu armii, zamiast... - przerwał czytanie, odchrząknął i dokończył - ...zamiast robić jakieś tam cholerne

głupstwa, które właśnie wpadły wam do głów. Nawet jeśli zapomniałeś, na czym skończyła się nasza rozmowa, ja nie zapomiałem, i jeśli chcesz, żeby twoje cholerne smoki dostawały wynagrodzenie, dopilnuj, by wykonywały swoje zadania".

_ Nie rozumiem, dlaczego każdy zakłada, że gnamy sobie w różne strony jak szaleni, nie myśląc o tym, dokąd powinniśmy lecieć - powiedział rozdrażniony Temeraire. - Oczywiście już byśmy tam byli, gdyby Iskierka nie dała się złapać, ale tak się stało i Laurence musiał ruszyć jej na ratunek; a my nie możemy tak od razu stąd odlecieć, ponieważ oni jeszcze nie wrócili.

_ Niektórzy z nas mogliby już wrócić i przyłączyć się do wojska - zasugerowała z pewną nadzieją Perscitia.

- Nie, od teraz trzymamy się wszyscy razem - zdecydował Temeraire - a ponieważ Arkademu, Iskierce i reszcie dzikich smoków nie można już ufać, mają zawsze lecieć na czele, gdzie wszyscy będziemy ich widzieć - dodał i przetłumaczył te słowa Arkademu.

- Pfe! - prychnął lekceważąco Arkady. - Zrobiłbyś to samo co my, gdybyś nie próbował udawać człowieka i nie włókł się tak wolno, jakbyśmy musieli pełzać po ziemi jak oni. Nie mają się na co skarżyć. Kiedy ich zostawiliśmy, nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Gdyby armia Napoleona ich ścigała, w drodze do Londynu byśmy ją zobaczyli, a nigdzie nie było nawet śladu Francuzów.

- Ja bym czegoś takiego nie zrobił - odparował Temeraire - ponieważ nie przyszłoby mi do głowy, żeby odłączyć się od grupy bez powodu i konkretnego pomysłu, co chciałbym zrobić, a tylko dla przyjemności...

- Mieliliśmy wystarczający powód - wszedł mu w słowo Arkady - poleciliśmy, żeby przynieść dla wszystkich jedzenie, które kradną Francuzi...

- Wcale nie! - krzyknął rozwścieczony Temeraire. - Tłuczka Powiedziała nam, że polecieście po zdobycze dla siebie i wcale zamierzaliście się nimi z nami podzielić.

Arkady miał na tyle przyzwoitości, żeby na chwilę przybrać zakłopotaną minę, ale nie więcej.

- No cóż, to był pomysł Iskierki - powiedział, machnąwszy przy tym ogonem, a

Temeraire prychnął z pogardą, po czym zwrócił się do Hollina:

- Ale jedno przynajmniej jest prawdą: przez cały dzień nie widzieliśmy na drogach armii Napoleona, a podczas lotu w stronę Londynu musielibyśmy ich zobaczyć, gdyby kontynuowali pościg. Wellesley nie ma więc powodów do obaw... - Umilkł. Wellesley może nie miał powodów do obaw, ale Temeraire uświadomił sobie, że on ma ich wiele: armia Napoleona musi gdzieś być, a jeśli nie posuwa się właśnie po drogach wiodących z Londynu, to najprawdopodobniej jest w mieście; tam, gdzie są także Laurence i Granby.

Oczywiście nadal nie mógł nic zrobić poza zamartwianiem się: nawet gdyby wyruszyli natychmiast, nie mieli najmniejszej szansy na dotarcie do Londynu przed zmrokiem, a nie potrzebował szeptanych przez zaniepokojoną Perscitia rad, by wiedzieć, że próba dotarcia w nocy do pilnowanego przez Fleur-de-Nuity obozu Francuzów byłaby czystym szaleństwem.

- Ale rano... - zaczął, a potem spuścił głowę, nie kończąc zdania. Nadal będą tam działa, tysiące ludzi i kto wie, ile smoków: to także byłoby całkowicie bezcelowe.

- Może on wróci przed rankiem - powiedziała pocieszająco Perscitia, ale głosem tak ponurym, że nie było żadnej wątpliwości co do jej sceptycyzmu w tej kwestii.

- No cóż - rzekł Temeraire do Hollina - lepiej teraz wracaj i powiedz Wellesleyowi, że przylecimy, jak tylko odzyskam Laurence^, i że nie powinien się martwić o ludzi, o ile oczywiście Napoleon nie kazał przerzucić wszystkich żołnierzy drogą powietrzną na północ, by go zaatakowali - dodał z nadzieją; może właśnie to się stało.

_ Gdyby rzeczywiście to zrobili, zobaczylibyśmy ich po drodze - zauważyła Perscitia, rozwiewając jego złudzenia.

Po odlocie Hollina godziny ciągnęły się w nieskończoność. Temeraire próbował się przespać, ale budził się przy każdym szeleście lub szepcie, i wpatrywał się w ciemność, w której jednak niczego nie zobaczył, a przed świtem był już całkiem przebudzony i zdrętwiały. Dokuczał mu też ból starej rany w piersi, który promieniował na całą szyję, sięgając aż do dolnej szczęki. Spróbował pochylić głowę, żeby pomasażować bliznę nosem, ale jakoś nie mógł tego zrobić: jego

zesztywniała szyja była jakaś dziwna i słyszał trzaskanie kręgów, gdy ją wyciągał. Nie mógł też odpowiednio wygiąć do środka przedniej łapy i w końcu westchnął zniechęcony, po czym położył się znowu na zimnej ziemi, wspominając tęsknie ciepłe kamienie w Loch Laggan oraz pawilony w Chinach.

Po jakimś czasie na zachodnim niebie zobaczył słabą pomarańczowa poświatę, zapowiedź wschodu słońca, i już chciał znowu ułożyć głowę na łapie, kiedy uświadomił sobie, że raczej nie może tego zrobić.

- Och, och! - krzyknął. - Pobudka, wstawać... wszyscy...

I wzbiwszy się w powietrze, poleciał na spotkanie Iskierki, która gnała co sił w skrzydłach w ich stronę, odwracając co jakiś czas głowę, żeby pluć ogniem w pyski ścigających ją smoków. Było ich jakieś siedem lub osiem i wszystkie próbowały się do niej zbliżyć, żeby umożliwić załogom przeprowadzenie abordażu: na jej grzbiecie już walczyła garstka ludzi.

- Laurence! - krzyknął Temeraire i wyteżył wzrok, żeby go dojrzeć pośród niewyraźnych postaci.

Iskierka przemknęła nad nim, a ścigające ją francuskie smoki zaczęły gwałtownie przed nim hamować, robiąc wszystko, żeby na niego nie wpaść. Temeraire otworzył szeroko pysk i zagrział wściekłym rykiem, a główną siłę ataku przyjął na siebie znajdujący się tuż przed nim P?cheur-Rayé. Francuski smok zachwia| się w powietrzu, a potem z nozdrzy trysnął mu strumień krwi którą też nabiegły jego oczy, dziwne, już martwe. Runął w dół koziółkując, a gdy roztrzaskał się na ziemi, jego skrzydła połamały się jak latawce.

W tej chwili u boku Temeraire'a pojawił się Majestatis, a potem dołączyła Ballista: pozostałe francuskie smoki, wszystkie średniej wagi, zawróciły i uciekły. Temeraire wisiał w powietrzu jeszcze przez jakiś czas, dysząc ze zdenerwowania i próbując się zorientować w sytuacji. Requiescat także się już wzniósł, bijąc ciężko skrzydłami i narzekając:

- Po co ten cały hałas? Jest za ciemno, żeby walczyć.

- Nie musimy walczyć - odpowiedział Temeraire. - Oni wszyscy uciekli.

- Och, co za tchórze! - rzuciła Iskierka, która zdążyła zatoczyć krąg i wrócić. - Nie

mieli nic przeciwko walce ze mną, kiedy było ich więcej. - Odwróciła głowę z niepokojem i popatrzyła ostro na Francuzów z oddziału abordażowego na swoim grzbiecie. - Granby, czy dobrze się czujesz? Jesteś pewny, że nie powinnam po prostu zabić tych ludzi?

- Jestem: oni się poddali i teraz są naszymi jeńcami - odparł Granby. - Można za nich dostać okup - dodał znużonym głosem.

- Wolałabym ich zabić niż dostać pieniądze - powiedziała Iskierka. - Oni zrobili ci krzywdę.

- To ty zrobiłaś mu krzywdę-rzucił gniewnie Temeraire - i to po tym, gdy sam ci go dałem - dodał i wyciągnął niecierpliwie łapę, żeby zdjąć Laurence'a z jej grzbietu. - Czy nic ci się nie stało? Dobrze się czujesz?

- Dobrze - odparł Laurence tonem wskazującym na to, że wcale się dobrze nie czuł, ale nie chciał o tym mówić w obecności innych. Temeraire powąchał go ukradkiem i nie wyczuł zapachu krwi, ale było tak ciemno, że nie mógł być pewny, czy nie prze*oCzył jakiegoś obrażenia. - Musimy natychmiast stąd odlecieć - dodał Laurence. - Oni nie zrezygnują z pościgu, a poza tym już zbyt długo zaniedbywaliśmy nasze obowiązki: będą nas szukać.

_ Już nas szukali i Wellesley przysłał bardzo niegrzeczny list - odpowiedział Temeraire, odwróciwszy głowę, żeby mogli porozmawiać, kiedy już wszystkie smoki ruszyły w drogę - który oprócz tego był niezbyt sensowny, ale odpowiedzieliśmy mu, że francuska armia wróciła do Londynu. Jak wydostaliście Granby'ego z niewoli?

- Ktoś nam pomógł - odrzekł Laurence. Patrzył na coś małego w swojej dłoni, co w pewnej chwili zaśniło złociście w świetle brzasku.

- Czy to zdobycz? - zapytał Temeraire z zainteresowaniem, przekrzywiając głowę, żeby się temu przyjrzeć.

- Nie - odpowiedział Laurence.

Powrotny lot był długi, ale przynajmniej przebiegł spokojnie: Iskierka nie sprawiła im więcej kłopotów. Nawet jeśli nie czuła się przywołana do porządku, to była bardzo zatroskana o Granby'ego i pragnęła zrobić niemal wszystko, by go zadowolić, a ponadto Temeraire na wszelki wypadek zmienił porządek lotu, tak że przez cały

czas miał ją na oku.

Leżąca w wewnętrznej kieszeni kurtki obrączka była niczym rozżarzony węgielek i Laurence nie mógł się powstrzymać, żeby jej ciągle nie dotykać. Ciężyła mu niczym wielki głaz, a na dodatek wyczuwał palcami wyschniętą krew Woolveya na swojej ukradzonej koszuli. Próbował nie myśleć o Edith, o tym, jak Przyjmie wiadomość o śmierci męża, i jaki będzie jej dalszy los, wdowy z małym dzieckiem w okupowanym mieście.

- To był dzielny gość, sir - odezwał się Janus: stary marynarz przeniósł się na Temeraire'a, który był mniej obciążony od Iskierki. - Mieliśmy tam pecha.

Laurence tylko pokiwał głową. Nie mógł wrócić; obowiązu nakazywał mu lecieć na północ.

Po południu dogonili korpus Wellesleya i towarzyszyli rrtu przez resztę długiego marszu do obozu pod Coventry, walcząc z przenikliwie zimnym wiatrem wiejącym na południe, przedsmakiem pogody, którą będą mieli w Szkocji. Posuwające się drogą kolumny przygnębionych żołnierzy przyspieszyły, gdy w końcu zbliżyły się do miejsca postoju, gdzie na zmrożonej na kamień ziemi, nad którą wiatr unosił tumany śniegu, czekały ich raczej wątpliwe wygody. Ale przynajmniej wozy toczyły się teraz łatwiej, stukocząc kołami na nierównych koleinach, które powstały, gdy mróz skuł błotnistą drogę.

- Nie rozumiem, dlaczego musimy nad nimi latać - powiedział z niezadowoleniem Requiescat, zataczając kolejny krąg. - Tam pod nami jest ładna polana: stamtąd równie dobrze zobaczylibyśmy, gdyby ktoś zaatakował, a do tego zresztą i tak nie dojdzie, gdyż przez ostatnie sto mil nie widzieliśmy nikogo.

- Nie wolno nam wylądować, dopóki piechota nie rozbije obozu - odparł Temeraire, a potem odwrócił głowę do tyłu i zapytał cicho: - Laurence, dlaczego nam nie wolno?

- Im było znacznie trudniej iść niż nam lecieć - odpowiedział zmęczonym głosem Laurence - i jeszcze gorzej będzie się im spało. Chociaż tyle możemy dla nich zrobić w geście solidarności, że będziemy ich chronić, dopóki nie rozstawią straży i nie rozpalą ognisk. Jeśli polecicie na wypoczynek, kiedy oni jeszcze się trudzą z urządzaniem tego miejsca, wzbudzi to tylko zazdrość i niezadowolenie.

- No cóż - powiedział Temeraire - ja mogę się unosić w powietrzu niemal w miejscu, ale dla innych nie jest to takie łatwe; lepiej by było, gdybyśmy tam wylądowali i pomogli im- Moglibyśmy powyrywać drzewa, żeby mieli drewno na ogniska-

Laurence otworzył usta, aby powiedzieć, że ludzie wpadliby -tedy w pan'kę, ale popatrzywszy w dół na szeregi wymęczonych żołnierzy, pomyślał, że nie będą mieli sił uciekać, nawet jeśli ogarnie ich przerażenie.

_ Może mniejsze smoki ich nie wystraszą - powiedział. - Niech zaczynają.

Temeraire odwrócił się i przemówił do dzikich smoków Ar- kadego. Gherni wybrała kilka z nich, najmniejszych, i wszystkie wylądowały przy lesie, z którego zaraz zaczęły wyciągać stare, martwe drzewa. Następnie, otrząsnąwszy je z ziemi, igieł, a także wiewiórek, uniosły po dwa i trzy naraz, i ruszyły w stronę obozu. Żołnierze, którzy mechanicznie rąbali zmarzniętą ziemię, kopiąc rowy, nie zauważyli początkowo tego, co działo się za ich plecami, i zdali sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy pierwsze pnie wylądowały z hukiem obok nich. Zamarli wtedy wszyscy i ściskając w dłoniach trzonki łopat i oskardów, wpatrywali się rozszerzonymi z przerażenia oczami w smoki. Lester, który właśnie wylądował, popatrzył na nich z zaciekawieniem, a potem pochylił głowę, żeby przyjrzeć się z bliska ziemi, i zapytał ich o coś w swoim języku.

- Chcę wiedzieć, dlaczego kopią - przetłumaczył Temeraire, po czym krzyknął: - Nie, nie...

I sam poleciał na dół, budząc jeszcze większe przerażenie żołnierzy, żeby powstrzymać Lestera, który właśnie chciał podnieść jednego z nich z ewidentnym zamiarem wytrząśnięcia z niego odpowiedzi, jakby naprawdę wierzył, że skłoni go w ten sposób do mówienia w smoczym języku.

- To na latryny, przestań zadawać głupie pytania - poinformował Lestera i odwróciwszy głowę w stronę Laurence'a, dodał: - i przypuszczam, że w tym także moglibyśmy im pomóc: mogę zrobić to, co Lien zrobiła w Gdańsku.

Kiedy Francuzi prowadzili prace oblężnicze, smoczyca posłużyła się boskim wiatrem, żeby rozkruszyć zmarzniętą ziemię i ułatwić ludziom kopanie. Zanim

jednak Temeraire'owi udało się osiągnąć ten sam rezultat, musiał próbować kilka razy, obalając przy okazji co najmniej pięćdziesiąt drzew w lesie, gdyż nie potrafił zmniejszyć siły swego ryku.

- To nie jest takie łatwe, jak wygląda - wysapał, kiedy już trochę uspokoił oddech. - Wydawało mi się, że łatwiej jest ryknąć tylko trochę niż z całej siły, ale wcale tak nie jest. Nie rozumiem dlaczego. Nie żebym - dodał pośpiesznie - nie potrafił zrobić tego doskonale: jeśli Lien może, mogę i ja.

- Skoro masz z tym kłopoty, to ja też pomogę - oświadczyła Iskierka, lądując obok nich, i zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, schyliła głowę i plunęła ogniem na zlodowaciałą ziemię.

Z miejsca, w które trafiła, uniósł się wielki kłęb syczącej pary, ale większość płomieni po prostu polizała twardą powierzchnię ziemi i rozeszła się na obie strony. Na szczęście kopacze odsunęli się już na bezpieczną odległość, skąd dość nerwowo obserwowali ze swoimi oficerami przebieg wydarzeń, i dzięki temu nie zostali poparzeni; ale zapalił się stos drzew, które powalił Temeraire.

- Zobacz, co zrobiłaś - powiedział Temeraire. - Szybko - krzyknął do innych smoków - przynieście ziemię i zasypcie ogień.

- Poczekajcie - zawołała Perscitia, lądując obok niego. - Jeśli ułożymy te drzewa tam, gdzie oni chcą wykopać rowy, ogień stopi lód i rozmiękczy ziemię, a ludzie podczas oczekiwania będą się mogli ogrzać.

- Widzisz, wszystko wyszło dobrze - powiedziała Iskierka do Temeraire'a i dodała bezwstydnie: - Tak jak to chciałam zrobić.

Rozpłaszczył krezę na karku i odparł:

- W takim razie pomóż przenosić te drzewa na miejsce, skoro byłaś taka mądra i podpałałaś je, zanim zostały odpowiednio ułożone.

Laurence zsunął się z grzbietu Temeraire'a, kiedy smoki wzięty się do pracy, i podszedł do sierżanta oraz jego ludzi, żeby im wytłumaczyć cały plan.

_ One tu nie przyjdą? - zapytał mężczyzna, pocierając nerwowo brudną dłońią swój jasny wąs, na którym zostawił ślady błota; tylko to chciał wiedzieć.

_ Nawet jeśli się do was zbliżą, nie zrobią wam żadnej krzywdy - zapewnił go

Laurence, któremu zaczynało już brakować cierpliwości - no i oszczędzą wam pół dnia ciężkiej pracy. Przekonacie się, że kiedy te pnie się wypalą, łatwiej wam będzie kopać. Możecie też porąbać potem resztki drewna na ogniska, dzięki czemu będzie wam dziś w nocy o wiele cieplej, niż myśleliście.

W tej chwili nadjechał Wellesley na karym koniu, nad którym z trudem panował, gdyż widok smoków i płomieni płoszył zwierzę.

- Co wy tu, do diabła, robicie? - warknął. Nie czekając na odpowiedź, rzucił okiem na roboty i chrząknął ze zrozumieniem. - Widzę, że jesteście sprytni jak lisy - powiedział. - No cóż, nie stójcie tam - zwrócił się do sierżanta. - Zbierzcie resztę tego chrustu. Goren, przeniesiemy rannych tutaj, jak najbliżej ognisk. Przynajmniej oni nie mogą wstać i uciec od smoków jak reszta tych głupków: połowa z nich nie ma już nóg. A co do ciebie i twoich smoków - przemówił do Laurence'a - skończcie tutaj to, co zaczęliście, i za godzinę, nie później, macie być na polanie. Chcę sobie z wami porozmawiać i nie życzę sobie, żeby mi przerywano.

Po tych słowach generał odwrócił gwałtownie konia i odjechał, a za nim popędzili jego adiutanci. Laurence wrócił do Temeraire, który pchał kilka ostatnich drzew, odłamawszy z nich gałęzie, żeby nie przypalić sobie pazurów: żar bijący od ognia był już bardzo silny. Demane już zsiadł z jego grzbietu i gdzieś zniknął, jak to miał w zwyczaju robić, kiedy tylko choćby na pięć minut znaleźli się na ziemi.

- Roland, sprowadź go tutaj - rozkazał Laurence i czekał klepiąc się niecierpliwie ręką po udzie, aż wyszła z lasu jakieś dziesięć minut później, ciągnąc za sobą Demane: przez ramię miał przewieszony sznur królików i wiewiórek, które zdążył już zebrać w zniszczonej przez smoki części lasu, i nie wyglądał na zadowolonego z tego, że mu przerwano.

- Rozstawcie namiot w obozie, z łaski swojej - polecił im Laurence - a potem sprawdźcie, co można zrobić, żeby smoki dostały jedzenie. Janus, jestem pewny, że możesz się przydać panu Fellowesowi lub panu Dorsetowi.

- Tak jest, sir! - odparł Janus.

- Możesz tu pracować, dopóki nie skończą, jako że to był twój pomysł - powiedział Temeraire do Iskierki, dosyć zadowolony z siebie, i poleciał z Laurence'em na

polanę, gdzie Ballista wyrywała kolczastym ogonem cierniste krzaki, żeby było im wygodniej. Perscitia zdążyła tymczasem rozpaść imponujące ognisko z ułożonych na kształt namiotu drzew, chociaż teraz zerkała z lekkim niepokojem na szalejące płomienie, które sięgały znacznie wyżej niż jej głowa.

- Ładny sygnał - powiedział sarkastycznie Wellesley, kiedy wszedł na polanę. - To miło z waszej strony, że postanowiliście oszczędzić Bonapartemu trudu odnalezienia nas w ciemnościach.

- Sami rozpaliliście kilkanaście ognisk poza wzgórzem, P° drugiej stronie obozu, więc nie sędzę, by to, że nasze jest nieco większe, coś tu zmieniło - próbowała się bronić Perscitia, chociaż jej opis sytuacji był poważnym niedopowiedzeniem. - A poza tym - dodała w przypływie natchnienia - to ognisko jest tak jasne, że Fleur-de-Nuity nie zblizą się do nas; blask będz'e tak bardzo raził je w oczy, że niczego więcej nie zobaczą.

Wellesley skwitował prychnięciem te usprawiedliwienia, po czym zwrócił się do Laurence'a:

Przypuszczam, że ty masz dla mnie jakieś inne sprytne wyjaśnienie...

gjr _ wszedł mu w słowo Granby - to ja ponoszę winę za to że pozwoliłem Iskierce uciec razem ze mną...

Myślę, że nie brakuje wam win, które możecie między siebie rozdzielić - przerwał mu uszczypliwie Wellesley.

_ To wcale nie jest wina Granby'ego! - rzuciła Iskierka, która podsłuchała ich rozmowę. - Wcale mu się nie podobało, że oddaliliśmy się od reszty, i bardzo teraz żałuję, że sprawiłam mu przykrość; ale nie rozumiem, dlaczego powinniśmy się wlec za wami jak tchórze, kiedy w pobliżu przez cały dzień nie ma nikogo, z kim można by powalczyć. Jeśli mamy was ochraniać, powinniśmy szukać tych, którzy zamierzają was zaatakować, i zabijać ich, zanim zrealizują swój plan. Moja decyzja była zatem zupełnie rozsądna, a że wpadliśmy im w ręce, to już był zwykły pech. Mimo to wszystko skończyło się dobrze, nie masz więc żadnego powodu, by krzyczeć.

- Tak, zaczynam wierzyć, że twój kapitan może być całkowicie niewinny - rzekł Wellesley, przyglądając się jej z uwagą. - Nazywasz się Granby, tak?

- Tak jest, sir - odparł załośnie Granby.

- Następnym razem, kiedy to stworzenie nie posłucha twoich rozkazów, wypuścisz je na wolność - powiedział Wellesley. - Ty i twoja załoga dostaniecie inny przydział; co do niej, me dbam, czy polecą na tereny rozplodowe czy gdzieś za morze. Jeśli nie wykonuje rozkazów, jest nieprzydatna, a nawet gorzej niż nieprzydatna, gdyż z jej powodu musimy narażać na niebezpieczeństwo dobre smoki dla uratowania złego.

~ Och! - sapnęła Iskierka, wypuszczając z sykiem kłęb pary. - Wcale nie jestem nieprzydatna! Wzięłam więcej pryzów niż inni i mogę pokonać każdego, kto spróbuje się ze mną zmierzyć

- Przechwałki nie robią na mnie wrażenia - przerwał jej Wellesley. - Jesteśmy tutaj po to, żeby wygrać wojnę, a nie pojedynczą bitwę czy też prywatną bijatykę; i każdy smok, podobnie jak każdy człowiek, może być spisany na straty. Nasz kraj radził sobie do tej pory bez smoków Niebiańskich i zionących ogniem, i nadal będziemy sobie radzić bez was, jeśli okaże się to konieczne. Jeśli rwiesz się do walki, znajdziesz do niej okazję, kiedy będziemy gotowi wydać bitwę Francuzom. Do tego czasu masz się dobrze zachowywać albo możesz oddać twojego kapitana i opuścić nasze szeregi; znajdziemy dla niego inne zajęcie.

- Granby, ty byś nigdy... - zaczęła, a biedny Granby, blady i wymizerowany, wyprostował się, popatrzył na Wellesleya, po czym powiedział cicho:

- Kochana, jestem królewskim oficerem.

Laurence odwrócił wzrok. Nie wiedział, czy sam przeszedłby podobną próbę. Temeraire był tak samo uparty i samowolny, a jego nieposłuszeństwo było bardziej przemyślane i pociągnęło za sobą poważniejsze konsekwencje niż wybryk Iskierki. Ale gdyby Wellesley lub którykolwiek z jego przełożonych rozkazał mu porzucić Temeraire'a, wydał mu prosty, jasny rozkaz przejścia do innych obowiązków...

Z gardła Iskierki wydobył się straszny, zawodzący jęk, po czym wyrzuciła z sykiem kłęb pary tak gęstej, że zasłoniła ziemię wokół jej łap. Następnie przeskoczyła na drugą stronę polany, gdzie zwinęła się w ciasny kłęb. Arkady dopadł do niej

bezzwłocznie i zaczął coś pospiesznie mówić w smoczym języku.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby odleciała z nimi - powiedział Temeraire, nasłuchując - i jeśli chcecie wiedzieć, uważam, że zasłużyła sobie na to. Będę bardzo szczęśliwy, kiedy do mnie wrócisz, Granby - dodał.

Przepraszam - powiedział Granby, który wyglądał jeszcze żałośniej niż przedtem, i pobiegł do niej na drugą stronę polany.

Kto jak kto, ale ty masz cholernie małe prawo ją krytykować - warknął Wellesley do Temeraire'a.

- Ja nie uciekam dla przyjemności! - odparł oburzony Temeraire - Nigdy nie byłem nieposłuszny, chyba że ktoś chciał mi zabrać Laurence'a albo go skrzywdzić; i wtedy gdy rząd próbował wymordować wszystkie smoki na świecie.

- A więc nie wykonałeś rozkazu lub dopuściłeś się zdrady tylko z tuzin razy, czy coś koło tego, prawda? - zapytał oschle Wellesley. - Nie, nie zdzieraj gardła i daj mi spokój z resztą swoich usprawiedliwień. Róbcie tak dalej, pod moją komendą, a potraktuję moje obietnice równie nonszalancko, jak wy traktujecie swoje obowiązki: zrozumieliście mnie? Wy obaj - dodał - gdyż widzę, że nie mogę złożyć całej winy na barkach twojego opiekuna i nawet nie zamierzam próbować wskazywać, który z was ponosi większą.

- Tak jest, sir - odpowiedział spokojnie Laurence.

- Ale dziś nie zrobiliśmy niczego złego: to wszystko się stało dlatego, że Iskierka uciekła - zaprotestował Temeraire. - To nie moja wina ani Laurence'a.

- A właśnie, że twoja, do cholery, jeśli jesteś jej dowódcą - odpalił Wellesley. - Nie chcę więcej słyszeć, jak obarczysz winą któregoś ze swoich podwładnych.

- Och - mruknął Temeraire, poskromiony i lekko zawstydzony.

- A teraz - powiedział Wellesley - jeśli już skończyłeś z tym odszczekiwaniem, przejdźmy do rzeczy. Skoro spędziliście pół dnia na lataniu tam i z powrotem, zamierzam przynajmniej wy- Clągnąć z tego jakąś korzyść. Gdzie biwakował Davout i z jakimi s'łami nas ściga?

- Ale przecież Hollin miał wam to powiedzieć - odparł Temeraire. - Oni wszyscy wrócili do Londynu.

- Wczoraj rano podążało za nami trzydzieści tysięcy ludzi rzekł Wellesley. - Nie dbam o to, czy Bonaparte pogania ich batami od rana do wieczora i wykorzystuje smoki do dostarczania zaopatrzenia, ale nie mogli wszyscy wrócić do miasta w jeden dzień. Musieliście widzieć przynajmniej jakieś ślady ich obecności, pikiety lub ogniska...

- Sir - wtrącił się Laurence - nikt z nas nie widział żadnych śladów, ani te smoki, które odleciały wcześniej, ani my, kiedy pogoniliśmy za nimi. Widzieliśmy pułki Davouta rozbijające obóz pod Londynem, a Murat też był w mieście.

- A ja już wam wszystkim powiedziałem - dodał Temeraire - że oni mogą pokonać pięćdziesiąt mil dziennie; widzieliśmy, jak to robią, więc...

- Przenieść na grzbietach smoków brygadę lub dwie to jedno - przerwał mu zniecierpliwiony Wellesley - a czymś innym jest przetransportowanie całej armii: nawet na największego smoka nie da się wsadzić więcej niż dwustu ludzi.

- Oni tak tego nie robią - wtrąciła się niespodziewanie Perscitia. Inne smoki przysłuchiwały się tej wymianie zdań z plotkarskim zainteresowaniem, ale trzymały się nieco z tyłu; tylko ona wyciągnęła szyję, żeby się włączyć do rozmowy. - To nie polega na tym, że smoki biorą po stu ludzi i lecą z nimi przez cały dzień. Nie, one niosą ich tak daleko, jak tylko mogą, ale przez godzinę, a potem zostawiają na ziemi i ci ludzie zaczynają maszerować dalej. A smoki wracają, biorą znowu po stu żołnierzy, którzy, rozumiecie, przez cały czas maszerowali, a więc nie są już tak daleko, jak byli na początku, i niosą ich do przodu przez następne...

- Czekaj, one wracają? - zapytał Requiescat i zirytowana Perscitia musiała przerwać, żeby nakreślić pazurem na ziemi diagram pokazujący, jak kolejne kompanie są przenoszone skokami przed te, które były przed nimi, przy czym każdą z nich przez dwie godziny niosą smoki.

I tak dalej, aż każdy zostanie przeniesiony kawałek drogi, przy okazji odpoczywając - mówiła dalej Perscitia - dzięki czemu ludzie mogą przejść trzydzieści mil, zamiast dwudziestu, a że smoki przenoszą ich o kolejne dwadzieścia, cała kompania pokonuje w sumie pięćdziesiąt.

Zakończyła tryumfalnym tonem, ale zaraz się nabzdyczyła oburzona, kiedy

Requiescat powiedział:

_ Wydaje mi się, że to zbyt wiele zawracania głowy po to, żeby zyskać dodatkowe dwadzieścia mil; nawet ja mogę tyle przelecieć w godzinę lub dwie.

Jednak Wellesley potraktował jej wyjaśnienia z większym zrozumieniem i uznaniem. Studiował przez chwilę diagram z wyrazem głębokiego skupienia na twarzy, a potem powiedział:

- A więc o tym Roland ciągle mówi, prawda? - Popatrzył na Laurence'a i dodał ostro: - A czy twoje smoki mogą zrobić to samo?

- Jeśli tylko ludzie nie będą się bali wejść na ich grzbiety - odparł Laurence.

- Wejdą, jeśli zagrozę, że każę ich rozstrzelać - rozwiął jego wątpliwości Wellesley.

Jednak mimo srogich zapowiedzi następnego ranka stanął przed zwartymi szeregami żołnierzy z pułku Coldstream Guards i przemówił do nich osobiście. W pewnej odległości za nim czekało siedem Yellow Reaperów i trzy Grey Coppery, wszystkie zwrócone w drugą stronę, żeby nie było widać ich szczęk i zębów. Miały na sobie prowizoryczne uprząże transportowe ze sznurów i tkaniny workowej, a adiutanci generała bez przerwy wspinali na ich grzbiety - jedynie w celu uzyskania efektu dramatycznego, jako że wytrzymałość uprząży została już dokładnie sprawdzona przez same smoki.

~ Żołnierze - zaczął Wellesley - nasza sytuacja jest cholernie °Ptakana. Korsykański parweniusz sypia w łóżu naszego króla, a jego zbiry kradną bydło i niszczą zbiory. To więcej niż może znieść każdy pełnokrwisty Anglik, a ponieważ tylko takich widzę przed sobą, razem z tym skończymy.

- Tak jest - odpowiedziało mu kilka głosów. - Dobrze mówi

I przez szeregi żołnierzy przebiegł pomruk aprobaty, w którym można było wyłowić powtarzające się słowo „racja!”

- Każdy z was wie, że oni nie mogą was pokonać w równej walce, a teraz dowiedzieliśmy się także, że wcale szybciej od was nie maszerują. Tak nam się wydawało, ale teraz wiemy, że to jedna ze sztuczek Bonia. Tych cholernych, leniwych Francuzów przez połowę drogi niosą smoki i dlatego udawało im się

czasem nas zaskoczyć. - Wellesley wskazał głową smoki. - Najwyższy czas położyć temu kres i wasz pułkownik poprosił o to, by wasz pułk miał zaszczyt wyruszyć na smokach jako pierwszy. Tam w górze nie jest zbyt przyjemnie, więc liczę na was, że będziecie przykładem dla reszty korpusu. Kiedy sierżanci wydadzą rozkaz, ruszycie w stronę smoków, każda kompania do innego. Każda kolumna podejdzie do jednego boku i zacznie wchodzić na uprząże od przodu. Pierwsza kompania, która w dobrym porządku zajmie miejsce na grzbiecie swojego smoka, będzie miała honor nieść sztandar, kiedy w końcu sprawimy Boniowi tak bardzo zasłużone lanie, a każdy z jej żołnierzy dostanie dodatkową porcję rumu w obozie jeszcze dziś wieczorem. Mam także nadzieję, że nie ma wśród was ani jednego człowieka, który nie dorównuje odwagą Francuzom, ale jeśli jest tutaj ktoś tak tchórzliwy, że boi się spędzić godzinę w powietrzu, może teraz o tym powiedzieć i zostanie zwolniony z tego zadania.

Po tych słowach skinął głową do dowódcy pułku, odwrócił się i podszedł do smoków, gdzie zaczął ostentacyjnie rozntf- wiać z Rowleyem. Nikt się nie odezwał i żołnierze w idealny111 porządku - a nawet z pewnym pośpiechem - zajęli miejsca na grzbietach smoków. Reszta armii obserwowała załadunek i odlot smoków z gwardzistami, którzy potrzebowali tylko niewielkiej zachęty ze strony sierżantów, by radosnymi okrzykami pożegnać maszerujące w dole pułki.

W ciągu pierwszych kilku dni panował zamęt związany głównie z kwestią dostarczenia żołnierzom wieczorem zaopatrzenia i więcej niż jedna z racji żywnościowych gdzieś się zawieruszyła; nie udawało się też im pokonać więcej niż dziesięciu mil ponad normalną odległość, a w brygadach na drodze panował koszmarny bałagan, gdyż część pułków deptała sobie po piętach, podczas gdy inne dzieliło wiele mil. Smoki też nie były zbytnio zadowolone.

- Jeden z nich dźgnął mnie bagnetem - zalił się z oburzeniem Chalcedony - a kiedy się odwróciłem i powiedziałem mu, żeby przestał, wrzasnął; ma szczęście, że go nie zrzuciłem.

Stopniowo zaprowadzono jednak pewien porządek i ostatecznie okazało się, że marsz, który powinien potrwać cały długi miesiąc, został ukończony w dwa tygodnie.

Zalety powietrznego transportu stały się dla wszystkich jeszcze bardziej oczywiste, kiedy przechodzili przez góry i smoki przenosiły ludzi przez najgorsze odcinki drogi, wszędzie tam, gdzie śnieg i lód uczyniły ją nie do przebycia. W miarę jak posuwali się na północ, zima srożyła się coraz bardziej, aż w końcu pewnego jasnego poranka zobaczyli przed sobą szczyt Cairngorm, zadziwiająco blisko, ' zamrożone Loch Laggan, z górującą nad jeziorem cytadelą.

- Och, nareszcie - westchnął z ulgą Temeraire, patrząc w dół na dziedziniec, którego ogrzewane, kamienne płyty były ciemne i wolne od śniegu.

Jednak Laurence patrzył na coś innego: na dziedzińcu był Już smok, Papillon Noir, o ciele ozdobionym niebiesko-zielonymi Pręgami, które przepięknie opalizowały. Leżał wygodnie zwi- 'ty na kamieniach, a na jego barkach powiewały dwie flagi, biała i trójkolorowa.

Rozdział 12

T

emeraire odetchnął z ulgą, kiedy dostarczył na miejsce ostatni ładunek ludzi i zaopatrzenia. Rozumiał oczywiście konieczność posuwania się w tempie tak szybkim jak armia Napoleona, a jeśli miał początkowo jakieś wątpliwości, rozwiały je obliczenia Perscittii, która wszystkim jasno wykazała, jak błyskawicznie różnica trzydziestu mil, nawet gdy wydaje się, że to tylko kilka godzin lotu, sumuje się dzień po dniu. Jednak to krążenie tam i z powrotem, wyładowywanie ludzi i powroty po nowych, było bardzo uciążliwe. Uczepieni prowizorycznych uprząży żołnierze uniemożliwiali szybki i swobodny lot, no i dochodziły do tego te wszystkie nieprzyjemności związane z ich słabymi żołądkami. Jego własna załoga potrafiła wykonywać swoje obowiązki, nie brudząc go, nawet mała Roland, a ponieważ pasażerowie przebywali na jego grzbiecie za każdym razem tylko przez godzinę lub dwie, Temeraire uważał, że prosząc ich o to, by się powstrzymywali, nie popada wcale w przesadę, nawet jeśli byli dość mocno stłoczeni. Ale niektórzy z nich po prostu nie potrafili nad sobą zapanować i wystarczyło, że lekko zanurkował, by chwycić w skrzydła jakiś korzystny wiatr, lub dał się ponieść prądowi wstępującemu, a mógł być pewny, iż znowu zachlap'3 go swoimi wymiocinami. A najgorsze w tym

wszystkim było to, że z powodu łusek pokrywających jego ciało, potrzebował co najmniej tygodnia kąpieli, zanim znowu poczuje się czysty. Ale jezioro było całkowicie zamrożone, więc tymczasem musiał się zadowolić tarzaniem w gęstym śniegu na szczycie jednego i pobliskich wzgórz.

Obóz rozbijano przez cały dzień, w miarę jak smoki dostarczały drogą powietrzną coraz to nowych ludzi, i kiedy roboty dobiegły końca, oficerowie w regularnych odstępach czasu wspinali się grupami na wzgórze, żeby się pożywić w cytadeli. W Loch Laggan było duże stado bydła i kiedy wszystkie smoki już się najadły, wzbily się w powietrze i popisując się skomplikowanymi manewrami, starały się wynegocjować dla siebie jak najlepsze miejsca lądowania na wzgórzu, a zwłaszcza to, czy będą one na dziedzińcu, co było najbardziej pożądane, w jego pobliżu czy też na leżących dalej polanach.

- Czy myślisz - powiedział Temeraire półgłosem do Larrence'a, kiedy już z przyjemnością ułożył się na rozkosznie gorących kamieniach - czy myślisz, że Celeritas wybaczył mi moje kłamstwa?

Położył głowę na kłębowisku smoków średniej wagi, które próbowały wepchnąć się między niego a Requiescanta i Ballistę oraz wielce zadowolonego z siebie Armatiusa, który dzięki Gen-tiusowi wciąż drzemiącemu na jego grzbiecie zyskał prawo do zajęcia miejsca między najcięższymi ze swych towarzyszy. Smoki lekkie i kurierskie przycupnęły na murach i czekając, aż część średnich zrezygnuje z bezowocnych wysiłków, przygotowywały się do rozpoczęcia własnych kłótni o miejsca.

Majestatis zignorował to zamieszanie i położył się za murem otaczającym dziedziniec, na południowej stronie. Temeraire słyszał wymianę zdań między nim a oburzoną jego postawą Perscitią.

- Powinieneś zająć miejsce na dziedzińcu - powiedziała.

- Tutaj jest mi bardzo wygodnie - odparł spokojnie Majestatis.

- Na dziedzińcu byłoby ci bardziej wygodnie - upieraj się - i miałbyś tam miejsce, gdybyś tylko lekko popchnął innych nie potrzebujesz tego.

- Ale to mi się podoba i nie muszę nikogo popychać, żeby je mieć - odpowiedział. - Ziemia jest tu ciepła.

- Pewnie nawet nie wiesz dlaczego - syknęła nadąsana

- Gorąca woda płynie do łaźni także pod tą częścią wzgórza - wyjaśnił Majestatis.

Zapadło krótkie milczenie.

- Tak - odezwała się w końcu Perscitia - ponieważ to jest niższa strona stoku i woda musi gdzieś spływać, ale jak ty na to wpadłeś?

- Z tamtej szczeliny w ziemi wydobywa się para.

- Ach! - mruknęła pod nosem.

- Położę się teraz spać - poinformował ją. - Nie mam nic przeciwko temu, gdybyś się chciała też tutaj położyć.

- Nie chcę się tutaj kłaść - rzuciła ze złością, ale w odpowiedzi usłyszała tylko niski dudniący oddech, więc pozrządziła jeszcze trochę, po czym najwyraźniej pogodziła się z sytuacją: oboje zaczęli donośnie chrapać, jeszcze zanim kłótnie na dziedzińcu zakończyły się zaprowadzeniem jakiegoś porządku.

Nigdzie jednak nie było widać Celeritasa. Stary instruktor nie sypiał oczywiście na dziedzińcu, lecz w prywatnej jaskini na zboczu góry; ale mógłby się pokazać, żeby ich wszystkich zobaczyć, myślał z pewnym niepokojem Temeraire. Dręczyło go sumienie, ponieważ musiał okłamać Celeritasa, kiedy przy' byli z Laurence'em do Loch Laggan po grzyby, i nie miał do tej pory okazji, żeby go należycie przeprosić. Był zupełnie pewny, że po przeprosinach stary instruktor wykaże zrozumienie i "a wyraz swojej aprobaty dla jego działań - a przynajmniej m'a' taką nadzieję, gdyż każdy może się dziwnie zachować; a p°za tym Celeritas mógł być nadal zły, że go okłamali i wykorzystali ? 00 zaufanie, by podstępem dostać się do cytadeli.

_ Nie ma go już tutaj - poinformował go jeden z Winchesterów: żaden z tych, które Temeraire znał, mały smok kurierski 0 bystrym spojrzeniu, który przysiadł na murze za nimi, żeby uniknąć zamieszania wywołanego przez przybyszy. - Myślę, że poleciał na tereny rozplodowe w Irlandii.

_ Ale dlaczego Celeritas miałby lecieć na tereny rozplodowe - zdziwił się głośno Temeraire, a mały Winchester tylko wzruszył skrzydłami. - Na terenach rozplodowych jest bardzo nudno - powiedział Temeraire do Laurence'a. - Nie rozumiem, dlaczego miałby rezygnować ze stanowiska, które miał tutaj.

Laurence nie odzywał się przez chwilę, a potem powiedział, bez większego przekonania:

- Może się zmęczył pracą.

Nie dodał niczego więcej, niczego uspokajającego, i Temeraire popatrzył na niego ukradkiem. Laurence siedział na jednej z niskich ławek pod murem i znowu patrzył na złotą obrączkę, którą przyniósł z Londynu. Nie powiedział, skąd ją ma, i Temeraire trochę bał się go o to pytać. Najgorsze, że Laurence był wyraźnie bardzo nieszczęśliwy, a smok nie rozumiał dlaczego: są przecież razem, nigdzie nie uwięzieni, i już wkrótce czeka ich wspiana bitwa o odzyskanie utraconego terytorium, a potem rząd da im dużo pieniędzy. Nie ma więc żadnych powodów do zmartwień, może z wyjątkiem tego, że w ogóle musieli się aż tak daleko wycofać; ale reszta się ułoży.

Temeraire westchnął i poinformował sprzeczące się Reapery:

~ I tak będziecie musieli zostawić trochę wolnego miejsca. Wkrótce przyleci tu Maksimus i reszta Korpusu; no i czy Lily nie Powinna już tutaj być?

Laurence uniósł głowę.

- Oni wszyscy powinni tu być - powiedział. - Lecieli przed nami.

Poszedł do cytadeli, żeby dowiedzieć się od oficerów, gdzie jest reszta Korpusu; a tymczasem Chalcedony, Gladius i Cantarella ostatecznie pokonały inne Reapery i usadowiły się na dziedzińcu, dzięki czemu Grey Coppery, Winchestery oraz dzikie smoki mogły się powciskać między te większe, i już po chwili wszystkim było ciepło i przyjemnie na rozgrzanych kamieniach. Temeraire'owi, na którego grzbiecie ułożyły się Moncey i Minnow, było zupełnie wygodnie i już się gotował do drzemki, kiedy Papillon Noir uniósł głowę i powiedział:

- Jak tu przyjemnie! Prawie tak, jak w pawilonach, które cesarz zbudował dla nas w Paryżu.

Mówił po angielsku, z osobliwym akcentem, i wiele z leżących w pobliżu smoków uniosło głowy z zaciekawieniem.

- Są oczywiście dużo większe - podjął Papillon - i nikt nie musi spać na zewnątrz, jeśli nie chce; i jest jeszcze uroczy strumyk, który płynie obok nich, jeśli więc komuś

zechce się pić, musi tylko wyciągnąć szyję. Ale tu jest tak samo ciepło, przynajmniej wtedy, kiedy nie pada deszcz lub śnieg.

Rzeczywiście w tej chwili zaczął padać drobny śnieżek, którego płatki natychmiast topniały na kamieniach.

- Przypuszczam - odezwał się Temeraire dość chłodnym tonem - że on kopiuje chińskie pawilony, które są po prostu wspaniałe.

- Tak, właśnie - odparł z entuzjazmem Papillon - chociaż madame Lien mówi, że zbudował je tak, iż są nawet wygodniejsze. I mamy skrzynie w tych pawilonach, do których możemy chować nasze skarby, a straż pałacowa pilnuje ich przez cały czas, kiedy nas nie ma.

- Hm, i pewnie niczego nie podkradają, co? - powiedział sceptycznie Gentius, otwierając lekko jedno oko.

_ Nie, nigdy - zaprzeczył Papillon. - Ja mam tam trzy złote łańcuchy i rubin, i zawsze leżą tak, jak je zostawiłem; wartownicy nawet je dla mnie polerują, jeśli ich o to poproszę.

Teraz, kiedy padły słowa „trzy złote łańcuchy i rubin”, wszystkie smoki były już całkiem rozbudzone.

_ Otrzymałem je - wyjaśnił Papillon, widząc, że przykuł uwagę słuchaczy - za pomoc przy budowie niektórych dróg i za udział w walkach. Za to ostatnie zostałem też awansowany na kapitana - powiedział z dumą, pokazując piękną odznakę przypiętą do uprząży: dysk z jakiegoś lśniącego metalu. - I wszyscy, którzy służą cesarzowi, mogą to mieć - dodał znacząco.

Temeraire położył krezę na karku.

- Oczywiście jeśli nie mają nic przeciwko pomaganiu komuś, kto kradnie terytoria należące do innych, chociaż ma dużo swoich, i żeby to osiągnąć, zabija mnóstwo ludzi oraz smoków - rzekł chłodno. - Poza tym my też dostajemy zapłatę; a ja zostałem pułkownikiem.

- Moje gratulacje! - powiedział Papillon. - Ile do tej pory ci zapłacili? - Kiedy nieco zakłopotany Temeraire zaczął mu to z pewnym trudem wyjaśniać, Papillon stwierdził: - No tak, jestem pewny, że cesarz zapłaciłby ci od razu i dałby ci nawet

wyższy stopień.

Wokół rozległ się cichy szmer głosów smoków, które przysłuchiwały się tej rozmowie. Temeraire przechylił głowę w bok i trącił nią małą Roland, która odrabiała właśnie niechętnie lekcje z Demane i Sipho - robiła to nie tyle z własnej woli, co na skutek nalegań Sipho, który zaczynał prześcigać w nauce nie tylko swojego starszego brata, ale i ją, czemu się nawet zbytnio nie dziwiła, gdyż nigdy jej nie ciągnęło do książek.

- Lepiej pójdz i powiedz Laurenceowi, że ten francuski sniok składa nam najróżniejsze obietnice, które najpewniej są fałszywe - powiedział Temeraire - żebyśmy się tylko zgodzili służyć Napoleonowi; i poproś go, żeby szybko przyszedł i położy) temu kres - dodał żałośnie.

Nie wiedział, jak odpowiedzieć francuskiemu smokowi, który przecież oferował im właśnie to, o co on sam prosił. Tylko że Temeraire nie chciał otrzymać tego od Napoleona, który najechał Anglię i narobił wszystkim kłopotów i który pozwolił robić Lien, co jej się podobało.

- Och, już lecę - powiedziała z ulgą Emily i pobiegła.

- Ja też pójdę - rzekł Demane i poszedł za nią.

- Ale kto sprawdzi moje zadania? - zawołał za nimi zasmucony Sipho.

Laurence nie doszedł dalej niż do wielkiej sali cytadeli: wielu oficerów stało tam w grupkach i rozmawiało cichymi głosami, które wymieszane z echem odbitym od wielkiego, sklepionego sufitu zmieniły się w niewyraźny gwar. Na ich widok zawahał się w wejściu: znał niewiele z tych twarzy, a jeszcze mniejszej liczbie ludzi chciałby narzucać swoje towarzystwo; i wtedy zobaczył w rogu pomieszczenia Rileya, który wyglądał jak człowiek na wpół przytomny ze zmęczenia.

- Cześć, Laurence, myślałem, że jesteś w więzieniu - powiedział dość nietaktownie, ale w jego głosie słyhać było raczej zdziwienie niż potępienie. - Mam syna - dodał.

- Moje gratulacje, oby ci przyniósł dużo radości - odparł Laurence i uścisnął mu dłoń, ignorując resztę jego słów. Riley chętnie odpowiedział uściskiem, nie dając po sobie poznać, że zauważył brak reakcji na swoje dość obcesowe powitanie. -Jak się czuje Catherine?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odrzekł Riley. - Wszystkie smoki zerwały się nagle trzy dni temu i pognały w stronę wybrzeża, a ona się uparła, że nie mogą się bez niej obejść. Dasz wiarę? Dzięki Bogu znaleźliśmy już mamkę ze wsi, gdyż przypuszczam, że i tak by poleciała, pozwalając dziecku głodować. Czy wiesz, że trzeba je karmić co dwie godziny?

Nie wiedział, dlaczego smoki poleciały ani dokąd; tę odrobinę uwagi, której nie pochłaniało jego nowo narodzone dziecko, poświęcał Allegiance: zostawił okręt w suchym doku w Plymouth, udzie doprowadzono go do porządku po wyprawie do Afryki, i teraz, gdy armia Napoleona stała między nim a portem, niepokoił się o jego los.

_ Jestem pewny, że flota nie dopuści do tego, żeby zajął Plymouth - powiedział. - Jestem tego pewny, ale gdyby jakoś opanował całe południe, to...

- Sir - odezwała się Emily i Laurence popatrzył w dół; stała zdyszana przy jego łokciu, a obok niej był Demane. - Sir, Temeraire wysłał mnie... no dobrze, nas oboje, żebyśmy panu powiedzieli, iż francuski smok na dziedzińcu podburza nasze do buntu i próbuje przekonać je do przejścia na stronę cesarza, obiecując im pawilony, kosztowności i inne rzeczy: on mówi po angielsku.

- Gdzie jest poseł? - zapytał Riley Laurence. - Czy wiesz kogo przysłali?

- To Talleyrand - odparł Riley.

Rozmowy toczyły się na piętrze, w rzadko wykorzystywanej sali bibliotecznej; Wellesley poszedł przyłączyć się do dyskusji zaraz po przybyciu, a właśnie on był, zdaniem Laurence'a, jednym z niewielu wysokich stopniem oficerów, którzy potrafiliby docenić zagrożenie. Jednak wejścia do komnaty pilnowali wartownicy i adiutanci, a wśród nich dziesięciu Francuzów w mundurach podobnych do uniformów oficerów kawalerii, ale przystosowanych do latania, o czym świadczyły długie skórzane płaszcze i grube rękawice zatknięte za pasy. Laurence zastanawiał się, jak mógłby przesłać wiadomość do środka, kiedy dostrzegł Rowleya i zawołał go.

Pogarda, którą Rowley dla niego żywił, nie zmaląła, ale właśnie widział, jak dzięki smokom miesiąc skrócił się do dwóch tygodni, i chociaż bez uśmiechu, to jednak

wysłuchał Lauren- ce'a i odpowiedział krótko:

- No dobrze, chodź ze mną - i wprowadził go do sali bocznymi drzwiami.

Talleyrand nie przybył sam: siedział po jednej stronie długiego stołu, a miejsce obok niego zajął marszałek Murat, szwagier Bonapartego. Tworzyli dziwną parę: Talleyrand ze swoją pociągłą arystokratyczną twarzą i mocno już przerzedzonymi włosami bladł przy Muracie, który miał gęste kręcone włosy, jasnoniebieskie oczy i twarz rumianą od częstego przebywania na świeżym powietrzu, a jego potężnie zbudowane ciało świadczyło, że jest żołnierzem w każdym calu. Strój Murata był wręcz absurdalnie wspaniały: pod czarnym skórzanym płaszczem ze złotym szamerunkiem i złotymi guzikami miał śnieżnobiały halsztuk i równie nieskazitelnie białą koszulę, a na stole przed nim leżały zdobione złotymi haftami rękawice z czarnej skóry; elegancja ubioru Talleyranda była bardziej spokojna i stosowna.

Po drugiej stronie stołu siedzieli ministrowie, wszyscy w stanie daleko odbiegającym od tego, w jakim byli ich francuscy rozmówcy. Widać po nich było trudy długiego i pospiesznego odwrotu z Londynu oraz niewygody, które musieli cierpieć w wojskowym obozie: szczególnie wymizierowany i smutny był premier Perceval. Jego rada ministrów, od początku chwiejna i niepewna, składała się z niezbyt wybitnych ludzi, których pochlebstwami, zmuszony do wybierania mniejszego zła, nakłonił do przyjęcia stanowisk: rząd jego poprzednika, lorda Portlanda, upadł pod ciężarem katastrofy w Afryce, i starzec odmówił podjęcia się misji tworzenia nowego. Canning, ostatni minister spraw zagranicznych, sam próbował sięgnąć po stanowisko premiera, a kiedy mu się to nie udało, nie dość, że odmówił przystąpienia¹³ do nowego rządu, to jeszcze zablokował kandydaturę byłego ministra wojny, lorda Castleraegha, przez co Perceval musiał się zadowolić lordami Bathurstem i Liverpoolem; dobrymi, przyzwoitymi ludźmi, ale właśnie teraz, bardziej niż kiedykolwiek indziej, potrzebował tych najbardziej utalentowanych i chociaż lord Bathurst sympatyzował z ruchem na rzecz zniesienia niewolnictwa, Laurence nie mógł nie zauważyć, że nie był to człowiek, który powinien zasiąść przy stole negocjacyjnym naprzeciw Talleyranda.

Lord Mulgrave, Pierwszy Lord Admiralicji, zachował swoje stanowisko; obok niego

siedział Dalrymple, stary, gruby żołnierz, i żaden z nich nie wyglądał na godnego przeciwnika Murata. Odnosiło się wrażenie, że cała moc, energia oraz zdolność panowania nad sobą znajdują się po jednej stronie stołu: wytworności i wyrafinowanie ancien regime'u połączone z brutalną siłą cesarstwa. Tylko Wellesley, siedzący po drugiej stronie obok lorda Liverpoola, nie wyglądał jak człowiek już na w pół pokonany, co więcej mimo chłodnego wyrazu twarzy jego wysunięta szczęka świadczyła, że z trudem nad sobą panuje.

Rowley pochylił się i przekazał mu szeptem wiadomość Laurence'a. Wellesley popatrzył na niego, a potem pochylił się do przodu i przerwał prowadzoną po francusku rozmowę, mówiąc:

- Co to ma, do diabła, znaczyć? Przybywacie tu pod białą flagą, a tymczasem wasz smok próbuje na dziedzińcu przekupić nasze świecidełkami?

Murat obruszył się, usłyszawszy to oskarżenie, po czym Powiedział:

- Jestem pewny, że zaszło tu jakieś nieporozumienie. Liber- te ma dużo zapалу, ale nigdy nie chciałby obrazić...

~ Jestem pewny, że generał Wellesley nie zamierzał nikogo znieważać - wyrwał się z przeprosinami lord Eldon. - Z pewnością Waszej Wysokości - Bonaparte z upodobaniem czynił członków swojej rodziny książętami - nieobca jest żołnierska bezceremonialność...

Talleyrand przysłuchiwał się tej wymianie zdań z na w pół przymkniętymi oczami, które w pewnym momencie skierował w stronę Laurence'a. Następnie odchylił się do tyłu i zgiął- szy nieznacznie palec, wezwał jednego ze swoich pomocników na szybką, szeptaną konsultację, a kiedy rozmowa przy stole na chwilę ucichła, zainterweniował, mówiąc:

- Najlepiej będzie, jeśli marszałek Murat i ja wyjdziemy na dziedziniec, i zamienimy kilka słów z Liberté, żeby dopilnować, by nie było więcej takich nieporozumień: rozmawiamy już bardzo długo i krótki odpoczynek dobrze nam wszystkim zrobi. - Wsparł się na stole i podniósł dosyć niezdarnie z krzesła, zmuszając tym samym innych do wstania, po czym pochyliwszy się w stronę Percevala, dodał: - Mam nadzieję, że będziemy jeszcze mieli okazję porozmawiać;

może dziś wieczorem?

Przepuściwszy z ukłonem Murata, ruszył kulejąc za nim w stronę drzwi, ale kiedy do nich dotarł, zatrzymał się i zwróciwszy się ku Laurence'owi, powiedział donośnym głosem:

- Pozwoli pan, że raz jeszcze wyrażę panu podziękowania rządu Jego Cesarskiej Mości, monsieur Laurence. Pragnę także pana zapewnić, że Francja ma wobec pana dług wdzięczności, o którym cesarz nie zapomniał i nigdy nie zapomni.

Te okrągłe słowa cięły boleśniej od noża. Co więcej, Laurence miał gorzką pewność, że ten ból został mu zadany przypadkowo, a raczej przy okazji: Talleyrand tak naprawdę mówił do zgromadzonych przy stole ministrów, żeby go zdyskredytować i podać w wątpliwość każdy raport, który mógł im przynieść.

- Pański rząd, monsieur - odpowiedział Laurence - nie jest mi nic winny; nie działałem dla jego dobra.

Talleyrand tylko uśmiechnął się łagodnie i przed opuszczeniem sali jeszcze raz się lekko uklonił.

- Na Boga, co za bezczelność - rzucił wściekle Wellesley, nie doczekawszy nawet, aż drzwi zostaną zamknięte, i wcale nie ściszone g!osem. - Ta arogancka świnia... syn oberżysty i nierządniczy, ożeniony z kolejną; t o ma być król Brytanii...

- Wcale nie wysunęli takiej sugestii - zaczął lord Eldon; był Lordem Kanclerzem, wybitnym prawnikiem podniesionym do godności para, który został członkiem rządu torysów dzięki temu, że zdecydowanie sprzeciwiał się równouprawnieniu katolików.

- Czy wyobrażacie sobie, że ktokolwiek z tego kręgu parwe- niuszy zadowolony się czymś tak zwyczajnym jak urząd gubernatora? - zapytał Wellesley. - Dajcie mu sześć miesięcy i będziemy mieli króla Murata, gdy tylko rozbierze na części armię i flotę.

- Nie, te warunki są nie do przyjęcia - powiedział Perceval, ale bez większego przekonania. - Ale to tylko propozycje wyjściowe...

- One są dla nas zniewagą od początku do końca - przerwał mu Wellesley - i powinny być z miejsca odrzucone.

- Przynajmniej jedną z jego propozycji, panowie - wtrącił inny minister - powinniśmy wziąć pod rozwagę, niezależnie od innych. Czy mogę prosić o szybką

decyzję w sprawie wysłania Ich Królewskich Mości do Halifaksu, z jak największym pośpiechem i przy uwzględnieniu wszelkich koniecznych środków dla zapewnienia im bezpieczeństwa?

- Defetystyczny nonsens - warknął Wellesley. - Przed wiosną Bonaparte nawet się nie zbliży do Szkocji, niezależnie do tego, co zrobimy.

- Wszyscy nasi zwiadowcy donoszą, że jego żołnierze krążą już po całej północnej Anglii.

- Gdzie poszukują żywności - odparł Wellesley - małymi oddziałami. Między Londynem a Edynburgiem mamy dwa tysiące obronnych placówek i obsadzonych garnizonami zamków, których jego armia nie może tak po prostu ominąć.

- Ale przecież musimy unikać nawet najmniejszego ryzyka. Bonaparte przeszedł z Berlina do Warszawy w niecałe...

- Ponieważ połowa dowódców garnizonów rzuciła broń i poddawała się, gdy tylko przy ich bramach odzywały się fanfary. Mam większe zaufanie do naszych oficerów.

- Król nie jest młodym człowiekiem - odezwał się Perceval, przerywając coraz gorętszą wymianę zdań Wellesleya z ministrem - ani nie cieszy się najlepszym zdrowiem...

- Nikt nie proponuje, żeby narażał się na polu bitwy - odpowiedział generał - ale może przemówić do żołnierzy.

Perceval zamyślił się, po czym powtórzył cichym, ciężkim głosem:

- Król nie cieszy się najlepszym zdrowiem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, a potem ktoś powiedział do Wellesleya pojednawczym tonem:

- Jeśli zostanie książę Walii albo książę William, a król uda się do Halifaksu...

Wellesley zareagował na tę sugestię gniewnym wzruszeniem ramion.

- Jeśli jesteście zdecydowani go odesłać, to go odeślijcie. A jeśli zamierzacie także oddać jego tron, zapakujcie go razem ze wszystkim, czego te węże jeszcze zażądata, i pozwólcie im bezpośrednio nawoływać żołnierzy do buntu; dlaczego nie?

- Generale Wellesley, to już jest naprawdę przesadna reakcja...

- Jeśli choć przez chwilę wierzycie, że oni nie wiedzieli, o co chodziło temu ich

smokowi...

- Mam nadzieję, że nie dopuścimy do tego, by dziwaczna myśl, iż Talleyrand, jeśli nie sam Bonaparte, naprawdę uknuł taki podstępny plan, który miał wprowadzić w życie jeden z ich smoków, oderwała naszą uwagę od ważniejszych spraw - P° wiedział Eldon. - Wielokrotnie przysłuchiwałem się leniwy pogwarkom smoków. Nie doszukujmy się w nich świadomych i przemyślanych intencji...

- Sir-wszedł mu w słowo Laurence i spokojnie zniósł spojrzenia, którymi go obrzucono za to, że miał czelność przerwać ministrowi - być może nie wie pan, że smoki uczą się swojego języka, kiedy jeszcze są w jajach, i zwykle nie opanowują innego. To nie może być zbieg okoliczności, że przylecieli tu na takim, który mówi po angielsku i łatwo może się porozumieć z naszymi.

- No to nakarmmy je jeszcze raz i to przegoni wszystkie wywrotowe myśli z ich łbów, jeśli jakieś w nich się zagnieździły - odparł Eldon. - Co jeszcze innego mógł Bonaparte zaproponować tym stworzeniom?

- Choćby szacunek - powiedział Laurence. - Jeśli nie widzicie, panowie, że z powodu lekceważenia i pogardy, z jakimi je traktowano, mogą ulec takim podłym podszeptom, bądźcie dla nich przynajmniej uprzejmi i zaoferujcie im nagrody...

- Dosyć tego, Laurence - odezwał się lodowatym tonem lord Mulgrave. - Zrobiłeś dla Bonapartego więcej dobrego, niż zdołają tu uczynić Talleyrand, Murat i te wszystkie biadolące smoki, choćbyśmy im stworzyli do tego wszelkie możliwe sposobności.

Laurence zachnął się w duchu i miał nadzieję, że nie pokazał tego po sobie. Po pierwsze, to Mulgrave zaaprobował nikczemny plan wysłania do Francji chorego smoka; on też prowadził dochodzenie, którego celem było ustalenie, jak Laurence się o tym dowiedział, a potem sam dobrał członków składu sędziowskiego i osobiście nadzorował proces przed sądem wojskowym, przy tym robił to z ogromną zjadliwością.

~ Człowiek może być wielkim entuzjastą jakiejś sprawy, nie będąc jednocześnie zdrajcą - ciągnął Mulgrave - a ty jesteś

rowno jednym, jak i drugim. Nawet jeśli wbrew mojej opinii P°2 Wolono ci żyć

odrobinę dłużej, z pewnością jesteś ostatnim

20 wiekiem, na którym ktokolwiek mógłby polegać.

- Właśnie to jest odrywaniem naszej uwagi od ważniejszych spraw - rzekł ostro Weilesley - i jestem pewny, że gdyby Talleyrand mógł nas usłyszeć, pogratulowałby sobie sukcesu. Sir, błagam, proszę go odprawić - zwrócił się do Percevala - i Murata razem z nim. Z każdą kolejną chwilą, kiedy ta flaga rozejmu powiewa na oczach żołnierzy, słabnie ich męstwo i nadzieja. Powinniśmy mówić o kontrataku, a nie debatować nad warunkami kapitulacji, a właśnie tym są propozycje Bonapartego niezależnie od tego, w jakie słowa je ubierzecie.

- Generale Weilesley i generale Dalrymple, wybaczcie mi panowie moją otwartość - wtrącił się do rozmowy lord Liverpool - ale choć te warunki są przykre, może się okazać, że uznamy je za lepsze od tych, które przedstawi nam w marcu.. Mam nadzieję, że moje słowa nie zostaną zrozumiane jako chęć ubliżenia honorowi wojska. Jednak oczywistą prawdą jest to, że Bonaparte pobił każdą armię, która kiedykolwiek stanęła z nim do walki. Pobił Rosjan, Austriaków, Prusaków, Turków, a także nas samych. Wydaje mi się, iż moglibyśmy się zgodzić na jego żądania, pod warunkiem że armia i flota zachowają siły, a król będzie bezpieczny; na wszystko, byle tylko opuścił Londyn i wrócił do Paryża. Wtedy już jakoś poradzimy sobie z Muratem-

- Czy ty zupełnie... - zaczął Weilesley, ale opanował się i przerwał, po czym bezbarwnym tonem powiedział: - Dopóki Bonaparte jest w Anglii, możemy to zakończyć jednym zwycięstwem... nie tylko inwazję, ale całą wojnę, ponaddziesięcioletni konflikt. Ostatnie, czego chcemy, to zobaczyć, jak opuszcza nasz kraj; jedyne, za co możemy być wdzięczni losowi, do cholery - to właśnie to, że Napoleon jest wreszcie w zasięgu naszej ręki. Za miesiąc będziemy tu mieli pięćdziesiąt tysięcy w Edynburgu kolejne sześćdziesiąt oraz sto pięćdziesiąt smoków bojowych. Za miesiąc...

- Połowa Grande Armée stacjonuje na wybrzeżu czekając na przerzut do Anglii - przerwał mu Eldon. - Za miesiąc Bonaparte będzie miał dwieście tysięcy ludzi albo i

więcej...

_ Nie, nie będzie. - Drzwi otworzyły się z hukiem i do komnaty weszła Jane Roland, zdejmując zakrwawione rękawice; miała także krew na twarzy, we włosach, a nawet na płaszczu. - Co? - zapytała, widząc ich zaskoczone spojrzenia, po czym zobaczyła się w wielkim ściennym lustrze. - Och, wyglądam okropnie. Nie, to nie moja krew. Pewnie tego biednego Francuza, na którym złamałam szpadę.

Wzięła kieliszek brandy, który ktoś jej pospiesznie podał, i wypła go jednym haustem.

- Dziękuję - powiedziała, odstawiając go na stół - to przywraca człowiekowi chęć do życia. Proszę o wybaczenie, panowie, że nie przebrałam się przed przyjściem tutaj, ale nie chciałam tracić czasu. Właśnie wróciłam z wybrzeża. Bonaparte próbował przeprowadzić kolejne lądowanie pod Folkestone, ale nie miał tyle szczęścia, ile by chciał, jak sędzę. Znaleźliśmy odpowiedź na jego sztuczkę z harpunami: nasi kowale przygotowali ostry drut i teraz smoki kurierskie, działając parami, mogą migiem przecinać te liny. Oto meldunki - dodała, gdy truchtający za nią Frette położył na stole przed Percevałem pakiety listów - od admirała Collingwooda. Z ich okrętów liniowych wzięto sześć, zatopiono cztery, spalono dwa; z sześćdziesięciu tysięcy ludzi wylądowało mniej niż tysiąc.

Entuzjizm, który wzbudziła tymi wieściami, był nadzwyczaj- nY> choć może nieco na wyrost, jako że po tym zwycięstwie ich sytuacja wcale nie była dużo lepsza niż przedtem. Jednak nawet °drobina smaku wygranej była ogromnie słodka dla tych, którzy tak dawna byli go pozbawieni. Eldonowi zamknęło to usta, Wellesley zerwał się z krzesła i uściskał Jane, zanim w pełni Uwiadomił sobie, co robi.

A zatem on nie może przerzucić przez kanał więcej... Ilu Zl ma obecnie? - zapytał gorączkowo Perceval.

- Nadal może ich sprowadzać drogą powietrzną, nocami - odpowiedziała Jane. - My możemy wysyłać patrole, podobnie jak marynarka, ale nie dopadniemy każdego Fleur-de-Nuita, który będzie próbował przemknąć się nad kanałem; one mogą przenosić po dwustu ludzi naraz.

- Jeśli o mnie chodzi, może każdej nocy wysyłać po dziesięć z nich - rzekł

Wellesley. - I tak nie zdoła zgromadzić większych sił niż nasze, kiedy będziemy gotowi stawić mu czoło. Sir... panowie - powiedział, przesuając wzrokiem po wszystkich ministrach siedzących przy stole - jeszcze żadnej wojny nie wygrano przy stole konferencyjnym, natomiast wiele przegrano. Nie chciałbym widzieć w tym pokoju tchórzy, ale Brytyjczyków. Obdarzcie mnie swoim zaufaniem i dajcie mi sto tysięcy ludzi, a nie będę się bał stanąć do walki z Bonapartem. Zgadza się?

Zapadło milczenie; kilku z obecnych popatrzyło na Dalrymple'a.

- Może wspólne dowództwo... - zaczął jeden z nich.

- Nie - przerwał mu natychmiast Wellesley. - Jeśli we mnie nie wierzycie, wybierzcie kogoś innego.

Znowu zapadła cisza, która się nieco przeciągnęła. Ministrowie wahali się, ale Wellesley dobrze wybrał moment: blask zwycięstwa, sukcesu, jeszcze nie zgasł i przeważał szalę. Perceval wstał i położył dłonie na stole.

- Niech tak będzie. Lordzie Bathurst, powiadomi pan naszych gości, że rokowania zostały zakończone. Generale Wellesley, przejmuje pan dowództwo, i niech Bóg będzie z panem-

Niecałą minutę później Wellesley szedł już korytarzem prowadzącym na zewnątrz i mówił:

- Cholerna strata czasu, ale przynajmniej mamy to już za sobą i nie stało się nic, czego nie można by naprawić. Roland, potrzebuję sto smoków do transportu...

- Nie mogę panu przekazać stu smoków, kiedy muszę strzec pięciuset mil wybrzeża - odparła Jane, dopasowując swój krok do jego kroku.

- Muszę sprowadzić kolejne trzydzieści tysięcy ludzi tutaj, a czterdzieści do Edynburga - warknął Wellesley.

- Niech pan mi powie, gdzie ich można znaleźć i dokąd dostarczyć, a załatwię to - odpowiedziała - wykorzystując te smoki, które będą w pobliżu na patrolach.

- Może być - zgodził się i skinął lekko głową. - Rowley, daj jej listę garnizonów - rzucił ponad ramieniem. - Powiedz mi, jakiego twoim zdaniem zaopatrzenia Bonaparte najbardziej potrzebuje?

- Dla smoków? Stu sztuk bydła na dzień - odparła Jane. - Nawet więcej, jeśli ma

dużo ciężkich, które pracują na swoje kolacje. Jak dotąd, daje sobie radę: jego ludzie plądrują całą Anglię, a my na południe od gór mamy mniej smoków, które wyjadałyby zapasy.

Generał pokiwał głową.

- Bardzo dobrze. Muszę się teraz udać do Edynburga i zaprowadzić porządek w armii...

- Wellesley - przerwała mu Jane - zanim się tam udasz, posłuchaj, co mam do powiedzenia. Mogę przenieść ludzi, gdziekolwiek będziesz chciał ich mieć, ale nie mogę sprawić, żeby Napoleon przyszedł i spotkał się tam z wami. Jest teraz dobrze okopany w Londynie, a z nadejściem wiosny sami zaczniemy mieć pewne trudności z zaopatrzeniem. W samej Szkocji nie da się żywić takiej liczby smoków w nieskończoność: zaczniemy zjadać inwentarz rozplodowy.

Rzucił jej twarde spojrzenie.

~ Będę wdzięczny - powiedział - jeśli nie wspomnisz o tej konkretnej trudności przy ich lordowskich gościach. Psiakrew, ale mi brakuje Castleraegha! Jane prychnęła.

- Nie potrzebuję pouczenia, jak obchodzić się z politykierami, którzy nie mają pojęcia o moich sprawach.

- Tak, rzeczywiście nie potrzebujesz - zgodził się niechętnie. - No cóż, sprowadź mi tylko armię i pozwól, że sam się będę martwił o to, jak wyciągnąć Korsykanina z Londynu.

Po powrocie na dziedziniec Laurence zastał Temerairea pogrążonego w radosnej rozmowie z Maksimusem i Lily; oboje właśnie wrócili z wybrzeża i bezceremonialnie odepchnęli kilka skwaszonych Yellow Reaperów i bardzo oburzoną Ballistę, żeby zająć miejsce na ciepłych kamieniach obok niego.

- Tak, jajo się wykluło - mówiła właśnie Lily - ale nie ma z niego żadnego pożytku. Całymi dniami tylko leży i wrzeszczy, i nie podoba mi się jego zapach, nie żeby - dodała lojalnie - Catherine w czymkolwiek tu zawiniła: jestem pewna, że to wina tego okropnego żeglarza. Nigdy nie powinnam się zgodzić na ich ślub, a teraz ona nie może go nakłonić do tego, żeby się z nią rozwiódł.

Harcourt stała obok nich z Berkleyem i Laurence podszedł do niej bez wahania: był

zbyt znużony, by lękać się jeszcze jednego krępującego spotkania. Jednak Catherine nic nie powiedziała, tylko uściśnęła mu dłoń, przy czym wydało mu się, że chciała to uczynić mocniej i serdeczniej, niż pozwalał na to jej obecny stan. Wyglądała tak słabo i krucho jak skorupka jajka, i była niemal tak samo blada. W rezultacie jej jasnorude włosy zdawały się wręcz płonąć na tle niemal zupełnie białej skóry i mocno podkrążonych oczu. Jej sylwetka, szczególnie w talii, nie odzyskała jeszcze dawnej smukłości, natomiast ręce miała wychudłe, słabe: powinna jeszcze odpoczywać, a nie wykonywać misje bojowe-

Pochwyciła jego spojrzenie i powiedziała ostro:

- Proszę, nie chcę słuchać kolejnych kazań; w takich czasach nie możemy się obejść bez Lily. On chciał wysadzić kolejne sześćdziesiąt tysięcy ludzi, słyszałeś?

- Słyszałem i gratuluję wam zwycięstwa - odparł Laurence; tak czy owak, nie miał prawa jej pouczać, nie był Rileyem. - A także narodzin syna - dodał.

- Och, tak - odparła z wyraźnym przygnębieniem. - Dziękuję.

Francuskie poselstwo przygotowywało się do odlotu: na grzbiecie Papillona postawiono mały, kopulasty namiot, do którego ostrożnie i powoli wdrapał się Talleyrand. Natomiast Murat jak urodzony awiator wspiał się pewnie na smoka i przypiął się do uprząży na jego karku. Podczas gdy reszta jego załogi zajmowała miejsca, Papillon odegrał prawdziwe przedstawienie, machając swymi opalizującymi skrzydłami i pokazując innym smokom mały, ale olśniewająco błyszczący medalion, który miał na piersi, po czym zawołał radośnie:

- Do widzenia! Mam nadzieję, że kiedy znajdziecie czas, odwiedzicie mnie w Londynie lub Paryżu - i wzbił się w powietrze.

Arkady posłał za nim jakieś brzydkie słowo, po czym potarł nosem swój plater, którym Jane odznaczyła go przed rokiem, żeby dostarczyć mu bodźca do patrolowania wybrzeża.

- Tak, i krzyżyk na drogę - dodał Temeraire, odprowadzając chłodnym spojrzeniem znikającego już w dali francuskiego smoka. - Jestem pewny, że to wszystko kłamstwa, a on wcale nie ma żadnych rubinów i złotych łańcuchów.

Laurence z zadowoleniem patrzył, jak Francuzi odlatują, ale wiedział, że

pozostawiony przez nich długi cień rozproszyc mogło tylko zwycięstwo, które w tej chwili wydawało się odległe i mało prawdopodobne. Warunki postawione przez Bonapartego mogły się jeszcze okazać wspaniałomyślne w porównaniu z tymi, które poddyktuje, jeśli uda mu się utrzymać okupację do wiosny. Punkty obronne w całej Anglii będą mu ulegały jeden po drugim, brane głodem lub siłą zmuszane do poddania się; a potem Zacznie oblegać miasta portowe i odcinać zaopatrzenie flocie. Tymczasem jego smoki będą wyjadały brytyjskie bydło, natomiast ich własne zaczną głodować, a topniejące śniegi otworzą w końcu górskie przełęcze, zmieniając je w dogodne drogi ataku dla jego piechoty. Musi tylko zachować spokój, ciesząc się przyjemnościami życia w Londynie, i czekać.

- Dziś w nocy znowu lecimy na patrol wzdłuż wybrzeża Morza Północnego - powiedział do Temeraire'a Maksimus. - Czy wybierzesz się z nami?

- Patrolowanie - odparł z westchnieniem Temeraire - ale tak, oczywiście, polecimy razem, prawda, Laurence? - W każdym razie - dodał - jest to lepsze od przenoszenia ludzi i zaopatrzenia.

- Może się okazać, że będziesz miał do wypełnienia jakieś inne obowiązki związane z twoim pułkiem - ostrzegł go Laurence.

Zorganizowanie i wdrożenie do służby patrolowej tak dużej gromady nie znających upręży i nie przywykłych do dyscypliny smoków nie było łatwą sprawą. Temeraire nalegał, żeby Yellow Reaperom pozwolono latać razem, gdyż najwyraźniej wołały przebywać we własnym towarzystwie, chociaż zgodnie z ogólną regułą powinny dołączyć dla równowagi do zespołów mieszanych; natomiast dzikusów Arkadego rozdzielił dla odmiany między różne grupy, nie przejmując się tym, że żaden z nich nie mógł wymienić nawet słowa z innymi smokami.

- Tak, ale nie muszą wcale dużo gadać, żeby zrozumieć siebie nawzajem podczas patroli - odrzekł, kiedy zwrócono mu na to uwagę - a jeśli ich zostawię razem, znowu zaczną gdzieś szukać przygód, zwłaszcza - dodał złowieszczco - jeśli gdzieś w pobliżu będzie Iskierka.

- Znacznie lepiej się zachowuje - powiedział Granby do Laurence'a i Tharkaya podczas kolacji pewnego wieczoru, kiedy wszyscy razem obozowali w pobliżu

Newcastle. Trochę dalej od ogniska Téméraire i Iskierka głośno się sprzecjali, a Arkady od czasu do czasu dorzucał coś od siebie. - Robi dużo hałasu - dodał pospiesznie Granby- ale stała się bardzo uczynna i idealnie posłuszna. Podczas wszystkich patroli latała dokładnie po wyznaczonych trasach, nie próbowała urywać się na poszukiwanie zdobyczy i nie słyszałem z jej strony nawet słowa skargi; za to wszystko chętnie dałbym się złapać jeszcze z pięć razy z rzędu.

Laurence skierował wzrok w ognisko; wciąż nie mógł zapomnieć o cenie, jaką musieli zapłacić za uwolnienie Granby'ego: nie słyszał nic o losie Edith, chociaż zniżył się do błagania Jane, żeby popytała o nią oficerów wywiadu. Każdego dnia nadchodziły z Londynu dziesiątki raportów szpiegowskich, ale aresztowanie - a nawet egzekucja - jednej szlachetnie urodzonej Brytyjki mogło być wydarzeniem zbyt mało znaczącym, żeby o nim wspominać.

- Za żadne skarby świata nie chciałbym psuć ci nastroju - powiedział Tharkay do Granby'ego - ale jeśli ona jest „bardzo uczynna i idealnie posłuszna”, to radziłbym zachować ostrożność; mała poprawa byłaby czymś bardziej naturalnym. Żadne stworzenie, które przywykło do wolności, nie da się łatwo przekonać do przestrzegania dyscypliny - dodał, dając kawałek mięsa pustulce, która przekrzywiwszy głowę, przyglądała się z pożądaniem ich piekącemu się na rożnie królikowi.

- Ja jestem zdyscyplinowana - odezwała się Iskierka, która przypadkiem usłyszała jego słowa. - Nie będę już uciekała i chętnie przyniosę więcej. - Miała na myśli bydło, gdyż zgodnie z wyobrażeniem Jane o kompromisie między transportowaniem a patrolowaniem, każdy smok oprócz załogi niósł za każdym razem pół ładunku zaopatrzenia lub żołnierzy. Połowa ładunku wystarczała, by nawet kilka średnich smoków mogło przetransportować całą kompanię wraz z oficerami lub zapasy dla siebie, a jednocześnie Zaden z nich nie był tak obciążony, żeby uniemożliwiało mu to udział w walce. Ich własny oddział patrolował właśnie wybrzeż Morza Północnego, gromadząc przy okazji zaopatrzenie wszędzie tam, gdzie można było coś znaleźć. Iskierka już dostarczyła tuzin wielkich czarnych świń, zamkniętych obecnie w zagrodzie za obozem i pokwikujących od czasu do czasu w pijackim otumanieniu

podano im bowiem najłatwiej dostępny środek nasenny, mocny trunek, i zionęło od nich potężnie alkoholem.

- Według mnie, to zwykłe udawanie - powiedział pogardliwie Temeraire - bo ty tylko próbujesz pokazać Granby'emu, że nie powinien ciebie zostawić. Doskonale wiesz, że nie mamy więcej bydła.

Jeleni nie można było transportować, gdyż ogarnięte paniką zdychały, zanim można je było uśpić, a ryby szybko się psuły, przez co nadawały się tylko do żywienia smoków w czasie patrolu. Na terenach nadbrzeżnych bydła zaczynało już brakować, a im dłużej szukali go w głębi łąd, tym większe było ryzyko, że zostawią nie pilnowany odcinek wybrzeża, na którym Francuzi mogą wysadzić kolejny desant: Bonaparte codziennie wysyłał obładowane żołnierzami smoki, które latały wzdłuż kanału i bardziej na północ, czekając tylko na taką okazję.

- Jutro znajdziemy więcej - powiedział Tharkay z zagadkową pewnością siebie, ale nazajutrz wyprowadził Arkadego na prowadzenie i poleciał prosto do dużej posiadłości z kilkoma bogatymi gospodarstwami mlecznymi, gdzie zarekwirował dwa tuziny krów. Obserwował potem załadunek otepiałych zwierząt z dziwną, lekko kpiarską miną, przez którą Laurence tym bardziej chciał go zapytać, skąd o tym wiedział, i która jednocześnie uniemożliwiła mu zadanie tego pytania. Byli tuż nad granicą Szkocji: Laurence wiedział, że Tharkay wdał się tu w jakiś proces, ale nie znał szczegółów i jeśli Tharkay z własnej woli nie chciał mu ich zdradzić, szacunek, jaki budził w nim ten zagadkowy człowiek, nie pozwalał mu drażnić tego tematu-

Dzięki temu bydłu ich zadanie zostało wykonane, ale ledwo, ledwo, i przez resztę patrolu oraz w drodze powrotnej do Loch Laggan n'e znaleźli niczego: wieśniacy nauczyli się już ukrywać swoje malejące stada.

_ Niech ich wszystkich szlag trafi i Bonia razem z nimi - warknęła Jane, kiedy Laurence przekazał jej wiadomości, i potarła czoło grzbietem dłoni. - Powiedz mu, że mamy zapasy na jeden tydzień mniej, niż mówiłam - rzuciła do adiutanta wyczekującego przy jej biurku, młodego oficera piechoty, zarazem zdenerwowanego i zniecierpliwionego, o czym świadczyło to, że bez przerwy przenosił ciężar z nogi na nogę. - I nie, nie może mieć dwudziestu, mogę mu dać dziesięć i nie wszystkie

ciężkie. Wellesley chce cię widzieć w Edynburgu - oznajmiła Laurence'owi i rzuciła mu zapieczętowany woskiem list, który wybrała spośród tych leżących na jej biurku - i tyle smoków, ile mogę mu dać.

Laurence złamał pieczęć i rozłożył rozkaz, pojedynczą kartkę papieru z ledwie kilkoma liniami skreślonego pospiesznie tekstu, pod którym nie było żadnego podpisu: „Przyprowadź mi tę zionącą ogniem bestię i tyle innych, ile Roland ci da; najbardziej wojownicze, jakie masz. Im bardziej będą zajadłe, tym lepiej”.

Przeczytał to jeszcze raz, wolno, po czym złożył kartkę. Słowo „zajadłe” wzbudziło w nim złe przeczucie, które niczym lodowata, niestrawna kula zaciążyło mu w żołądku. Jane, pomyślał, nie widziała tego rozkazu; sprzeciwiłaby mu się tak zdecydowanie, jak i on by zrobił, gdyby mógł.

Uniósł głowę i popatrzył na nią. Niemal nie przerywała pracy.

- Frette, niech Rightley weźmie pięć średnich smoków i po- leci z nimi do Inverness, i wyślij do tego cholernego pułkownika list z ostrzeżeniem, że jeśli nie załaduje na nie swoich ludzi jutro Wleczorem, kiedy one tam wylądują, następnego ranka postawię

przed sądem wojskowym. Nie możemy tracić czasu na te bzdury - stwierdziła, wręczając Frette'owi trzy rozkazy naraz Laurence, możesz wybrać teraz smoki, które tylko zechcc

Nie mógł obciążyć jej tym brzemieniem.

- Czy możemy zabrać dziesięć? - zapytał. - Wellesley chc(Iskierkę - dodał.

- Tak - odparła z roztargnieniem Jane - możesz ją wziąć; Bó[^] wie, że nie możemy jej marnować na służbę patrolową, kiedy tam zanoszą się na utarczki. Aha, tutaj mam coś dla ciebie - dodała podając mu list wyciągnięty spod wielu innych na jej biurku. - Nie mogę ci tego dać, ale wolno ci to przeczytać tutaj.

List był napisany niewprawną ręką, zawierał sporo błędów i przypadkowo stawianych dużych liter, ale dla Laurencea najważniejsza była jego treść:

Dama, o którą Chodzi, jest obserwana, ale jeszcze nie Prześladowana; udało mi się Szeptać do ucha paru osobom, że jej Mąż był Znany Zapleńcem, a ona Poślubiła go Późno, z Despracji. Oby mi kiedyś Wybaczyła Oszczyństwo, które na nią rzuciłam,

a także na Bohatera Naszego Kraju! Mam nadzieję, że Niebezpieczeństwo Aresztowania już Minęło. To Wszystko, co mogę przekazać Rzetelnie, gdyż ona nie chce mnie przyjąć, ale krąży Plotka, że Bardzo Rozpacza, a jej Dziecko jest wciąż Chore.

Na jutro jestem zaproszona na Kolację do marszałka Davouta, ale nie Oczekujcie Zbyt Wiele, jako że on jest małomówny, w przeciwieństwie do m. Murata...

List nie był podpisany. Laurence przeczytał interesujący go fragment dwukrotnie, po czym złożył kartkę i oddał ją Jane.

- Dziękuję - powiedział tylko i ukłoniwszy się, wyszedł; bał się, że gdy jeszcze coś powie, będzie tego żałował.

Temeraire był bardzo zadowolony, że został wybrany do tego konkretnego zadania, a jeszcze bardziej z tego powodu, że zwalniało go to z patrolowania i transportowania ludzi, bez względu na to, jakie to mogło być ważne. Jedyne kłopot wiązało się z wybraniem smoków, które miały polecieć razem z nimi.

— Wellesley chce, żeby to były najwaleczniejsze z tych, które masz pod swoją komendą, i najbardziej zajadłe - powiedział Laurence, co miało swój sens, gdyż właśnie takie miały największe prawo robić coś bardziej ekscytującego od przenoszenia piechoty tam i z powrotem. Ale więcej niż dziesięć smoków zasługiwało na to wyróżnienie, a należało wybrać osiem, gdyż oczywiście on sam powinien polecieć, a obok niego Iskierka, chociaż jego zdaniem wcale nie była tego godna.

To przez to zianie płomieniami, które nie było przecież niczym szczególnie nadzwyczajnym: każdy może wywołać pożar, jeśli tylko ma na początku trochę ognia. Temeraire westchnął, wiedząc, że się od niej nie uwolni. W Loch Laggan nie było z niej wielkiego pożytku: już zwolniono ją z noszenia ludzi, ponieważ dla wielu z nich siedzenie między jej kosztnymi wypustkami, z których tryskała para, było zbyt trudne. A zatem musiał ją wybrać; a potem oczywiście należało zapytać Maksimusa i Lily, chociaż ku zaskoczeniu Temeraire'a Laurence próbował mu to wyperswadować.

- Ale to by było bardzo nieładnie z mojej strony, gdybym nie zaproponował im udziału w prawdziwych walkach, kiedy mogę to zrobić - zaprotestował Temeraire,

zerkając na nich ukradkiem, żeby się upewnić, że Maksimus i Lily niczego nie usłyszeli i nie są urażeni.

Na szczęście Maksimus chrapał, pogrążony w głębokim śnie pod kocem z dziewięciu Winchesterów i innych małych smoków, a Lily znalazła sobie miejsce po drugiej stronie muru cytadeli, tuż pod oknem kapitan Harcourt, z którego nie spuszczała zazdrosnego spojrzenia: Catherine weszła do środka, żeby zobaczyć dziecko.

- Myślę, że Harcourt nie czuje się dobrze - powiedział Laurence.

- Tak - odparł Temeraire. - Lily też tak uważa i to jest jeszcze jeden powód, żeby ją zaprosić. Jest pewna, że dla Catherine lepszy będzie pobyt na południu i udział w prawdziwej walce zamiast tego całego latania tam i z powrotem w deszczu oraz śniegu. Łatwo się teraz przeziębiam i nie powinna spędzać zbyt dużo czasu w powietrzu.

- Berkley nie przeziębiam się łatwo, bo jest taki gruby - odezwał się sennym głosem Maksimus, otwierając lekko oko - ale ja też chciałbym tam polecieć i trochę powalczyć.

A zatem to zostało postanowione, ale co do reszty... Temeraire podrapał się w zadumie po głowie i w końcu powiedział:

- Gentius także mógłby z nami polecieć i wcale by się nie liczył do tej dziesiątki, bo nie jest tak mocny, by kogoś nosić lub wyprawiać się na patrole: przez cały czas nie rusza się z Loch Laggan i tylko śpi. I weźmiemy Armatusa, żeby go nosił. Myślę, że nie powinniśmy brać Majestatisa i Ballisty, bo oni bardzo się przydają do kierowania innymi, i nie jestem pewny, czy reszta chętnie nosiłaby żołnierzy tam i z powrotem, gdyby ich także zabrakło. Requiescat też powinien zostać, bo żaden z mniejszych smoków nie będzie się z nim spierał, nawet jeśli on nie jest zbyt bystry i trzeba mu mówić, jakie rozkazy ma wydawać.

Łamał sobie jednak przez jakiś czas głowę, jak ich zostawić i jednocześnie nie obrazić, aż w końcu wpadł na pomysł, żeby każdemu nadać stopień wojskowy.

- Jak myślisz, czy Wellesley będzie miał coś przeciwko temu? - zapytał Laurence'a.

- To kapitalny pomysł - odpowiedziała rozbawiona admirał Roland, kiedy Laurence

zapytał ją o to w imieniu Temerai-

, _ Twoja milicja i tak musi być w końcu włączona w skład j(orpusU' zarn'ast pułkownikiem zostaniesz zatem komodorem, twoi oficerowie będą kapitanami; chociaż zrobienie dla nich epoletów będzie cholernie trudne.

O tak, epolety - zawołał zachwycony Temeraire.

Krawcowe ściągnięte z wiosek wokół Loch Laggan do pomo- cv w szyciu upręży do transportowania żołnierzy zaprzęgnięto teraz do robienia kokard z resztek jedwabiu oraz skóry. Ostateczny wynik ich starań nie przypominał zbytnio prawdziwych epoletów, lecz raczej ogromne kudłate czupryny w jaskrawych kolorach, z odrobiną złocistej tkaniny zawiązanej w środku dla dodania blasku, i wieloma wstążkami, za których pomocą można je było przymocować do upręży. Nikomu to jednak nawet w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało.

- Niech mi tylko ktoś powie, że to nie jest piękne - rzekł Requiescat, podziwiając z każdej strony jasnozielony węzeł na swym barku.

Nawet Majestatis przestał na jakiś czas obnosić się z typową dla siebie wyniosłą i lekko rozbawioną miną i ciągle zerkał z ukosa na swój epolet, który był czerwony i na tle jego kremowo-czarnego ciała wygląda! niemal tak dobrze, pomyślał Temeraire, jak jasnoniebieska para jego własnych: on oczywiście musiał dostać dwa.

- Tak, i jeśli jakieś smoki okażą się szczególnie pomocne w dowodzeniu, możecie je mianować porucznikami, i one mogą dostać mniejsze - oznajmił Temeraire. - A zatem wszystko załatwione - dodał, zwracając się do Laurence'a - a co do reszty, możemy wziąć kilka Yellow Reaperów. Przede wszystkim Messorię i Immortalisa, bo zawsze latali na skrzydłach naszej formacji, i dwa najlepsze z tych, które przyprowadziłem 2 terenów rozplodowych. To wystarczy, bo chcę jeszcze zabrać Perscitię: ona jest bardzo bystra i ambitna - wyznał - i boję się, że jeśli ją tutaj zostawię, to kogoś obrazi. Poza tym może nair, się przydać, jeśli zdobędziemy jakieś działa.

Reapery kłóciły się przez jakiś czas i w końcu ustaliły, że polecą Chalcedony i Gladius, a Cantarella stanie na czele tych które zostaną, i otrzyma epolet. Moncey dostał jeden za objęcie dowództwa nad kurierami - był niemal tak wielki jak jego głowa, ale ogromnie go ucieszył - nie zapomniano też o Minnow.

Tak więc skończyło się to bez kłótni czy też wzajemnych pretensji, co Temeraire uznał za swoją zasługę.

- Tworzymy bardzo udaną grupę, prawda? - powiedział do Laurence'a, licząc na jego aprobatę. - Szkoda, że Iskierka musi z nami lecieć, ale poza tym nikt nie może zakwestionować naszych wyborów. Tego jestem pewny - dodał.

- Tak - odparł Laurence.

- Myślałem tylko - mówił dalej Temeraire, zerkając na Laurence'a z ukosa; miał nadzieję, że nie wyda mu się samolubny - że byłoby dobrze, gdybyśmy odzyskali resztę naszej załogi; nie żebyśmy sobie nie poradzili z tymi ludźmi, których mamy - dodał szybko - ale przydałoby się jeszcze kilku bellmanów do rzucania bomb i byłoby nam łatwiej, gdyby wrócił Winston, do pomocy Fellowesowi...

- Ci, którzy chcieli wrócić, już to zrobili - odpowiedział Laurence. - Nie mogę od nikogo wymagać, żeby godził się służyć ze zdrajcą.

- Och - wyrwało się zaskoczonemu Temeraire'owi. - Ale... - zaczął i przerwał. Nie przyszło mu do głowy, że członkowie załogi, których wybrał, sami nie chcieli wrócić, że woleli być gdzie indziej, na innym smoku, z innym kapitanem. Wydało mu się to bardzo dziwne, zwłaszcza teraz, kiedy został komodorem i z pewnością był bardziej godny podziwu, niż kiedykolwiek przedtem. A może, pomyślał, Laurence był w błędzie, albo tylko obawiał się o nich poprosić. Może oni nawet nie wiedzieli, że obaj są już wolni. - Ale przynajmniej Martin lub Ferris na pewno zechcą wrócić - powiedział w końcu.

Laurence przez chwilę milczał, po czym odparł:

_ Ferris został zwolniony ze służby.

Nie dodał, że najwyraźniej powodem tego zwolnienia było to iż admirałowie posadzili Ferrisa o udzielenie im pomocy, chociaż on nie miał z tym nic wspólnego.

- Ale gdzie on w takim razie teraz jest? - zapytał Temeraire. Jeśli Ferris nie służył na jakimś innym smoku, to było oczywiste, że wolałby być teraz razem z nimi.

Laurence jednak odpowiedział stanowczo:

- Wygląda na to, że każda wiadomość ode mnie będzie całkowicie niepożądana.

Temeraire nie naciskał go dłużej, ale pomyślał, że może sam powinien wysłać list

do Ferrisa: jeśli zdoła namówić Emily albo może Siphona, żeby go za niego napisali i ustalili adres porucznika. Właśnie to sobie układał w głowie, kiedy na dziedzińcu wylądowała Orchestia, smoczyca, którą znał trochę z Dover. Wróciła z patrolu, a wśród członków jej załogi Temeraire zobaczył swojego dawnego skrzydłowego Martina, którego płowe włosy ostro się odcinały na tle zielonego płaszcza.

- Panie Martin - zawołał Temeraire, widząc go przechodzącego obok. Zamierzał go poprosić do siebie i zapytać, czy wie, że on został komodorem; i czy jest zupełnie pewny, że nie wolałby się udać z nimi na...

Martin drgnął zaskoczony, usłyszawszy swoje nazwisko, i spojrzał w jego stronę, ale potem odwrócił się i razem z resztą załogi Orchestii wszedł do cytadeli - ani jednego słowa, nawet gestu, a przecież zawsze był taki przyjazny.

~ Temeraire - odezwał się Laurence - będę ci bardzo wdzięczny, jeśli na przyszłość powstrzymasz się od takich za-CZepek.

- Dobrze - odparł Temeraire, bardzo przybity. Nie chodziło tylko o to, że Martin ich zignorował, ale że zrobił to bardzo otwarcie, jakby chciał, by wszyscy wiedzieli, iż było to jego za miarem. Było w tym coś szczególnie nieprzyjemnego: oczywiście każdy mógł nie mieć ochoty na rozmowę, ale to było ostentacyjne pokazanie wszystkim dookoła, jak bardzo nie chciał mieć z nimi do czynienia. - Ale czy to znaczy - powiedział wolno Temeraire do Laurence'a - że on nie pochwała tego, iż zabraliśmy lekarstwo i daliśmy je Francuzom? Przecież z pewnością nie chciałby, żeby te wszystkie smoki umarły...

- Może uznał, że z dwojga złego to było lepsze od zdrady - odpowiedział Laurence, nie unosząc głowy znad książki, którą czytał.

- Och! W takim razie wcale nie żałuję, że odszedł - rzucił gniewnie Temeraire. - Jeśli o mnie chodzi, może sobie zostać z Orchestią; jeśli ona go chce.

Mimo to czuł się zraniony, a jeszcze nie rozumiał najgorszego; dopiero po południu uświadomił sobie w pełni, co zrobili biednemu Ferrisowi. Wszystkie smoki zebrały się właśnie, gotowe do odlotu, jego uprzęż była nałożona, epolety jaśniały w zimowym słońcu, kiedy przybiegł posłaniec z wiadomością, że mogą ruszać do Edynburga, i wręczając Laurence'owi pakiet dokumentów, powiedział:

- Panie Laurence, pańskie rozkazy, sir, od pani admirała.

- Tak - odparł Laurence i nie poprawił chłopca; wziął tylko papiery i włożył je do kieszeni płaszcza; i wtedy Temeraire po raz pierwszy zauważył, przyjrzawszy mu się bliżej, że Laurence nie ma na rękawach munduru złotych galonów, które nosili inni kapitanowie.

Smok nie chciał pytać; nie chciał usłyszeć odpowiedzi, ale nie mógł się powstrzymać.

- Tak - odrzekł Laurence - ja też zostałem wydalony z służby. Teraz to nie ma żadnego znaczenia - dodał po chwili, chociaż oczywiście miało znaczenie, większe od czegokolwiek innego. - Musimy ruszać.

Laurence stał przy murze na górnym dziedzińcu zamku w Edynburgu i spoglądał na morze. Temeraire leżał gdzieś w ciemnej kryjówce, wielkiej czarnej plamie w panoramie oświetlonego miasta, które rozciągało się dookoła zamku i sięgało do rzeki Forth. Zakotwiczone statki niespokojnie unosiły się i opadały na falach wznoszonych przez silny wiatr, który ciał mu twarz ostrymi igielkami marznącego deszczu. W dali widział kilka poruszających się światełek, zbyt wysoko na niebie, żeby to mogły być statki, i zbyt jasnych jak na gwiazdy: smoczy patrol.

- Jeszcze trzysta tysięcy tych gnojków siedzi na wybrzeżu między Calias a Boulogne, czekając na okazję - powiedział sierżant piechoty morskiej do kolegi, kiedy podczas obchodu zbliżyli się do muru, i splunął gniewnie w stronę morza, jakby mógł trafić dalekiego wroga.

Nie zauważyli jeszcze Laurence'a. Wellesley ze swoim sztabem zajmował pomieszczenia w wieży, przed którą kazano mu czekać na wezwanie, mimo że noc była zimna, padał marznący deszcz, kamienie były śliskie od lodu, a w antykamerze, gdzie mógłby spędzić ten czas, nie brakowało miejsca. Choć było dla niego jasne, że jest to rozmyślny afront, wcale go to nie bolało. Wilgoć bez trudu przenikała przez jego pelerynę i skórzany płaszcz, ale stał tuż przy murze, poza kręgiem światła rzucanego przez latarnię, żeby móc dalej widzieć. W gruncie rzeczy wiedział jednak, że to tylko romantyczne złudzenie: o tej porze nocy nie mógł zobaczyć niczego ważnego.

~ Wepchnie nam tu dziś kolejny tysiąc - mówił dalej sier- Zant. - Każdej ciemnej nocy pieprzone Fleur-de-Nuity przerzucą ich na naszą stronę. Marynarka zestrzeliła jednego dwa dni temu - dodał z mściwą satysfakcją. - Spadł do morza jak kamień a z nim dwustu żabojadów, jak słyszałem. Jednak najczęściej nie można ich zobaczyć.

- A ja słyszałem, że doszczętnie spalił Weedon - odważył się odezwać jego młody towarzysz. - Słyszałem, że wysłał tam smoki, które wszystko zniszczyły.

- Pieprzeni jakobińscy sodomici - rzucił ponuro sierżant. - Bardzo przepraszam, sir - dodał, spostrzegłszy Laurence'a, i zasalutował.

Skinął do nich głową, a oni w milczeniu zajęli stanowiska. W tej chwili otworzyły się boczne drzwi wieży i zanim się ponownie zamknęły, ze środka dobiegł gwar ożywionych rozmów, zażartej dyskusji o strategii i poświęceniu. Laurence popatrzył w tamtą stronę, ale to nie był Wellesley ani jeden z jego adiutantów, tylko stary człowiek w koszuli nocnej i kapciach, który wyszedł na deszcz, mamrocząc coś do pod nosem. Miał rzadkie siwe włosy, zmierzwił, bez peruki, i kiedy zmierzał trochę po omacku w stronę kaplicy, która znajdowała się po przeciwnej stronie dziedzińca, niepewnie kuśtykał.

- Czy to wikary? - zapytał młody żołnierz.

- O tej godzinie? - odpowiedział z powątpiewaniem sierżant, po czym obaj spojrzeli na Laurence'a.

Laurence ruszył przez dziedziniec, żeby dogonić starca, który szedł chwiejnie po mokrych, oblodzonych kamieniach, przez cały czas mówiąc coś do siebie. Jego słowa płynęły strumieniem, który pozostał niezrozumiały nawet wtedy, gdy Laurence podszedł tak blisko, że słyszał wyraźnie każde z nich.

- Konie - mówił starzec - konie i muły, i zapasy zboża na trzy tygodnie, i Kopenhaga; flota w Kopenhadze. Trzydzieści trzy funty.

Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z obecności Laurence'a, dopóki ten nie powiedział:

Czy nie powinien pan wrócić do swojej komnaty?

_ Nie wrócę - odparł płaczącym głosem starzec. - Czy to ty Muracie? Czy to ty? - Spojrzał z bliska w twarz Laurence'a, dotknął jego płaszcz i wyraźnie

usatysfakcjonowany pokiwał głową _ Nie jesteś Napoleonem; jesteś Muratem. Przyszedłeś mnie zabić? Podaj mi ramię - rzucił niespodziewanie stanowczym głosem i chwyciwszy się ramienia Laurence'a, oparł się na nim ciężko. Następnie wbił wzrok w kaplicę i zaczął z determinacją kuśtykać w jej kierunku. - Oni wszyscy chcą mnie zabić - zwierzył się Laurence'owi. - Rozmawiają teraz o tym. Mój syn jest z nimi. - Nie powiedział tego z oburzeniem ani lękiem, raczej tak, jakby powtarzał interesującą plotkę.

Laurence spojrzął za siebie na wieżę, a potem znowu na starca, na jego profil, i rozpoznał go.

- Wasza Wysokość - powiedział cicho, z przygnębieniem - czy nie mógłbym ci pomóc wrócić do środka? Nie powinieneś przebywać na dworze w taką pogodę. - Zdjął pospiesznie pelerynę i założył ją na ramiona króla.

- Udam się do Windsoru - mówił tymczasem król. - Napoleona tam nie ma. Dlaczego nie mogę pojechać do Windsoru? - Posuwał się nadal chwiejnym krokiem w kierunku kaplicy i Laurence musiał albo iść razem z nim, albo zostawić go samego. - On jest w Londynie, w Londynie, a nie w Windsorze. Nie muszę uciekać do Halifaksu. To by było tchórzostwo. Czy chcesz, żebym popłynął do Halifaksu? - zapytał głośno. - Mój syn chce. Życzy mi śmierci w oceanie.

~ Ja pragnę, żebyś był bezpieczny, Wasza Wysokość - odparł Laurence - i jestem pewny, że on pragnie tego samego.

~ Nie popłynę tam - upierał się król. - Nie powinienem. Umrę w Anglii.

Drzwi otworzyły się znowu. Wystraszeni służący z peleryną i Parasolem podbiegli do króla i zaczęli go namawiać do powrotu; na Laurence'a, który odsunął się, żeby im nie przeszkadzać, nie zwrócili wcale uwagi. Protesty króla, najpierw głośne, stopniowo utonęły w uspokajającym pomruku ich głosów i w końcu starzec dał się zaciągnąć do środka.

- Biedny gość - powiedział sierżant piechoty morskiej, zbij. żywszy się na tyle, że mógł zerknąć za nimi do wnętrza wieży. - Pewnie pomieszało mu się w głowie. Kto to był?

Laurence stał na dziedzińcu, patrząc na zamykające się drzwi, nie czując

strumyków deszczu, które spływały mu po twarzy niczym krew. Stał tak i w końcu głośno powiedział:

- O Boże, co ja zrobiłem.

Rozdział 13

T

emeraire zwinął się jeszcze ciaśniej, przyciskając ogon do ciała, i bez powodzenia próbował zasnąć; o wielu sprawach wcale nie chciał myśleć, ale dopóki nie spał, wciąż domagały się jego uwagi.

Wylądowali w kryjówce w Edynburgu tuż po zmierzchu i stwierdzili, że jest wilgotna, przygnębiająca i błotnista, a woda w sadzawce nie nadaje się do picia; ostatnio pochowano tam zbyt wiele smoków. Musieli więc kolejno podstawić głowy pod wąską rynną odprowadzającą z murów zamku deszczówkę, która miała nieprzyjemny smak, a potem poukładali się między dwoma najbardziej odległymi kurhanami. Było im ciasno i niewygodnie, ale chociaż między innymi kurhanami było dużo miejsca, nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby oddalić się od pozostałych; wszyscy raczej przytulili się jeszcze bardziej do siebie. Laurence niemal natychmiast poszedł porozmawiać z Wellesleyem i nie było go bardzo długo; tak długo, że tymczasem zdążyli zjeść kolację - dwie stare, twarde krowy i trzy owce, porąbane na kawałki i upieczone w dole razem z górą ziemniaków, o które załogi, ponaglone przez Gong Su, gdzieś się wystarały: na szczęście kartofle przejęły część smaku i zapachu mięsa i były całkiem dobre, kiedy już się upiekły.

~ Nie jestem wielkim zwolennikiem tego gotowania - odezwał się w zadumie Maksimus, oblizując pysk po tym, gdy p[^]chłoną! siedemnaście buszli pieczonych kartofli - ale te nie

(y t *ł wcale złe, oczywiście jeśli nie można mieć

ładnej, apetycznej

krowy.

Temeraire nie spieszył się z jedzeniem, ale gdy zobaczył z jaką nadzieją Maksimus łypie na leżący przed nim ostatni stos owczych wnętrzności, zrozumiał, że nie może już tego przeciągać, i szybko dokończył kolację. Potem nie zostało mu już nic do zrobienia; zwinął się więc w błocie, jak najciaśniej dla zachowania ciepła, i zaczął rozmyślać z troską o Laurensie.

- Oczywiście, że nie jest szczęśliwy - powiedział sennie Gentius. - Kto by był szczęśliwy, kiedy kraj został opanowany przez tych żabojadów? Martwiłbym się raczej o niego, gdyby w tej sytuacji tańczył gige.

- Ale to nie to samo, co bycie nieszczęśliwym - odparł Temeraire - i to właśnie teraz, kiedy ruszamy do walki, by zmusić Francuzów do odejścia, i już wkrótce będziemy z nimi toczyć bitwy.

Gentius przechylił głowę w zamyśleniu.

- Ludzie czasem lubią być nieszczęśliwi - odezwał się w końcu. - Moja druga kapitan często siadała wieczorem pod moim skrzydłem z książką i płakała nad nią. Początkowo myślałem, że coś jej się stało, ale powiedziała mi, żebym się tym wcale nie przejmował, bo lubi to robić; a następnego ranka była znowu wesoła jak szczygiełek.

Temeraire słuchał tego z powątpiewaniem; nigdy nie widział, żeby Laurence płakał nad książką, chociaż czasem nie ukrywał, iż niektóre niezbyt mu się podobają. Smok nie chciał jednak kontynuować tej rozmowy. Prawdę mówiąc, trochę lękał... może niepokoił... no dobrze, bał się, że może się wiedzieć, iż Laurence jest nie tyle zasmucony, co zły... Bał się, że Laurence jest zły na niego.

Temeraire nie w pełni rozumiał, czym dla Laurence'a będzie o zdrójcy. Oczywiście wiedział, że rząd zamierzał go stracić |bo uwięzić ich obu z dala od siebie, ale myślał, że te niebezpieczeństwa zostały już oddalone i że ich życie będzie znowu takie jak dawniej. Początkowo rzeczywiście wyglądało na to, że jego oczekiwania się spełnią: znowu latali razem, dostawali rozkazy i wszystko zdawało się niemal takie samo jak przedtem. \]e wcale nie było. To oczywiste, że nie mieli innego wyjścia i musieli zabrać lekarstwo; tylko że Temeraire nie całkiem rozumiał, zanim je wykradli, iż

zdrada oznacza dla Laurence'a utratę załogi, stopnia, całego życia.

- Przynajmniej - powiedział - przynajmniej wciąż jesteś moim kapitanem; a chociaż wielu kapitanów ma jakieś smoki, ja jestem jedynym, który ma stopień komodora... - Ale kiedy wypróbował ten argument prywatnie, mówiąc do siebie samego, nie zabrzmiał on wcale pocieszająco, ale raczej jak przechwałki, jakby Laurence powinien być usatysfakcjonowany jego pozycją, a nie swoją, kiedy już utracił stopień kapitana.

Temeraire uniósł głowę z błota i zapytał:

- Roland, widziałas łańcuch kapitana Fentera, ten złoty, ze szmaragdem? To nie jest żadna oficjalna oznaka, prawda? Każdy mógłby to nosić. - Mówił o pięknej ozdobie, którą wszystkie smoki zauważyły na szyi kapitana bardzo z siebie zadowolonej Orchestii; i zdaniem Temeraire'a bardzo odpowiedniej dla ka- P'tana smoka wysokiej rangi, nieważne, jak niesprawiedliwie traktowanego przez Korpus. - Jak myślisz, czy Laurence mógłby s^obie kupić sobie coś takiego, tutaj, w mieście?

Obawiam się, że nie mógłby sobie na to pozwolić; wiesz, ten Proces - odpowiedziała rozsądnie, unosząc głowę znad bu- t0W' które właśnie pastowała.

~ Jaki proces? - zapytał zdziwiony Temeraire. O tych niewolników - odparła - których uwolniliśmy

w Afryce. Ich właściciele, których przywieźliśmy do An wytoczyli kapitanowi proces o odszkodowanie, a on pewnie „ ' mógł się dobrze bronić, bo siedział wtedy w więzieniu, zabrali mu cały jego kapitał.

- Zabrali mu kapitał? - Temeraire z trudem powstrzymał się, żeby nie walnąć ogonem w ziemię. - Ale z pewnością nje cały- wykrztusił zduszonym głosem.

- Słyszałam, że to było dziesięć tysięcy funtów lub coś koło tego - odpowiedziała Emily.

- Dziesięć tysięcy funtów! - krzyknął zdjęty grozą Gentius wrywając głowę z błota, które mlasnęło nieprzyjemnie. - Dziesięć tysięcy funtów! Nic nie mówiłeś o utracie dziesięciu tysięcy funtów. Przecież to dziesięć tych orłów albo i więcej.

Wśród pozostałych smoków podniósł się szmer zszokowanych głosów; nawet Maksimus i Lily nie potrafili się zmusić, żeby spojrzeć Temeraire'owi w oczy.

Sam Temeraire był tak wstrząśnięty, że aż go zemdliło. Laurence nic mu nie powiedział; nie powiedział, że zabrano mu cały jego skarb, albo niemal cały, próbował przekonać siebie samego smok. Rozum podpowiadał mu jednak, że to słaby argument, i kiedy otworzył pysk, by przedstawić go innym, powstrzymał się i nic nie powiedział. Nie zadał sobie trudu, żeby to sprawdzić, i oto sam był komodore, chwalcącym się klejnotami i epoletami, a Laurence nie miał niczego poza zwykłym płaszczem, który z każdym dniem stawał się coraz bardziej wytarty.

- Dziesięć tysięcy funtów - powtórzył Gentius bardzo krytycznym tonem, kiwając głową na boki. - Widać, że dobrze to sobie przemyśleliście - dodał.

Temeraire skulił się, czując, że potępienie pobrzmiwają[^] w głosie starego smoka jest całkowicie usprawiedliwione.

- Ale gdybyśmy nie zabrali tego lekarstwa - odpowiedział³ dość cicho - umarłoby bardzo dużo smoków, nawet takich, które

oja nic wspólnego z wojną albo z Francją. Zrobiliśmy, co nie mogliśmy . . .

leżało; tego nie można uznać za coś złego.

- Według mnie - odezwała się po chwili Perscitia - Francuzi powinni dać wam jakiś skarb, żeby wam to wynagrodzić, bo przecież zrobiliście to dla nich; no, może nie konkretnie

ich - poprawiła się szybko - ale oni dobrze na tym wyszli; więc to, że pozwolili, by po tym wszystkim było wam gorzej niż przedtem, bardzo źle o nich świadczy, zwłaszcza że wcale nie musieliście tego robić.

- Cóż - zaczął Temeraire i był zmuszony przyznać, że taka oferta została im złożona, i to bardzo hojna. - Tylko że Laurence odmówił jej przyjęcia, bo to byłoby jeszcze większą zdradą - dokończył.

- Nie rozumiem, jak przyjęcie skarbu po tym, gdy już popełniliście zdradę, uczyniłoby ją jeszcze większą - powiedział Chalcedony. - W końcu to są nasi nieprzyjaciele i gdyby dali wam skarb, im samym zostałoby mniej, przez co ich sytuacja by się pogorszyła, a więc według mnie przyjęcie go tak naprawdę pomniejszyłoby waszą zdradę, a nie powiększyło - stwierdził, a jego argument wydał się Temeraire'owi niezwykle trafny, tak trafny, że zaczął żałować, iż sam na to

wcześniej nie wpadł.

- Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że Laurence straci swój kapitał - odparł ze smutkiem - więc nie myślałem, że to może być takie ważne.

- No już dobrze, dobrze, jesteś jeszcze bardzo młody - po- w ledział Gentius nieco łagodniejszym tonem - masz więc czas, żeby to odrobić. Wygraj kilka bitew i bierz przy okazji łupy, a wszystko się ułoży... Rząd też cię odpowiednio wynagrodzi, jeśli okażesz się wystarczająco bohaterski.

- Ale ja byłem bardzo bohaterski - zaprotestował Teme- raire - a onj wcaie nje okazali się sprawiedliwi; próbowali mi nawet odebrać Laurence'a.

- Nie wykazałeś się właściwym bohaterstwem - odparł G tius. - Musisz wygrywać bitwy, to jest odpowiednia droga Ta właśnie moja pierwsza kapitan została kapitanem; nie pozwalał- wtedy, żeby kobiety nosiły ten stopień. Do mojej kapitan mówił „mościa panno” i oprócz niej był jeszcze przy mnie taki jeden którego ona powinna słuchać, tylko że on był pacanem i upił sj na umór właśnie wtedy, kiedy ruszaliśmy do bitwy, i cała for macja czekała tylko na nas. - Prychnął z pogardą. - Zobaczyła co się dzieje, i powiedziała do załogi... „Mości panowie...” - Tu stary smok przerwał i z coraz bardziej zachmurzoną miną zaczął nerwowo pocierać jedną przednią łapę o drugą.

Czekali, czekali i czekali; chociaż Temeraire niemal dygotał z niecierpliwości: jeśli kapitan Gentiusa awansowała z „mości panny” do „kapitana”, to Laurence na pewno także mógłby odzyskać swój stopień, w taki sam sposób...

- Trudno mi sobie przypomnieć, jak ona to dokładnie powiedziała - odezwał się w końcu Gentius takim tonem, jakby się tłumaczył. - Ludzie nie mówią już teraz tak jak kiedyś, ale wydaje mi się, że ona powiedziała: „Mości panowie, jako że obowiązek nakazuje nam iść na wojnę, zaiste godne pogardy by było, gdybyśmy uznali to za przeszkodę i nie spełnili naszej powinności nawet bez kapitana... bez kapitana...” Kurczę! - wymamrotał Gentius, przerywając sam sobie - zapomniałem, jak się nazywał. Ale ona знаła jego nazwisko - kontynuował - i powiedziała: „gdybyśmy nie spełnili naszej powinności nawet bez niego, albowiem nic gorszego od naszej nieobecności na polu bitwy zdarzyć się nie może, czegpm pewna; dlatego powiadam

waćpanom, że ja lecę, a każdy z was, kto pod moje rozkazy oddać się nie zechce, może tu pozostać •

Zakończył tryumfalnie swoją recytację, ale na aplauz musiał poczekać, aż słuchacze przemyślą to, co powiedział.

- Nie rozumiem, wygraliście tę bitwę czy nie? - zapyta'8 w końcu zaintrygowana Messoria.

Oczywiście, że wygraliśmy bitwę - odparł zirytowany (jentius- -1 dawaliśmy sobie radę o wiele lepiej niż zwykle bez kapitana Hauldinga, mówię wam... Ha, przypomniałem sobie • o nazwisko. Opisali to nawet w gazetach i rząd się ugiął, uczyni ją prawdziwym kapitanem: ponieważ tak dobrze się spisaliśmy - dokończył, trącając znacząco głową bark Temeraire- re'a _ To jest ta droga: wygrywaj dla nich bitwy, a sami zmieniają zdanie, zobaczysz.

_ Wszystko to ładnie - zauważyła Iskierka - kiedy tylko pozwolą nam stoczyć jakiejś bitwy. O, zobacz, idzie; zapytaj go, kiedy zaczniemy walczyć - dodała, trącając głową Temeraire'a: ścieżką prowadzącą z zamku szedł Laurence.

Temeraire nie potrafił spojrzeć Laurence'owi w twarz. Dręczony głębokim poczuciem winy, niemal spodziewał się, że usłyszy od niego jakieś gorzkie słowa, ale Laurence powiedział tylko do Emily, Demane i Sipho:

- Idźcie obudzić pozostałych kapitanów, natychmiast, jeśli laska - i stał, czekając w milczeniu, aż inni zostaną ściągnięci ze swych niewygodnych biwaków. - Panowie, otrzymałem tymczasową nominację na oficera i zostałem mianowany dowódcą tej ekspedycji; mam tu dla was pisemne rozkazy, które, jak ufam, są jednoznaczne.

Laurence trzymał w dłoniach plik zapieczętowanych papierów z nazwiskami pozostałych kapitanów. Po chwili wręczył rozkazy Sipho, który rozdał je obecnym.

- Cholerna papierkowa robota, kiedy Bonaparte siedzi w na- Szym sa'onie - mruknął Berkley. - Armia zawsze znajdzie czas na takie rzeczy, można jej pod tym względem zaufać...

ze

panu ogromnie zobowiązany, kapitanie Berkley, ^ 1 schowa pan rozkazy w jakimś bezpiecznym miejscu, tam, t)6 n'e u'eşn3 zniszczeniu - powiedział Laurence, wiedząc, erkley zamierza zmiąć dokument. - Chciałbym też, żeby struktura dowodzenia naszym oddziałem była zupełnie jasna db każdego, kto zechce o nią zapytać w przyszłości.

Wszyscy kapitanowie przestali się przyglądać swoim rozkazom i popatrzyli na niego, a zdziwiony Temeraire zaczął s' zastanawiać, dlaczego miałyby to mieć jakieś znaczenie.

Ale Laurence nie dodał ani słowa wyjaśnienia. Zamiast tego mówił dalej:

- Oddziały zaopatrzeniowe Francuzów nękają naszych chłopów, zaspokajając w ten sposób potrzeby ich armii. Naszym obowiązkiem jest powstrzymanie tej grabieży i, o ile nie będzie się to wiązało z nadmiernym ryzykiem dla smoków, zredukowanie sił, którymi dysponuje Napoleon.

Zapadła cisza, a potem Granby powiedział:

- Masz na myśli... jego oddziały nieregularne?

- Tak - odparł Laurence.

- Jak jego zdaniem mamy postępować z jeńcami, przenosić ich w uprzężach brzusznych? - zapytał Berkley.

- Nie będziemy brać jeńców - odparł Laurence. Ton bezwzględnej stanowczości, który zabrzmiał w jego głosie, odstraszył kapitanów przed zadawaniem dalszych pytań w tej sprawie; nie wymienili też żadnych uwag między sobą. - Zaczynamy jutro od hrabstwa Northumberland i stopniowo będziemy się przesuwać na południe. Wyruszamy o świcie, panowie; to wszystko.

Stali jeszcze przez chwilę, patrząc na swoje rozkazy i na Laurence'a z dziwnie niepewnymi minami. W końcu rozeszli się z wolna do swoich namiotów, nie rozmawiając ze sobą. Temeraire nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Nie mógł zrozumieć- dlaczego Laurence został dowódcą. Przecież to o n dowodzi' i było ważne, czyż nie, żeby to smok był na tym stanowisku - sam Laurence to powiedział. Temeraire nie zamierzał być dłużej samolubny, wcale nie, zwłaszcza teraz, kiedy już wiedział, # taki był. Jeśli Laurence chciał objąć dowództwo, to oczywiście

inno tak się stać, a jednak, jeśli to miało znaczenie politycz- znaczenie dla wszystkich smoków... 1,6 Zastanawiał się nad tym i w końcu nieśmiało o to zapytał, czym dodał pośpiesznie:

, Osobiście nie mam nic przeciwko temu, jestem bardzo szczęśliwy że przywrócono ci stopień i znowu jesteś kapitanem. Tylko jeśli to jest ważne...

Leżał wciąż zwinięty razem z innymi smokami, ale one wszystkie spały, a ludzie poszli do swoich namiotów. Laurence powiedział Emily, Demane i Siphon, że mogą położyć się do snu w jego namiocie, a sam został na zewnątrz i owinięty w płaszcz oraz pelerynę studiował mapy, które rozłożył na małym stoliku obozowym; znakował je w różnych miejscach małym woskowym ołówkiem.

- W tym przypadku ważniejsze jest to, żebyś nie sprawował dowództwa, ani żeby nie dowodził nikt inny oprócz mnie - odparł w końcu.

Jego głos był dziwnie bezbarwny, jakby nie obchodziło go to, co mówi, i nie uniósł głowy znad swoich map. Temeraire ogromnie żałował, że jest tak ciemno i nie może zobaczyć twarzy Laurence'a.

- Tak czy owak - dodał Laurence - dopiero się okaże, czy sądy uwierzą, że naprawdę byłeś dowódcą; i mam nadzieję, że me narazisz na niebezpieczeństwo życia oraz karier innych kapitanów, upierając się przy swoim pierwszeństwie.

- Ale czy oni i tak nie ryzykują życia? - zapytał Temeraire.

~ W bitwie - odparł Laurence - nie potem.

Temeraire nie chciał kontynuować tej rozmowy. Chociaż sa- ma myśl, że Laurence może się na niego gniewać, była straszna, Cszcze gorzej byłoby wiedzieć to n a pewno, usłyszeć to Zjeg0 Ust- Przełamał się jednak i zapytał odważnie:

Laurence, wytłumacz mi, proszę; ja wiem... wiem, że przeze mnie spotkała cię krzywda, ponieważ nie spróbowałem nawet wszystkiego zrozumieć, i nie zamierzam pozwolić, by t0 się znowu stało, tylko że nic nie poradzę, jeśli nie będę wiedział

Laurence uniósł głowę, a w jego oczach błysnęło przez chwilę odbicie światła zamku.

- Nie masz się czym przejmować; nic mi nie grozi - p0. wiedział.

- Jeśli oni są w niebezpieczeństwie, to i ty jesteś - odparł Temeraire.

- Nie mogą mnie skazać dwa razy - rzekł Laurence. - Pro. szę, odpocznij trochę: rano musimy przelecieć sto mil.

- Chcę go wykrwawić - powiedział Wellesley, stojąc nad upstrzoną niebieskimi oznaczeniami mapą Anglii w komnacie wieży Zamku Edynburskiego, której okna smagał lodowaty deszcz. Zza drzwi dobiegały jakieś skargi króla, które niosły się po korytarzu, i chociaż były stłumione przez odległość, dla Laurence'a były bardzo głośne. - Każdy człowiek jest dla niego wart tyle, co pięciu dla nas. Musi ich dużym kosztem przetrzącać przez kanał i tracić na to siły swoich smoków. No i jego ludzie mają żyć z naszej ziemi... On liczy na to, że dokonując wypadów na wieś, będą w stanie siebie wyżywić, dostarczyć bydło smokom oraz utrzymać jego linie zaopatrzeniowe, które powinny być jak najkrótsze.

- Życzy pan sobie zatem, generale, żebyśmy zaczęli atakować jego oddziały nieregularne - wtrącił Laurence, zmęczony ogólnikami.

- Jego linie zaopatrzeniowe, jego plądrujących kraj fura" żerów, jego zwiadowców - odparł Wellesley, uderzając ręką w mapę. - Ma setki małych oddziałów zaopatrzeniowych rozrzuconych po całym kraju na północ od Londynu; bez nich n'f przetrwa długo, a wszystkie one są właściwie bezbronne. Mac" etrzeć w proch każdy, który uda wam się znaleźć. Nie będziecie atakować żadnych większych oddziałów, wzmocnionych smokami lub artylerią: nie chcę utracić żadnego z naszych smoków.

Laurence spodziewał się czegoś takiego z tonu wezwania, jakie otrzymał od Wellesleya; nie był zaskoczony i wysłuchał rozkazu z jakąś tępą rezygnacją. Oceniana na chłodno strategia zarysowana przez generała była zupełnie rozsądna. Gdyby Bonaparte zaczął tracić ludzi szybciej, niż mógłby ich zastąpić, a jednocześnie stwierdził, że w szybkim tempie kurczą mu się zapasy, musiałby przyjąć bitwę na warunkach podyktowanych przez przeciwnika albo całkowicie wycofać się na kontynent.

Ale smoki rzadko wykorzystywano w taki sposób w wojnach cywilizowanych narodów. Wellesley doskonale o tym wiedział, tak jak i on. Z pragmatycznego punktu widzenia były zbyt cenne, żeby narażać je na niepotrzebne ryzyko, poza tym

zaopatrywanie ich w żywność było tak wielkim problemem, że rzucano je tylko przeciwko ważnym celom o znaczeniu strategicznym, a nie małym grupom piechoty uzbrojonej jedynie w karabiny. Od czasu do czasu zapominano jednak o pragmatyzmie, ale takie wyjątki od reguły spotykały się z powszechnym potępieniem, gdyż trudno było znaleźć coś, co przejmowałoby zwykłych ludzi większą grozą od perspektywy, że zostaną zaatakowani przez smoki; wielu z tych, którzy takie ataki przeprowadzili, zostało skazanych na śmierć przez sądy wojskowe, nawet własne.

- Grabieży - dodał po chwili milczenia Wellesley - oczywiście nie można tolerować...

~ Nie będzie grabieży - przerwał mu Laurence - z wyjątkiem tego, co będziemy musieli zarekwirować, żeby wyżywić smoki - Czy coś jeszcze?

Wellesley popatrzył na niego badawczo. Zrobisz to?

Laurence niewiele mógł teraz uczynić, żeby naprawić szkody, które wyrządził. Nie mógł przywrócić do życia zabitych albo podnieść z dna kanału zatopionych okrętów, czy też zrehabilitować straty wszystkich rodaków, którym najeźdźcy odebrali źródła utrzymania i dobytek. Nie mógł przywrócić zdrowia ojcu lub królowi ani szczęścia Edith. Ale skoro okrył już nieodwołalnie hańbą dla dobra nieprzyjacielskiego narodu i jego chciwego władcy, to mógł się jeszcze trochę splamić dla dobra własnego kraju i osłonić swoją zszarganą reputacją tych którzy mieli jeszcze coś do chronienia.

- Nie potrzebuję pisemnych rozkazów dla mnie samego - odpowiedział Wellesleyowi. - Ale chcę je dostać dla innych oficerów z Korpusu: może pan w nich tylko napisać, że mają wykonywać moje polecenia.

Wellesley dobrze zrozumiał, co Laurence miał na myśli, i przyjął jego ofertę. Kiedy rozkazy zostały napisane, Laurence wziął je i zostawiwszy generała w jego wieży, ruszył w dół, do kryjówki.

Rano wszyscy w obozie obudzili się w ponurych nastrojach. Kiedy zakładali uprząż i załogi zajmowały miejsca na grzbietach smoków, prawie nikt się nie odzywał, i tylko Laurence'owi wydało się raz czy dwa razy, że Harcourt chce z nim porozmawiać, ale nie może się przemóc, i ostatecznie nie zamienili ani słowa.

Kiedy wszystko było gotowe do drogi, Laurence dał sygnał i smoki wzbiły się w powietrze. Chłodny wiatr, owiewający mu twarz, jednostajny łopot skrzydeł Temeraire'a i cisza uspokaja!) go. Jego mała załoga milczała, a siedząc z przodu, u podstaw karku smoka, miał wrażenie, że szybuje sam po zupełnie pustym niebie. Wrażenie to pogłębiał jeszcze widok pofałdowanych wrzosowisk pod nimi, dziewiczej ziemi nie znającej granic, nie zszpeconej śladami wojny.

Szpiegzy Wellesleya donieśli o obecności na północy kilkunastu francuskich oddziałów zaopatrzeniowych, które łup

opskie gospodarstwa, zabierając z nich przede wszystkim jedło Laurence zaznaczył na mapach miejsca, gdzie widziano epryjaciót, zamierzając ich szukać, ale oni sami dostarczyli mu jogodnej wskazówki w postaci widocznego z odległości wielu mil słupa czarnego dymu. Był wąski i kłębił się leniwie nad dachem wielkiego wiejskiego domu, który został już niemal zupełnie ugaszony, zanim tam dolecieli. Kiedy smoki wylądowały, wioska sprawiała wrażenie zupełnie opustoszałej. Nie było widać niko- oo jeśli nie liczyć ciał dwóch zakłutych bagnetami mężczyzn w ubiorach z samodiała, które leżały na drodze.

— Wieśniacy nie wyjdą z ukrycia, dopóki mamy tu smoki - powiedziała Harcourt. - Jeśli zostawimy je na zewnątrz wioski...

- Nie - przerwał jej Laurence, który nie chciał tracić czasu na takie rzeczy. Przyłożył dłoń do ust i krzyknął: - Jesteśmy oficerami Jego Królewskiej Mości. Macie natychmiast wyjść albo każemy smokom burzyć wasze domy, dopóki tego nie zrobicie.

Nie było żadnej odpowiedzi.

- Temeraire - powiedział głośno Laurence i wskazał małą, schludną chatę na końcu drogi prowadzącej przez wioskę. - Zrównaj to z ziemią, z łaski swojej.

Temeraire popatrzył na chatę i zapytał niepewnie:

- Czy mam ryknąć?

- Zrób to, jak chcesz - odparł Laurence.

- Czy powinienem zburzyć ten dom całkowicie? - zapytał Temeraire i odwróciwszy głowę, przyglądał się przez chwilę chatce. Następnie rzucił spojrzenie na Laurence'a,

jakby próbował wy badać jego prawdziwe intencje. - Może gdybym na początek r°zbił tylko komin...

~ Och, za długo się zastanawiasz - rzuciła Iskierka i plunęła °gniem.

Słomiana strzecha domku zajęła się natychmiast i zapłonęła, Wesoło trzaskając i siejąc wokół iskrami.

Chata paliła się gwałtownie, a buchające z niej płomienie zaczynały łakomie lizać domostwa sąsiadów. Laurence siedzi^ spokojnie, czekając. Po chwili zaskrzypiały drzwi piwnicy i zewnątrz wybiegło kilku mężczyzn.

- Zgaście to, na litość boską, zgaście - błagał jeden z nich z trudem łapiąc oddech. - Cała wieś się spali...

- Berkley, bądź tak dobry - powiedział Laurence.

Maksimus zerwał płonący dach i rzuciwszy na ziemię, jednym machnięciem potężnej łapy przysypał go taką ilością piasku, że niemal w nim zagrzebał. Laurence spojrzał na wieśniaków, którzy wpatrywali się w niego, bladzi i spoceni.

- Dokąd poszli Francuzi?

- W stronę Scarrow Hill - odpowiedział po chwili starszy mężczyzna, którego głos wciąż drżał. - Z naszym bydłem, które wygarnęli co do sztuki... - Ciche muczenie krowy, które dobiegło z pobliskiego lasu, zadało mu kłam, przynajmniej w tej sprawie, ale Laurence nie zwrócił na to uwagi. - Wyruszyli mniej niż godzinę temu...

- Bardzo dobrze; nie bierzemy jeńców, panowie, i niech strzelcy się przygotowują - rzucił Laurence przez ramię do pozostałych kapitanów.

Dogonili Francuzów piętnaście minut później, ale jeszcze wcześniej ich usłyszeli, gdyż maszerując przez las, śpiewali sprośny fragment *Aupr?s de ma blonde, qu'il fait bon, fait bon*. Potem wyszli znowu na drogę, z ryczącymi niespokojnie i rzucającymi głowami krowami, które wyczuły zapach smoków. Coraz bardziej zirytowani ludzie szarpali postronki, próbując je ciągnąć. Żaden nie spojrzał w górę.

Temeraire odwrócił głowę i popatrzył na Laurence'a. Dziesi?c smoków leciało tuż za nimi.

- Panie Allen - rzucił Laurence - proszę dać sygnał do ataku-

Rozdział 14

N

ie rozumiem, co w tym złego - powiedziała Iskierka, wciąż skubiąc lekko zwęglone krowie kości, resztki jej kolacji. - Oni kradną bydło dla swoich smoków i to nie nasza wina, że te są zbyt leniwe, by tu przylecieć i samodzielnie wziąć sobie krowy.

- To nie jest złe- odparł niezadowolony Temeraire - ściśle rzecz biorąc.

- Ale też niezbyt chwalebne - wtrącił Gentius. - Oni nawet nie mieli działa.

- Ludzie w wiosce też nie mieli działa ani nawet karabinów - włączyła się do rozmowy Lily - a więc ci żołnierze też nie postąpili nazbyt chwalebnie.

- A poza tym - dodała Iskierka z niewinną minką - musimy wykonywać nasze rozkazy.

Temeraire nie chciał się dłużej o to spierać. Nie żeby jemu samemu to przeszkadzało, no, w każdym razie niezbyt mocno, chociaż sama bitwa była raczej nieciekawa: smoki zanurkowały, żołnierze oddali kilka strzałów i ci, którzy od razu nie zginęli, uciekli do lasu. Wszystko skończyło się w ledwie pięć minut - nie zdobyli niczego, czym mogliby się pochwalić. Oczywiście - prócz krów, ale te w większości musieli oddać właścicielom.

Nie zamierzał tego powiedzieć, ale w dużej mierze podzielał zdanie Iskierki. Jeśli żołnierze nie chcieli być atakowani, to ni powinni zajmować cudzych ziem, a także zabierać jedzenia i to dużo więcej, niż sami potrzebowali. Smoka martwiło jednak coś innego. Napad na praktycznie bezbronnych Francuzów należał do tego typu działań, które nie mogły się podobać Laurence'owi i to, że on najwyraźniej tym się nie przejmował, wydawało się Temeraire'owi bardzo dziwne.

Wieśniacy byli im bardzo wdzięczni.

- Jeszcze dwa miesiące do wiosny. Szeźlibyśmy z głodu albo ledwie przeżyli.

Dziękujemy, panie - powiedział naczelnik wioski, a kwestia na wpół spalonej chaty została zupełnie zapomniana, gdy inni powychodzili lękliwie ze swoich domów i sprawdzając, co udało się uratować z ich bydła oraz dobytku, kłaniali się nerwowo swoim zbawcom.

Kilku młodzieńców z załogi Maksimusa przypędziło z powrotem te krowy, które

nie zostały zabite lub nie zdechły ze strachu podczas walki. Gladius i Chalcedony przynieśli także dwa wielkie wozy ze zbożem, a wieśniacy posłali wiadomość do innych, którzy także zostali ograbieni, żeby przyszli i wzięli sobie część tego, co udało się odzyskać.

Ale Laurence nie wyglądał na zbytnio zadowolonego z ich podziękowań; pokiwał tylko głową i powiedział:

- Poślijcie także wiadomość, żeby każdy, kto zobaczy Francuzów lub usłyszy o ich ruchach, dawał nam znak: dym za dnia, w nocy ognisko. Jeśli tylko to zobaczymy, przybędziemy natychmiast.

Gong Su wziął zabite krowy, wydzielił z nich trochę świeżego mięsa dla smoków, a z reszty wymieszanej z jarzynami i kaszą ugotował zupę dla wszystkich załóg oraz mieszkańców wioski- Atmosfera od początku była radosna i poprawiła się jeszcze bardziej, kiedy wieśniacy przynieśli poukrywany gdzieś w zagrodach

'ód pitny- Nawet Téméraire miał okazję podelektować się jego makiem, gdyż wlano mu do pyska cały kubek.

Laurence zjadł niewiele, po czym szybko opuścił wioskę oraz świętujących ludzi i wrócił do Temeraire'a, ale tylko po to, żeby wyjąć znowu mapy i studiować przebieg naniesionych na nie dróg.

Téméraire obserwował go przez jakiś czas, a następnie wziął głęboki wdech i zdobywszy się w końcu na odwagę, powiedział:

- Laurence... tak sobie myślę... Może mógłbyś sprzedać moje pochwy na pazury. Nie teraz - dodał szybko - ale kiedy wojna się skończy...

- Dlaczego? - zapytał Laurence z roztargnieniem, na które zdaniem Temeraire'a jego oferta nie zasługiwała. - Już ci się znudziły?

- Nie, oczywiście, że nie, komu one mogłyby się znudzić? - odparł Temeraire i umilkł. Nie wiedział, jak to wytłumaczyć, nie zdradzając jednocześnie tego, że wie o stracie, którą Laurence ukrywał, na pewno dlatego, że bardzo cierpiał z tego powodu.

- Ja tylko pomyślałem - rzekł - że może chciałbyś mieć trochę więcej kapitału, bo przecież tyle mi już dałeś.

- Nie potrzebuję kapitału - odparł Laurence - a pochwy lepiej zatrzymaj, na wszelki wypadek. Dziękuję ci za tę propozycję; to było bardzo miłe z twojej strony - dodał.

Chociaż te słowa powinny przynieść mu ogromną ulgę, Temeraire stwierdził, że jest jeszcze bardziej nieszczęśliwy, ponieważ nawet jego najbardziej desperacki pomysł okazał się chybiony. Laurence nie był ani odrobinę poruszony perspektywą posiadany wspaniałego skarbu, a jego wdzięczność była tylko formalna.

Smok położył głowę na przednich łapach i jeszcze przez jakiś czas przeglądał się Laurence'owi, który miał lampę i w jej świetle wyglądał trochę dziwnie - był niedogolony, uświadomił sobie Temeraire, na szczęście miał trochę zaschniętej krwi, której nie usunął po walce, a nieco już przydługie włosy związała niżej dbale na karku. Najwyraźniej to, jak wygląda, zupełnie go nie obchodziło; całą uwagę skupił na mapie i kartkach z liczbami które studiował.

- Czy nie mogę ci w czymś pomóc, Laurence? - zapytał w końcu Temeraire, dość rozpaczliwie, gdyż nie miał już żadnego pomysłu.

Laurence oderwał wzrok od papierów, a potem wyciągnął jedną kartkę, nad którą postawił lampę.

- Czy to jest dość duże, żebyś mógł przeczytać? To spis podatkowy za ostatni rok. Przypuszczam, że Francuzi w pierwszej kolejności będą plądrowali najbogatsze posiadłości i wioski, a więc tam powinniśmy ich szukać.

- Tak, mogę to przeczytać - odparł Temeraire; jeśli zmrużył oczy, było to tylko trochę trudne. - Czy mam ci powiedzieć, które gospodarstwa są najzamożniejsze, po kolei?

W miarę jak posuwali się na południe, francuskie oddziały były coraz większe i coraz bardziej zdesperowane. Nie natykali się już na małe grupy poszukujące żywności zarówno dla siebie, jak i smoków, ale dobrze zorganizowane ekspedycje zaopatrujące głównie smoki, które rozmieszczono teraz w małych palcówkach i obozach na obszarze całej środkowej Anglii, żeby ciężar ich wyżywienia rozłożyć bardziej równomiernie na barkach całej populacji. Francuzi wiedzieli, że jeśli bydlę nie będzie docierało codziennie, smoki wkrótce zaczną głodować i część z nich trzeba będzie przenieść gdzie indziej, bardziej na południe, a może nawet z powrotem

do Francji.

Zakłócenia w dostawach zaopatrzenia już przyniosły pe^{ne} skutki. Ponieważ małe oddziały przestały dostarczać reguły nie żywność, wykarmienie siebie oraz smoków przychód hdfi

żołnierzom z większym trudem, przez co stali się jeszcze j2jcy bezwzględni. Wioski, gospodarstwa i posiadłości ziemskie alacano ze wszystkiego, a często też burzono podczas poszukiwania ukrytych zapasów; albo i bez powodu, w bezmyślnych aktach wandalizmu. Jeśli wieśniacy próbowali chronić domostwa i dobytek, często byli mordowani lub bici, a w najlepszym razie palono im domy i pozostawiano bez środków do życia.

Te okrucieństwa już wkrótce sprawiły, że raczej bierny początkowo opór wieśniaków, którzy chętnie spraliby gdzieś na uboczu jakichś francuskich żołnierzy, żeby móc się tym przechwalać w pubach, i równie chętnie przekazywali wiadomości o ruchach ich wojsk oddziałom brytyjskim, ukrywając przy tym żywność przed jednymi i drugimi, zmienił się w otwartą nienawiść. Nie uciekali już od smoków, kiedy lądowały, ale przyprowadzali im swoje bydło do zjedzenia, a dymy rozpalanych przez nich ognisk sygnalizacyjnych wznosiły się teraz w niebo każdego dnia. Małe dzikie smoki z Gór Pennińskich, które zwykle napadały na gospodarstwa w poszukiwaniu jedzenia, a teraz cierpiały głód, dały się zwerbować Temeraire'owi do zbierania wiadomości. Śmigaly od jednego ogniska do drugiego, gdzie wieśniacy dawali im owcę lub kozę, i w zamian przynosiły informacje do obozu Laurence'a, każdego dnia zapędzając się coraz dalej na południe. Laurence był pewny, że dzięki nim wie o ruchach Francuzów więcej od ich własnych generałów, i codziennie wysyłał długie raporty do Jane i Wellesleya.

Pewnego wieczoru w Kumbrii, kiedy wszyscy siedzieli dość Znudzeni, ostrząc bagnety lub popijając rozcieńczoną whisky PrZY małych ogniskach, do obozu wpadł mały niebieski smok ' Ozriał osobiście niskim głosem:

Francuzi tu idą, z działami i dwunastoma smokami. ~ Zostawić obóz - rozkazał

Laurence, wstając, i włożył 0 Pochwy szablę. - Nie, zostawiamy wszystko; czas jest

nam ardz'ej potrzebny od zapasów. Niech ogniska się nadal palą.

Wszyscy w górę, panowie, natychmiast - rzucił ostro, poganiając tych, którzy się przez chwilę wahali.

- Ale, Laurence - wymamrotał Temeraire, kiedy się na niego wspinał - dlaczego nie chcesz tu zostać i walczyć z nimi? To nasza pierwsza okazja do stoczenia prawdziwej bitwy, a oni mogą mieć orły.

- Nie można zdobyć sławy w bitwie ze złodziejami - odpart stanowczo Laurence i wzięwszy mapy, które podał mu Dema- ne, szybko je przejrzał. - Podzielić się na grupy nie większe od trzech smoków i lecieć osobnymi trasami; spotykamy się przy Cross Feli - krzyknął i wszystkie smoki wzbily się w powietrze.

Poruszali się w terenie tak zręcznie, że niełatwo było ich wytropić, a co dopiero dogonić, zwłaszcza że tysiące par oczu wypatrywało w każdym kierunku grożącego im niebezpieczeństwa. Jeszcze trzy razy Francuzi podjęli próby zaskoczenia ich podczas postoju, ale znaleźli tylko porzucone ogniska i doły do gotowania.

Oferowane przez nich duże nagrody były pogardliwie ignorowane i coraz bardziej sfrustrowani okupanci zaczęli w końcu stosować surowe represje wobec wszystkich, których podejrzewali o dostarczanie informacji lub żywności nieuchwytnemu przeciwnikowi, czyli niemal całej populacji. W Howick Hill, blisko dwa tygodnie po rozpoczęciu działań, przyłapali duży francuski oddział, zajęty grabieniem nie tylko bydła i żywności, ale także reszty dobytku właścicieli posiadłości: obrazów, porcelany, wielkich srebrnych kandelabrow i innych cennych rzeczy. Wszystko to żołnierze wynosili z powoli palącego się pałacu, a ich oficerowie śmiali się, pijąc na dziedzińcu wino, które znaleźli w piwnicach.

Smocze cienie popsuły dobry nastrój Francuzów, którzy P°* spiesznie wzniesli w górę ze dwa tuziny karabinów. Wiszący 1131' nimi Temeraire ryknął w stronę pałacu i niemal cała migocząca fornieniami frontowa ściana osunęła się w dół, grzebiąc połowę żołnierzy, i upodobniając budynek na chwilę do domku dla lalek, tyle że zamiast nich byli w nim rabusie, którzy patrzyli i przerażeniem na krążące w powietrzu smoki.

\ potem załamał się dach, z głośnym skrzypieniem, które pofZypominało żalosną

skargę, i cały wielki dom runął w tumanach kurzu; ściany rozpadły się na cegły, a wciąż dymiące dachówki zasypały grzechoczącym deszczem trawnik. Oszalałe ze strachu konie i krowy pognały przed siebie, a ocalali żołnierze uciekli w drugą stronę, pozostawiając przed dymiącą ruiną wóz z wielkim stosem zrabowanych dóbr.

Leżąca nieopodal tej wielkiej rezydencji wioska też mocno ucierpiała, a niemal wszyscy próbujący stawiać opór mężczyźni zginęli. Kobiety i dzieci szukały schronienia w kościele, ale niewiele im to dało: kiedy przyszli żołnierze, zgwałcili część młodych dziewczyn i zabili wikarego, człowieka ponad osiemdziesięcioletniego, który próbował interweniować.

- Powinniśmy ich wszystkich wyłapać - odezwał się młody kadet - co do jednego.

Nie było sprzeciwu, a Laurence odczuwał tylko znużenie.

- Berkley - powiedział - każ swoim ludziom oczyścić wioskę i niech smoki pochowają zabitych. Sutton, Little, weźcie pozostałe Reapery i przynieście, co się da z pałacu: oni tu będą potrzebowali więcej zapasów. Albo możemy was zabrać do Cra-ster - zaproponował starej kobiecie, która zaprowadziła wśród ocalałych jakiś porządek.

- Nie będą tam mieli dla nas lepszych domów - odparła. - Podziękujemy wam za wszystko, co zdołacie nam przynieść, kapitanie, i jakoś damy sobie radę; nie znaleźli tu wszystkiego, 00 było do znalezienia. - Nie dodała na głos, że teraz było też mniej gąb do wykarmienia.

Trochę trwało, zanim wróciły Yellow Reapery, ale w końcu przybyły, z minami wyrażającymi ponurą satysfakcję, popłatne krwią, niosąc także trochę martwych krów i jeleni.

- Przeniesiemy nasze działania trochę dalej - powiedziała pewnego dnia Laurence. - Nie będziemy tam jeszcze obozować, ale będziemy zapuszczać się dalej na południe, tak daleko jak można przelecieć tam i z powrotem w ciągu jednego dnia

- W porządku - odparł cicho Little. - Niech się oglądają za siebie wszędzie, w całej Anglii - dodał, a jego słowa zostały przyjęte pomrukiem aprobaty.

Postępowanie Francuzów sprawiło, że wszyscy przekonali się co do słuszności działań ich oddziału i tylko nieliczni kapitanowie patrzyli krzywo na ataki smoków

na ludzi lub domagali się, żeby okazywać przeciwnikom litość. Laurence nie odczuwał jednak żadnej satysfakcji z tego powodu.

- Jestem pewny, że mogę lecieć trochę szybciej, jeśli się postaram - włączył się do rozmowy Maksimus; narada odbywała się na świeżym powietrzu, tak że smoki mogły się przysłuchiwać.

Jakieś cztery dni później, wezwani przez kolejny słup dymu, odnaleźli i rozbili inny francuski oddział w pobliżu Wollaton. Kiedy wracali z pola bitwy, zostawiwszy za sobą ciemne trupy i szkarłatne plamy krwi na śniegu, Laurence wszędzie widział poczerniałe szkielety domów ludzi, których znał. W całej okolicy płonęły wielkie rezydencje, idealne cele, z piwnicami pełnymi win i brandy oraz spiżarniami zaopatrzonymi na zimę. Dom Gal- manów jeszcze stał, ale był opuszczony, a na dziedzińcu wały się dywany i zasłony, podarte i wdeptane w błoto, a te z firan, których nie pozrywano, zwisały na zewnątrz z porozbijanych okien. Stajnie zostały spalone doszczętnie, a w starym stawie z liliami wodnymi, nad którym tak często spacerował z Edith- pływał rozdęty trup konia z poszarpanym przez psy zadem-

Spodziewał się, że Wollaton Hall jest też najpewniej spa'

j miał tylko nadzieję, iż jego rodzina zdołała uciec na czas. przygotował się w duchu na to, a przynajmniej mógł myśleć o tej możliwości, nie czując niczego oprócz pełnego smutnej rezygnacji ?alu Kiedy jednak dolecieli do jeziora, okazało się, że jego dom rodzinny stoi na szczycie wzgórza nietknięty, z rozświetlonymi oknami i wąskimi smugami dymu wypływającymi tylko z kominów.

Wylądowali w parku i smoki wybrały się na polowanie na jelenie, które uciekły w panice w głąb lasu. Laurence wszedł na wzgórze i spojrzał na dom z poczuciem niemal nierzeczywistości: robiło się coraz ciemniej i miał wrażenie, że w świetle gasnącego dnia krawędzie budynku rozmazują się i wtapiają w mrok.

- A niech mnie, to ci dopiero szczęście - powiedziała do niego Harcourt, trochę niepewnie.

- Przepraszam cię, niedługo wrócę - odparł i ruszył przez trawnik w stronę domu.

Żywopłoty były przycięte, a ze ścieżek usunięto śnieg. Z wnętrza budynku dobiegał pomruk głosów, coraz głośniejszy w miarę, jak się do niego zbliżał. W końcu,

stanąwszy w ogrodzie francuskim, mógł zajrzeć przez okno do oświetlonej świecami sali balowej, pełnej ludzi, którzy stali, siedzieli lub leżeli na siennikach i łózkach polowych: służba, pomyślał, i wieśniacy.

- A ty co tu robisz? Możesz podejść od frontu, jeśli czegoś chcesz - powiedział ktoś do niego tak niespodziewanie, że Laurence omal nie podskoczył. To był młody ogrodnik z nachmurzoną miną i grabiami w rękach, które trzymał tak, jakby chciał coś z nimi zrobić.

- Jestem William Laurence - odpowiedział. - Czy jest tutaj 'ady Allendale?

Wyszła do niego, dla ochrony przed zimnem otulona tylko * wełnianą peleryną, a nie w jedno ze swoich futer.

- Will, mój drogi - powitała go - czy dobrze się czujesz? Czy przybyłeś tu sam...

- Zatrzymaliśmy się w parku, żeby zapolować - odpari Laurence. - Odlecimy, gdy tylko smoki się pożywią: a jak ty się czujesz? I ojciec?

- Zupełnie nieźle, jak na to całe zamieszanie - odpowiedzi ła. - Niewiele rozumie z tego, co się dzieje, ale wie, że znowu jesteś w Korpusie - dodała z lekkim niepokojem.

Nic na to nie powiedział; w tym, co robił, nie było żadnych powodów do chwały, nic, z czego mógłby być dumny.

- Cieszę się, że nikt was tu nie nachodził - odezwał się p0 chwili, przy czym te słowa przeszły mu przez gardło dziwnie opornie. - Lecieliśmy nad wsią... Mam nadzieję, że lordowi i lady Galman nic się nie stało.

Lady Allendale też się zawahała.

- Tak, są u nas.

Milczał przez chwilę, a potem sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej małą, złożoną kopertę, w której przechowywał obrączkę.

- Żałuję, że nie... Przykro mi, że przynoszę złe wieści - wykrztusił w końcu. - Pan Woolvey został zabity, w Londynie... Przechowywałem tę obrączkę, żeby ją wysłać Edith, kiedy to będzie możliwe. Gdyby jej rodzice mogli...

- Tak, dostaliśmy już wiadomość - powiedziała, cicho i ze smutkiem, i wzięła od niego kopertę; zacisnęła ją w dłoni, a jej wymizerowana twarz jeszcze bardziej

pobladła.

- Miał dobrą śmierć - dodał Laurence - jeśli można tak powiedzieć; zginął bohatersko w służbie Korony.

Pokiwała głową i przez chwilę stali w milczeniu; zaczął padać drobny śnieżek i na jej ciemnej pelerynie osiadały białe płatki.

- Powiedz mi - poprosił w końcu.

- Pewnego dnia przyjechał oficer, przekazał nam wyrażenie uszanowania od cesarza i zapewnił, że nikt nam nie zrobi krzywdy - wyjaśniła. - Nie było tu żadnych łupieżczych oddziałów 'nawet ostatnio, kiedy grabią całą okolicę...

Tak-odezwał się Laurence, przerywając jej. - Rozumiem.

I zrozumiał również, że spełniły się jego najgorsze obawy. Bonaparte mimo wszystko postawił na swoim i zdołał mu zapłacić za zdradę.

Możemy udzielić schronienia wielu ludziom - powiedziała cicho, po chwili. - Nasze zapasy są także nietknięte i jeśli chciałbyś tu kogoś przysłać, to proszę bardzo.

- Dobrze by było, gdybyś wysłała wóz do Wollaton - od- rzekł. - Dziś rano na nich napadli i są tam ranni.

- Tak, oczywiście - powiedziała. - Czy nie mógłbyś tu zostać na noc?

Z najwyższym trudem powstrzymał się, żeby nie uciec, i tylko dotknął kapelusza.

- Muszę cię prosić o wybaczenie; czeka nas jeszcze tej nocy długi lot - odparł, uklonił się i odwrócił; światła domu skrzyły się na śniegu, kiedy szedł z powrotem.

Temeraire schwytał trzy jelenie, mimo ich zwinności, i był dość zadowolony tak z siebie, jak i z życia, do czasu, gdy błądy jak ściana Laurence wrócił z domu i odmówił posiłku.

- Bardzo się cieszę, że dom nie został spalony - powiedział zaniepokojony smok podczas przygotowań do drogi, zastanawiając się, czy stało się tam coś innego, czy może Francuzi dokonali jakichś zniszczeń, których nie było widać z zewnątrz.

Laurence zatrzymał się i spojrzał za siebie. Temeraire także popatrzył i pomyślał, że dom wygląda jak prawdziwy klejnot; jasnożółte ściany jaśniały światłem, ciepłym i zapraszającym, padającym z tyłu okien w tak różnych i interesujących kształtach; wszystkie misternie wykonane wieżyczki i ornamenty też w idealnym stanie.

~ Nigdy tu już nie wrócę - powiedział Laurence i podciągnął - S2-' na uprzęży, wspiał się na grzbiet smoka. - Ruszajmy w drogę.

Wszystko do siebie pasowało; Laurence nie był sobą i meraire był coraz bardziej pewny, że jeśli nie zmienią metod działania, niczego nie osiągną. Przez te wszystkie tygodnie rajdów na tereny wroga nie zdobyli żadnych łupów: francuscy żołnierze nie mieli niczego oprócz kradzionej żywności, nawet dział lub chorągwi, którymi można by się pochwalić, a jeśli tylko zapowiadała się jakaś porządna bitwa, Laurence nalegał, żeby natychmiast uciekali i kryli się przed nieprzyjacielem.

Te bitwy, które stoczyli, kończyły się bardzo szybko. Perscitia podsunęła im pomysł, żeby wrywali drzewa cisowe, z gęstymi szczytami i długimi pniami, i ciągnęli je koronami po ziemi podczas ataku. Okazało się to bardzo skuteczne: żołnierzy można było zmiatać tuzinami, a że gałęzie dawały także ochronę przed kulami, nie było żadnego ryzyka. Największą trudnością było takie skoordynowanie uderzenia, żeby ludzie nie zdążyli się rozproszyć, a poza tym ściganie istot tak małych i tak skorych do ucieczki nie było zbyt przyjemne; nawet jeśli, jak tłumaczyła Messoria, chciały się tylko przegrupować, żeby móc znowu kraść. To nie o taki rodzaj walki chodziło Temeraire'owi, chociaż wszyscy inni zdawali się to aprobować.

- Chciałbym, do cholery, wiedzieć, gdzie jest reszta armii! Ale przynajmniej wy potraficie pokazać tym zabojadom, gdzie raki zimują - gorączkował się korpulentny starszy jegomość, dla podkreślenia swych słów waląc laską w ziemię.

Rozbili francuski oddział na obrzeżach wioski i uradowani mieszkańcy przybiegli tam z dziećmi, żeby mogły ich wszystkich zobaczyć. Kilku starszych chłopców, śmielszych od innych, podeszło do smoków i zaczęło je dotykać; jeden położył rękę na przedniej łapie Temeraire'a, a potem otworzył szeroko oczy ze strachu i zdumienia, kiedy smok spojrzał w dół z zainteresowaniem i powiedział do niego:

- Cześć.

Chłopiec szybko uciekł i ukrył się wśród dorosłych.

_ Chińskie dzieci są odważniejsze - rzekł Temeraire do Laurence'a - ale cieszę się, że te są coraz śmielsze i przychodzą naS zobaczyć. To pewnie dlatego, że jesteśmy bohaterami - doda! pytajW11 tonem; m'ał nadzieję, że nawet jeśli ta walka nie była

zbyt interesująca, to należała do tych, które się podobają władzom.

_ Ich rodzice powinni trzymać je po kluczem - odparł Laurence obojętnie. - Czy przejrzysz ze mną mapy?

A więc to kolejne zwycięstwo w najmniejszym stopniu go nie ucieszyło i Temeraire nie mógł zrozumieć, dlaczego Laurence nalegał, żeby walczyli w taki właśnie sposób, kiedy sam tego nie aprobował. Co więcej, od ich wizyty w Wollaton Hall zdawał się jeszcze bardziej zdecydowany, by niczego nie zmieniać.

- Obawiam się, że to przez niezdrowy klimat tego kraju i równie niezdrowy sposób odżywiania się tych ludzi - powiedział Gong Su. - Nikt nie może się dobrze czuć, jedząc tak jak oni.

- Ale podczas wojny nie mamy zbyt wielkiego wyboru w kwestii jedzenia, a na klimat nic nie mogę poradzić - odparł Temeraire.

- Szkoda - skomentował to Demane, dość niewyraźnie.

Kiepsko znosił swoją pierwszą brytyjską zimę i niemal bez przerwy wycierał nos rękawem. Siphon nie odczuwał skutków chłodu, a przynajmniej nie w taki sam sposób; miał na sobie tyle najróżniejszych części garderoby, ile Demane zdoła! dla niego znaleźć, i teraz, ubrany w trzy koszule, wełnianą kamizelkę, dwa płaszcze, pelerynę z kapturem, na który brat wcisnął mu jeszcze ^peluszkę, był tak opatulony, że prawie nie mógł się ruszyć ze swego miejsca przy ognisku.

Roland siedziała obok niego, objawszy rękoma kolana.

~ To nie w porządku - odezwała się. - Nie mówię, że nie powinniśmy ich powstrzymać, ale powinniśmy dać im okazję poddania się, kiedy nas zobaczą, i brać ich do niewoli - nie wiem, co mielibyśmy z nimi potem robić. Żatui • '3Z
, . • n'e ma

tu mamy - dodała smętnie.

Niezadowolenie narastało też wśród kapitanów; następnego dnia Temeraire zobaczył, jak Granby mówi coś po cichu do Laurence'a, na co ten odparł ostro:

- Kapitanie Granby, mam nadzieję, że pan wie, iż w każdej chwili może się pan przenieść do innych zadań: nie zamierzam zatrzymywać tutaj nikogo wbrew jego

woli.

- No wiesz, niech cię diabli wezmą, Laurence - odpalił Granby i odszedł.

- Oczywiście, że Granby nie jest zadowolony - powiedziała Iskierka, ziewając, kiedy Temeraire zdobył się w końcu na to, żeby ją zapytać. - Ja także nie jestem zadowolona, bo to wszystko jest strasznie nudne i nie bierzemy żadnych łupów. Ale i tak jest to lepsze od przenoszenia żołnierzy albo patrolowania. Przynajmniej coś robimy. A poza tym takie mamy rozkazy, których nie powinieneś kwestionować - dodała.

Temeraire opuścił krezę.

Wieśniacy zabijali teraz własne bydło, jeśli usłyszeli o zbliżaniu się Francuzów, i zatruli zboże. Zbierające się naprędce grupy chłopów napadały na śpiących żołnierzy; i oddziały furazerów coraz częściej wracały do swych obozów z pustymi rękami, jeśli wracały w ogóle. Niezbyt mądry dowódca pewnej francuskiej placówki, mocno przyciśnięty do muru, popełnił w końcu błąd, na który Laurence czekał, i wysłał smoki, żeby same znalazły sobie coś do jedzenia. Gospodarstwa bezpośrednio sąsiadujące z obozem były już zupełnie ogołoczone z ich inwentarza i dlatego francuskie smoki rozdzieliły się, poszukać czegoś dalej. J

- Jest ich dziewięć, dwa z tych dużych, szarych, a pozostałe

• jeszcze przy czym trzy niewiele większe ode mnie - poinformował Laurence'a jeden z ich małych szpiegów. - Te wielkie "ciaty same, na południe, a inne w stronę miasta na północ - zachodzie, tego z czerwoną wieżą, i tam się rozdzieliły. "Laurence pokiwał głową i Gong Su odprowadził małego -?adowcę na bok, gdzie czekała go nagroda, porcja duszonej baraniny, którą dziki smok z gór zaczął łapczywie pożerać: w całej okolicy coraz trudniej było o mięso.

„Jestem pewny, że możemy pokonać siedem smoków - powiedział podekscytowany Temeraire, poruszając nerwowo ogonem.

- Nie będziemy walczyć z tą siódmką - odparł Laurence. - Ruszamy za Chevalierami.

Rozłożył szybko mapę i pokazał wszystkim, o co mu chodziło: trzy mile na południe od francuskiej placówki leżała wielka posiadłość z gospodarstwem

mlecznym.

Trzymali się wysoko, nad chmurami, z których wyłonili się dokładnie nad posiadłością: Petit Chevaliery, smok i smoczyca, byty jeszcze na ziemi i jadły. Od ich ostatniego posiłku musiało minąć kilka dni, gdyż wyraźnie starały się to nadrobić: dwie krowy ogryzły już do kości i właśnie zabierały się do następnych; ich załogi z podobną energią plądrowały budynki gospodarcze.

- To są mleczne krowy - oburzył się Demane, patrząc na smoki i resztki ich posiłku; pochodził z ludu znakomitych pakerzy, którzy przywiązywali ogromną wagę do prawidłowej hodowli bydła.

Daj sygnał do ataku - rozkazał Laurence.

Temeraire zaryczał, po czym razem z innymi runął w dół. Ltlevaliery wpadły w panikę i instynktownie wzbіły się w po- V'etrze- Smoczyca wzleciała tylko po to, by zderzyć się z Maksim' o^Sern' który spadł całym swym ciężarem na jej grzbiet. Rycząc °Pnie, runęła z powrotem na ziemię i kiedy uderzyła w nią z głośnym łomotem oraz trzaskiem pękających kości, ucichła Oszołomiony siłą zderzenia Maksimus zszedł z niej chwieją i pokręcił kilka razy głową; smoczyca nie poruszała się, a jej kapitan, wykrzykując jej imię i nie zważając na nic, biegł do niej przez pole.

Drugi Chevalier zdołał wzbіć się nieco wyżej i odrzucił barkiem na bok Chalcedony'ego, który w porywie optymizmu próbował powtórzyć wyczyn Maksimusa; ale już chwilę później dopadła go Iskierka i skrzydło oraz łeb francuskiego smoka zalał strumień ognia.

- Au! - wrzasnął muśnięty przez płomienie Chalcedony. - Nie celuj we mnie!

- No to nie włącz mi w drogę! - rzuciła przez bark Iskierka, ścigając krzyczącego z bólu Chevaliera, na którego skórze i delikatnej błonie skrzydła czerniały ślady oparzeń.

Francuski smok próbował zatoczyć koło i wrócić: jego kapitan był jeszcze na ziemi i mimo obrażeń smok nie zamierzał go porzucić.

- Je me rends! - krzyczał kapitan przez tubę, wymachując gwałtownie białą chustką.

- Je me rends!

To była jedyna nadzieja dla jego smoka. Lily zachodziła go z drugiej strony,

Temeraire wisiał nad nim, a Reapery zamykały mu drogę ucieczki w każdym innym kierunku. Było jasne, że jeszcze chwila i Petit Chevalier podzieli los swojej towarzyszki.

Przez moment Laurence siedział bez ruchu, zastanawiając się. Ciężkiego smoka trudno będzie upilnować... Ich rozkazy- A potem polecił:

- Panie Allen, proszę wysłać sygnał do kapitana Berkleya: przejąć jeńca. Temeraire, powiedz temu smokowi, żeby wyk' dował, tam, przy tych drzewach, i niech się trzyma z dala od swojego kapitana.

Reszta francuskich awiatorów uciekła, kiedy smoki wyląd° waty,' ukryła się w budynkach gospodarczych i rosnącym za nimi lesie- Członkowie załogi zabitej smoczycy odciągnęli kapitana, który płakał otwarcie jak dziecko. Laurence widział z góry ich rozpacz i wykrzywione nienawiścią twarze, które jednak szybko odwracali od niego, by ukryć uczucia.

Drugi z francuskich kapitanów dał się związać i przy wtórze pełnych niepokoju nawoływań jego smoka został posadzony na grzbiecie Maksimusa.

- Czy on jest zdolny do lotu, Berkley? - zapytał Laurence.

- Trochę się potłukłem, ale nic mi nie jest - odpowiedział za swojego kapitana Maksimus, próbując dotknąć nosem piersi.

Lekarz Berkleya, Gaiters, już obmacywał masywne żebra smoka, starannie i w obu kierunkach.

- Nie ma chyba żadnego pęknięcia - powiedział - ale kilka dni odpoczynku...

Berkley prychnął niecierpliwie.

- Po czymś takim? To niemożliwe, chyba że wrócimy do Szkocji. Rzuca na nas wszystkie siły, które tu mają.

- Nie - odparł Laurence, wciąż chłodnym tonem - nie zrobią tego. Nie mogą sobie na to pozwolić.

Rano nadeszły pierwsze meldunki od ich małych szpiegów: francuskie ciężkie smoki wycofywały się na południe, w kierunku Londynu, zmuszone wrócić na terytorium znajdujące się pod większą kontrolą wojsk cesarskich, gdzie można było zaspokoić ich głód. Po nich powoli zaczęły też odlatywać inne smoki bojowe, coraz

więcej każdego dnia w miarę zmniejszania SI? zapasów, aż na koniec zostały tylko najmniejsze, kurierskie. Teraz piechota była odslonięta, chyba że nie ruszała się z obozów, a'e wtedy żołnierzom groził głód. Po jakimś czasie na poszukiwanie żywności wyszło kilka większych oddziałów francuskich, Umocnionych artylerią, ale że nie udało im się zdobyć jej wystarczająco dużo, w desperacji rozdzielili się wkrótce na TM ? grupy, zdane całkowicie na ich łaskę.

Niebieskie szpilki oznaczające francuskie kompanie u - każdego dnia maszerowały po jego mapach, wychodząc ze obozów i wracając do nich, jedna po drugiej lądowały w cyno pudełku, a Laurence obmywał ręce z krwi w swojej misce córa" bardziej mechanicznie. Kolejne akcje nie wymagały już wielkje planowania, z czego był zadowolony, gdyż nie musiał spędzać dużo czasu w towarzystwie innych kapitanów. Z zapewnieniem sobie zaopatrzenia nie mieli żadnego kłopotu. Kiedy lądowali w pobliżu miasta lub wsi, mięso dla nich i smoków zawsze się znajdowało, nawet jeśli mieszkańcy musieli potem cierpieć głód. Francuzi od czasu do czasu próbowali ich ścigać, wysyłając smoki z miejsc dalej na południu, ale ponieważ zawsze w porę ich ostrzegano, zwykle wystarczało, że się trochę cofnęli i wystawiwszy dzikie smoki na straży, czekali, aż zagrożenie minie.

Pewnego dnia w pierwszym tygodniu marca, po blisko dwóch miesiącach działań przeciwko francuskim furażerom, pojawił się Arkady z Tharkayem na grzbiecie i trzema dzikimi smokami jako eskortą i zaraz zaczął paradować przed Temeraire'em oraz innymi, opowiadając im o zwycięstwach, które odniósł od czasu, gdy się ostatnio widzieli. Latał tylko na patrole, ale z jego relacji wynikało, że walczył z hordami francuskich smoków i wziął wiele łupów. Przechwalając się tym wszystkim, powiedział w pewnej chwili, że najlepiej by zrobili, gdyby przyłączyli się do niego, na co zirytowany Temeraire nastroszył krezę.

- Mam dla ciebie wiadomość od Wellesleya - powiedział Tharkay do Laurence'a i wszedł za nim do małej chaty, w której kapitan Temeraire'a zatrzymał się na noc.

Czekając w progu, aż Laurence otworzy list, rozejrzał sj^ po ubogim wnętrzu, ale oprócz map na prowizorycznym z drzwi położonych na kozłach nie zobaczył niczego ciekawego

nhóz był dziwnym, cichym miejscem. Oprócz jednego fran- . 0 Oficera, kapitana, który pod strażą dwóch bellmanów CUS^hv'ego siedział samotnie przed chatą z rękami dość luźno iązanymi do wbitego w ziemię słupka, nie było widać żadli jeńców. Na obrzeżu obozu leżał wielki stos połamanych dizew którymi smoki atakowały ludzi, a wyschnięta krew na ich • innvch gałęziach sprawiała, że zdawały się jeszcze ciemniej- ze Wszyscy ludzie zajmowali się swoimi sprawami w milczeniu nje widać było po nich żadnego zadowolenia z kolejnego sukcesu - tego ranka zabili pięćdziesięciu Francuzów.

Nowe rozkazy Wellesleya nie różniły się zbytnio od starych: nakazał im tylko, żeby przenieśli działania bliżej wschodniego wybrzeża, starannie unikając przy tym jakichkolwiek słów, które mogłyby sugerować, na czym te działania mają polegać. Wszystko pozostało niedopowiedziane, a na końcu swego listu generał napisał: „...i możesz sobie zatrzymać to trajkoczące stworzenie i jego towarzyszy, jeśli sądzisz, że do czegoś ci się przydadzą”.

- Dobrze - mruknął Laurence, odkładając list.

Rozłożył mapę wybrzeża Morza Północnego i zamyślił się. W ostatnim tygodniu doniesiono mu o ruchach francuskich oddziałów w pobliżu Stickney oraz ich placówki pod Cromer, jednego z tych miejsc, które Fleur-de-Nuity z posiłkami wybrałyby Przypuszczalnie na lądowisko, gdyby udało im się przelecieć nad morzem.

- Muszą wysyłać furazerów dwa razy w tygodniu - powiedział do Tharkeya. - Wyśle tam ciebie z Berkleyem, a sam 1 resztą naszych będę ich ściagał pod Stickney. Jeśli zaczniesz blisko placówki, to zataczając coraz większe okręgi, znajdziesz furazerów dość szybko. Nie powinno być ich więcej niż -dziesięciu, bo przestali już wysyłać większe oddziały. Ber- zajdzie ich od przodu, a ty odetniesz im drogę ucieczki.

- Bardzo przepraszam - odezwał się Tharkay. - Wolałbym tego nie robić.

Laurence przerwał, a jego ręka zawisła nad mapą.

- Arkady, jestem pewny, chętnie spełni twoje życzenie - mówił dalej Tharkay - ale jego kapitanem musi zostać ktoś inny. Żałuję - dodał z ironią - ale nie stać mnie na

luksus odkładania na jakiś czas pozorów cywilizacji; muszę być nieco bardziej ostrożny. Chwilowe okrucieństwo może być u dżentelmena cechą wybaczną, nawet godną podziwu; ale mnie by to na zawsze naznaczyło piętnem dzikusa. Laurence, co wy robicie?

Na to proste pytanie było z tuzin odpowiedzi, które Laurence po kolei rozważył.

- Zabijamy żołnierzy - odparł w końcu - z których większość głoduje, przez co są coraz bardziej brutalni i dają nam tym samym usprawiedliwienie dla naszych działań.

Jego słowa miały tę wątpliwą zaletę, że wyrażały prawdę; wypowiedziawszy je na głos, Laurence poczuł na języku całą ich szpetotę. Usiadł, zakrył usta dłonią i stwierdził, że jego twarz jest wilgotna. Przez chwilę nie mógł nic z siebie wydusić, starając się zapanować nad sobą i swoim głosem. W końcu przemógł się i powiedział ochryple do Tharkaya:

- Jeśli tego nie chcesz, to co będziesz robić?

Nie było to pytanie o jego najbliższe plany i Tharkay też go tak nie rozumiał.

Wzruszył nieznacznie ramionami na swój powściągliwy sposób.

- Na świecie jest sporo do zrobienia - odpowiedział - i niezbyt dużo czasu.

- I nikogo, kto będzie o tym decydował, oprócz ciebie - dopowiedział Laurence. - Żadnej władzy oprócz twojego sumienia.

- Zawsze znajdą się jakieś władze - odparł Tharkay - kto* re zaaprobuja twój każdy czyn. Ja wolę się kierować własny¹ osądem.

Takie życie wydało się Laurence'owi smutną, samotną egzystencją.

- Jak ty to znosisz? Sam dokonujesz wyborów i sam musisz ponosić wynikające z nich konsekwencje...

- Może już się z tym pogodziłem - przerwał mu oschle Tharkay - a może mam mniejszą skłonność do brania na siebie odpowiedzialności za wszystkie grzechy świata, zamiast za swoje własne.

Laurence zakrył na chwilę twarz dłońmi i zamknął oczy, żeby nie widzieć przenikającej przez nie czerwieni. W powietrzu unosił się zapach siana i koni, które dawno uciekły, ciepły i znajomy, a z zewnątrz dobiegała woń dymu z ognisk oraz paplanina Arkadego, przerywana od czasu do czasu przez bardziej donośne protesty

Temeraire'a.

- No dobrze - powiedział w końcu i wyszedł z chaty, zostawiając rozkazy na stole.

Rozdział 15

Wybac mi - powiedział Laurence.

Temeraire ułożył się na noc, zwinięty wygodnie na polu za stodołą, które leżało teraz odłogiem: choć po

krywał je śnieg, pod spodem było dużo suchej, miękkiej trawy. Byli tam sami lub prawie sami. Demane, Siphon, a także Emily oraz Allen, wszyscy przytulili się do ciała smoka, pod małym daszkiem, który zrobili z płachty namiotowej i kilku słupków i przymocowali do jego boku, gdyż w nocy wciąż było im cieplej przy Temerairze niż w samym namiocie. Cała czwórka jednak szybko zasnęła, tak że nie mogli przysłuchiwać się rozmowie. Arkady też w końcu przestał snuć swoje opowieści i właśnie robił wszystko, żeby się przypodobać Iskierce i móc spać w cieple, którym promieniowała. Słuchając, jak się do niej przymila, Temeraire parsknął lekceważąco i owinał ogonem daszek, żeby jego załoga na pewno miała ciepło i sucho.

Nie zrozumiał w pierwszej chwili, za co Laurence go przeprasza, dopóki nie usłyszał jego następnych słów.

- Wybac mi - powtórzył Laurence. - Wystarczająco złe było już to, że sam tak postąpiłem, ale wykorzystanie do tego ciebie jest niewybaczalne...

- Ależ, Laurence - przerwał mu Temeraire, zarazem zdowolony i zakłopotany - to było moja wina, na pewno. To ja

wpadłem na pomysł, że powinniśmy polecieć do Francji. Tylko nie wiedziałem, że oni zabiorą ci twój kapitał i stopień; i jest mi bardzo przykro...

- A mi nie jest - powiedział Laurence. - Powinienem oddać jeszcze więcej i uznać, że to tanio, by mieć znowu czyste sumienie. Wstydzę się, że tak bardzo pograżyłem

się w rozpaczy, że byłem innego zdania.

Temeraire w żadnym razie nie chciał się spierać: Laurence znówu mówi! jak dawniej, nawet jeśli wciąż był wymizerowany i być może nieszczęśliwy, a to dla smoka było warte każdej ceny; chociaż w głębi serca był trochę rozgoryczony, że to sumienie wydaje się tak bardzo drogie, a jednocześnie nie ma jakiejś materialnej postaci, którą można by podziwiać i pokazywać innym.

- Ale ja - zaczął dzielnie - mówiłem serio o pochwach na pazury, i chcę je sprzedać, żeby kupić ci trochę rzeczy. Ja też chciałbym mieć czyste sumienie.

- Przykro mi, że tak mało dbałem o mój strój - odparł Laurence z pewnym rozbawieniem - jeśli to z powodu jego wyglądu masz tak błędne pojęcie o moich finansach, ale nie jestem całkowicie zubożały. - Następnie bardziej delikatnym już tonem dodał: - Obawiam się, że nie zbuduję ci pawilonów, ale mam nadzieję, że nie będę ci już przynosił wstydu.

- Nigdy się za ciebie nie wstydziłem i nigdy nie będę - powiedział Temeraire i szturchnął go delikatnie nosem.

Laurence pogłaskał go po pysku.

- Nie wiem, jak nasze życie potoczy się dalej - odrzekł. - Muszę także przeprosić innych, a potem napisać list do Welle- sleya... Nie wiem jak, ale muszę go powiadomić, że nie będziemy dłużej walczyć w taki sposób. Koniec tych masakr bez brania Jenców. Jakoś damy sobie z nimi radę i raczej będziemy szukać, n'e unikać, francuskich oddziałów z armatami lub smokami.

Temeraire nawet nie wiedział, jak bardzo martwił się o Laurence'a, dopóki źródło jego niepokoju nie znikło; ale kiedy usłyszał te słowa, jego nastrój poprawił się w mgnieniu oka.

- Jakże się cieszę - powiedział i zaraz dodał: - Jestem pewny, że weźmiemy duże łupy. - Niezależnie od tego, jak bardzo Laurence nadrabiał miną, smok czuł, że takie zapewnienie nie może nie dodać mu ducha.

- Bardziej prawdopodobne jest to - odparł Laurence - że Wellesley poleci mi wrócić i każe mnie natychmiast powiesić.

- Jeśli będzie chciał to zrobić, nie wrócisz - rzucił z oburzeniem Temeraire i

nastroszył krezę.

- Tak - odparł po chwili Laurence. - Nie wrócę.

Sir,

muszę pana poprosić o pozwolenie na Zmianę metod prowadzenia naszej kampanii, czemu, jak mam nadzieję, nie będzie się pan ze względów humanitarnych sprzeciwiać, mimo że może to spowodować pewne niedogodności oraz zwiększyć grożące nam Niebezpieczeństwo, na co wszyscy oficerowie Jego Królewskiej Mości pod moją komendą, a także smoki, chętnie się godzą, jako że wolą narażać raczej swoje ciała niż sumienia...

Laurence dokończył ten list z pewnym trudem, wysłał go przez Gherni, po czym ruszyli w drogę. Nowy obóz założyli między North Seaton a Newbiggin-by-the-Sea i zaczęli stawiać palisadę, którą obsadzali ochotnikami z pobliskich wsi i miasteczek.

- Przygotowujemy im tu garnek smakowitego miodu, który będą chcieli zgarnąć - zauważył Sutton, patrząc na smoki, które radośnie wyrywały drzewa: nie mieli dział do obrony umocnień-

- Jeśli zechcą tu przyjść, będą musieli poświęcić na to sporo czasu, który w przeciwnym razie mogliby wykorzystać na se\$ gnienie świeżych oddziałów z Francji - odpowiedział Laurence-

Tak czy owak, nikt się nie sprzeciwił i wszyscy z entuzjazmem wykonywali jego polecenia. Znowu ogarnął go wstyd na myśl o tym, z jak ogromną ulgą jego podwładni, zarówno inni oficerowie, jak i smoki, przyjęli wiadomość o zmianie metod walki. Wiedział, że miał rację, a jednak każdego dnia oczekiwał odpowiedzi Wellesleya, odebrania mu dowództwa, i zastanawiał się, co powinien powiedzieć innym kapitanom, kiedy ona w końcu nadejdzie; i czy generał znalazł innego oficera gotowego do kontynuowania walki dawnym sposobem.

Nie otrzymał jednak żadnego listu, za to trzy dni później, rankiem, na obóz z wielkim zgiełkiem spadła chmara dzikich smoków, które z zapalem, jeden przez drugiego, próbowały przekazać wiadomości, ale zanim udało się coś wyłowić z ich trajkotania, wszędzie zaczęły już lądować główne siły Korpusu. Obładowane ludźmi ciężkie smoki wysadzały kompanię po kompanii, wraz z zapasami i artylerią, po

czym znowu wzbijały się w powietrze, ledwie zdążywszy krzyknąć coś na powitanie, a ich miejsca zajmowały inne, które wciąż nadlatywały; naprzeciw Francuzom szła cała brytyjska armia.

Wellesley przybył tuż po południu i zajął na kwatery starą, na wpół zrujnowaną stodołę, w której spały załogi.

- Wyjdźcie wszyscy - rozkazał, wskazując głową dotychczasowych lokatorów, a nawet swoich adiutantów, którzy zamiatali klepisko, po czym zmierzył Laurence'a chłodnym spojrzeniem. - Całkiem sprytnie to wymyśliłeś, Laurence - powiedział, kiedy zostali sami. - Nie jesteś taki naiwny, jakby się zdawało, co?

Laurence stał w milczeniu, nie wiedząc, co odpowiedzieć, aż Wellesley dodał:

- Nie będę strzepił języka na pytanie, kto z mojego sztabu Przekazał ci wiadomość, ale chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał: Jeśli okaże się, że masz czelność właśnie teraz marnować mój CZas na jakieś cholerne próby szantażu, sam cię zastrzelę. rence'a, dopóki źródło jego niepokoju nie znikło; ale kiedy usłyszał te słowa, jego nastrój poprawił się w mgnieniu oka.

- Jakże się cieszę - powiedział i zaraz dodał: - Jestem pewny, że weźmiemy duże łupy. - Niezależnie od tego, jak bardzo Laurence nadrabiał miną, smok czuł, że takie zapewnienie nie może nie dodać mu ducha.

- Bardziej prawdopodobne jest to - odparł Laurence - że Wellesley poleci mi wrócić i każe mnie natychmiast powiesić.

- Jeśli będzie chciał to zrobić, nie wrócisz - rzucił z oburzeniem Temeraire i nastroszył krezę.

- Tak - odparł po chwili Laurence. - Nie wrócę.

Sir,

muszę pana poprosić o pozwolenie na Zmianę metod prowadzenia naszej kampanii, czemu, jak mam nadzieję, nie będzie się pan ze względów humanitarnych sprzeciwiać, mimo że może to spowodować pewne niedogodności oraz zwiększyć grożące nam Niebezpieczeństwo, na co wszyscy oficerowie Jego Królewskiej Mości pod moją komendą, a także smoki, chętnie się godzą, jako że wolą narażać raczej swoje ciała niż sumienia...

Laurence dokończył ten list z pewnym trudem, wysłał go przez Gherni, po czym ruszyli w drogę. Nowy obóz założyli między North Seaton a Newbiggin-by-the-Sea i zaczęli stawiać palisadę, którą obsadzali ochotnikami z pobliskich wsi i miasteczek.

- Przygotowujemy im tu garnek smakowitego miodu, który będą chcieli zgarnąć - zauważył Sutton, patrząc na smoki, które radośnie wyrywały drzewa: nie mieli dział do obrony umocnień-

- Jeśli zechcą tu przyjść, będą musieli poświęcić na to sporo czasu, który w przeciwnym razie mogliby wykorzystać na ściągnięcie świeżych oddziałów z Francji - odpowiedział Laurence-

Tak czy owak, nikt się nie sprzeciwił i wszyscy z entuzjazmem wykonywali jego polecenia. Znowu ogarnął go wstyd na myśl o tym, z jak ogromną ulgą jego podwładni, zarówno inni oficerowie, jak i smoki, przyjęli wiadomość o zmianie metod walki. Wiedział, że miał rację, a jednak każdego dnia oczekiwał odpowiedzi Wellesleya, odebrania mu dowództwa, i zastanawiał się, co powinien powiedzieć innym kapitanom, kiedy ona w końcu nadejdzie; i czy generał znalazł innego oficera gotowego do kontynuowania walki dawnym sposobem.

Nie otrzymał jednak żadnego listu, za to trzy dni później, rankiem, na obóz z wielkim zgiełkiem spadła chmara dzikich smoków, które z zapalem, jeden przez drugiego, próbowały przekazać wiadomości, ale zanim udało się coś wyłowić z ich trajkotania, wszędzie zaczęły już lądować główne siły Korpusu. Obładowane ludźmi ciężkie smoki wysadzały kompanię po kompanii, wraz z zapasami i artylerią, po czym znowu wzbijały się w powietrze, ledwie zdążywszy krzyknąć coś na powitanie, a ich miejsca zajmowały inne, które wciąż nadlatywały; naprzeciw Francuzom szła cała brytyjska armia.

Wellesley przybył tuż po południu i zajął na kwatery starą, na wpół zrujnowaną stodołę, w której spały załogi.

- Wyjdźcie wszyscy - rozkazał, wskazując głową dotychczasowych lokatorów, a nawet swoich adiutantów, którzy zamiatali klepisko, po czym zmierzył Laurence'a chłodnym spojrzeniem. - Całkiem sprytnie to wymyśliłeś, Laurence - powiedział, kiedy zostali sami. - Nie jesteś taki naiwny, jakby się zdawało, co?

Laurence stał w milczeniu, nie wiedząc, co odpowiedzieć, aż Wellesley dodał:

- Nie będę strzepił języka na pytanie, kto z mojego sztabu Przekazał ci wiadomość, ale chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał: Jes'li okaże się, że masz czelność właśnie teraz marnować mój Czas na jakieś cholerne próby szantażu, sam cię zastrzelę.

I wtedy Laurence zrozumiał: Wellesley myślał, że celowo wysłał swój list w przededniu natarcia na południe, by obciążyć generała odpowiedzialnością za rzeź francuskich oddziałów zaopatrzeniowych.

- Nie chcę od ciebie słyszeć ani słowa o ulaskawieniu - ciągnął Wellesley - ani słowa. Za trzy dni spotkamy się z Bonapartem i jeśli zwyciężę, wszyscy będą mieli gdzieś twoje oskarżenia. Oczywiście jeśli przegramy - dodał lodowatym tonem - zdążymy się jeszcze tobą zająć. Rowley! - ryknął. - Dawaj tutaj moje biurko i wezwij wszystkich członków sztabu.

Oficerowie zaczęli napływać grupami, dźwigając stoły, mapy i krzesła. Niemal natychmiast otoczyli Wellesleya, odpychając od niego Laurence'a i uniemożliwiając mu udzielenie jakiegokolwiek odpowiedzi.

Przez chwilę targła nim niemal nieodparta chęć, by precyzyjnie się między nimi, złapać Wellesleya za ramiona i powiedzieć mu, co myśli o jego oskarżeniach, ale zmusił się do pozostania na miejscu. To by nic nie dało, gdyż Wellesley nie uwierzyłby w jego zaprzeczenia. Jakkolwiek by było, niewielkie znaczenie miało to, czy generał uważa go za łajdaka dlatego, że odmówił kontynuowania masakry, czy też dlatego, że ją w ogóle rozpoczął; zasłużył na potępienie i równie dobrze mógł ponieść karę za coś, czego nie zrobił.

- Emily - zawołał, odwróciwszy się, i skinął ręką na dziewczynę, która stała przy wrotach do stodoły i zaglądała ostrożnie do środka, starając się zejść z drogi biegnącym ludziom. - Wez Demane, wejdźcie razem na górę i otwórzcie drzwi od stryszku na siano - powiedział jej - żeby Temeraire i inne smoki mogły wszystko słyszeć.

Wyszedł na zewnątrz, gdzie zrobiło się już bardzo tłoczno, mimo że wyrwano tymczasem jeszcze więcej drzew i do drogi prowadziła już szeroka aleja. Wszystkie smoki, które wylądowały i wysadziły ludzi, przepychały się, walcząc o miejsce przy

stryszku na siano.

_ Tak nie może być - powiedziała Jane, kiedy wylądowała na Ekscidiumie, któremu inne smoki, usłyszawszy ostrzegawczy syk, zrobiły miejsce. - Mogą zostać tylko smoki powyżej stopnia porucznika, reszta z was ma ruszyć dalej z armią, a rozkazy przekażą wam wasi kapitanowie. Dzięki wspaniałemu pomysłowi Temerairea musieliśmy im wszystkim nadać stopnie - oznajmiła oschle Laurence'owi. - Te, które nie dostały ich na początku, były tak nieszczęśliwe i nadąsane, że nie mieliśmy wyjścia i musieliśmy ustąpić; co za niepoważne stworzenia. - Poklepała Ekscidiuma, który wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, obnosząc się z parą ognistoczerwonych epoletów, pasujących kolorem do barwy krawędzi jego masywnych skrzydeł.

Zaledwie udało im się zaprowadzić jako taki porządek i wcisnąć się z powrotem do stodoły, Wellesley rozpoczął odprawę. Jego adiutanci rozłożyli mapę dróg przy ujściu Tamizy i wszystkich leżących tam małych miasteczek oraz wiosek. Pozycje brytyjskiej armii były już na niej zaznaczone i kiedy zgromadzeni oficerowie je zobaczyli, przebiegł wśród nich cichy pomruk: za plecami będą mieli morze.

- Widzę, panowie, że podobają wam się nasze pozycje i mam nadzieję, że spodobają się one Bonapartemu - powiedział Wellesley. - Marynarka i Korpus niemal całkowicie przerwały jego połączenie z kontynentem, a na terenach, które zajął, musi S1? zmagać z powstaniami. Każdego dnia traci stu ludzi, a co tydzień dwa smoki, z braku zaopatrzenia. Nie bardzo może sobie pozwolić na unikanie bitwy, jeśli wydamy mu ją na warunkach, które, jak ufam, uzna za dobre.

Warunki rzeczywiście wydawały się dobre - z francuskiego Punktu widzenia. Laurence'owi przyszło do głowy, że może Wellesley chce przez takie ustawienie armii wzmocnić determinację żołnierzy, którzy nie będą mieli żadnej drogi odwrotu, oprócz jednej, wiodącej przez oddziały stojących przed nimi Francuzów.

- Pułkownicy Featherstone i Bree obejmą dowództwo nad centrum. Wasza pozycja jest absolutnie kluczowa: musicie ją utrzymać do czasu, aż otrzymacie sygnał do odwrotu - mówił dalej Wellesley. - Jeśli to zrobicie, zanim sytuacja dojrzeje, Bonaparte rozdzieli nasze siły i zniszczy nas bez większego trudu. Nie wolno wam

nacierać w żadnych okolicznościach: macie tylko uformować czworobok i się trzymać. Pułkownik Rethlow, pan będzie ich wspierać artylerią. Kawaleria zajmie pozycje na obu skrzydłach, a resztę piechoty rozmieścimy tu, tu i tu - kontynuował, wskazując miejsca na mapie. - Natomiast Korpus będzie powstrzymywał wszelkie francuskie ataki na nasze centrum z powietrza. Naszym zadaniem, jak, mam nadzieję, już zrozumieliście, jest utrzymanie się na pozycjach, podczas gdy oni na ich zdobywanie zużyją dużą część swoich sił, i odpieranie ich ataków na nasze centrum do chwili, kiedy zostanie dany sygnał do odwrotu.

Po chwili milczenia podjął:

- Po odtrąbieniu odwrotu zaczniemy się stopniowo wycofywać wzdłuż obu flank - dwaj adiutanci rozłożyli szybko następną mapę i z oznaczonych na niej pozycji widać było, że brytyjska armia oddała Francuzom to samo centrum, którego do tej pory tak energicznie broniła - i odetniemy go od wsparcia powietrznego oraz wszelkich rezerw, których jeszcze nie wprowadził do walki, a także przeprowadzimy uderzenie z flank na jego tyły - Generale Paget, pańskim zadaniem będzie dopilnowanie tego, żeby sam Bonaparte nie zdołał umknąć, kiedy go już otoczymy Generale Ollen, pańska artyleria skieruje ogień przede wszystkim na jego rezerwy, a nie główne siły, żeby uniemożliwić u11 dołączenie do niego. Naszym głównym celem, panowie, jest schwywanie tego tyrana i położenie kresu tej nieustającej wojnie. Nic innego mnie nie zadowoli i zapewniam panów, że ich lordowskie moście całkowicie się ze mną zgadzają.

Przedstawiwszy ten krótki, dość niepokojący plan bitwy, odprawił wszystkich, dodając na koniec:

_ Pułkownik Featherstone, chciałbym zamienić z panem kilka słów.

Po czym odszedł z tym oficerem na bok, oddalając się od innych członków swojego sztabu, którzy wyraźnie pragnęli zamienić z nim nie kilka, ale dużo więcej słów.

Laurence wyszedł do Temeraire'a, który z pewnym żalem pozwalał właśnie założyć sobie uprzęż nośną.

- Mamy przenieść tę kompanię - powiedział, kiedy Laurence podszedł do niego - a przynajmniej on tak mówi...

Oficer piechoty skinął głową Laurence'owi, nieco sztywno, i dotknął dłonią kapelusza.

- Bardzo dobrze - odparł Laurence, próbując stłumić wątpliwości, które mu się nasunęły, kiedy słuchał Wellesleya. Rozdzielenie armii, oddanie Napoleonowi centrum, a potem skierowanie wszystkich sił do natarcia mającego odciąć go od rezerw, natarcia narażonego na uderzenia z obu stron, wydawało mu się strasznie ryzykowne. Nawet jeśli dzięki temu wzięcie do niewoli Napoleona stawało się bardziej prawdopodobne, to tym bardziej prawdopodobne było, że Francuzi po prostu po nich przejdą. Ale Wellesley nie był głupcem i jeśli godził się ze wszystkimi słabościami swojego planu, musiał mieć jakiś powód. Z pewnością zadał sobie dużo trudu, żeby uniknąć niewygodnych pytań i protestów, które mogły trafić na ręce ministrów, zwlekając z tą odcprawą do czasu, aż rozpoczęło się przemieszczanie wojsk. Nie pozostało już nic do zrobienia, tylko mu zaufać.

Podniecenie, które odczuwał Temeraire, było niemal jak jeśli tylko przez kilka minut zapominał wygładzić krezę,

natychmiast się nastraszła, napinając skórę na szyi tak mocno, że czuł pulsowanie krwi w żyłach. Od czasu do czasu próbował się zwinąć w kłębek i trochę odpocząć, ale to było niemożliwe: skończyły się te nieszczęsne rajdy na zapleczu wroga, skończyło się ukrywanie i przenoszenie żołnierzy; wreszcie czekała ich prawdziwa bitwa.

Kryjówki dla nich przygotowano także na wybrzeżu, ale dość daleko na północ i południe od pola bitwy. Temeraire widział rozrzucone wokół nich chaty rybackie, po części jaśniejące żółtym światłem świec, i ciemną masę skalistego wybrzeża odcinającą się na tle nieco jaśniejszego nieba. Z tyłu dochodził stały szum przyboju. Było jeszcze ciemno; w górze słychać było nawoływania Fleur-de-Nuitów, które przeprowadzały rozpoznanie ich pozycji. Od czasu do czasu wystrzeliwano flarę, żeby je oślepić, albo w powietrze wzbijało się kilka wybranych w drodze losowania smoków, które starały się je odpędzić.

Laurence obudził się tuż przed świtem i zsunął się z grzbietu Temeraire'a, żeby jeszcze raz popatrzeć na pole zbliżającej się bitwy.

- Czy Napoleon tam jest? - zapytał go niecierpliwie Temeraire. - Czy już nadeszli?

- Tak - odparł Laurence. - Widać ich pikiety. Jeśli schyliš głowę, to je zobaczysz.

Temeraire zniżył głowę i przekreślił ją tak, że jedno z jego oczu patrzyło wzdłuż ziemi, i rzeczywiście na tle ciemnoszarego nieba, które powoli jaśniało, zobaczył rozciągnięte na szczycie wzgórza wąskie linie francuskich pikiet. W górze gasły już gwiazdy, a nad wodą powoli zbierały się kłęby mgły.

- Już czas - powiedział Laurence.

Za tylną łapą Temeraire'a poruszył się Fellowes, po czym wstał, głośno ziewając, i poszedł sprawdzić uprząż.

Temeraire wydał cichy, grzmiący pomruk, po czym zawołać

- Majestatis, Ballista... już czas wszystkich budzić.

_ Nadal nie podoba mi się ten plan - powiedziała niespokojnie Perscitia, kiedy wszystkie smoki jadły; dostały dorodne krowy, specjalnie zachowane na ten ranek i każdy z nich mógł zjeść tyle, ile chciał. - Nie rozumiem, jaki cel ma ta twarda obrona centrum, kiedy potem sami mamy im je oddać. Dlaczego nie zrobić tego już na początku? Czy jesteś całkowicie pewny, że oni tam są?

To pytanie nie było wcale tak bezsensowne, jakby mogło się zdawać; mgła zrobiła się tak gęsta, że nie było widać niczego oprócz drzew rosnących dookoła polany; nawet obecność własnej armii trzeba było przyjmować na wiarę, a tym bardziej nieprzyjacielskiej.

- Tak, jestem całkowicie pewny - odpowiedział Temeraire. - Laurence pokazał mi ich tuż przed świtem. Jestem pewny, że z góry będziemy ich lepiej widzieć.

Kiedy podrywali się w powietrze, zaczęła padać lodowata mżawka. Wszystkie smoki ciągnęły losy, żeby ustalić kolejność zmian, gdyż admirał Roland uparła się, iż nie mogą ruszyć do walki jednocześnie, a i Temeraire uznał za sensowne zatrzymanie części z nich w odwodzie, ponieważ bitwa zapowiadała się na bardzo długą. Mimo to z ulgą przyjął wiadomość, że sam poprowadzi pierwszy atak. W głębi serca miał także nadzieję, że mgła nie ustąpi zbyt szybko i może Laurence nie zauważy, kiedy nadejdzie południe, a z nim czas ich odpoczynku.

Okazało się, że z góry wcale dużo więcej nie widzi. Każda dolina tonęła we mgle,

kłębiącej się niczym we wrzących kotłach, a znad morza wciąż napływały majestatycznie jej gęste obłoki, gęgające tak wysoko, jakby oprócz leżącej w dole ziemi chciały °garnąć także jego i zatopić w coraz bardziej zacinającym desz- Czu, bębniącym głośno w jego skrzydła. W miarę jak zbliżali się

poła bitwy, zaczął dostrzegać maszerujące oddziały, wszystkie nieco inaczej uformowane, niczym kawałki materiału o dziwnych kształtach, w jednym miejscu długie wstążki, z szeregami na ledwie pięciu żołnierzy, w innym wielkie, zbite masy ludzi.

Wszystkie te zbliżające się do siebie z obu stron białe, czarne, niebieskie i czerwone kolumny sunęły płynnie po ziemi, to prześlizgując się po szczytach wzgórz, to znów schodząc w doliny, gdzie znikają mu z oczu, pochłonięte przez mgłę. Ale nawet wtedy wciąż słyszał dziwny odgłos, jaki wydawały maszerujące oddziały; nie tyle tupot nóg żołnierzy, czego się mógł spodziewać, co raczej regularne posykiwanie ich ocierających się przy każdym ruchu mundurów i butów. Trąbki grały radośnie i zachęcająco, obojętnie kto w nie dął, a gdzieś w dali pomarańczowymi płomieniami przemówiły działa, obwieszczając początek bitwy.

Wypatrujący bezskutecznie francuskich smoków Temeraire doszedł do wniosku, że muszą być daleko; drzewa tonące w tumanach mgły przesłaniały mu widok na tyły nieprzyjaciela.

- Popatrz tam - zawołał Laurence i Temeraire, zwróciwszy wzrok w kierunku wskazywanym przez jego rękę, zobaczył, że ich centrum już się ustawiło.

Smok z zadowoleniem stwierdził, że wojska brytyjskie prezentują się o wiele lepiej od przeciwnika. Wielu Francuzów, których mógł z tej odległości dostrzec, miało na sobie długie bure płaszcze, z odrobiną tylko kolorów, a inni byli ubrani w białe spodnie i białe koszule - niezbyt czyste, jak zauważył Temeraire - z bardzo zwyczajnymi ciemnoniebieskimi kurtkami- Znacznie bardziej podobały mu się jaskrawoczerwone kurtki, które przeważały w armii brytyjskiej.

- A jeśli oni mają orły - powiedział Temeraire do Laurence[^] - tym lepiej dla nas, bo je im odbierzemy. Laurence, jak ci się podoba ta kawaleria?

- To pułk Scots Greys - odparł Laurence, patrząc przez lunetę - a ci obok nich to

Coldstream Guards. Jeśli ktoś może utrzymać centrum, oni to zrobią. Ale Bóg mi świadkiem, że nie chciałbym być na ich miejscu: Napoleon będzie w nich walił bez litości.

- My nie dopuścimy do nich smoków - powiedział Téméraire. - Martwi mnie tylko trochę to, że naszym celem jest okrążenie Bonapartego, a nie jego sił powietrznych... Co będzie, jeśli Lien zdoła uciec?

Wgłębi serca Temeraire uważał za dość osobliwe, że dokładali tak wielkich starań, by schwytać Napoleona, a nie Lien, która przecież była znacznie od niego większa, a na dodatek potrafiła wywoływać boski wiatr.

- Miejmy nadzieję, że odniesiemy sukces w pierwszej sprawie, a tą drugą będziemy się martwić później - odparł Laurence. - Spodziewam się jednak, że ona się podda, jeśli weźmiemy Bonapartego do niewoli; chociaż może też wiedzieć, że z niego nie da się uczynić zakładnika gwarantującego jej posłuszeństwo, jak to się zwykle robi.

- A oto i oni! - zawołał Majestatis, zataczając koło.

Temeraire wyteżył wzrok i zobaczył ciemne cienie zbliżających się w deszczu francuskich smoków. Pod nimi przednie linie brytyjskiej piechoty zaczęły formować wielkie, najeżone ostrzami czworoboki, żeby odeprzeć atak. Żołnierze stawali ramie w ramie, zwróceni na zewnątrz, ustawieni wokół otwartego centrum. Pierwszy rząd klękał z wystawionymi bagnetami, drugi mierzył ponad ich głowami w tę samą stronę, a trzeci w górę. Za ich plecami wbijano w ziemię długie pale, podtrzymywane dodatkowo przez wsporniki: te z szerokimi ostrzami w kształcie wachlarzy były skierowane w górę, a węższe piki do tyłu, żeby powstrzymać każdego smoka, który próbowałby zaatakować linię czworoboku od środka.

Jednak francuskie smoki nadlatywały z bombami i sieciami, które miały posłużyć do zneutralizowania tych środków obronnych. Ukradły także pomysł Percitii z wyrwaniem drzew i najwyraźniej zamierzały ich użyć jak wielkich mioteł do wymięcenia luk w rzędach brytyjskich żołnierzy.

- Teraz, Temeraire! - krzyknął Laurence.

Temeraire z radosnym rykiem pomknął ku francuskim harcownikom. Tuż przed nim z mgły wyłonił się Roi-de-Vitesse, uzbrojony w długą, choć nieco może zbyt

cienką brzozę, białą i o nagich gałęziach, którą trzymał trochę niezgrabnie w pazurach. Zanurkował, żeby uniknąć ataku, zмирzając z determinacją w stronę pierwszego czworoboku, a jego załoga zasypała kulami brzuch Temeraire'a, kiedy się mijali. Smok poczuł gorące ukłucia bólu - został trafiony, ale tylko prychnął lekceważąco, kiedy Laurence go o to zapytał; nic takiego, zupełnie nic.

Wykonał elegancki obrót w powietrzu i rzucił się w pogoń za mniejszym przeciwnikiem. Dość niejasno zdawał sobie sprawę z połyskujących przed nim srebrzyście bagnetów, coraz lepiej widocznych, w miarę jak odpływały od nich kłęby mgły, i tego, że Laurence mówi coś do Demane o bombach, ale francuski smok wypełnił jego całe pole widzenia. Och, był bardzo szybki - ale Temeraire rozpostarł szeroko skrzydła i bijąc nimi z całych sił, mknął jak błyskawica. Nie mógł pozwolić tamtemu dopaść czworoboku; nie mógł dać się przegonić. W końcu ostatnim rzutem do przodu znalazł się tak blisko francuskiego smoka, że mógł wbić pazury w jego ogon.

Roi-de-Vitesse wrzasnął i spróbował się wyrwać. Temeraire zacisnął uchwyt i zaczął bić wściekle skrzydłami do tyłu, a tymczasem ponad jego barkiem przeleciało kilka małych bomb rzuconych przez Demane na załogę francuskiego smoka, która próbowała wznowić ostrzał.

- Tenez bon - krzyknął do swoich ludzi Roi-de-Vitesse, jednocześnie skręcając się, żeby strącić bomby, i wymachując drzewem, co jednak nie przychodziło mu łatwo, gdyż Temeraire ciągle trzymał jego ogon.

Temeraire z trudem powstrzymał się, by nie krzyknąć, kiedy korona drzewa uderzyła go mocno w szyję i brzuch; gałęzie były sprężyste i miejsca, w które trafiły, boleśnie piekły. Ale nie stracił głowy, mimo bardzo nieprzyjemnych doznań, i chwyciwszy drzewo zębami, wyrwał je przeciwnikowi. Rozbrojony francuski smok zrezygnował w końcu z walki i odleciał pospiesznie w stronę swojej kryjówki, krwawiąc obficie z poranionego ogona.

- Ha - krzyknął Temeraire w ślad za pokonanym wrogiem i zacisnąwszy pazury na pniu drzewa, machnął nim kilka razy na próbę. - Laurence, może tak ruszylibyśmy z tym na nich? - zaproponował: widział wychodzącą powoli z mgły kompanię

francuskiej piechoty i był pewny, że drzewo szybko skłoniłoby ją do odwrotu.

- Musimy trzymać się blisko czworoboków - odpowiedział Laurence - i nie wolno nam nacierać. Odwołaj, proszę, te Reapery na lewo od ciebie: już dały się wyciągnąć za daleko.

Temeraire lekko westchnął, ale cisnął brzozę do morza i poleciał, żeby zagonić Chalcedony'ego i inne Reapery z powrotem na wyznaczone linie. Wszystkie atakowały smoczącą Grand Chevalier, robiąc wypadki na jej głowę lub gryząc ją w boki, ale ona zamiast rzucić się na nie lub po prostu uciec, chytrze cofała się po trochu, wabiąc je w stronę francuskich linii, żeby mniejsze smoki mogły się przemknąć przez wytworzoną w ten sposób lukę i uderzyć na czworoboki piechoty.

- Jesteś oficerem i masz obowiązek pilnować, żeby inni nie odlatywali z wyznaczonych pozycji - powiedział Temeraire surowym tonem, kiedy już zgromadził wszystkie Reapery i lecieli razem z powrotem w stronę czworoboków.

- Cóż, to Cantarella ma epolet - bronił się dość tchórzliwie Chalcedony.

- Och! - zawołała Cantarella i uszczypnęła go w skrzydło; Chalcedony wrzasnął i odleciał w bok. - No dobrze, w takim razie ja tu teraz dowodzę, wszyscy słyszeliście, że to powiedział ~ oświadczyła i poprawiła swój epolet; był nieco przemoczony, ale wciąż dobrze widoczny na tle jej jasnożółtej skóry. - Możecie być pewni, że ja nie pozwolę, by nas znowu wyciągnęli zbyt daleko.

Nie musieli się jednak oddalać zbyt od czworoboków, żeby mieć okazję do walki; francuskie smoki podążały niespiesznie za nimi i Temeraire zawrócił, żeby stawić im czoło.

Około południa stracili możliwość działania na niskich wysokościach: mimo gwałtownego ostrzału ze strony brytyjskiej Francuzi rozmieścili w centrum stanowiska artylerii, osłonięte przez działa pieprzowe i kilka armat z wysoko uniesionymi lufami, otwierające ogień do każdego smoka, który zanadto zniżył lot.

Na wysokości, na którą musieli się wzbić, żeby wyjść z zasięgu armat, powietrze było chłodniejsze, a płynące niżej chmury oddzielały ich od zgiełku i furii toczących się w dole walk. Ich potyczki przebiegały niemal w ciszy; za sprawą świstu powietrza oraz tłumiących dźwięków obłoków ryki i wybuchające od czasu do czasu strzelaniny

nie brzmiały zbyt głośno. Francuskie smoki porzuciły już drzewa i sieci, które okazały się niezbyt przydatne w obliczu silnej obrony powietrznej, ale Laurence'a ogarnął lekki niepokój na myśl o tym, jak szybko ten pomysł został zaadoptowany, wypróbowany i odrzucony.

Czuł, że Temeraire'a opuszczają siły: walczyli już od sześciu godzin i nic nie wskazywało na to, że w najbliższym czasie smok będzie mógł choć trochę odpocząć. Na dole widać było wielu żołnierzy leżących w miejscach osłoniętych od ognia dział; Wellesley wydał rozkaz, w którym pozwalał im na to, kiedy nie brali udziału w walce. Jednak nigdzie nie było bezpiecznego kawałka ziemi, na której mogłyby wylądować smoki, oprócz kryjówek, w których spały, milę od pola bitwy. Za liniami brytyjskimi było tylko morze, niewidoczne pod pokrywą mgły i szumiące przy bojem, a na obu flankach armii stały oddziały kawalerii, której konie poruszały się nerwowo i grzebały kopytami.

Francuzi zupełnie zrezygnowali z kawalerii, co było dosyć dziwne, gdyż dawała ona dosyć istotną przewagę na polu bitwy. Chłodne kalkulacje wojenne mówiły bowiem, że smoki są zbyt cenne, by rzucać je do ataków, kiedy przeciwnik posiada silną artylerię, natomiast nie dotyczyło to koni i wszystkie brytyjskie wierzchowce miały już kaptury na łbach, klapki na oczach pozwalające im patrzeć tylko do przodu, a na nozdrzach torebki z aromatycznymi ziołami, żeby nie czuły zapachu smoków. Było kilka minut po dwunastej w południe, kiedy Laurence usłyszał tętent pierwszej szarży.

Atak ciężkiej kawalerii wyglądał wspaniale. Wszyscy jeźdźcy krzyczeli wściekle, wymachując szablami, i gnali jak szaleni przed siebie ze sztandarem powiewającym na wietrze. Wysłano ich na pułk francuskiej piechoty i ten manewr miał dać brytyjskim wojskom chwilę wytchnienia, gdyż niemal wszystkie jednostki Napoleona ostrzeliwały teraz pozycje Coldstream Guards, w którym cesarz najwyraźniej rozpoznał filar brytyjskiego centrum. Francuski pułk nie złamał szeregów na widok zbliżającej się jazdy; zamiast tego żołnierze uformowali szybko czworobok, tyle że dość osobliwy, dwa razy większy niż normalny, z dużą luką w środku.

Konie wzięły już największy rozpęd i połykając przestrzeń, mknęły ku

czworobokowi, ostrzeliwane regularnie salwami z karabinów - trafione padały z okropnym, niemal ludzkim krzykiem, miażdżąc jeźdźców lub zrzucając ich pod kopyta innych wierzchowców.

- Laurence, gdzie leci ten Poux-de-Ciel? - zapytał nagle Te-meraire, wskazując jednego z małych francuskich smoków, który łączył się od innych i nurkował właśnie w stronę własnych linii.

Poux-de-Ciel wylądował dokładnie w środku francuskiego czworoboku - i w ten sposób przypomniał natychmiast wszystkim, że rozmiar to pojęcie względne. Należał do gatunku lekkich smoków, ledwie mieszczących się w kategorii bojowych, a ten konkretny osobnik ważył tylko sześć, może siedem ton. Mimo to na tle żołnierskich szeregów wydawał się ogromny, a że jednocześnie ryczał, pokazując pysk pełen zębów, oraz machał łapami uzbrojonymi w wielkie pazury, był także przerażający.

Nawet w kapturach na łbach i z nozdrzami pełnymi zapachów konie nigdy nie pobiegną prosto na smoka i dlatego też kawaleria najpierw zwolniła, a potem jej szarża zupełnie się załamała. Konie, spuściwszy nisko łby, hamowały lub próbowały gwałtownie skrócić to w jedną, to w drugą stronę, walcząc przy tym z cugłami, którymi szarpali jeźdźcy. Jeden, na przedzie, odskoczył za późno i pośliznąwszy się na tylnych nogach, znalazł się zbyt blisko francuskiego czworoboku. Poux-de-Ciel wychylił się ponad głowami żołnierzy, chwycił konia przednią łapą, strząsnął bezceremonialnie jeźdźca na ziemię i otworzywszy z entuzjazmem paszczę, jednym kłapięciem szczęk odgryzł zwierzęciu łeb. Zapał, z jakim to zrobił, najlepiej świadczył o tym, że francuskie smoki już od dłuższego czasu żyły na skromnym wikcie.

Ten okropny widok zrobił tak piorunujące wrażenie na reszcie kawalerzystów, że przestali walczyć z końmi, które zawróciły i pognały w stronę brytyjskich linii, nie zbliżywszy się do francuskiego czworoboku nawet na dziesięć jardów. Poux-de-Ciel wzbił się znowu w powietrze, gdy jazda uciekła, zanim brytyjscy artylerzyści zdążyli zmienić ustawienia dział i otworzyć do niego ogień. Do tego czasu odpoczął sobie trochę, a poza tym coś przekąsił.

Spojrząwszy za francuskie linie, Laurence zauważył, że więcej ich smoków

lądowno na ziemi na podobne odpoczynki, poza zasięgiem dział i pośród oddziałów piechoty, która nie wykazywała żadnego lęku.

- Ja tam nie potrzebuję odpoczynku - powiedział dzielnie Téméraire - a gdybym jednak musiał trochę odsapnąć, leca tu właśnie Ballista i Requiescat z nową zmianą. Chociaż - dodał po chwili - może dobrze by było, gdybym wylądował na minutkę i coś zjadł.

- Obawiam się, że nie możemy - odparł ponuro Laurence. - On wysyła do walki rezerwy.

Mgła właśnie trochę zrzędiała, zwiewana przez wiatr znad lądu, i daleko na francuskich tyłach widać było smoki, które po kolei wznosiły się w powietrze. Było jasne, że zaraz uzyskają przewagę, gdyż żaden z tych, które do tej pory walczyły, robiąc sobie przy tym częste i krótkie odpoczynki, najwyraźniej nie zamierzał się wycofać. Nie będzie ani chwili wytchnienia dla Téméraire'a oraz innych brytyjskich smoków, które brały udział w walce od świtu.

Nagle Téméraire przyhamował tak gwałtownie, że rzucony do przodu Laurence utrzymał się na nim tylko dzięki rzemieniom, którymi był przypięty do uprzęży. Na smoka rzuciła się grupa sześciu małych i zdeterminowanych Garde-de-Lyonów, które właśnie, zupełnie wypoczęte, włączyły się do boju. Obskoczyły go ze wszystkich stron i z przeraźliwym wrzaskiem zaczęły atakować jego głowę i szyję, tłukąc go po nich skrzydłami i próbując poszarpać pazurami.

Téméraire zawisł w powietrzu, po czym uderzył potężnie skrzydłami dwa razy do tyłu i zaryczał, żeby je rozproszyć. Boski wiatr odrzucił je od niego, ale w tym krótkim czasie, który stracił na tę utarczkę, ogromna smoczyca Grand Chevalier, którą widzieli wcześniej, przemknęła obok i rzuciła się na czworobok Coldstream Guards.

Żołnierze natychmiast unieśli bagnety i piki, ale ona nie spadła bezpośrednio na nich. Zamiast tego wylądowała za Pierwszymi szeregami, tak ciężko, że wielu żołnierzy zbiła z nóg samą siłą uderzenia, i zaryczała im prosto w twarze. Miało to tylko na celu złamanie ich morale, ale wielki jak stodoła smok ryczący w odległości dziesięciu kroków może sprawić, że nawet najdzielniejszemu człowiekowi serce

zamrze z trwogi. Bagnety zachwiały się i opadły, a wtedy na grzbiecie smoczyca wstało dwudziestu strzelców i oddało straszliwą, skoncentrowaną salwę w szeregi oszołomionych Brytyjczyków.

Zmieciona tym ogniem grupa żołnierzy padła, otwierając lukę w ścianie czworoboku, w którą smoczyca wsunęła zaraz masywną przednią łapę, poszerzając ją aż do narożnika formacji, miażdżąc i zbijając z nóg ludzi, jakby byli źdźbłami trawy. Na ten widok Temeraire zaryczał wściekle i zanurkował w jej stronę, ale jeden z Garde-de-Lyonów rzucił się na niego, przecinając mu drogę.

- Dość tego - warknął z furią Temeraire, kiedy go złapał - a poza tym żołnierze są jeszcze mniejsi od ciebie.

Zacisnął szczęki na szyi małego smoka i złamał ją jednym szarpnięciem, czemu towarzyszył okropny trzask. Kiedy wypuścił biedne stworzenie z łap, poleciało w dół jak mały skrawek szkarłatu i błękitu, a jego nieliczna załoga rozsypała się po niebie niczym opadające liście.

Ofiara Garde-de-Lyona nie poszła jednak na marne, gdyż za cenę jego życia smoczyca zyskała potrzebny jej czas. Wzbiła się znowu w powietrze i w eskorcie ryczących radośnie Pecheurów oraz Poux-de-Cieli leciała z powrotem w stronę swoich linii.

- Ale z niej tchórz - powiedział gorzko Temeraire, patrząc, jak smoczyca ucieka na obszar osłaniany przez francuską artylerię.

Żołnierze z rozbitego czworoboku próbowali się tymczasem przegrupować, przy czym niektórzy z nich, zbyt oszołomieni, żeby wstać, pełzli na swoje miejsca na czworakach, ciągnąc za sobą swoje karabiny.

Chwilę później Laurence usłyszał dobiegające z dołu głosy trąbek i Francuzi wszędzie ruszyli nagle do natarcia. Rybackie chaty na lewej flance armii brytyjskiej, o które tak długo toczyły się walki, znalazły się pod ciężkim ostrzałem z dział. Nadleciały nad nie także nowe, wypoczęte smoki i obsypały obrońców gradem bomb, a na koniec podeszła piechota, która pokonała niskie ogrodzenia i uderzyła na chatki, zdobywając jedną po drugiej i zrywając brytyjskie chorągwie.

Jeśli mieli zamiar oddać centrum, powinno się to stać wkrótce. Jednak Wellesley nie

wydawał rozkazu: obserwował przebieg bitwy ze wzgórza na prawej flance, gdzie w kilku namiotach, które tam postawiono, urządził punkt dowodzenia. W tej chwili patrzył na morze, oceniając zapewne warunki pogodowe, które w końcu zaczynały się poprawiać; a potem obrócił się i skierował lunetę ku francuskim tyłom. Laurence popatrzył w tę samą stronę przez własną lunetę i zobaczył w rzadziejącej mgle sztandar Napoleona, a potem i samego cesarza w jego skromnym szarym płaszczu i czarnym kapeluszu, siedzącego na białym koniu przed błyszczącymi szeregami gwardzistów.

Właśnie wtedy, kiedy mu się przyglądał, Napoleon uniósł rękę i jednym oszczędnym gestem wprowadził w ruch dziesięć tysięcy ludzi. Jego rozkaz przebiegł wzdłuż francuskich linii i pułki jeden po drugim zaczęły maszerować równym krokiem ku brytyjskiemu centrum. Następnie cesarz zwrócił się w stronę rybackich chat, dopiero co zdobytych, i na jego rozkaz ruszyły w tamtym kierunku zwarte szeregi Gwardii.

Smoki Korpusu walczyły zaciekle na obu flankach, żeby powstrzymać natarcie, ale były już zbyt zmęczone. Po prawej stronie *Accendare*, wielka smoczyca rasy *Flamme-de-Gloire*, wypuściła strumień ognia na formację *Lily* i Laurence zobaczył z przerażeniem, że *Messoria* odskakuje do tyłu, z poczerniałym, dymiącym skrzydłem. Nie spadła na ziemię, ale zatoczyła się w powietrzu i wpadłszy na małego *Nitidusa*, odrzuciła go na bok. Po tym zderzeniu kilku ludzi, niczym czarne plamki na tle nieba, *Poleciało*, koziółkując, w dół.

Dwa smoki z eskorty *Accendare* rzuciły się do przodu, żeby wykorzystać okazję, i na grzbiecie *Lily* wylądowali pierwsi żołnierze z oddziału abordażowego. Przekreśliła się i gwałtownie opadła, żeby ich strącić, otwierając lukę, w którą natychmiast wpadł olśniewający *Honneur-d'Oro* złocisto-niebiesko-czerwonym ciele i rozpostarłszy szeroko skrzydła, zanurkował z głośnym rykiem w stronę zbitych szeregów brytyjskiej kawalerii. Grozę, jaką budził swoim widokiem, powiększało jeszcze to, że jego załoga odpalała flary w kierunku wierzchowców.

Ogarnięte przerażeniem konie, kwicząc i wierzgając, rzuciły się w panice prosto przed siebie na otwarte pole i ochroniły Francuzów swymi ciałami przed ogniem

brytyjskiej artylerii. Pierwsze oddziały francuskiej piechoty przyspieszyły, a biegnący truchtem żołnierze pochyłili bagnety. Jednocześnie nad francuskim obozem ciężkie i średnie smoki uformowały nową linię i pod osłoną lekkich oraz kurierskich ruszyły razem do natarcia, wolno, ale niepowstrzymanie.

- Laurence, jeśli nie oddamy im centrum teraz, sami je sobie wezmą - powiedział z powątpiewaniem Temeraire.

Mimo to Wellesley wciąż nie wydawał rozkazu: flagi sygnałowe, kiedy można je było dostrzec przez mgłę, wciąż pokazywały „trzymać pozycje”.

- Wiem - odparł Laurence. - Musimy powstrzymać ich natarcie tak długo, jak się da. Gdybyście przerwali ich linię w różnych miejscach i podjęli walkę z ciężkimi...

- Poczekajcie, poczekajcie - krzyknęła z dala piskliwym głosem Perscitia.

Zaskoczony Temeraire zobaczył, jak leci ku nim, machając z całych sił skrzydłami. Wyglądała bardzo dziwnie. Na grzbiecie miała całą załogę, którą sobie dobrała z milicjantów przeszkolonych na artylerzystów. Wszyscy oni siedzieli na niej, poprzywiązywalU sznurami, podtrzymując ogromne toboły utworzone ze zwiniętych uprząży nośnych, które wykorzystywano do transportu żołnierzy. Szyto je pospiesznie z jedwabiu, płótna i wszystkiego, co można było zdobyć. Dla sprawy poświęcano suknie, okienne zasłony, obrusy, często w jaskrawych kolorach, więc Perscitia wyglądała tak, jakby miała na sobie dużą, przyozdobioną frędzlami spódnicę, która zwisała z jej boków i łap, niemal zaczepiając o skrzydła.

- Nie wycofamy się! - powiedział z oburzeniem Temeraire. - Jeszcze nie przegraliśmy tej bitwy i jej nie przegramy-oznajmił stanowczo.

- Nie, nie - wysapała, kiedy się do nich zbliżyła, i wtedy Temeraire zobaczył, że uprząże są tak beznadziejnie splątane, że nikt nie zdołałby ich rozdzielić nawet przez godzinę. - Weź... - dodała, łapiąc powietrze, i rzuciła mu kilka z nich.

Chwycił je z powątpiewaniem, nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi, i odkrył, że są wilgotne. Nie podobała mu się także ich woń, która przypominała tę, która rozchodziła się po okręcie, kiedy rozdawano grog.

- Co ty z nimi zrobiłaś? - zapytał, po czym z okrzykiem: - Oj! - odsunął gwałtownie głowę, gdy ostry, gryzący zapach wypełnił mu nozdrza.

- To alkohol - odpowiedziała Perscitia, która odzyskała oddech, gdy inne smoki zbliżyły się do niej i zdjęły z jej grzbietu więcej tobołów - a także trochę smoły, jak myślę; i dorzuciłam tam sporo pieprzu, więc nie wachajcie. Gdzie jest Iskierka? Ona musi... O, tu jesteś, nie - powiedziała, gdy Iskierka sięgnęła po jeden toboł dla siebie - nie bierz ich - ty tylko musisz je wszystkie podpalać, kiedy będziemy je zrzucać na...

- Och, to łatwe - przerwała jej Iskierka.

Każdy z Anglewingów chwycił jedną zwiniętą uprząż, podobnie jak Grey Coppery i część dzikich smoków. Wszystkie one były szybkie i niezbyt duże.

- Szybko, szybko - krzyknął Temeraire.

Francuskie smoki zbliżały się powoli, ale nieustannie, a na ziemi ich piechota już zwarła się w okropnej, krwawej walce na bagnety z brytyjskimi czworobokami z wyraźnym zamiarem takiego osłabienia przeciwników, żeby nie mogli się już bronić przed atakiem z powietrza.

Prowadzone przez Temeraire'a smoki wzbily się bardzo wysoko i kiedy wszystkie znalazły się nad francuskimi, lecąc równolegle do nich, puściły na jego rozkaz uprzęże. Iskierka pomknęła za nimi z zapalem, plując ogniem, a rozwijające się tłumoki buchały kolejno jasnoniebieskimi i żółtymi płomieniami.

Uciekając przed tymi spadającymi bombami ogniowymi, francuskie smoki zaczęły wykonywać różne uniki i zepsuły idealną linię swojej formacji.

- Teraz, natychmiast - krzyknął Laurence, wskazując jej słaby punkt. - Ten Chanson-de-Guerre i ten Defendeur-Brave...

- Ballista, widzisz to? - zawołał Temeraire, a ona pomachała ogonem jak flagą na potwierdzenie, że go usłyszała. Kiedy rzuciła się do ataku na żółto-brązowego Chanson-de-Guerre'a, pomknęła za nią chmara Yellow Reaperów. - Szybko za mną - krzyknął Temeraire do innych lekkich smoków, po czym zwrócił się do Perscittii i zapytał: - Lecisz z nami?

- Nie, nie lecę - odpowiedziała, oddalając się pospiesznie - a poza tym - rzuciła jeszcze przez bark - muszę wrócić i sprawdzić, czy uda mi się zrobić więcej tych tłumoków; chociaż myślę, że zużyłam już cały zapas alkoholu, który był w wozach z zaopatrzeniem...

Temeraire nie miał czasu na słuchanie jej tłumaczeń: wraz z mniejszymi smokami rzucił się właśnie w dół, prosto na Défendura, który akurat gwałtownie skręcił, żeby uniknąć jednej szczególnie dużej ognistej kuli, która spadała, ciągnąc za sobą gęstą smugę dymu. Z powodu tego manewru miał teraz otwartą flankę, chwilowo nie chronioną przez zwarty szyk formacji, co wykorzystał Rictus. Mały Grey Copper rzucił się odważnie na ogromnego przeciwnika i chlasnął pazurami jego bark, pozostawiając na nim długą ranę i niemal przecinając jeden z pasów uprzęży.

Défendeur zaryczał z bólu i wygiął szyję do tyłu, żeby zobaczyć ranę: szerokie rozcięcie ziejące czerwienią na tle jego złocistobrazowej skóry.

- Ha! - zawołał tryumfalnie Rictus, a potem wrzasnął, kiedy Défendeur machnął z całej siły zakończonym kolcem ogonem, trafiając go w odkryty brzuch i zadając mu ranę nie tylko okropniejszą od swojej, ale i o wiele bardziej niebezpieczną, zwłaszcza dla o tyle od siebie mniejszego smoka. Krzyczącego z bólu Rictusa wzięła na grzbiet jeden z Anglewingów i odleciał z nim na tyły.

Jednak swoim wyczynem mały Grey Copper stworzył możliwość ataku innym i już chwilę później Velocitas rzucił się na Défendura od tyłu, ściągając na siebie jego uwagę i prowokując do zadawania ciosów ogonem, którego zręcznie unikał, skręcając to w jedną, to w drugą stronę, a tymczasem inne Anglewingi i Grey Coppery doskakiwały błyskawicznie do wielkiego smoka, próbując zranić go w głowę; kiedy wszyscy jego strzelcy zostali już zbici z nóg, Minnow niespodziewanie wylądowała na jego grzbiecie, chwyciła w pazury jednego z ludzi i od razu znowu wzbiła się w powietrze.

- Popatrz, to twój kapitan - zawołała, wymachując nieszczęśnikiem przed nosem Défendura, który zaryczał wściekle, 1 kiedy pomknęła z jeńcem w stronę brytyjskich tyłów, rzucił S'Ç za nią, potracając po drodze jednego z Anglewingów i łamiąc Zupełnie francuską linię.

- To musi być dla niego dosyć trudne - odezwał się Temeraire, trochę współczując biednemu smokowi i notując sobie w myślach, żeby już nigdy nie pozwolić Minnow wylądować na swoim grzbiecie, kiedy jest tam Laurence; nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że ona może być tak pozbawiona skrupułów, by porwać czyjegoś

kapitana w środku bitwy. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że to było bardzo zręczne posunięcie, dzięki któremu pozbyli się wielkiego smoka, a on teraz mógł utworować sobie drogę pośród chmary średnich, po prostu rycząc w lukę pozostawioną przez Defendeura.

Nieco dalej Requiescat walczył ze smoczyką Grand Chevalier i chociaż górował nad nią nieco masą, tę przewagę z nawiązką równoważyło to, że ona miała załogę, która zasypywała go kulami. Zarówno w jego masywnych bokach, jak i skrzydłach, widać już było wiele małych dziur, a sama smoczyca zręcznie wykorzystywała każdą okazję, żeby znaleźć się ponad nim i dać swoim skrzydłowym szansę obrzucenia go bombami, co zmuszało Requiescata do wykonywania gwałtownych uników.

Temeraire zauważył też, że na ich flance zaprzężone smoki z Korpusu resztką sił powstrzymują prawe skrzydło l'Armée de l'Air, które także nacierało, i stało się dla niego jasne, iż wkrótce ich obrona pęknie, a one same pójda w rozsypkę.

- Płyną tu jakieś okręty - powiedział nagle krążący w pobliżu Majestatis.

- Co? - wyrwało się Temeraire'owi.

- Okręty - powtórzył lakonicznie Majestatis. - Na morzu. Możesz je zobaczyć, jeśli wzniesiesz się ponad tę chmurę.

Ale wtedy wreszcie odezwały się trąbki, dając przenikliwym głosem sygnał do oddania centrum, i nie było czasu na wypatrywanie niczego na morzu. Na ziemi czworoboki piechoty ustawiały się z powrotem w kolumny i szybko odchodziły na boki, a Temeraire musiał dopilnować, żeby wszystkie smoki też oderwały się od nieprzyjaciela i odleciały w stronę obu skrzydeł armii, jak powinny to zrobić.

- I pamiętajcie, że mamy się spotkać za ich liniami! - krzyk'nął na koniec, po czym uszczypnął w bok nadmiernie podekscytowanego Angłewinga, który zaczął lecieć w złym kierunku.

Francuscy żołnierze posuwali się teraz do przodu szybciej, a ich smoki pikowały ku ziemi.

- Nie możemy tak po prostu odlecieć... Zaraz dopadną naszych ludzi - rzucił Temeraire gorączkowo do Laurence'a, nie odwracając głowy.

- Leć! - krzyknął w odpowiedzi Laurence, który właśnie patrzył przez lunetę na

morze. - Natychmiast! Musimy uciekać z centrum i wzbić się jak najwyżej...

Temeraire pomknął za innymi, rzuciwszy jeszcze za siebie niespokojne spojrzenie; ale kiedy to zrobił, zobaczył ze zdumieniem, że ostatni z żołnierzy pułku Coldstream Guards, zamiast kontynuować marsz, rzucają się płasko na ziemię. Chwilę później z pasa gęstej mgły leżącej nad morzem trysnęły pomarańczowe płomienie, a powietrze rozdarł ogłuszający ryk salwy armatniej.

Temeraire przebił się ponad zwały chmur i w tym momencie je zobaczył: szesnaście okrętów liniowych z ogromnym Victory na czele, z którego masztu powiewała admirałska flaga Nelsona. Wszystkie oddały właśnie pełne salwy burtowe prosto w pierwsze szeregi francuskich smoków i żołnierzy i chociaż mgła wreszcie spłynęła z ich żagli i dziobów, znowu znikwały z oczu, spowite przez chmury prochowego dymu.

Skoncentrowany ogień okrętowych dział zmiotł z nieba szokująco dużą liczbę francuskich smoków. Trafiane armatnimi kulami, które łamały im skrzydła, miażdżyły kości i rozszarpały ciała, spadały jeden po drugim na własną piechotę. Tylko nieliczne, bijąc coraz słabiej skrzydłami, zdołały dotrzeć do ostatnich linii wycofującej się brytyjskiej piechoty. Wielka smoczyca Grand Chevalier przedarła się przez nie i dowlokła

Się

aż do brzegu morza, gdzie legła, potrzaskana pociskami i nieruchoma, z głową unoszącą się i opadającą na falach, które rozbijały się o jej barki.

Patrzącego na to Temeraire'a przejął dreszcz współczucia. Miał prawdziwy zamęt w głowie i z trudem powstrzymał się, żeby nie osłonić piersi skrzydłami. W dole znowu zagrały trąbki i brytyjska artyleria rozmieszczona na skrzydłach, która nie ujawniała do tej pory swojej pełnej siły, zasypała morderczym gradem kartaczy tyły i flanki francuskiej piechoty, spychając ją prosto pod lufy okrętowych armat, które znowu otworzyły ogień.

- Temeraire! - zawołał Laurence, wyrywając smoka ze stanu dziwnego oszłomienia: z oddali dobiegał ryk dającego sygnał Ekscidiuma, a on jeszcze nie był na swoim miejscu! Rzucił się pospiesznie do tyłu, zbierając po drodze inne smoki, także wstrząśnięte strasznym widowiskiem, którego były świadkami. Kiedy dołączył

z nimi do głównych sił Korpusu, powstało jedno wielkie zgrupowanie składające się z blisko stu smoków, które wszystkie jednocześnie zaryczały i uderzyły na tyły nieprzyjaciela.

Francuskie szeregi już się chwiały w obliczu tak pewnej katastrofy - wszędzie widać było spadające smoki, a coraz silniejszy wiatr przewiał w końcu chmury oraz mgłę, ukazując manewrującą blisko brzegu flotę Nelsona. Okręty były ustawione w szyku torowym i za Victory z admiralskim proporcem płynął Minotaur, a dalej Prince of Wales oraz reszta jednostek, które wróciły z Kopenhagi. Oprócz nich było tam jeszcze sześć przyzów, które także ostrzeliwały teraz brzeg.

Zaatakowani od tyłu Francuzi załamali się i rzucili do ucieczki, tyle że jedyna jej droga prowadziła prosto w krzyżowy ogień artylerii polowej i okrętowej. Posuwająca się ze skrzydeł piechota brytyjska weszła na opuszczony przez przeciwnika teren i wtedy Temeraire usłyszał w końcu Lien - krzyczała coś rozpaczliwie, widząc, że nieprzyjaciel odcina ją i ostatnie francuskie odwody powietrzne od cesarza i jego Gwardii.

Napoleon zauważył oczywiście zamykającą się pułapkę i wszyscy sygnaliści zagrali sygnał do odwrotu, ale było już za późno i niedługo potem francuskie szeregi rozpadły się w jedną masę przerażonych ludzi. Na ten widok Wellesley rzucił do walki swoje ostatnie odwody. Bataliony, które trzymał w ukryciu na obu skrzydłach, wyłoniły się spomiędzy drzew lub spod zasłony mgły i wraz z artylerią postawiły ścianę ognia, żeby uniemożliwić Francuzom odwrót lub przegrupowanie.

Wokół Bonapartego zaciskała się pętla.

- Temeraire, Korpus pomoże piechocie utrzymać pozycje - krzyknął Laurence. - My mamy pilnować, żeby nikt się nie przebił.

Temeraire widział teraz wyraźnie Lien - była jeszcze na ziemi i wołała do francuskich smoków, żeby próbowały to jednego, to drugiego manewru, a jej jedynym celem było już tylko doprowadzenie do tego, by któreś z nich przebiły się do okrążonych i uratowały Bonapartego oraz jak największą liczbę jego ludzi.

- Sama oczywiście tu nie przyleci - powiedział z pogardą Temeraire, gdy wielka chmara małych smoków - Lien wysłała nawet kurierskie - pomknęła w stronę pola

walki. - Velocitas, ty i inne Anglewinki lećcie im naprzeciw, i ty też, Moncey. Cantarella, kiedy pomieszają im szyki, wy zaczniecie ich spychać w stronę morza, żeby dostały się w zasięg dział okrętowych.

Małe francuskie smoki zdołały się przemknąć obok dużych brytyjskich, ale szybko natrafiły na grupę Anglewingów, zbyt zwinnych, żeby dały się łatwo ominąć.

Velocitas i inne zaatakowały je pazurami i zębami, zmuszając do ucieczki, rozbijając na Mniejsze grupki, które stały się łatwym łupem dla nurkujących z góry Yellow Reaperów. W krótkim czasie francuskie smoki, unikając ataków tak wielu brytyjskich, które na dodatek były od nich większe, dały się wpędzić pod ogień dział okrętowych.

- Temeraire, musisz przywołać Chalcedony'ego - rzucił ostro Laurence.

- Gdzie on jest? - zapytał Temeraire, rozglądając się dookoła, ale było już za późno.

Chalcedony zbyt daleko zapędził się za jednym małym Poux-de-Cielem i w tej właśnie chwili jedna z armatnich kul uderzyła go z okropnym głuchym odgłosem prosto w pierś.

Wyglądało to tak, jakby się złożył wokół miejsca trafienia, po czym runął na ziemię, nie wydawszy żadnego dźwięku. Mały Poux-de-Ciel, trzepocząc nierówno skrzydłami, zdołał się jakoś wydostać z deszczu żelaza na otwarte niebo, ale nie zawrócił, żeby jeszcze raz spróbować, tylko skierował się nad kanał i poleciał w stronę Francji.

Garstce francuskich smoków udało się przebić - niektóre zabrały nawet z ziemi zdesperowanych żołnierzy - i szeroko rozrzucone po niebie, uciekały teraz nad wodą do Francji. Żaden nie dotarł jednak do samego Napoleona, a brytyjska piechota już nacierała na chroniący go czworobok Gwardii, prawdziwą żywą tarczę.

Lien, która widziała niepowodzenie swojej ostatniej próby uwolnienia cesarza i grożące mu niebezpieczeństwo, wydała nagle głośny, przenikliwy okrzyk i wzbiła się w powietrze.

- Och! - zawołał ochoczo Temeraire, ale ona nie ruszyła w stronę pola bitwy.

Zamiast tego zawróciła i odleciała ponad wzgórzami, zabierając ze sobą garstkę francuskich smoków: swoją straż honorową składającą się z Petit Chevalierów i kilka

na wpół ślepych Fleur-de-Nuitów, z osłonami na oczach chroniącymi je przed nadmiarem światła. - Och, och! - krzyknął Temeraire, trzęsąc się w powietrzu z oburzenia - och, jakie to tchórzliwe, ona go zostawia...

- Jej celem są okręty - powiedział Laurence. - Temeraire, szybko zawracaj, żeby mogli cię zobaczyć. Allen, flagi sygnałowe, „ostrzeżenie dla okrętów, skrzydła z północnego wschodu” - przeliteruj im „Niebiański”, Nelson zrozumie...

- Czy polecimy tam, żeby im pomóc? - zapytał z nadzieją Temeraire, wisząc w miejscu, kiedy Allen wymachiwał flagami. Nadal mu się wydawało, iż Lien uciekła, i był przekonany, że jeśli nawet spróbuje zaatakować okręty, zrobi to tylko po to, by mieć jakieś usprawiedliwienie. Był pewny, że ona tak naprawdę chce ująć z pola bitwy i że odleci na dobre, gdy tylko wykona jakiś drobny, nic nie znaczący gest. - Jeśli ona zamierza uciec, powinniśmy ją zatrzymać; od samego początku bałem się, że nam umknie.

- Jeśli wdamy się z nią w walkę, brytyjskie okręty nie będą mogły do niej strzelać - odpowiedział Laurence. - O, dostrzegli nasze sygnały i zrozumieli ostrzeżenie: Nelson kieruje część ognia przeciwko niej. Czy możesz przelecieć na drugą stronę? Jeśli spróbuje uciekać do Francji, będziemy mogli przeciąć jej drogę.

To był bardzo piękny widok, gdy brytyjskie okręty, jeden po drugim, zmieniały z gracją kurs, żeby ustawić się burtami do nadlatujących smoków. Lien nie zbliżyła się jednak do floty na odległość strzału; zatrzymała się daleko i zawisła nad falami, widoczna jako mała biała sylwetka na tle szarego nieba, podczas gdy resztki francuskich sił powietrznych zataczały nad nią ciasne kręgi. Ryczała: echa boskiego wiatru rozchodzące się nad wodą słychać było nawet z tej odległości, a samą smoczycę spowiły białe tumany wodnego pyłu.

- Czy wiesz, co ona robi? - zapytał Laurence, który patrzył na to przez lunetę.

- Może oszalała z powodu utraty kolejnego towarzysza - odpowiedział Temeraire. Wcale tak naprawdę nie myślał, ale nie rozumiał, co jej mogło dać takie ryczenie w wodę. - Woda przecież nie utrzymuje żadnych kształtów; nawet jeśli ją wzbije, to ona po prostu opadnie, a więc... - Poruszył niepewnie ogonem. - Ale przynajmniej zbliża się do okrętów - dodał - więc niedługo będą mogli do niej strzelać.

Lien rzeczywiście zbliżała się powoli do okrętów, wciąż rycząc wściekle w fale. Leciała tak nisko, że niemal muskały jej brzuch, podnosząc się coraz wyżej po każdym jej ryku.

- Te fale są o dziesięć stóp wyższe od innych - zauważył nagle Laurence. - Panie Allen, sygnał do okrętów: „dryfkotwy”, nie w naszym kodzie, w kodzie marynarki... Tak, czerwona i biała, a potem zielona i czerwone koło. Temeraire, nie wiem, co ona robi, ale myślę, że nie możemy pozwolić, by skończyła... Ruszaj za nią, szybko.

Ledwie skończył to mówić, a Temeraire już rzucił się radośnie do przodu. Te fale wcale nie wydawały mu się aż tak bardzo wysokie; nie sięgnęłyby powyżej burt dużych okrętów, a spędził na morzu wystarczająco dużo czasu, by wiedzieć, że takie jednostki radzą sobie nawet z dużo większymi. Ale gdyby uderzyło w nie wiele takich fal, jedna po drugiej, to trudniej by im było prowadzić ogień i wtedy Lien mogłaby podlecieć do nich bliżej i użyć przeciwko nim boskiego wiatru.

Tak czy owak, obchodziło go tylko to, że w końcu będzie miał okazję zmierzyć się z Lien, która do tej pory siedziała beczynnienie i patrzyła, jak wszyscy wokół niej giną lub odnoszą rany. Kiedy jednak do niej leciał, smoczyca nagle przestała gonie fale, które wznosiła. Zamiast to robić, zakreśliła i oddaliła się od nich na kilkanaście uderzeń skrzydłami. Byli już tak blisko niej, że widzieli, jak drży cała jej klatka piersiowa i jak chwiejnie leci. Była bardzo zmęczona i Temeraire przyspieszył, żeby to wykorzystać. Był przekonany, że tym razem ją dopadnie, że nie zdoła mu uciec...

Lien zawisła na chwilę w powietrzu, wzięła kilka oddechów, a potem jeszcze raz pogoniła za falami. Leciała nisko i równo nad wodą, rycząc tak głośno, że w jej głosie utonął nawet huk armat, które wciąż grzmiały za Temeraire'em. W odpowiedzi wyrosła przed nią nowa fala. Nie była tak wysoka jak inne, tylko niska i gładka, ale poruszała się za to bardzo szybko. Wycieńczona tym wysiłkiem smoczyca umilkła i zawisła w powietrzu, dygocząc na całym ciele. Głowa jej opadła bezwładnie, jakby nie miała już siły, żeby ją utrzymać, ale fala biegła już bez niej, wyprzedzając i chwytając te, które posłała wcześniej. Kiedy je spotykała, wchłaniała każdą, jedną po drugiej, tak że zlewały się w...

Zaskoczony Temeraire odchylił się do tyłu: bez żadnego ostrzeżenia fala wzniosła

się tak wysoko, że zasłoniła Lien. Pędziła prosto na niego i ledwie uciekł przed jej rosnącym grzebieniem, zawracając w ostatniej chwili. Najpierw myślał, że po prostu wzbije się wyżej i znajdzie się nad nią, ale nie miał na to czasu. Fala za nim wciąż rosła i rosła, stając się ogromną ciemnozieloną ścianą wody o spienionym grzbiecie, która waliła prosto na okręty.

- Temeraire! - krzyczał Laurence - Temeraire, czy możesz to rozbić...

Temeraire rzucił niespokojne spojrzenie za siebie: fala wciąż potężniała. Nigdy jeszcze nie widział czegoś tak ogromnego i dreszcz przebiegł mu po ogonie. Raz przeżyli tajfun na Oceanie Indyjskim; wiatr gnał wtedy chmury z taką furją, że on nie mógł latać, a Allegiance wspinał się i wspinał na każdą z tych strasznych fal, trzeszcząc całym poszyciem, by potem walić się w dół z oszałamiającą szybkością. Ale to, co widział za sobą, było zupełnie inne, prawie jak nie z tego świata przez swoją monstrualną wielkość. Jednak to było dzieło Lien; ona to wywołała s'lą boskiego wiatru, a zatem on z pewnością mógł to rozbić, Ptselamać w jakiś sposób.

Fala biegła za nimi, szybka i cicha mimo swego ogromu, a mniejsze fale przyboju wygładzały się przed nią, niczym dworzanie składający pokłon przechodzącemu monarsze. Bijąc w szaleńczym tempie skrzydłami, smok oddalił się trochę od niej, żeby zyskać nieco miejsca na wykonanie zwrotu. Okręty były już tak blisko, że mógł odczytać nazwy na dziobach, i widział ludzi szarpających się z linami takielunku oraz biegających po pokładach. Temeraire nie mógł wznieść się wyżej, nie miał czasu, by zaczerpnąć głębiej tchu, ale uzyskał taką przewagę nad falą, jaka mu była potrzebna, żeby wykonać zwrot. Zawrócił zatem i zaryczał z całej mocy.

- Dobry Boże, miej litość - powiedział Laurence, czy też pomyślał, że powiedział, kiedy otarł słońną wodę z oczu i popatrzył za siebie.

Temeraire wybił dla nich dziurę w fali: wielki, nieforemny otwór, który przez chwilę był otwarty niczym okno i przez który wciąż jeszcze mogli zobaczyć flotę: powiewający flagami Victory i inne okręty z białymi żaglami lśniącymi niczym perły na tle ciemnego oceanu. A potem spadła na nie śmierć.

Działa wielkiego Neptune, ustawionego burtą do fali, ryknęły płomienistą salwą, zanim w niego uderzyła, i z tym ostatnim okrzykiem sprzeciwu okręt zniknął. Inne,

które płynęły naprzeciw tej ściany wody, wbiły się w nią dziobami, wspinając się dzielnie na jej szczyt, po czym jeden po drugim wywracały się do góry dnem, spadając w kataraktach białej piany, i ginęły w zielonym odmęcie.

Przetoczywszy się przez flotę, fala sunęła dalej kanałem i stopniowo opadała. Po jej przejściu pozostał tylko jeden okręt liniowy, Superb, który kołysał się na kotwicy, pozbawiony wszystkich masztów, a z każdego otworu na jego bokach wylewała się woda. Dwie fregaty, które zdążyły rzucić kotwice, leżały na burtach, próbując się wyprostować, zanim także poszły na dno. W wodzie widać było tylko garstkę rozbitków, czepiających się szczątków. Z czternastu okrętów liniowych nie pozostało nic innego, jakby były zamkami z piasku zmytymi przez przypływ.

Przez jakiś czas nie odezwało się żadne działo, umilkły karabiny; zamarły nawet drobne potyczki. W tej ciszy ostatnie z francuskich smoków zebrały się w formację o kształcie grota strzały i rzuciły się desperacko w lukę, która niespodziewanie powstała, kiedy zabrakło ognia z okrętów, a skupiona wokół Napoleona Gwardia ruszyła im naprzeciw.

- Temeraire! - zawołał Laurence.

Z dołu dobiegał głos trąbek, grających sygnał do ataku. Zmęczony Temeraire zawrócił z trudem, wzywając inne smoki, ale było już za późno. Mała i gibka smoczyca Chasseur-Vocifere z Napoleonem na grzbiecie zrywała się właśnie do lotu.

Temeraire popędził za nią, ale cztery inne francuskie smoki rasy Pcheur-Rayé szybko zawróciły i ruszyły mu naprzeciw. Były niezbyt duże, ale rzuciły się na niego odważnie, z głośnym wrzaskiem, atakując pazurami i zupełnie nie bacząc na razy, które same otrzymywały. Chwilę później do walki dołączyła nurkująca z wyższego pułapu Ballista, która zdzieliła dwa z nich ogonem po głowach, a zaraz potem ryczący wściekle Requiescat, ale smoczyca Chasseur była już daleko. Mknęła co sił w skrzydłach ponad kanałem, a zaraz za nią leciało jeszcze pięć innych smoków z dziesiątkami gwardzistów na grzbietach, którzy osłaniali ucieczkę ogniem swych karabinów. Byli już bezpieczni. Trochę dalej nad wodą dwa Petit Chevaliery z eskorty Lien podtrzymywały na zmianę w powietrzu zupełnie osłabłą Niebiańską, Pomagając jej przedostać się przez kanał do Francji.

Ostatnie z francuskich smoków oderwały się od przeciwników i uciekły. Żołnierze, którzy byli jeszcze na polu bitwy, rzucali broń i padali z wyczerpania na kolana, a czasem nawet na czworaki. Pośród dwudziestu tysięcy trupów na ziemi leżało dziewiętnaście sztandarów z orłami, zdeptanych i unurzanych w krwawym błocie. Bitwa została wygrana.

Rozdział 16

L

aurence, muszę ci to oddać; nigdy jeszcze nie spotkałem człowieka, który tak bardzo zasłużyłby na śmieć i którego tak trudno jest powiesić - powiedział Wellesley.

- Och, i to po tym wszystkim, co zrobiliśmy - zauważył z oburzeniem Temeraire.

- Zrobiliście nie więcej, niż było waszym obowiązkiem, a mniej niż niektórzy - odpalił Wellesley. - Cholerna szkoda, że nie potrafiłeś znaleźć przyzwoitej śmierci w bitwie; udało się to lepszym od ciebie.

Laurence położył rękę na przedniej łapie Temeraire'a, żeby go uspokoić.

- Tak, sir; i to samo można powiedzieć o wielu innych.

Wellesley - czy raczej teraz Wellington, gdyż przybrał nowe nazwisko wraz z otrzymaniem książęcej korony, która była jego nagrodą - prychnął wzgardliwie. Siedzieli w portyku pawilonu Temeraire'a, który miał wreszcie okazję w nim zamieszkać, chociaż Laurence zbudował go dla niego przed wieloma miesiącami. Nie mógł tego zrobić wcześniej, gdyż na przeszkodzie stanęły mu podróże do Afryki i późniejsze uwięzienie, a w tym czasie Pawilon stał się rezydencją powszechnego użytku. Nawet teraz kilka innych smoków drzemało w narożnikach, a Perscitia gdzieś w pobliżu bardzo głośno uczyła swoich milicjantów - przyniosła ich tu po bitwie, tych, których zdołała przekupić obietnicą udziału w jej skarbie - jak się mieszczą zaprawę murarską: wznosili właśnie kolejny pawilon.

Ogromny loskot obwieścił przybycie następnego ładunku cegieł. To Requiescat, który z entuzjazmem pomagał w budowie, przyniósł ich właśnie blisko pięć ton.

Wellington popatrzył w zadumie na ten stos i wykop pod fundamenty jeszcze jednego pawilonu, w którym uwijało się sześć smoków z Minnow na czele, wyrzucając z niego ziemię w iście zawrotnym tempie.

- Skąd bierzecie te cegły? - zapytał.

- Kupiliśmy je - odpowiedziała Perscitia, która usłyszała pytanie - nie musisz się więc martwić, że je kradniemy; sprzedaliśmy nasze orły i mamy kapitał.

- Boże, pomóż nam wszystkim - rzucił Wellington, klepiąc się dłonią o udo. - Powinniście z tego zapłacić za szkody. Czy wiecie, że następnego dnia żołnierze byli bliscy buntu? Ani kropli piwa czy rumu na sto tysięcy ludzi i dobre dziesięć tysięcy rannych.

- Gdybyś lepiej dowodził w tej bitwie - odcięła się Perscitia - nie musiałabym szukać sposobu powstrzymania tych francuskich smoków.

To był trochę niesprawiedliwy zarzut, jeśli zważyć, że Wellington z powodzeniem pokierował bitwą, w której brało udział ponad dwieście tysięcy ludzi, trzysta smoków i dwa tuziny okrętów liniowych; i zdołał utrzymać się na trudnych do obrony pozycjach w walce z lepiej wyszkoloną i lepiej wyekwipowaną armią od własnej o blisko trzy godziny dłużej, niż zaplanował, zmuszony czekać, aż mgła ustąpi na tyle, żeby flota mogła zbliżyć się do brzegu i rozpocząć bombardowanie.

- Co za bezczelność - warknął Wellington, ale Perscitia machnęła tylko skrzydłami i krocząc wyniośle, wróciła do swojego pawilonu.

Było popołudnie siedemnastego marca. Prawie dwa tygodnie upłynęły już od bitwy i jej bezpośrednich następstw: znużenia i tępego oszołomienia, które ogarnęło wszystkich w obliczu tak wielkiego tryumfu, ale i tak okropnych strat. Ci, którzy wyszli cało z tej rzezi, padali po prostu na ziemię tam, gdzie stali, i przy wtórze jęków umierających pogrążali się w niespokojnym śnie, choć budzili się z krzykiem, gdy tylko jakaś większa fala rozbijała się na brzegu.

Następnego dnia, nawet bez rozkazów, przystąpili do ogromnej pracy zbierania i grzebania poległych. Temeraire ze swoją kohortą zajął się smokami. W wielu z nich życie jeszcze się tliło i leżały tak, z połamanymi kośćmi, wykrwawiając się z wolna na śmierć pośród potrzaskanych ciał członków swoich załóg. Niektóre udało się nakłonić, łagodnym poszturchiwaniem i pomocną łapą, do tego, żeby podniosły się i pokuśtykały na polany, gdzie czekali lekarze; inne, bardziej ranne, można było wybawić od cierpień tylko ciosem miłosierdzia. Część francuskich awiatorów,

których ciała smoków ochroniły przed najgorszymi skutkami uderzenia w ziemię, ocalała, i trzeba ich było odprowadzić z pola bitwy, żeby mogli dołączyć do innych jeńców.

Ciało Chalcedony'ego leżało wyciągnięte na zielonym wzgórzu i wydawało się nietknięte, dopóki smoki nie obróciły go na grzbiet i nie zobaczyły krwawej miazgi, w jaką zmieniała się jego strzaskana kulą klatka piersiowa. Yellow Reapery wsunęły pod niego barki i ostrożnie zniosły z pola.

- Ale gdzie go zabierzemy? - zapytał ogromnie przybity Gladius.

- Zaniesiemy go na stare tereny rozplodowe w pobliżu Dover - odpowiedział Temeraire - gdzie grzebano chore smoki.

I tak pochowali Chalcedony'ego oraz innych poległych towarzyszy w dolinie objętej niegdyś kwarantanną, usypując nad nich ciałami kolejny wielki kurhan; ziemia, z której go wznosili, pachniała już wiosenną wilgocią, a przez pokrywą śniegu dzielnie przebijały się pierwsze rośliny.

Bardziej z przyzwyczajenia niż w rezultacie świadomego zamysłu polecili potem do Dover, żeby poszukać czegoś do zjedzenia, i okazało się, że zrobili dobrze: wiele smoków z Korpusu także wróciło na swoje polany i załogi naziemne oraz pasterze pędzili im stada bydła z całej okolicy.

Tydzień później przed pawilonem Temeraire'a pojawił się Lloyd, dawny zarządca walijskich terenów rozplodowych - przemoczony i brudny, ale zbyt skupiony na swoim zadaniu, by się tym przejmować - ciągnąc na powrozie kilka sztuk bydła.

- A niech mnie, Lloyd - powitał go Temeraire - skąd wzięłeś te krowy? - Nie czekając na odpowiedź, zabrał się do jedzenia.

- Z zagród w Londynie - odparł Lloyd, przyjmując z wdzięcznością filiżankę herbaty, aczkolwiek najpierw rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś mocniejszego. - A poza tym one najpierw były nasze, czyż nie? - dodał z nieco bezczelną miną, więc może lepiej było nie pytać zbyt szczegółowo o ich pochodzenie.

Smoki z Dover przylatywały do nich od czasu do czasu i przyglądały się tęsknie postępom robót.

- Nie rozumiem, dlaczego nie możemy mieć też takiego w kryjówce - powiedział

raz Maksimus, pomrukując z niezadowolenia. - Iskierka ma.

- Czy mam dziesięć tysięcy funtów, które mógłbym wydać na postawienie ci świątyni? - spytał Berkley. - To wszystko nonsens, to całe narzekanie; spałeś na dworze przez całe życie i nigdy ci to nie zaszkodziło - dodał z irytacją, ale wkrótce oficerowie przystąpili po cichu do zbierania pieniędzy, a między smokami rozpoczęła się przyjacielska rywalizacja o to, czyj pawilon powinien zostać ukończony jak pierwszy.

Za pośrednictwem tych gości dotarły do Laurence'a także najnowsze wieści z Londynu, wieści, którymi żyli wszyscy.

a więc mało kto ich nie słyszał: król wycofał się z życia publicznego i udał się do Kensington, a ksiązę Walii został regentem; Bonaparte zdołał wprawdzie uciec do Paryża, ale z podkulonym ogonem. Ogarnięte patriotyczną gorączką gazety głosiły chwałę zwycięzców oraz żalobę po Nelsonie i jego marynarzach, o których mówiono jak o męczennikach poległych za kraj.

Przez ten cały czas nikt nie próbował przeszkodzić im w poruszaniu się po okolicy, nikt oficjalnie nie zwracał na nich uwagi, ale Laurence wiedział, że jest to tylko chwilowy stan. Tryby maszyny rządowej mogą potrzebować jeszcze trochę czasu, by znowu zacząć się kręcić po tak wielkim wstrząsie, ale nieuchronnie wrócą w swoje koleiny: zdrady nie można tak po prostu zignorować.

Przybycie Wellingtona zaskoczyło go tylko pod tym względem, że z żądaniem, by się oddał w ręce władz, przysłano właśnie księcia, a nie Jane, czy też jakiegoś pomniejszego oficera; ale wcale nie dodało mu to otuchy.

- Sir - rozpoczął Laurence - domyślam się, że ze względu na to, jak mało ma pan teraz czasu, nie przybył pan tutaj, by wypytywać o przebieg naszych prac. Jeśli pan czegoś ode mnie chce, proszę mówić otwarcie.

- Ale Laurence nie pójdzie do więzienia ani nie zostanie powieszony - wtrącił Temeraire - a jeśli po to przyjechałeś, to możesz odejść: wróc tu po niego z armią i spróbuj, czy uda ci się go zabrać.

- Nie rozpoczniemy bitwy z tobą i twoją sforą hultajów, jeśli to masz na myśli - odparł Wellington. - Czy ci się wydaje, że nie wiem, do cholery, o waszym małym

pakcie - o tym Longwingu i tym Regal Copperze, którzy latają po całym Dover i mówią wszystkim, że jeśli zrobimy coś przeciwko wam, staną w waszej obronie, i że to samo powinny zrobić inne smoki, bo inaczej też utracą swoich kapitanów?

Laurence popatrzył na Temeraire'a, który miał na tyle przyzwoitości, żeby zrobić speszoną minę, ale tylko trochę speszoną, i zaraz odparował:

- Nie masz żadnego prawa, by narzekać, że ci nie ufam; już raz próbowałeś odebrać mi Laurence'a, a teraz pytam, gdzie jest nasza zapłata, którą powinniśmy otrzymać? I te kryjówki, które obiecałeś dla nas otworzyć?

- Dostyc tego! - wybuchnął Wellington. - Dałem wam słowo i na pewno go dotrzymam. Dostaniecie kryjówki i zapłatę, i to nie później od wszystkich innych, którzy stawili czoło wrogowi. Upłynie jeszcze pół roku, zanim rząd zdoła spłacić wszystkie zaległości, i będziecie musieli poczekać na swoją kolej. Przynajmniej nie głodujecie, czego wielu Anglików nie może o sobie powiedzieć.

- No dobrze - odpowiedział nieco udobruchany Temeraire - przepraszam, że byłem nieuprzejmy, ale jeśli dotrzymujesz obietnic i nie zamierzasz wsadzić Laurence'a znowu do więzienia, to po co właściwie tu przyjechałeś? Czego od nas chcesz?

- Chcę - zaczął Wellington - a raczej rząd Jego Królewskiej Mości chce, was się pozbyć. Zdaj się na królewską sprawiedliwość - zwrócił się do Laurence'a - a wyrok zostanie zamieniony na karę zesłania.

Temeraire prychnął, usłyszawszy słowo „sprawiedliwość”, i z dużą podejrzliwością wysłuchał wyjaśnień dotyczących nowego wyroku, zwłaszcza tego, że rząd zamierzał wydalić Laurence'a z kraju i wysłać go do kolonii w Nowej Południowej Walii-

- Ale to jest po drugiej stronie świata; to tak samo złe, jak wsadzenie ciebie znowu do więzienia - zaprotestował. - W żadnym razie nie zgodzę się, żeby wysłali ciebie tak daleko ode mnie.

- Nie - powiedział Laurence, patrząc uważnie na twarz Wellingtona. - Mam wrażenie, że nie o to im chodzi. Sir, wysyłanie Temeraire'a nie jest mądrą decyzją, nie wtedy, gdy

Francuzi mają jeszcze Lien. Cokolwiek pan o mnie myśli, cena jest zbyt wysoka.

- Jesteś dziś nieco tępy, Laurence - odparł Wellington. - Ceną jest twoje życie, a ich lordowskie moście uważają, że to niska cena za pozbycie się smoka, który, jeśli wpadnie mu to do głowy, może zatopić połowę statków w Dover.

Temeraire nastroszył krezę.

- To bardzo nieuprzejme z ich strony - powiedział. - Nigdy nie zrobiłbym czegoś tak okrutnego rybakom i kupcom; dlaczego miałbym to zrobić?

Wiść o wyczynie Lien obiegała kraj lotem błyskawicy, roznoszona wraz z wiadomością o klęsce Francuzów i śmierci Nelsona przez zwycięskich żołnierzy, którzy wracali do Londynu i swoich domów. Ciekawe, ale wcale nie urosła, mimo że powtarzały ją tysiące ust, gdyż niewiele można było dodać do opisu tak przerażającego i zdumiewającego zarazem. Jednak Laurence, zaniepokojony tym, że wzbudzony przez nią strach skłonił władze do podjęcia tak irracjonalnej decyzji, powiedział:

- Nawet jeśli on jest straszliwą bronią, Francuzi też ją mają; odrzucenie takiej broni jest równie niedorzeczne jak stopienie własnej armaty tylko dlatego, że wróg ją przejął i skierował przeciwko nam.

- Kiedy Francuzi zbudują armatę, której od czasu do czasu zachce się odwracać i strzelać im w twarz, a także namawiać inne armaty, żeby robiły to samo, chętnie im ją zostawię - odparował Wellington. - Nie, Laurence, masz przed sobą człowieka nawróconego: przekonałeś mnie całkowicie, że to są rozumne stworzenia, i niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę ci doprowadzić do tego, by uzyskały prawa polityczne. Łatwiej nam będzie się bronić przed jednym, nawet tak niezwykłym smokiem, niż walczyć ze skutkami twojej wigowskiej demagogii.

- Ale jeśli zgadzasz się, że jesteśmy inteligentnymi stwo-

Laurence popatrzył na Temeraire'a, który miał na tyle przyzwoitości, żeby zrobić speszoną minę, ale tylko trochę speszoną, i zaraz odparował:

- Nie masz żadnego prawa, by narzekać, że ci nie ufam; już raz próbowałeś odebrać mi Laurence'a, a teraz pytam, gdzie jest nasza zapłata, którą powinniśmy otrzymać? I te kryjówki, które obiecałeś dla nas otworzyć?

- Dostyc tego! - wybuchnął Wellington. - Dałem wam słowo i na pewno go

dotrzymam. Dostaniecie kryjówki i zapłatę, i to nie później od wszystkich innych, którzy stawili czoło wrogowi. Upłynie jeszcze pół roku, zanim rząd zdoła spłacić wszystkie zaległości, i będziecie musieli poczekać na swoją kolej. Przynajmniej nie głodujecie, czego wielu Anglików nie może o sobie powiedzieć.

- No dobrze - odpowiedział nieco udobruchany Temeraire - przepraszam, że byłem nieuprzejmy, ale jeśli dotrzymujesz obietnic i nie zamierzasz wsadzić Laurence'a znowu do więzienia, to po co właściwie tu przyjechałeś? Czego od nas chcesz?

- Chcę - zaczął Wellington - a raczej rząd Jego Królewskiej Mości chce, was się pozbyć. Zdaj się na królewską sprawiedliwość - zwrócił się do Laurence'a - a wyrok zostanie zamieniony na karę zesłania.

Temeraire prychnął, usłyszawszy słowo „sprawiedliwość”, i z dużą podejrzliwością wysłuchał wyjaśnień dotyczących nowego wyroku, zwłaszcza tego, że rząd zamierzał wydalić Laurence'a z kraju i wysłać go do kolonii w Nowej Południowej Walii-

- Ale to jest po drugiej stronie świata; to tak samo złe, jak wsadzenie ciebie znowu do więzienia - zaprotestował. - W żadnym razie nie zgodzę się, żeby wysłali ciebie tak daleko ode mnie-

- Nie - powiedział Laurence, patrząc uważnie na twarz Wellingtona. - Mam wrażenie, że nie o to im chodzi. Sir, WY' syłanie Temeraire'a nie jest mądrą decyzją, nie wtedy, g^Y

Francuzi mają jeszcze Lien. Cokolwiek pan o mnie myśli, cena jest zbyt wysoka.

- Jesteś dziś nieco tępy, Laurence - odparł Wellington. - Ceną jest twoje życie, a ich lordowskie moście uważają, że to niska cena za pozbycie się smoka, który, jeśli wpadnie mu to do głowy, może zatopić połowę statków w Dover.

Temeraire nastroszył krezę.

- To bardzo nieuprzejme z ich strony - powiedział. - Nigdy nie zrobiłbym czegoś tak okrutnego rybakom i kupcom; dlaczego miałbym to zrobić?

Wiść o wyczynie Lien obiegła kraj lotem błyskawicy, roznoszona wraz z wiadomością o klęsce Francuzów i śmierci Nelsona przez zwycięskich żołnierzy, którzy wracali do Londynu i swoich domów. Ciekawe, ale wcale nie urosła, mimo że

powtarzały ją tysiące ust, gdyż niewiele można było dodać do opisu tak przerażającego i zdumiewającego zarazem. Jednak Laurence, zaniepokojony tym, że wzbudzony przez nią strach skłonił władze do podjęcia tak irracjonalnej decyzji, powiedział:

- Nawet jeśli on jest straszliwą bronią, Francuzi też ją mają; odrzucenie takiej broni jest równie niedorzeczne jak stopienie własnej armaty tylko dlatego, że wróg ją przejął i skierował przeciwko nam.

- Kiedy Francuzi zbudują armatę, której od czasu do czasu zachce się odwracać i strzelać im w twarz, a także namawiać inne armaty, żeby robiły to samo, chętnie im ją zostawię - odparował Wellington. - Nie, Laurence, masz przed sobą człowieka nawróconego: przekonałeś mnie całkowicie, że to są rozumne stworzenia, i niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę ci doprowadzić do tego, by uzyskały prawa polityczne. Łatwiej nam będzie się bronić przed jednym, nawet tak niezwykłym smokiem, niż walczyć ze skutkami twojej wigowskiej demagogii.

- Ale jeśli zgadzasz się, że jesteśmy inteligentnymi stworzeniami, co zresztą jest zupełnie oczywiste, to nie możesz zaprzeczyć, iż przysługują nam także prawa polityczne.

- Mogę, i odmówię tobie oraz każdemu człowiekowi czy też smokowi prawa do niszczenia fundamentów państwa - odparł Wellington. - Do diabła z prawami; zawsze ktoś będzie się domagał uznania jakichś swoich praw.

Kiedy odszedł, Temeraire spojrzał z ukosa na Laurencea.

- Jestem pewny, że nikt nie może nas zmusić do odpłynięcia na koniec świata, jeśli tego nie zechcemy - odezwał się - i nie dbam o to, co myśli Wellesley, czy też Wellington, nawet jeśli jest teraz księciem.

Laurence położył rękę na jego przedniej łapie i popatrzył na dolinę. Wypiękniała od ostatniego lata, kurhany grobowe i wzgórza pokryły się soczystą zielenią traw, wśród których pasły się stada owiec i bydła, spędzone tam przez Lloyda. To była Anglia, jego dom; a on musiał ją teraz opuścić na zawsze i udać się w obce strony, do dalekiej, suchej krainy.

- Musimy tam popłynąć - odparł.

- Wysyłam kilka jaj w twoim transporcie - powiedziała Jane, siadając na głazie. - Potrzebują smoków w Nowej Południowej Walii, żeby przyspieszyć rozwój osadnictwa.

Oddalili się trochę od pawilonu, żeby spokojnie porozmawiać, i weszli na zbocze wzgórza, skąd mogli popatrzeć na morze; nad wodą wisiała mgła, ale gdzieś tam widać było żagle, lśniące bielą w promieniach słońca.

- Czy można się nimi podzielić? - zapytał Laurence.

- Mamy ich więcej, niż nam potrzeba - odparła. - Zanim przywiozłeś nam lekarstwo, myśleliśmy, że będziemy musieli odtworzyć całą populację smoków na Wyspach; teraz mamy tyle jaj, że za rok pojawią się kłopoty z wyżywieniem wszystkich młodych, które się z nich wyklują, zwłaszcza po tych francuskich grabieżach. Co do naszego przyjaciela po drugiej stronie - dodała, rzucając kamyk w kierunku Francji - to stracił on w tej awanturze czterdzieści smoków. W najbliższym czasie nic nam z jego strony nie grozi, a kiedy zdecyduje się tu wrócić, będziemy przygotowani.

Laurence pokiwał głową i usiadł obok niej. Jane z roztargnieniem zatarła dłonie i podmuchała na nie: w powietrzu wciąż czuło się chłód. Poniżej Ekscidium z zainteresowaniem oglądał fundamenty pawilonów, a Perscitia namawiała go, żeby wypalił kwasem w kamieniach kanał do odprowadzania wody.

- Obawiam się, Laurence, że nadal oficjalnie będziesz więźniem; rozumie się, że nie zakują cię w kajdany ani nie zrobią niczego, co mogłoby sprawić ból Temeraire'owi, ale jeśli chodzi o stronę formalną...

- Niczego innego nie oczekiwałem.

Westchnęła.

- W każdym razie przekonywałam ich lordowskie moście do okazania ci pewnej wyrozumiałości i uzgodniłam z nimi, że będziesz mógł sobie dobrać garść ludzi spośród załóg, które popłyną, by się opiekować nowo wyklutymi smokami.

- Pewnie nie wyślesz Emily - powiedział Laurence.

- Nie wysłałabym nikogo, gdybym nie była gotowa wysłać jej samej - odparła. - Nie; to silna i uparta osóbką, i wolałabym narazić na szwank jej zdrowie niż ducha.

Lepiej dla niej będzie, jeśli znajdzie się jak najdalej ode mnie. Pewnie jeszcze o tym nie słyszałeś, ale mianowali mnie admirałem sił powietrznych - dodała i roześmiała się. - Wellesley - a raczej Wellington, jak go teraz powinnam nazywać - jest cholernie wyrachowanym skurczybykiem, ale to właśnie on się przy tym upierał; i przy tym, żeby zrobili mnie parem, choć wciąż się kłóca, jak to zrobić • nie dać mi jednocześnie prawa do zasiadania w Izbie Lordów.

- Gratuluję ci z całego serca - powiedział Laurence i uścisnął jej rękę. - Ale Jane, my będziemy po drugiej stronie świata... Nawet nie wiem, co tam będziemy robić...

- Znajdą tam dla was jakąś robotę, nie mam co do tego żadnych wątpliwości - odparła. - Zamierzają posuwać się w głąb interioru; smoki ułatwią to zadanie, a jeśli nic z tego nie wyjdzie, możecie pomagać w oczyszczaniu ziemi pod pola uprawne. To oczywiście marnotrawstwo - dodała - i mam nadzieję, że nie będziemy tego żałować, ale powiem ci uczciwie, Laurence, że jestem zadowolona z twojego wyjazdu. Nie chciałam myśleć, co mogłoby się stać, gdybyś tu został.

- Nie wzniciłbym wojny domowej, jeśli o to ci chodzi - odrzekł.

- Ty nie; ale co do niego, to już nie jestem taka pewna - powiedziała Jane, patrząc w dół na Temeraire'a, który rozstrzygał właśnie jakąś sprzeczkę między Cantarellą i Perscitą; oczywiście zaraz się zleciała połowa Yellow Reaperów, żeby stanąć w tej kłótni po stronie Cantarelii. - Co do Emily: nie chcę dawać nikomu powodów do szeptania o specjalnym traktowaniu ani też sposobności do wykorzystywania jej do wywierania nacisków na mnie, czy to w dobrych czy złych sprawach. Przy trzech lub czterech smokach nie zabraknie jej okazji do awansu, a statki pływają tam dosyć często. Martwię się tylko o Catherine.

Jak to się już często zdarzało w przeszłości, mieli popłynąć z Rileyem na Allegiance, a Catherine nie mogła im towarzyszyć, nawet gdyby bardzo tego chciała.

- Tylko że nie wiem, co zrobić w sprawie chłopca - powiedziała. - Nie wiem, czy go puścić, niezbyt mi się to podoba...

- Nie rozumiem dlaczego - mruknęła Lily, niezbyt cicho.

- ...ale jeśli w przyszłości miałby pójść na morze, to pewnie lepiej, żeby zaczął jak najprędzej; a jeśli pewnego dnia zechce wstąpić do Korpusu, znajdzie się dla niego

miejsce, bo będziemy mieli wystarczająco dużo smoków. Może zatem teraz powinien być z ojcem - dokończyła podczas pożegnalnej kolacji, na którą przybyła z Berkleyem, gdyż Laurence oczywiście nie mógł odwiedzić jej w kryjówce, dopóki formalnie był więźniem. Siedzieli razem w pawilonie wokół małego, praktycznego stolika do kart, osłonięci od wiatru przez drzemiące dookoła nich smoki, i jedli pieczoną baraninę z chlebem.

- Catherine - odpowiedział z pewnym wahaniem Laurence - w normalnych okolicznościach nie ośmieliłbym się udzielać ci rady w takiej sprawie, ale musisz pamiętać, że Allegiance będzie w tym rejsie statkiem więziennym, będzie wioził skazańców.

Zwykle transporty odbywały się dwa razy w roku i Allegiance miał płynąć poza kolejnością, ale był tak ogromny, że zamierzano umieścić na nim bardzo wielu zesłańców.

- Przypuszczam, że nie będą mogli spacerować po pokładzie - powiedziała na to zaskoczona i musiał jej przybliżyć realia panujące na statkach więziennych: wybuchające z okropną regularnością epidemie szkorbutu, dyzenterii i innych chorób, powszechne cierpienie i stałe zagrożenie buntem.

Kiedy następnego ranka przybyli na Allegiance, który stał w stoczni w Sheerness, z przykrością stwierdził, że ten jego opis nie odbiegał od rzeczywistości. Nie było mu miło oglądać zamęt panujący na tym znajomym i wiernym okręcie, i nieporadność jego nowej załogi, składającej się z wcielonych siłą do marynarki szczerów lądowych, po części niewiele różniących się od tych nieszczęśników, których można było usłyszeć - i poczuć - pod pokładem, gdyż nieustannie pobrzękiwali kajdanami, jakie im pozakładano z uwagi na bliskość brzegu. Niemal wszyscy doświadczeni marynarze zostali przeniesieni na okręty wykonujące bardziej chwalebne zadania, pod rozkazy kapitanów bardziej wpływowych od Rileya, który, być może nadto splamiony związkami z Laurence'em, nie mógł się temu przeciwstawić.

Po drugiej stronie portu inna jednostka przygotowywała się do popłynięcia w górę Tamizy, z tym samym wiatrem, który jeszcze przez kilka dni miał uniemożliwić Allegiance wyjście w morze. Była to barka żeglowna, płaskodenna i bardzo mała w

porównaniu z ogromnym transportowcem. Jej załogę stanowiła garstka ubranych na czarno marynarzy; nawet żagle miała ufarbowane na czarno i sama też została niedawno pomalowana, tak że nie było widać linii wodnej. Na jej pokład wnoszono właśnie, ostrożnie i z szacunkiem, wielką czarno-złotą trumnę, której załoga oddawała honory, stojąc na baczność.

- To trumna Nelsona - powiedział Laurence, kiedy Teme-raire go o to cicho zapytał.

Na całym okręcie zapadła cisza. Umilkli nawet najbardziej rozgoryczeni ze świeżo wcielonych do służby marynarzy, uciszeni przez pięści towarzyszy, jeśli nie przez poczucie przyzwoitości, i dopóki widać było trumnę, nikt się nie odzywał. Po twarzach tych twardych, czasem ciężko doświadczonych przez los ludzi popłynęły łzy, a Laurence słyszał jednego, który siedząc gdzieś wysoko na reji, płakał jak dziecko. Sam też poczuł, że łzy cisną mu się do oczu.

Swoim zwycięstwem pod Trafalgarem Nelson dał Brytanii panowanie na morzach; podczas wyprawy do Kopenhagi zdobył szesnaście przyzów i otworzył dla Brytyjczyków Cieśninę Duńskie. Na miesiąc przed bitwą pod Shoeburyness oczyścił wraz ze swoją flotą kanał z francuskich statków i zwalczał regularne loty francuskich smoków, pozbawiając Napoleona posiłków. Zeby wieść o jego powrocie nie dotarła do nieprzyjaciela, zamalowano nazwy okrętów oraz pościągano flagi z masztów, a z miłości do niego nie zdezerterował ani jeden z ponad pięciu tysięcy marynarzy, którymi dowodził, i to nawet wtedy, gdy flota ukrywała się w macierzystych portach.

W obliczu takich zasług można mu było wybaczyć jego grzechy bardziej osobistej natury, chociaż jawną niewiernością naraził swoją żonę na wiele cierpień, a swojego przyjaciela lorda Hamiltona na powszechne potępienie. Wprawdzie lady Hamilton uratowała reputację dzięki bohaterskiej pracy wywiadowczej podczas okupacji, ale ta plama na honorze Nelsona pozostała. Jednak nawet gdyby, ze względu na ogrom jego zwycięstw i poświęceń, puścić w niepamięć te w końcu drobne sprawy, konto admirała obciążały rzeczy znaczenie gorsze. Bronił niewolnictwa i bez żadnych skrupułów poparł ohydny plan zarażenia śmiertelną chorobą tysięcy smoków, sojusznicznych, neutralnych, jak również nieprzyjacielskich. Dopuścił się tym samym

niegodziwości, której Laurence nie potrafił mu wybaczyć i której konsekwencje miał ponosić przez całe życie.

Mimo to, kiedy patrzył, jak barka wypływa z portu, a jej czarne żagle wypełniają się wiatrem, ogarnął go głęboki, przejmujący ból; był to żal nieobciążony żadnymi ocenami; żal, który w innym życiu mógłby czuć całym sercem. Z zadumy wyrwał go huk armat okrętowych, które oddawały improwizowane saluty przepływającej barce. Na pokładzie za jego plecami zaczęła się pospieszna krzątania i załoga Allegiance też zdołała, dzięki samej wadze swych masywnych trzydziestodwufuntówek, wnieść znaczący wkład do tego pożegnania, chociaż artylerzyści nie potrafili jeszcze wystrzelić równej salwy burtowej.

Barka znikła wkrótce z pola widzenia, niesiona w głąb łądu korzystnym wiatrem i przyrywem. Przez jakiś czas słychać było jeszcze w dali saluty, brzmiące niczym odgłosy oddalającej się burzy, które w końcu zupełnie ucichły. Allegiance skrzypiał cicho, kołysząc się na kotwicach, a wszyscy na jego pokładzie wrócili do swoich obowiązków. Laurence odetchnął głęboko. Koniec końców nie zapłakał.

Temeraire, który z zainteresowaniem obserwował wydarzenia towarzyszące odpływaniu barki z trumną Nelsona, rozłożył teraz skrzydła - ostrożnie, żeby nie ustawić ich pod wiatr, a raczej w jego linii - i zapytał:

- Kiedy odpłyniemy?

- Kiedy kapitan i pasażerowie przybędą na pokład - odparł Laurence. - Może za kilka dni, jeśli wiatr zmieni kierunek na korzystny dla nas.

Oni musieli się oczywiście stawić na pokładzie wcześniej, jako że nie byli pasażerami, ale więźniami; i nawet jeśli Laurence chciałby zapomnieć o swoim statusie, nie pozwoliłby mu na to pierwszy oficer, lord Purbeck. Postawił na stopniach prowadzących na smoczy pokład straż - całkowicie niepotrzebną straż, składającą się z dwóch żołnierzy piechoty morskiej z karabinami, których Temeraire mógł przewrócić lub strącić na dół, nawet tego nie zauważając - a kiedy Laurence poszedł szukać swoich rzeczy, okazało się, że złożono je w małej ciemnej i przesiąkniętej smrodem kabinie, znajdującej się dwa pokłady niżej, obok schodni rufowej: tak blisko pokładu więziennego, jak to tylko było możliwe. Towarzyszyli

mu do niej obaj wartownicy, których miny świadczyły o tym, że najchętniej by go tam zamknęli, ale szybko wybił im to z głów, mówiąc:

- W takim razie idźcie na górę i wytłumaczcie Temerai- re'owi, że nie wolno mi do niego wychodzić.

Jeszcze tego dnia zaczęli przybywać z kryjówki w Dover awiatorzy, dwójkami, lub trójkami, gdyż nie byli to oczywiście członkowie jednej zgranej załogi. Jane wysłała także dwóch kapitanów, starszych mężczyzn, przeniesionych do służby naziemnej po śmierci ich smoków, które padły ofiarą niedawnej epidemii. Obaj byli doświadczonymi oficerami i gdyby nie zaraza, mieliby przed sobą długie i wspaniałe kariery. Plan przewidywał, że w Gibraltarze wezmą na pokład jeszcze jednego człowieka, a na Antypody zabiorą w sumie trzy jaja.

Już wkrótce dostarczyły je, z wielką troską i ostrożnością, trzy smoki. Jaj, które opatulone bawełnianą watoliną złożono w gnieździe zbudowanym w tym celu w kambuzie, nie można było nazwać nadzwyczaj cennymi: z jednego miał się wykluć Yellow Reaper, drugie było wynikiem niefortunnej krzyżówki między rasami Chequered Nettle i Parnassian, z czego wyszło jajo tak szokująco małe, że wyglądało raczej na złożone przez Winchestera, a nie ciężkiego smoka bojowego. Trzecie, przyniesione przez Arkadego, było jego własne - a przynajmniej tak ich, pęczniąc z dumy, poinformował - i zostało niedawno złożone przez Tłuczkę. Wcale go nie martwiło, że nie zobaczy swojego potomka, gdyż był przekonany, iż wysłanie go na podbój nowych, nie zajętych przez żadne smoki terytoriów, jest szczególnym zaszczytem. Mimo to długo i surowo pouczał Temeraire'a na temat obowiązków związanych z nadzorem i opieką nad jajem, wyciągając od niego obietnicę, że dopilnuje, by absolutnie nikt go nie dotykał, oraz że nie pozwoli, by kapitanem został ktoś biedny.

- Cieszę się, że mogłem cię zobaczyć, zanim ruszymy w drogę - powiedział Laurence do Tharkaya, z pewnym zakłopotaniem; nie rozmawiali ze sobą od tego dnia w obozie, kiedy to Tharkay kilkoma słowami tnącymi aż do kości uświadomił mu, jak bardzo pobłądził. Laurence nie wiedział, czy go teraz przepraszać czy też wyrazić swoją wdzięczność.

- Nie musisz się ze mną żegnać, jeszcze nie teraz; płynę z wami - odparł Tharkay. - Kapitan Riley był tak uprzejmy i zaprosił mnie na pokład jako swojego gościa.

- Nie wiedziałem, że go znasz - powiedział Laurence, starając się, żeby nie zabrzmiało to jak pytanie.

- Nie znałem - odrzekł Tharkay - ale kapitan Harcourt była tak dobra i przedstawiła mnie mężowi. Obecnie jestem dość dobrze sytuowany, dzięki hojności waszej pani admirał - dodał, widząc, że Laurence jest zaskoczony - i nigdy nie byłem w Terra Australis; ta podróż jest dla mnie dużą pokusą.

Zamiłowanie do podróży może popchnąć człowieka do pokonania oceanu lub wzięcia udziału w wyprawie na koniec świata; ale nie zmusi go do wejścia na pokład statku z kimś, kim gardzi, zwłaszcza gdy ma pieniądze umożliwiające mu wybór innego środka transportu.

- Cieszę się, że popłyniemy razem - powiedział Laurence, próbując nie okazywać uczuć, żeby nie zawstydzić siebie, ani nie wprawić w zażenowanie Tharkaya.

Riley przybył na pokład późno, posepny i samotny, kiedy przyплыw się już zaczął. Oczywiście nie przyszedł przywitać się z Laurence'em, ale nie odezwał się także do obu kapitanów ani do Tharkaya, który przynajmniej oficjalnie był jego gościem. Udał się zamiast tego prosto do swojej kabiny i wyszedł z niej tylko po to, żeby nadzorować podnoszenie kotwic oraz żagli, po czym znowu zniknął pod pokładem. Purbeck znał się na swojej robocie i mimo niedoświadczenia załogi zdołał dość sprawnie wyprowadzić okręt z portu i już wkrótce wpłynęli na ciemne wody kanału.

Temeraire wysunął głowę za burtę i przyglądał się z uwagą sunącym w dole falom.

- Chciałbym wiedzieć, jak ona to zrobiła - powiedział. - Może powinienem poćwiczyć, żeby to zrozumieć?

Jednak Laurence zaczął go energicznie od tego odwodzić i chociaż Temeraire przyrzekał, że postara się, by fale biegły o d okrętu, a nie w jego stronę, przekonał go ostatecznie argument, iż Rileyowi oraz załodze na pewno się to nie spodoba.

Zniechęcony smok westchnął i ułożył się na pokładzie; nie dość, że znowu czekała go tak długa podróż, kiedy jego wszyscy przyjaciele budowali pawilony i już wkrótce mieli otrzymać zapłatę, to jeszcze płynął do dziwnego, nieprzyjaznego kraju, w

którym w ogóle nie było smoków. Był pewny, że gdyby to była ziemia mlekiem i miodem płynąca, jakieś smoki już by do niej dotarły; a zatem musiało tam być okropnie i w związku z tym szczególnie niepokoił się o jaja. Nie żeby pozwolił, by coś im się stało, rzecz jasna, ale ciążyła na nim wielka odpowiedzialność, a przecież żadne z nich nawet nie było jego. Nie wydawało mu się to zbyt sprawiedliwe.

- Czy to potrwa bardzo długo? - zapytał Laurence'a następnego ranka, już dość zniechęcony monotonią horyzontu, i z przygnębieniem, choć bez zaskoczenia, wysłuchał, że będą płynąć przez siedem miesięcy, a może i dłużej.

- Musimy zawinąć do portu na Gibraltarze, a potem na Wyspę Świętej Heleny - mówił dalej Laurence - jako że Prowincja Przylądkowa jest już dla nas niedostępna; a potem zapewne znowu na wyspę Nowy Amsterdam.

- A czy jesteś pewny, że nie moglibyśmy po prostu wrócić do Chin? - zapytał Temeraire. - Moglibyśmy tam polecieć nad lądem...

Ale Laurence nie chciał tego zrobić.

- Nie zamierzam zostać męczennikiem - tłumaczył smokowi - ale prawo musi być takie samo dla wszystkich; a już i tak bardzo je dla mnie napięto, i dla ciebie; nieważne, jak niechętnie. Chociaż nasz czyn był moralnie usprawiedliwiony, nie mogę tak łatwo zapomnieć o tych, którzy z tego powodu ucierpieli, mimo że mieli prawo liczyć na naszą lojalność, a także o tym, iż przyniósł on korzyść naszym nieprzyjaciołom. Zostawiamy Anglię bezpieczniejszą, niż była, i wolną, dzięki Bogu; nie muszę już dłużej robić sobie wyrzutów z powodu naszego postępków. Ale chętnie podejmę się każdej uczciwej pracy w jej służbie, żeby płacić mój dług, nawet jeśli będę mógł to zrobić tylko pośrednio.

Temeraire sprzeciwiłby się bardzo zdecydowanie, gdyby to ktoś inny zasugerował, że Laurence ma jeszcze cokolwiek do spłacania; ale nie bardzo mógł się spierać w tej kwestii z nim, zwłaszcza że sam także miał wobec niego dług. Chciałby tylko, żeby nie musieli płynąć aż tak daleko. Dni już zaczęły mu się nieznośnie ciągnąć.

- Skrzydło, dwa stopnie na lewo od rufy - krzyknął obserwator i Temeraire wstał z nadzieją: może dojdzie do jakiejś bitwy; albo może to leci Volly, żeby zawrócić ich do Anglii; albo Maksimus i Lily przybywają dotrzymać mu towarzystwa, by znowu

mogli być razem.

- Ale to żadne z nich; to Iskierka - mruknął z niezadowoleniem, kiedy zbliżyła się na tyle, że mógł dojrzeć ciągnącą się za nią smużkę pary.

Wyraźnie zmęczona, leciała dość powoli, resztką sił, i wylądowała na pokładzie z głośnym łomotem. Nie miała na sobie pełnej uprząży ani nikogo ze swojej załogi, oprócz Granby'ego, który siedział przypięty do pasa obejmującego jej szyję.

- Co ty tu robisz? - zapytał nieuprzejmie Temeraire, kiedy łąpczywie wypła wodę z jego dwóch beczek.

Nie odpowiedziawszy od razu na jego pytanie, rozłożyła się wygodniej na pokładzie, tak że masywne zwoje jej ciała zajęły dużą jego część, a Temeraire nie mógł nie zauważyć, iż teraz, gdy osiągnęła pełny wzrost, była dłuższa od niego.

- Płynę z wami - powiedziała w końcu.

- Nie, nie płyniesz - sprzeciwił się Temeraire. - Nas skazano na zesłanie, a ciebie nie; lepiej natychmiast wracaj.

- Cóż, nie mogę - odparła. - Jestem zbyt zmęczona, żeby lecieć z powrotem, a jutro rano będziemy już za daleko; tak więc równie dobrze możemy płynąć dalej.

- Nie rozumiem, po co w ogóle tu przyleciałaś - rzekł Temeraire.

- Powiedziałam ci przecież, że możesz dać mi jajo, kiedy już wygramy - wyjaśniła Iskierka - a więc przyleciałam, by dotrzymać obietnicy.

- Ale ja wcale nie chcę dać ci jaja - rzucił zirytowany Temeraire. - Nie chcę ciebie także na pokładzie tego statku. Zajmujesz za dużo miejsca i jesteś wilgotna.

- Nie zajmuję więcej miejsca od ciebie; w każdym razie nie dużo więcej - odpaliła Iskierka i jakby tego było mało, dorzuciła: - i jestem od ciebie cieplejsza, nie masz więc na co narzekać.

- I znowu nie posłuchałaś rozkazów, jestem tego pewny: Granby nigdy by ci nie pozwolił tutaj przylecieć.

- No cóż, trudno - powiedziała - nie zawsze można słuchać rozkazów. Kiedy tam dotrzemy?

- To przez to cholerne jajo - powiedział Granby do Laurence'a. - Uparła się, że chce mieć młode zdolne do zionięcia ogniem i wywoływania boskiego wiatru.

Wielokrotnie próbowałem jej wytłumaczyć, że to tak nie działa, ale nie chciała słuchać i oto jesteśmy.

- Możesz z nią wsiąść na Gibraltarze - zasugerował Laurence.

- Owszem, jeśli zechce zejść na ląd - odparł Granby i usiadł ciężko na pustej beczulce po wodzie, przybity swoim niepowodzeniem.

Tymczasem Iskierka, pochłonawszy świnie, którą dostała do zjedzenia, wyciągnęła się wygodnie i zadowolona z samej siebie zasnęła; kłęby pary wodnej, które nieustannie wydobywały się z jej ciała, spływały po obu burtach okrętu i ciągnęły się za nim nad wodą, unaoczniając wszystkim szybkość, z jaką oddalali się od Anglii.

Temeraire zepchnął ją na jedną połowę smoczego pokładu, i leżał, zwinięty w wielki kłęb, bardzo skwaszony, z krezą rozpląszczoną na karku.

- Może się jeszcze okazać, że będziesz zadowolony z jej arzystwa - próbował go pocieszyć Laurence.

- Nie będę, nawet gdybym się bardzo nudził; już bardziej by mnie ucieszył tajfun - odparł zamyślony Temeraire. - I jestem pewny, że ona będzie miała zły wpływ na jaja.

Laurence popatrzył na Iskierkę i Granby'ego, który topił smutki w szklaneczce rumu; Tharkay, który wyszedł właśnie na pokład, chwycił za rękę jednego z gońców i przezornie posłał go po następną butelkę.

- Przynajmniej nie musisz się martwić o ich bezpieczeństwo - zasugerował Laurence.

- O ile ona nie podpali statku - odparł Temeraire; o wiele za głośno, jak na spokój ducha marynarzy znajdujących się w zasięgu jego głosu, czyli niemal wszystkich poza tymi, którzy byli dwa pokłady niżej lub na rufie.

- W takim razie obawiam się, że będziesz musiał postudiować filozofię - powiedział Laurence - i nauczyć się cierpliwie znosić to nieszczęście. Mam nadzieję, że taka sytuacja jest mimo wszystko lepsza od pobytu na terenach rozplodowych.

- Och! Wszystko jest od tego lepsze, co nie znaczy, że nie może być okropne - odrzekł Temeraire i z westchnieniem położył głowę na przednich łapach. - Proszę, Laurence, możesz mi poczytać Principia mathematica, jeśli nie mamy nic lepszego do

roboty?

- Znowu? - zapytał Laurence, ale posłał Emily na dół po książkę. Wróciła rozgniewana stanem jego kwatery, ale on skinieniem głowy odwiódł ją od powiedzenia o tym Temeraire'o- wi. - Od czego mam zacząć? - zapytał, ale nie usłyszał od razu odpowiedzi.

Spojrzał w dół i położył dłonie na książce: jego palce dotknęły delikatnych stron i przesunęły się po wypukłych wzorach na grubej okładce z wytłaczanej złotem skóry. Ta sama książka w jego rękach, słony wiatr na twarzy, Temeraire u jego boku; nic się na pozór nie zmieniło, a jednak w głębi ducha czuł się zupełnie inny, jakby się na nowo narodził od czasu, gdy po raz ostatni postawił stopę na pokładzie tego okrętu.

- Laurence? - zapytał Temeraire. - Może wolałbyś jakąś inną książkę?

- Nie, mój drogi - odrzekł. - Ta mi zupełnie odpowiada.

Podziękowania

P

ragnę wyrazić serdeczne podziękowania moim wspianiałym beta czytelniczkom za ich wszystkie uwagi: Sarze Booth, Francesce Coppie, Alison Feeney i zwłaszcza Georginie Paterson. Wielkie podziękowania należą się także mojej adiusta- torce Laurze Jorstad za jej ciężką pracę nad tą książką, zwłaszcza za naprawdę wspianiałą chronologię wydarzeń, o wiele lepszą od moich żalonych arkuszy w Excelu.

Chcę również szczególnie podziękować mojej agentce, Cynthii Manson, i bardzo cierpliwej redaktorce Betsy Mitchell, za to, że nie sypały mi obie na głowę zbyt wielu rozżarzonych węgielków, gdy niepostrzeżenie umykały mi kolejne ostateczne terminy. (One to robią w nocy. Szczwane bestie, te terminy.) I mojej siostrze, Soni, która musiała mnie znosić, gdy (więcej niż raz) uciekałam od niebezpiecznych pokus mojego domowego Internetu i lśniącego komputera, żeby w ostatniej chwili dokończyć u niej kolejną linijkę tekstu.

Pragnę też wykorzystać tę okazję, żeby podziękować całemu fandomowi.

Uczestniczę w życiu tej społeczności od czasu, gdy jako nastolatka zaczęłam pisać pierwsze opowiadania i nigdy nie udało mi się osiągnąć sukcesu bez tych wszystkich cudownych ludzi, których w ten sposób poznałam. Miałam zaszczyt

współpracować z dziesiątkami beta czytelników i sama też służyłam w tej roli radą wielu pisarzom, od których ogromnie dużo się nauczyłam. Chociaż nie mogę podziękować każdemu osobiście i większość z nich znam tylko z sieciowych pseudonimów, chciałabym z całego serca podziękować im wszystkim, a także tym wspaniałym ochotnikom, z którymi współpracowałam przez ostatni rok w Organization for Transformative Works.

I na koniec, a także przede wszystkim, wyrazy wdzięczności i miłości kieruję do Charlesa, mojego najlepszego czytelnika, któremu ufam i który wspiera mnie bezcennym darem uczciwej krytyki oraz jeszcze wspanialszym darem miłości.

1 Yang Hui - chiński matematyk żyjący w latach 1238-1298. Pracował między innymi nad wzorem na potęgę dwumianu, który my znamy jako dwumian Newtona, i spopularyzował „trójkąt Yang Hui”, odkryty przez jego poprzednika Jia Xiana i identyczny z trójkątem Pascala (przyp. tłum.).

2 Thomas Harrison, zwolennik i bliski przyjaciel Cromwella, po restauracji Stuartów skazany na śmierć przez „włóczenie, powieszenie i ćwiartowanie > co było wówczas w Anglii karą za zdradę stanu. Odwaga, z jaką przyjął swój los, stała się przysłowiowa (przyp. tłum.).